

Tom CCXXXII  
SERYA 7.

De II. 1.

ROK 59  
ZESZYT 693

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

STYCZEŃ

1899

TOM I. — ZESZYT I

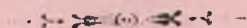
WARSZAWA  
Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr 14.

1899

LITERATURA, NAUKI SZTUKI PIĘKNE, SPRAWY  
 SPOŁECZNE I EKONOMICZNE, KRONIKI MIEJSCOWE I ZAGRANICZNE,  
 KRYTYCZNY I BIBLIOGRAFICZNY PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

TRZEŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. MIRAŻE, powieść — przez Marionę . . . . .	1
II. PRZYMIERZE POLSKO-PRUSKIE. II. Geneza, — przez Szymona Askenazego . . . . .	31
III. NAJNOWSZY DRAMAT HAUPTMANNŃ. „Woźnica Heuschel, — przez Adolfa Nowaczyńskiego . . . . .	50
IV. KRONIKA RZYMSKA, — przez A. Darowskiego . . . . .	64
V. DROBIAZGI Z PODRÓŻNEJ TEKLI. W Awinionie. I. „La Arma- na Provenčan“. II. „Jacquemard“ i „Jacquemarde“. . . . . III. Penitenci. IV. O Zachodzie (poezye) — przez Maryę Konopnicką . . . . .	84
VI. JEDEN Z KIERUNKÓW PSYCHOLOGII I FILOZOFII WSPÓŁ- CZESNEJ, — przez d-ra W. Heinricha . . . . .	101
VII. BERTA, (nowella) — przez Antoniego Potockiego . . . . .	124
VIII. POGADANKA ARTYSTYCZNA. Dwa konkursy rzeźbiarskie, — przez Stefana Popowskiego . . . . .	151
IX. PIŚMIENICTWO:	
„Prace filologiczne“, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom V, zeszyt II. Warszawa, 1898, str. 308 — 680 i 5 nl. — Andrzej Stopka: „Rycerze śpiący w Ta- trach“. Fantazya na tle podań ludowych. Kraków. 6-o, str. 179, — przez Romana Zawilińskiego . . . . .	162, 166
„Jesień“, powieść Alfreda Konara, — przez Wincentego Ko- siakiewicza . . . . .	171
X. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Charakterystyka fizyczna ludności Warszawy. — Wydawnictwo Ma- ksymiliana Cerchy. — Nasze konkursy. — Koncerty Pa- derewskiego . . . . .	175
XI. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	188



BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

BIBLIOTEKA MARYSZA WSKA

---

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 232.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1899. — Tom I.

---

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr. 14.

1899.



De II 1.

Дозволено Цenzурою.

Варшава, 15 Января 1899 года

---

# MIR A Ż E.

POWIEŚĆ.

---

## Część pierwsza.

---

### I.

Lubię te małe miasteczka, utopione gdzieś w głuchych lasach, dalekie od zgiełku, wrzawy, cywilizacyi—gdzie życie schodzi cicho, monotonna, niby fala, tocząca się w odwiecznym łożysku.

Prowadzi najczęściej do miasteczek owych szeroka, wysadzona topolami, droga: niekiedy bita, częściej polska, to jest błotnista na wiosnę i jesień, kurzu pełna w lecie. Po obu jej stronach szumią łany pszenicy i żyta, bieleją kwiaty grochu i kartofli, ścielą się kobierzec miodnej konieczyny, lub łubin całuje ziemię gorącą wonią. Słońce przechodzi po bujnej zieleni, wiatr zgina płochliwe liście, żaby skrzeczą w rowach, pełnych rzęsy i niezapominajek, koniki brzęczą w trawie, osy i pszczoły roją się koło kulistych grusz polnych. Biały rumianek

i błękitna cykorya osypuje kopce graniczne; po kamykach szemrze leniwy strumień, spływając coraz niżej, coraz niżej, ku łąkom i w szumiących gąszczach łożyny wpadając do rzeki.

A tam, na końcu drogi, w szelestach, w odgłosach, ciemnieje las, tętni cały tajemniczą gwarą dębów, grabów, osik. Gdzieś na szczycie sosny dzięcioł wypukuje suchą piosnkę. Machając puszystym ogonem, uwija się ruda wiewiórka. Skrzypi coś w głębi... nadjeżdża wóz chłopski... Woźnica idzie obok konia, pomaga mu zachęta: hej! wiol i potrzaskuje z pętanego biczyska. Kurz sypie się ze szprych, szkapięta oganiają się od dokuczliwych much ogonami; ułożony gdzieś w słomie wieprzak od czasu do czasu protestuje kwikiem przeciw wybojom drogi.

Wóz przejeżdża. Ginie tam, gdzie droga zapada w zielone, zlewające się morze. I znów wraca gwarna cisza letniego południa. Tysiąc ech napełnia gąszcze leśne. Kukułka odzywa się z nad strumienia: kuku! kuku! Słońce kładzie nieruchome, złote plastry na poziomkach, na czernicach, na wysuukłych łądogach dzwonek i pękach dzikiej róży.

A ot tam, poza lasem, droga zbiega w dolinę, i za rzeką czerwienieją się już dachy miasteczka. Nie myślcie, że wszystkie domy takie paradne! Tym szkarłatem szczyci się tylko dawny pałac kasztelański, obecnie na koszary zajęty. Reszta budynków—nizka, mizerna, często i brudna—jak w miasteczku!

Oto już srebrzą się w słońcu nici, łączące miasteczko z cywilizacją—druty telegraficzne. Biegają przyklejone do słupów, między dwoma rzędami dworków ze szklanymi wystawkami, dworków, otoczonych ogródkami i stanowiących Saint-Germain. Za nimi ciągnie się rynek i uliczki błotniste, krzyczącym drobiazgiem napełnione. Przekupki w brudnych czepcach z pończochą w ręku siedzą poważnie za straganami pełnymi jabłek, pierników i obwarzanków. Po nierównym bruku podskakuje biedka, odwożąca trzy razy na tydzień pocztę do stacji kolejowej. W dali bieli się gromada budowli, z pomiędzy których strzela w górę wysoki, zakopcony u szczytu komin. To mury pobliskiej cukrowni

W podmiejskich dworkach cisza. W otwartych oknach kołyszą się żaluzje. Z wewnątrz jednego z nich dobiegają dźwięki gam, wygrywanych na fortepianie. Pies leniwie leży na ganku, odpędzając przez sen muchy kosmatą łapą. W tem podnosi szerokie uszy i zaczyna szczekać urywkowo, od niechcenia, ot tak, jak szczeka pies-filister w taki upał. Ale oto słyhać już turkot i z za skrętu szybko nadjeżdża wolant. Muzyka cichnie; przed dom wybiega piętnastole-



tnia dziewczynka i, przysłaniając ręką oczy, patrzy ciekawie na drogę.

— Tunia! Tunia!—odzywa się radosny głos z pojazdu i, nie czekając aż się zatrzyma, wyskakuje chłopiec w mundurku gimnazjalnym, podbiega do niej, naraz staje, przypominając sobie, że przechodzi już do siódmej klasy, a ta panienka nie jest dzieckiem, z którym uprawiał niegdyś mocno wesołe, jakkolwiek zawsze oplakane w skutkach, zabawy.

I ona stoi zakłopotana, czerwona jak burak. Stoją naprzeciwko siebie, nie śmiejąc się poruszyć.

— No cóż? Cóż to takiego? Przywitajcie się przecież!—zachęca ich ze śmiechem ojciec, schodząc z wolantu. Tuniu, Kaziu, cóż u Boga! Przecież się chyba znacie!

Ah, właśnie, że to! Tunia przypomina sobie, jak ją Kazio nieraz całował w buzię i czerwieni się aż po same kosmyki jasnych włosów. Kazio znów widzi jak na dłoni swoje rozprute majteczki, gdy razem przez płot przełazili. Ta Tunia musi doskonale to pamiętać... I myśli owe przygważdżają ich do miejsca.

Tymczasem na ganek wybiega pani Gwoździcka, babka, u której Tunia się chowa, i na cały głos wykrzykuje:

— Pan doktor z Kaziem! Jak się masz, Kaziu! (chłopak cmoka ją w rękę). Na ślicznego kawalera wyrosłeś!

Tutaj Tunia podnosi ukradkiem oczy, a ponieważ babka zagłębia się w ożywioną rozmowę z doktorem, ośmiela się zadać pytanie:

— Czy... czy długie wakacje w tym roku?

— Do połowy września.

— Czy... dobrze egzamina poszły?

— Bardzo dobrze... Prawie wszystkie czwórki i piątki.

— A czy...

Urywa. Chciała-by zapytać jeszcze o mnóstwo rzeczy: czy będzie dużo czasu poświęcał nauce, czy zechce z niemi, to jest z nią i jej przyjaciółkami, dzielić zabawę, czy czytał ostatnią powieść Sienkiewicza, nad którą one łyzy wylewały? ale nie udaje jej się znaleźć do tego jakiejś nieosobistej formy, a nie może się zdecydować, ani na „Kazio,“ ani na „pan.“ Urywa więc, tembardziej, że babka milknie i wraz z doktorem przysłuchują się ich rozmowie.

— A co? już się poznali! Oh, o to łatwo w ich wieku!

Tunia rumieni się już fioletowo i ucieka.

Babka ze śmiechem pyta Kazia:

— Jakże znajdujesz Tunię? Urosła, co?

— Urosła — odpowiada, zmieszany tem wybadywaniem.

— Wyładniała?

— Tak...

Ojciec ratuje sytuację, mówiąc, że trzeba się spieszyć do domu, bo matka z niecierpliwością oczekuje jedynaka.

— Zostalibyście u nas na obiedzie. Tunia zagra... Zobacz pan, jakie postępy zrobiła.

— Będziem jutro wszyscy, ale dziś nie mogę.

Siadają napowrót do wolantu. Doktor posyła w głąb domu donośne:

— Dowidzenia, panno Tuniu!

Dziewczyna dyga, lecz ponieważ czyni to za spuszczoną roletą, efekt jest stracony. Dopiero na skręcie Kazio ogląda się po raz ostatni, spostrzega uchylony rąbek zasłony, a za nią jasne kosmyki i duże czarne oczy.

Jadą przez miasteczko. Te same domy, te same stragany. Nic się nie zmieniło. Kościół biało połyskuje z za kwitnących lip i krzyż złoci się w górze. Pod murem siedzi ten sam kulawy żebrak. Nawet słupek u wjazdu tak samo krzywo stoi, jak dawniej.

Przechodnie podnoszą głowę, czapkują, poznawszy doktora. Kazio widzi ciekawe spojrzenia za sobą. Wiedzą, że wraca na wakacje po kilkoletniej niebytności w domu, oglądają go, szepczą. To mu pochlebia. Zwraca się na wszystkie strony, by całe miasteczko mogło oglądać jego srebrne guziki. I rzeczywiście robi wrażenie piorunujące. Całe bandy uliczników biegną za nim, pokazując palcami i krzyząc: „syn doktora!“

Na moście krzyżuje się z nimi elegancki powóz. Ojciec, do tej pory niedbale oddający ukłony, zrywa kapelusz z głowy. Pan w powozie odpowiada poważnie i uprzejmie. Obok niego leży w pół na poduszkach dziewczynka, o bladej, anemicznej twarzy. Kiwa lekko główką... Świetny ekwipaż ginie w kurzawie, oni wjeżdżają w topolową aleję.

— Czy to właściciel cukrowni, proszę tatki?

— Tak, to pan Zahorowski z Zahorowa... a to jego córeczka, Julcia. Pamiętasz ją?

— Jak przez sen.

Lecz oto już bieleje drewniany dwór doktora Bronicza. Przez bramę wolant wjeżdża do ogrodu, cicho toczy się po alei między kłombami. Okryte kwiatem drzewa szepczą: „dzieńdobry! dzieńdobry!“ I Kazio ze wzruszeniem słucha tej rozmowy, patrzy, rozgląda się...

Z dużego trawnika biegnie z wyciągniętymi rękami śliczna dziewczynka. Rumiana, jasnowłosa, błękitnooka, typ apetycznej blondynki. Trzyma więź kwiatów i rzuca ją prosto w twarz Kaziovi.

— Jak się masz? Patrz, chciałam ci zrobić bukiet, ale za wczesnie przyjechałam! Dzień dobry tatce!

— Zocha!

Rodzeństwo wita się serdecznym całusem. A tu już wybiega Broniczowa, obejmuje, całuje, za nią wylega służba, parobcy, woźnice, dziewczki.

I wykrzyki, powitania, pytania i odpowiedzi mnożą się bez końca...

Szybko dzień zbiega... pierwszy dzień wakacji. Słońce już zachodzi na krawędzi lasu, mrok zaczyna opadać na ziemię. Po dalekiej, ustronnej alei spaceruje zwolna Kazio. Wdycha zapach lip, słucha brzęku komarów, goni wspomnienia dzieciństwa pomiędzy znanymi, tyle razy deptanymi ścieżkami. Zdaje mu się, że za chwilę, z tych krzaków okwitającego jaśminu wybiegnie mały Kazio, harcując na kiju, poganiając go biczyskiem. Jeszcze chwila, a wskrzeszą wszystkie dawne, zapomniane postacie: pan Jan, nauczyciel; stara żebraczka, zmarła przed laty, której bał się tak okropnie; mały Kornel, pastuch, którego konie przejechały...

Lecz budzi się z zadumy. Zosia, zwieszona u jego ramienia, opowiada tajemnice swego piętnastoletniego życia. Szczebiocze o swych zajęciach, o projektach, o przyjaciółkach, które kocha „nad życie“. Kazio słucha jej trochę pogardliwie.

„Twoje przyjaciółki!“...

On, siódmoklasista, przybywający świeżo z Warszawy, z głową pełną „nowych prądów“, nawiany czytaniem i towarzystwem starszych kolegów; on, płonący żądzą wyrzucenia czempredzej przed innymi świeżo nabytych pojęć, traktuje nieco z góry tę „parafianeczkę“ i ze szczytu swej wielkowiejskości spogląda na jej tajemnice, zamiary i przyjaciółki.

„Twoje przyjaciółki!... Wy tu, w tej dziurze!“...

Ale Zosia przerywa:

— O, przepraszam cię bardzo! Jeśli tak sądzisz, to się mylisz! Moje przyjaciółki są barzo inteligentne. Naprzykład Jadwiga Wyszzyńska...

— Pewnie „facyata“ pod psem!—rzuca Kazio z miną bywalca.

— Wcale nie—obrusza się Zosia.—Jak możesz tak mówić! Jadwinia jest śliczna! Rodzice ją bardzo lubią... choć mama nie pozwałała mi się z początku z nią przyjaźnić, bo...

Nachyla się do ucha brata i szepcze tajemniczo:

— Tobie to powiedzieć mogę... ty przecież nasz... Matka Jadwini uciekła kiedyś z kochankiem. Biedna ona! chowa się przy ojcu, który zawsze jest ponury i milczący, i ciągle w rozjazdach... Ona wie o swojej matce i okropnie się wstydzi. To jej słaba strona.

Kazio spogląda na siostrę.

— To ty mówisz o takich rzeczach?

— Phil. .

— Ale—dodaje—mówię tylko z tobą. Mama myśli, że ja jestem głupiutka, naiwniutka...

Wchodzą na pagórek z altaną. Po drugiej stronie ciągnie się duży staw, a dalej, poprzez drzewa niżej leżącego ogrodu widać miasteczko w dole. W oknach... tu i owdzie zapalają się światła. Na łąkach powstają opary. Mrok gęstnieje. Z za gałęzi zaczynają przebłyskiwać gwiazdy.

Zosia szepcze dalej:

— Będzie nam dobrze, gdy ty się do nas przyłączysz! Kazałam naprawić czółno, huśtawka jest, krokiet jest... Będziemy dokazywali!

Kazio, choć mu ten program mocno się uśmiecha, uważa za swój obowiązek oświadczyć:

— Mnie nie zaliczaj do swojego towarzystwa! Mam co innego na głowie, niż krokiet i łódkę!

— Co, może myślisz „kuć“ podczas wakacji?

— Muszę kształcić się, pracować... Zabrałem właśnie z sobą „System socjologii“ Gumplowicza, „Postęp i nędza“ George'a i „Teorię wartości“ Kautsky'ego. Rzeczy poważne, wspaniałe! Ot, to czytacie, a nie wasze romansidła! Poznacie, jak się dzieje na świecie i jak się dziać powinno!

Zosia wzrusza ramionami.

— E, nudny jesteś!

Zapada milczenie. Uśmiechają się, każde do siebie: ona wzgardliwie, on litośnie.

Wreszcie Zosia, wskazując palcem, odzywa się pierwsza:

— Tunia musi grać, bo się świeci w jej pokoju.

— Tunia!

Kazio zrywa się nagle.

— Wy się znacie?

— Jakto, alboż zapomniałeś?—dziwi się dziewczyna.—Prze-  
cież kiedyś bawiliśmy się razem. Pamiętasz, jak jej raz guza nabiłeś  
i dostałeś w skórę?

Kazio usiłuje zatuszować to niezbyt chlubne wspomnienie.

— Tak... hm... pamiętam... Więc cóż Tunia?

— Tak się ciągle dopytywała, kiedy przyjedziesz...

— Czy doprawdy?

Oblewa się rumieńcem. A Zosia prosi:

— Ej, doprawdy, przyłącz się do nas! Zobaczysz, jak będzie  
wesoło.

Wieczór dobiegł końca. Kury już pieją. W ciemnych gęstwi-  
nach ogrodu przewiewa łagodny wietrzyk nocny. Kazio leży w po-  
koiku, przystrojonym umyślnie dla niego. Podłoga świeżo zaciągnię-  
ta, dywanik nad łóżkiem, kwiaty na stole. Ciężkie rolety nie przepu-  
szczają światła, ale on czuje za nimi ciepłą, wonną noc letnią. Nie  
może spać, przewraca się z boku na bok, szepcząc: „Jestem w domu-  
w domu!“... Świeże siano pachnie, komary brzęczą, jakieś nieodga-  
dnione szmery błędzą w kątach pokoju. Coś wabi... woła...

Wreszcie nie może wytrzymać; zrywa się, odziewa szybko  
i przez okno wyskakuje do ogrodu. Oddycha spragnioną pierśią, za-  
głębia się coraz dalej w ciszę i rosę... Cicho... Gwiazdy migoczą,  
czasem zaszeleści przebudzony ptak na gałęzi. Kazio idzie dalej, da-  
lej... Ma głowę pełną upojenia, serce pełne rozkoszy. Noc, cicha  
noc ojczysta w zakątku, gdzie się urodził, wychował... Idzie nieprzy-  
tomny ze szczęścia. Kędyś, na łąkach, dźwięczy fujarka chłopca, któ-  
ry pilnuje koni...

## II.

Od pół wieje ciepły wiatr. Zgina kłosa, przechodzi po nich  
zwycięskim marszem pogromcy. Łąki pachną, opary stoją nad  
rzeką...

Kazio obiegł całą okolicę i powraca do domu. Patrzy już zdale-  
ka w ogród.

— Oho, już Stach zawraca dziewczętom głowę obowiązkami społecznemi!

W rzeczy samej kolega jego stoi obok dwóch dziewczątek i zwykłym swoim profesorskim gestem ilustruje słowa. Zochna słucha, jak zawsze, z iskierkami utajonego śmiechu w błękitnych oczach. Żrenice Jadwini uciekają co chwila pod powieki i przykrywają się rzesą. Cienka, smukła, o nierozwiniętych, a już nerwowych kształtach, rysuje się granatową linią na tle stawu. Drży, nie wiedząc czemu, i przez pół tylko rozumie Stacha, który jej wyklada poważnie, że „tylko ilość społecznie niezbędnej pracy, czyli czas roboczy, niezbędny dla wytworzenia danej użytkowości, określa rozmiary jej wartości“.

Stach Szalski jest wysoki, dobrze zbudowany, trochę niezgrabny—typ ucznia, który „kuje“ i z nagrodą przechodzi z klasy do klasy, Niedawno został wciągnięty w koło kolegów „społeczników“ i propaguje zawzięcie w gronie dziewczęciem świeżo nabyte poglądy. Zochna uśmiecha się rozkosznie, słucha, podnosi różową buzią pulchnej blondynki, kokietyując zawzięcie uczniaka. Umie się łączyć z wdziękiem natrętnego psiaka i robi nieporównanie rozkoszne minki.

— Takie życie, jak wy tu prowadzicie, kończy Stach rodzajem konkluzyi, to wędzenie się! gniciel!

— Ja wyjadę na uniwersytet, wstępuję na medycynę!—twierdzi Zosia. Przytem ze swoją zwykłą minką wodzi dokola wzrokiem, jakby pytając, co na to mówią obecni.

— Kobieta nie jest zdolna poświęcić się nauce! Kobieta, jeśli idzie na kursa, to po to tylko, aby mieć tytuł *dr* na bilecie wizytowym.

— Oh, jakie też pan ma pojęcie o kobietach! Fe! brzydko!... śmieje się Zosia.

Jadwinia też chce widocznie coś powiedzieć. Ożywia się stopniowo, walczy widocznie z sobą: jest ogromnie dzika. Oczy jej utkane z różnokolorowych punkcików, mienia się i migają. Już otwiera usta. W tem w alei ukazuje się dwudziestoletni młodzieniec i całemu towarzystwu psuje szyki.

— Prześwietny pan Feliks!—szepcze wzgardliwie Stach.

Nowoprzybyły jest prowizorem farmacyi i zajmuje posadę w aptece miasteczka. Z daleka już błyszczą wypucowane buty, tro-

chę tylko zabłocone skutkiem przebytej drogi przez łąki: lśni gładko zmoczoną szczotką przyczesana czupryna i bielą się dwa rzędy zębów w najśłodszym uśmiechu, adresowanym do panien.

Zosia podaje mu rękę, patrząc z tą samą kokieterią różowej blondynki. Jadwinia przeciwnie, cofa się. Pan Feliks wcale nie dwuznacznie okazuje jej swe afekta, a ona go cierpieć nie może. Wogóle, nie znosi mężczyzn, nie dopuszcza ich do siebie, i tylko nakaz pani Broniczowej, która jej matkuje, łagodzi trochę jej odporne postępowanie.

— Panna Jadwiga dziś znowu nie w humorze!—próbuje zagaić rozmowę uśmiechnięty rozkosznie młodzian.

— Jestem zawsze jednaka!—brzmi niechętna odpowiedź.

— Przeciwnie, humorek pani przypomina niebo! Raz chmurka, raz słońce—ciągnie dalej niezrażony wielbiciel.—Czasem taka miłutka, jak różyczka, a czasem, jak pokrzywka.

— Do dwóch dziedzin zajechał pigularz!—szepcze Kazio.

Jadwinia mruczy, że pokrzywcy nie trzeba ruszać, i odwraca się. Zosia natomiast odpowiada uroczym śmiechem.

— „Nawet i cyprysy mają swe kaprysy“!—przytacza, niezmiernie zadowolona ze swego wynalazku, i obwodzi wzrokiem dokoła, poczem robi oko do aptekarza.

— Czy i panna Zofia?

— Oh, i jak jeszcze! Ja okropna grymaśnica! Nie wierzy pan!...

Śmieje się znowu, a białe zębki wyglądają z za pąsowych usteczek. Aptekarz przenosi pomału spojrzenie i afekta. Różowy buziak kręci się kolo niego, prawie nadstawia do całowania! Idą aleją obok siebie, pochyleni głowami; Zosia do ramienia ledwie mu dostaje, ale ani na chwilę nie traci rezonu.

Jadwinia prowadzi ich pogardliwym wzrokiem.

— Ot,—wzrusza ramionami—w sam raz dla Zosi. Ona lubi głupcom głowy zawracać. Ja nie.

Jadwinia Wyszyńska to silna brunetka, o wązkich piwnych oczach, które kryją się co chwila za długą, cień rzucającą, rzęsą. Podłużną trwarzyezkę przecinają dwie cieniutkie brwi, podobne do rozlatujących się jaskółek. Płeć ma tony opalonego atlasu. Temperament matki, która uciekła z kochankiem, rysuje się w zwinnych, węzowych jej ruchach, w nieświadomem drzeniu, w błyskach niezrozu-

miałego dla niej samej pożądania. Jest zdenerwowana, już teraz—szesstoletni podłotek.

Rozchodzą się po ogrodzie; Kazio i Tunia na ostatku. Dziewczynka zrywa kwiaty przydrożne, układa w bukiet. On usłużnie po dziesięć razy się schyla po każdy zażądany pączek. Wczoraj jeszcze oznajmił siostrze i Jadwini, że jest zwolennikiem równouprawnienia obu płci i skakać przed kobietami na dwóch łapkach nie myśli. Ale wola Tunii..

Po głowie snują mu się tysiące myśli; chciałby je wypowiedzieć, a zarazem nieśmiałość dławi mu słowa w gardle.

Tunia ma białą sukienkę, spiętą paskiem skórzanym. Długie włosy dwoma jasnymi splotami opadają aż do kolan. Wielkie, tajemnicze, czarne oczy—oczy dojrzałej kobiety, przy dziecinnej buzi—patrzą gdzieś prosto. Stoją obok siebie. Słońce zachodzi, purpurową łuną rozlewa się w wodzie. Za stawem łąka zanurza się w kąpiel rosy, miasteczko płonie krwawo rzędami mieniących się szyb. Tęczowe i amarantowe refleksy grają wszędzie. Kazio i Tunia zanurzają oczy w otchłań złota i rubinów, świetną, złowrogą...

— Pauli...

Naraz dziewczyna wybuchła długim, serdecznym śmiechem.

— Dlaczego właściwie mówimy sobie „pan“ i „pani“? To strasznie głupio, takie ceremonie między nami!

Fala krwi uderza chłopcu do głowy.

— Ha, ha, ha! jaką ty zabawną minę robisz! No, powiedz „Tunia“; dlaczego ja się nie wstydzę? Wiesz co, bawmy się! Ja będę uciekała, a ty mnie goń, tylko prędko!

Biegną przez rabaty i trawniki, potrącają gałęzie, wypłaszają ptaki i żaby. Potem dziewczyna, odgarniając włosy z mokrego czoła, mówi drażniąco:

— No powiedz „Tunia“. Powiedz choć raz...

— Tuniu!

Poi się tem słowem, które zawiera dla niego niewysłowienie czarowną melodyę. Powtarza coraz ciszej, coraz uporczywiej:

— Tuniu!



Mrok... Ogród pełen rechotu żab, pokrzyku derkaczy, śpiewu przepiórek... pełen dusznej i ciepłej rosy, drgań tajemniczych i długich cieniów.

W powietrzu zdają się krążyć widma przejrzyste, co krew rozpalają. Serce łopocze... Niedomówione wyrazy trzepoczą się na ustach... Nieokreślone marzenia ciągną duszę w dal, w dal...

Potem znów wstępuje w oboje szal figlów i wesołości. Wskakują na huśtawkę, huśtają się aż pod niebo. Potem Tunia siada na ławeczce, każe Kaziowi usiąść koło siebie i powiada:

— A teraz rozmawiajmy.

Rozmawiają. Z ust ich padają słowa tak czerwone, że, gdyby miały barwę widoczną, cały świat-by zabarwiły szkarłatem. Kazio bardzo groźnie mówi o kruszeniu starych murów, o nowych drogach i nowych zdobyczach, przytacza urywki znanego wiersza „Naprzód!“ Tunia wtóruje mu zasluchana, marzy o „jasnych świtach“ o „pracy dla społeczeństwa“, o odrodzeniu ludzkości przez miłość...

— Oh, jak jabym pragnęła, by mnie kochali wszyscy! wszyscy!

Z za drzew wypływa księżyc, zrazu krwawo czerwony, potem mniejszy i bledszy. Mgławce światło napełnia ogród, roztopia się strugami po młecznej rosie, świat cały ubiela. Trawa, liście, kwiaty zwieszają się pod ciężarem srebrzysto-białego tumanu.

Siadają na ławkach przed domem. Broniez, paląc cygaro, z uśmiechem patrzy na gromadkę młodzieży. Lubi być otoczony i zlewać swe łaski na młode pokolenie. Jadwinia, opuszczona przez ojca wychowała się prawie przy jego ognisku domowym. Stachowi, którego utrzymuje matka wdowa, obiecał wystarać się o stypendyum. Rozparty w biegunowym fotelu, patrzy z wysokiego ganku na przygarniętą pod skrzydła swoje młodzież i lubuje się w cichości.—Tylko Tunia, ta oporna Tunia, nie chce poddawać się jego opiece ojcowskiej. Jadwinie można było ugłaskać uczuciem, którego brak w domu uczuwała dotkliwie. Tej—niczem. Przyjaźni się z Zosią, śmieje się, gdy z nią żartują, przychodzi, gdy zapraszają, uprzejmie wysłuchuje ojcowskich przestroż, i ani na jotę nie przestaje robić po swojemu. Dziwna, dziwna dziewczyna!

— Gdyby nam teraz Tunia co zagrała!—proponuje, czując, że do uzupełnienia stanu szczęśliwości obecnej trzeba mu tylko estetycznych wrażeń—odrobiny muzyki dobrej, wytwornej, tak, jak to Tunia grać umie...

Dziewczyna, idąc spełnić jego prośbę, rzuca w górę przelotne szyderskie spojrzenie, jakby odgadywała jego nastrój. Nie opiera się zresztą... Marzy jej się po głowie prześliczna fantazyja na motywy z „Fausta“, którą przed kilku dniami przysłało jej z księgarni.

Salon ciemny... Złocenia obrazów mająceję tajemniczymi połyskami. Snop białego światła zalewa ukośnie posadzkę, omgławia szerokie liście palm na srebrnej ścieżce. W głębi stoi fortepian o czarnej paszczy i białych, milczących zębach. Coś tak ciągnie do niego... Odzywa się muzyka... z razu cicha, potem olbrzymieje, pełnieje, nabiera życia, rozbrzmiewa szaloną wesołością, skrzy się, przekomarza chichotem, aż przechodzi w spazm histeryczny, w kurecz bólu, w gromki, wstrząsający krzyk rozpacz, i rozdzierającym fałszem skarży się, zawodzi..

Dusze słuchaczy drżą napięciem, weszły całe w tę muzykę. W tem gra urywa się nagle...

We drzwiach ukazuje się Tunia. Jest blada. W ogromnych jej oczach, ku kieżycowi wzniesionych, widnieje blask wielkiego, zapatrzonego w siebie tryumfu. Wypowiedziała część duszy w tonach i drży z wewnętrznego upojenia. Słuchacze milczą. Bronicz kilku dobranemi słowy wyraża uznanie i pochwały: reszta nie umie nic powiedzieć.

— Tyś artystka, Tuniu...—szepcze Kazio, z dziwną jakąś pokorą w głosie.

— Artystka? Nie... To słowo przejmuje ją naraz lękiem, jak gdyby niem chciano ją odgrodzić od świata i innych ludzi. Nie, nie, nie! Nie artystka!

Zosia i aptekarz milczą. Wesoła ich gawęda urywa się, jak nożem uciał. Nie mają sobie nic do powiedzenia. On patrzy w błyszczące buty, na których osiadły krople rosy. Ona poddaje się nawalowi pragnień, przeczuć.

W rogu Jadwinia zakrywa twarz. Łzy sączą się jej przez palce. Chciała-by być ptakiem i ulecieć. Chciała-by krzyczeć, szlochać. tańczyć. Duszo jej; zdaje jej się, że ciasno w gorsecie, że ją wiążą...

Zaczyna skubać trzymany w ręku słomkowy kapelusz. Pragnęła-by tupać, bić się, ścisnąć kogoś do uduszenia.

Stachem o władnął dziwny nastrój. Ta gra—to pieśń życia... Ciśną się do głowy refleksy nad sobą, nad własnym życiem. Ojca utracił wcześniej. Matka z lekcyi utrzymywała dom, marząc, aby syna wykształcić na doktora, jak to było życzeniem nieboszczyka męża, również lekarza. Stach kłopotu jej nie sprawiał. Miał wrodzone i wszczepione poczucie obowiązku. W szkole okazywał się rygorystą i co rok przynosił nagrody. Nie wykraczał nigdy niczem przeciw przepisom: nie palił papierosów, nie ślizgał się z pannami, w oznaczonych godzinach zastawał go zawsze w domu. *Pedle*, tak czujnie tropiący wszelkie wybryki gimnazystów, ani razu nie przyłapał go na żadnym. Równy, spokojny, oddany pracy, nie unosił się niczem, cały zapał, jaki w sobie posiadał, przelewając na łacinę i na grekę...

Matka promieniała. Coraz więcej wieszowano jej „udanego“ syna. Koledzy go nazywali czasem „babą“ lub „kowalem“, ale w gruncie lubili go, był dobry i usłużny... A on sam? Nie zadawał sobie pytania dokąd i po co?... Umysł, zmęczony Cyceronem i Ksenofontem, nie szukał rozwikłania zagadek życiowych.

Gdy muzyka Tuni szalała, Stach uczył nagle dziwny, nieznan dotąd niepokój. Coś się w nim budziło, kotłowało. Zdawało mu się, że go głosy syrenie wołają: „Pójdź!... Pójdź!...“. I chciał iść, ale nie wiedział dobrze dokąd i po co, i czego mu brak... A brak mu było gwałtownie... i tęskno, i smutno...

Ze wstrętem odwracał oczy od dobrze znanego obrazu gimnazjum i jeszcze lepiej—szarego pokoju, zawałonego książkami, w którym mu upływały szkolne lata. Naprzykład brudna ściana, olzawiona rozrzewnieniem wszystkich deszczów przeszłości... stary emeryt, karmiący niemniej stare kanarki siemieniem lnianem, co mu nie przeszkadza zaczepiać wieczorem pokojówek na schodach... córka jego suchotnica, która nie myśli umierać. Nad uszami głos matki, co rano wyśpiwający odwieczną zwrotkę: „Stachu, wstawaj, spóźnisz się do gimnazjum!“... i potem zatabaczony głos belfra, który nigdy wykładu nie umie...

— Ah, wdryga się chłopiec i z rozkoszą przesuwa wzrok po ci-  
chym ogrodzie.

— Co panu?—rozlega się stłumiony szept. Stach podnosi oczy. Widzi tuż przed sobą niespokojne oczy Jadwini... rękaw jej dotyka jego ręki. Różnokolorowe iskierki skaczą... skaczą...

Muzyka cichnie, ale uporczywe spojrzenie tych fosforycznych oczu upaja go bardziej niż haszysz. Czar nerwowy przykuwa go do tej dziewczyny. Idą ciemną aleją. Ona drży cała. W głębi duszy wre burza uczuć którym młoda pierś podolać nie jest w stanie. Łka coś w niej i pędzi, pędzi... Idą, nic nie mówiąc. Jadwini zdaje się że suknia na niej musi pęknąć, aby dać ujście tej fali nieposkromionej, co ją rozpiera z wewnątrz. Trzymany w rękę kapelusz gniecie konwulsyjnym, nieświadomym ruchem. Stach patrzy na nią i moc temperamentu, bijąca od tego w półrozwinętego organizmu, zaczyna go oszalać. Obejmuje ją i raptem coś dziwnego z nim się staje. Siła jakaś rzuca go ku niej i usta ich łączy w długim pocałunku...

Po chwili przytomnieją. Raczej—on przytomnieje. Ona drży cała, jak sarenka, i płacze z nadmiaru wstrząśnień. Ale Stach trzeźwieje. Do dreszczu rozkoszy przyłącza się jeszcze cień wstydu i jakiś nierozwinięty jeszcze zmysł, raczej niż głos rozsądku, który mu mówi: „to szaleństwo!“ Zarówno w klasie, jak u Broniczów, stara się być gimnazystą, który ma piątkę ze sprawowania. Żeby uniknąć pokusy, idzie jedną stroną alei, gdy drugą postępuje zdenerwowana, roz tęskniona Jadwina; ciśnie ona z całych sił zerwaną różę i dzikiej rozkoszy doświadcza, czując, że z kwiatu zrobiła się miazga w jej rozpalonych dłoniach. Potem ogarnia ją niemoc słodka i męcząca; pada na ławkę, omdlewając prawie, z pod rżęs rzuca na Stacha żalodne spojrzenie konającego ptaszka...

Tunia ucieka w głąb ogrodu. Nad stawem stoi pełnia... po sennej powierzchni wody brodzą jakieś srebrne rozwłóknione pasma... I włosy Tuni srebrzą się w księżycu... W dali huczy fabryka, oddycha rytmicznym łoskotem maszyn...

A melodey z „Fausta“ grają w uszach, grają...

„O kwiatki, powiedzcie jej!“...

Kazio idzie za nią krok w krok, nie umiając sobie wytłómaczyć, pod wpływem czego działa. Czuje tylko niejasno, że ta noc, ta aureola nad głową Tuni, ten spokój i dziwne rozmarzenie — to wszystko coś cudownie pięknego, co się już nie powtórzy i nie powróci...

„O kwiatki, powiedzcie jej!“...

Jak we śnie, bierze jej warkocze, przyciska do ust nieznanie...

## III.

Szary, mglisty zmierzch marcowy. Płachty śniegu, rozmoczonego deszczem, tworzą plamy na ulicach Warszawy. Ruch niezdecydowany sankowo-dorożkowy zostawia na przechodniach ślady tłustego, lepkiego błota. Pogoda taka, że na mieście nie spotkasz nikogo, prócz psów i pedli, nie licząc studentów, którzy o każdej porze dnia i nocy lecą na korepetycje. Do drzwi stancyi profesora Z., biegnąc po trzy schody naraz, dzwoni energicznie wysoki, smukły chłopiec, w szynelu uczniowskim.

— Jest pan Bronicz?

— Jest.

Uczeń wpada do dużej sali szkolnej na lewo. Kilkunastu chłopców różnego wieku siedzi przystole, stoi przy mapach, chodzi tam i napowrót, mrużąc lekcyę z zatkanemi uszami, słowem, używa wszelkich urozmaiceń w dozwolonym przez władzę zakresie. Kazio, który jako ośmioklasista, jest „starszym“ na stancyi, odrabia przy osobnem biurku korepetycyę z wstępniakiem.

— Przyszedłem do ciebie po „zadacznik“ algebraiczny, oznajmuje nowoprzybyły. Co miesiąc zmieniają książki; dyabli wiedzą skąd tyle floty natrząść.

Aby swobodniej rozmawiać, przechodzą do przyległej, w pół ciemnej, sypialni. Przymykają drzwi, siadają jeden obok drugiego na łóżku.

Kazio obejmuje przyjaciela.

— Cóż Stach?

— Zidyociał facet na starość. Powiedział Węglowskiemu, że się do niczego mieszać się nie może, bo musi myśleć o egzaminach.

Baran. Matka wyszukała mu podobno jakąś panienkę porządną, z posagiem! Zaraz po uniwersytecie jazda na chleb żony. Utyje obywateli!

— Daj pokój!—ujmuj się Kazio.—On taki znów nie jest. Kuje, to prawda, ale kto go tam wie: może niezdolny...

Siedzą przez chwilę nieruchomo. Witold patrzy w szyby. Wpółmroku rysuje się cienki jego profil i ruchome nozdrza.

— Do licha!—wybucha nagle.—Zeby już raz koniec!

Nagłym ruchem wicherzy ciemno blond czuprynę i targa przez chwilę rozpaczliwie. W okrzyku tym skupia się cała tęsknota, cała niecierpliwość młodego, rwącego się do życia organizmu.

Kazio powtarza:

— Zeby przędzej!

— Cóż ty zrobisz z sobą?

— Wyjadę do rodziców.

— Stary zechce uczyć cię godnie... Koń, polowanko, wizyty... Sflistrzejesz, chłopcze!

— Jedź ze mną!—prosi Kazio.

— E, niema głupich! Biorę sobie „konde“ na lato. Pychał do Ojcowa... 25 rubli i utrzymanie. A potem — uniwersytet; zagranica, sława, wiwat!... Zeby tylko mnie dopuścili do tych przeklętych egzaminów!

Z niepokojem pociera znów czyprynę.

— To-by dopiero była farsa, gdyby mnie zatrzymali! Można-by skonać z uciechy.

— Dopuszczą, dopuszczą,—pociesza Kazio.

Siadają obok siebie, oparci ramionami i zaczynają cichą pogawędkę. Co wieczór tak bywa. Czasami Witold zrywa się i ucieka: ma trudniejsze lekcje do odrobienia, lub musi skończyć książkę. Innym razem siedzi do północy; obydwaj rozgorączkowani, zapaleni, gadają, kłócą się, planują... budząc malców, którzy się spać pokładli. Potem Witold nadziewa stare palto profesora i wraca ukradkiem do domu.

Witold Drwęcki jest sierotą; mieszka u wdowy za lekcye. Jest niezmiernie zdolny, szczególnie do matematyki: koledzy nazywają go Euklidesem. Za to do języków starożytnych okazuje bardzo średnie zamiłowanie i, dzięki dwójkom z tych przedmiotów, drży o swoją promocyę. A promocya potrzebna mu więcej, niż komukolwiek, z następujących względów:

Jakiś podżyły dobroczyńca, umierając, zostawił stypendyum dla ucznia bogobojnego i moralnego; rozporządza legatem przyjaciela zmarłego, stary kawaler, pan Apolinary Kamiński, dziwak i pedant. Dzięki oddalonemu pokrewieństwu z zapisodawcą, Witold korzysta z zapomogi, stanowi to niejako filar skromnego jego budżetu. Wzajemian wkłada to na niego obowiązek oddawania dwa razy na rok wizyty panu Apolinaremu i dziękowania przy odbiorze pieniędzy—obowiązek, który z biegiem czasu staje się coraz trudniejszym dla Witolda. Nie umie karku giąć, to trudno.

— Plunął-by siedemnaście razy w mordę staremu razem z jego pekunią—mówi, — ale stypendyum to służy poza uniwersytet na wyjazd za granicę, w razie, jeśli się posiada wyższe zdolności. A że natura nie poskąpiła mi tak zdolności, jak poskąpiła mamony... Aj, do kroćset! Że też każda róża musi mieć kolce, a stypendyum—opiekuna!

Wątpliwe zawsze stosunki między panem Apolinarem a Witoldem w ósmej klasie naprężyły się stanowczo. Chłopiec zepsuł się do gruntu. Od dziecka objawiał najgorsze skłonności; kto inny, mniej, niż pan Apolinary, pełen wyrozumiałości, nie zapominał-by tak łatwo owej awantury z uczniakami. Zaczny człowiek miał niewinne i ze wszech miar nieszkodliwe przyzwyczajenie chodzenia po pokoju o zmierzchu. Wspominał przeszłość, różne konkiety i słodkie grzeszki... rozgrzany wspomnieniami, przyspieszał i przyspieszał kroku, aż w końcu zaczynał skakać i biegać... Skromne, nikomu nie zawadzające nawykniwienie!... Otóż Witold, pierwszoklasista podówecz'as podpatrzył to raz, sprowadził bandę kolegów i poumieszczał ich w rozmaitych kątach korytarza. Było gorąco: szanowny opiekun zrzucił marynarkę, i gdy, uniesiony zapalem, rozpoczął piruety, za szklanemi drzwiami odezwały się piski, i niby stado wróbli, pierz-

chła setka chłopaków, krzyząc w niebogłose, że Apcio zwa-  
ryował!...

Naturalnie rozleciało się to po mieście... ludzie zawsze są gotowi  
wysmiewać bliźniego... Kto inny zemścił by się... pan Apolinary  
miał serce pełne przebaczenia i poprzestał na uwiadomieniu władzy  
szkolnej, która wsadziła Witolda na cztery godziny do kozy. Uczy-  
nił to w interesie chłopca... mogło to tylko wyjść na dobre jego chara-  
kterowi.

Ale to było już dawno... Dziś, zdechłe szczury po kieszeniach  
palta, ciskanie świeżo upranych kołnierzyków do kadzi z wodą, prze-  
szły w sferę mytów. Witold wyrósł, zmężniał... ma bujną, ciemno  
blond czuprynę i piękne szafirowe oczy...

— W tych oczach coś niedobrego się pali. Daj Boże, abym był  
złym prorokiem!—wzdycha stroskany opiekun.

Dochodzą do niego przeróżne wieści o Witoldzie. Widziano,  
jak rzucał aktorce kwiaty na scenę. Zamiast uczyć się, lata po za-  
ułkach. Wdaje się w nie swoje rzeczy. Sam waryat i kolegom prze-  
wraca w głowie...

Ej, Drwęcki, strzeż się!

— Za hardy ma paniczek uśmiech na ustach. Lekceważenie  
starszych zawsze prowadziło na szubienicę!—monologuje o zmierzchu  
pan Apolinary. Nie tańczy już teraz, lecz rozmyśla: czy ma prawo trwo-  
nić pieniądze przyjaciela, przeznaczone dla ubogich, łaknących wiedzy,  
sierot? Witold jest niemoralny i niebogobożny, a więc wykracza  
przeciw zasadniczym warunkom otrzymania stypendyum. Czy, folgu-  
jąc słabości dla tego chłopca, on, pan Apolinary, nie bierze na sumie-  
nie grzechu ciężkiego, z którego przyjdzie mu kiedyś zdać rachunek  
wobec Boga i przyjaciela?

— Mój kochany, parę razy spotkano cię o północy—próbował  
upominać Witolda po ojcowsku.—Nie przecz! ja sam widziałem cię  
w tamtym tygodniu o drugiej w nocy na mieście!

— A co pan tam robił?—zapytał w odpowiedzi Witold.

Czarna niewdzięczność! Pan Apolinary i na ten raz wybaczył,  
ale zakarbował sobie odpowiedź i arroganckie spojrzenie młokosa.

— Smarkacz, żółtodziób, mleko ma pod nosem... On pewnie  
i to zauważył, że noszę perukę...



Ej, Drwęcki, strzeż się!..

Drwęcki tymczasem ani myśli o wszystkich czyhających na niego okropnościach. Ma milion zajęć na głowie! Oddaje się im z całym zapałem, z całym fanatyzmem ośmioklasisty. Ma mnóstwo znajomych we wszystkich kółkach młodzieży. Jest jednym z tych, o których pensyonarki szepczą w pauzę między sobą. Na ulicy dorosłe panny oglądają się za nim. „To Drwęcki.“. Naturalnie, że smukła postawa i głębokie, niespokojnie płonące oczy, nie szkodzą w niczem jego popularności. A on sam poza pracą jedną ma tylko myśl, jedno uczucie. Gdy bywa w posiadaniu „monety“, kupuje bilet do teatru i ze szczytów paradyżu lubuje się grą znakomitej artystki, ulubienicy całej publiczności, panny Elwiry. Pana Elwira zna go i wyróżnia: przy wyjściu z teatru rzuca mu zawsze jedno spojrzenie—szybkie, jak błyskawica, a gorące, jak piekło—wyłącznie dla niego.

„Gdybym mógł zajrzeć w twe oczy, w twe cudne oczy o morskim kolorycie“... improwizuje Witold, idąc przez cichą, słabo oświetloną uliczkę. Otwiera drzwi własnym kluczem, by nie obudzić wdowy i jej córki, trzynastoletniej Adelki, którą uczy darmo, z miłości dla idei.

Siada przy stole, zapala lampę i zaczyna pisać. Strofy płyną bezładnie, nie odczytuje ich nawet. Kiedyś.. kiedyś... przy lepszych warunkach. Na drugi dzień idzie do gimnazjum, przez pięć godzin usiłując się opędzać uprzykrzonym głosem nauczycieli, którzy przerywają mu wątek myśli. Na korytarzu zamienia parę słów z kolegami, co chwila milknąc, gdy ktoś nadchodzi z władzy i, widząc gromadkę uczniów, przypomina, że tego nie wolno. Doczekawszy się trzeciej, znużony, z uczuciem fizycznego i moralnego ziewania, wraca na obiad.

— Panna Adela napisała ćwiczenie?

„Panna Adela“, mizerne, anemiczne dziewczątko, rumieni się blado i zaczyna niepewnym głosem wyrażać swoje wątpliwości, co do znaczenia tematu. „Pan Witold“, pogwizdując, bierze kajet, poprawia, objaśnia, potem dorzucając „ot tak!“, wychodzi z pokoju. Pomaga wdowie w czynnościach gospodarskich, poklepie po głowie małego Jasia, pierwszoklasistę, i nadrażniwszy Łobuza, wychowawca „panny Adeli“, wychodzi na miasto.

— Mamo, jaki ten pan Witold dobry?—zagaduje wtedy „panna Adela“, podnosząc głowę od kajetu.

— Bardzo dobry, moje dziecko.

— Jaki on mądry, prawda?

— Bardzo mądry! Będą kiedyś ludzie z tego chłopca!

Adelka pochyła się nad robotą i już nic nie mówi, ale główka jej pracuje nad czemś...

Stach tymczasem w innej dzielnicy miasta siedzi nad łaciną. Matka w przeciwległym pokoju cicho ubiera się, aby mu nie przeszkadzać. Wychodzi na lekcye, wróci dopiero na wieczór. Zostawia kluczyki na stole, i na odchodnym przesuwając rękę po głowie uczącego się syna. Jej pociecha! Roi świetną przyszłość dla niego. On tymczasem, gdy drzwi zamykają się za Szalską, powstaje, zaczyna spacerować i puszcza wodze myślom. Za trzy miesiące marzy mu się uniwersytet. Ale przypomina sobie ćwiczenia łacińskie i ze zdwojoną gorliwością zabiera się do pracy. Nie ma czasu! trzeba się uczyć!... Chodzi po pokoju, powtarza: „Łomonosow urodził się...“ „Łomonosow urodził się“... Naraz wykwita mu przed oczyma obraz dużego, dużego stawu, po którego szybie księżyc rozpuszcza zmarszczone srebro. Wierzby płaczą nad wodą, krzaki bzu kupią się tajemniczo... Derkacz odzywa się na łąkach...

— Łomonosow urodził się w roku...

Koło niego siedzi dziewczynka... taka smukła... o węzowej talii... Sniadą twarzyczkę zwróciła ku niemu, oczy jej migają, migają szybką grą różnobarwnych iskierek. Ta sama, na której ustach... raz wieczorem...

—... W roku 1711... Zatyka uszy, na cały głos krzyczeć zaczyna. Nie chce, nie może myśleć! Jakoż po chwili opanowuje całkowicie uwagę i zatapia się w nauce. Po literaturze idzie historia, po historii grecki i tak bez końca...

Nadchodzi maj, rozwija młode liście na drzewach skwerów i ogrodów, rozkwitają bzy, czeremchy, konwalie. Uczniowie tego nie widzą. Zbijają się w gromadkę i rajcują o egzaminach.

— Dopuszczają mnie... nie dopuszczają... wróży Witold. Gotów bym dla pokuty „buchnąć“ Apcia w „mankiet“, ba w perukę!..

Żartuje, ale mu w oczach prześwieca niepokój. Stracić ten rok—to klęska, to nieszczęście! Nie czuje już sił wytrzymać dłużej w gimnazjum! Boski klasycyzm wywołuje w nim niepohamowaną chęć ziewania. Hellada i Roma stanęły mu kością w gardle, Cyceroną znienawidził, a Homerowi życzy, aby go wszystkie fury Hadesu smagały w łysinę!

Nadchodzi wreszcie pierwszy egzamin. To, co przewidywano—spełnia się. Witold nie dostaje promocyi. Koledzy spoglądają nań z przerażeniem. On jest błądy, usta mu drgają konwulsyjnie, alenic nie mówi. Wychodzi w milczeniu. Na ulicy czeka na niego zawiadomiony już pan Apolinary.

— Ładnie, ładnie! Pieniądze sierot, pieniądze szlachetnego ubóstwa oddawałem tobie, do serca cię przytuliłem, nie skąpiłem troskliwości, ani opieki ojcowskiej!.. Myślałem: nie szanujesz mnie, uszanujesz grosz publiczny... A ty... a ty...

Wszystko, co się przez długie lata nazbierało w duszy zapoznanego dobroczyńcy, płynie teraz długą tyradą goryczy. Jest i „krzywda społeczna“ i „marnotrawstwo bez sumienia“ i „obraza boska“. Witold słucha i naraz porywa go taka nienawiść do wysokich kołnierzyków, rudawej peruki i długiego nosa opiekuna, że bez namysłu odwraca go jak frygę w rękach, przerzuca przez rynsztok i ciska na ulicę.

Robi się zbiegowisko, awantura, skandal. Całe towarzystwo, z pokrwawionym panem Apolinarym na czele, prowadzą do cyrkułu, gdzie spisują opowiedny protokół.

— Witoldzie—szepcze obecny Kazio—jakeś ty mógł coś podobnego zrobić! Toż to awantura *de grubis!*

— Zaświerzbiała mię ręka, nie mogłem się powstrzymać! — odpowiada zdławionym głosem Witold.

— Co teraz będzie?

— Bo ja wiem? Trzeba się powiesić!

Śmieje się, a oczy błyszczą mu złowrogo. Kazio chwyta go za ramię.

— Co ty wygadujesz!

— Cóż chcesz! Niema innego wyjścia.

Idzie z niezłomnem postanowieniem w oczach. Kazio chwyta go mocno, ciągnie, prawie przemocą wprowadza do siebie na górę.

— Czy masz prawo? Pomyśl! Czy nie należysz najpierw do ludzi, a potem do siebie? Ustępować z pola — to tchórzostwo!... Bądź silny!

Argumenta te pomału osłabiają wolę Witolda.

Lód taje... Opiera się na ramieniu kolegi, i ukrywszy twarz w dłoniach, zaczyna łkać nerwowo, po dziecinnemu...

---

Awantura ta źle się kończy dla Witolda. Nie dość, że dostaje „trynę“, nie dość, że traci stypendyum — nadomiar codziennie prawie otrzymuje list od ojca lub matki któregoś z uczniów, gdzie mu donoszą „z wielkim żalem, że Jaś lub Staś lekcyi dalej brać nie może...“

Opinia publiczna potępia go w czambuł.

Taki zacny starszerek... Trochę dziwak, prawda, pokpiwano sobie z niego... ale... charakter nieoceniony...

Ah, jakież to niedobre serce mieć potrzeba, aby tak brutalnie postąpić!..

Tylko koledzy wiedzą, jak rzeczy stoją. Mszczą się, jak mogą. Co dziś prawie ktoś tłucze szybę w oknie pana Apolinarego, co dzień dostaje z poczty wizerunek jakiegoś czworonoga, który coraz bardziej uderzająco podobny jest do niego; co dzień otrzymuje bezimienne wiersze, opiewające jego urodę, cnoty i perukę, zaklinające w imię miłości całej płci pięknej, aby nie wychodził na ulicę wieczorem, bo czyha na niego banda gimnazystów. Skutkiem czego, biedny Apcio, przypuszczając słusznie, że strzeżonego Pan Bóg strzeże, boi się wogóle nos wytknąć na ulicę, i przepłaca stróża, aby spał w przedpokoju.

Tylko Stach się usuwa. Jest stypendystą, może mu to zaszkodzić—tłómaczy się kolegom.

— Wolna wola — odpowiadają zimno, a ktoś złośliwszy dorzuca:

— Powódzenia w zdobyciu złotodajnych względów Apcial

I w dalszym ciągu sypią się epistoły, trzymające starego kawalera w ustawicznym strachu przed niewidzialnym stugłowym wrogiem. Obiady nawet przynoszą mu do domu. Uczniowie czają się w sieni i kładą areszt na talerzach.

— Panowie, co Bóg dał?

— Rosół, kluseczki, paszteciki—deklamuje jeden.

— „Bogato“ je stary!

— Można mu to posłać.

— Jarząbki, kompot z wisien i agrestu, krem, owoc!

— Dobra! To dla nas.

I uszczuplony obiad jedzie na górę, gdzie pan Apolinary z podaniem znosi i to, modląc się w duchu, aby nie było gorzej.

Ale jest to, koniec końcem, kiwanie palcem w bucie. Żadne „kawały“ nie zbawią Witka.

Pobladł, zczerniał, w oczach palą mu się złe błyski.

— Na farmaka pójdę,—szydzi.—Będę pigułki kręcił. To mi wolno....

Ale na samą myśl tę, lzy wściekłości napływają mu do oczu.

Kazio boi się pozostawić go bez opieki i gwałtem prawie przywozi do siebie. Gdy mija pierwsze zgnębienie, Witold okazuje dużą ciekawość, włóczy się po miasteczku, zaczepia chłopów i żydów. Od czasu, jak trafił do fabryki, przepada po całych dniach w głębi murów zakładu. Łazi po rozmaitych dołach i kanałach, nie gardzi nawet gawędą z pół-idyotą, który myje podłogi, a którym pomiatają wszyscy, począwszy od szwajcara, a skończywszy na dziesięcioletnich smaraczach.

Dyrektorowi przekłada, że chce terminować w warsztatach na ślusarza. Podoba mu się to czynne życie, wrące w takt huku młotów i turkotu maszyn. Widzi szerokie pole pracy, ujście dla kipiącego w nim nadmiaru energii.

— Wiesz — mówi do Kazia — kto wie, czy losy umyślnie mnie na tę drogę nie rzuciły, aby wskazać mi właściwe przeznaczenie. Ja, widzisz, jestem trochę mistyk... Coś mi mówi, że to właśnie jest moje powołanie. Otrząsnąć się ze wszystkich naleciałości, pracować dzień cały szorstką fizyczną pracą, wejść w tłum i dzielić się z nim zarówno czarnym chlebem, jak myślą. A co, czy nie piękne życie!

— Opowiadanie! — przerywa Kazio. — Z swojemi zdolnościami powinienś czego innego zupełnie dobijać się i na innej drodze służyć społeczeństwu.

Witold pochmurnieje.

— A matura? Nie, nie, nad mojemi zdolnościami wyrzeczono już *requiescant in pace!* Zresztą znajdzie się beze mnie milion zdolnych, a pokaż mi intelligentnego człowieka, który zechce zostać robotnikiem.

— Seryo mówisz?

— Najzupełniej. Los mnie umyślnie wybrał na to! Pomyśl no: sam, bez rodziny, bez obowiązków... teraz ta awantura z Apciem. Wszystko mi mówi... „idź do klasztoru!“

Codzień spażnia się na obiad, za co Broniczowa gorzkie czyni wymówki synowi. Kazio znosi wszystko, strzeże tylko rozpaczliwie, aby Witold o niczem się nie dowiedział, bo jedno skrzywienie ust wypędziło-by go z tego domu na zawsze.

Zosia naprózno wplata wstążki do warkoczy i zabiega mu drogę, atakując mniej lub więcej dowcipnemi kwestyami. Zbыва ją kil-

ku nic nie znaczącymi słowy i w żaden sposób nie daje się zaciągnąć na partryę krokietu.

— Daj mi spokój! Witold z zasady nie emabluje z pannami!—przekłada Kazio.

Ale dziewczyna jest niezrażoną. Dopilnowywuje siódmej, kiedy Witold wraca, i niby nieumyślnie spotyka go na drodze. Chcąc nie chcąc, musi jej towarzyszyć.

— Panie Witoldzie, podejrzewam, że pan się zakochał!—śmieje się, pokazując białe ząbki.—Pewnie to jakaś ładna robotnica ciągnie pana!.. Ale ostrożnie! to robotnica z cukrowni... przykleić się łatwo, odlepić—trudniej!

Witold wzrusza ramionami.

Więc tak się prowadzą rozmowy między pannami i młodzieżą? Bardzo głupie—i bardzo niezajmujące!

— Pan nie odpowiada?

— Nie mam co odpowiedzieć.

Kłania się; zmyka do swego pokoju. Od tej pory obchodzi dom wokoło, aby nie spotkać Zosi w ogrodzie. Dziewczynka jest przybita.

Gotowa, ze złości, zakochać się w Witoldzie. Taki ładny chłopiec—i taki oporny!

A Witoldowi brzydą mu w końcu i oracye pana domu, i obiady pani (której z zasady nigdy w rękę nie całuje), brzydnie i Zosia, choć ta przedwcześnie wyrasta na śliczną dziewczynę.

— U was tu strasznie dobrze... można umrzeć z dobrobytu i nudów—mówi do Kazia.—Jabym się uduślił w tej waszej błogosławionej przystani. Rano śniadanie, w południe obiad, na deser filozofia papy Bronicza... Duch i materya... Dość tych rokoszy. Jadę!

— Dokąd?—pyta z żalem Kazio.

— Gdzie bądź. W świat mi trzeba. Tu strasznie ciasno...

— Chciałeś przecie pozostać w fabryce, jako robotnik.

— Przerachowałem się. Nie wytrzymał-bym tu dłużej. Zbudził się we mnie dyabeł i szepcze: idź, idź!..

W samej rzeczy, oczy mu błyszczą dziwnie. Porywa ciężki fotel żelazny i zaczyna nim wywijać. Coś w nim kipi. Od kilku dni czuje, że nie usiedzi na miejscu.

— Witek, Witek—reflektuje go Kazio—zostałbyś tutaj... Wstąpisz do cukrowni nie jako robotnik, ale w charakterze praktykanta, i po kilku latach..

— Doharujesz się posady zmianowego, czytaj 25 do 30 rubli na miesiąc, światło, opał i szczęście dożgonnego pełnienia urzędu. Nie, chłopcze; to nie dla mnie. Za wszystkie, górami złota opłacane, posady, nie oddam jednego dnia swobody i pełnego, szalonego życia!

Porywa przyjaciela i zaczyna dusić w uściskach.

— Tyś jednak zacny facet! Szkoda mi cię, utyjesz tutaj... Machaj czempredzej na uniwersytet i strzeż się: ta prowincya ma jakieś mikroby w powietrzu, które zabijają w człowieku energię, wolę i inteligencyę, czyniąc go—zwykłym opasowcem.

— Witek! waryacie! dokąd chcesz jechać? co zrobisz z sobą?

— Mam gdzieś na Podolu kawałek ciotki, która z kolei ma kawałek gruntu. Kopnę się do niej: będę siał, orał. Do tego, dzięki Bogu, nie potrzeba jeszcze trójki z greckiego i piątki ze sprawowania. A potem—los już sam musi o mnie radzić. Coś przecież zrobi ze mną, bo zbyt twardy jestem i nie ustąpię mu z karku!

— Pan wyjeżdża, panie Witoldzie? — pyta najmelodyjniejszym głosem Zosia.—Tak prędko!

— A wyjeżdżam, proszę pani!—tym samym sopranem odpowiada Witold.— Czy pani sądziła, że aż do śmierci tkwić tu będę?

Zbiera rzeczy, z czem niewiele ma kłopotu wobec tego, iż mienie jego składa się z jednego mundura i kilku sztuk dalszej garderoby. Jest w wybornym humorze. Na prośbę Zosi „różnie“ expromptu wiersz do albumu, w którym „czary“ uroczo rymują się z „kontramary“. Nawet Jadwini, której cierpieć nie może, robi komplement, że była-by dość przystojną, gdyby nie te zezowate oczy.

— Kiedy się zobaczymy?— pyta Kazio.

— Pytaj Jego, co w niebie. „W czasie i przestrzeni...“

— Nie żal ci niczego?

Witold poważnieje nagle.

— Żal mi mego biedactwa, „panny Adeli“. Smyk przywiązał się do mnie... Żeby tylko nie chorowała... pewno będzie miała blednicę... Pamiętaj o niej, Kaziu, gdy wrócisz do Warszawy.

— Dobrze — odpowiada wzruszony.—Może masz jeszcze jakie polecenie?

— Nie.—Chyba żebyś mruknął czasami „świnia,“ gdy spotkasz Apcia.. No, bądź zdrow, obywatelu. Powiedz Stachowi ode-



mnie, żeby się nie objadał anatomią, gdy wstąpi na błogosławioną medycynę.

Objemują się i całują. Obadwaj są trochę wzruszeni.

— Żegnaj bracie, powodzenia i tam dalej... Jak zaczniesz tyć, to mi donieś.

Przelotnie muska ustami dłoń pani doktorowej i ściska aż do zgruchotania ręce dziewcząt. Pilno mu stąd uciec, z tego zakąta, za granicę ciemnych lasów.

W świat, w świat! O życiu!.. niech będzie ono ciemne, bolesne, pełne walk, ale niech drga każdym tchem!

Gdy w tumanach kurzu bryczka znika na zakręcie do miasteczka, pani Broniczowa odzywa się:

— Wykolejony chłopiec! Waryat, a przytem arrogant i impertynent... Nie daleko zajdzie.

— Wykofejony!—powtarza mąż jej.—A szkoda! szalenie zdolna sztuka... ale harda. Z Tunią była-by para...

Tuni niema w miasteczku. Wyjechała z dziadkostwem do Karlsbadu przed przybyciem Kazia. Z tego powodu dłużą mu się niesłychanie te wakacje. Nie wie, co robić z sobą. Próbuje zbliżyć się do Jadwini, choć dziwnie go coś odpycha od tej dziewczyny. Rzecz dziwna! jest przecież bez porównania ładniejsza od Tunii, a jednak...

— Musi być zła... okropnie zła... zmiyka!

Zachodzi do cukrowni. Towarzystwo jest zadawalające ilościowo, choć z jakością rozmaicie. Sam dyrektor, trzydziestoparoletni, przyjmuje go bardzo uprzejmie i, wiedząc, że ma zamiar poświęcić się cukrownictwu, tytułuje „kolegą“. Zaprasza do swego ogrodu, na owoce wyborowych gatunków.

Pomału zawiązują się stosunki między fabryką i miasteczkiem. Któregoś pogodnego dnia, po południu, wybiera się cała rodzina: Broniczowa z panienkami powozem, Kazio wierzchem. Chodzą po starannie utrzymanych alejach, zrywając gruszki, wzbraniając się przyjmować kosze, którymi grzeszny gospodarz napełniać każe ekwipaż.

Podają podwieczorek na dziedzińcu przed eleganckim dworkiem. Dyrektor się uśmiecha.

— Przyjmuję miłych gości w ogrodzie, gdyż pewno wahałyby się panie wejść do środka, ponieważ mam nieszczęście być kawalerem. Choć, co prawda, w moim wieku przestaje się już człowiek za kawalera uważać.

Mówi to z uśmiechem. Panienki spoglądają ukradkiem i orzekają, że pan Konstanty, mimo 35 lat skończonych, jest bardzo, ale to bardzo przystojny... Zosia zaczyna swoim zwykłym sposobem podnosić ku niemu

różowy buziak. Ale on, jednakowo dla wszystkich uprzejmy, zdaje się wszakże z daleko większem zajęciem spoglądać na dojrzałe wdzięki pani doktorowej. Broniczowa młodo wyszła za mąż i zadziwiająco dobrze się trzyma. Zdaleka można-by ją wziąć za panienkę. Przypomina przepysznie rozkwitłą różę.

— Czemu się pan nie żeni, panie dyrektorze? — pyta filuternie Zosia.

— Pomyślę o tem, — opowiada znacząco, ale znów zwraca się do mamy.

Zosia pociesza się względami chemika, który uczestniczy przy podwieczorku, siedzi między nią a Kaziem. Jest to młody chłopiec, widocznie nieśmiały i nieobyty; stale patrzy i mówi do sąsiada, rumieniąc się, ilekroć wypadnie mu odpowiedzieć którejś z panien. Zosia bierze się do niego; rozwija całą batalię spojrzeń i uśmiechów i usiłuje wciągnąć w tok lekkiej, wesołej pogawędki.

— Zosia w swoim żywiole! — myśli pogardliwie Jadwinia. Ona nie lubi takich tanich zdobyczy. Kokietować potrafiła-by tylko tego, kto się jej podoba. Z pod oka rzuca spojrzenie na Kazia, ale on tego nie widzi. Z zajęciem rozprawia z chemikiem o kwestyach technicznych, a gdy tego zagarnia Zosia, powstaje i idzie w głąb ogrodu.

Kazia zajmuje fabryka, jej urządzenia zewnętrzne i wewnętrzne. Zagląda odtąd coraz częściej do osady. Zawiązuje bliższe stosunki z urzędnikami, którzy go zapraszają, zachęcają do bywania. Jest kilkanaście domów familijnych i na łonie ich kwitną dziewice różnego kalibru i wieku, rozwój umysłowy ugrzązł na powieściach Rodziewiczówny. Młody Bronicz, Kazio, obudza wśród nich sensację, zaciekawienie. Kazio po raz pierwszy doświadcza słodczy powodzenia. Z dumą obnosi studencką czapkę, którą już zawczasu włożył.

Ojciec zabrał go do właściciela cukrowni, pana Zahorowskiego. Pałac, o wiorstę za miasteczkiem, tonie w przepysznym parku. Wodotryski, sztuczne sadzawki, altanki, mostki brzozone... szyk!... W pałacu kroki rozlegają się echem po salonach. Pan Zahorowski jest wdowcem, mieszka z córką i jej nauczycielką, Francuzką. Kazio czuje się nieswojo we wspaniałej, przyćmionej sali, do której nie śmie wlecieć nawet muszka z ogrodu. Gospodarz przypomina, że znał go jeszcze dzieckiem: z uśmiechem powiada, że posada dyrektora jego cukrowni czeka na ukończenie studyów Kazia... Chłopiec kłania się w odpowiedzi, ale jest mu dziwnie niedobrze. Czuje to, co Witold: że udusił-by się tutaj. Wchodzi panna Julia, podlotek anemiczny i brzydki, osóbką wzorowo ułożona i sztywna, jak mumia. Mówi mało, ale dpoowiada na każde pytanie uprzejmie, i każde słowo ilustruje właści-

wym, nad wiek dojrzałym, gestem. Młodzieniec usiłuje ją bawić, ale p. Julia bardzo mało wie o świecie, poza parkiem i pałacem, czytuje tylko M-me de Genlis, a powieści Sienkiewicza wybiera jej ciotka, zakreślając ustępy, których czytać nie powinna. Po półgodzinie Kazio wstaje i zaczyna oglądać portrety rodzinne. Ma już do syta panny Julii, salonów i pałacu Zahorskiego.

Pewnego dnia, przerzucając papiery na biurku, znajduje w nich niedokończony list Witolda do Adelki.

„Szanowna panno Adelo! Z łaski Boga i Wszystkich Świętych jestem zdrow, czego i pannie Adeli życzę, a niech panna Adela pije wino na żelazie, to będzie zdrowa, dostanie blednicy i będzie kłapa! Co porabia Łobuz, Jaś i panna z trzeciego piętra? Jak się dorobię, kupię Łobuzowi wspaniałą czaprak. Niech panna Adela nie martwi się o mnie i poprosi mamy, aby się nie kłopotowała. Jesteśmy w domu kolegi, gdzie nam bardzo dobrze, następnie pojedziemy sobie na Podole do ciotki i zostaniemy do końca lata. A potem?...

Tu list się urywa. Widocznie, pomimo woli, ogarnęło Witolda usposobienie, które nazywał „niewyraźnem“, i nie chcąc zasmucać dziewczeczki, nie dokończył.

Kazio z tryumfem obnosi list dokoła.

— Widzicie? Czytajcie! Jaki ten Witold poczciwy, ach, jaki poczciwy!

— Dobry,—zgadniają się panie.

— Zdolny, zdolny chłopiec, ale zmarnowany!—powtarza Bronicz ulubioną zwrotkę.—A szkoda!

Pod koniec lata powraca Tunia z za granicy. Przywozi duszę pełną wrażeń. Widziała dużo nowych miejscowości, poznała wiele świeżych twarzy... Brała udział w koncercie amatorskim na cel dobroczynny i zebrała masę pochwał...

Jest trochę rozmarzoną. Chodzi z podniesioną do góry główką, po której przesuwiają się widziane sceny i obrazy i stokroć piękniejsze jeszcze—te, które mogły-by być i które będą jeszcze...

Kiedyś... Kiedyś...

Czasami tak daleko odbiega myślą, że, zagadnięta, budzi się jako-by ze snu.

Artystka! nadają jej nazwę w kółku przyjaciół.

Zosia wymawia ten tytuł ze śmiechem. Jadwinia natomiast pograża się w zadumę i—szepcze:

— Oh, Boże mój! co jabym za to dała, żeby mogła być artystką!

Codzień, po południu, zbierają się na łące. Zosia, obdarzona miłutkim głosikiem, czyta głośno Mickiewicza, Słowackiego, Konopnicką

Kazio rozciąga się na trawie i patrzy w niebo... A potem szuka czarnych oczu Tuni i zagłębia się w nie z bezgranicznym uwielbieniem, z bezbrzeżną miłością...

A Tunia słucha, słucha, gryzie słomkę, wreszcie nie może wytrzymać. Porywa się z miejsca, zaczyna fantazyować rozgorączkowana, śni na jawie o przyszłości...

— Kiedyś... kiedyś...

Boże, Boże, żeby już prędzej! I dwie szalone głowy harczą na oślep po nieskończonych błoniach marzeń...

Następują ożywione spory! szerokie plany... Tych czworo reformuje świat na łące, pod lipą. Słońce świeci, koniki dzwonią, gwizdzą świerszcze. Natura sama woła: „bawcie się, cieszcie, kochajcie!...” I niekiedy, miast czytać, odbywają się niefilozoficzne gonitwy z fantami, albo komórki do najęcia. Po każdym powrocie z takiej siesty, spojrzenia Kazia coraz dłużej błędzą koło jasnej główki Tuni, i dziewczyna coraz niżej spuszcza oczy...

MARION.

(Dalszy ciąg nastąpi)

---

# Przymierze polsko-pruskie.<sup>1)</sup>

---

## GENEZA.

---

### II.

Śmiało Prus wbrew Rosyji wystąpienie stwarzało nową sytuację dla Rzpltej. Stwarzało oraz nową podstawę dla sejmu. Sejm konfederacyjny 1788 r. w założeniu był dziełem Rosyji. W rzeczywistości, od pierwszej zaraz chwili wysunął się jej z ręki. Zawierał w sobie trzy główne żywioły, odrębnego kierunku i mocy. Było tu nasamprzód stronnictwo czysto dworskie, najmniej utrwalone w opinii, najmniej liczne, najwięcej zwarte i karne, króla i jego rodziny. Było drugie, oligarchiczne, wciąż jeszcze potężne, tradycyjne i ludne, lecz toczone nieuniknioną wewnętrzną rozterką, odkąd wielka buława nie jest już dzierzona przez Pilawitę lub Gryfa, przełamane na dwoje, na poły hetmańskie, na poły czysto możnowładcze, podzielone między Braniczkiem Ksawerym a Szczęsnym Potockim, nurtowane nadto przez najro-

---

<sup>1)</sup> Ob. „Biblioteka Warszawska“, listopad, 1898.

zmaitsze drugorzędne ambicje i wpływy, a ciągnące za sobą po dawnemu ogon anarchiczny klienteli szlacheckiej wielkich fortun i wielkiej buławy. Obadwa, dworskie i oligarchiczne, pokrewne sobie przez jednakową istotę swego do Rosji stosunku. zwalczały się nawzajem z nieubłaganą zaciętością, spółzawodnicząc z sobą w swoich odmiennych na Rosję widokach, odmiennych z nią związkach, obadwa zapatrzone na cesarżową Katarżynę, lecz pierwsze na posła Stackelberga, drugie na księcia Potemkina polegające protekcji. Było nareszcie trzecie, ożywione jedną prostą myślą: ocalenia kraju, w żadne zresztą karby partyjne, żadną formułą stronnictwą nieujęte, z samego ducha publicznego, z ozdrowionej samowiedzy społecznej, bezpośrednio, pod naciskiem żelaznej konieczności, powstałe, ani spójne, ani karne, bez dostatecznej organizacyi i planu, dopiero w stanie tworzenia się i fermentu, mające w takim pochodzeniu źródło swojej słabości i ciężkich zboczeń, lecz oraz niespożytej energii i siły, pierwotnie kilku zaledwie głowami stojące, a przeznaczone z całego sejmu i kraju najzdrowsze ściągnąć żywioły, synowca zabrać królowi, Branickiemu zabrać siostrzeńca <sup>1)</sup>, powołane wziąć górę zarazem nad dworem i oligarchią, stronnictwo zaiste narodowe. Sejm konfederacyjny, za sprawą tamtych dwóch pierwszych stronnictw z góry ukartowany, winien był w ręku ich obu pozostać narzędziem stronnictwem, a tem samem narzędziem możniejszej ręki, która obydwom nadawała kierunek. Winien był mianowicie, wedle pierwotnego założenia, służyć przedewszystkiem sprawie sojuszu polsko-rossyjskiego. Zaś za jej pośrednictwem miał, wedle myśli króla, służyć jego widokom osobistym, wedle myśli oligarchii — jej dążeniom rozkładowym, wedle myśli stojącego za obojgiem Potemkina — jego planom zaborszym. Nie było tu miejsca dla narodu. Runęły w przeważnej mierze wszystkie te rachuby z upadkiem głównej ich podstawy, przymierza rossyjskiego. Natomiast otwierało się pole dla skupienia istotnej reprezentacyi narodowej w sejmie, dla podjęcia w drodze ustawodawczej istotnych zadań narodowych. Taki był pierwszy skutek pierwszej interwencyi pruskiej.

---

<sup>1)</sup> Niepodobna nam wejść tutaj w szczegóły stosunków wewnętrznych, gdzie przecie wiele jeszcze rzeczy wymagało-by wyjaśnienia i sprostowania, chociażby, jak w tym wypadku, co do ciekawej odmiany w stanowisku ks. Józefa i ks. Kazimierza-Nestora; stwierdzamy tylko na razie względem Sapiehy, iż niewątpliwie działał on z początku bezpośrednio w myśl polityki i wskazówek Branickiego, w duchu rozmyślnie prowokacyjnym, i później dopiero, wbrew własnej woli, związany został ze stronnictwem patryotycznym.

Tutaj jednak natychmiast rozpoczynają się komplikacje. Zadanie ocalenia kraju było jednolitem i prostem w zasadzie. W wykonaniu atoli przedstawiało dwie strony zgoła odrębne: usamowolnienia i naprawy. Robota emancypacyjna i robota reformatorska, stykające się z sobą we wszystkich niemal wielkich sprawach, będących na dobie, ściśle sobie współrzędne, dopełniające się wzajem, prowadzone równoległe, jednakowo były niezbędne, lecz rozmaicie były dostępne. A mianowicie, ze stanowiska polityki pruskiej, o którą tutaj chodzi najwięcej, rozmaicie musiały być oceniane. Cały Berlin był za emancypacyjną robotą warszawską. Tylko część Berlina, z ciągłym nadto niepokojem i skrupułem, była za reformatorską. Wyzwolić Rzpltę od przemożnego wpływu rossyjskiego, rozpościerającego się w niej coraz wyłączej i groźniej od początku stulecia, odpowiadało w zupełności najrozmaitszym intencjom najróżniejszych prądów, jakie wydobyliśmy na jaw w owoczesnej polityce pruskiej. Czy będzie chodziło w najbliższej przyszłości o wojnę z Rosyją, czy tylko o wywarcie na nią nacisku, czy wreszcie o powrót do dawnych z nią przyjacielskich stosunków, zawsze oderwana od niej i w kuratelę pruską wzięta Rzplta, bądź jako broń, bądź jako groźba, bądź jako okup, oczywiście będzie mogła użyteczne oddać przysługi. Naprawić Rzpltą — to była rzecz zupełnie inna. Naprawić, znaczyło wzmocnić, skonsolidować, przywrócić ład i porządek, a tem samem odrobić długoletnią, systematyczną politykę rozkładową Prus względem Polski, stosowaną bez przerwy i pospołem od czasów Wielkiego Elektora i Piotra Wielkiego. To wszystko mogło już wyłącznie odpowiadać intencjom tych tylko polityków berlińskich, którzy zamysłali naseryo ośmiałej, energicznej akcji na wielką skalę, obliczonej na prawdziwy związek zaczepny z Rzpltą, bo obliczonej w ostatecznym wyniku na prawdziwe zerwanie i walkę z Austryą i Rosyją. Tym-to sposobem, podwójne zadanie, wobec którego stawało stronnictwo narodowe sejmu warszawskiego, zadanie, dla Polski zjednoczone w niepodzielnej sprawie ocalenia publicznego, dla Prus rozkładało się z natury rzeczy na tamte dwa różnolite czynniki: emancypacji i reformy. Pierwsza, od samego początku, ma za sobą w Berlinie zgodę powszechną, i Fryderyka-Wilhelma, i księcia Henryka, i księcia brunświckiego, i samego nawet Hertzberga. Druga, o ile stanie się faktem dokonanym, będzie mogła liczyć ze strony Prus na approbatę i poparcie partyi wojskowej, ale też tej tylko, nie więcej; natomiast spotka się skądinąd z podejrzliwą nieufnością powszechną, zaś od starego Fryderykowego ministra — z opozycją czynną i bezwzględną.

Widzieliśmy pierwszy skutek groźnego protestu pruskiego, zaniesionego w Petersburgu, i butnej deklaracji pruskiej, odczytanej na

sessyi sejmowej w Warszawie: nagły i nieodwołalny upadek projektowanego przymierza polsko - rosyjskiego. Jednakże to stanowcze wystąpienie Prus wywołało bezpośrednio inny jeszcze skutek, raptowny i ważny, a bynajmniej w Berlinie nieoczekiwany. Wywołało niezwłocznie uchwałę pałdźiernikową sejmu o armii stutysięcznej. To był wielki akt naprawy. Polityka berlińska przez ten akt była zaskoczona. Pogodziła się z czynem dokonany. Lecz tutaj natychmiast powstało pytanie, komu przyszłe wojsko pomnożone powierzyć. Wojsko, od lat dwunastu odebrane hetmanom, znajdowało się w ręku Departamentu wojkowego Rady Nieustającej, stanowiącego zwykłą większością głosów, pod nominalną jeno prezydencją hetmanów. Departament i Rada były tworem, były w ręku Rosyi. Dla sejmu, który aukcyę uchwalił, dla Prus, które ją akceptowały, wynikała stąd konieczność zniesienia Departamentu wojkowego, za którą musiała pójść inna — zniesienia Rady. Nastąpiły burzliwe rozprawy sejmowe pierwszych dni listopada w przedmiocie zarządu nad armią. Starego porządku rzeczy bronił wytrwale król i Szczęsny Potocki, podtrzymywani przez Stackelberga. Odłączyła się partya hetmańska, uderzając na Departament w interesie własnym. W interesie publicznym uderzało stronnictwo narodowe, tym razem z wiedzą, za zgodą i przy czynnem poparciu Berlina. Śród takich warunków, zapadła uchwała listopadowa, znosząca Departament, zaprowadzająca Komissyę wojkową z łona sejmu. To był pierwszy akt usamowolnienia. Ułatwiony, a raczej umożliwiony dopiero, przez jawny udział i pomoc pruską, stał się punktem wyjścia całego szeregu innych doniosłych kroków tej samej natury. Najpierw, w tym samym czasie, z inspiracyi berlińskiej, podniesioną została ważna i drażliwa sprawa oczyszczenia kraju od obcych komend wojskowych. Już na trzeci dzień po zniesieniu Departamentu wojkowego przedstawiciele rządu pruskiego w Warszawie, Buchholtz i Lucchesini, stawili się u Stackelberga z oświadczeniem urzędowem, iż Fryderyk Wilhelm życzy sobie ewakuacyi granic Rzpltej od wojsk rosyjskich. Jeszcze po dwóch tygodniach doręczoną została sejmowi nowa deklaracya pruska: wyrażone w niej ukontentowanie z powodu uchwały listopadowej o Departamencie i Komissyi wojkowej; ujawniona gotowość bronięcia niepodległości Rzpltej; zawarte wreszcie wyraźne zrzeczenie się gwarancyi polskiego nierządu i dane zapewnienie, iż „żadna poprzednia i partykularna gwarancya nie może się stać przeszkodą ku ulepszeniu formy rządu Rzpltej, tem więcej przy doświadczonych onego wadach, ile że takowa gwarancya nie jest nawet stosowną do pierwiastkowych umów traktatu (podziałowego), na których gwarancye są ufundowane, gdyż nie jest podpisana na sejmie 1775 roku, tylko przez jedno mocar-



stwo, które się do niej odwołuje". Tak sformułowane oświadczenie go-dziło bezpośrednio w Rossyę i w instytucyę rządzącą, stworzoną przed trzynastu laty przez Rossyę, w Radę Nieustającą, której byt już zo-stał zachwiany po raz pierwszy przez upadek Departamentu wojsko-wego. Teraz uczyniono w niej wyłom drugi. Jak poprzednio, pod wpły-wem deklaracyi październikowej pruskiej, stworzono w listopadzie sej-mową Kommissyę wojskową, tak samo obecnie, pod wpływem pruskiej deklaracyi listopadowej, stworzono w grudniu sejmową Deputacyę in-teresów zagranicznych. Dwie najważniejsze gałęzie władzy pań-stwowej, wojskowość i polityka zagraniczna, odebrane Radzie i wzięte do sejmku. Niewiele już w tym kierunku pozostało do zrobienia. W rze-czy samej, niebawem doprowadzono do końca rozpoczęte tak pomyśl-nie dzieło: przy dzielnej wciąż zachęcie i spółdziałaniu Prus, w sty-czniu 1789 roku powzięta w sejmie uchwała o zniesieniu Rady Nieu-stającej.

Cóż sądzić o tych wszystkich kapitalnych uchwałach? Już naj-pierwszą z nich, dotyczącą Departamentu wojskowego, ogłoszono ani mniej, ani więcej, jak „zamachem na życie państwa“, nazwano „smu-tną kartą w dziejach narodu“<sup>1)</sup>. Tak surowy wyrok potępienia wyda-no na nią, a tem samem na cały szereg innych, będących nieuniknionym, logicznym jej wynikiem, wychodząc z założeń, nasamprzód zgoła nie-wystarczających, zaś następnie niemających wogóle żadnego istotnego związku przyczynowego z właściwą naturą przedmiotu, — z założeń pra-wno-państwowych. W rzeczy samej, uchwała, znosząca Departament wojskowy i oddająca wojsko Kommissyi sejmowej, popełniła grzech śmiertelny przeciw wytycznej zasadzie prawno - państwowej podziału władz, zmieszała, zjednoczyła władzę wykonawczą i prawodawczą. Lecz nasamprzód, czyliż tej zasadzie jakimkolwiek bądź sposobem czynił za-dosć ów nieodżałowany Departament wojskowy? czyliż czyniła jej za-dosć w jakiejkolwiek bądź mierze cała, skazana na zagładę, Rada Nie-ustająca, będąca najdzikszą w świecie kombinacyą egzekutywy i legis-latywy, rodzajem sejmku małego i zarazem rodzajem dużego rządu, po-tworny mieszaniec o trzydziestu sześciu głowach ministeryalnych, se-natorskich i poselskich? A następnie, i to główna, czyliż tutaj wogóle może być mowa o abstrakcyach z Monteskiusza, o względach teore-tycznych, pochodzących z „Ducha Praw“, kiedy chodziło o żywe real-

---

<sup>1)</sup> Kalinka.

ności, o żywą, wyjątkową chwilę polityczną? Gorsze stokroć grzechy przeciw tym samym abstrakcyom popełniły prawie współcześnie Zgromadzenia rewolucyjne francuskie, jednocząc wszystką władzę wykonawczą w jednej izbie poselskiej, jednocząc zarząd naczelny nad wojskiem w Komitecie Ocalenia Publicznego, wysadzonym z Konwencji, zupełnie tak samo, jak u nas w Kommissyi, wysadzonej od sejmu, — a przecież, jakkolwiek inne są niezmazane winy Zgromadzeń paryskich, wszakże niepodobna „zamachu na życie państwa“ dopatrywać się w tych mianowicie ich uchwałach, powziętych pod naciskiem najrealniejszych, najbardziej palących wymagań politycznych. Takie też wymagania polityczne podyktowały uchwałę listopadową warszawską o zniesieniu Departamentu wojskowego i zaprowadzeniu Kommissyi wojskowej, uchwałę nieodzowną i zdrową, która zapewne była-by jaśniej wydała się taką, gdyby w Kommissyi znalazł się drugi Carnot; takie wymagania polityczne podyktowały późniejsze uchwały: grudniową o Deputacyi interesów zagranicznych, oraz styczniową, o zniesieniu Rady Nieustającej: i do wszystkich tych, ściśle z sobą związanych, wypadków czysto-politycznych, nie teoretyczną, nie prawnopañtwową, lecz jedynie czysto-polityczną miarę przyłożyć należy. Trzeba tylko te rzeczy po prostu, bez uprzedzeń, w rzeczywistem ich znaczeniu i związku uzmysłwić sobie i ogarnąć. Kraj rządzony był od lat kilkunastu przez Radę Nieustającą. Ta instytucya wprowadzoną była pierwotnie przez Rossyę przeciw królowi, jako prezerwatywa od królewskiego zamachu stanu, pod świeżem wrażeniem przewrotu, dokonanego w Sztokholmie przez Gustawa III, wzorowana najdokładniej na konstytucyi szwedzkiej 1719 roku, na tamtejszej kapitulacyi 1720 i regulaminach 1723 roku, dzieło osobiste Panina i Stackelberga, obu wychowanych na szwedzkiej polityce, ciężki hamulec, twarde wędzidło, z którym rychło pogodził się potulny król, poczem wnet, gdy minęła wszelka od niego obawa, odebrano władzę hetmanom i poddano wydziałowi Rady. Cała ta instytucya rządząca, pod względem prawnym, jak rzekliśmy, była monstualnym zlepkiem; pod względem administracyjnym, po przymusowem rozprzężeniu poprzednich stosunków, była pewnym regulującym ośrodkiem, dodatniego wpływu; pod najważniejszym względem, politycznym, była dla kraju — że użyjemy słów jednego z jej najzdolniejszych a najusłużniejszych członków <sup>1)</sup>, — *speciosum nihil*, była dla potęgi, która ją powołała do życia, dogodnem, bezpiecznem i wypróbowanem narzędziem. Tego rodzaju machina mogła zapewne funk-

<sup>1)</sup> Biskupa Ostrowskiego.

cyonować z większą lub mniejszą dla kraju szkodą, może nawet poniekać z mniejszym lub większym pożytkiem, wśród dotychczasowych opłakanych okoliczności zwyczajnych, pod warunkiem pogodzenia się z niemi, pod warunkiem zachowania opłakanego *status quo* istności politycznej narodu. Z chwilą, kiedy stało się obowiązkiem, wśród okoliczności wyjątkowo pomyślnych, odmienić z gruntu byt polityczny narodu, albo przynajmniej pokusić się o odmianę, musiała owa machina stanąć w poprzek drogi, musiała przedewszystkiem ona zostać uprzężniętą. Takimto sposobem uchwały z listopada i grudnia 1788 i stycznia 1789 r. w rzeczywistości nie były niczem innym, jak koniecznym uwarunkowaniem późniejszej uchwały z maja 1791 roku. Można wszystkie razem approbować. Można wszystkie razem potępić. Niepodobna ich rozłączyć, niepodobna innego o tej, innego o tamtych ferować wyroku. Zwalenie rządu i odbudowanie rządu, to były dwie rzeczy, jedna bez drugiej niemożliwe, to były dwie strony jednego i tego samego zagadnienia <sup>1)</sup>.

Atoli te dwie rzeczy, będące jedną tylko dla dziejowego sądu, były zupełnie odmiennej treści — dla rządu pruskiego. W myśl definicyi, jaką daliśmy przed chwilą, można powiedzieć, iż zwalenie rządu było aktem emancypacyi, odbudowanie — aktem reformy. To też tylko aż do końca pierwszej czynności, polityka pruska kroczy zgodnie ręką w rękę z sejmem warszawskim; od tego zaś momentu, z rozpoczęciem czynności drugiej, otwierają się z tej strony przeszkody i niebezpieczeństwa. W szczególności na tym punkcie przystaje, odmawia pójść dalej, w poprzek się kładzie, minister Hertzberg. Popierał on i pochwalał „pierwszą rewolucję polską“, dokonaną w 1788 i 1789 roku przez obalenie Rady, oraz dokonane tem samem oderwanie Rzpltej od Rosyi. Więcej nie chciał; nie chciał mianowicie ani naprawy rządu, ani sojuszu, ani wojny: poprostu, odosobniwszy z tej strony cesarżową

<sup>1)</sup> Kalinka, odwołując się w tej materyi do rozpraw sejmowych, nie dociera do istoty sporu, której nie było sposobu traktować otwarcie na publicznem posiedzeniu Izby. Dlatego też argumenty prymasa w dyskusyi o Departament wojskowy mogą być wymowne, Ignacego Potockiego — kručze, a jednak słusność miał za sobą marszałek, tylko nie mógł z mównicy sejmowej wyluszczyć tej głównej i decydującej pobudki, dla której uderzał na Radę i Departamenty, i która zresztą nie była sekretem dla nikogo z obecnych. W ogólności Kalinka wychodzi tutaj i w następstwie z tej powziętej z góry myśli, jakoby sejm, obalwszy Radę, zmuszony był później do odrobienia tego swego dzieła, do odkupienia tego swego pierwotnego grzechu, przez zamach stanu majowy — myśl paradoksalna, która z żadnej strony nie daje się obronić.

Katarzynę, chciał z nią na tej zasadzie negocyować, w interesie swoich planów zamiennych. Nadmienić należy, iż w tym samym czasie jego wpływ w radzie Fryderyka Wilhelma chwilowo znacznie się wzmoenił. Przyłożyła się do tego śmiertelna choroba Ingenheimowej, i wkrótce jej nagły zgon w początku 1789 roku, oraz spóczesne ochłodzenie się króla dla wojowniczych inspiracji angielskich. Wtedy też, w lutym i marcu t. r., istotnie nawiązane zostały przez Hertzberga przyjacielskie negocyacje z Rosyją, a w szczególności z Potemkinem, który podówczas, od lutego do maja, siedział w Petersburgu, srożył się na Austryaków i żalił na cesarzową, wstrzymującą go od inauguracji jego dojrzewających ukraińskich knowań. Jednocześnie wydane z Berlina hasło zahamowania sejmu w rozpoczętej akcji, doprowadzonej dopiero do połowy. Tak więc, w niedawnej przyjaźni polsko-pruskiej następuje naraz, na wiosnę 1789 roku, kilkomiesięczny okres krytyczny wahań, niepewności i zastoju, kryjący w sobie niebezpieczeństwo dla nowych, nieutralonych jeszcze, stosunków wzajemnych <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Hertzberg, Précis de ma carrière: „je conseillois au roi de faire des déclarations si vigoureuses en Pologne, que le parti antirussien prit le dessus, secoua le joug russe et fit la première révolution dans ce pays là sous les auspices de la Prusse, ce qui était utile et nécessaire, mais ne devait pas être poussé si loin que cela a été fait dans la seconde révolution (en 1791) contre mes avis réitérés; on peut donc dire avec raison que le roi a joué en 1788 et 1789 le rôle de l'arbitre de l'équilibre dans le nord.“ Por. tegoż Denkschrift über d. Bündniss 1790, gdzie wyjaśnia swoje usiłowania z 1789 roku „die rechte Mittelstrasse zwischen dem russischen Hofe und der Republik Polen einzuschlagen, letzterer eine ihrer Lage angemessene Mässigung einzuflossen, sie hauptsächlich von ihrem ungestümen Vorhaben einer zu starken Vermehrung der Armee, von der Tótalamänderung ihrer Constitution, von der Idee einer erblichen Thronfolge, und selbst von einem Beitritt zu unserer grossen Allianz abzumahlen“. — Zetknięcie się potajemne Ignacego Potockiego ze Stackelbergiem, w lutym 1789 roku, które Kalinka za tak ciężką winę poczytuje marszałkowi, wystarczająco się tłómaczy przez słuszne obawy, jakie wywołać musiało nagle zatamowanie pomocy i podniety pruskiej, pod wpływem spóczesnych negocyacji Hertzberga z Potemkinem, tembardziej, iż te obawy znajdowały potwierdzenie nawet w niewyraźnych denegacyach Fryderyka-Wilhelma do Lucchesiniego, 30 marca: „si même un rapprochement (avec la Russie) pourrait avoir lieu, comme il n'en est aucunement question, je ne sacrifierais pourtant pas les intérêts essentiels de la Pologne“. Potemkin do Staala, 6 marca, do generała Möllera, 7 marca, jest to formalne odwołanie ruchawki: poddaństwo i duchownictwo ma cicho siedzieć, gdyż „przy obecnych okolicznościach nie jest dogodnem J. C. M., aby ich (Polaków) tykano“; znamienne jest w tych rozkazach ostrzeżenie przed Branickim i odesłanie dowódców, w wypadkach wątpliwych, do Szczęsnego. Potemkin do Katarzyny, 22 kwietnia 1789, №№ 157, 158, 168. Por. doniesienie petersburskie Ségura do Montmorina, 14

Naczelną pieczę nad dalszym tych stosunków rozwojem, bezpośrednio, na miejscu samem, miał sobie w tym czasie powierzoną margrabia Lucchesini. Od pół roku już przeszło, od pierwszych dni października, jeszcze przed otwarciem sejmu, był ukazal się w Warszawie, w towarzystwie młodej żony z domu Tarrach, od paru lat sobie poślubionej, lżejszych obyczajów niewiasty, skądinąd użytecznej towarzyski jego urozmaiconego żywota, sprytniej współpracownicy, stale używanej od małżonka do pośrednictwa w sprawach drażliwszych polityki, gry giełdowej, służby wywiadowczej i przekupstwa. Przeznaczony pierwotnie do ambasady petersburskiej, przejazdem zatrzymany w Warszawie, został tutaj świadkiem nagłej, doniosłej akcji, przedsięwziętej przez sejm pod wpływem pierwszych deklaracji berlińskich, wyczuł w niej zaraz dla siebie podstawę do płodniejszej, niż w Petersburgu, roboty, i zasiedział się przez szereg miesięcy, u boku posła Buchholtza, odgrywając rolę półurzędową jeszcze, lecz już kierowniczą. Teraz, od kwietnia 1789 roku, po odwołaniu Buchholtza, sam zajął jego miejsce. Liczył wtedy lat trzydzieści ośm. Miał za sobą przeszłość skromną i mało czynną. Przez kilka lat, od 1780 roku, był lektorem Fryderyka Wielkiego, albo raczej, jak wyraża się Mirabeau, jego słuchaczem <sup>1)</sup> Ciężkie to było zadanie co wieczór całemi godzinami słuchać Fryderykowych rozmyślań filozoficznych i politycznych, sprowadzających się wiecznie do tych samych dwóch aksjomatów wytycznych: iż niema życia przyszłego ani bóstwa, niema prawa publicznego ani prawa narodów; słuchać starego króla, powtarzającego stare anegdoty, lub odczytującego z upodobaniem swoje niezliczone ody, elegie, satyry i eposy francuskie, albo listy, pisane do Woltera, przed dwudziestu pięciu laty, czasu wojny siedmioletniej, i mieć ciągle w pogotowiu stosowne spostrzeżenia, zapytania, zachwyty. Były w tem wszystkim rzeczy, które krytycznie oceniał pokorny lektor; lecz naogół, z kilkoletniej zażyłości z wielkim królem, wyniósł szczere uwielbienie dla imponującej potęgi jego umysłu i woli, a zarazem głębokie przeświadczenie o potędze i wielkich przeznaczeniach państwa pruskiego. Za nowych rządów Fryderyka-Wilhelma pełnił pierwotnie drugorzędne funkcje dyplomatyczne w Rzeszy, później w Rzymie, gdzie zaczął od szkodzenia interesom polskim w dziedzinie kościelno - politycznej, w sprawie sto-

---

kwiet., jego instr. dla Geneta, 5 paźdz. 1789 roku i całą współczesną negocjację podwójną z wiosny t. r., francusko-austriacką, prowadzoną przez Katarzynę, i prusko-angielską — przez Potemkina. Zwracamy uwagę, że cyfra Ségura była wiadoma w Petersburgu i jego depesze stale perlustrowane przez cesarzową.

<sup>1)</sup> Albo szpiegiem: écoureur.

sunku ludności katolickiej zaboru pruskiego do dawnej władzy duchownej w Rzpłtej. Widział go wtedy, za swego pobytu we Włoszech, Goethe, poznał w nim człowieka o „strawnym żołądku moralnym“, łatwo zresztą pozwolił sobie zaimponować jego protekcyjnym manierom i dygnitarskiej powadze. Lepiej, do samej głębi, przeniknął Włocha i trafną miarę do niego przyłożył nieomylny w takich sądach ekspert, Mirabeau. „Pan Lucchesini żywi wysokie pretensye. Posiada on dowcip i wiadomości, lecz zarazem cały jego zakrój jest tego rodzaju, iż nie daje się pogodzić z ambicyą; co najwyżej, rzucą go do ciała dyplomatycznego, gdzie będzie na swoim miejscu“. Była to doskonała definicya człowieka, który niebawem będzie grał pierwsze skrzypce w Warszawie, lecz który później, na większej scenie politycznej paryskiej, wobec Napoleona i Talleyranda, mizerną odegra rolę i zmaleje do prawdziwych swoich rozmiarów, sprytnego, zręcznego, lecz drugorzędnego, powszedniej miary, aktora. Takim w istocie był Lucchesini. Zrobiono go u nas jakąś wielką i niebezpieczną figurą, jakimś gieniuszem nieuchwytnej przebiegłości i bezdennej machiawelizmu. Nie miał on do tego żadnych tytułów. Był dość pospolitym, ani gorszym, ani roślejším od stu innych współczesnych, przeciętnym okazem dyplomacyi europejskiej z końca zeszłego wieku. Przywoził do Warszawy wyrobienie niewielkie, skąpą praktykę dyplomatyczną, dużo giętkości, sprytu i oryentacyjnego zmysłu, mocny zamiar zrobienia wielkiej kariery przez wielką akcyę polityczną. Dotychczas popierany był głównie przez Hertzberga, który, z właściwem sobie zarozumieniem, uważał go za swoją kreaturę i ucznia, i bynajmniej się nie domyślał, iż miał w nim zdeklarowanego przeciwnika swojej papierowej polityki, żartującego sobie z jego niewykonalnych planów zamiennych, przenikającego całą ich bezpłodność i nicość. Lucchesini, wyprotegowany przez Hertzberga, w adresowanych do niego depeuszach urzędowych kadził mu i potakiwał. Za jego plecami, w poufnych pismach do swoich towarzyszy i przyjaciół, do Goltzów i Dietzów, potem nawet w tej części swojej korespondencyi z królem, która nie dochodziła do wiadomości ministra, szydził z niego nielitościwie, na każdym kroku krzyżował jego intencye, w zupełnie od nich odmiennym działał kierunku. A mianowicie, ze swoim kultem Fryderykowym, z swoją wiarą w niezwalczoną potęgę pruską, i ze swoją osobistą ambicyą, związał się z wczasu z tem stronnictwem w otoczeniu Fryderyka - Wilhelma, które pchało do wielkiej akcyi zaczepnej i wojskowej. Niezawodnie, dla Rzpłtej nie żywił nowy poseł żadnych uczuć bezinteresownych. Takich uczuć wymagać od niego, a tak samo od któregokolwiek bądź innego posła pruskiego, od któregokolwiek sługi obcego mocarstwa, było-by oczywistą niedorzecznością. Miał i Lucchesini, rzecz prosta, na oku

bezpośredni Prus pożytek, spekulował i on na późniejszą sposobność otrzymania bądź Gdańska, bądź nawet części Wielkopolski, lecz nie pragnął, bo nie spodziewał się, zeskamotować tych zysków zadarmo, za puste słowa, bez ryzyka i bez czynu, lecz za realne wysługi, za rzeczywisty sojusz, kosztem wspólnej wojny. Od sojuszu, od wojny, nie odżegnywał się, jak Hertzberg, lecz owszem, wbrew niemu, parł ze szczerem przekonaniem w tym właśnie kierunku. Ten zaś kierunek był najwidoczniej w owej chwili jedyną drogą wyjścia dla Rzpltej, która tym sposobem, o ile winna była wystrzegać się, jak ognia, zdradliwych i niepochwytnych kuszeń Hertzbergowskich, o tyle miała obowiązek, unikając przedwczesnego wyzysku, sama wyzyskać pożyteczną dla siebie stronę zaczepnych dążeń pruskich, reprezentowanych przez Lucchesiniego.

Lucchesini z niepokojem i niesmakiem patrzył na nowy zwrot Hertzberga ku Rossyi, uwydatniony z początkiem 1789 roku. Widział politykę pruską, rozstrzeliwającą się w coraz nowych a sprzecznych negocyacyach, tracącą z każdą chwilą grunt pod nogami, tracącą przedewszystkiem niepowetowany czas. A czas naglił. Tocząca się na Wschodzie wojna, owa pierwsza i nieodzowna podstawa wielkich kombinacji polityki pruskiej, wzięła nagle w tym roku obrót, nadspodziewanie dla Porty niepomyślny. W styczniu upadł Oczaków, w sierpniu armia turecka porażona na głowę pod Fokszanami. Trzeźwiejsze i bardziej przedsiębiorcze głowy w Berlinie, a wśród nich w pierwszym rządzie zacięty wróg Hertzberga, ks. Henryk, powrócony wówczas, latem 1789 roku, do łask królewskich, przewidywały wobec tych wypadków rychły, przedwczesny dla pruskich zamierzeń, koniec wojny tureckiej, a tem samem wyslizgującą się nieoszacowaną sposobność umieszczenia interwencji pruskiej. Z nieukontentowaniem i żalem czynił to samo spostrzeżenie Fryderyk-Wilhelm I, wbrew kunktatorskiej metodzie Hertzberga, zdobył się na własną inicjatywę osobistą. W sierpniu król zjechał na Szląsk i wezwał tutaj do siebie z Warszawy Lucchesiniego. Postanowiono wziąć się niezwłocznie do wypełnienia wielkiego projektu wielkiej koalicji, uplanowanej jeszcze przed rokiem przy zawarciu traktatów z Hollandyą i Anglią. W tym celu postanowiono poprzec energicznie sprawę związków sprzymierzeńczych ze Szwecyą, Turcyą, Polską, które od początku miano na widoku, lecz dotychczas, według Hertzberga taktyki wyczekującej, rozmyślnie zaniedbywano. Niezwłocznie, we wrześniu, ratyfikowana konwencya subsydyowa ze Szwecyą, zapewniająca Gustawowi III milion talarów pruskich na prowadzenie wojny z Rossyą. Równocześnie, we wrześniu, posłowi pruskiemu w Stambule, Dietzowi, posłany rozkaz stanowczy zawarcia z Portą sojuszu za jakąkolwiek cenę, bez żadnych zastrzeżeń. Zaś

zarazem Lucchesiniemu, powracającemu do Warszawy, zleczone otworenie na seryo rokowań o przymierze z Rzpltą <sup>1)</sup>).

W rzeczy samej, ożywione rokowania sprzymierzeńcze od tej pory dopiero rozpoczęte zostały naprawdę, w Berlinie i Warszawie jednocześnie, tam przez księcia stolnika Czartoryskiego i jego następcę, Stanisława Jabłonowskiego z gabinetem pruskim, tutaj przez Lucchesiniego prowadzone z naczelnikiem politycznym stronnictwa narodowego, Ignacym Potockim. Tymczasem nowe wypadki wojenne na Wschodzie, walne zwycięstwo Suworowskiego oręza nad Rymnikiem we wrześniu, wzięcie Bender przez Potemkinowskie pieniądze w listopadzie, nakazywały pośpiech jak największy. Pod wrażeniem tych wypadków i coraz naglejszej groźby, iż parę jeszcze podobnych ciosów może zmusić Portę do pokoju i zbytęcną uczynić spóźnioną interwencyę pruską, Fryderyk-Wilhelm natychmiast, z początkiem grudnia, pośpieszył posłać pod adresem Lucchesiniego do Warszawy najkatego-

<sup>1)</sup> Tagebuch des Marchesen Lucchesini (1885) pass.; Goethe, Ital. Reise 6 lipca 1787 sq.; Mirabeau, 5 września 1786: „tout au plus le jettera-t-on dans le corps diplomatique auquel il est propre“; Bailleu, A. D. B.; Hüffer, Programm i Lombard; por. późniejsze opinie o Lucchesinim Napoleona w Corresp. i Talleyranda w Pam.—Dla umiarkowania sądu historyków polskich o „Włochu“, o „organiście“, będących dotychczas niczem innym, jak amplifikacyą łatwych epigramatów Trembeckiego albo Krasieckiego, zdalo by się zastanowić nad nieublaganą nienawiścią, jakiej aż do końca nie przestała żywić dla posła pruskiego cesarzowa Katarzyna: „der tückische Schurke L.... j'acquiesce de tout mon coeur à la pendaison du jacobin L.“, i t. d., do Grimma, 14 września, 11 listopada 1794, 19 kwietnia, 18 października 1795. Istotna myśl Lucchesiniego wyraźna już w jego doniesieniu do króla 21 października 1788, gdzie tłumaczy, iż o zyskach w drodze samej negocyacyi nie może być mowy, „mais si des raisons d'Etat prescrivent à V. M. la nécessité de se mêler de la guerre actuelle... le moindre succès grossirait le parti prussien en Pologne et faciliterait ensuite la cession projetée“. — Pożyczka 1.100,000 talarów dla Szwecyi na 5<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, na rok, przedłużona następnie na dwa lata i obniżona do 3<sup>1</sup>/<sub>2</sub><sup>0</sup>/<sub>0</sub>, ratyfikowana przez Prusy 5 września 1789, Svenska besk. berätt, I. c.—Do negocyacyi stambulskiej, Zinkeisen, VI, 733 sq., por. Abeken, D. Eintritt d. Türkei in d. eur. Politik d. XVIII Jhd., (1856); wcześniejsze instrukcyje Hertzberga dla Dietza były nasamprzód, już od sierpnia 1788 r., interceptowane po drodze przez agentów austryackich (por. Józef do Kaunitza, już 26 sierp. 1788 sq.); potem, od maja 1789 r., bezpośrednio z biur ministerjalnych berlińskich były zdradzane posłowi angielskiemu w Berlinie, Ewartowi; później jeszcze, w sierpniu, przez przekupionego dragomana pruskiego, Pangalego, zdradzane francuskim posłowi w Stambule, Choiseul-Gouffierowi; zaś tajne instrukcyje królewskie z września wy dostał były dragoman byłego poselstwa rossyjskiego, Pisani, dla Bulhakowa.—Bailleu, D. Verhältniss d. Prinzen Heinrich zu d. Regierung Friedr. - Willh. II, w Sitzungsber. d. Vereins f. Gesch. der Mark Brandenb., I, 620.



rycześniejsze oświadczenie swojej szczerej zgody na rzetelne przymierze ze wzmocnioną i zdolną do wspólnej akcji Rzpltą, a więc zarazem i na sojusz, i na reformę rządu. Poszedł nawet tym razem tak daleko, iż samo zawarcie umowy sprzymierzeńczej uczynił zawisłem od szybkiego uchwalenia tak pożądaných w Warszawie reform ustawodawczych, wyrażając gotowość podpisania jej chociaż-by już w nadchodzącym styczniu, i dodając zresztą znamienne oświadczenie, że „choć-by nawet do aliansu przyjść nie miało, może Polska zawierzyć, że jej nie opuszczę, może się spuścić na mój charakter, na mój sposób myślenia, wreszcie na znajomość tego, co jest własnym i istotnym moim interesem“. To pismo królewskie odebrawszy, poseł, odczytał je zaraz na konferencji z Deputacją interesów zagranicznych, przydając sposobem wyjaśnienia, iż „więcej król Im pruski upatruje korzyści politycznej w ustanowieniu doskonałego wewnętrznego rządu w Polsce, który-by jej egzystencję polityczną zapewnił, aniżeli w liczbie ustanowionego nawet 300,000 wojska przy takim składzie rzeczy, który-by kraj na ustawiczne rewolucye i odmiane mógł wystawić.“ Treść pisma królewskiego i deklaracyi poselskiej zakommunikowana od Deputacyi sejmowi; od sejmu w tej chwili polecone jej wygotowanie formalnego projektu przymierza, a zarazem Deputacyi ustawodawczej—wygotowanie zasad do naprawy rządu.

Zasady rządowe w tydzień złożone były sejmowi przez Ignacego Potockiego. Rokowania aliansowe, zdawało się, mogły i powinny były w owej chwili pójść równolegle, w najszybszem tempie. Istotnie, pierwsze zarysy przymierza zaraz zostały rzucone na papier i już w pierwszych dniach stycznia 1790 r. Lucchesini pojechał złożyć je w Berlinie<sup>1)</sup>. Naraz rzecz cała utknęła. Obok prostej i naglącej

<sup>1)</sup> *Points principaux de la première ébauche pour un traité à conclure entre la R. de P. et S. M. Pr.:* 1-o amitié constante et sincère; Alliance défensive. 2-o Garantie réciproque des possessions respectives avec la restriction dont on conviendra. 3-o Secours mutuel proportionné aux forces militaires des parties contractantes; en cas de besoin on s'assistera du maximum de ses forces. 4-o On conviendra des subsides.—*Commerce:* 1-o Les avantages stipulés par le traité de 1775 auront toute leur force. 2-o Entrée libre des denrées en Silésie et entrée libre des marchandises de Pologne dans les états de Prusse. 3-o Le transit sur la Vistule diminué à 2<sup>o</sup>/<sub>o</sub> d'entrée et 2<sup>o</sup>/<sub>o</sub> de sortie, ce que ne fera que 4<sup>o</sup>/<sub>o</sub> au lieu de 12. 4-o Ces articles qui serviront de règle au futur traité de commerce, prendront leur exécution dès la signature du traité d'alliance, et l'on conclura un nouveau traité de commerce en 6 mois. Dans les cas sujets à contestation l'Angleterre sera requise de dire son sentiment sur le différend. Lucchesini wyjechał do Berlina 8 stycznia; wrócił do Warszawy 18 lutego.

sprawy traktatu politycznego, wyłoniła się zawiła i drażliwa sprawa ugody celnej, a zarazem okupienia ustępstw celnych pruskich przez cęsy Torunia i Gdańska. Dwaj ludzie, z obu stron, polskiej i pruskiej, postanowili wszelkim sposobem dobijać się utrzymania w nierozdzielnej spójni tych dwóch przedmiotów, pokrewnych sobie zapewne, lecz nie będących ostatecznie z sobą w żadnym koniecznym związku, i żadną miarą nie dopuścić ich rozłączenia: Hertzberg i Stanisław-August. Hertzberg nie chciał przymierza polskiego, a pragnął zarobić przy jego negocyacji. Stanisław-August nie chciał przymierza pruskiego i zobowiązał się względem Rossyi przeszkodzić jego dojściu<sup>1)</sup>. W tym celu był on próbował pokryjomu z innej jeszcze strony zatamować i zepsuć układy sprzymierzeńcze z Berlinem: próbował zdurzyć opinię i sejm przynętą najniedorzeczniejszego w owej chwili przymierza—polsko-rossyjsko-austryackiego, zaszachować w ten sposób i zwłóczyć będący na porządku dziennym sojusz z Prusami. Atoli Deputacya interesów zagranicznych, odebrawszy stosowną insynuację z Wiednia, łacno domyśliła się istotnego jej celu, i najsluszniej i najroztropniej zaniechała wnieść jej do sejmu, wbrew usilnym naleganiom króla, przez co skutecznie zapobiegła spodziewanemu stąd od niego zamąceniu opinii i stracie drogiego czasu<sup>2)</sup>. Kiedy takim sposobem ten potajemny manewr został udaremiony przez rozumną i uzasadnioną wstrzeźliwość

<sup>1)</sup> Protokół sessyi petersburskiej Rady Państwa, 7 stycznia 1790 „czytane doniesienia poselskie z Warszawy, iż król obiecał przeszkadzać (*zatrudniał*) negocyację o przymierze z Prusami“.

<sup>2)</sup> Kalinka § 118, poczytując za zbrodnię stanu Deputacyi, iż insynuacyi austryackiej sojuszu, zakomunikowanej z Wiednia przez Wojnę, nie zawiesiła na wielkim dzwonie sejmowym, doskonale przecieć zdaje sobie sprawę, że wynurzenia Kaunitza w tej mierze nie miały żadnej realnej podstawy, że taki sojusz podówczas zgola nie był do urzeczywistnienia i nie leżał w intencjach dworów cesarskich. Sądzi jednak z tem wszystkiem, iż „w ten sposób (t. j. przez podjęcie w sejmie rzuconej jak wędka negocyacji), Polska była by zyskała trochę podpory, trochę czasu“. Nie wyjaśnia jaką mianowicie zyskała by „podporę“ w nowych beznadziejnych i próżnych rokowaniach; a nie chce rozumieć tej oczywistej prawdy, iż na „czasie“ mogła by tylko stracić Rzplta, mogły-by tylko zyskać dwory cesarskie, które wtedy, zwłaszcza zaś Austryja, obawiały się ataku Prus na wiosnę.—Dla wyjaśnienia istotnego przebiegu rzeczy i zakulisowego udziału w tej sprawie Stackelberga i Stanisława Augusta, kładziemy tutaj niektóre wyjątki z doniesień warszawskich Cachého do Kaunitza, niezużytkowanych przez Kalinkę: *2 stycznia* (należy się obawiać)—*„dass es nur von Zeit und Umständen und fremden Impulsen abhängen werde diesem Bündniss (z Prusami) alsogleich die fernere Gestalt und Wirkung einer offensiven Allianz beizulegen (Cyfra), Solches scheint selbst Graf Stackelberg zu besorgen und lobt daher die Vorsicht, Galizien mit Truppen gegen*

wość Deputacyi, król i przeciwnicy przymierza pruskiego z tem większym naciskiem powrócili do rozděcia sprawy celnej. Powiodło im się w rzeczy samej zaostrzyć niebawem sprzeczność interesów obustronnych w tym przedmiocie i zapowiedzią straty Gdańska rozbudzić nieufność i niepokój narodu. Z drugiej strony, w Berlinie, Hertzberg na swój sposób spódziałal tym dążeniom, tamując dojście traktatu, dopominając się przedewszystkiem umowy celnej, tj. cessy. Jednakże, mimo przeszkody, wzbudzone od ministra, wbrew jego woli, a nawet z przymusowym jego współudziałem, Lucchesini, podczas swego kilkunastodniowego w Berlinie pobytu, zdążył, pod osobistym kierunkiem Fryderyka Wilhelma, na wspólnych naradach z posłami polskimi, Czartoryskim

alle Vorfälle zu decken... Sonst liess Graf Stackelberg bei dieser Gelegenheit einige Worte entfallen, welche fast ebensoviel sagen wollten, als ob es vielleicht am besten wäre, die Sache zu einer neuen Theilung Polens einzuleiten. Meine kurze Bemerkung hierauf, dass wir solchergestalten das eigene Spiel des Königs von Preussen spielen würden, erwiderte der Botschafter damit, dass es schwer scheine, auf eine andere Art gut aus der Sache zu kommen, dass es überdies die Herren Polen nicht besser verdienten und dass sie bei ihrer Abneigung und Unruhe für die zwei Kaiserhöfe, nach dem gemeinen Sprichwort, immer wie eine Laus im Pelz bleiben werden“; *6 lutego* (Cyfra); „folgendes ist mir von dem Grafen Stackelberg zu unterthänigster Einberichtung anvertrant worden: er habe sicher erfahren, dass die herrschende Partei sich ernstlich dahin bearbeite, eine erbliche Thronfolge zu Gunsten eines kgl. preussischen Prinzens durchzusetzen... und dass es fast nur darauf ankomme, hiezu auch die vorläufige Einwilligung des lebenden Königs von Polen zu erlangen, dass man ihu bereits mit dem Versprechen zu gewinnen sucht, dass die Tilgung seiner beträchtlichen Schulden von seinem Thronfolger im vornherein übernommen werden würde. Bei diesem Umstand hat nun der Botschafter, da S. Polnische Maj. schon seit geraumer Zeit allen directen vertraulichen Umgang mit ihm abgebrochen haben, dem König durch eine dritte Person beibringen lassen, dass, wenn es um die Beruhigung wegen Bezahlung seiner Schulden zu thun wär, die beiden Kaiserhöfe desfalls wohl ein Auskunftsmitglied treffen könnten, falls S. M. das widrige Successionsproject und womöglich auch die polnische Allianz mit Preussen hintertreiben wollten. Hierauf liessen S. M..... dem russischen Botschafter beibringen, dass, wenn er entweder allein, oder gemeinschaftlich mit mir in einer mit der Deputation der auswärtignn Geschäfte zu begehrenden Conferenz förmlich erklären könnte (dass) die beiden kaiserlichen Höfe... die neue Verfassung gutzuheissen und zu befestigen und wohl gar auch ihrerseits der Republik eine defensive Allianz zur Handhabung ihrer Integrität, Independenz und Freiheit anzubieten bereit wären, eine solche Declaration bei der Nation... vielleicht auch das Project wegen der Thronsuccession und etwa auch noch den Allianzschluss mit Preussen rückgängig machen könnte“; *20 lutego* (Stackelberg obawia się) „dass dieser wenigstens immer unschädliche Versuch (świeżo otrzymana w Deputacyi depesza Wojny o wynuznieniu Kaunitza względem pokojowego sojuszu) doch nicht vermögend sein werde, die polnische Allianz mit Polen hintanzuhalten“.

i Jabłonowskim, znacznie posunąć naprzód układy sprzymierzeńcze. Po powrocie do Warszawy, w połowie lutego, zastał tutaj nagromadzone nowe trudności. Rozdmuchana tymczasem przez Stanisława Augusta i na pierwszy plan wysunięta sprawa celna, a głównie przykry i nieodłączny jej dodatek, sprawa cessyi, wywołała dotkliwie ochłodzenie umysłów dla samego traktatu, przewidywane zawczasu i pożądane przez przeciwników przymierza. Była chwila, kiedy istotnie wydawać się mogło, iż całe pracowite rokowania sprzymierzeńcze chybiły celu i spełzną na niczem.

Na szczęście dla traktatu, w tej samej właśnie chwili zaszły dwa ważne wypadki, które przyspieszyły pomyślnie rozwiązanie. Z końcem lutego nadeszła do Berlina wiadomość ze Stambułu o zawartym tam nareszcie aliansie z Portą. Prusy obowiązywały się wypowiedzieć wojnę Austrii i Rosyji na wiosnę tegoż 1790 roku, i nie składać póty oręża, póki Turcyja nie odzyska nie tylko utraconych w toczącej się wojnie posiadłości, lecz oraz i Krymu: Porta przyrzekała zmusić Austryę do zwrócenia Rzpltej Galicyi, oraz przyczynić się do „należytego załatwienia“ (*arranger... comme il faut*) wzajemnych sporów między Prusami a Austryą, Rosyją a Polską, „bez ukrzywdzenia interesów polskich, lecz z korzyścią (*avantage*) dworu pruskiego“. Były w tych zobowiązaniach tureckich uwzględnione nadzieje zamienne Hertzberga; w zobowiązaniach pruskich — z wyjątkiem obietnicy krymskiej, której oczywiście nikt w Berlinie nie brał na serio — brzmiała pobudka wojenna, wychodząca tym razem od samego Fryderyka-Wilhelma. Zaś prawie jednocześnie otrzymano w Berlinie wiadomość o śmierci cesarza Józefa II. Pierwszy wypadek, alians turecki, wtaczał nareszcie interwencyę pruską bezpośrednio na plac boju na Wschodzie. Drugi, zgon Józefa, wskazywał jej moment stosowny do uderzenia na skołatanę, rozprzężoną, pozbawionę długoletniego sternika, państwo austriackie <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Obok wielu innych świadectw, dość wskazać na poufną korespondencyę przedśmiertną Józefa II z bratem Leopoldem, aby stwierdzić, jak dalece, już od grudnia 1789 r., blizkie uderzenie Prus, pospołem z Rzpltą na Austryę, wydawało się nieuniknionem, Józef do Leopolda, 3 grudnia 1789: „une guerre donc au printemps contre les Polonais et les Prussiens très probable... et il faudra un miracle, si nous nous en tirons sains et saufs“; 6 grud.: „l'agression de la part du Roi de Prusse et des Polonais pour le printemps est sûre“, por. 4, 21 stycz. 1790.

Wobec takich warunków, przyspieszenie opóźniającego się przymierza polskiego ze wszech miar było wskazane. Jawne teraz, dotykane, zamiary Prus wystąpienia z niezwłoczną akcją zbrojną rozgrzały z powrotem wiarę w przymierze pruskie i uspokoiły nieufność w Rzpltej. Obawy Hertzberga, zdjętego przerażeniem na widok wojowniczych artykułów stambulskich, jego kupieckie rachuby gdańskie i toruńskie, ustąpić musiały śmielszym i szerszym inspiracyom w Berlinie. Z obu stron zgodzono się na rozłączenie materii cła i aliansu, na odłożenie pierwszej do sposobniejszych okoliczności, na natychmiastowe drugiej załatwienie. Na tajnej sessyi sejmowej w połowie marca jednogłośnie uchwałą zlecono Deputacyi interesów zagranicznych wygotować redakcyę ostateczną przymierza i złożyć ją jaknajspieszniej sejmowi do zatwierdzenia. Stanisław-August uznał za właściwe pójść za powszechnym i dłużej niewstrzymanym prądem i na wszelki wypadek przesiąść się co rychlej ze stołka rossyjskiego na pruski, a nawet nie omieszkał przed Fryderykiem-Wilhelmem przypisać sobie głównej zasługi dojścia traktatu, któremu, mimo wszelkie wysiłki, nie był w stanie przeszkodzić. Deputacya i Lucchesini rychło doszli do ładu względem brzmienia traktatu, gdyż głównie onego zasady już były ustalone za styczniowego pobytu posła w Berlinie, a mianowicie zostały tam wówczas oparte na podstawie wcześniejszego traktatu berlińskiego z Anglią. W rzeczy samej, stwierdzić należy ten doniosły, a dotychczas zgola niedostrzeżony szczegół, iż przymierze polsko-pruskie z marca 1790 r. w treści, a nawet w dosłownej redakcyi, ściśle jest wzorowane na tekście przymierza prusko angielskiego z sierpnia 1788 r., o którym mówiliśmy poprzednio, i które stanowiło jak gdyby jądro wielkiej koalicyi zaczepnej, zamysłanej przez Prusy od początku wojny wschodniej. Zaś nie trzeba dopiero tłumaczyć, iż ten mianowicie szczegół, oświetlający istotną genezę traktatu marcowego, pierwszorzędnej jest wagi dla zrozumienia jego właściwych celów i znaczenia. Sformułowany w ten sposób projekt traktatu wniesiony został na tajne posiedzenie sejmowe dnia 27 marca. Przychylnie zdanie sejmu nie mogło być wątpliwem. Nawet posłowie wielkopolscy, acz w swoim interesie domowym bardzo przeciwni odłączeniu sprawy celnej, dotyczącej ich najbliżej, wstrzymali się od opozycyi i zachowali milczenie. Jeden tylko podniósł się odosobniony i nieszczerzy głos protestu, pokryty zasłużonem szyderstwem powszechnem. Król teraz stanowczo i niedwuznacznie oświadczył się za prostem uchwaleniem projektu. Szczęśliwie uniknięto zwykłej, a tym razem zupełnie niepożądaney, trzydniowej zwłoki *ad deliberandum*. Natychmiast, na tem samem tajnem posiedzeniu, projekt przymierza pruskiego w całości i bez zmian przyjęty przez akklamacyę. Dwa dni później instrument

urzędowy przymierza przez obustronne pełnomocne podpisy formalnie dopełniony i uświęcony <sup>1)</sup>).

Traktat został zawarty. Zawarty przez Rzplitą w dobrze zrozumianym interesie własnym. Zawarty przez Prusy nie dla pustego

<sup>1)</sup> Hertzberg, Denkschrift: „Der König hielt es für rathsam diesen (Handels) Tractat bis auf einen günstigeren Zeitpunkt ganz auf die Seite zu setzen und liess dennoch.. den Allianztractat mit Polen abschliessen, weil er desselben in seiner gegenwärtigen Lage zu bedürfen glaubte, indem er leicht ehestens mit Oestreich und vielleicht auch mit Russland... in Krieg gerathen konnte“ Stanisław-August do Fryderyka-Wilhelma, 17 marca 1790: „j'ai dit à ma nation que je m'adresserai en personne à V. M... et aussitôt la diète entière a dit: procédons au plus-tôt à devenir les alliés de ce Roi; to pismo doręczone przez Jabłonowskiego; odpowiedź Fryderyka - Wilhelma do Stanisława-Augusta dopiero z 11 sierpnia. — Por. niepodejrzane chyba świadectwo bratanka: „le Roi eut assez de fermeté et de moyens pour faire différer environ un an et demi la conclusion (de l'alliance) avec la Prusse“, Stanisław Poniatowski, Souv., 510.—Co do związku między trakta-tem polskim 1790, a angielskim 1788 r.: §§ I i II traktatu warszawskiego=§ I berlińskiego; § III warszawski=berlińskim §§ II od słów „dans le cas“ i III, z opuszczeniem zbytecznego zdania „par mer ou par terre par quelque puissance européenne“, a następnie z dodatkiem „accompagné d'un train d'artillerie proportionnée au nombre des troupes“, oraz z dopełnieniem ustępu o sub-sydyach zamiennych przez wzmiankę o zbożu i rachubę na talary zamiast na monetę hollenderską; § IV warszawski na wstępie = § IV berlińskiemu, zaś w dalszym ciągu wprowadzona tutaj zmiana najważniejsza, a nieunikniona: wprowadzono mianowicie cały kapitalny ustęp o posiłkach wzmocnionych, od słów „et cette augmentation sera du côté de S. M. le Roi de Prusse jusqu'à 30 mille hommes“=§ I tajnemu berlińskiemu, który oczywiście z rządem sejmowym Rzpltej nie był inaczej możliwym (zwracamy tutaj uwagę, iż Kalinka, podając nieważnie treść traktatu marcowego, zupełnie prześlepił i mylnie wy-raził istotę tego najważniejszego, ze szczególną rozważą zredagowanego, warunku w przedmiocie posiłków pruskich); termin ratyfikacji czterotygodniowy w traktacie warszawskim, zamiast sześciotygodniowego w berlińskim, tłumaczy się mniejszą odległością oraz większą nagłością położenia.—Caché, 20 marca: „der Gemüthskränkung, welche S. Poln. Maj. dadurch zugehet, dass Höchstde-ro neulich bei dem Allianzbeschluss geführtes höchst zweideutiges Betragen so-wohl dem russ.—kais. Botschafter als dem M. Lucchesini fast in gleichem Maasse missfallen habe, will man die seitdem sich zeigende bedenkliche Ge-sundheitsumstände des Königs beimessen, S. M. haben in der That die vorge-strige Nacht mit spasmodischen Krämpfen zugebracht“; 31 marca: „Herr Castellan von Żarnow, Szydłowski, so diese Allianz (na sessyi 27 marca) öffentlich zu misrathen wagte, hat sich das Gelächter der übermüthigen Zuhörer seiner desfallsigen Rede zugezogen. Da sich also Niemand einer ähnlichen verächtli-chen Begegnung vergeblich aussetzen wollte, so erfolgte die blinde Gutheissung des Tractates um so leichter, als S. Poln. Maj. selbst mittelst einer knrzen ge-haltenen Rede diesem Ausschlag nicht wenig mitbeförderlich gewesen und sich

brzmienia, lecz z istotnej potrzeby, w chwili krytycznej, dla nieodwołcznego czynu. Chwila zawiódła, bo zawiódł czyn. Stąd, i stąd tylko, zawiódł traktat. Stąd też, nazajutrz po zawarciu przymierza, rozpoczyna się jego rozkład.

SZYMON ASKENAZY.

---

für die unverweilt einzugehende Allianz, nicht mehr wie vorhin (t. j. 15 marca) zweideutig, sondern klar und entschieden erkläret. Die meisten grosspolnischen Landboten waren zwar im Grunde dieser Allianz soweit entgegen, wie denn besagte Landboten desfalls vor kurzem schriftliche Vorstellungen eingereicht hatten. Allein, da unmittelbar hierauf ein neuer und schärferer preussischer Verbot für die Importation des grosspolnischen Getreides nach Schlesien folgte, und solcher gleichsam als Strafe für die Gegenbestrebungen der grosspolnischen Landboten anzunehmen war, so sind auch Letztere abgeschreckt worden sich einer in Ansehung des Commerzes ganz unbedungenen Allianz länger zu widersetzen.“

---

# Najnowszy dramat Hauptmanna.

## WOŹNICA HENSCHEL.

---

W głębokiem jeziorzysku, otoczonem bukowym i dębowym lasem, gdzieś pod dalekimi turniami, ozwał się przejmującym dźwiękiem niedgdyś zatopiony dzwon; poważny jęk spiżowy poruszył leniwe fale jeziora, wpłynął na zieloną taflę, rozszedł się w ciemną puszcę, uderzył jeszcze o granity okolicznych skał smutnem echem i zamilkł na wieczne czasy. Ten dzwon, zbudowany na nizinach, nie obudzi ech po wirkach, dla nizin tylko mógł dzwonić, do wyżyn nie był stworzony. Dotąd mistrz Henryk tworzył tylko na nizinach i dla ludzi z nizin, teraz dopiero, pod czarownym urokiem Rusałki i jej świata wiosennego, odleje dzwon o takiej wszechpotędze dźwięków, jaką mają grzmoty wiosenne, które chutnym rykiem wstrząsają przestwór ponad pół zielenią, dzwon, jakiego żaden tum jeszcze nie miał w swej dzwonnicy, który głosem piorunowych *trąb* do zamilknięcia zmusi dzwony wszystkich kościołów. Mistrz Henryk za szeroki lot sobie zaznaczył, chciał stworzyć coś potężnego, coby obwieściło światu, że się dlań nowe narodziło światło, chciał na wysoczynach pracować pod tchnieniem miłości i słońca, ale przeliczył się ze swą twórczą mocą. Z pocałunkami Rusałki wessał jad w swą duszę. Tajemniczy podźwięk dawnego zatopionego dzwonu, łyżony pozostałej w chacie na dolinie próśby dzieciak osieroconych, walki duszne niedoścignionego ideału



z ograniczonymi siłami łamią mistrza. Przeklina boginkę, porzuca pracę nad swym arcydziełem, wraca w doliny; ale już obcy mu ludzie z nizin, nie zazna wśród nich spokojnej równowagi, utracił jedno, nie zyskał drugiego. powołany, ino nie wybrany, orzeł ze złamanymi skrzydłami umiera. Baba Jaga, rzeczywistość, szyderczo poucza go jeszcze złotej mierności, wązkich horyzontów i wygodnego życia.

Tak w opowieści.

Mistrz Henryk musi wracać w doliny, wyrzec się pyszej myśli o stworzeniu wiekopomnego dzieła i pracować dalej przy bakałarzu, klesze i balwierz dla dzieci i żony, i wsi, dla nich wszystkich, tworzyć w szrankach i granicach, spętany i upokorzony. Albowiem bogowie nie znoszą, gdy śmiertelni chcą się z nimi równać i stwarzać dzieła nieśmiertelne; tego, który wspiął się na najwyższe szczyty i światy miałby pod sobą a ludzkość zdumioną i korną, tego dzieło *ὄργη* bogów druzgocze i stacza w przepaście, albo twórcę przykuwa do skały, aby mu sępy ciało wyżerały. Wtedy Prometeusz, mistrz Henryk, śpiewa smutną pieśń o swym zatopionym dzwonie, ludzie z nizin słuchają zdumieni i płaczą, a potem rozpoczyna swą pracę na nowo, tam, gdzie ją zaczął, ufny w moc swego potężnego talentu, niezłamany, niezachwiany nawet, owszem dojrzały doświadczeniem i możniejszy.

Tak w rzeczywistości.

Mistrz Hauptmann odlał nowy dzwon, podobny do swych pierwszych z przed dziesięciu lat; ale dziwnie harmonijniejszy w liniach, lśniący połyskiem szlachetnego i już jednolitego metalu, a mający dźwięk tak pełny, głęboki i czysty, że wzruszy słuchających, jak żaden z poprzednich dzwonów. Stąd zdziwienie wśród bakałarzy i balwierz, estetyków i krytyków. Jakto? mistrz wziął się znów do małych dzwonów, jakie odlewał, będąc uczniem jeszcze; jakto? Hauptmann wraca niby marnotrawny syn naturalizmu do zgrzybiałego ojca; jakto? więc ten, który taki hymn wyśpiewał do słońca, zstępuje teraz w zatęchłą, ciemną atmosferę szlaskiej nędzy? Jakto? więc Hauptmann na nowo rozbił swój królewski namiot w obozie naturalistów, wyszedłszy z niego poprzednio tylko dlatego, aby i na słonecznym polu, wśród opok i jarów, odnieść zwycięstwo. Już myśleli z trwogą bojownicy naturalizmu niemieckiego, że ich sprawa bezpowrotnie stracona, bo wódz przeszedł na stronę wrogów; a tu wódz wraca z dwoma laurowymi wieńcami na skroniach. Można już śmiało powiedzieć, że z dwoma, gdyż cała poważna krytyka niemiecka widzi w ostatniem dziele G. Hauptmanna — i to słusznie — najdojrzały owoc jego talentu, najharmonijniejszy, najbardziej skończony utwór, już nie impulsywnego,

niespokojnie szukającego swych szlaków poety, ale mistrza, spokojnie i zwycięsko tworzącego

Po upadku cyklopowego dramatu, „Floryana Geyera“, i po tryumfie „Dzwonu zatopionego“, doświadczył Hauptmann dokładnie mocy i lotności swych skrzydeł, dojrzał granice, poza które nawet ze swojemi bogactwami myśli i formy przejść nie może. Dotychczas brakło mu autokrytycyzmu skończonych mistrzów, przeceniał się lub niedoceniał, próbnym pasażem przebiegał po strunach swej lutni, szedł w zapasy i borykał się z tematami swych dramatów, krwawił dłonie, wspinając się na niedostępne, *jemu* niedostępne szczyty. Poczem przejrzał, poznał siebie samego, odczuł, że jest przeznaczony na twórcę nizin, że zrzec się musi wielkich horyzontów wysokiej sztuki Dantego i Michała Anioła. Wtedy skupił się, pogłębił, skoncentrował wszystkie siły, wyteżył swe ramiona i z rodzinnej szląskiej ziemi wydobył grudę szczerego złota. Jest w Hauptmannie to, co starożytne podanie mówi o Anteuszu: skoro tylko dotknął się ziemi Tetydy, przychodziła nań wielka siła i zwyciężał. Raz już ta siła wielka objawiła się w Tkaczach, kiedy Hauptmann przyłożył ncho do biednej szląskiej ziemi; serce mu wtedy zabiło krzyczącą litością i lzy krwawe padły na ziemię twardą bezbronnym nędzarzy. I teraz, kiedy w fantazyi poety wykwitło wspomnienie czegoś, co minęło, a było bardzo niewinne i proste, i szczere, odżyły niezatarte obrazy rodzinne „wieku sielskiego anielskiego“, te pierwsze głosy, barwy i światła, pierwsi ludzie i pierwsze wypadki, które widział, dzieckiem będąc; gdy zamarzył o domostwie swych rodziców, o swym ojcu, przeszedł wspomnieniami całe dzieciństwo i uplastyczył je w postaci woźnicy Henschla. Jakże często sprawia ostatni dramat Hauptmanna wrażenie, jakby to była opowieść o wielkiem małeństwie, które w domku swych rodziców, w kąpielowej miejscowości szląskiej żyje pierwsze latka, kochane przez wszystkich, dobre, posłuszne, nikomu krzywdy nie czyniąc. Od pierwszego razu, gdy małeństwo wyszło poza dom, poza ogródek, znalazł się na drodze brutalny drągał i uderzył je kilka razy w główkę twardą pięścią; dziecię wraca do domu płacze smutne i cicho umiera. Nic tu niema oczywiście z zewnętrznych analogii; ale czyż woźnica Henschel nie jest takim dzieckiem, kiedy, wyszedłszy z opiekuńczych ramion, w tym wypadku z bierności swych codziennych zajęć, i zdobywszy się na samodzielny czyn, na pierwszy krok, postawiony za głosem woli i serca, spotyka się zaraz z brutalnym drągałem — z losem swoim. Ugodzony silną pięścią, patrzy z niewinnem osłupieniem niezaradnego dziecka w oczy temu, któremu nic przecież nie zawinił, nie umie bronić się, i zbity, z zakrwawionem sercem i obłądnym mózgiem, schodzi na bok przed tem straszniem złem i umiera. Czy Hauptmann w tragedyi „atletycznie zbudowa-

nego“, w palonych butach, z biczyskiem w zgrubiałej dłoni, woźnicy, nie dał tragedji dziecka o duszy jasnej i niewinnej, istoty, która nie wie wcale, że mogła czynić coś złe, bo nie odczuwa nawet w sobie potrzeby czynienia złego, duszy, która jest, jak była w kolebce i jak będzie w trumnie, „jenseits von Gut und Bösen?“ I ci, co patrzą na tragiczny koniec Henschla, nie uczuwają może, jak znowu stają przed prastarą zagadką, przed jasnym, wszechludzkim znakiem zapytania: dobrze, ale za cóż naprzykład *taki* cierpi? A za co cierpiał Hiob? Gdzie owe ciężary do etycznej wagi: wina i kara; gdzież czyn, działanie, akcja bohatera i skąd śmierć, katastrofa, kara?

Bo i spróbujmy porównać woźnicę Henschla, jego naturę nawskroś bierną i jego czyn etyczny, i jego smutne samobójstwo, z innymi bohaterami tragicznymi. Za Peryklesa czasów dramatopisarze wzięli ze skarbców religii także i „fatum“, „ananke“, dla umotywowania nieszczęścia swych bohaterów, fatum bardzo piękne, efektowne, podatne etsetycznie, etycznie czasem sztuczne, a zawsze tylko pogańskie. Fatum, to coś, co nieuknione dla człowieka, przed czem i bogowie wszechmożni nie ujdą, co zapisano w odwiecznych księgach, rozpostartych na gwiazdach, co łączy się z całym wszechświatem, co jest dla człowieka drobnego tak pewnem i silnem, jak naprzykład fakt urodzenia, a mus śmierci. Szekspir, wsparty już na etyce chrześcijańskiej, ale więcej poganin, niż moralista, zmienił ten wielki czynnik czynników na żelazną konsekwencyę w temperamentach i charakterach jednostek, zmienił na sumę, kodeksogólno-ludzkich praw, z którymi gdy człowiek stanie w kollizji, staje się winnym i tragicznym. Goethe poszedł za nim w jednym kierunku, dając człowieka jako najwyższy produkt przyrody, z którą człowiek musi harmonizować i dopełniać się, inaczej bowiem wpada w winę, katastrofę i staje się tragicznym. Schiller podążył w drugim kierunku moralnym, wydobywając grzech, zbrodnię, sumienie pogwałcone, karę, jako momenta dramatu, i pisząc tragedję grzeszników. Po nich długa przerwa i skok. Z wielkim postępem nauk na wszystkich polach, na podstawach Darwina, przyszli bohaterowie Ibsena, tragiczni także przez konflikty klasowe, przez starcia ze społecznością, z rodziną, przez konflikty duchowe, wewnętrzne; ale i tam niewinny człowiek, który nie stanął w antygonizmie z niczem, z nikim nie walczył, nie działał, ma tylko tę winę grzechu pierwotnego, że się urodził synem rozpustnika Alvinga, i przez to jest bohaterem wstrząsającej tragedji Upiorów, powiedzmy po prostu ofiarą. Teoretycy nowożytnego dramatu, a przed nimi dramaturdzy, w swych dziełach, winę, t. j. motyw etyczny, odrzucili absolutnie, ale odrzucili tylko obiektywny rodzaj winy, to jest tę, która według religijnych kanonów związana jest z życiem każdego i wszystkich, przyczynę następstwa:

kary. Nie mogli jednakże odrzucić winy subiektywnej, zależnej od temperamentu, charakteru, środowiska, wychowania i tysiąca innych okoliczności. Pewien człowiek miał sumienie, zawinił i musiał to, co nań przyszło, nazwać karą; inny strząsnął z siebie złe popełnione, jak proch z ubrania, i z jasnym czołem poszedł dalej; inni codzien flegmatycznie dodają zbrodnię do grzechu, a do zbrodni podłość, a to, co na nich przyjdzie, nazwą nie karą, lecz może „pechem“ „fatalnością“ i najniezwyklejsi nie będą tragicznymi. W innym zbudzi się znowu sumienie po czynie, a inny wmówić w siebie może winę, która wtedy jest tak silną, jak realna wina u osobnika etycznego: pod wpływem ciosów rozbudza w sobie chorobliwe wyrzuty sumienia, które wtedy tak dręczą, jak po spełnieniu zbrodni.

W nowym dramacie Hauptmanna woźnica Henschel nie wpada w konflikt z niczem, ani ze światem, ani z sobą, ani z etyką (Henschel jest religijnym), ani z sumieniem; w przekonaniu swoim działa słusznie, nie jest winnym wobec Boga, bo działa dobrze wobec ludzi. Mimo to, jest tragicznym bohaterem, bo los, to mistyczne coś, co unosi się nad nami i koło nas, podnosi go na wielką wyżynę, jak mówi Schiller, właśnie wtedy, gdy go gruchocze. Los w tym wypadku nie jest ani na nowo podjętem, przed półwiekiem zmodernizowanym fatum niemieckich *Schicksalstragikóv*, ani następstwem *dogmatycznem* moralnej winy, ani, jak zarzucili niektórzy jadowici krytycy niemieccy (Julius Hart), powrotem do fetysyzmu lub moralności dzikich. W dramacie Hauptmanna winę bohater wyimaginował sobie sam już dawno po czynie, dręczące wyrzuty sumienia przyszły nań znacznie później, podczas kiedy powinny były się zrodzić równocześnie, jako głos doradczy sumienia. Między samobójstwem Henschla a zasadniczą przyczyną, wywołującą je, to jest złamaniem uroczystego przyrzeczenia, istnieje związek, ale tylko *psychologiczny*.

Oto szara kanwa żywota i historia smutna człowieka, którego imię zapisuje się w wyobraźni obok imion królów Edypa i Leara, tylko bogactwem jasnej duszy i potęgą tego, co przecierpiał.

Mała, nieznana, nie *fashionable* miejscowość na Szląsku. Wille i mieszkania stoją puste, gości oddawna niema, bo zima, luty, i tylko zamiecie śnieżne a zawieruchy. Zajazd pana Siebenhaara „pod szarym łabędziem“, dziwnie przypominający dom rodzinny autora<sup>1)</sup>. Chłopskie mieszkanie w piwnicy, do którego schodzi się po schodach słabo gazem oświetlonych. Izba tynkowana szaro, z małemi okienkami w górze, ubogie sprzęty, wielki piec, obwieszony suszącą się bie-

<sup>1)</sup> patrz Pawła Schlenthera: Gerhart Hauptmann I. Heimat und Schulzeit.

lizną, butami. Podwieczór ciemny i smutny. Na łóżku śpi chora, wyniszczona kobieta, koło łóżka kołyska z małym dzieckiem, służąca Hanka z golemi rękami gotuje wieprzowinę i kapustę... ordynarny parobek Franz stoi z batem przede drzwiami szklanemi, wiodącemi z izby do sionki. Tak więc wzorowy staffage naturalistyczny, przypominający albo niderlandzkiego mistrza van Ostade, albo współczesnego berlińczyka, Liebermanna. Wstępny nastrój prawie typowy u Hauptmanna przypomina: „Przed wschodem słońca.“

Woźnicy kąpielowemu, Henschlowi, który tu mieszka, wiodło się dotychczas niezgorzej, przywoził chorych gości i odwoził uzdrowionych, zamówień ma po dostatku, omnibus opłaca się, interesa idą wcale dobrze. Wszyscy go lubią, poważnego niezgrabę, dla jego rubasznej twarzy i poczciwych oczu. I elegancki pan Siebenhaar, i jego *madame*, i synek, i pan Wermelskirch, ex-aktor prowincjonalny, który obecnie dzierżawi szynceł nad Henschlami, i jego familia, goście, parobcy, konie, wszyscy go lubią. Ale teraz coś się zaczyna psuć w królestwie Henschlów. Poczciwy pan Siebenhaar uprawiał dotychczas „polsche Wirtschaft“, nie umiał się oszczędzać, bankrutuje i będzie się musiał wynosić; kto wie, kto tam nowy przyjdzie na właściciela hotelu; wille i mieszkania puste, szkapa, na Boże Narodzenie za 200 talarów kupiona, kuleje, własny szwagier oszukał na niej zbyt łatwo wszystkim dowierzającego Henschla. Nakoniec żona mu z powodu dziecka ciężko zaniemogła i lada chwila może przyjść po nią śmierć matula. Schorzała Henschlowa czuje już, że wnet pójdzie pod ziemię, a Willema będzie musiała opuścić. Przeczulona chorobą, zaczyna jakby jasnowiedzieć, przeczuwać, co teraz grozi jej mężowi, i gryzie się. Ona mizerota zejdzie cicho, ale pozostanie ta dziewczka, Hanka, w grubych niebieskich pończochach, z golemi rękami, ta istota nawskroś stoczona najgorszymi instyktami, obliczająca każdy krok, każdy zysk, i ta na niego pewnie siadła zastawi. Od niej grozi mu niedola. Hanka tylko czeka śmierci Henschlowej, tylko patrzy, aby zająć jej miejsce zatrzeć swój upadek i brudną przeszłość, i pokazać się panią i żoną szanowanego człowieka przed tymi, którzy ją niegdyś odtrącili z pogardą. Od tej ambitnej, chciwej, zmysłowej dziewczki grozi mu zło i nieszczęście, od tego trzeba go uchronić. Chora Henschlowa, bliższa grobu i prawdy niż zdrowi, widzi wszystko, co się dzieje, a nawet to już, co później się stanie, niezdrowemi, palającemi oczyma, i ona musi temu zaradzić, bo i coby się stało z małym robaczkiem, Gustlą, co śpi w kołysce. Czy tylko Henschla nie ciągnie już co do zdrowej i krzątającej się Hanki, czy też ona chorująca i wynędzniała nie jest mu uprzykrzonym ciężarem, czy też Henschel nie zapomni o prośbie Hanki, czy przywiezie jej fartuszek z Freibrichu...

I gryzie się Henschlowa, z wrogą niechęcią o byle co beszta wciąż dziewczysko, od rana do nocy, bezustannie wszczyna z nią kłótnie. Nie je pożywnego rosółu, który jej przyniósł od mamy mały Karolek Siebenhaar, i tylko patrzy, śledzi, czuwa i trapi się.

Wraca Henschel z Freibrichu, nie tylko, jak zwykle, zmęczony i zgłodniały, ale i sturbowany „bez to kulejące szkapsko, a potem bez tę chorobę baby“, coraz zieleńszej i chudszej. Miał w Freibrichu i pańskie polecenia, i swoje interesa, i do konowała, i mnóstwo drobiazgów... a nie zapomniał o fartuchu dla Hanki, nie zapomniał, nie zapomniał. I w gorączkowej wyobraźni Henschlowej budzi się raptownie podejrzenie, że może jej Willema już co z Hanką łączy, podejrzenie olbrzymieje w pewność, wyłania się widmo strasznej niedoli, grożącej Henschlowi, i długo tłumione uczucia wybuchają w paroksyzmie płaczu i rozpacz. Na chwilę przed śmiercią rzuca Henschlowa mężowi najniesprawiedliwsze wyrzuty, ot, jak skapryszeni chorzy; nakoniec, silna majestatem swej choroby i blizkiego zgonu, wymusza na nim solenne przyrzeczenie, że na jej miejsce nigdy Hanki nie weźmie za żonę. Henschel, zaskoczony niespodziewanie, przerażony, dla świętego spokoju przyrzeka, tem bardziej, że mu Hanka jest najzupełniej obojętną. Grożące zło uchylone.

Na tem skończył się pierwszy akt i niejako prolog dramatu. Henschlowa zesza ze świata przed kilku tygodniami, wdowiec smutny nie je, nie pije, myśli tylko o utraconej żonie. Pilnie przestrzega jej dni pamiątkowych, w rocznicę urodzin idzie czarno ubrany na cmentarz, w białych niebianych rękawiczkach i uroczystym cylindrze, składa tam wieniec, modli się i prosi zmarłej o znak z za grobu, o radę. Tymczasem z przestrzeni wynurza się żyłasta dłoń losu: Hanka zaczyna knować swe plany; musi się Henschlowi okazać nieodzowną potrzebą, podporą gospodarstwa, matką dla sierotki Gustli. Zrywa swój stosunek z parobkiem Franzem, ani nie chce słyszeć o swem dziecku, które przy dziadku pijaku niknie z dnia na dzień, nie odczuwa najłżejszych odruchów matczynego serca, lisiemi zabiegami tylko dąży do wykniętego celu. Henschel ma zamiar kupić sobie garkuchnię; czwarty krzyżyk mu już przeszedł, sterał się przy koniach i furman-kach, chciałby wziąć pracę spokojniejszą na swe barki. Bez nieboszczki jakoś wszystko idzie mu na opak: trzy konie padły, psa najlepszego sobie przejechał i biedna Gustla niezupełnie zdrowa bez matczynej opieki. On sam nie poradzi bez baby w domu, a tu właśnie Hanka ni stąd ni zowąd oświadcza mu, że będzie musiała wrócić do brata, do Gudsdorfu; brat jej koniecznie potrzebuje, zresztą obmowa ludzka dość się jej daje we znaki, jako że dziewczyna a u wdowca samego w domu; i Hanka wybucha krokodylami łzami.

Skłopotany Henschel już prawie decyduje się wziąć Hankę za żonę, żeby jakoś wszystko naprawić. Jeszcze prosi o radę pana Siebenhaara, — zawsze to inteligentny pan, z dobrem sercem dla Henschlów, Henschlowi zobowiązany, bo mu tysiąc talarów winien, a oddać na razie nie może. Siebenhaar rozważa i radzi to, co najlepsze i jedyne: wziąć zaraz żonę i gospodynię, a wszystko pójdzie dawnym spokojnym torem. Henschel to właśnie myślał i już miał na planie tę choćby Hankę; ona pracuje za czterech; dwóch sędziów-by w kozį róg zapędziła, taka mądra; młoda, zdrowa, silna; że tam ma dziecko, to już darmo, nie mogła na Henschla czekać. A co do tego przyrzeczenia nieboszce, najlżejsze wątpliwości rozpędza i uspakaja pan Siebenhaar, bo przecież Henschlowa była wtedy w gorączce, podrażniona chorobą, niktby nie mógł chorej nie przyrzec wszystkiego, coby tylko zechciała. I Henschel bierze Hankę za żonę, dla małej Gustli, dla gospodarstwa, przyszłej garkuchni i ot trochę dlatego, że coś go ciągnie do mądrej, zdrowej dziewczki

Złe zbliża się, Hanka została panią; porządnie ubrana siedzi, szyje i w wolnych chwilach oszukuje męża z przemarną kreaturą, ale szykownym wiedeńskim kelnerzyną, Żorżem. Dużo się zmieniło od jej rządów. Stary Hauße, pomocnik Henschla do koni, nie ścierpiał nowej pani, i to takiej, na miejscu zacnej nieboszczki, i po kilku zajściach z Hanką odszedł do innej służby, ale tymczasem się upija. Mała Gustla nie wie, z czego zmarła... w domu „pod szarym łabędziem” wszyscy krzywo zaczynają patrzeć na obyczajność drugiej Henschlowej. Pan Siebenhaar wypędził ze służby Żorża, nie chcąc mieć pod boki w wytartego drąga, romansującego z Henschlową; u Wermelskirchow w szynku na górze głośno o tem wszystkim mówią. Hauße wcale nie tak tam swojej nienawiści do tej „sakramenckiej ladacznicy,” ba, nawet jej śmierć małej Gustli przypisuje.

Henschel jest we Wrocławiu, pojechał tam na kilkanaście dni za interesami, a więc Hanka z Żorżem używają. Żorż ma miejsce korzystne „pod Gwiazdą”, zarabia dużo, a że „wie, jak trzeba postępować, aby mężczyźni kobiety z ręki jadły”, więc nocami przebywa u Henschlowej. Henschel ze szwagrem wracają z Wrocławia; po drodze wstąpili do Geroldsdorfu, wsi, z której Hanka pochodzi, i wzięli ztamtąd małą sześcioletnią Bertlę, opuszczone dziecko, a zarazem i hańbiący żywy dowód upadku Hanki. Henschel uczynił to w najpocziwszej myśli; po stracie Gustli chciał zrobić coś dobrego, Hance sprawić macierzyńską radość, i choć nie ojciec, wziął obdartą, głodną istotę, na wychowanie. Dotychczas miał oczy zamknięte, widział wszędzie tylko dobre i dobrego szukał; teraz nagle spadają mu łuski z oczu, widzi czarną przepaść w złej duszy Hanki, w której nie zadrgało serce matki, kobiety.

Hanka nie chce Bertli widzieć na oczy, nie daje jej ani jednego dobrego słowa, ani spojrzenia, wypiera się jej, z wściekłością patrzy na Henschla, który teraz jej, pani Henschlowej, pięknie i dumnie się noszącej, na nowo taki wstyd sprowadza; więc Hanka brutalnie odpycha dziecko, które jej hańbę będzie odświeżało u ludzi, i narazi na śmiech i szyderstwa u Wermelskirchów, u Żorża, u wszystkich. Henschel widzi, że rwą się wiotkie nici, łączące życie jego z dobrą przeszłością; traci równowagę, wymyka mu się z rąk jedyny ster, jakim kierował się na falach życia, to jest silna ufność w serce ludzkie, w dobro. Henschel czuje już, że los mu w tej Hance podstawił „połapkę, on w tę połapkę musi wejść, bo inaczej nie pójdzie.“ W ostatnich czasach bał się już czegoś złego, miał pewne, niejasne obawy, przecucia, nieufności, ale tego się przecież nie spodziewał, bo coś takiego uważał-by za niemożliwe. Zła dusza Hanki działa na niego jak trucizna; dotychczas silnego życiowo człowieka osłabia, prostaka ogłupia. On jeszcze nie dorósł do otaczającego zła. Teraz widzi, co się koło niego dzieje i coś się w nim psuje, rozluźnia, rozpada.

Idzie na górę do szynku z kowalem, aby zapisać robaka, który mu duszę toczyć zaczyna, i tam zastaje tych, co już wiedzą o wszystkim, i właśnie przed chwilą drwinkami komentowali sprowadzenie małej Bertli. Od nich dzieli go teraz coś, o czym on tylko nie wie, głośna tajemnica życia Hanki. Zastaje tu i brata nieboszczki żony, dziwnie jakoś zawsze mu niechętnego, i Żorża, i Hauffa, i innych. Hauff, jak zwykle, siedzi nad swoim piwem i wymyśla na Hanke. Dwadzieścia bo lat był u Henschlów, u ojca Willema Henschla jeszcze służył, tak rzetelnie pracował, a teraz go na starość *tulca* wypędziła, by bezkarnie romansować z Żorżem. Kto wie, jak tam było z nieboszczką, może im obojgu nawet zawadzała; Henschel zupełnie w pętach tej dyablicy, zupełnie się jakoś odmienił.

Wszyscy zebrani wrogo są usposobieni dla Henschla, mroźna atmosfera dzieli go od tych, którzy do niedawna jeszcze wszyscy tak go lubili. Henschel odczuwa to, że sztuczną wesołością przemawia coś do obecnych i z Hauffem próbuje zawiązać rozmowę. Hauff jak niedźwiedź mruczy tylko niechętnie, ale coraz głośniejsz; wreszcie, podniecony piwem, mówi mu, że ma błoto we własnym domu, a tego nie widzi, że się dał usidlić takiej ladacznicy, którą wszyscy pogardzają. Wtedy łagodny jak baranek Henschel uczuwa się atletą, chęć zemścić się na złych za wszystko złe, myśl ratunku z połapki losu i nadzieja odsunięcia grożącej katastrofy i powtarzających się dyssonansów wzbierają w nim. Spokojnie, tłumiąc w sobie żywiołową siłę, wynosi za drzwi Hauffa; zdawało-by się, że wyrzucił groźną, straszną prawdę, wyrzucił niepokój i rozterkę z duszy. Wtedy brat nieboszczki ujmuje



się za Hauffem, powtarza to, co on mówił i dodaje swoje już wprost i bez ogródki: Ano Henschlem teraz wszyscy pomiatają, wszyscy go lekceważą, bo jego żonka zdradza go na wszystkie boki, a on tego jakos̄ zdaje się nie widzieć, starego Hauffa pozwolił jej wypędzić, teraz go jeszcze sam wyrzuca, i to nie ze swojego szynku, wierzy tylko i zadaje się z taką hołotą, jak Żorż, a tu żona właśnie z tym Żorzem oszukuje go w jasny dzień. Tak, to jest cała prawda.

I szwagier Walther, uspokojony, powiedziałwszy wszystko, co mu na sercu leżało, chce odejść.

*Henschel* (kładąc ciężko lewą dłoń na ramieniu Walthera): A teraz to zostaniecie. Ani kroku stąd! rozumiecie? ani kroku.

*Walther*: Ale... a cóż wam jeszcze potrzeba?

*Henschel*: To już se zobaczycie. Powiadam, ino ani kroku (do Franciszki, córki Wermelskircha). Idźno panna na dół i przywieź tu moją babę.

*Wermelskirch*: Ależ, mój panie Henschel, na rany Boskie, nie rób-że mi pan tu awantur. Jeszcze mi pan policyę na kark sprowadzisz, jeszcze...

*Henschel* (w strasznym wybuchu passyi, fioletowy na twarzy): To was pozabijam wszystkie, jak psy!!! Tu mi Hanka musi przyjs̄ć, tu, na to miejsce...

Wermelskirch, sam Walther, pan Siebenhaar, wszyscy go uspakajają, Żorż umknął gdzieś w panicznym strachu; Henschel nie widzi już nic, nie słyszy nic, on spokojny był i cichy, nikomu wody nie zamącił, skądże więc tyle na niego spada? Teraz, albo to prawda, co ludzie mówią, albo dlań niema już nadziei i tylko zło, zło, nieszczęście i noc. Nie, Hanka wbiega zadyszana, ale bezczelnie pewna siebie, widzi Henschla, jak kurczowo ściska Walthera i czeka ratunku, zaprzeczenia. Hanka wypiera się wszystkiego z lekceważącym śmiechem, kłamstwo, przeklęte kłamstwo podłych ludzi.

Henschel puszcza ramię Walthera, opada na ławę. Przekonał się więc, że ludzie kłamią oszczerczo, obmawiają Hankę niegodnie — ale wie już także, że los położył na nim swą kościstą, nieubłaganą prawicę. Żona nieboszczka daje znak z za grobu, dla niego na ziemi niema ratunku, spokoju. W skołatanej głowie coraz czarniejsze, straszniejsze myśli zaczynają się mrowić, z cieniów wypełzają podejrzenia kto wie, dlaczego Gustla umarła, Hanka własne dziecko tak brutalnie odepchnęła, cóż więc dla niej obce dziecko przypawić o śmierć, gdy zawadza i hańbi? A on ją wziął za żonę, taką bez krzty serca dziewczkę, i broni jej zła i staje się jakby współwinnym, a przecież wtedy nieboszce ślubował, uroczyście ślubował, i ślubowanie zламаł.

I szuka Henschel w sobie winy i niby ją znajduje, ale czuje równocześnie i swą niewinność. Mimo uczucie niewinności, jakieś bezimiennie, bezistotne dreszcze przechodzą mu w sumieniu. Widzi, że ci, co mu niedawno jeszcze doradzali się żenić, teraz odsuwają się odeń z niechęcią, odpychają go z pogardą; a gdzież jego wina, skoro działał w swoim prawie wedle sumienia i serca. Wraca samotny myślami do zmarłej żony, na każdym kroku widzi jej postać, słyszy, jak go woła z za grobu i z tamt-go świata chce go dla siebie ratować. Tęskni za nią coraz silniej, tu na ziemi nie ma już nikogo swojego; ze złą kobietą nie wiąże go nic. On nie czyni jej żadnych wyrzutów, wie, że Hanka nie jest przyczyną jego nieszczęścia, ale ostatnią z przyczyn, pociesza ją nawet: „tyś ta temu nie winna, tak się musiało stać.“ Tylko wytrącony z życiowej równowagi, stępiąły na wszystkie zewnętrzne przejawy, zaczyna już żyć tylko wewnętrznie, duszą z nieboszczką, z Gustlą, ze wspomnieniami, w zaświatach. Pełen chorobliwych imaginacji nie może spać wcale, nocami siada pod oknem suterelowem i godzinami patrzy w niebo, iskrzące gwiazdami, w smutny księżyc, i wzdycha ciężko. Mówi niby jeszcze o wszystkim rozsądnie, ale już bez ładu i składu, jakby był nie z tego, a z innego świata. Wielka krzywizna chorej myśli pada na jego mózg. Wie tylko wreszcie, że jedno z nich stąd, z życia, odejść powinno, koniecznie, że on z tą wzmagającą się tęsknotą do piękna prawdziwego, do dobra, na *tym* świecie żyć nie może.

I po pewnej księżycowej nocy, kiedy już zimny szary brzask wkrada się do izby piwnicznej, rozgorączkowany aż do obłądu, wieszają się w sąsiednim alkierzyku. Biedny Henschel!

Takie jest ostatnie dzieło Hauptmanna. Ani podnosi, ani upaja, ani czaruje lub olśniewa, ale bardzo uspokaja i smuci, głęboko smuci. Bez antycznego patosu, bez szerokich horyzontów myśli, jednak działa, jak Iphigenia w Turydzie, albo tragedia Hamleta. Znowu w niem zstąpił poeta do maluczkich, ubogich duchem, i znowu zaśpiewał, uderzony w samo serce. Rzecz dziwna, że u tego dramaturga i postaci, i czyny rodzą się głównie z uczucia litości dla cierpienia ludzkiego, że w oddaniu i odtwarzaniu słabości i bólu, niezaradności i nędzy, doszedł Hauptmann do potęgi geniuszów. Zdaje się czasem, jakby to był

poeta liryk, który tylko dlatego został dramaturgiem, ponieważ ma moc malowania bólów nie własnych, lecz cudzych, jakby to był liryk w drugiej osobie. U niego serce ciągle bije i czasem, kiedy wzbierze żalnością, uczucie przelewa się i poeta pisze. Ta szczerą miłość niezaradnych, nędznych, nie umiejących się bronić, już w pierwszym utworze Hauptmanna, w *Frometidenlos*<sup>1)</sup>, znalazła swój wyraz:

... „Kaum hat Selim  
Den Schmerz in seiner Gegner Brust gelesen  
Kaum sieht er draus des Hasses Blumen blühn,  
So ist er auch von seinem Zorn genesen  
Und fühlt von Mitleid seine Brust erglühn.“

I rzeczywiście z kwiatu litości unosi się miły powiew we wszystkich jego dramatach. Jana Vockerata w *Samotnych* pojmujemy sercem litującym się nad człowiekiem, który nie potrafił dla siebie znaleźć podstaw, środowiska, za słaby był, aby zerwać z przeszłością, z tradycjami rodziny, i za słaby, aby związać się z przyszłością, z Anną Mahr. *Floryan Geyer* to tragedia człowieka, „który nie umiał dobrze grać i dlatego mu lutnię na łbie rozbili.“ *Tkacze* to przecież Gehenna nędzy i cierpienia ludzkich, martyrologia szlaska. W *Woźnicy Henschlu* to kobiece oko, patrzące na świat i ludzi, stało się prawie okiem dziecka, które co chwila łąą zachodzi. Ale ten liryzm, kobiecość, sprawiają znowu, że Hauptmann nie może się wzbić na wyżyny monumentalnej sztuki, na szczyty geniuszów twórczych, proroków, ogłaszających własne, potężne światopoglądy, „nowo narodzone światła.“ Nie będzie nigdy klasykiem, bo jest tylko geniuszem obiektywizmu, nie będzie wieszczem, bo sam z siebie nic, lub prawie nic nie daje, nie będzie oślepiającym światłem w krainie ducha, bo on tylko cienie skupia. Tak ciasną i bezwzględną jest idea naturalizmu, że wymaga od swych ludzi co chwila, aby się zrzekli własnego ja, stawali niewidzialnymi, a dawali to, co jest zewnątrz nich wyłącznie; tego naturalizm wymaga nie tylko od swych uczniów, ale i od swych nauczycieli i mistrzów. Hauptmann w *Woźnicy Henschlu* dał najdoskonalszy wzór dramatu naturalistycznego, dzieło skończone, odległe o całe przestrzenie od rozmaitych „Meister Timpe“, „Meister Oelze“, „Familie Selicke“, „Brot“, „Hunger“, a nawet od „Święta zgody“ lub „Tkaczów.“ A więc środowisko odtworzył z dawnym wirtuozowstwem,

1) wycyfany z obiegu poemat.

z subtelnym doborem barw, z dokładnością, w której niema reporteryi Zoli, ale jest natomiast pewne pańskie lubowanie się w miniaturowych szczegółach. A więc przedziwnie Hauptmann uchwycił nastroje na tle tego środowiska i powiązał je w całość delikatną i harmonijną. Następnie rozwinął szeroki talent malarski w pełni charakterystycznej drugorzędnych figur i trzecioplanowych osób. Stoją żywe, ruchliwe; każda z nich myśli właściwymi zwrotami, mówi swoim językiem, wyodrębnionym do najdrobniejszych odcieni<sup>1)</sup>, kilku rzutami pędzla poeta wydobywa je z przestrzeni: a jakkolwiek niektóre z nich nie przyczyniają się niczem do rozwoju akcji w dramacie, to jednak do rozwoju psychologicznego Henschla dopomagają wszystkie. O ile w tem wszystkim i w budowie dramatycznej pięciu obrazów raczej, niż aktów, był Hauptmann malarzem, i to malarzem wirtuozem, o tyle w głównej postaci okazał się plastykiem, i to greckim plastykiem. Żeby dojść do tej upragnionej potęgi w stworzeniu bohatera, wyrzucił Hauptmann za pokład cały balast obłudnie ciemnych efektów, jakiegokolwiek tendencji, wyrzekł się szczegółów czarujących ponurym blaskiem i unikał wszelkiego radykalizmu idei. Za Alfredem Lothem, Wilhelmem Scholzem, Janem Vockeratem, Floryanem Geyerem, zawsze jeszcze widziało się coś większego, potężniejszego, tożsamo w Hausi i Tkaczach, nawet w Koledze Crampton czuło się gorującą nad postacią upadłego profesora newrozę ogólno-artystyczną, alkoholizm. W Woźnicy Henschlu czuje się i widzi ciągle tylko Henschla, widzi się go potem jakby przez chmurę, coraz większego i coraz dalszego, ale nie traci się go ani na chwilę z oczu duszy, ni z pamięci uczucia. Widzi się, jak z ciężkiego, niezgrabnego chłopca szląskiego, podobnego niekiedy do Chama Orzeszkowej, którego mowa była prosta, tak—tak, nie—nie, pod ciężkimi ciosami losu wyrasta Hiob biblijny, cierpliwy na wszystko, jakby mówił: „nie moja, ale Twoja wola niech się stanie“, a potem wyolbrzymia się człowiek, biedny syn człowieczy, ani *sapiens*, ani *bestia*, ani *lupus*, ale człowiek pierwotny, tworzący już sobie własny fatalistyczny systemat przeznaczenia, zabląkany w jakichś smutnych przecuciach o więzach woli, człowiek, tłómaczący sobie życie jako łańcuch żelazny przyczyn wszechrzeczy, w którym on był tylko przemałym ogniwnem, ziarnkiem prochu w obliczu Pana. Nie zapomni się już po tem dziele Hauptmanna tej natury Henschla, otwartej i szczerzej, pozornie grubej i twardej, a w istocie słabej i delikatnej, tego bliźniego

<sup>1)</sup> Nawiasem mówiąc, Woźnica Henschel pisany jest niemieckim dialektem górnoszląskim, wkrótce jednakże wyjdzie wydanie książkowe w literackim języku.

woźnicę, elementarnego, jak sama przyroda, nie zapomni się tego cha-  
ma z duszą dziecka tak sielsko-anielską, że jeden cios wystarczy, aby  
ją śmiertelnie razić.

Taka dusza, uwolniona z ciała, leci w przestworza jak biały go-  
łąb z krwawą ranką na piersi.

Takiego człowieka stworzy tylko poeta.

ADOLF NOWACZYŃSKI.

---

# KRONIKA RZYMSKA.

---

Historyczne dzieło, obliczone na większą objętość, owoc długiej pracy i niepospolitej erudycyi, ukazało się jednocześnie we włoskim i niemieckim języku. Wcielam je tem chętniej do „Kroniki rzymskiej,” bo nasamprzód nosi tytuł: „Dziejów Rzymu i Papieży w średnich wiekach,” a powtóre, iż włoskie wydanie objęło już dwa tomy, podczas gdy niemieckie ukazało się w kilku zeszytach. Autorem dzieła jest jezuita, ojciec H. Grisar, profesor uniwersytetu w Innspruku, który przez lat dwadzieście zbierał w Rzymie materiały, i to nietylko ściśle historyczne, ale i do dziejów cywilizacji papieżstwa w średnich wiekach, na tle Rzymu, tak, aby z książki (opatrzonej rycinami) wyszedł jeden możliwie cywilizacyjno-historyczny obraz Wiecznego Miasta, w początkach chrześcijaństwa, aż po drugą połowę XV-go stulecia.

Oba te wielkie materiały dziejowe tak się z sobą zrosły w średnich wiekach, że nie mogą być rozłączone. Przeszłość papieżstwa i jego światowej działalności, przedstawia się badaczowi w niezupełnem świetle, jeżeli jego wzrok nie zatrzyma się, i to uważnie, na ściślejszych dziejach Kościoła rzymskiego w samej stolicy, pierwszego apo-

stoła i biskupa, tem mniej zaś możliwe jest mówić o Rzymie średnio-wiecznym, który w owych czasach miał taką siłę tajemniczą dla całego świata, przedstawić go historycznie, jeżeli się nie uwzględni daleko na wsze strony sięgającej działalności Papieży, w miarę, jak chrześcijaństwo ogarnia coraz większe brzegi.

Jest więc znaczna różnica między powyższem dziełem, a wydawnictwem dokonaniem przez trzema laty przez pp. Jerzego Gayau Andrzeja Peraté i Pawła Fabre'a, b. członków, czy też wychowanców t. zw. francuskiej Szkoły Rzymskiej, mieszczącej się w Pałacu Farnese, noszącem tytuł „Le Vatican, les Papes et la Civilisation“ (nakładem księgarni Firmin-Didot). Co do wspaniałości wydania, rycin, jedno drugiemu zapewne nie ustępuje, ale książka francuskich autorów jest raczej obszernym szkicem, wytwornem studyum o Kościele i Papieństwie, i syntezą tego, czem one były i czego dokonały od zaczątków chrześcijaństwa aż po nasze czasy, tj. do pontyfikatu Leona XIII, ogólnym obrazem historii Kościoła i Papieństwa, jego organizacji, zasług Papieństwa dla sztuki i t. d. Ktoś, coby chciał mieć ogólne wyobrażenie o tem, czem są: kolosalne archiwum papieskie i Biblioteka Vaticana, znajdzie tam osobny rozdział, obszernie rozwodzący się nad przedmiotem.

O. Grisar, choć dzieje Papieństwa przerastają o wiele znaczenie samego Rzymu, zajmuje się jednak obficie dziejami samego miasta, raz dlatego, że nie masz dotychczas dzieła, w którem-by rozwój kościelnych stosunków i urzędzeń miejscowych przedstawiony był dokładnie i ze znajomością rzeczy, wymagającej ręki duchownego; powtóre zaś, i to z ważniejszych względów, że w ostatnich czasach, a mianowicie w ciągu lat trzydziestu, starożytne dzieje Rzymu zyskały mnóstwo materiału, proszącego się o obrobienie. Prowadzone na większą skalę wykopaliska starego grodu Romulusa, właściwie od niedawna tylko, dały poznać wygląd stolicy klasycznej i zarazem pochód zniszczenia, przemiany i burzenie pomników w średnich wiekach. Przybyło również mnóstwo wydawnictw, nowych źródeł, oświetlających pomrokę tych odległych stuleci. Niemieckie wydawnictwo *Regests* Papieży, praca księdza Duchesne, dyrektora Instytutu historycznego francuskiego rzymskiego, Mommsena (*liber Pontificalis*), włoskie publikacje Lancianiego, Archeologicznej komisji rzymskiej, Towarzystwa de Storia Patria, a nadewszystko archeologiczne badania niedożałowanego J. Chrz. Rossiego nad pierwszemi czasami chrześcijaństwa i w średnich wiekach rzuciły tyle nowego światła, iż dawniejsze opracowania są już dziś przestarzałe.

I my także razem z innemi narodami możemy się pochlubić za-  
biegliwością w odkopywaniu najstarszych świadectw stosunków Pol-

ski z Rzymem, choć one w średnich wiekach częstemi nie były i dopiero XIV wieku stają się ożywione. Na rok 1000 przypada założenie biskupstwa gnieźnieńskiego przez Sylwestra II, potem Grzegorz VII wchodzi w bliższą styczność z Bolesławem Śmiałym, urządza na nowo Kościół, po reakcyi pogańskiej za Mieczysława II. W XII wieku stosunki się mnożą, choć jeszcze są luźne, ale legaci coraz częściej zjeżdżają się do Polski. Czasy arcybiskupa gnieźnieńskiego, Kietlicza, zwiastują ściślejszy związek: na połowę XIII wieku przypada kanonizacya Św. Stanisława biskupa i Jadwigi księżniczki szląskiej, i dopiero (jak powiedzieliśmy) w XIV wieku rozpoczyna się bardzo ścisły stosunek, tak kościelny, jak i polityczny, o ile Polska wchodzi w grę polityki ogólnoeuropejskiej, w czasie kiedy Papieże siedzą w Awinionie.

Osobliwością archiwalną, dającą niejako rys humorystyczny do ciężkiego materiału średniowiecznego, jest znaleziony w archiwum watykańskim, a właściwie w t. zw. Bibliotece, przez Rajnalda (ogłoszony w jego *Annales*) list naszego Leszka Białego do Papieża Honorjusza III, z prośbą o zwolnienie go od ślubów pielgrzymki do Ziemi Świętej. Leszek Biały przytacza jako powód, że w Palestynie niema piwa (*cerevisia*), a on bez tego trunku obejść się nie może. Ówczesne piwo było odwarem z jęczmienia, zdaje się bez chmielu. Oryginał, na pergaminie, bez podpisu, jak wszystkie ówczesne listy książęce, opatrzone jedynie pieczęcią Leszka, znajduje się w zbiorach watykańskich.

Skutkiem pojawienia się w ciągu kilkudziesięciu latnowych materiałów do znajomości Rzymu, obszerne dzieło Gregoroviusa, „Dzieje Rzymu w średnich wiekach“, okazuje się niewystarczającym, tem bardziej, iż kto w niem szuka obrazu dziejów Papiestwa, a nawet dziejów miasta, dopatrzy się rozmaitych braków. Zarzucają przytem Gregoroviusowi, iż nie zawsze był bezstronnym wobec Watykanu, gdyż nawet sam wyznał, jakoby pisał „Dzieje Rzymu“ w myśli popierania Zjednoczonych Włoch, a przewodnia myśl Kościoła katolickiego, tak naturalna w pracy tego rodzaju, pozostała mu obcą; zarzucają mu więc brak poważnej i szerszej dążności do uchwycenia prawdy dziejowej. Nie wątpię, iż książka O. Grisara inaczej się przedstawi i w tym też sensie wyrazili się doń Leon XIII i uczoney kardynał wikary, L. M. Parocchi. Ten ostatni, przeczytawszy nadesłaną część dzieła, powiada, że katolicki duch, jakim dzieło jest przejęte, nie zamąca bezstronnej przedmiotowości w ocenie osób i przyczyn; a surowa i metodyczna krytyka łączy się z troskliwym zachowaniem tradycyi, tam, gdzie tego



ściśłość wymaga. Przytem uczoność archeologiczna kojarzy się z wiedzą i znajomościami historyka i teologa.

Pierwszy tom obejmie czasy od IV do VII stulecia, drugi tom doprowadzi do Karolingów, trzeci do walki o inwestyturę za Grzegorza VII, czwarty poświęconym będzie obrazowi największej potęgi Papiestwa i Rzymu od Grzegorza VII aż do upadku Hoheustaufów; piąty opowie losy Wiecznego Miasta i rzymskiego prymatu aż do końca pobytu Papieży w Awinionie, szósty zaś i ostatni zamknie średnie wieki z chwilą, kiedy pojawiają brzaski Odrodzenia w wieku XV.

Dzieło jest ładnie i umiejętnie ilustrowanem.

Zajmującym jest przypatrzeć się ostatnim przeblyskom pogaństwa w Rzymie, na podstawie najnowszych badań, powolnemu i wcale nie gwałtownemu zamieraniu, rozpadaniu się dotychczasowego porządku państwowego i społecznego w IV stuleciu, wkraczaniu chrześcijaństwa, gdy, w pół wieku po śmierci Juliana Apostaty i po jego poprzedniku Konstancyne Wielkim, odegrały się ostatnie zapasy pogaństwa z religią Chrystusa. Klęska, jaką anty-cesarzowi Eugeniuszowi w r. 394 zadał chrześcijański cesarz wschodnio-rzymski, Teodozjusz, spowodowała ostateczny upadek wprowadzonych wtedy na nowo do dawnej stolicy pogańskich obrządków i utwierdziła zupełny tryumf chrześcijaństwa, jako religii państwowej. W muzeum, w Barlecie, w południowych Włoszech, znajduje się kolosalny, brązowy, mało wogóle znany, posąg cesarza Teodozjusza, ujawniający już upadek sztuki, z labarum Konstancyne w rękę i monogramem Chrystusa.

Naturalną jest rzeczą, że w samym Rzymie, wśród tylu zabytków świetnej przeszłości, w samem sercu kraju, pogaństwo broniło się najdłużej przed zagładą, jaka mu groziła ze strony chrześcijan, i jeśli uległo, to dla tego, że się przeżyło i strupieszalo. Jednym z tych, co podtrzymywali walący się budynek, był prefekt Pretoryanów anty-cesarza Eugeniusza, Flawian Nikomachus, fanatyczny czciciel kultu bogów, jeden z tych stronników pogaństwa w senacie, co nie bez słuszności widzieli ratunek rzymskiego państwa, tak jak je rozumieli, w utrzymaniu dawnej wiary. Gorąco więc zwalczał edykt cesarza Gracyana z r. 382, zakazujący składania ofiar bogom w imieniu państwa, i rozporządzenie Teodozjusza z 391 r., idące jeszcze dalej, bo wzbraniające ofiar nawet prywatnych i nakładające kary za zwiedzanie świątyń pogańskich. Wydany w r. 1868 rękopis Prudensa rzucił pełniejsze światło na ową historyczną postać z chwili dziejowej, równie stanowczej i groźnej dla chrystyanizmu, jak w chwili bitwy między Maksencjuszem poganinem, a Konstancynem Wielkim, do której, jak

wiadomo, odnosi się słynny fresk Rafaela Sanzia w Stanzach Watykańu. W Rzymie zapalonych zostało mnóstwo ofiar, z ołtarzy w zamkniętych przez czas jakiś, a teraz na nowo otwartych świątyniach, wznosił się dym, wobec dostojników państwa i kapłanów. Flavianus sam, w szacie kapłana, prowadził pochód Izdy, szukającej Ozyrysa. Uczczono także Cybelę orgiami, Mitrasa, perskie bóstwo, a kiedy krew zarżniętego byka oblała Flawiana, wyparł się publicznie Chrztu Ś-go, które był odebrał. Było tedy niebezpieczeństwo, że, w razie pobicia wojsk Teodozyusza, chrześcijańskie bazyliki Medyolanu, nowej stolicy Italii, zamienione zostaną na stajnie; ale chrześcijaństwo uratowane zostało przez zwycięstwo Teodozyusza, broniącego pod Akwileją (5 września 394) korony swojej i chrześcijaństwa, zwycięstwo labarum Konstantina, niesionego przed legionami, nad „Herkulesem Niezwyyczajnym“, odznaką pogańskich hufców Eugeniusza.

Przełom nie wywołał zaburzeń nad Tybrem; Teodozyusz, ostatni cesarz, który całe rzymskie państwo pod jednym berłem zjednoczył, postąpił bardzo łagodnie z poganami, bo i kult bogów się rozkładał, i Rzym, jako wielkie miasto, podupadał szybko.

W istocie, błędnem zupełnie było-by mniemanie, iż chrześcijaństwo, t. j. jego cesarowie, pastwili się nad pogaństwem. Zdaje się nawet, iż prawa przeciw obrządkom bogów, wydane za Konstantina, mało były przestrzegane, jak o tem świadczy mnóstwo napisów, w części nowoodkrytych, mówiących wyraźnie o postawionych ołtarzach, posągach bogów, uroczystościach, ofiarach, jako o rzeczach całkiem zwykłych i przyjętych, zwłaszcza ze strony senatorów, znacznych rodzin (*viri clarissimi*), i to aż do roku, co najmniej, 391. Więc edykta zostawały martwą literą, nawet pomimo kary śmierci, nie mówiąc o czasach Juliana Apostaty, kiedy całkiem zanikły, wobec odrodzenia obrządków, misteryów tajnych, działających na zmysły i chacie ludu.

Ołtarz Bogini Zwycięstwa (*Victorii*) z jej posągiem, w sali Senatu, był środkiem, około którego bronili się długo ostatni poganie, ale *Victoria* została usuniętą z kapitolu, a chrześcijańscy cesarze złożyli tytuł: *Pontifex maximus*. Prócz tego, pogańskie obrządki miały w Rzymie samym kilka sławnych zborów, uświęconych przez starożytność; ale w IV wieku ulubionym był kult Mitrasa, z najznaczniejszą świątynią niedaleko dzisiejszego kościoła św. Sylwestra *in capite*, tuż koło *Corsa*, oraz w świątyni Cybeli, która stała po lewej stronie wejścia do bazyliki św. Piotra, wewnątrz cyrku Nerona. Ona to najlepiej świadczy o duchu tolerancyi, jaki chrześcijaństwo przyniosło z sobą do Rzymu. Przy wykopaliskach w r. 1608 i 1609 pod otoczeniem

nowej Bazyliki Watykańskiej, znaleziono szczątki świątyni Cybeli, zwanej *Mater magna Deorum*. Wtedy, gdy już stała pierwotna bazylika Konstantyna Wielkiego, nad grobem Św. Piotra, długi czas obok niej istniała, aż po r. 400, jak o tem opowiadają znalezione napisy— świątynia Cybeli; kiedy zewsząd podążano do chrzcielnic u św. Piotra, w Lateranie i innych kościołach, jednocześnie odbywały się obrządki Cybeli, zabijanie byka i odprawianie innych misteryów. Najzupełniej więc fałszywym jest twierdzenie, jakoby w owym czasie świątynie bogów były burzone lub zamieniane na chrześcijańskie, albo że wtedy niszczone posągi bożków. W istocie, kto-by wtedy był się domagał zburzenia świątyń, był-by chyba chciał widzieć całe miasto w gruzach, tyle ich było i tak wielkich; zresztą budowa nie nadawała się wcale do wymagań chrześcijańskiego kultu, choćby z powodu szczupłości miejsca dla właściwego nabożeństwa, ciasnej celi, mieszczącej posąg bóstwa. Inaczej działo się na Wschodzie. Tam rzeczywiście chrześcianie, zwłaszcza mnisi, rzucili się do burzenia pogańskich przybytków; ale co do Rzymu, zarówno wykopaliska, jak i współczesne dokumenty, objaśniają nas o prawdziwych losach świątyń i posągów. Z całego czasu przed r. 526 nie jest wiadomem, aby jakakolwiek świątynia pogańska zamienioną została na kościół, a tem mniej, aby została zburzoną; wiele przytem dzisiaj posiadamy autentycznych wiadomości, jakim był los zabytków, uważanych nawet przez chrześcian, jako pomniki dziejowe wielkości Rzymu. Oczyszczone z przesądów i tego, co się nazywało *res illicita* (rzeczy niedozwolone), świątynie mogły dalej istnieć dla ozdoby miasta, jako własność państwa. Dotyczy to zwłaszcza świątyń, nie poświęconych wprost bogom, ale przeznaczonych na cele świeckie, użyteczności publicznej, dla miasta. Jeśli więc pierwsze zamknięto, drugie pozostały nadal w użyciu, jako miejsce zebrania, składy ważnych dokumentów, tak, jak niemi dotychczas były, a nawet zostawały pod opieką władzy chrześcijańskiej, jak to widoczne jest przy świątyni Saturna pod Kapitołem i dzisiejszym kościółku św. Kozmy i Damiana, niegdys „Świątyni miasta Rzymu“, na Forum. Znanemi są również rozmaite prawa chrześcijańskich cesarzy, nakazujące wyraźnie podtrzymanie świątyń. Pod tym względem, krótkie, po śmierci cesarza Teodozjusza, wydane, rozporządzenie cesarza Honoryusza nie pozostawia wątpliwości: „Podobnie jak zakazujemy ofiar, tak z drugiej strony chcemy, aby publiczne budowle pozostały jako ozdoba“. Burzono więc ołtarze, ale zostawiano gmachy. Zmysł estetyczny, upodobanie w upiększaniu miasta było tak rozwiniętem i zakorzenionem, że posągi bogów, kiedy je wyjmowano z wnętrza, z ukrycia cel, ustawiane były na placach chrześcijańskiej Romy, naturalnie ze zmienionemi napisami na podstawach, dla jej ozdoby.

Takim też sposobem, na schyłku V a początku VI wieku, fora, termy, bazyliki świeckie, zaludniły się nowym poczem najpiękniejszych posągów z marmuru i kruszczu. Wiemy o tem wszystkim z napisów na odkopanych tu i owdzie podstawach, tylko, że imię bóstwa było systematycznie przemilczanem, bo posąg istniał odtąd jako dzieło sztuki; wiemy np. o czterech brązowych posągach, przeniesionych na forum Romanum, dzisiaj zatraconych dziełach rzeźbiarzy greckich: Praksytelesa, Poliklita, Tymarcha i Bryaxydesa. Podstawa posągu Praksytelesa wyszła na jaw niedawno, bo w r. 1874.

Zajmującym jest szczegół, iż w niektórych napisach znalezioną została wzmianka, iż posąg wydobyty został „z ukrycia“. Widocznem jest tedy, iż poganie sami, wobec edyktów cesarzy chrześcijańskich w V stuleciu, ukrywali, zakopywali posągi, który-to los spotykał również posągi cesarzy. Aż do najnowszych czasów odnajdowano na obszarze dawnego imperyum posągi bogów, które widocznie z rozmysłem i zachowaniem ostrożności zakopane leżały w ziemi. Do nich należy Victoria (dzisiaj w Brescii), Merkury (dziś w British Museum). Venus Milo (dziś w Luwrze); a nawet cesarz Augustus, na którym znać ślady polichromii, obecnie ustawiony w muzeum watykańskim, odkryty został w polu, w majątku Prima porta pod Rzymem, ułożony miętko pod nakryciem z dachówek. Kolosalny Herkules z brązu złoczonego, znany turystom, odwiedzającym muzeum watykańskie, leżał pod pałacem Righetti w Rzymie, starannie zamurowany. Co do posągu cesarza Augusta, sądzę, iż ukrycie onego, wyniesienie z wili Livii (w Prima porta) spowodowanem zostało przez zbliżenie się Alaryka z Gotami i Hunnami w r. 410 pod mury Rzymu, dla rabunku. Marmurowy posąg Wenerzy w muzeum kapitolinińskim, znakomite dzieło greckiego dłota, znalezionym został w podobnych warunkach w podwalinach, w dzielnicy Rzymu, Suburra, znanej za czasów cesarstwa jako miejsce, gdzie mieszkwały prostytutki. Być może wreszcie, iż poganie, kapłani, ukrywając rzeczony posąg, spodziewali się jeszcze wskrzeszenia w niedalekim czasie starożytnych obrządków. Wspomnę tu jeszcze o jednym z bardzo ciekawych zabytków rzeźby, jakie Rzym dzisiejszy zawdzięcza trwożliwości, zamiłowaniu swoich mieszkańców do dzieł sztuki, w V czy VI wieku. Jest to siedzący gladyator naturalnej wielkości, jeden z tych, co walczyli na pięście (obwite rzemieniami), z brązu, znaleziony w r. 1885, przy budowaniu fundamentów pod Theatro Nationale, w Rzymie. Kiedy go znaleziono, gladyator siedział całkiem prawidłowo na podstawie, w ukryciu, zrobionem umyślnie. Dzisiaj znajduje się on w muzeum, urządzonem w termach Dyoklecjana, koło stacyi kolei, na placu dei Termini.

Jednym z najważniejszych, a zarazem i najświeższych odkryć— wykopalisk — gdyż odnosi się do r. 1883—jest atrium Vesty, na Forum, świątyni Westalek, które do pewnego czasu ślubowały dziewictwo, a w zamian za to zyskiwały przywileje i dochody od państwa. Atrium było połączone z sławną prastarą świątynią Vesty, centrum świętości Rzymu; tworzyło podłużny czworobok, podwórze albo perystyl, otoczony zachowanymi aż po drugie piętro pokojami dziewic, strzegących świętego ognia. Pewna ilość zachowanych nieraz dobrze posągów *Vestales maximae*, z napisami lub bez nich, przywodzi na myśl wspaniałe szeregi posągów dziewic Vesty, ustawionych niegdys *Peristilium*, w czasach, kiedy nikt z obcych zajrzeć tam nie mógł. Jest takich napisów z nazwiskami księż - westalek trzydzieści pięć. Ale i one, choć były purissimae i piissimae, wciągnięte zostały do ogólnej ruiny, tak, że naprzód zmalały do liczby siedmiu, potem, za Juliana Apostaty, wróciły chwilowo do znaczenia, do honorów, aby zniknąć ostatecznie w epoce, o jakiej wyżej mówiliśmy, kiedy państwo cofnęło im wygody i przywileje. Jednakowoż aż do r. 394 zachowały się one razem ze św. Zniczem Vesty, patronki Rzymu. To więc jest pewnem, że wygasły spokojnie, po jedenastu wiekach istnienia; ich atrium nie zostało, jakby sądzić można, gwałtownie zburzonym, gdyż posągi, kiedy miejscowość odkopano, stały jeszcze na dawnych stanowiskach. Najwięcej zniszczenia pod tym względem przyniosły niewątpliwie średnie wieki. Kiedy w r. 1883 zaczęto kopać, znalazło się pomiędzy innymi pięć posągów jednej i tej samej Flawii Publicyi, widocznie znakomitości swego zakonu, co nie przeszkadza, że inna znakomita westalka, uczczona posągiem, jak to widocznem jest z podstawy, przyjęła chrześcijaństwo i skutkiem tego imię jej, w roku 364, zostało wyrzezanem z napisu, jako podpadłej *damnationi memoriae*. Inny znów wymowny kontrast ze swoją epoką stanowi sędziwa, niemal tragiczna, wierna swojej wierze, westalka, o której opowiada poganin Zosimus (*Corpus St. hist. byzant.*): błędziła ona smutna w opustoszałych, milczących izbach pod Palatynem, i kiedy zobaczyła, że Serena, żona Stylichona, zdejmuje z posągu Rei złote ozdoby, obrzuciła ją przekleństwami, przywołując pomstę bogów na bezbożne czasy...

Charakterystycznym rysem przemiany Rzymu z pogańskiego na chrześcijański jest zachowanie igrzysk publicznych w pierwszej epoce chrześcijańskiej, a jeszcze znamiennejszym jest sposób, w jaki je zachowano, przyjmując tylko zabawę, niejako obywatelską stronę uroczystości, z odrzuceniem ceremonii pogańskiego kultu. Rzymianie zbyt byli przywiązani do tych obchodów, aby się bez nich obeszlili, tylko że władze kościelne czuwały, aby religijno-pogański żywioł nie

wtargnął na arenę, choć stare nazwy niejednokrotnie się utrzymały, jak np. „Igrzyska Kastorów“, przy których nikt już nie myślał, ani o Kastorze, ani o Polluksie...

Równie starożytną, a może nawet sędziwszą, sięgającą owych wieków Rzymu, kiedy koczujące plemiona pasterskie, mieszkające pod stożkowatymi namiotami ze skór (jak o tem świadczą prastare naczynia grobowe z okolic Rzymu, znajdujące się w muzeum etruskiem Watykanu), zamieszkiwały siedem pagórków miasta i Lacjum — była świątynia bractwa Arwalów, pod Rzymem, nad Via Campana.

Tutaj czczono, prawdopodobnie od czasów Romulusa, tj. jednego z najstarszych naczelników plemienia miejscowego, polną boginię Dia. Przy świątyni był święty gaj, zabytek lasów, jakie pokrywały dzisiejszą Kampanię; tutaj była inna świątynia, Cesareum, gdzie oddawano świętą cześć cesarzom, których pamięć otoczona została nimbem boskości. Kiedy cesarz Gracyan wydał edykt przeciw obrządkom dotychczasowym, zabrał dochody arcybractwa pogańskiego, ale nie ruszył świątyni. Poszukiwania archeologiczne wykazały, iż gaj przeszedł na własność Kościoła, gdyż już w IV stuleciu, Papież Damazy wybudował tam oratorium i to blisko miejsca, gdzie Rzymianka Beatryksa z braćmi poniosła śmierć męczeńską za czasów prześladowania cesarza Dyoklecjana. Co zaś do świątyni Arwalów, istniały one dalej, jako pamiątka narodowa, tak, że się aż do naszych czasów przechował bardzo bogaty zbiór napisów, w jakie zdobny był jeden z tych przybytków. Stąd wiemy o uroczystościach majowych, o ofiarach składanych w urodziny cesarzy, przy rozmaitych okolicznościach, dotyczących państwa i samego bractwa. Z czasem jednak budowle niszczały, napisy poodpadały, ale chrześcijanie ich nie burzyli. I tak np. w pobliskich katakumbach Generosy nie znaleziono ani jednego z napisów, choć marmur nadawał się wybornie do użytku.

Niesłusznemi przeto są skargi, jakie się dzisiaj czasem spotyka, jakoby chrześcijanie umyślnie niszczyli ślady pogaństwa. Inaczej, jak już powiedzieliśmy, działo się na Wschodzie, gdyż tam pogaństwo nierównie zaczeplniej występowało, niż nad Tybrem. Zaburzenia, gwałty i napaści mnichów, wywołane były na Wschodzie przez wyzywającą postawę miejscowych kapłanów pogańskich. Tym sposobem, wspańiałe Serafeum w Aleksandryi padło w r. 391 ofiarą rozruchów, rozpoczętych, jak mówi edykt Teodozyusza, przez zacepliwe kroki ze strony pogańskiej.

Ostatnie igrzyska gladiatorów w Kolizeum odbyły się w r. 404, za cesarza Honoryusza. Znany jest szczegół, iż do środka areny

wpadł mnich, przybyły umyślnie z Azyi, niejaki Telemach, opanowany myślą, aby zwalczać krwawe zapasy szermierskie. Rozwścieczony lud rzymski, któremu gorliwy zakonnik popsuł rozpoczynającą się zabawę, na miejscu go rozszarpał, ale odtąd ustały igrzyska w kolosalnym cyrku; pozostały tylko, jeszcze na sto lat, polowania na dzikie zwierzęta, jako widowiska dla ludu, chciwego rozrywek.

Główna zasługa Kościoła polegała na tem, że wprowadził do zepsowanego moralnie świata starożytnego zasady autorytetu i wolności, ucząc nieznanych dotąd cnót, jak np. pokory, ale i to przeobrażenie postępowało powoli, gdyż w czwartem, a nawet piątym stuleciu kościoły chrześcijańskie i pałace rzymskie pełne były nawróconych pozornie, dla karyery, dla pozyskania względów dworu cesarskiego; jedną także z większych przeszkód była zakorzeniona rozpusta, zasilana życiem na forum, w termach i teatrach, więc i wychowanie ludu w poczuciu wstydu, którego nie znał, moralności, wymagało czasu i dokonało się, w późniejszych wiekach, pod wpływem nauki ojców Kościoła.

\*

\*

\*

Dzieło O. H. Grisara doprowadzi dzieje cywilizacji Rzymu i Papieństwa aż do Papieża Odrodzenia, tj. do chwili, kiedy się Papieże stają więcej politykami niż duchownymi, mają upodobania humanistyczne. odnawiają i upiększają Rzym, uprawiają nepotyzm, podnoszą sztukę włoską do niebywałych wysokości. Zbiegiem okoliczności, bardzo szczęśliwym, jednocześnie z zapowiedzią wydawnictwa, o którym mówiliśmy, ukazuje się pierwszy tom wspaniałego dzieła, traktującego o Papieżach renesansowych i w sztuce współczesnej, p. t. „Rome et la Renaissance“<sup>1)</sup>), przez Juliana Klaczkę. I to dzieło jest znakomicie illustrowanem, zawiera świetne studia wykwintnego estetyka nad grobowcem Juliana II, dawną bazyliką watykańską Konstantyna Wielkiego, nad Sykstyńską kaplicą, nad rzeźbami Michała

<sup>1)</sup> Paris. Librairie Plon. 1898.

Aniła i Odrodzeniem wogóle. Julian Klaczko w pierwszym tomie „Rzymu i Odrodzenia,“ prowadzi nas przez najpiękniejsze sale Watykanu, począwszy od stanz Rafaela, aż do komnat Borgii, niedawno otwartych, od ostatniej ćwierci XV wieku, aż do śmierci Papieża Juliusza II, w r. 1513.

Niech nam wolno będzie tymczasem poprzestać na krótkiej kronikarskiej wzmiance, zawiadomić o ukazaniu się dzieła o Odrodzeniu, które stanowić będzie epokę w badaniach nad renesansową sztuką włoską.

\*

\*

\*

Z „Snów czterech pór roku“, zapowiedzianych przez Gabryela d'Annunzio, wyszedł w tych dniach w druku drugi, zatytułowany „Snem wieczoru jesiennego“. Tak niespokojne sny, jak d'Annunzio, mało kto miewa, a i jesień inaczej się przedstawia włoskiemu pisarzowi, niż innym śmiertelnym. Wszakże zachód słońca jesieni rozacza niewątpliwie jakiś dziwny smutek, smutek spokojny, rzewną melancholię, tęsknotę, co kto chce, byle nie wybuchy spazmów, szamotania się, ataków nerwowych, aż do szaleństwa. Ale mniejsza o tytuł, choć daje niespodziankę, tak jak ją zresztą daje osoba autora. Bo proszę sobie wyobrazić d'Annunzia, jako zblazowanego lwa salonowego. A jednak tak wygląda, wytwornie, wyszukanie ubrany, z lysiną pomimo młodego wieku, z monoklem w oku, o twarzy zmęczonej, typ paryskiego bulwarowca, ulubieniec kobiet; miał żywot burzliwy, rozwiodł się z żoną, którą wykradł, i z żywota swego. oprócz sławy i wawrzynów na polu literackim, wyniósł wielką pewność siebie, jako autora i światowca, pewność, którą nazywają czasem pychą. Ona-to może jest przyczyną, że „poematy tragiczne“, jak nazwał oba „Sny.“ w rzeczywistości nie są tragedjami. D'Annunzio jest ofiarą, niewolnikiem wspaniałego, wyniosłego stylu, jego osoby mówią nadto pięknie, iżby działać mogły; jego proza jest pieśnią, hymnem, więc się nie urywa dla dyalogu, styl brzmi coraz melodyjniej i ta miłość czy pycha własnego stylu oddala poetę od kształtów i sił życiowych, a zwraca ku własnej wyobraźni.



Jesteśmy w willi i parku wdowy po doży weneckim, Gradenigo, położonej nad rzeką Brentą, płynącą za ogrodem. Podobnie jak w „Suie porannym wiosną“, tak i tutaj, dramat już się odegrał. Dogaressa, przez miłość dla młodzieńca, którego wchłonęła pierwszą miłość, zabiła przez czary czarownicy sławońskiej starego dożę, teraz zdradził ją, opuścił, kochanek dla nałożnicy Pantei, więc odgrywa się epilog, gdyż z popiołów straszego dramatu, z wyrzutów sumienia po tak strasznej winie, zostaje sytuacja psychologiczna i ta nie mogła rozwinąć się inaczej, jeno w długim rozpaczliwym monologu żalu i zemsty. W nadziei odzyskania miłości, Dogaressa każe zaczynać czary tej samej czarownicy, skutkiem czego rywalka Pantea ginie w płomieniach na okręcie Bucentaurze, płynącym pod ogrodem, wśród bitwy, jaką o nią staczają młodzi patrycjusze weneccy.

W jakimże więc świecie i czasie jesteśmy? Potęga Wenecyi chyli się do upadku, patrzymy więc na zachód, jesień potężnej Rzeczypospolitej, mamy przed oczyma gasnące wdzięki wielkiej zapewne piękności, to wszystko jednak jest snem gorączkowym, pełnym zmór, i w słowie „Sen“ jest chyba objaśnienie tego, co poeta zrobił i chciał zrobić. Mówiona tragedia znajduje swe rozwiązanie w ten sposób, że czarownica zabija Panteę; wdowa po doży wydaje jeszcze rozpaczliwe krzyki, kiedy za sceną, na okręcie, wśród szalonej orgii, toczy się wściekła walka o heterę, a razem z nią ginie obłany krwią Weneccyanin.

Gabryel d'Annunzio bierze się do „Snów“ w sposób przystający lepiej do jego wielkich zdolności artystycznych, niż w prawdziwej akcji dramatycznej, stąd iliryzm, wypełniający tragiczny obraz, stąd wybijają język; skończywszy czytanie i przymknawszy oczy, odczuwa się jeszcze przez chwilę namiętą, zmysłową, lubieżną gorączkowość poematu prozą. Jedną ze służebnic dogaressy, służącą za szpiega, tak np. opisuje jej, co się dzieje na okręcie, pomiędzy Panteą a młodzieńcem:

— Wtedy on skoczył ku niej odrazu, jak gdyby ją chciał pożreć. Ale i tym razem uciekła, zostawiając mu w rękach resztę swego ubrania i tak bezwstydnie wyszła na złocony przód okrętu, pokazała się tym wszystkim ludziom, rzuciła im się w oczy, jak w płomieniu, nie mając na ciele nic, prócz dwóch naramienników. A wszyscy szaleli z pożądania i wołali: Pantea! Pantea! jak gdyby była boginią. A każdy był pijany, jak gdyby ją miał w ramionach i sam na nią patrzył. Wioślarze wstawali ku niej, przechylali się, jak dzikie zwierzęta, kiedy mają skoczyć ku sobie. .

Inna zaś służąca, Katarzyna, opowiada:

„I ja także, Najjaśniejsza Pani, widziałam go. Siedział przed ar-pikordem, a ona położyła się na desce narzędzia i rozwiązała włosy! Jej twarz przylegała do twarzy grającego; kosmyk jej włosów zwiesił się na jego szyję, i tak on grał na arpikordzie, a ona śpiewała półgłosem, jak gdyby do ucha, kiedy się przechylał. I muzyka biegła po włosach.“

D'Annunzio ma niezadługo ogłosić w druku trzy nowe utwo-ry dramatyczne: tragedję w 4 aktach „Jokondę“, „Tragedję Tłumu“ i „Brata Słońce“. Z romansów obiecują „Ogień“, należący do seryi ro-mansów Granatu.

\*

\*

\*

Prozaiczny, demokratyczny tramwaj, zawsze brzydki i nieartysty-yczny, doczekał się jednak swego epika, i to niepospolitego, w osobie Edmunda de Amicis, pod tym bowiem tytułem, „Carozza di Tutti“ (Po-jazd dla wszystkich), włoski pisarz wydał grubą książkę, zbiór kilku-dziesięciu szkiców, mozaikę, pisaną, że się tak wyrażę, z ławki tram-wajowej. Nie jest to więc powieść, ale jedna podróż więcej, bo Ami-cis, kiedy nie jedzie do Hiszpanii, Maroko, Konstantynopolu, wido-cznie włóczy się namiętnie tramwajem i obserwuje. Każdy ustęp tworzy całość dla siebie, barwną, zajmującą, pisaną z nadzwyczajną łatwością, lekkością pióra i bogactwem wyobraźni, którą celuje Ami-cis. Przez dwanaście miesięcy, od stycznia do stycznia, w śnieg i upał słoneczny, autor, jakby przykuty do powolnego tramwaju, w Tu-rynie, rozpatruje się, zbiera sylwetki, obserwuje kontrasty społecz-ne, co mu jest tem łatwiejszem, że w tramwajach włoskich niema po-działu na klasy pierwszą i drugą. Uboga przekupka siada tutaj obok wystrojonej damy. Myśl jest w samej rzeczy dowcipna. Marzyciel, socjalista-poeta, entuzyasta włoski, patrzy na młode pary, rozmawia z konduktorami, śledzi rozmaite typy miejskie, przesuwające się przez „pojazd dla wszystkich“, czyta w ich twarzy, robi psychologiczne stu-dya, opisuje to wszystko barwnie, zajmująco. „Dla wielu ludzi, wychodzących rzadko z domu, przez lenistwo i lub dla podeszłego wieku, lub też z innych przyczyn nie posługujących się nogami, tramwaj stał się jedynym środkiem komunikacyi, światem, ostatnim mostem zwodzo-

nym, który ich wiąże z miastem, gdzie żyją samotni. Tacy ludzie odbywają tramwajem swoje higieniczne przechadzki, tam i napowrót, albo „kurs wkoło miasta“, aby, jak mówią, zachłysnąć świeżego powietrza; w tramwaju szukają przyjemności, rozmowy, zawierają nowe znajomości, zbierają wiadomości, spotykają czasem tutaj przyjaciół, a kiedy wracają do siebie, mówią tylko o ludziach i rzeczach spotykanych w czasie jazdy, jak gdyby dla nich nie było innego towarzyswa nad to, które od wpół do ósmej rano do dziesiątej wieczór jeździ wielką siecią żelazną Turynu“... No, jest niewątpliwie wiele błyskotliwości w przedstawianiu rzeczy przez Amicisa, ale książka jest zajmująca. Jest także propaganda socjalistyczna, propaganda lekka, literacka (bo Amicis zrobił się socjalistą, od czasu, kiedy już nie podróżuje po Wschodzie i poza granicami Włoch), kiedy opisuje żonę inżyniera „egzaltowaną waryatkę“, „protektorę chłopców bitych, koni batożonych, krążącą po poddaszach, zdejmującą synkowi futerko, by oddać biednemu chłopcu; albo posłańca zmęczonogo, robotników goniących tramwajem za robotą, stolarza socjalistę; i kiedy potem dla kontrastu pokazuje nam tramwaj mijający się, w niedzielę, napelniony jegomościami w cylindrach, paniami wystrojonemi, oficerami w mundurach błyszczących, wracającymi z wycieczki. Bogactwo typów jest nadzwyczajne, zacząwszy od pijaka, awanturnika, urzędnika szukającego żony dla siebie w tramwaju, kontrolera tramwajofila, albo kiedy nam maluje skutki dramatu sensacyjnego pod tytułem „Kominiarze“, danego w jednym z teatrów, tak, jak się ujawniły w publiczności tramwajowej, wracającej z przedstawienia

Byстрыm dostrzegaczem jest on niewątpliwie, biedy i nędzy innych wzruszają go, i to się czuje, chociaż współczucie wygląda nieraz na ciekawość kronikarza publicysty, szukającego materiału do powieści, więc i jego badania są powierzchowne. Uśmiecha się też czasem, ale rychło uśmiech chowa się za zasłonę smutku, w gonitwie za idealami, niedającymi się spełnić.

Z tem wszystkiem czyta się książkę, jak powieść. Amicis celuje w miniaturach, w małych rzeczach, mozaikach, i w nich okazuje wiele talentu, swady. Mimowoli nasuwa się porównanie z jego „Oceanem“, gdzie także nagromadził najrozmaitsze typy na okręcie, obserwując je podczas jazdy, odtworzył zwłaszcza wiele sytuacji. Amicis jest kolorystą. Jego sylwetki, a jest ich kilkadziesiąt w „Carozza di Tutti“, rysują się dość wyraźnie, autor wybornie uwypukla w nich najdrobniejsze szczegóły i potrafi zainteresować tą plastyką. Umie wzruszyć, przedstawić walkę o byt, antagonizm klas społecznych, zna robotników i dzieci. Jego „Nauczycielka robotników“, lub „Romans nau-

czyciela wiejskiego“, należą do ostatniej ewolucyi, z której mu robią zarzuty.

Ma jednak wielką słuszość Amicis, kiedy mówi, że każdy człowiek jest książką, więc w „Pojeździe dla wszystkich“ otwiera ich nam mnóstwo.

Gdyby „Pojazd dla wszystkich“ miał mieć znaczenie symboliczne, a nie był poprostu artystycznym cynematografem społecznym, powiedziałbym, że jest nim właściwie sama książka, jako dzieło literackie. Jest w niej coś demokratycznego, co się wszystkim przyda, bo książka de Amicisa nie wywoła rewolucyi, nie nauczy wiele, jest dość powierzchowną, ale czyta się przyjemnie, prawie jak jego podróże po Maroko, Konstantynopolu, Hiszpanii czy Hollandyi, krytykowane jako rzeczy raczej błyskotliwe, niż poważne, ale bardzo poczytne. Poczytność ta zwiększa się jeszcze tutaj o tyle, że książkę, po przeczytaniu kilku stron, śmiało odłożyć można, aby wrócić do następnego szkicu przy wolniejszej chwili.

\*

\*

\*

Ludwik Capuana, sycylijski nowellista, celuje w malowaniu małych, miniaturowych obrazków z życia swojej wyspy, więc wydał obecnie nowy tomik p. t. „Nuove paesane“ (Nowe obrazki z prowincyi). Umie on na kilku kartach narysować całe towarzystwo małomiasteczkowe, wpleść doń oryginalne zdarzenia, nakreślić typ lub charakter. Takim był w pierwszych swoich „Obrazkach“ i takim jest i obecnie, ma zaś jeszcze jedną wielką zaletę dla nowellisty, że jest barwnym. Urodził się w r. 1839, bawił z początku we Florencyi, gdzie pisał krytyki literackie, teatralne, potem w Medyolanie ogłosił swój pierwszy romans p. t. „Hyacynta“ i wywołał wielki... skandal. W istocie, pierwszy jego utwór wyświęcał go na fanatycznego ucznia E. Zoli, skoro autor wciągał czytelników włoskich do fałszywego realizmu, do niezdrowej atmosfery, ulubionej przez francuskiego romansopisarza, bo ta Hyacynta, bohaterka romansu, wybiera dzień swego ślubu, aby się oddać ukochanemu, podczas gdy głupi mąż odpoczywa samotnie w łożu... Co prawda, Józef Garibaldi, bohater Włoch Zjednoczonych, przeszedł przez podobną awanturę, i to w chwili pełnej chwały i w tym samym

Medyolanie, gdzie się Hyacynta ukazała w druku. Kto wie nawet, czy historia jednego z małżeństw Garibaldeggo nie była więcej skandaliczną.. Ale przyznać trzeba, że pierwszy występ L. Capuany, był... obiecującym, zwłaszcza, że i druga część romansu nie pozostawiała nic do życzenia, pod względem pieprzności. Jednym słowem, dał on, na wstępie, książkę bardzo niemoralną, ale okazywał talent silny, choć spaczony, kiedy gonił za szpetnością niemoralną, tak, jak go okazywał w literackim grzechu swojej młodości.

Na szczęście, Capuana zawrócił z fałszywej drogi, zawrócił, wiedziony delikatnem poczuciem estetyki, właściwem Włochom. Jego obrazki sycylijskie (bo autor wrócił na swoją wyspę), zjednały mu rozgłos we Włoszech. Znalazł się on o tyle w bardzo szczęśliwych warunkach, iż Sycylia, w samej rzeczy, jest nadzwyczaj obfitem i wdzięcznem polem dla obserwatora. Zapadły kraj, partykularz spóźniony w rozwoju cywilizacyjnym, odcięty niemal od Europy, a tak żywy i barwny, pozwala mu zbierać, dostarcza mnóstwo typów oryginalnych, które autor chwyta bardzo zręcznie, z humorem trochę zjadliwym, z ironią, ale częstokroć także i z wiernością portrecisty. W Sycylii zachowały się dotąd stosunki społeczne, ciemnota, przesady, wyobrażenia, jakie już w innych stronach Europy zaginęły, i jeśli wierzyć Capuanie, który jest przecież realistą, prowincya Katanii, jest prawdziwą kopalnią dla nowellisty. Ot naprzykład taki Baron na Suchych Źródłach (Barone di Fontane Ascintte) mieszka w Katanii. w starym walącym się pałacu, z żoną, córkami i synami; procesuje się namiętnie z krewnym swoim, markizem Camutelle, o jakiś majątek, wydaje ostatnie grosze na proces, wpędził siebie i rodzinę w biedę, stracił to, co miał, ale żyje ciągle nadzieją, że przyjdzie do bogactwa. W domu dzieją się sceny rodzinne, niemal bitwy, żona i dzieci chcą go oddać pod kuratelę, więc oryginal baron opuszcza ognisko familijne, wynosi się do brudnej cuchnącej kwatery, aby tam nadal prawować się o majątek. Zgarbiony, stary, zmieniony, przy świetle lojówki, oświetlającej izdebkę, podnosi dumnie głowę, wznosi ręce da nieba, wzywając strasznej pomsty Boga na rodzinę, która go nie rozumie, na przeciwnika w procesie, albo też układając się wieczorem w lichem łóżku, pod kołdrą, gasząc świecę, powtarza w ciemności fantastyczne sny o bogactwach, jakie zdobędzie.

Tymczasem jedna z córek tego waryata wzywa do siebie przyjaciela domu, ks. kanonika. Co się stało? Rzuca mu się do nóg, zapłakuje się, wzywa ratunku, widocznie jest zakochana. Ale gdzie tam! Woła na cały głos: jestem potępiona! jestem potępiona! Znalazła w szafie starą książkę, którą odczytała kilka razy, pod tytułem „Sposób, aby się w pokoju ukazała osoba ukochana“, dyabelskie dzieło,

a teraz czuje wyrzuty sumienia i chce się wypowiadać, zostać siostrą miłosierdzia, jechać do Syrakuzy. Całej tej rodzinie waryatów, czy neuropatów, źle się wiedzie, kiedy nareszcie nadchodzi dzień sprawy Barona na Suchych Źródłach. Stary dziwak umiera w chwili, gdy mu doręczają wyrok sądu, przyznający własność majątku wyprocesowanego...

O polityczną satyrę potrąca nowelka „Il fascio del Cavaliere.“ Jest to znowu miniaturowy, satyryczny obrazek stosunków małomiasteczkowych w Sycylii, walki stronnictw na tle polityczno-administracyjnym, włoskiego Pacanowa, gdzie życie polityczne wrę, burzy się, jak w szklance wody. Pan Mimmo di N'guanti chce być wybranym na radcę magistratu, ale że mu żal pieniędzy na wyborców, a bez nich o wyborze niema mowy, więc bierze się na sposób i zakłada tak zwane fascio, t. j. Stowarzyszenie z barwą polityczno-patriotyczną, z chorągwią i trębaczami. Kiedy przychodzi do wyborów, wszyscy należący do stowarzyszenia głosują za swoim prezesem, trąby grzmią, jak w dzień sądu ostatecznego, tak, że, choć z biedą, pan di N'guanti zostaje radcą miejskim. Źle na tem wyszedł nasz ambitny Sycylijczyk, gdyż teraz, kiedy zasiada w radzie, stowarzyszeni domagają się spełnienia różnych szumnych obietnic, zwolnienia od podatków, wołają o zaprowadzenie komunizmu czyli republiki (co u nich znaczy to samo), jednym słowem burzą się tak, że w miasteczku zaczyna wrzeć, jak w wilią rewolucyi. Kończy się na tem, że ludność podnosi bunt socjalistyczny, woła: idźmy pod radę miejską! domaga się zniesienia podatków, a kiedy i ta demonstracya nie pomogła, biegnie ze Stowarzyszeniem i jego trębami na czele do domu pana di N'guanti i rabuje go doszczętnie.

Capuana ma nieco gorzki, złośliwy humor, kiedy nam pokazuje bądź panią Straulę, swarliwą, ruchliwą babę, procesującą się, prawującą, wygrywającą proces w chwili, kiedy jej córka uciekła z rzeźnikiem i jej teraz zostanie się cały, ciężko wydobyty spadek; czy też egoistę, skąpego, ciułającego grosze, pana d'Accurso, bądź też dziwaka barona Saccaro, który pomiędzy różnemi dziwactwami ma jeszcze i to, widocznie nadzwyczajne, jak na Sycylię, iż zbzikował na punkcie porządku, czystości i regularności życia.

Wydawca Capuany, Roux w Turynie, zapowiada trzy nowe rzeczy: „Sielankę prowincjonalną“, nowelkę „Scurpiddu“ i romans p. t. „Rezygnacya.“

\*

\*

\*

Stolica Włoch, Rzym, rozmuzykował się przy końcu roku, checił na polu sztuki nowego mistrza, w osobie księdza Wawrzyńca Perosego, dzisiaj dyrektora kapeli kościelnej w bazylice św. Marka w Wenecyi, przyjmował Piotra Mascagniego, autora „Rycerskości wieśniaczej“ i oklaskiwał jego nową, trzyaktową, japońską operę, „Irys“. Mascagni ostatnim swoim utworem wydał wojnę krytykom, spychającym go na drugie miejsce po Jakóbie Puccinim, autorze „Mannon Lescault“ i „Cyganeryi“. Czy ją wygrał? Zdaje się, że nie. Włochy jeszcze czekają z pewną niecierpliwością na muzyka, któryby objął chlubną spuściznę prawdziwej chwały narodowej na polu muzyki po sędziwym Józefie Verdim. Wskazują obecnie dwudziestoseśćcioletniego księdza Perosego, który nagle stał się sławnym po wykonaniu dwóch oratoryów kościelnych: „Wskrzeszenie Łazarza“ i „Zmartwychstanie Chrystusa“. To pewna, że ks. Wawrzyniec Perosi wykazał, na swój młody wiek, nadzwyczajne zdolności muzyczne i znakomity talent kompozytorski, i te każą dobrze wróżyć o jego przyszłości, jako twórcy dzieł muzyki wyłącznie kościelnej.

Oba te wypadki muzyczne: wykonanie dwóch oratoryów biblijnych weneckiego księdza, który jeszcze wygląda na kleryka, i przedstawienie „Irydy“, spotkały się na rzymskim grunie. „Irys“ Mascagniego, niby to, zdobyła wstępny bojem publiczność rzymską, bo była świetnie przedstawiona, tak co do głosów, jak i orkiestry, i znakomicie uscenizowana, dzięki czemu nawet libretto, niezawsze zręczne, przeszło przez ogień premiery. Jest to historia japońskiej młodzianki dziewczyny, żyjącej ze ślepym ojcem w skromnym domku miejskim, którą bogaty panicz, z pomocą rajfura, porywa i uprowadza do domu rozpusty. Dziewczyna, choć niewinna i nieskalana, przeklęta przez ojca, rzuca się oknem i ginie — poetycznie, bo nad jej ciałem, w poetycznej apoteozie, wyrastają irysy, jakby nad Japonką, męczennicą z legendy. W tych trzech aktach, na jakie akcja się rozkłada, są niewątpliwie piękne ustępy muzyczne, jest nadewszystko wspaniała uwertura z „Hymnem do słońca“, jest również serenada, którą śpiewa Osaka, młody Don Juan japoński, może za baulna na operę, przypominająca nioktóre pieśni Tostego, trochę zakroju pieśni neapolitań-

skich, ale wpadająca łatwo w ucho i melodyjna. W drugim akcie wyróżnia się duet pomiędzy Irydą i Osaką. Zarzucają jednak Mascagniemu, że w „Irydzie“ przeszedł w pełnym rynsztunku do wagneryzmu. Jeśli gdzie, to we Włoszech, jest to grzechem nie do darowania, tutaj, gdzie nawołują ciągle do troskliwego przechowywania bożków łacińskich: jasnego stylu, jasności myśli, zdale od mglistości północy. Rzecz jest pewna, iż tym razem melodyjność nie dopisała kompozytorowi, który przyzwyczaił był słuchaczy do bogactwa śpiewnych motywów. Zarzucają oni jałowość tematów i zbytek ekscentryczności harmoniczných, umyślnie rozsianych w partycyi. „Irys“ więc nie niszczy dotychczasowych nadziei, ale nowych nie przynosi. Postęp w obchodzeniu się z instrumentami w orkiestracyi, z masami chóralnemi, jest widoczny, ale co do nowej (jakby się zdawało) ewolucyi, żalować trzeba, iż z frazesów szerokich popadł w krótkie, dość zresztą pospolite. Ostatecznie Europa ma dziś dwóch tylko wielkich kompozytorów: Verdegó i Masseueta.

Mascagni pracuje obecnie nad dwiema operami: jedna z nich nazywać się będzie „Le Maschere“ (Maski) i będzie wskrzeszeniem teatru del arte włoskiego z XVII wieku, druga zaś, „Vestilia“, ma być udramatyzowaną tragedją z czasów starorzzymskich.

Mówią jednak ogólnie, że Mascagni nie dotrzymał tego, co obiecywał, że dzisiaj, po ośmiu latach, od kiedy w Rzymie przedstawioną została „Rycerskość wieśniacza“, powinien był stworzyć dzieło nierównie większej wartości, a nadewszystko nie sprzeniewierzać się ideałom, bogom włoskiej muzyki.

Rozpoczął on karierę muzyczną po skończeniu konserwatoryum w Medyolanie, jako dyrektor orkiestry trupy prowincjonalnej dyrektora Maresca, u którego pobierał płacy dziesięć lirów dziennie. Długo takie życie trwać nie mogło, więc pewnego razu nasz maestro (było to w r. 1886), postanowił—drapnąć, ulotnić się z drogi, pożegnać dyrektora, zdaje się niezbyt łagodnego. Była to epoka, kiedy Mascagni był jeszcze „cyganem“ artystycznym, jakim długo pozostał, póki razem z napływającym majątkiem i rosnącą sławą nie wyrobił się na takiego, jakim jest dzisiaj, trochę zawsze rubasznego, ale usatkwowanego, zaokrąglonego nieco w figurze, ojca kilku oper i kilkorga dzieci. Jak to tam poszło w Cerignoli, nie wiem, dość, że podobno pomiędzy młodym dyrektorem orkiestry a dyrektorem trupy zaszła w teatrze w czasie próby scena, a raczej bójka na kije, od której Mascagni do dziś dnia ma bliznę na ramieniu. Tak się pożegnał z pałeczką dyrektora i został nauczycielem fortepianu.

Konkurs, rozpisany przez medyolańskiego wydawcę, współzawodnika Ricordego, Sonzogna, na jednoaktową operę, wydobyl Mascagnie-



go z ukrycia w Cerignoli. Pierwsze przedstawienie opery „Cavalleria Rusticana“ w maju 1890 r. stało się niemal wypadkiem w dziejach opery włoskiej, zwłaszcza, że wtedy śpiewali: tenor, Stagno, i jego żona, Gemma Bellincioni, tak, jak dziś w „Irydzie“ występowali de Lucio i pani Darclée. Tryumf był zupełny, entuzjastyczny. Przyszły potem opery: Przyjaciół Fritz, Bracia Rantzau, Ratkliff i Silvano. Od kilku lat maëstro o bujnych włosach jest dyrektorem liceum muzycznego, założonego przez Jakóba Rossiniego, w rodzinnem Pesaro.

Drugi bohater produkcji muzycznych, ks. Wawrzyniec Perosi, urodził się Tortonie, w północnych Włoszech, jako syn organisty; przeszedł, tak jak Mascagni, konserwatorium medyolańskie, jakiś czas zajmował posadę organisty w klasztorze Benedyktynów, Montecassino, niedaleko Neapolu, następnie pojechał do Niemiec, aby kształcić się w kompozycji, został księdzem za swoim powrotem do ojczyzny. Jak mówiłem, jest teraz dyrektorem kapeli św. Marka w Wenecyi. Komponuje nadzwyczaj szybko i z łatwością, rzecz, która przedstawia niebezpieczeństwo. Zgromadzona nadzwyczajnie tłumnie w kościele ŚŚ. Apostołów publiczność rzymska oklaskiwała frenatycznie młodego kompozytora „Zmartwychwstania Chrystusa“, zwłaszcza fugę finalną „Alleluja!“, po której ks. Perosi był przedmiotem dawno niebywałej tutaj owacji, jako twórca potężnej manifestacji artystycznej.

A. DAROWSKI.

---

# DROBIAZGI Z PODROZNEJ TEKI.

---

## W AWINIONIE.

### I.

#### „La Armana Provençan“<sup>1)</sup>

---

Kiedy sady kwieciem pruszą,  
Gdy probuje słowik tonu,  
Prowensalska armia śpiewna  
Wylatuje z Awinionu.

---

<sup>1)</sup> Stowarzyszenie Felibrów, pod przewodnictwem Roumanila powstałe.

Pszczelnym rojem z brzękiem leci,  
Z brzękiem pieśni i gitary,  
Oblatuje Rodan stary,  
„La Armana Provençan“.

Pszczelnym rojem na kwiat pada,  
Na kwiat podań, wiecznie młody,  
Z szczerozłotej pieśni ludu,  
Szczerozłote bierze miody.

Oblatuje winnic wzgórze,  
I szepczące liśćmi gaje,  
Za oraczem miedzą chodzi,  
Przy pastuszką bosym staje.

Na brunatną pada ziemię,  
Tchu jej słucha, pulsów bicia,  
U jej serca wiąże struny,  
Złote struny pieśni życia.

Duszy swojej drzeń pozwala,  
Żywym dźwiękiem mowy ludu,  
Je chleb wiary, je chleb cudu,  
„La Armana Provençan“.

Gdzie w ruinach cząbry pachną,  
Czarodziejskie kwitną moce,

Jak zórawi klucz tam spada,  
W księżycowe, ciche noce.

Na prastarych murów zrębie,  
Gdzie głąz każdy mówić umie,  
Kładzie skrzydła rozciągnięte,  
W uciszeniu i w zadumie.

Jako klinga saraceńska,  
Nów stalowem ostrzem błyska,  
Szepczą rzymskie mogiłniki  
Szepczą Celtów uroczyska.

Gdzieś od Słupów Hannibala,  
Od Sewennów wiatr powiewa,  
Druidyczną harfę trąca,  
Druidyczne pieśni śpiewa.

Przez arkady lazur patrzy,  
Dwie kolumny zcicha gwarzą,  
Z obróconą w gwiazdy twarzą,  
Śni „Armana Provenčan“.

A gdy słońce strząśnie z duszy  
Mgły wiekowe, zmierzchy świata,  
Jak motyli barwnych roje,  
Rój Felibrów tak wylata.

Na wiosenne leci błonia,  
Na Kamargi jasne brzegi,  
Gdzie szafirem i szkarłatem,  
Maj wyszywa kwietne ściegi.

Gdzie fijołki patrzą żywe  
Z smugłych twarzy Arlezyanek,  
W świeży, złoty leci ranek,  
„La Armana Provenčan“.

Z róż otwartych pocałunkiem  
Bierze słodycz, bierze wonie,  
W cyprysowem zadumaniu  
Długich, ciemnych rzęsów tonie.

W słońcu złoci struny swoje,  
Żar rozkoszy w pieśń przelewa,  
Kocha — żyje, żyje — śpiewa,  
La Armana Provenčan“.

A gdy wraca się z oblotu,  
Jak skowrończych legii chmura,  
Leci zawsze przez Woklużę,  
W srebrnej Sordze macza pióra.

## II.

„Jacquemard“ i „Jacquemarde“.<sup>1)</sup>

Stary ratusz w Awinionie,  
Na ratuszu stara wieża,  
Jacquemard i jego żona  
Młotkiem w stary dzwon uderza.

Płyną dnie i lata płyną,  
Płynie z nimi Rodan stary,  
Lecz od wieków niewidziano  
W Awinionie miłszej pary.

Jakikolwiek czas nad światem,  
Jakakolwiek dziejów doba.  
Jacquemard i jego żona  
Rażno biją w młotki oba.

---

<sup>1)</sup> Dwie figury z końca XIV go wieku na starożytniej ratuszowej wieży.

Rankiem biją dila Papieża,  
Co był rodem z Aragonu <sup>1)</sup>,  
A wieczorem dla Marszałka <sup>2)</sup>  
Nie żałują także dzwonu.

Biją, kiedy Papież ciska  
W obóz wroga srogie bulle,  
Biją — kiedy w odpowiedzi,  
Langwedockie lecą kule.

A gdy Papież i Marszałek  
Na teatrum miną świata,  
Jacquemard i jego żona,  
Biją w dzwony dla Legata.

Tak, choć ciągle się odmienia  
Wielka scena, zwana życiem,  
Jacquemard i jego żona  
Każdą wita dzwonów biciem.

Stary ratusz — głowa grodu,  
W starej głowie — mądrość stara:  
Gdy masz wino i oliwki,  
Co ci: berło, czy tyara?

---

<sup>1)</sup> Benedykt XIII (Piotr de Luna).

<sup>2)</sup> Marszałek Boucicaut w 1411 roku oblegał wraz z kardynałem Ostyi papieski pałac w Awinionie.

## III.

Penitenci.<sup>1)</sup>

W dobrem mieście Awinionie  
 Penitentem gdy chcesz zostać,  
 W wieloraki możesz sposób  
 Zmienić, bracie, swoją postać.

Możesz szatę wdziać niebieską,  
 Jak błękity południowe,  
 Sznurem biodra swe opasać  
 I kapicą nakryć głowę.

Osiąść możesz za murami,  
 U świętego Rocha bramy,  
 I wynosić zadżumionych  
 Kawalerów tudzież damy.

Prowansalskich ileż oczu,  
 W ostatecznym tym momencie,

<sup>1)</sup> Swieckie kongregacye średniowieczne, dziś jeszcze liczne w Awinionie, różnią się między sobą kolorem odzieży i pobożnymi zajęciami.



Ileż cudnych ujrzysz twarzy,  
Najszcześniejszy penitencie!

W twarzy plonie rozkosz życia,  
W oczach czarne lśnią dyamenty,  
Na stos trupów damę kładą,  
Mrużąc psalmy — penitenty.

A gdy w mieście niema dzumy,  
Gdy ją mistral precz wymiecie,  
Na cmentarzu zadzumionych  
Będziesz sadził świeże kwiecie.

Na cmentarzu zadzumionych  
Świeże kwiaty bujno rosną,  
Z czarnych oczu, z białych liczek.  
Zakwitają róże wiosną.

Gdybyś nie chciał być „Niebieskim“,  
Przywdziej, bracie, szatę białą,  
Na pamiątkę Albigensów,  
Których niebo pokonało.

Szur nie w biodrach, lecz na szyi  
Wiązać będziesz u kapicy,

Z zapaloną wyjdiesz świecą  
Pokutować na ulicy.

Filozofy i doktorzy,  
Będą ci się namykały...  
— Za tych nowych Albigensów,  
Penitencie módl się Biały!

Cheesz li zostać Fijolkowym,  
To i na to, bracie, zgoda.  
— Siedem razy będziesz grzeszył,  
Czyli słota, czy pogoda.

Siedem razy będziesz grzeszył,  
Iżby wszelki człowiek żywy  
Już z tej liczby łatwo poznał,  
Żeś penitent sprawiedliwy.

Z pisma bowiem już wiadomo,  
I nikt przeczyć się nie kusi,  
Że przez dzień mąż sprawiedliwy,  
Siedem razy grzeszyć musi.

Jeżeli zaś musi grzeszyć,  
W jakiegokolwiek świata stronie,  
Bez przymusu, z dobrej woli,  
Będzie grzeszył w Awinionie.

Słońce pali, wino szumi,  
Piosnki biją wprost do głowy.  
— Siedem razy—lecz nie więcej,  
Penitencie Fijołkowy.

Gdybyś zostać chciał „Czerwonym“,  
I Czerwoni też są w sławie,  
Odkąd Parpaille w swym berecie,  
Na wszechnicy siedział ławie <sup>1)</sup>.

Był to beret osobliwy!  
Bo nietylko, że łysina,  
Lecz ukrywał się też pod nim  
Heretycki błąd Kalwina:

Heretycki błąd Kalwina  
Na Katedrze siedział szpetnie,  
Czekający, aż z beretem  
Kat na pieńku go nie zetnie.

---

<sup>1)</sup> Perrinet Parpaille, zwolennik Kalwina, profesor uniwersytetu w Awinionie.

Kat na pieńku ściał Parpailla,  
Potoczył się beret z głową,  
Na podwórzu tej Wszechnicy,  
Gdzie kacerskie padło słowo.

A iżby się nie zostało  
Po Parpailla ani śladu,  
Penitenci mu Czerwoni,  
Dom spalili dla przykładu.

Jeszcze mistral nosił dymy,  
Co słoneczny ranek cienia,  
Gdy wycięli w sadzie drzewa,  
I zrównali wszystko z ziemią.

Ile czartów poszło z dymem,  
Tego nigdy nikt nie wiedział,  
Co do drzew zaś, do jabłoni,  
To na każdej z nich — wąż siedział.

Przestrach upadł na gród cały,  
Wnet ściągnięto mosty grodu,  
Żeby ustrzedz od Herezyi.  
Resztę kraju i narodu.

Dzień i noc Czerwoni bracia  
Na okopach mieli strażę,  
Bacząc pilno, czy Herezya  
Pod miastem się nie ukaże.

Gdy konfratry się pośpiły,  
Grały w kufle, albo karty.  
To płonąca żagiew złota  
Obchodziła sama warty.

Dzisiaj jeszcze, gdy noc czarna,  
Gdy z gwiazd żadna nie migota.  
Tu, to tam po wałach chodzi  
Zapalona żagiew złota.

Możesz także zostać „Szarym“,  
Jak więzienny loch ponury,  
Jak ta szara pajęczyna,  
Co osnuwa lochu mury.

Możesz schodzić do ciemnicy,  
Starej Wieży „Estrapady“,  
Dotąd tam w miesięczne noce  
Wielki cień się ślania błądy.

Dotąd hak tam wbity w murze  
Trzyma kłódkę od łańcucha,  
Na który był pojman Rienzi,  
Co rzymskiego wskrzesił ducha.

Przeminęły wielkie chwile,  
Przeminęły wielkie winy,

Szare czasy, szare zbrodnie,  
Jak te szare pajęczyny,

Możesz także ze skarbonką,  
W zapuszczonej swej kapicy,  
Na wykupno niewolników  
Zbierać grosze po ulicy.

Lecz gdy błysnie jasne słońce  
I niedzielny świeży ranek,  
Jak powietrza, i jak ognia.  
Staż się, bracie, Arlezyanek.

Arlezyanka, gdy na ciebie  
Wzniesie oczy swe powoli.  
Biedny „szary“ penitencie,  
Sam zostaniesz się w niewoli!

Gdybyś wszakże Czarnym został,  
W czarnej szacie i w kapicy  
Przed skazańcem niósł byś laskę  
Aż do samej szubienicy.

Czarna laska, śmierci berło,  
Na niej biała trupia główka.

Do skazańca się uśmiecha,  
Uwodzące szepcze słówka.

Tumult w mieście, tłok i wrzawa,  
Biją bębny, dzwony biją,  
Długim sznurem idą „czarni“  
Z konających litaniją.

W rękach niosą czarne świece,  
Przodem jedzie kat czerwony,  
Idą, mrużąc na dwa chóry,  
Konających antyfony.

Do Łazarza idą bramy,  
Przez uliczkę „Raju“ ciasną,  
A po drodze im kolejno  
Czarne świece w rękach gasną.

Nim zagaśnie ta ostatnia,  
W bramę czarny orszak wkroczy,  
I zaświeci skazańcowi  
Raz ostatni w same oczy.

Przez otwory czarnych kapid  
Białe błysną mu źrenice,  
Ujrzy jasną czerwień kata  
I wysoką szubienicę.

A u wzgórza tłum się tłoczy,  
 W tłumie głucha cisza rośnie,  
 U świętego Agrykoli <sup>1)</sup>,  
 Dzwony jęczą tak żałośnie.

U świętego Agrykoli,  
 W prowansalskiej swej odzieży,  
 Skazanego matka stara,  
 Na kamieniach krzyżem leży.

#### IV.

## O zachodzie.

A kiedy gasną zorze,  
 Nad Rodan idę stary,  
 I patrzę, patrzę, jak wskroś fal,  
 W głąb płyną złote mary.

---

<sup>1)</sup> Jeden z najstarszych kościołów Awinionu, na fundamentach rzymskiego hipodromu wzniesiony w VII wieku.



Obłoczne ich korabie  
Złocistym szlakiem suną,  
A w żaglu świeci jasny krzyż,  
Owiany złotą luną.

I świecą jasne zbroje,  
Przyłbice i misiury,  
U ramion biały—zdarty płaszcz  
Srebrnemi wieje pióry.

Nie słyhać plusku wioseł,  
Dech fali żagle wzdyma,  
A mary patrzą smutno tak  
Zgasłemi widm oczyma.

W świetlisty patrzą zachód,  
Gdzie zorza błędnie, znika.  
Na skale sterczy zamek tam,  
Świętego gród Ludwika.

I wieje sztandar mglisty  
Nad skalnych wież ruiną,  
A w cichych blaskach zorza gra,  
A duchy płyną, płyną...

Pod zamkiem dają hasło.  
I maszt koronny kłonią,  
I wznoszą pieśń, ogromną pieśń,  
Nad uciszoną tonią.

Wszechwieków krucyaty,  
Śpiewają wszelkie boje,  
A z pieśni bije żar i duch,  
W potężnych skrzydeł dwoje.

Wszechwieków krucyaty  
Śpiewają wielkie klęski,  
A z pieśni bije żar i duch,  
Żyw wiecznie i zwycięski.

Lecz nikt nie słucha pieśni,  
I hasła nikt nie słyszy,  
I tylko pątnik duma tam,  
W mdlejących światłach ciszy.

MARYA KONOPNICKA.

---

# JEDEN Z KIERUNKÓW

## psychologii i filozofii współczesnej.

### I.

Rozwój nauk mechaniczno-fizycznych w epoce odrodzenia nauk pociągnął za sobą zasadniczy przewrót w poglądach filozofii, szczególnie zaś w tych jej działach, których zadaniem było wyjaśnienie metafizycznej strony zjawisk świata zewnętrznego. Mechaniczna metoda objaśniania zjawisk świata otaczającego zastąpiła złożone i z coraz nowymi trudnościami borykające się objaśnienia epoki scholastycznej.

Pomijając znaczenie metody przy badaniu zjawisk przyrody, zatrzymać się po krótko musimy nad wynikami natury czysto filozoficznej, które powstanie swoje zawdzięczają metodzie mechanicznej. Były one bardzo głębokie i w skutkach swoich długotrwałe.

Filozofia scholastyczna, zajmując się wyjaśnieniem powstawania pojęcia o świecie i praw jego poznawania, przyjmowała, iż świat otaczający posiada byt realny w tej formie, w jakiej go spostrzegamy. Pozostawało tylko objaśnić, jak świat ten spostrzegamy, dlaczego wrażenia odbierane są równoznaczne z własnościami otoczenia.

Gdy zbudowano teorię <sup>1)</sup>, okazało się, iż nie umie ona odpowiedzieć na pytanie: skąd pochodzą złudzenia lub hallucynacje, dlaczego spostrzegamy błędnie?

Na pytania te odpowiedziała filozofia odrodzenia, radykalnie wprawdzie, ale bez zarzutu. Na pytanie: dlaczego niektóre wrażenia nie odpowiadają rzeczywistości? odpowiedziano: wszystkie nie odpowiadają jej, gdyż wszystkie są subiektywne. Świat, spostrzegany przez nas, jest tylko światem wrażeń, a nie światem rzeczywistym, jest tylko *formą objawiania się* rzeczywistych, realnych cech materialnego otoczenia.

Byt realny, od nas niezależny, posiadają: ruch, materya i siła.

W imię tych założeń, wyjaśnianie odbierania wrażeń nie przedstawiało trudności. Obiektywnie istnieje tylko ruch materyi. Ruchem takim jest działanie na zmysły, ruchem przenoszenie się tego działania, jako podniety, po nerwach. Aby jednak ruch ten mógł zamienić się we wrażenie, musi podzielać na coś zasadniczo od materyi odmiennego: tem była dusza.

Oddziaływanie materyi na duszę objawiało się w postaci wrażenia.

Widzimy, jak zmiana metody traktowania zjawisk pociągnęła za sobą zmianę poglądu.

Nietylko jednak poglądu. Zmieniły się i pytania dalszego badania.

Filozofia scholastyczna, przyjmując bezpośrednią realność spostrzegalnego świata, nie mogła się uporać ze złudzeniami, nie umiała znaleźć odpowiedniej teorii wrażeń zmysłowych.

Filozofia odrodzenia teorię taką podała. Po zmianach i udoskonaleniach, zamieniła się ona we współczesną teorię wrażeń zmysłowych. Powstało jednak inne pytanie, nie mniej trudne od poprzedniego: *wyjaśnienie związku pomiędzy zjawiskami mechaniczno - materialnymi a psychiką ludzką.*

Gdy nieznaczną znajomość budowy organizmu ludzkiego pozwalała na przypuszczenie, że psychiczna strona człowieka jest niezależną od funkcji organicznych, pytanie to było stosunkowo łatwe. Odpowiedź brzmiała: zjawiska psychiczne są objawami duszy. Działanie świata zewnętrznego na duszę, substancyjalnie od świata tego różną, objawiało się w formie świadomych, jakościowo różnorodnych wrażeń.

<sup>1)</sup> W założeniu wszystkich teorii scholastycznych leżało przypuszczenie, iż ciała rozsyłają naokół niematerialne podobizny: *species*.

Przyjmując wrażenia pierwotne, jako *jednostki, elementy*, z których składało się życie duchowe, i nadawszy im miano *czucia elementarnego*, starano się z elementów tych zbudować życie psychiczne,—co było zadaniem psychologii—i wyjaśnić stosunek ciała do ducha, wyjaśnić formę ich współdziałania — co przypadło w udziale metafizyce.

Już wzrastająca znajomość fizjologii, systemu nerwowego, nie pozwalała na utrzymanie niezależności życia duchowego od organizacyj fizycznej.

Gdy obok tego prawo zachowania energii uczyniło niemożliwym oddziaływanie duszy na ciało, wówczas okazało się koniecznem usunięcie pojęcia substancjalnej duszy z zakresu badań naukowych.

W skutek tego znów zmieniło się pytanie metafizyczne. Gdy usunięto ze sfery nauki duszę, pozostała jeszcze świadomość, będąca pierwotnie jej objawem. Pytanie więc: jaki jest stosunek pomiędzy ciałem a duszą, zamieniło się na pytanie: jak powstają objawy świadomości?

Fizjologia na pytanie to chciała odpowiedzieć: są one produktem objawów fizjologicznych. Przeciwno temu musiano zaprotestować w imię zasad ogólnofilozoficznych. Protest ten pociągnął za sobą konieczność odpowiedzi i stał się nową podniętą do szukania jej.

Pierwsza odpowiedź opierała się na zasadzie tak zwanej psychologicznej równoległości zjawisk. Zjawiska fizyczne systemu nerwowego i zjawiska psychiczne występują równolegle. Objaśnienie takie jest jednak pominięciem pytania, nie zaś jego rozwiązaniem.

Wyjaśnienie stanów psychicznych, na zasadzie danych fizycznych, okazało się niemożliwym. Zasada psychologicznej równoległości zjawisk była także niewystarczającą; musiano zwrócić się do szukania dróg nowych, przede wszystkim zaś do krytyki metod—do ponownego rozpatrzenia ogólnofilozoficznych założeń i t. d. Praca ta jest zaledwie rozpoczęta. Pomimo to, postąpiła ona tak daleko, iż możliwe są próby nowych systematów, dążących do ujęcia wszystkiego w jednolitą całość, na podstawie pracy już wykonanej.

Taką jest praca *Corneliusa* <sup>1)</sup>, której zasadniczą treść chcielibyśmy podać. Opiera się ona na wynikach prac takich myślicieli, jak *Mach* i *Avenarius*. Praca *Corneliusa* przedstawia naturalnie jeden tylko kierunek, bardzo poważny, choć nie jedyny. Obok niego istnieją próby poszukiwań na innych drogach.

<sup>1)</sup> *Cornelius Hans*. Psychologie als Erfahrungswissenschaft. Leipzig. 1897.

## II.

Filozofia odrodzenia, przyjmując, że forma, w jakiej spostrzegamy świat, jest subiektywną, nie negowała jednak istnienia świata obiektywnego, zarówno jak i nie zaprzeczała możności poznania go. Pojęcia, jak materya, ruch i t. d., były wyrazem istotnych własności świata materyalnego.

*Kant* krytyką swoją starał się wykazać niemożność poznania świata obiektywnego, nie negował jednak także jego istnienia. Pomimo krytyki *Kanta*, cel wiedzy ścisłej został niezmienionym, a sprowadzenie wszystkich zjawisk przyrody do ruchu materji, podlegającej działaniu sił, było dążeniem nauk przyrodniczych. Wprawdzie przyznawano, iż materya nie da się zmysłowo określić, nie przedstawano jednak w pojęciu tem widzieć wyraz istoty zjawisk materyalnego świata.

Tak było aż do niedawna, kiedy *Mach* zajął się krytycznem rozpatrzeniem historii pojęć fizycznych. W krytyce swojej wyszedł z założenia, iż danym jest świat w formie spostrzegalnej, a więc zmysłowej. Danymi są więc tylko—ogólnie powiedziawszy—wrażenia zmysłowe, wiedza przypuszcza jednak, iż możliwem jest poznanie pojęciowe materyalnego świata. Jak tworzą się te pojęcia?

W rezultacie otrzymał on odpowiedź: pojęcia wiedzy ścisłej nie są wcale wyrazem pozazmysłowych własności świata zewnętrznego. Są one tylko wyrażeniami skróconemi dla szeregów wrażeń, są symbolami, reprezentującemi wrażenia. Jedyńm materyałem faktycznym i realnym są czucia. Wszelka wiedza nie wykrywa praw i własności świata pozazmysłowego, lecz szereguje, uogólnia, porządkuje ów materyał. Praca ta, stanowiąca całą treść pracy naukowej i pojęciowej, odbywa się według prawa ogólnego, które *Mach* nazwał zasadą „oszczędności myślenia“ (*Oekonomie des Denkens*), lub „oszczędności wiedzy“ (*Oekonomie der Wissenschaft*). „Zadaniem wiedzy jest—czytamy w jednym miejscu <sup>1)</sup>—zamiać lub zaoszczędzać doświadczenia przy po-

<sup>1)</sup> *Mach*. „Die Mechanik in Ihrer Entwicklung“. Leipzig, 1889, str. 452.

mocy odtworzenia faktów w umyśle, w taki sposób, aby odtwarzające obrazy były łatwiejsze w użyciu, aniżeli wyrażone przez nie fakty. Oszczędnościowa rola ta, przenikająca całą istotę wiedzy, staje się jasną już przy ogólnem rozważaniu. Z poznaniem jej znika wszelka mistyka z nauki“.

Przypuszczenia i hipotezy, mające niby wyjaśniać istotę zjawisk, są mistyką; pojęcia ogólne — to nie poznanie lub sformułowanie obiektywnej rzeczywistości, lecz środek, ułatwiający ujęcie całości. Poznanie świata nie jest sprowadzeniem zjawisk do pojęć materji i ruchu. Wyrażenie ich w ten sposób, to tylko posiłkowanie się symboliczną formą.

Niezależnie od *Macha* i współcześnie z nim dochodzi *Avenarius* do analogicznych wniosków, na zasadzie analizy psychologicznej. Badając tworzenie się systematów filozoficznych wogóle, dochodzi on do wniosku, iż systemat filozoficzny to wynik dążenia do ujęcia mnogości zjawisk w ogólne normy w imię zasady najmniejszego zużycia sił. Każde sprowadzenie zjawisk nieznanych do ogólnych znanych kategorii, każde wyjaśnienie zjawisk jest przykładem, potwierdzającym tę zasadę.

Na analizie *Avenarius* opiera się *Cornelius*. Wszelkie uogólnianie, wszelkie dążenie do łączenia różnorodnych doświadczeń w jednolitą całość, jest dla niego wyrazem prawa najmniejszego zużycia sił, prawa ekonomii myślenia. Objawia się ona wszędzie, gdzie idzie o wyjaśnienie, o uogólnienie, o pojęcie czegośkolwiek. Pojęcie czegoś oznacza podporządkowanie nowych faktów pod znany symbol, lub, jeżeli symbol nie wystarcza, rozszerzenie i zmienienie go tak, aby mógł objąć fakt nowy, wraz z faktami poprzednimi.

Rzeczy nowe, nieznanne, niepokoją nas swą nowością, swą odrębnością. Uspakajamy się dopiero wówczas, gdy nam się uda podporządkować je, na zasadzie podobieństwa z faktami znanymi, pod pojęcia znane. Dążenie do wyjaśnienia zostaje zadowolonym. Każde prawo, obejmujące szeregi pojedynczych doświadczeń, jest takim uogólnieniem. Dążeniem nauki jest coraz większe upraszczanie takich uogólnień. Ku temu celowi służą wyobrażenia hypotetyczne.

Tak więc, prawo ekonomii myślenia jest zasadniczą formą myślenia ludzkiego. Ono leży w założeniu pojęcia przyczynowości, ono każe przypuszczać, iż raz zrobione doświadczenie musi się w analogicznych warunkach powtórzyć. Wszędzie, gdzie jakiegokolwiek uogólnienie zja-

---

<sup>1)</sup> *Avenarius*. „Philosophie als Denken des Welt gemäss dem Principe des kleinsten Kraftmaasses.“ Lipsk, 1876.

wisk współczesnych, czy następczych, ma miejsce, gdzie tworzą się pojęcia, lub wypowiedają prawa, wszystko to odbywa się na zasadzie prawa ekonomii myślenia.

Wyniki założeń takich są filozoficznie ogromnej wagi, jeżeli uprzytomnimy sobie, iż dawna filozofia wszystkich kierunków przyjmuje jako fakt niewątpliwy, że tylko wrażenia zmysłowe są nam bezpośrednio i bezwzględnie dane. Filozofia dotychczasowa przyjmowała jednak, iż poza wrażeniami istnieje coś, co je powoduje. Istnienie świata zewnętrznego stało się niewątpliwem, odkąd powstały nauki przyrodnicze, pozwalające własności świata tego, jeżeli nie zmysłowo spozstrzedz, to przynajmniej pojęciowo poznać.

Obecnie pytanie się zmienia. Danymi są tylko zjawiska zmysłowe, ale one są jedynie realne. Wprawdzie pojęcie świata realnego istnieje, to zaprzeczyć się nie da. Istnieje ono jednak jako pojęcie, jako uogólnienie danych jedynie realnych stanów świadomości.

Zamiast więc badać, jak świat materialny działa na świadomości, należy odwrotnie badać, jak *powstaje pojęcie świata zewnętrznego, pojęcie przedmiotu* (objektu) *i podmiotu* (subjektu). Danymi są stany świadomości, jako istniejące. Zamiast badać ich powstanie, należy więc odwrotnie analizować je, i z analizy tej starać się dojść do poznania *genezy* wszystkich innych pojęć.

Dlatego też kierunek, o którym chcemy mówić, można by nazwać *genetycznym*. Nie przeczy on bynajmniej istnieniu świata zewnętrznego i wszystkich, z nim związanych, zagadnień. W rozpatrywaniu ich kładzie on jednak nacisk na to, iż danymi są różnorodne zjawiska, stanowiące objawy świadomości, a pytanie właściwe musi brzmieć, nie: jak zjawiska te powstają, lecz: jaką drogą prowadzą do uogólnień, do pojęcia bytu realnego poza niemi.

Takie postawienie kwestyi zmienia z sadniczo uetylko pytania filozoficzne. Zmienia ono i zagadnienia czysto psychologiczne.

Poczynając od *Herbarta*, psychologia przyjęła za zasadę wyjaśnienie życia psychicznego przez sprowadzenie mnogości jego objawów do praw, kierujących współistnieniem, lub zmianami elementarnych czuć. Pierwotnie, proste działanie z zewnątrz, jako podnieta, powodowało proste czucie, — tak brzmiało założenie tego sposobu rozpatrywania. Przy pomocy analizy starano się więc elementy proste — czucia elementarne — wydzielać. Badano, jak one się łączą w pewne całości psychiczne. Optyka, akustyka fizjologiczna, są całe zbudowane na tej zasadzie.

*Cornelius* w przeciwstawieniu do tego kierunku zaznacza z naciskiem, że danymi są nie elementarne czucia, lecz pewna psychiczna całość, przeżywana w danej chwili. Musimy uważać — powiada on — całą



summę zdarzeń, uogólnianych nazwą: *treść naszego życia*, jako dane bezpośrednio.

Tylko te dane istnieją, tylko one posiadają realny byt, są konkretnie danymi zjawiskami. Istnieją one jednak w chwili, gdy je przeżywamy. Przestają istnieć z chwilą, gdy minęły. To, co wiemy, wiemy tylko dlatego, że treść tej świadomości przeżywamy obecnie. Czy więc to będzie wrażenie, uważane za zupełnie nowe, czy wspomnienie, musi ono zawsze istnieć, jako obecny stan świadomości.

Tylko to, co przeżywamy, co stanowi treść świadomości, daje się analizować. Jakikolwiek jest życie duchowe danej chwili, a więc, czy zajmujemy się obserwacją, czy unosimy się fantazją bez planu i celu czy wspominamy przeszłość, czy dumamy o przyszłości, czy pytamy czy wypowiadamy zdania, w każdym momencie czuwania przeżywamy coś. Coś jest nam danem, wiemy, ponieważ bezpośrednio na to skierowane są nasze myśli. To coś stanowi ośnowę *świadomości*, jest jej *objawem*. Wyraz świadomości jest tylko udoskonaleniem, uogólnieniem tych objawów.

Wrażenia raz odebrane nie posiadają bytu wiecznego. Stanowią one szereg, zmieniający się w czasie. Każda przeżyta chwila stoi w związku ze zdarzeniami poprzednimi. Pomimo jednak, że nieznaczna część tych zdarzeń jest danej chwili obecną, inne nie minęły przecież — powiada Cornelius — bez śladu. Mówimy zwykle, że mamy je w pamięci, wpływają one modyfikująco na wrażenia przyszłe.

Niema więc tutaj zaprzeczenia zmienności osnowy świadomości, ani negowana jest możność poznawania tej zmienności. Przeciwnie, rozróżnianie następczych świadomości o rozmaitej osnowie jest zasadniczym faktem,—czytamy—lecz fakt ten jest czemś pierwotnym, bezpośrednim, nie może być wyjaśnionym. „Ponieważ nie możemy wyobrazić sobie danych psychicznych bez przebiegu w czasie, nie możemy faktu zmienności osnowy świadomości sprowadzić do danych prostszych. Fakt ten jest zawartym w każdym innym fakcie przyrodniczym Najpierwotniejsze objawy życia duchowego nie mogą być bez niego pomyślane“.

Może on być jednak zanalizowanym i tutaj zaczyna się zadanie autora. Przyjmując, że istnieją tylko stany obecne, musimy wyjaśnić, jak dochodzimy do znajomości stanów przeszłych i przyszłych; wyjaśnić pamięć i przewidywanie, abyśmy potem dopiero mogli przejść do objaśnienia pojęcia o świecie.

## III.

„Psychologia atomistyczna“, jak ją nazywa Cornelius, z objaśnieniem pamięci nie miała trudności. Tak nprzykład *Herbart*—jeżeli weźmiemy za wzór najstarszego jej przedstawiciela — przyjmował, że raz otrzymane wrażenie istnieje zawsze, będąc tylko przytłumionem przez inne, silniejsze.

Psychologia fizyologów przyjmowała powstawanie stałych zmian w systemie nerwowym, pod formą „ulawionych dróg“ (*Bahnung Exnera*).

Jedno i drugie wyjaśnienie nie mogło się ostać, przedewszystkiem ze względów metodologicznych, gdyż zadaniem autora jest *analiza* stanów psychicznych, bezpośrednich, lecz nie wyjaśnianie ich w imię założeń, powziętych mniej więcej dowolnie; powtóre, ze względów zasadniczych, gdyż autor nie uważa sprowadzenia psychiki do fizyologii za wyjaśnienie, lub rozwiązanie kwestyi.

Należało szukać innej drogi.

„Przypuśćmy, — powiada autor — że mamy szereg stanów świadomości o różnorodnej osnowie (naprzykład tonów) *a, b, c, d...*, i że w chwili, gdy następuje *b*, po *a* nie zostało już żadnego śladu. Minęło ono tak, jak gdyby nigdy nie istniało. Toż samo przy nastąpieniu *c* w stosunku do *a* i *b*, i t. d. Jasnym jest, iż w tych warunkach nie może być mowy o poznaniu następczości.

Rezultat był-by ten sam, jak gdyby *a, b, c* były wrażeniami, odbieranymi przez inne osoby.

Poznanie różnicy pomiędzy wrażeniami było-by także niemożliwem. Aby odróżnić *b* od *a*, należy o *a* w jakikolwiek sposób pomyśleć, porównać je z *b*; według założenia jednak, minęło ono bez śladu.

Aby więc rozróżnianie osnow świadomości było możliwem, aby można było rozpatrywać ich następczość, koniecznem jest, aby stany istniejące nie minęły bezpowrotnie i bez śladu, lecz oddziaływały w pewien sposób na osnowę świadomości następných. *To oddziaływanie jest treścią tego, co nazwano: „zachowaniem w pamięci minionych wrażeń“.*

*Cornelius* protestuje przeciw ostatniemu wyrażeniu. Zachowaniem zostało nie to, co minęło, lecz pewne skutki minionych stanów świadomości.

mości. Te zaś skutki objawiają się jako stany obecne, a nie przeszłe; a polegają one na tem, iż każdy stan świadomości następny zostaje przez poprzedzający w pewien właściwy sposób zmieniony, otrzymując wskutek tego inne zabarwienie, inny charakter. Są to te różnice, które popularnie można określić, jako wpływy przeżytych chwil na obecny, ogólny stan psychiczny.

Wpływy te nietylko zmieniają charakter wrażeń nowych. Pozostają one często jako osnowa świadomości niezależna, dająca się odróżnić od nowych. Są one jakby obrazami pamięciowymi, istniejącymi współcześnie z wrażeniami nowymi, tworząc z nimi całość. W tym razie wrażenia nowe w terminologii zwykłej noszą miano: *czuć*. Ślady minionych wrażeń są obrazami pamięci, *fantazjami*. Różnica pomiędzy temi dwoma rodzajami osnowy świadomości jest czysto-rzeczowa i bezpośrednio dana. Wrażenia, określone jako nowe, są tak samo stanami świadomości chwili obecnej, jak i ślady wrażeń minionych. Te ostatnie istnieją obecnie, bądź jako szczególny charakter wrażeń nowych, bądź jako współczesne z nimi fantazmy.

*Przeszłość więc istnieje jako teraźniejszość, różniąc się od tej ostatniej cechą sobie właściwą, charakterem specjalnym, który ją jako przeszłość określać każe.*

Ten charakter jest bezpośrednio danym, jest faktem empirycznym. Psychologia ogranicza się zaznaczeniem go, nie siląc się na wytłómaczenie.

Aby dokładniej zrozumieć powyższy pogląd, należy wyjaśnić różnicę, jaka istnieje pomiędzy *wrażeniem*, a jego *symbolem*, jako śladem wrażenia otrzymanego. Weźmy za przykład wrażenie jakiegokolwiek powierzchni kolorowej, lub wrażenie dźwięczącego tonu, i postarajmy się w chwili następnej przypomnieć sobie ton, dopiero co słyszany. Znajdujemy wówczas pewną osnowę świadomości — „obraz pamięciowy“ — informującą nas do pewnego stopnia o własnościach wrażenia. Osnowa ta jest jednak różną od wrażenia samego. I nie może być inaczej. W przeciwnym razie była-by ona wrażeniem, nie jego obrazem pamięciowym. Pomimo jednak różnicy, istnieje także pewne *podobieństwo*, na zasadzie którego rozróżniamy, iż jest to obraz świeżo słyszanego tonu, posiada jego własności i t. d. Ścisłość, z jaką obraz dany informuje nas o wrażeniu, jest w różnych wypadkach różną. Malarz przypomni sobie z większą dokładnością odcień widzianego koloru, muzyk z większą dokładnością wysokość i barwę słyszanego tonu, kto inny będzie wiedział tylko, że widział „coś czerwonego“, lub słyszał „wysoki ton“.

Charakter psychiczny samego przypomnienia jest jednak tu i tam ten sam, i w tem właśnie objawia się znów różnica nowej teoryj w przeciwstawieniu do starych. Tam wrażenie odżywało z mniejszą

lub większą dokładnością, tutaj minęło bezpowrotnie, pozostawiając ślad po sobie w postaci fantazmy, stanowiącej *nową* ośnowę świadomości, różną od tej, jaką było obecnie przypominane wrażenie.

Wróćmy znów do pierwszego przykładu. Wrażenia *a, b, c*, następujące po sobie, nie mijają bez śladu. Przeciwnie, gdy *b* zajmuje miejsce *a*, pozostaje po niem jeszcze pewien ślad poprzedzającego je *a*, nazwijmy go *d*. Następcość wrażeń wówczas dopiero jako taka rozróżniona bywa, jeżeli po *a* następuje *b i d*, po *b c i* wpływy stanów *a i b i t. d.* Przyczem ślady wrażeń poprzednich muszą być bezpośrednio i odrazu rozpoznawane jako takie. *Symboliczna funkcyja* wrażeń poprzednich musi być odrazu widoczną. Ona uwarunkowuje poznanie zmienności ośnowy świadomości w czasie. Przy jej pomocy rozróżniana bywa przeszłość od terażniejszości; dzięki jej, mówimy, iż myślimy o chwilach ubiegłych. Ta przeszłość jest jednak faktycznie terażniejszością, lecz terażniejszością, noszącą na sobie cechę, która każe ją do przeszłości zaliczać.

Kwestya pamięci, to punkt zasadniczy nietylko psychologii *Corneliusa*. Psychologia scholastyczna tutaj wylała się stosunkowo najbardziej, i dla tego musiała ustąpić miejsca psychologii odrodzenia. Systemat więc nowy, wychodzący z założenia, że stany obecne tylko istnieją, musiał szukać objaśnienia nowego, zgodnego z założeniem głównem.

Takim objaśnieniem jest twierdzenie, że stany poprzednie zmieniają terażniejszość.

Założenie takie sięga daleko. Zmusza ono do wniosku, że całe życie przeszłe musi pozostawić swe ślady, od których zależnym jest charakter całego życia przyszłego. Niema więc dwóch chwil w życiu ludzkim jednakowo podobnych do siebie. Wraz z czasem zmienia się i charakter wrażeń, charakter człowieka.

Nietylko przypominamy sobie chwile minione, nietylko wiemy, że to przeszłość, lecz rozpoznajemy ją jako przeszłość z tego a tego czasu, takich lub innych cech. Mówimy ogólnie o *rozpoznawaniu obrazów* pamięci. Przyczem chodzi o następujące zjawisko.

Jeżeli wyobrazimy sobie ton słyszany poprzednio i uwzględnimy jednocześnie bieg czasu, wówczas możemy rozłożyć wyobrażenie tonu na fazy, pomiędzy którymi upłynął pewien czas, lecz obraz pamięciowy się nie zmienił.

Zapytajmy, skąd ta pewność, a nie znajdziemy odpowiedzi. Stoiśmy wobec faktu, który nie da się objaśnić przy pomocy innych; jest on danym, możemy go konstatować i nic więcej. Mamy więc tutaj nową cechę ośnowy świadomości, cechę analogiczną do tych, za jakie uważaliśmy n. p. przyznawanie fantazmom cech przeszłości w stosunku

do wrażeń. Podobnie jak fantazmę uważamy za obraz pamięciowy wrażenia, tak samo bezpośrednio obraz pamięciowy obecny może nam uprzytomnić własności obrazu minionego.

Tutaj jednak stajemy wobec trudności.

Przypomnijmy sobie, iż autor w imię zasady, że danym jest tylko stan obecny, o minionym zaś, jeżeli on minął zupełnie, nie wiemy nic, doszedł do wniosku, że każdy stan miniony pozostawia ślad, symbol swój, trwający w teraźniejszości, a mający charakter przeszłości.

Obecnie obraz pamięci mówi nam i o obrazach pamięciowych przeszłych.

Uogólniając teorię, należało-by przypuszczać, że i obrazy pamięciowe pozostawiają ślady, pozwalające je rozróżniać w czasie. Były-by to fantazmy pamięci, fantazmy symbole, mające reprezentować symbole pamięci.

Takiego uogólnienia unika autor.

„Jeżeli rozpatrzmy obraz pamięciowy tonu w fazie obecnej i obraz pamięciowy tonu fazy przeszłej, a więc przypomnienie obrazu pamięciowego, wówczas—powiada Cornelius—poznamy, że obrazy te nie różnią się pomiędzy sobą. Gdy przypominam sobie obraz pamięciowy, to obecna osnowa, o ile dotyczy samego przypomnienia świadomości, jest jednakową z obrazem pamięciowym. Jeżeli zaś rozróżniamy, iż przypomnienie obecne nie jest jednoczesnem z poprzedniem, to dzieje się to nie dzięki własnościom „otoczenia“ obrazu pamięciowego, t. j. jego połączeń z obrazami innemi. Otoczenie się zmienia, dzięki temu wiemy, że przypominaliśmy sobie poprzednio już chwile, wspominae teraz, i możemy określić czas przypomnienia.

Wyjaśnienie następności stanów świadomości, a właściwiej rozpoznawania ich ciągłości, daje podstawę do zrozumienia dalszych objawów.

Zajmiemy się tylko temi, które są niezbędne do zrozumienia twórczenia się światopoglądu.

Zanalizy poprzedniej wynika, że stany współczesne muszą się składać z dwóch rodzajów elementów: wrażeń i wpływów stanów poprzednich. Stan każdorazowy stanowi pewną całość, której część pewna zostaje zauważoną i na której „skupia się uwaga“. Jest to „część zauważona“. Resztę stanowi tło. Zmienia się ono wraz ze zmianą części zauważonych, a różni się od nich mniej dokładną określonością, znacznie mniejszem uwydatnieniem się szczegółów. Tło takie zawsze istnieje, a najwybitniejszym jego wyrazem jest każdorazowy nastrój, różny, pomimo podobieństw wrażeń.

Toż samo odnosi się i do wspomnień. Są to także złożone całości. Szczególnie takie, których położenie w czasie jest dokładnie okre-

ślone. O takich wiemy, że muszą one posiadać „otoczenie“, określające ich miejsce w przeszłości.

Na takim stałym związku szczegółów z całością polega kojarzenie się.

Zgodnie z punktem wyjścia, *Cornelius* nie może przyjmować tak zwanego kojarzenia się następczego, możliwym jest tylko kojarzenie się współistne, kojarzenie się „dotykowe“.

Zasada kojarzenia się współistnego polega na tem, iż każdy pojedynczy obraz pamięciowy jest składową częścią całej grupy, tworzącej całość niegdyś otrzymanego wrażenia.

Przypuśćmy więc, iż oznaczymy przez *a* pewien obraz pamięciowy (naprzykład fantazma tonu muzycznego), przedstawiający niegdyś słyszane tony.

Oznaczmy osnowę świadomości, reprezentowaną przez *a*, jako osnowę *A*. Przyjmując, że *A* występowało w różnych kompleksach, oznaczmy je przez:

X A P ; Y A Q ; Z A R.

Przy występowaniu *A* w świadomości, współcześnie z niem istnieć będzie jeden z kompleksów, który jednak? — tego określić nie można. Prawdopodobieństwo wystąpienia każdego z nich jest zupełnie identyczne z prawdopodobieństwem wystąpienia każdego innego. Z taką samą pewnością możemy mówić, że to będzie *P*, jak *Q* i t. d.

Przypuśćmy jednak, że mieliśmy połączenia:

X A B ; Y A K ; Z A K ; R A C ; Q A D.

W takim razie, *ceteris paribus*, prawdopodobieństwo, że wraz z *A* wystąpi *B*, będzie znacznie większe, aniżeli *C*, lub *D*. Jest ono tem większe, im częściej wyobrażenia te występowały współcześnie.

Na tem opiera się znaczenie przyzwyczajania. Jest to wynik zasady prawdopodobieństwa.

W warunkach tych assocyacja przestaje być ogólnem prawem, według którego dadzą się objaśnić i przewidzieć stany następne. *Cornelius* występuje tu przeciwko zbyt wielkiemu uogólnieniu praw assocyacji. Jest ona jednak bardzo ważnym czynnikiem w życiu psychicznem. O czem przekonamy się zaraz, rozpatrując tworzenie się pojęcia o świecie zewnętrznym, pojęcia o bycie niezależnym świata otaczającego.

## IV.

Stany świadomości istnieją jako takie; przestają istnieć z chwilą, gdy miuły. Wrażenia optyczne, akustyczne, istnieją dotąd, dopóki je widzimy lub słyszymy. Zniknęły, gdy je widzieć lub słyszeć przestałem. Stany świadomości posiadają byt, lecz pojęcie bytu używanem bywa nie tylko w takim znaczeniu, w jakim je zastosować możemy do stanów świadomości.

Mówimy o otaczającym nas świecie, że posiada on także byt. Mówimy o przedmiotach i ich różnorodnych własnościach, że istnieją i w ten czas, gdy my ich nie widzimy, gdy nie stanowią przedmiotu naszych wrażeń. Mówimy, że posiadają one byt niezależny.

Pojęcie bytu, użytego w ostatnim znaczeniu, jest więc inne, aniżeli pojęcie bytu, istnienia, w zastosowaniu do stanów świadomości.

Gdy mówimy, iż coś istnieje, to rzecz ta lub zjawisko były zapewne kiedyś przedmiotem naszego wrażenia, stanowiły ośnowę naszej świadomości, przypomnienie jednak odebranego wrażenia jest zasadniczo zjawiskiem różnym od twierdzenia, że przedmiot posiada byt samoistny. Co więcej, twierdzenie, że pewne zjawisko zmysłowe posiada byt niezależny, zawierało-by wprost sprzeczność, gdybyśmy pojęcie bytu w tej formie, w jakiej je stosujemy do ośnowy wiadomości, chcieli bezpośrednio przenieść na przedmioty, którym byt samoistny przypisujemy.

Gdy mówimy, że widzimy kamień, kamień, jako wrażenie, jest przedmiotem wiadomości. Gdy mówimy, że kamień istnieje, pomimo że go nie widzimy, wówczas mamy do czynienia z określeniami, zupełnie różnymi co do charakteru.

Założeniem zasadniczym jednak filozofii rozpatrywanej jest twierdzenie, że istnieje tylko bezpośrednia treść świadomości, iż ona stanowi jedyny materiał, z którego buduje się pojęcie o świecie zewnętrznym. Jak więc pojęcie to jest zbudowanem?

Aby zrozumieć wyjaśnienie autora, musimy odbiedz nieco od przedmiotu i zatrzymać się na teorii, która w zastosowaniu do danego

wypadku pozwoli zrozumieć wyjaśnienie: do teorii tak zwanych pojęć empirycznych.

Pojęcia te tworzą się w następujący sposób: Każde wrażenie nowe nie jest niezależnem, lecz zostaje podporządkowane pod pojęcie ogólniejsze na zasadzie podobieństwa z wrażeniami, otrzymanymi poprzednio. W podporządkowaniu takim mają wpływ nie tylko obrazy pamięciowe wrażeń minionych, lecz i przewidywania. Na zasadzie poprzedniego doświadczenia wiemy, że za wrażeniem pewnem *m* powinny nastąpić inne: *n*, *o*, *p* etc.; obecnie też, gdy znów wrażenie *m* jest danem, oczekujemy, że nastąpią *n*, *o*, *p*, etc. Dane wrażenie staje się wręcz niejako symbolem całej grupy, która otrzymuje wspólne miano. Określona zostaje wspólnem pojęciem: *pojęciem empirycznym*. Pojęcie empiryczne określa nie tylko osnowę wiadomości, w danym momencie istniejącą, lecz i treść, jaka z konieczności nastąpić powinna. Znaczenie główne pojęcia empirycznego polega właśnie na tej jego roli uogólniającej wrażeń obecne i przyszłe: zjawiska obecne i przyszłe, jeżeli pod zjawiskiem rozumiemy będziemy pewne wyobrażenie świadome, pewną osnowę świadomości.

Pojęcie *przedmiotu* jest takim pojęciem empirycznym.

W stanie rozwiniętego życia poznajemy bezpośrednio każdą nową osnowę świadomości, jako należącą do tego lub innego szeregu jej zawartości. Otrzymując też pewne wrażenie optyczne lub dotykowe, *określamy je zaraz jako pewien przedmiot*. Przypuśćmy więc, iż widzimy kawałek kredy i określamy go jako kredę. Bezpośrednio danymi są w tej chwili tylko pewne białe płaszczyzny, pola widzenia, w taki lub inny sposób cieniowane. Jeżeli jednak wrażenie oczne określimy nazwą kredy, to określenie to nie ogranicza się tylko do wyrażenia charakteru wrażenia optycznego, lecz obejmuje ono szereg własności, szereg faktów, mających lub mogących nastąpić. Summa tych faktów będzie różną, zależnie od stanu naszej wiedzy przyrodniczej, w każdym razie jednak, określając widziany przedmiot, nazwą kreda, mamy na myśli nie samo wrażenie optyczne, lecz ciało trójwymiarowe, posiadające pewną twardość, powodujące pewne wrażenia dotykowe i t. d. Wszystkie te własności nie są dane współcześnie z wrażeniem optycznym. Są one przewidywaniami. Oczekujemy więc, iż, zwracając wzrok w pewien sposób, będziemy odbierali szereg różnych ciągłych wrażeń optycznych, które uogólniamy pojęciem ciała trójwymiarowego; przewidujemy, że, wyciągnąwszy rękę, odbierzemy określone wrażenie dotykowe i t. d.

Teraz łatwo już będzie zrozumieć, w jaki sposób autor wyjaśnia powstanie otoczenia niezależnego od nas, pomimo, iż tylko treść świa-



domości chwili obecnej stanowi materiał całej naszej wiedzy. Pojęcie to jest pojęciem empirycznym.

Pojęcie przedmiotu jest właśnie jednym z takich pojęć, które wyrażają byt od nas niezależny. Obok własności, w danej chwili spostrzeganych, przypisujemy przedmiotom świata otaczającego także właściwości, w danej chwili nie obserwowane. Mówiąc, że przedmiot istnieje, przypisujemy byt także i tym obecnie nie spostrzeganym własnościom przedmiotu.

Znaczenie tego jest jasne. Pojęcie istnienia jest wyrazem doświadczenia zdobytego poprzednio, jest *wyrazem oczekiwania zjawisk, które przy dostatecznych warunkach za zjawiskami chwili obecnej nastąpić muszą*. Przyczem nie jest koniecznem, abyśmy w każdej chwili tego oczekiwania byli zupełnie świadomi. Stanowi ono raczej pewne tło, nadaje wrażeniom obecnym pewien charakter, który wyraża się zastosowaniem pojęciem.

Pojęcie *bytu* jest więc skróceniem dla wyrażenia oczekiwań, których ziszczenia się spodziewamy na zasadzie poprzednich doświadczeń, zawsze, ilekroć będą ku temu dostateczne warunki. Oczekiwania te, zarówno, jak i każde oczekiwanie, są rezultatem poprzednio nabytych doświadczeń. Mogą być one mniej lub więcej określone, zależnie od charakteru doświadczenia. Najmniej określoną formą będzie więc twierdzenie, iż zjawiska danego rodzaju wogóle istnieją, bez wyrażenia warunków, przy jakich to jest możliwe; najbardziej określoną wówczas, gdy podajemy dokładnie warunki istnienia i warunki, przy których zjawisko w określonym czasie nastąpić musi.

Tak więc istnienie świata otaczającego nas jest wyrazem uogólnienia szeregu następujących świadomości różnej osnowy, jest uogólnieniem w imię zasady ekonomii myślenia. Zasada ta wymaga, aby mnogość otrzymanywanych wrażeń uogólniana była w pojęcia szersze, pojęcie zaś wszechświata jest takim pojęciem ogólnem<sup>1)</sup>.

---

1) Nie należy pojmować zastosowania zasady w ten sposób, jakoby, według autora, każdy świadomie starał się zasadzie znanej intuicyjnie czynić zadość. Zjawiska uogólniają się same — jeżeli się tak wyrazić można. Nauka, badając formy uogólnienia, uznaje, że odbywa się ono w sposób, który zostaje ujęty w zasadę. Nauka następnie, przyjąwszy zasadę za sformułowanie dokładne zjawisk, posługuje się nią, jako środkiem do wyjaśnienia, t. j. łatwiejszego rozumienia szczegółów.

Objaśnieniu *Corneliusa* nie można odmówić cech pociągających. Dostatecznym jest zastanowić się tylko nad stosunkiem naszym do otoczenia, aby przyznać, iż w bardzo znacznym stopniu odpowiada ono wszystkim stawianym przez nas pytaniom.

Spostrzegamy mnogość zjawisk. Zjawiska te uogólniamy, tworząc pojęcia przedmiotów, formułując prawa i t. d. Fizyka, chemia, badając świat otaczający, odkrywając nowe zjawiska i nowe własności ciał, nie robią nic innego, tylko uzupełniają wiadomości znane nowymi danymi, uzupełniają wrażenia odbierane oczekiwaniami wrażeń nowych, nieznanych poprzednio. Gdy chemik odkrywa nową reakcję, czyż nie znaczy to właściwie, iż cały szereg wrażeń, jakie otrzymaliśmy, uzupełniony został nowymi? Przedmiot dany posiadał pewną postać; poddany temperaturze wysokiej topił się, a więc nowe wrażenia; z ciałami innymi wchodził w reakcję, t. j. dostarczał wrażeń, które nazwaliśmy reakcjami i t. d. Nowe odkrycie, to nowe zjawiska, nowe stany świadomości, dołączone do szeregu poprzednich.

Musimy jednak postawić jedno jeszcze pytanie. Wszystko jest treścią naszej świadomości. Dobrze; lecz w pewnych razach stany świadomości określamy bezpośrednio, jako takie; w innych *czujemy się* bezsilni wobec zmian, jakie zachodzą. To ostatnie ma właśnie miejsce przy zjawiskach świata otaczającego. *Mi* *czujemy*, że *nie są nam obce*, *a przypisujemy im byt niezależny*.

Zjawisko to — objaśnia *Cornelius* — jest zależne od dwojakich przyczyn: Polega ono na uczuciach, które określamy jako uczucia zmysłowe, jako działalność własną, te tworzą w summie podkład uczucia samego siebie.

Z drugiej znów strony do wrażeń, stanowiących pojęcie świata zewnętrznego, należą te, które tworzą ściślejsze, mniej rozerwalne wątki. Dlatego też wrażenia przygodne, nie należące do związków stałych, noszą cechę przypadkowych, subiektywnych, a nie posiadają cechy istnienia obiektywnego.

Na tem tle rozwija się też pojęcie podmiotu i przedmiotu, pomimo iż istnieją stany psychiczne. Jest ono wyrazem najprostszego uogólnienia danych psychicznych, doprowadzających z jednej strony do utworzenia pojęcia związków stałych, posiadających istnienie przedmiotowe, obok wydarzeń, mniej stale związanych z sobą, noszących cechę podmiotowych.

Przedmiot widziany zachowuje swą barwę, czy na niego patrzymy z oddali, czy z bliska; uczucia, wywołane naprzykład akkomodacją oka, zmieniają się zależnie od odległości, z której na przedmiot patrzymy.

„Pojęcie obiektywnego istnienia pewnej osnowy wiadomości musiało się rozwinąć—powiada Cornelius—gdyż jest ono najprostszym wyrazem związku tejże osnowy. Przy jego pomocy zostają one w sposób najprostszy—a więc w sposób odpowiadający najszerszemu prawu psychologicznemu—uogólnione. Rozwinąć się ono musiało—zarówno jak i pojęcie najbardziej doń zbliżone, pojęcie przedmiotu—skoro wytworzyło się pojęcie warunków, przy jakich zjawisko pewne powstaje, i poznanemi zostały same warunki, pozwalające zjawisko to wywołać.

Widzieliśmy, jak powstało pojęcie oczekiwania. Z chwilą więc, gdy doszliśmy do przekonania, iż przy zachowaniu pewnych warunków pewna osnowa świadomości musi nastąpić, zyskaliśmy jednocześnie przekonanie, iż pewne osnowy posiadają byt niezależny i doszliśmy do pojęcia „samodzielnego bytu“ pewnych związków. Wraz ze wzrastającym doświadczeniem zmieniają się i pierwotne pojęcia niezależnego bytu w ten sposób, iż ze związków stosunkowo bardziej zmiennych wydzielają się związki coraz bardziej stałe. Zjawiska wówczas są zmianami stanów czegoś stałego, jak nasze zjawiska materyalne są objawami różnorodnemi jednej niezmiennej materyi.

Postarajmy się jednak zdać sobie sprawę z tego, co wiemy o tych niezmiennych pojęciach, wówczas okaże się, iż nie są oneniczem innym, jak tylko pojęcia i empirycznemi związku, który pozwala przyjmować, iż w danych warunkach dane zjawisko nastąpić musi — innymi słowy: są one najprostszym wyrazem tego, iż na zasadzie pewnych doświadczeń oczekujemy przy danych warunkach danych wrażeń.“

Teorię świata obiektywnego zakończymy na zawsze objaśnieniem, jakie daje autor dla wyjaśnienia działania świata otaczającego na nasze zmysły, jako podmioty.

Filozofia dualistyczna, przyjmująca obiektywny byt świata otaczającego, jako fakt pierwotny, musiała przyjąć oddziaływanie otoczenia na świadomość za pomocą zmysłów także jako założenie pierwotne, starając się wyjaśnić następnie, w jaki sposób oddziaływanie to się skutecznia. Stąd pochodziło pytanie, w jaki sposób usunąć pierwotny dualizm. Pytanie równoznaczne z innym: w jaki sposób wyjaśnić wzajemny stosunek świata materyalnego i duszy, lub świadomości.

System Corneliusa trudność tę omija zupełnie, wychodząc z założenia, że duszą jest tylko treść świadomości. W zastępstwie jednak pytania poprzedniego, jak oddziałują świat na świadomość, musiał on dać przytoczoną już odpowiedź na pytanie, jak powstało pojęcie świa-

ta zewnętrznegoz samoistnym bytem, i musi dać odpowiedź na pytanie jak wyjaśnić stosunek pomiędzy światem a człowiekiem, t. j. oddziaływanie świata na zmysły, a przez nie na świadomość.

Wyjaśnienie to opiera się na rozpatrywaniem już przez nas pojęciu przedmiotowego bytu i jest w zasadzie swojej bardzo prostem. Przypuśćmy iż analizujemy dźwięk. Dźwięk ten istnieje dla nas, słyszemy go, gdy skierowaną jest na niego uwaga; przestaje istnieć, gdy uwagę zwrócimy w innym kierunku, lecz istnieje znów, gdy uwaga do niego wraca. W tych warunkach powiadamy, że dźwięk istnieje, pomimo, że go w przerwie nie słyszeliśmy, że ma on byt przedmiotowy. Jeżeli miejsce pojęcia dźwięku zastąpi pojęcie podniety dźwiękowej, wówczas nadajemy nowemu pojęciu wszystkie obiektywne własności dźwięku: mówimy, że może on być analizowany i słyszany, bądź jako dźwięk, bądź podczas analizy, jako ton wysłuchany w dźwięku i t. d. Pojęcie podniety staje się jednak obszerniejszem przez to, iż nie tylko obejmuje to, co ogarniało pojęcie dźwięku, lecz jest jednocześnie uogólnieniem dla współczesnych wrażeń wzrokowych lub dotykowych, takich, jak np. ruch powierza. To nowe uogólnienie powstaje zresztą zupełnie tak samo, jak każde pojęcie, i jest tak samo wyrazem zasady ekonomii myślenia.

Obejmuje ono przede wszystkim własności względnie najstalsze, a więc w danym razie związek pomiędzy wrażeniem akustycznym i stanami uwagi z jednej, a dalszemi wrażeniami optycznymi lub dotykowymi z drugiej strony. Te właśnie związki stanowią pojęcie podniety, jest ono pojęciem empirycznym. Od uogólnienia wrażenia tylko akustycznego różni się to pojęcie tem, iż obejmuje związki pomiędzy temi wrażeniami, a wrażeniami innych zmysłów.

Wyjaśnienie to zmienia zasadniczo pojęcie podniety: nie działa ona na zmysły i powoduje wrażenie, lecz jest wyrazem summy zmian, należących jednak do kategorii wrażeń. W ten sposób usunięciem zostaje pytanie, nad którym pracowała i pracuje obecnie filozofia dualistyczna, pytanie: jak działa świat na świadomość. „Działanie“ jest pojęciem empirycznym, uogólnieniem w myśl zasady ekonomii myślenia.

## V.

Przejdźmy do pojęć etycznych.—Autor motywuje je psychologicznie. Według Corneliusa nasze decyzje i dążenia dowolne opierają się na oczekiwaniu, że cel dążenia będzie uczuciowo dodatni, a więc będzie posiadał wartość dodatnią. Pojęcie takiej wartości nie jest bezwzględne. Opiera się ono na nabytym doświadczeniu i wraz z niem może się zmieniać. Cele mniejszej wartości mogą stać się bardziej cennymi — bardziej przyjemnymi, i odwrotnie. Nietylko jednak doświadczenie zmienia wartość celu. Zdarzyć się może, że wskutek niedostatecznego uwzględnienia wszystkich warunków, które znać powinniśmy, dochodzimy do złych ocen, przeceniając lub nie doceniając rezultatów przewidzianych. W ostatnim wypadku spotykamy się z zawodem, który ze swej strony różne wywołuje uczucia: Jeżeli nie mieliśmy dostatecznego doświadczenia poprzednio, żałujemy, że go nie było, jednakże musimy uznać, iż według danych, jakimi rozporządzaliśmy, nie mogliśmy postąpić inaczej. Innym jednak razem, gdy nie wszystko doświadczenie uwzględnionem zostało, odczuwamy wyrzuty i t. d.

Uczucia te wchodzą w zakres tego, co nazywamy moralną oceną postępów. Dla oceny moralnej wartości postępów osobistych stanowi miarę uczucie wyrzutu. Trudnem natomiast jest ocenienie postępów obcych; ocena ich może opierać się tylko na znajomości motywów, jakie kierowały postępkami. Ponieważ jednak motywa te oceniają się na zasadzie tej wartości, jaką oceniający im nadaje, przeto i ocena może być błędną. Ogólnie jest ona tem trudniejszą, im subtelniejszą jest natura, którą sądzimy.

Moralnemi ogólnie nazywa autor takie postęпки, które poprzedzał najlepszy, t. j. uczuciowo najdodatniejszy cel; odwrotnie więc wszelkie postęпки, które warunkowi temu nie odpowiadają, są gorsze. Ogólna maskyma brzmi:

„Postępuj tak, aby cel był według wszystkich danych, jakimi w obecnej chwili rozporządzasz, najcenniejszym.“

W tej formie twierdzenie brzmi jako kategoryczny nakaz.

Takim ono nie jest. Należy uwzględnić, że ocena wartości celu jest zmienną, moralność więc osobista dostępna udoskonaleniom.

Powyższa maksyma nie ma miejsca dla egoizmu i altruizmu.

Konsekwentny egoizm jest jednocześnie altruizmem, powiada autor, rozwój musi doprowadzić do takich stałych pojęć wartości, które były-by ważne dla każdego indywiduum.

---

Pomijając rozwiązanie różnych szczegółowych kwestyi, chcielibyśmy się jeszcze zatrzymać nad pojęciami estetycznymi, ze względu na ich oryginalność. Ustępujemy tutaj miejsca autorowi, poczyniwszy odpowiednie skrócenia <sup>1)</sup>.

Zaspokojenie zasady ekonomii myślenia objawia się nietylko w skutkach logicznych, lecz i w sferze uczuciowej, powodując pozytywne intelektualne zadowolenie. Gdy myśl nasza pracuje nad kwestyami naukowemi, zadowolenie to objawia się z wypełnieniem postawionych zadań po usunięciu trudności.

Wrażenia odbierane mogą być powodem uczucia analogicznego, tutaj także odczuwamy wewnętrzny spokój i zadowolenie, przyczem wrażenia same noszą wówczas miano pięknych, lub ogólnie piękna.

Rozpatrzmy je bliżej, stając na stanowisku patrzącego. Ograniczmy się przytem do malarstwa i plastyki.

Naturalną jest rzeczą, iż dzieła sztuki muszą coś przedstawiać, przytem tak, iżby patrzący mógł rzecz przedstawioną poznać. Warunek ten jest niezbędnym. inaczej rzecz sama nie będzie dziełem sztuki.

Z chwilą więc, gdy, przyglądając się obrazowi, otrzymujemy wrażenie, że ma on na celu przedstawienie przedmiotów, wymagamy, aby wrażenie optyczne, jakie odbieramy, doprowadziło bezpośrednio

---

<sup>1)</sup> Rozdział „der Schönheitsbegriff und die Kunst“ str. 415.

do poznania przedmiotu. W przeciwnym razie występuje niepokój, czujemy, iż obraz powinien coś wyrazić, nie możemy jednak dojść, co by to być miało. W rezultacie powstało - by uczucie ujemne w przeciwstawieniu do uczucia pozytywnego przy rozpoznaniu treści obrazu.

Przedmiot przedstawiony, niezależnie od tego, czy jest on wzięty z rzeczywistości, czy czerpany z fantazyi artysty, musi zajmować w przestrzeni miejsce pewne, być rozciągłym. Stąd wynika dalsze żądanie, aby rozmieszczenie przedmiotów przedstawionych w przestrzeni było od razu widocznem. gdyż oko poznaje świat, jako przestrzeń i formy przestrzenne.

W malarstwie i sztuce graficznej żądanie rozmieszczenia jest identycznym z tem, aby dać na dwuwymiarowej powierzchni tak przedstawioną treść, iżby widok ten, obok różnobarwności, dawał jednocześnie wrażenie głębi.

Zadaniu temu nie odpowiada fotograficzna reprodukcya treści czerpanej z natury. Nawet najdoskonalsza fotografia kolorowa nie mogła-by w dostatecznej mierze zadowolnić, a to z tego powodu, iż forma, w jakiej spostrzegamy świat, jest już przeróbką intelektualną pierwotnych wrażeń. Przedmioty, widziane w naturze, mogą nie zawsze w jednakowym stopniu prowadzić bezpośrednio do rozpoznania ich praktyczności. Szczególniej zaś zjawiska spoczywające, a więc te, które przede wszystkim mogą być wyrażone plastycznie. Jeżeli, pomimo niedokładności wrażeń przyrody, ze stosunkowo wielką łatwością orientujemy się co do ich przestrzennego rozmieszczenia, to przyczyną tutaj jest możność uzupełniania wrażenia przy udziale środków pomocniczych tego rodzaju na przykład, jak ruchy (możemy podejść do przedmiotu naprzód i w ten sposób przekonać się o jego miejscu).

Środkami temi nie możemy się posilkować przy rozpatrywaniu obrazów. Dla tego też zadaniem sztuki jest uzupełnienie wrażeń bezpośrednich, tak, abyśmy mogli z łatwością określić ich rozmieszczenie. Wszystko więc, co w naturze mogło-by być powodem błędnego sądu, musi być usuniętem, gdy chodzi o przedstawienie artystyczne jeżeli zaś nie usuniętem zupełnie, to zmienionem w ten sposób, aby te z pomiędzy cech przedmiotu przedstawionego, które ułatwiają określenie położenia przedmiotu w przestrzeni, były silniej zaakcentowane od tych, które określenie to utrudniają. Artysta nie może więc ślepo trzymać się natury. Powinien dać nam, przeciwnie, to, czego natura dać nie może: powinien dać uspokojenie intelektualne

poehodzące stąd, iż artysta oszczędza nam pracy, jaką musielibyśmy wykonać wobec wrażenia natury.

Natura niepokoi nas, sztuka daje poczucie spokoju, dając możliwość ogarnięcia całości bez wysiłku.

Warunki, niezbędne do zachowania w malarstwie, muszą się stosować i do sztuki plastycznej. Odlew, będący prostą kopią natury, zadawalnia tutaj tak samo, jak i fotografia kolorowa. Tutaj, zarówno jak i poprzednio, musi przedstawienie artystyczne odtworzyć cechy, pozwalające od razu rozpoznać formę przestrzenną. Powinno ono nam pozwolić pojąć ją jednem ujęciem oka, bez pomocy środków posiłkowych, do jakich należy naprzykład obchodzenie przedmiotu naokoło.

Taż sama zasada uwidacznia się przy wyborze motywów, nadających się do artystycznego odtworzenia. Artysta szuka i wybiera—nie zdając sobie sprawy z charakteru swej skłonności—takie motywy, w których przestrzenność jest najwidoczniejszą. Zasada ta może służyć jako definicya motywu artystycznego: Jego piękność i powab są rezultatem powyższych zalet. Piękność twarzy ludzkiej polega przede wszystkim na łatwości, z jaką pozwala ona na orientację co do formy przestrzennej.

Wszystkie uwagi powyższe odnoszą się do stanowiska patrzącego; są one w całej rozciągłości ważne w odniesieniu do stanowiska tworzącego artysty. Przy odtwarzaniu przyrody, odpowiadajacem wymaganiom sztuki, artysta nie kopiuje niewolniczo tego, co widzi i nie odtwarza on ślepo płaszczyzn w tej formie, w jakiej je widzi, lecz uzmysławia sobie poprzednio ich modelację, uczy się „rozumieć formę,” i to właśnie stanowi główną duchową pracę artysty. Pod jej wpływem wyrabia się dopiero technika, dająca sposoby odtwarzania formy. „Rozumiejąc formę“, artysta skierowuje wysiłki swe na jej oddanie, aby, znalazłszy raz odpowiedni sposób, stosować go następnie stale. Sposoby takie mogą być przedmiotem nauczania i wtenczas mogą one być u wielu artystów jednakowe. Rezultaty własnej pracy w kierunku przewyciężania trudności nadają pracom artysty indywidualne piękno, tworzące styl artysty. Styl taki musi się u każdego wytworzyć, gdyż jest on wyrazem samowykształcenia technicznego, nie posiadając go, artysta wobec każdej dalszej pracy stawał-by tak samo bezradnym, jak był wobec pierwszej.

Działalność artysty z wielu względów podobną jest do wypowiedania sądów myślowych. Wykonywując pracę artystyczną, przedstawiając przedmioty o formie artystycznej, malarz nabywa nowej



wiedzy, znajomości elementarnych czynników, które uwarunkowują pomieszczenie w przestrzeni przedmiotów, przedstawionych na obrazie. Znajomość ta wyraża się w formie przedstawienia rzeczy zupełnie tak samo, jak wiedza, nabyta przy pomocy sądu, wyraża się w formie podporządkowania przedmiotu, o którym mowa, pod takie lub inne pojęcie wypowiedzianego słowami zdania.

DR. W. HEINRICH.

---

# B E R T A.

---

## I.

Snarski pół życia przetęsknił. W twarzy jego, mimo dostałych lat trzydziestu, przechowało się coś z wyrazu dziecka, niesłusznie ukaranego. Rzeźbiarz Jętką, przyjaciel Snarskiego, znakomicie wymodelował dolną połowę jego twarzy, mającą zarys całkiem męski i energiczny, typowy wąs szlachecki i wydatne usta. Nie mógł sobie jednak poradzić ze skronią, brwią i okiem. Raz twierdził, że Snarski ma dziecienny wyraz oczu, drugi raz, że ma oczy zbyt naiwne i skroń zbyt gładką, „w panińskim sentymencie“. Snarski zaś na to uśmiechał się po swojemu oczyma i brwiami, przyczem miał wyraz taki, jakby kogoś za coś przepraszał... W szeregu wielu tęsknot, których wolny, jałowy i sentymentalny rytm wykołysał mu duszę, Snarski najżywiej przechował pamięć tęsknot dzieciennych. Była to bolesna i upokarzająca ciekawość najmłodszego w rodzinie podczas rozmów starszych o „naszych Bronkowicach“. Snarski już „naszych Bronkowic“ nie pamiętał, ponie-

waż przyszedł na świat właśnie wtedy, kiedy, po opuszczeniu Bronkowic, rodzina osiadła w domu zajezdnym izraelskiej mieściny, i kiedy ojciec jego począł długą i bezowocną wędrówkę za posadą. Dla tego zapewne „nasze Bronkowice“ przedstawiały mu się zawsze w postaci rajy utraconego, gdzie mama nigdy nie płakała, tatko był stale w dobrym humorze i w palonych butach, a dzieciom dawano codzień na podwieczorek chleb z powidłami. — Tak niosła tradycja przez usta starszego rodzeństwa. Dla tego też później, wyznając już wraz z całą piątą klasą gimnazyum piotrkowskiego zasady nieprzejednanego demokracji, Snarski nie umiał jednak pogodzić się ze stanowiskiem matki, utrzymującej mleczarnię, i bolał podwójnie: nad tą „sklepiarską atmosferą“ i nad swemi „szlacheckimi instynktami“. Chował również półbolesne, półurocze wspomnienie swego pobytu we dworze u dalekich krewnych, podczas jednej, szczególnie niepomysłnej dla interesów matki, zimy. Miał wówczas lat sześć, i tylko dla tego mógł strawić ten półroczny pobyt w charakterze „ubogiego krewnego“, do zabawy jedynaka kuzyna. Tkwił w nim jednak na zawsze ślad jakichś dziecinnych upokorzeń, jakichś przeprosin Michasia, na które się nie chciał zgodzić, jakichś niełaski dalekiej, a wspaniałej i majestatycznej, stryjenki. — Zwłaszcza zaś, nie mógł zapomnieć darowizny starego garnituru tegoż Michasia, którego nie chciał przyjąć, jako chłopak, według stryjenki, „do gruntu zepsuty i krnąbrny“. — Ale za to tem czarowniej grały mu w duszy inne echa pobytu na wsi. Olbrzymi ogród z leszczynowym szpalerem i lipową odwieczną aleją, lamus tajemniczy i pełen bezpiecznych, niezbadanych kryjówek, klomby bzu przed ganekiem, i sam ów ganek na czterech filarach, i jaskółcze gniazda pod gzemsami, i wielkie, „weneckie“ okna w sali, i wiosenne, pierwsze przechadzki z boną i Michasiem — „do krzyża“ w jedną stronę, lub aż „do kowala“ w drugą.. To wszystko razem musiało być stokroć cenniejsze w „naszych Bronkowicach“, gdzie nie było wspaniałej stryjenki, ani złośliwej panny-służącej, ale gdzie była dobra mama — i wszystko.

Snarski chętnie i skutecznie rozrzewniał się temi wspomnieniami. i z wolna wytworzył sobie typ idealnych *bronkowiickich* ludzi i stosunków, z którymi się jednakowoż nie spotykał. Śmierć matki przyprowadziła go bardzo wcześniej o tak zwane „stanięcie na własnych nogach“. To znaczy, że, wyszedłszy z klasy piątej gimnazyum piotrkowskiego, Snarski znalazł się niebawem na bruku warszawskim w dość blizkiem sąsiedztwie rynsztoków.

Stało się tak, że jeden z jego kolegów przeniósł się wówczas do gimnazyum warszawskiego i pociągnął go za sobą. Snarski zaś odda-

wna już czuł się stworzonym na malarza. Kolega w Warszawie nie wiele mu dopomógł, ale za to poznał go szybko z „ciocią Kowalewską“. I Snarski przez parę lat pędził charakterystyczny żywot wy-pędków. Przechodził ból noszenia paltota gimnazjalnego, na którym czarne guziki próżno kłamały cywilność — zaznał później rozkoszy pierwszych zbliżeń z wyższą istotą studenta. Bywał w ogródkach już po cywilnemu—nie mógł jednak zdobyć się na równowagę ducha wobec czapek z ministerjum oświaty; brał udział gorący w walce *czakstów z wiśnowczykami*; został wreszcie zaproszony na studencki wieczorek, gdzie, wśród pogromu serdelków, święcono tryumf Marksa. Wszystko to jednak nie uchroniło go od rozpaczliwej nędzy i od decyzji przyjęcia posady subiekta—na aptekarstwo nigdy-by się nie by zgodził.

Lecz właśnie w trakcie poszukiwań posady subiekta, Snarski poznał „paczkę“ handlowców o idealnych aspiracjach i wyższym poziomie towarzyskim, i zetknął się wreszcie z „prawdziwym malarzem“. Prawdziwy malarz dopomógł mu i zajął się talentem jego tak, że przynajmniej jedna z jego tęsknot poczęła ustępować wobec szybkich postępów ulubionej pracy. Wkrótce Snarski stał się sam początkującym, następnie zaś obiecującym malarzem.

I w tym już charakterze został wprowadzony do domu państwa Zahorskich. Był to pierwszy dom warszawski, który otwierał Snarskiemu wstęp do utraconej oddawna sfery towarzyskiej. Nie zaimponowało-by mu niczem bogactwo filistrów, ani literacko-artystyczne wieczorki „snobów“ —ale mały salonik państwa Zahorskich nietylko mu zaimponował, lecz wprost go urzekł. Był to bowiem właśnie ów wymarzony typ „bronkowieckich ludzi“. Więc naprzód była tam babka, bardzo jeszcze rzeźka i siwiuteńka, i mile opowiadająca:

„Było to w roku trzydziestym pierwszym...“

Był dalej ojciec rodziny — typ pełnej krwi szlacheckiej, który w czasach młodości trochę się tulał świeżym jeszcze śladem legionów. Po magnacku tańczył mazura i podkręcał wąsa na szczerej twarzy tak, że się zaraz przypominało zwycięstwo wiedeńskie. Matki rodziny dotąd sobie Snarski nie umiał inaczej wystawić, jak w postaci własnej matki, której ujmujący, smutny uśmiech i we wspomnieniu jeszcze napędzał mu łzy. Pamiętał te wątle, białe ręce, tak dziwnie miękko i zniechcenia wążące w mleczarni „sera za sześć“. Tylko, że własnej matki nie umiał sobie wyobrazić wesołą. Jej drogie oczy przyćmił na zawsze nieprzeptakany żal za przeszłością, który drgał także w boleśnie opuszczonych kącikach drogich ust, tak dziwnie nienawykłych do

uśmiechu. Ten uśmiech był prawie już płaczem, bo straszne, suche, wdawie lzy, od których czerwieniły się tylko powieki i bezwładnie opadały na kolana biedne ręce, były już wprost męczeństwem.

Pani Zahorska nie była na pozór podobna do matki Snarskiego. Przeciwnie, zdawało się, że tu zostały tylko w duszy uśmiechy życia. Jednak Snarski czuł, że to jest także matczyzna dusza, tylko dusza rozradowana szczęściem swoich. I tem świętszym urokiem czyniała go ta grupa „bronkowickich ludzi“.

Zresztą, wszystko to stanowiło tylko tło dla głównej figury obrazu — dla panny Marychny. — Zdawało się Snarskiemu, patrząc na pannę Marychnę, że ot, spotkał nagle zaginioną siostrę. Panna Marychna tak ufnie słuchała, takie miała cudne a życzliwe oczy, taką miała siostrzaną, promienną twarzyczkę, iż każdemu się zdawało, że jest z nią w jakimś krewieństwie. Panna Marychna mówiła naprzykład: „Może pan pozwoli herbaty?“ I Snarski doskonale rozumiał, że panna Marychna pyta o to nie przez grzeczność, ale właśnie jakoś tak, jak ongi starsza jego siostra: „Stachu, chcesz mleczka?“... Snarski przesiedział cały ten wieczór u Zahorskich, trochę jakby śniąc na jawie, i bez powodu pograżając się w rześzystych rumieńcach. W myśli nieustannie błąkał mu się obraz nędzarza, którego dobrzy ludzie wprowadzili z brudnej, błotnej ulicy i posadzili za stół wigilijny. Czuł również coś, jak bywa przed ciężką chorobą, kiedy organizm przenika jakieś dziwne ciepło i uczucie nieusprawiedliwionej błogości.

Snarski niebardzo nawet śmiał patrzeć na twarze. Dość mu było gwarnej rozmowy, życzliwego syczenia samowaru i zwłaszcza widoku starych mebli. Była tam w rogu salonu nieobjęta, adamaszkiem kryta kanapa, z poręczami w kształcie odwróconych od siebie s; był fortepian z brzuskowatemi nóżkami i były, prawie czarne z trochę czerwieni, malowidła olejne w starożytnych ramach. W jadalni stał orzechowy kredens, stół, kryty białym i sutym obrusem, fotel tatki, pomarszczoną skórą obity, i zegar stary, w kształcie kolumny. Zegar grał co godzina poloneza Ogińskiego. Były jeszcze wynurzające się z półcieniów przedpokoju kufry, skórą obciążone, o skośnych ścianach — takie, jakich używano z tyłu powozów. U matki Snarskiego przechował się taki jeden kufer z „naszych Bronkowic“. To wszystko razem wtórowało, jakby cichem graniem, rozmowie w saloniku.

Po wyjściu od Zahorskich, Snarski poczuł nagły przypływ rozpacz. Półgłosem prawie mówiąc do siebie, na ulicy jął się oskarżać i poniżać we własnych oczach:

— Nędznikiem byłem i jestem,—szeptał z goryczą—jakim prawem, jakim prawem ja tam wchodzę?

Zaciskał pięści w poczuciu, że nie powinien „progu tego świętego domu przestąpić“. Zdawało mu się, że popelnia coś nieuczciwego, „wkradając się w ten dom“, i w wyobraźni, podnieconej w niebywały sposób, prawie widział siebie w postaci złooczyńcy, wślizgującego się z zamiarem zbrodni w dom uczciwych ludzi, z ulicy. Ten kontrast „brudnej ulicy“, do której się w uniesieniu krytyki zaliczał, i owej, jak wigilijna biesiada, czystej sfery „bronkowickich ludzi“, nie wychodził mu z nastroju w ciągu kilku następnych dni. Nie dał się nawet kolegom wyciągnąć do knajpy na kolację — przez cały prawie tydzień. Z panną Jadzią od cioci Kowalewskiej zerwał stanowczo. Dość zresztą romantyczny i niewinny stosunek z nią wydawał mu się obecnie jawną, bezmyślną i niemoralną ohydą. Najtrudniej mu jednak było z różnemi nieswojami znajomościami. Są bowiem znajomości, które, jak grzechy cudze, ubocznie czepiają się człowieka. Do takich należą znajomości z przyjaciółkami naszych przyjaciół. Snarski miał kilka nieprzyjemnych przepraw z tego powodu. Była niejaka Różia, która w *Bellevue* zasiadała zazwyczaj z pewnym starszym subjektem pewnej poważnej firmy. Subjekt protegował sztuki piękne i chętnie zapraszał tak zwaną „malaryę“ na kolację. Różia zaś specjalniej protegowała Snarskiego, nazywała go „dzikiem człowiekiem“, i najwyraźniej postanowiła sobie oblaskawić go.

Snarski parę razy odmówił nawet subjektowi swego towarzystwa. Subjekt trochę się obraził, biorąc rzeczy ze stanowiska nazbyt rycerskiego. Koledzy Snarskiego wzruszali ramionami i on sam ostatecznie rozumiał, że teskrupuly były może w tej sferze stosunków dość wyrafinowane. Ale tu szło o „bronkowickich ludzi“.

Na kolacjach w *Bellevue* bywała również pewna Dziunia o zatraconem nazwisku, i pewna Czarnkowska o zatraconem imieniu. Obie uznały Snarskiego za „pomyłonego faceta“, kiedy wreszcie, zniewolony we wtorek przez kolegów, przyszedł na kolację, ale, zachowawszy się przez cały czas surowo, opuścił salę przed północą.

— Co oni wszyscy wiedzą,—mówił do siebie Snarski—oni wszyscy żyją jak poganie, którym nie błysła taka prawda, taka cudna prawda, jak mnie.

We środę panna Jadzia od cioci Kowalewskiej zrobiła ostatnią rozpaczliwą próbę przejednania rozgniewanego „nie wiedzieć o co“ Snarskiego. Snarski, który był bardzo miękkiego serca, zdobył się

wszakże na pewną nawet brutalność, byle tylko raz skończyć z tą sprawą.

Wieczorem tegoż dnia robił z sobą rodzaj rachunku sumienia, który wypadł mu jak najgorzej. Przekreślił w pamięci pewną pensyonarską z piotrkowskich czasów buzię. Wreszcie, po niezmiernie długim, jak mu się zdawało, okresie takiego łamania się, to jest w następny czwartek, w tydzień po pierwszym *fiksie* Zahorskich, Snarski nie szedł, lecz mknął do nich o godzinę zawczasie. „Jestem bezczelnym złodziejem” — mówił, wstępując na schody. Ale po przywitaniu się z panią Zahorską i z panną Marychną, poczuł, że jednak jest w nim „coś lepszego”. Tym razem nie patrzył już na meble, lecz przez cały wieczór tonął w twarzy pani Zahorskiej, odczuwając wszakże najdokładniej całą swoją „nędzną osobą”, w którym mianowicie punkcie salonu w każdej danej chwili jaśnieje twarzyczka panny Marychny? A panna Marychna czuła to, że on czuje, i bardzo prędko siostrzany wyraz jej twarzy począł się cudownie mieszać z jakąś poświatą nieuchwytnych rumieńców. I to postępowało bardzo szybko. Snarski jednak, który bywał już po kilka razy w tygodniu, ani na chwilę nie przypuścił, że tu może być mowa o najzwyczajniejszym kochaniu. Wiodącym zwykłą drogą narzeczeństwa do ołtarza. Snarskiemu się zdawało, że musi przedewszystkiem uczynić coś doniosłego. Są urodzeni epuzerowie, którzy wyglądają tak, że od czasu do czasu każdy odczuwa potrzebę zapytania wręcz: „kiedyż prosisz na wesele?” — A są znowu ludzie, którzy, odchodząc od ołtarza, mają minę taką, jakby zapomnieli oświadczyć się przedtem. Snarski nigdy nie był epuzerem. Tu zaś zdawało mu się, że musi coś uczynić, stać się „godnym”. Równocześnie rozumiał, że panna Marychna, nie żeby go czekała, ale że jest panną Marychną, więc też panną Marychną zostanie. To było nie rozumowanie nawet, ale takie jakieś misterne poczucie niezmienności tego, co skończenie doskonałe, w związku z poświatą rumieńców na jej twarzyczce... Serce czuło oparcie, więc dusza rwała wyżej, ufna, że tak będzie najbliżej do upragnionych, niewypowiedzianych nigdy głośno celów.

I były wiosenne przechadzki z panią Zahorską, panną Marychną i tatkiem do Łazienek. Snarski szedł zazwyczaj z panią Zahorską. tatko z panną Marychną szli naprzód, przy czem ojciec ostentacyjnie opierał się na ramieniu córki. Była to zresztą czysta kokieterya tatka. Bo ile razy zatrzymali się tak we dwoje, czekając na panią Zahorską, Snarski widział, że trudno o cudniejsze zestawienie, jak ta szczerą, męską, siwowłosa, a pełną życia twarz tatka, przy której rozkwitała, jak niezapominajka, miła twarzyczka panny Marychny. I oczy tej twa-

rzyczki spoczywały coraz ufniej i razem coraz nieśmielej w oczach Snarskiego.

Później przyszły lekcye wzajemne rysunku i francuskiego, przy których Snarski był surowy i dziko sztywny, i płonął kolejno prawem lub lewem uchem, a panna Marychna była całkiem swobodna, i chwilkami nawet żartowała z profesora i ucznia.

I rozsnuwał się tak niezawily wątek wiekopomnych dla serca zdarzeń, i zdawało się, że gdzieś, w dalekiej jeszcze perspektywie, przed oczyma duszy, a już niemal w rzeczywistości — czeka szczęście. Snarski chwycił się za głowę: „Nie, nie, nie — to być nie może! Ja nigdy nie będę tego godny!“ Raz przy kredensie pomagał panie Marychnie zejść z krzeselka, i trochę dłużej, niż wymagała równowagi, przytrzymał jej rękę. Tego wieczoru był niezmiernie ponury i biczował się w głębi ducha dotkliwie za ten „nizki wybieg“.

Cudowne zwłaszcza bywały z rozmowy na wychodnem, toczone w przedpokoju już. Panie siedziały zwykle na owych powozowych kufkach, Snarski zaś stał z paltotem na ręku i rozmawiali tak czasem długą godzinę. Wtedy zwłaszcza zdawało się Snarskiemu, że zrozumianym jest, że one wiedzą, dlaczego on, Snarski, jedzie do Paryża. Oczywiście dla tego, żeby powrócić. Jest bowiem między nim a szczęściem przepaść, którą właśnie można obejść tylko takim dalekiem kółem...

Czasem babcia bez słów, lecz bolesną wymową twarzy wyjrzała ze swego pokoju na tę ich pożegnalną, godzinną rozmowę. Wówczas żegnano się niby w wielkiem przerażeniu, i Snarski słyszał najwyraźniej, jak panna Marychna, zamykając za nim drzwi, szepnęła kilka razy: „Do jutra!“

Nagle, pewnego dnia, zabrakło jutra na zawsze...

## II.

Snarskiemu nieraz się zdawało, że tatko nie bardzo rad jego zażyłości zbyt poufałej z paniami. I, jakkolwiek doskonała grzeczność tatka nie miała w gruncie nic podejrzanego, Snarski w niej właśnie upatrywał to coś, które mu tatko chciał „dać do zrozumienia“.



Zresztą, Snarski ogromnie był czuły na punkcie swojej, niezbyt jeszcze zapewnionej, pozycji materialnej. Uważał siebie za człowieka „bez sytuacji“, i był pewien, że tatko ocenia go również bardzo a bardzo w tym względzie nie wysoko. Chwilami podejrzenia przybierały tak nieznośny charakter, że Snarski popadał w paroksyzmy rozpacz. Wówczas koledzy nie mogli go przez kilka dni rozruszać. Snarski zapadał w rodzaj apaty i siedział przy stole wieczorami bez słowa, nie jedząc i nie pijąc, i bezmyślnie patrząc w zadymioną salę restauracji, której gwar zagłuszał trochę rozterkę wewnętrzną.

Pewnego czwartku zdało się Snarskiemu, że tatko ze szczególnym naciskiem zapytał go o wyjazd do Paryża. Oczywiście w tej chwili dotworzył sobie w myśli, że tatko „daje mu do zrozumienia“ niestosowność jego bywania u nich. Tego wieczora nie doczekał nawet herbaty, stracił nagle humor i wyszedł od Zahorskich, czując, że go coś pędzi na oślep. Idąc, zaczął, jak zwykle w podobnym nastroju, wyśmiewać swe nieuzasadnione, „waryackie“ pretensje, potrącał ludzi i latarnie, i błąkał się do późna po ulicach, nie umiejąc sobie znaleźć miejsca. Głód zapędził go wreszcie do *Bellevue* po północy.

Do Zahorskich nie poszedł przez kilka dni, znosząc z tego powodu prawdziwe katusze, i rozumiejąc, że popełnia męczeństwo. Po niedzieli zdecydował się wreszcie pójść, a raczej nie miał siły wstrzymać się dłużej. Wchodząc, miał jakby przeczucie, że tu coś się zmieniło, i już nie mógł znaleźć tego prostego, serdecznego tonu, z którym bywało mu tak dobrze w tym domu.

Tatka nie było, ale panie nie były same. W saloniku przywitał Snarskiego kuzynek państwa Zahorskich, młody i birbantowaty farmaceuta, którego Snarski posądzał zawsze o ukrytą niechęć dla siebie, i którego sam nie lubił. Snarski spotykał farmaceutę jeszcze przed wejściem do domu państwa Zahorskich w sferze właśnie owych przyjaciółek przyjaciół. Kuzynek znał je wszystkie z imienia i nazwiska, i nawet z biograficznych szczegółów, i w ogóle był w typie niegłupiego goga, co w Snarskim budziło szczerą antypatyę.

Panie wydały się Snarskiemu jakby zażenowane jego wejściem. Panna Marychna była niezwykle milcząca, i z głębi fotelu patrzyła na Snarskiego dziwnie pytającym wzrokiem.

Przezucie jakiejś biedy znowu go ścisnęło za serce. Snarski czytał w oczach panny Marychny jakby trwogę i zdumienie. Pani Zahorska miała wypieki, i nawet kuzynek, zazwyczaj bardzo rezolutny i pełen swady, był milczący i przygryzał wargi. Snarski chciał zbliżyć się

do panny Marychny, ale ona nagle wstała i, nie patrząc na niego, wyszła z pokoju. Snarskiemu się zdało, że z nią razem wyszła wszelka radość z jego duszy.

Tymczasem pani Zahorska ożywiła się, zaczęła opowiadać o czasach, kiedy jeszcze cała rodzina mieszkała w Radomskim. Była nawet tak wymowną, że Snarskiego to trochę uderzyło. Z kolei patrzył na panią Zahorską z wypiekami na twarzy, i na kuzynka, przygryzającego wargi, i nic nie mógł zrozumieć. Pani Zahorska opowiadała o jakimś młodym obywatelu z Radomskiego, który, mając już narzeczoną, urządził w hotelu kawalerskie, w mieszanem towarzystwie, piątki. Snarskiemu zdawało się chwilami, że tu chodzi o birbantkę kuzynka-farmacenty. Pani Zahorska zwróciła się doń wreszcie z zapytaniem, co myśli o takim człowieku? Czy to możliwe, żeby ktoś, kochając kobietę, szukał *takich* rozrywek? Snarski wiedział doskonale, że to jest niemożliwe, i gdyby ta rozmowa toczyła się o dzień wcześniej, lub o dzień później, zwłaszcza zaś nie w obecności kuzynka, odpowiedziałby na zapytanie pani Zahorskiej po prostu to, co czuł. Ale teraz zaczął w niezmiernie filozoficzny sposób mówić o rozdwojeniu osobowości, o wpływach otoczenia, cytował niespodziewanie dla siebie jakieś aforyzmy z francuskich powieści.

Opanowywała go jakaś fałszywa swada, wreszcie, przypomniawszy sobie, że kuzynek właśnie jest birbantem, uniósł się wspaniałomyślnością, i począł na dobre usprawiedliwiać radomskiego młodzieńca wpływem otoczenia.

I w tej właśnie chwili panna Marychna ukazała się w drzwiach z twarzą bardzo zmienioną i poprosiła matkę „na chwileczkę“. Snarskiemu wyschły w gardle słowa — coś znowu jakby krzyknęło w głębi serca wołaniem na trwogę. Niebawem pani Zahorska wróciła, przepraszając Snarskiego, że „Marynia czuje się trochę niezdrową“. Snarski wyszedł, nie zegnając się nawet z kuzynkiem. Czuł, że mu gdzieś ziemia uchodzi z pod nóg, że coś bezpowrotnie wali się w przepaść.

W późniejszych swoich wizjach Snarski widywał pannę Marychnę zawsze taką, jaką była tego wieczoru. Widział pobladłą, cierpiącą twarzyczkę z rozszerzonymi oczyma, które unikały jego wzroku, i patrzyły w próżnię, z wyrazem bolesnego zdumienia.

Ten właśnie wyraz ukochanych oczu niewymownym żalem i goryczą przejmował Snarskiego, i wspomnieniu temu dawał bezlitośną, nieustającą władzę nad jego duszą.

A później klęska przychodziła za klęską tak szybko, że Snarski nie miał czasu wyjść z odrętwienia. Najprzód panna Marychna była przez kilka tygodni niezdrowa, potem na parę miesięcy wyjechała do krewnych na wieś.

Potem po powrocie nie było już nawet mowy o lekcjach, i pani Zahorska przypomniała raz Snarskiemu, który przyszedł w tygodniu, że „przyjmujemy zawsze we czwartki“.

Potem na czwartkach zaczęły się dziać rzeczy coraz bardziej dziwne i obce.

Nie panował już na czwartkach dawny, poufny ton rozmów — było w atmosferze coś konwencyjonalnego — przynajmniej on, Snarski, to czuł. Panna Marychna dziwnie znikiała z grup, w których był Snarski. Parę razy nawet rozpoczynał za nią bolesny pościg, ale panna Marychna miała tak zmieszany wyraz i tak niezręcznie wynajdywała jakąś czynność, która ją oddalała od niego, że Snarski już tylko wzrokiem gonił jej ukochaną, spoważniała twarz. Zresztą poczęły się zjawiać na czwartkach nowe i nowe figury, wobec których Snarski odnalazł swoje dawne dziko-sztywne zachowanie się. Krewni ze wsi przyjechali oddać wizytę i poznajomili państwa Zahorskich z pewną niezmiernie szanowaną i najlepszego towarzystwa nauczycielką śpiewu. Nauczycielka odkryła w pannie Marychnie skarb głosu, i odtąd panna Marychna prawie zupełnie przestała śpiewać ulubione pieśni, oddając się jakimś nieskończenie zawiłym ćwiczeniom. Później na czwartkach zjawiał się siostrzeniec nauczycielki śpiewu, o którym Snarski wiedział z ust tatki samego, że jest to niesłychanie zdolny technik, i że do takich teraz świat należy. Wreszcie, w mózg Snarskiego, funkcjonujący dziwnie leniwie, i jakby w malignie, uderzyła wiadomość, że panna Marychna jest z technikiem po słowie. I znówu w niezawilym wątku zdarzeń zaszła tylko jedna zmiana — oto wplotła się w życie czarna nić nieszczęścia, i przed oczyma duszy nie świeciła więcej żadna wymarzona przyszłość.

Snarski przez pewien czas miotał się dokoła nieconfionego zresztą faktu, coś chciał wyjaśnić, o coś pytać. Z niezrównanym taktem i słodyczą pani Zahorska nie dopuściła do żadnych wyjaśnień. A panna Marychna teraz zjawiała się i znikiała przy Snarskim tak przedziwnie, że nawet urodzony epuzer nie dał-by sobie z tem rady. Zresztą Snarski nie umiał sam sobie zadać pytania, o co mu chodzi, i żył przez pewien czas w tumanie, zbliżonym do obłądu. O cóż pytać? Jego miłość nie tylko nie była nigdy tą określoną miłością starającego się, ale nawet w głębi własnego serca ujawniła się nie w formie dojrzałego pożąda-

nia, lecz raczej w formie rozkołysania tęsknot, po których, jak światło po falach, unosił się blask dalekiego szczęścia.

Tymczasem promień zniknął, i fale rozpoczęły bezładną i bezcelową gonitwę w ciemności. Chwilami czuł Snarski wielce spóźniony przyływ energii, i chciał wręcz z czemś walczyć o swoje szczęście.

Ale właściwie nie było z czem walczyć. Coś się stawało i stało, coś bezrozumnie i na ślepo wydarło mu szczęście całego życia, coś strasznie go ukarało, choć nie czuł żadnej winy. Zresztą Snarski nie analizował siebie w tym okresie. Zbyt cierpiał, cierpiał nie owym filozoficznym bólem przekochanych i wytrawnych serc, ale tak, jak cierpi pies, kopnięty bezlitośnie w brzuch, czołgając się, pełzając ze swym bólem, szukając instynktownie dogodniejszej na boleści pozy. Nie zadawał sobie pytania: „czyja wina?“ Może zresztą znowuż instynktownie unikał tego, co mogło tylko spotęgować ból.

Automatycznie wracał do zwykłego trybu życia i automatycznie, ciągle szukając instynktem najmniej bolesnego położenia, urządził jakos swe interesa i wyjechał z Warszawy. Przez kilka lat następnych włóczył się po świecie. Kolejno pił piwo i malował w Monachium. kopiował i portretował w Dreźnie, wreszcie osiadł w Paryżu i na dobre zabrał się do pracy. W Monachium pewna Niemeczka uznała go za swego „Schatza“; w Dreźnie pewna primadonna zaszczyliła go najekscentryczniejszą z portretowych póż; w Paryżu, modelka Lison, wyłamała sobie nawet język na kilkanaście polskich wyrazów. Ale Snarski wogóle skąpo się odplacał za te wszystkie wyrazy uczuć.

Modelka Lison sformułowała raz swój pogląd na Snarskiego w obecności rzeźbiarza Jętki w kilku wyrazach:

— Il est trôp bête pour ça!..

Tymczasem ból zwolna się wyczerpywał i jakby przysychał do rany.

Aż w końcu przyszła chwila—stało się to tej właśnie nocy, kiedy w szarzejącym blasku pełni nawiedził go cały korowód dawnych wspomnień, gdy Snarski poczuł najwyraźniej, że cała ta jałowa, sentymentalna męka przeszłości minęła bezpowrotnie. Leżąc nawznak, ścigał wzrokiem wycofujący się z pokoju promień księżycą, i uśmiechał się ironicznie, jakby rozumiejąc, że tak oto wycofał się z jego duszy ten długoletni, niepotrzebny smutek.

Potem doznał wielkiej ulgi, i z zupełną równowagą ducha oddał się myślom o jutrzejszej pracy. Miał wrażenie człowieka, który poczuwa się wreszcie trzeźwym i rzeźkim po podchmieleniu.

Przed samem już zaśnięciem, wątek tych myśli poplątał wiersz ze „Szwajcaryi“, który zamajaczył w usypiającej wyobraźni Snarskiego, wraz z ostatniem wrażeniem księżycowego światła:

— Stęskni, ocknie się i wyjdzie ze mnie.

Zasnął, siląc się już napróżno zrozumieć: co właściwie i dlaczego ma „stęsknić“ i „ocknąć się“?..

### III.

Snarski od rana zabrał się do pracy. Właściwie przygotował pędzle, płótno i farby, w oczekiwaniu modelki. Był przekonany, że posiedzenie dzisiejsze da znakomity rezultat, i dlatego niecierpliwiał się i klął Lison za spóźnienie. Tymczasem Lison nie spóźniła się ani na sekundę, tylko Snarski wstał niezwykle wcześnie. Wreszcie drzwi się otwały. Ale był to rzeźbiarz Jętka, który przychodził, jak zwykle, nałożyć fajkę tytoniem Snarskiego, i ogrzać się w pracowni po swojej lodowatej, zachlapanej gliną i wodą, budzie. Jętka lakonicznie przywitał Snarskiego wyrazem „Salut!“, poczem usiadł na łóżku, i w milczeniu nałożył fajkę. Potem fajkę zapalił i, ponieważ nigdzie mu nie było pilno, położył się na łóżku i oddał się puszczaniu kółek. Snarski patrzył na wszystkie te, tak bardzo sobie znajome operacye, z uczuciem szczególnem, środkującym między upokorzeniem a obrazą. Chciał nawet powiedzieć Jętce, że nie dał mu żadnego prawa traktować siebie, jak sprzęt. Nie powiedział jednak tego, natomiast pchnął i odwrócił do ściany sztalugi, i zaczął chodzić po pokoju. Nierozległy widok z okna ukazał mu, jak zwykle, kawałek bulwaru Montparnasse, widziany na ukos, po-przez dach długiej szopy oszklonej, w której mieściły się szeregiem pracownie rzeźbiarskie,—w jednej z nich widać było nawet w perspektywicznym skróceniu z góry na dół olbrzymią kupę gliny, w której oddawna już tkwił w więzach materji tytaniczny płód ducha Jętki, p. t. Prometeusz. Dotychczas jednak glina nie chciała puścić na świat wspaniałej „konceptyi“.

Natomiast, po drugiej stronie bulwaru, za torem tramwajowym, wznosiła się, przyémiewające wszystko na okół arcydzieło - wystawa

*epiciera* dzielnicy. Nad stosami jarzyn, owoców, serów, konserwów piętrzyły się dumne obeliski, misternie i śmiało poprowadzone ręką twórcy, z puszek od sardynek i śledzia marynowanego, jakby na znak tryumfu i wiekopomnej obfitości artykułów spożywczych. Snarski z niewymowną złością mierzył przez chwilę okiem wystawę *epiciera*, poczem znowu pomaszzerował przez pracownię.

— Znowu cię nuda trzęsie, — rzekł Jętką.

Snarski milczał.

Przyszła wreszcie Lison, ale Snarski wręczył jej bez szemrania pięciofrankówkę i wyprawił z pracowni. Lison popatrzyła mu uważnie w oczy i rzekła:

— Dis donc, t'es toujours bête? Eh bien, je me sauve. Niec chije Poska!

Jętką nałożył fajkę po raz drugi.

— Wiesz, — rzekł — jakoś i ja nie mam dziś ochoty do pracy. Chodźmy obejrzeć Gogin'a.

Snarski nagle się zatrzymał w wędrownce, i z nienawiścią spojrzął na Jętkę.

— Pluję na Gogin'a, i proszę mi raz dać spokój.

Jętką odparł spokojnie:

— Sam wczoraj chciałeś, żebym cię zaprowadził.

— Dlaczegoż mam chcieć dzisiaj tego samego, co wczoraj?

— Podaj-no mi zapałki, — rzekł Jętką — i zresztą chciej sobie, czego tylko chcesz.

Snarski znowu się zatrzymał, znęcając się wzrokiem nad Jętką, który spokojnie palił fajkę, i nagle, jakby mu ktoś nad uchem to powiedział, rzekł:

— Jutro jadę do Warszawy.

Słowa te przysły zupełnie same z siebie, jednak Snarski nietylko im się nie zdziwił, lecz uczuł, że szum i zamęt, który mu grał w głowie od rana, nagle ustał, i że jakaś słodka cisza spłynęła na wyprężone nerwy.

— To co innego, — rzekł Jętką. — Poczem zamyslił się głęboko i legł nawznak, zapominając o fajce.

Snarski tymczasem oceniał pokrótce doniosłość powziętego postanowienia. Portret rozpoczęty trzeba przerwać, wszystko jedno!

— Dobrze, zem nie wziął zadatku — pomyślał.

Mieszkanie niepotrzebnie opłacił za kwartał z góry — wszystko jedno! Była zresztą cała fura takich spraw i czynności w toku, które należało teraz przerwać. Ale wszystko już było „wszystko jedno“. Wszystko nie miało znaczenia wobec tej ulgi, tego uśmierzenia duszy, które przyniosła nieoczekiwana myśl wyjazdu. Zresztą, nie było to zupełnie nieoczekiwane. Nostalgia oddawna weszła była na horyzoncie Snarskiego w postaci czarnego punkciku, niepojętego niepokoju. Ale teraz punkcik rozrósł się w ciągu paru godzin w nawałnicę tęsknoty, która stargała mu nerwy i wolę. Czuł, że gdyby zostać musiał, zostałby, ale już-by płynął bez celu i kierunku. Włóczył-by się przynajmniej tak, jak Jęta, który latami z dnia na dzień odkładał robotę, nie wracał zaś do kraju dla jakichś tajemniczych przyczyn, o których nie chciał mówić. Jakoż projekt Snarskiego Jętkę mocno przygnębił. Tymczasem Snarski poczuł w sobie wielką sprężystość i potrzebę czynu. Zabrał się natychmiast do układania rzeczy, pomijając natrętne pytania, na jak długo wyjeżdża, czy wróci? Teraz miało wagę tylko to, co się łączyło z jutrzejszym wyjazdem. Na jedną kupę rzucał rzeczy do drogi, na drugą sprzęty i części garderoby, któremi miał uszczęśliwić *concierge'a*, na trzecią, rosnącą z przerażającą szybkością, śmiecie: paczki po znajomym Jętcie *caporalu*, kolorowe torebki od *confetti*, programy ze *Scala*, *Folies-Bergers*, *Chât-Noir*, tutki od farb i t. d.

Jętka patrzył czas jakiś na gorączkową robotę Snarskiego, wreszcie zgarbił się i zsunął z łóżka, mając się ku wyjściu. W pół drogi jednak zwrócił się do Snarskiego:

— Masz ty dość galety na drogę? — zapytał.

— Mam, — odrzekł Snarski — wczoraj baronek zapłacił za portret. Bo co?

Jętka trochę się skrzywił.

— Phi... bo, uważasz, jeżeli masz, to-bym ci pumpnął parę franiów.

Snarski wydobyl dziesięciofrankówkę.

— Oj jej! — rzekł Jętka — kiedy jedziesz?

— Dziewiąta dwadzieścia pięć rano.

— Będę na garze.

Po wyjściu Jętki Snarski zamyslił się na chwilę. Wiedział, że biedaczysko znowu będzie na czas pewien bez oparcia. I znowu komus, jak przed paru laty jemu, Snarskiemu, zaimponuje istotnie tytanicznym

rozmachem talentu. I znówu mu ktoś zafunduje budę i glinę. I znówu Jętką uspokoi się i zaciśnie na lata, ćmiąc niewygasłą fajkę i myśląc o jakiejś niezapomnianej rzeczy.

Nigdy Jętką Snarskiemu nie zwierzał się z tej rzeczy, ale Snarski zauważył, że jego własne opowiadanie o pannie Marychnie wziął kiedyś ogromnie do serca. I w pierwszych czasach pobytu w Paryżu wprost go kurował z ogromną delikatnością i zrozumieniem jego bólu. Tymczasem iednak Snarski nie mógł zbyt długo myśleć o czemś poza swoim wyjazdem. Wziął się więc napowrót do pakowania. Po kolei w głębiach staromodnej walizy i ogromnie sportowego angielskiego kufra zniknął cały dobytek Snarskiego. Płótna poszły do pak, które odbyły już niejedną wędrowną. Concierge, przywołany z góry, bynajmniej nie zdziwił się nagłemu wyjazdowi *Monsieur Snarski*, lecz ze zwykłym sobie zrozumieniem rzeczy pogwarzył trochę o tem, że dobrze jest czasem zobaczyć *son pays, enfin sa patrie, quoi?* W godzinę załatwił sprawę ekspedycyi obrazów, przyczem nie wątpił, że Snarski wróci do Paryża:

— *On revient toujours à Paris—allez!*

Tymczasem Snarski pozostał w pustym już mieszkaniu z nieupakowaną jeszcze ręczną walizką i z jedynym sprzętem, którego nie ruszał dotychczas z etażerki. Była to bardzo stara, inkrustowana toaletka matczyną—bronkowicka toaletka. Snarski, przed włożeniem jej do walizki, chwilkę posiedział, trzymając toaletkę na kolanach. Kluczyk od niej był dawno zgubiony. Snarski jednak nie potrzebował jej otwierać, znając na pamięć całą jej zawartość. Na dnie spoczywały poźółkłe, z herbami malunkami, papiery rodu Snarskich; nad tem paczka listów matczynych, nad niemi kilka fotografii rodzinnych. Później jeszcze jedna fotografia, i dwa, lub trzy szkice głowy starego Polonusa i główki dziewczęcej. Dwa liście kasztanowe z ogrodu botanicznego i jedyny list, który Snarski otrzymał ongi od panny Marychny. Znał ten cały bagaż sentymentalny, i list także umiał na pamięć:

Panie Stanisławie!

Dziś wieczorem mamy zamiar przenieść się w wiek XX-ty, bo dostałyśmy książkę Bellamy'ego. Mama zapytuje, czy Pan się nie wybierze z nami?

W imieniu mamy

Marya Z.



Snarski schował wreszcie toaletkę i zamknął walizkę. Było to jakby unoszenie bogów domowych na nowe siedlisko. I Snarski znał już to w sobie, i odczuwał rodzaj lekkiego zażenowania, z powodu tych, jak nazywał, „staropanieńskich sentymentów“. Ale po dawnemu czcił te fetysze przeszłości, jak utajony pod chrześcianinem poganin czcił dawne bożki.

— Tak samo pakowałem się tam, na czwartaku w Jerozolimskich, — pomyślał Snarski.

I powoli myśl jego wyzbyła się wszelkiego związku z obecnością, i przeniosła go w świat wspomnień, który znowu stawał się dlań jedyną rzeczywistością.

A nad tym światem drogich mar, jak księżyc nad topielą, wychyliła się owa błada twarzyczka, z oczyma zapatrzonemi w pustkę, z wyrazem bolesnego zdumienia...

#### IV.

Warszawa spała jeszcze, mimo fałszywego pozoru czuwania, który nadawał miastu zwyczajny ruch przedranny. Z głębi alei ciągnęły z żelaznym grzmiotem olbrzymie wozy ładowne; gdzieś tam tegoczesną postać zamiatacza uprzętała ulicę; na przecięciu Brackiej i Jerozolimskiej słodko poziewał „pan naczelnik“. Snarski chwycił to wszystko w przelocie jakimś rozszerzonym wzrokiem, brakło mu trochę tchu, więc od czasu do czasu oddychał z pełnej, drżącej piersi. Powietrze było chłodne, czyste, jesienne, w którym wzrok sam przenikał w dal aż gdzieś daleko za Wisłę. Snarski zresztą nie całkiem przytomnie panował nad wrażeniami: coś w nim chwyciło je ze słodkim i bolesnym zamieraniem serca. Snarski czuł, że dorożka unosi go wprost anielsko po rajskim bruku, że czarny, duży pies poziewa i przeciąga się pod barykadą krzeseł na werendzie, że linia Nowego Świata po dawnemu łamie się za Smolną... I to właśnie spostrzeżenie wzruszyło go najbardziej, i wywołało mokrość w oczach i łechtanie w nosie i w gardle. Przejeżdżając koło znajomej, szarej kamienicy państwa Zahorskich, Snarski jednym rzutem oka objął cztery drogie okna i balkon drugiego piętra. W oknach, po dawnemu, stał gaj oleandrów. Ach,

jakże on znał te okna, jak znał! I przypomniał mu się nagle jeden powrót z Piotrkowa od matki, kiedy wiózł w ręku olbrzymią więź pierwszych bzów, i kiedy w oleandrowym gaju przysiągł-by, że spostrzegł pannę Marychnę...

Niezmiernie długi, chociaż gorączkowy, dzień przyjazdu, wypełniły rozmaite przewidziane i nieprzewidziane czynności: Przede wszystkim trzeba było stracić ogromny skarb czasu, zanim otworzono sklepy i cukiernie. Snarski próbował trochę witać się z miastem. Poszedł w stronę Łazienek. W Alejach, przebrnąwszy zwycięsko przez roboty obłącznicze, dotarł do słynnej ongi w ich kółku letniej kawiarni Sans-Souci, to jest Patelni. Ale Patelnia stała pustką, zawałona liściem i przyklepana błotem, jak ironia z pod włoskiego nieba. Dokoła piętrzyły się nowe budynki, które Snarski witał niechętnie, podziwiając przysadziste, w kształcie pieców, balkony, zawisłe, jak groźba, nad chodnikami. W Łazienkach, po dawnemu pustych w cudowny ranek jesienny, mógł wreszcie iść, nie myśląc o tem, co mu grozi z dołu, lub z góry. Przepyszne, barwy starego złota, adamszkowej purpury i gobelinowej zieloności gęstwiny otoczyły go zewsząd, rozciągnęły się sklepieniami nad głową. Bez wiatru i prawie bez szelestu, jak okiem zajrzeć, kapąły z drzew powiędłe liście; gdzieś leżały już równym rdzawo-żółtym kobiercem; gdzieś tworzyły jakby mogilne kurhany, wśród których stały bez ruchu zielono-mszyste, sędziwe pnie. Nagle Snarski uczuł, że coś, jak cicha i słodka pieszczota, zagląda mu w oczy. Na polanie, wpośród dwóch kolorowych naw, zasłanych rdzawym kobiercem, stała po dawnemu pałacowa oficynka. Szereg szlachetnie wązkich, oszklonych drzwi, nad niemi drugi szereg kwadratowych okien, trochę szarego, surowcowego muru, i nad nim jedna i druga balustrada—nie więcej. Ale całość w półcieniu drzew brzmiała jakąś niezrównaną harmonią sierocej, szlachetnej prostoty linii. I kwadratowe, pogarbione szyby grały wyblakło-barwną poświatą, dziwnie zestrojoną z jesienną barwą drzew.

Snarski stąpał coraz wolniej i ciszej, jakby w rytm bezdzwięcznego nokturnu, którym brzmiały nawy Łazienek. Te pierwsze chwile powrotu do tak ulubionej Warszawy były dla Snarskiego jakby całą seryą bezwiednych aktów objęcia w posiadanie starych, drogich kątów. To obejmowanie posiadłości serca odbywało się istotnie bezwiednie, bo głowę mu zaprzętał, jak w Paryżu podczas pakowania, rój szybkich, drobnych, kłopotliwych, jak muszki natrętnych, myśli. Jednocześnie zaś coś mu tę głowę uciskało, coś z głębi mózgu starało się wyprzeć na powierzchnię rzecz, która była najważniejszą, i którą

Snarski dlatego właśnie odruchowo odganiał. Tymczasem mijał i obejmował w posiadanie znajomą dobrze kawiarnię Blicklego, wąską szynę Wareckiej, przy której ongi mieszkał, taniak, gdzie się stolował w czasach „srogiej bryndzy“... Na rogu hr. Berga skręcił, poniekąd właśnie dlatego, że tu mieszkał krawiec, któremu był jeszcze coś winien z czasów zamierzchłych. Ale krawca na dawnym miejscu nie było, i Snarski minął nową restaurację, i poszedł na mleczne śniadanie do Henneberga, chociaż już była pora obiadowa. Poczem wrócił do Blicklego. Posiedzenie w czytelnicy już było otwarte. Snarski nie miał uprzedzonej wątpliwości, że srogiemu wyrazu twarzy brunet pod drugim oknem, był to ten sam brunet, który pod tem samem oknem czytywał tegoż Kuryerka o tej-że porze, tak samo głaszcząc lewą ręką starannie wyczerniony wąs, a prawą, zdaleka od przy-mrużonych oczu, trzymając gazetę. Snarski nie bez rozrzewnienia wpatrywał się w znane sobie manewry groźnego bruneta, który, metodycznie zwinąwszy Kuryerka, wychylił jednym łykiem kawę. przy-czem, ani jeden atom kawy nie dostał się na wąsy—i, obrzuciwszy orlim wzrokiem czytelnicy, wyszedł na ulicę. Ale coś gnało Snarskiego do mieszkania. Rozumiał, że musi się ubrać staranniej. Należało zwłaszcza zmienić krawat, bo dotąd jeszcze miał na sobie fantazyjny alzacki fontaż z Montmartre. Należało również dać odprasować pognieciony tużurek. Wszystko to Snarski czynił bez pośpiechu, ale z zupełną gorączką. I kiedy wreszcie, oddawszy się we wszechmoc krawca, pozostał sam w numerze, zaciął nagle i usiadł w kąciku kanapy, czując, że ma dokoła siebie zadużo pustki. Jednocześnie przyplątała mu się w pamięci melodya i słowa piosnki, którą dawno temu śpiewała panna Marychna:

Każdy dąży do swego,  
 Kocha coś, gdy chce żyć:  
 Do rzeki strumień mały,  
 Do morza — rzeka gna.

— Ta-ak... — westchnął Snarski.

Było to otwarcie niewyczerpanych dumań nad rzeczą, która się wreszcie wydobyła na powierzchnię z głębi mózgu.

— Trzeba iść do nich, jest to konieczne, chociaż nielogiczne, — myślał Snarski.

Czuł, że owa ciekawość, tak bardzo spóźniona w sprawie bezprowrotnie pogrzebanej, nie była całkiem nierozumną.

Albo wszystko, wszystko, co się stało *wtedy*, było cczą, sentymentalną farsą, albo tkwiło w tem coś, czego on dotychczas nie potrafił sobie wyjaśnić, a co może miało i ma ogromne znaczenie.

Nie, nie były farsą szczere oczy panny Marychny, ani jego tęsknota za „bronkowickimi“ ludźmi. Dziś to znowu rozumiał.

Więc cóż się tak okropnie wplątało w jego życie? Traf? Intryga? Kara?

Snarski wzruszył ramionami. Intrygi być nie mogło—to wiedział. Traf musiał mieć przecież jakiś kształt widomy — nie było wówczas nic, nic się nie stało w jego życiu, ani w życiu Zahorskich, coby miało charakter jakiegoś szczególnego zrzędzenia losu.

Kara?—Jaka kara, czyja, za co? — W myśli czuł się Snarski niewinnym. Mimowoli i z pewnem pobłażaniem przypomniał sobie ową chwilę, kiedy przekreślał w pamięci wspomnienie nawet gimnazjalnych westchnień do pensyonarki. Co zaś do ostatnich czasów przed katastrofą, to Snarski poczuwał się chyba tylko do winy zbyt brutalnego obejścia się z panną Jadzią. Jednakowoż, w głębi duszy, już gdzieś na granicach instynktów i przeczuć, coś jak gdyby dźwięczało fałszywym dźwiękiem. Jakieś przykre, niewyraźne echo jakby brzmiało po ostatniem pytaniu, i Snarski nie umiał, jak dawniej, ani siebie oskarżyć o jakąś określoną winę, ani się zdobyć na zupełne poczucie niewinności.

Coś się w nim rozdwajało, coś pierzchało przed świadomością, wypełniając ją jednak poczuciem rozdźwięku.

Każdy dąży do swego,  
Kocha coś, gdy chce żyć.

Powtórzył znowu Snarski i zaciął.

## V.

Latarnie oddawna płonęły już na ulicach, i turkot powozów, zmieszany z dzwonekami tramwajów, grzmiał w coraz szybszem wieczornem tempie, kiedy Snarski wyszedł wreszcie z hotelu. Była godzina ósma, gdy dochodził do szarej kamienicy. W oknach na drugiem piętrze było ciemno. W Snarskim serce upadło. Na dzwonek przez długi czas nie dawano żadnej odpowiedzi, i Snarski chciał już odejść, kiedy w przedpokoju rozległy się kroki, i sama pani Zahorska otworzyła drzwi. Pani Zahorska posiwiała i bardzo się zmieniła. Snarskiego nie poznała odrazu; tymczasem Snarski, milcząc, ucałował jej ręce z tem samem, co dawniej, synowskiem pochyleniem głowy.

— Pan Stach, pan Snarski! — zawołała pani Zahorska — ale cóż my tak stoimy we drzwiach? Niech-że pan wchodzi.

W jadalnym paliła się dawna familijna lampa nad stołem, na którym leżało ołowiane wojsko i drewniany koń.

— Ależ zmienił się pan! za nic-bym pana na ulicy nie poznała, — mówiła pani Zahorska.

— Pani także bardzo się zmieniła, — rzekł Snarski.

W świetle lampy wyraźniej srebrzyła się siwizna na zawsze pięknej i szlachetnej głowie pani Zahorskiej. Zwłaszcza zaś uderzył Snarskiego smutny wyraz oczu, i takie jakieś drgnięcie ku dołowi kącików ust, które pamiętał u matki. Jeszcze mu bardziej ją przypomniiała, kiedy, skinąwszy ręką, rzekła z jakimś nieokreślonym uśmiechem:

— Mniejsza z tem, niech pan lepiej mówi o sobie. Czytaliśmy, wiemy o tryumfach pańskich w Paryżu. Ale niech pan sam to opowie.

Lecz w tej chwili weszła do pokoju nianka z chłopczykiem, w ciepłym paletociku i śmiesznej czapce. Chłopak stanął, jak wryty, ze zdumieniem wlepiwszy w Snarskiego oczy, jak dwie niezapominajki.

— Przywitaj-że się z panem. — rzekła pani Zahorska — przedstawiam panu Adasia, jedynaka Adamowstwa.

Malec postąpił dwa kroki i zamierzał już ukłonić się, kiedy nagle koło kredensu spostrzegł piłkę.

— Jest, jest piłka! — wykrzyknął, i rozpromieniony pokazał ją Snarskiemu.

— Nianiu, czas na was! — rzekła pani Zahorska — idźcie już, idźcie!

W krótkce mały Adaś z niańką wycofali się z honorami.

— Marychna z mężem i z tatkiem wybrali się do teatru. Mają dziś lożę ze stryjenką, więc wyszli wcześniej, a mnie tu do zabawy zostawili wnuka. Jak to dobrze, że pan dziś właśnie przyszedł. Wszyscy po teatrze mają tu wstąpić na herbatę.

Snarski zaczął po trochu opowiadać swoje dzieje, ale znów słuchająca weszła po jakieś rozporządzenie do kolacji. Snarski na chwilę został sam i wszedł do salonu. W półmroku, przy świetle, padającym z jadalni, majaczyły niewyraźnie kontury obszernej kanapy, przy której rozmnożyło się całe pokolenie *pufów* i stoliczków. Dalej, w głębi, połyskiwał od okna starożytny fortepian i stał gaj oleandrów. Biurko panny Marychny stało także na dawnym miejscu. I znowu uczył Snarski w sobie takie raptowne robienie się ciszy, jak w numerze o szarej godzinie. I znowu słowa piosunki wypłynęły w pamięci.

— Kążę tu zapalić światło, — rzekła, wchodząc, pani Zahorska.

— Ach, nie, proszę nie zapalać.

W głosie Snarskiego było prawie błaganie.

— No, więc siądźmy tu, na kanapie, po dawnemu, — rzekła pani Zahorska — teraz niech pan mi opowiada.

Snarski zbierał z trudnością rozproszone i jakby zdrętwiałe myśli. Pani Zahorska wypytywała go z prawdziwą troskliwością. Snarski czuł w niej tę samą matczyną prawie życzliwość, którą znał *przedtem*, i którą później utracił. I sprawiało mu to zarazem ból i przyjemność.

Pani Zahorska opowiedziała mu z kolei o zmianach, zaszłych w rodzinie. Było niemało rzeczy smutnych.

— Tak, tak, -- kończyła pani Zahorska — dużo się zmieniło...

Snarski czuł, że musi się przemódz i zadać pytanie, z którym przyszedł. „Oto teraz“ — myślał — kiedy pani Zahorska opowiadała o zmianach. Ale nie mógł zacząć. Później pani Zahorska opowiadała

o chorobie, którą przeżył tatko. „Teraz nie można“ — myślał Snarski. Zegar z kurantem wydzwonił godzinę. Pani Zahorska kazała zapalić światło w sali.

— Nastaw samowar i smaź kotlety, — rzekła do służącej.

To wreszcie zdecydowało Snarskiego.

— Rozumie się... właśnie chciałem panią prosić o jedną rzecz,

— O cóż chodzi?

— Rozumie się, — rzekł Snarski po raz drugi — ja pierwszy i ostatni raz o tem mówię, może nawet nie powinienem. Ale nie mogę.

Przez czas jakiś panowało milczenie, którego pani Zahorska już nie przerywała.

— Dla czego wtedy państwo... panna Marychna tak zmieniła się dla mnie?

Snarski, mówiąc to, czuł nieznośny stuk własnego serca i szum w głowie.

Pani Zahorska milczała długo.

— Panie Stanisławie, — rzekła — pocóż pan *dziś* o to pyta? Nie mówmy już o tem.

Głos jej brzmiał prawie, jak głos matczyny. Ale Snarski chwycił ją nagle za rękę i pocałował niezgrabnie, po dziecinnemu.

— Proszę... proszę bardzo.

— Nie powinnam już z panem o tem mówić, — rzekła pani Zahorska — ale mnie samej zawsze to ciążyło. Bardzośmy pana kochali. Pamięta pan ten wieczór, kiedy mąż mój pytał pana o wyjazd za granicę?

— Pamiętam, — rzekł Snarski.

— Otóż Marychna wtedy po pańskim wyjściu pierwszy raz w życiu pogniwała się z ojcem. Splakało się biedactwo i wyrzucało ojcu, że pana strasznie obraził, że pan sobie co złego zrobi.

Przy każdym słowie pani Zahorskiej na serce Snarskiego spływała jakaś męczeńska błogość. Coś, jakby odbłask owej dawnej poświaty szczęścia, padało mu znowu na duszę. Snarski zaciskał aż do bólu powieki i nie śmiał oddychać.

— Więc to tak było, tak było, tak było, — myślał.

Pani Zahorska chwilkę przemilczała.

— Przypomina pan sobie naszego kuzyna, aptekarza?

Snarski skinął głową.

— Otóż kuzyn został wówczas dłużej po pańskim wyjściu i widział, jak Marychna to odczuła. Nazajutrz rano przyszedł i opowiedział, gdzie pana spotkał tego wieczora, kiedy Marychna tak się o pana bała. Marychna słyszała wszystko i powiedziała kuzynowi, że kłamie.

— Co?.. gdzie?..—wyrwało się wreszcie Snarskiemu—gdzie mnie spotkał?

— Niech pan słucha, aż skończę. Marychna nawet nie chciała, żeby tatko z panem o tem mówił. A wówczas ja sama wymyśliłam owo opowiadanie o tym radomskim narzeczonym, pamięta pan.

— Pamiętam,—rzekł Snarski bezdźwięcznie, i ujrzał jak w widzeniu bladą twarz panny Marychny, i przypomniał swoje nędzne rozumowanie tego wieczoru. Nagle zdjęła go jakaś rozpacz.

— Ale co w tem wspólnego ze mną, co to ma do mnie?—zawołał. Pani Zahorska mówiła coraz łagodniej:

— Prawda, że pan nie był jeszcze narzeczonym, ale...

Snarski chwycił się za głowę.

— Ja przecież nie o tem mówię. Ja nie mówię o formach. Przecież ja kochałem pannę Marychnę, jak świętą, ale cóż ja zrobiłem złego?

Pani Zahorskiej rozmowa przychodziła również z wielką trudnością.

— Ja nie mogę i nie chcę opowiadać wszystkiego, co mówił nam kuzyn,—rzekła—ale niech pan sam sobie przypomni, gdzie i z kim pan był tego wieczoru.

Snarskiemu chciało się krzyżeć, zaprzeczyć, wołać na ratunek. Zdawało mu się, że tu jest jakieś potworne nieporozumienie.

— Jeszcze jedno powiem,—rzekła pani Zahorska, wstając z kanapy z wypiekami na twarzy.—Niech pan przypomni sobie *Bertę*... I więcej—dodała szybko—o tem mówić nie będę. Proszę pamiętać.

Snarski czuł się, jak człowiek, któremu się śni, że się obudził, i że ktoś go tłoczy do ziemi, a on wstać nie może.

Było mu tak, jak gdyby cały, dawno przeżyty okres cierpień powrócił w nagłym paroksyźmie. Coś z niewypowiedzianym bólem



wyrzynało się wreszcie w świadomości nieszczęścia, ale świadomość ta była zarazem poczuciem strasznej, niezasłużonej krzywdy.

— Jaka Berta? — wołał w osłupieniu.

— Panie Stanisławie! — rzekła pani Zahorska — niech się pan uspokoi, proszę pana.

Musiał wyglądać istotnie niezwykle, bo służąca, która oznajmiła, że samowar podany, spojrzała nań prawie wystraszonym wzrokiem.

— Jaka Berta? — powtórzył jeszcze raz.

Pani Zahorska wstała z kanapy i przycisnęła obie ręce do skroni.

— Ja panu nic więcej nie umiem powiedzieć — rzekła. — Proszę, bardzo proszę, niech się pan uspokoi. Za chwilę już wrócą nasi.

To ocuciło Snarskiego. Zdjęło go nagle przerażenie, że ona, panna Marychna, może go teraz, w tej chwili zobaczyć. Zaczął się gorączkowo żegnać, nie słysząc prawie, co mówiła do niego pani Zahorska.

Dopiero na schodach, kiedy się za nim zawarły drzwi, suchy szcęk zatrząsk wstrząsnął nim, jak wstrząsa stuk młotka o wieko trumny.

## VI.

— Berta, Berta, Berta?

Powtarzał Snarski, idąc w dół alei. Chłód nocny orzeźwił go zupełnie, teraz czuł tylko w ustach prawie smak goryczy — mózg zaś z uporem wracał do bezmyślnego dźwięku.

— Berta...

Jaka Berta? Nigdy nie znałem żadnej Berty — powtarzał po raz dziesiąty. Mozolnie począł sobie znowu przypominać wszystkie swoje „stosunki“ od gimnazjalnych czasów. Wszystkie, nie było ich

zresztą wiele, cechowały się przelotnością. Ostatni tylko niedokończony romans z panną Jadzią z restauracyi utkwił mu w pamięci, jako wybitniejszy epizod. Berty żadnej nie było ani przedtem, ani potem.

Snarski z uporem jednak szperał w pamięci, szukając teraz wśród imion przyjaciółek przyjaciół. Głucha złość ścisnęła go za gardło.

— Dziunia bez nazwiska, Różia subiekta, Czarnkowska bez imienia, — szeptał — może to ta?

Ale z tą nigdy nie wspólnego nie miał. Może więc to była po prostu jakaś zemsta kuzynka - farmaceuty. I to zwichnęło mu pół życia, więcej może! Zaciskał zęby, prawdziwe jednak, oczyszczające i nieomylnie oburzenie nie przychodziło. Nie umiał również znaleźć w sobie pożądanego poczucia niewinności. Coś jeszcze kazało mu szukać we własnych wspomnieniach.

— Gdzie on mnie spotkał tego wieczora? Oczywiście w Bellevue, bo tam poszedłem na kolację.

— Rozumie się, — szepnął do siebie drwiąco — gdzież-bym mógł być, jak nie w Bellevue?

Nagle przyszło mu na myśl pojechać teraz tam, i na miejscu postarać się przypomnieć sobie wszystko dokładnie. Dorożkarz poinformował go, że obecnie już niema Bellevue, ale jest Odeon.

— Tylko że się inaczej nazywa, — rzekł, zacinając konia — ale tak samo panowie jeżdżą.

— Alles eins! — pomyślał Snarski słowami Jętki, i nawet zrobił ręką ruch, który czynił zazwyczaj Jętka w odpowiedzi na pytanie, czy pije kirsz, czy absynt. Ogarniało go jakieś ponure wesele; czuł, że teraz umiał-by okropnie zadrwić z siebie i ze wszystkiego, i znowu słowami Jętki powiedział:

— C'était donc pas plus malin que ça?

Kiedy otworzył drzwi do restauracyi, buchnęła nań w mglistym i zatrutym wyziewie, dobrze z dawnych lat znajoma, atmosfera knajpy. Snarskiemu zdało się, że to mu odrazu przylgło do twarzy, jak rozmiękły, pijany pocałunek. Sala była pełna. Snarski, usiadłszy w głębi pod ścianą, ze znanstwem, które ironicznie w sobie podkreślił, oceniał różne grupy towarzystwa. Na prawo, w wygodnem sąsiedztwie bufetu, za którym wzgardliwie i sennie poruszała się obrzękła bufetowa, sie-

dzieli stali, profesjonalni goście. Tam właśnie lubiał siadywać starszy subjekt, protegujący sztuki piękne i Rózię.

W środku rozlokowały się, na chybił trafił, wesole grupy panów, którzy wstąpili „coś zjeść”. Pod przeciwległą ścianą, jakiś samotnik pił czarną kawę, i ęmił papierosy. Bliżej rozprawiła grupa odświętnie wyglądających studentów. Studenci rozmawiali głośno i z podnieceniem, i byli umyści i uczesani w ten specjalny sposób, który znamionuje powrót z *filosu*. Świadczyły o tem zwłaszcza śnieżne gorsy, wyzieraające z pod niedbale niby, a po konesorsku rozpiętych mundurów. Ze stu lentami siedziały dwie strojne „przyjaciółki”.

Snarski obrzucił to wszystko jednym spojrzeniem, i nagle zaciśnął zęby.

Teraz przypomniał sobie na pewno, że owego wieczora istotnie jadł kolacyę w towarzystwie jakiejś kobiety. Chwilami zdawało mu się nawet, że siedział właśnie przy stoliku, zajęтым przez grupę studentów, może był jeszcze ktoś ze znajomych, a może nie. W każdym razie była jakaś kobieta. Wiedział na pewno, że wrócił do domu z Bellevue sam, ale tu na sali z nim, czy z jego kolacyą, siedziała jakaś „przyjaciółka”. To także wiedział napewno.

Siedziała tak samo, jak ta oto wystrojona brunetka, zaglądnąca w oczy studentowi, który odpowiada jej niechętnie, i pokręca nerwowo wąsika na pół-dziecinnej twarzy. Snarski z nienawiścią prawie patrzył na grupę — na studenta zwłaszcza, który miał wyraz idealnie-roztargniony, i widocznie myślą był gdzieś poza knajpą.

— Więc tak,—mówił Snarski prawie głośno, i z jakimś charczeniem w gardle — tak to było.

I znowu bezmyślnie chwycił się za nieznane sobie imię Berty — obce, głupie imię, które tak nagle, tak bezczelnie wypłynęło nad grobem jego najświętszych marzeń! Czepiał się tego, że nie przypominał sobie imienia, jak ostatniej deski.

Nie przypominał sobie również twarzy tej „przyjaciółki”. — Czy ona była brunetką?—myślał—nie, brunetka to ta, co siedzi z idealnym studentem, tamta była blondynką. Ale jednocześnie czuł, że równie dobrze mogła być szatynką, albo rudowłosą.

— Rózia, Dziunia, Czarnkowska, panna Jadzia,—ale skąd Berta, jaka Berta? — powtarzał z tępym uporem.

Nie umiał się zdobyć na żadną wyraźną myśl, żaden wyraźny szczegół nie przynosił ulgi jego wyobraźni, która teraz z dziwnym sa-

modręczycielstwem podsuwała mu dziwaczne zestawienia. Snarski się pastwił nad sobą, jakby rozdrapując paznogciami ranę. Ale i rany nie było. Była głucha, gnuśna, nieochędożna półświadomość nie winy nawet, ale jakiejś brudnej nędzy, którą zgrzeszył.

Znowu wypłynęła mu w pamięci owa pierwsza bytność u Zahorskich, owo uczucie nędzarza z ulicy, dopuszczonego do stołu wigilijnego.

— Chciało się bronkowickich ludzi, — szeptał bezdźwięcznie — chciało się idealnych rzeczy, ale się koryta także nie puszczało.

Teraz sprawiło-by mu ulgę nawet to, gdyby ktoś nagle powiedział mu, że popełnił jakieś wielkie łotrowstwo, że panna Marychna dowiedziała się o tem, i że dla tego uległ rozbiciu. Ale nie, nikt mu tego powiedzieć nie mógł. On przecież był „obiecującym i porządnym“ człowiekiem. On przecież tęsknił za „czystą atmosferą“, za wigilijną biesiadą — za Bronkowicami!..

Snarski z niewysłowioną wzgardą wpatrywał się w idealnego studenta, który był myślami poza knajpą. Stopniowo wzgarda przenikała mu całą świadomość, rozjaśniając głąb duszy dziwnie uspakajającym światłem.

— Ja także umiałem tak marzyć, i umiałem tak obnosić idealną twarz nad rynsztokami!..

Mimowoli gonił oczyma za wzrokiem studenta, który przez sine dymy i wyziewy zdawał się ściągać ideały pod sufitem knajpy.

Snarski wzdrygnął się. Z pod sufitu wychyliła się ku niemu blada, cierpiąca twarzyczka, i spojrzały boleśnie zdumione oczy panny Marychny.

Niewysłowiony żal wstrząsnął nim nagle i pochylił mu głowę na piersi.

Jedno zrozumiał wyraźnie: że jego nieszczęściu, temu nieszczęściu, które, jak gnuśna śniedz, padło na życie i przegryzło szczęście, było na imię — Berta.

ANTONI POTOCKI.

---

# Pogadanka artystyczna.

## *Dwa konkursy rzeźbiarskie.*

Komitet Towarzystwa Sztuk Pięknych, wobec posuwania się robot przy budowie własnego gmachu dla Towarzystwa, pomyślał o odpowiednim tego gmachu przyozdobieniu, i w tym celu ogłosił konkurs rzeźbiarski na dwie grupy, przeznaczone do ustawienia przy głównym wejściu, oraz na tympanon nad portykiem. Rzeźbiarze wystąpili dość licznie. Kilkanaście szkicowanych projektów znalazło się w oznaczonym terminie, obok siebie, co dało możność przez porównanie wyrobienia sobie jednolitego sądu, tak o całym plonie artystycznym konkursu; jak i o niezależnej wartości każdego projektu pojedynczo.

Rozpatrując szkic, czy to malowany, czy też ugniatany w glinie, należy pominąć, zasłonić oczy, że tak powiem, na pewną stronę, która go właśnie od dzieła skończonego odróżnia. Jest to pierwszy moment, embriion dzieła samego, w szerokich zaledwie zarysach narzucony pod pierwszym a stanowczym impulsem. To, co się nazywa skończeniem,

wydobyciem szczegółów i doprowadzeniem ich do stanu ostatecznego, w projekcie istnieć nie może.

Pomimo to, albo lepiej, właśnie dla tego, w szkicu to, co jest istotą, główną cechą talentu, wydziera się na pierwszy plan, nieokreślone i niescharmonizowane, nazbyt brutalne może, ale jak wymowne za to, i jak szczere!

I w tej grupie projektów, na konkurs przysyłanych, znalazłem dwa, przez które szczerzy, silny i świadomy siebie przemówił talent. Nie chcę powiedzieć, aby reszta prac składała się z samych niedolności; — był-by to sąd za ostry — za mało tylko wypowiadają one językiem sztuki, i nazbyt niejasno to, co czuli i wypowiedzieć chcieli ich autorowie.

Jest to zjawiskiem stałem wśród naszych talentów rzeźbiarskich; a szereg w różnych czasach ogłaszanych konkursów, był wymowną stanem tego ilustracją.

Zadanie twórcze w razach podobnych, jak dopełnianie rzeźbą architektury, lub zaproponowanie pomnika, komplikuje się tem właśnie, iż ów zaczątek twórczy, owa psychiczna protoplazma, która, rodząc się w świadomości artysty, poprzedza faktyczne powstanie dzieła samego, tu już istnieje na zewnątrz, jako konkretny projekt, obciążony balastem wymagań stylu i warunków technicznych.

Jest to więc osobny kierunek twórczości artystycznej, wymagający odpowiedniego temperamentu i organizacji twórczej.

Epoki, w których sztuka, szerokiem płynąc korytem, stawała się potrzebą zbiorową ogółu, w których istniała, nie jak dziś, ograniczona do cieplarnianej wegetacji po muzeach i wystawach, lecz pełnem istnieniem, jako wyraz nieklamanych potrzeb masowych po pałacach i kościołach, na placach i ulicach, w każdym gmachu publicznym i domuprywatnym,—epoki te zostawiły w spuściźnie po sobie prawdziwe arcydzieła talentu, gustu i pomysłowości.

Wszystkie, zakłète w kamień, myty religijne pra-cywilizacyi, tajemnicze sfinksy, śniące u stóp piramid i świątyń, nieposzlakowane w liniach bogi i karyatydy Grecyi, aż do tytanicznych postaci „Odrodzenia“ i unoszących się pod stropy girland ludzkich „barocca“, są świadectwem tej wielkiej roli, jaką w pewnych epokach odgrywała sztuka, będąc, jeżeli nie wyrazem najwznioślejszych uczuć, to przynajmniej formą wytwornego zbytku i użycia, w których kapitalizowała się reszta energii i środków społecznych, zbywająca od walki o byt.

To wielkie zapotrzebowanie arcyzmu, ta żądza upajania się pięknem na każdym kroku i o każdej porze, były ogromną podniecią twórczą, rozpętywały talenty, które nabierały pędu i odwagi w najwyższem napinaniu sił swoich, spotykając na każdym kroku sposobność do urzeczywistnienia najbujniejszych pomysłów.

W innem zgoła położeniu jest dzisiejszy artysta.

Odsunięty na ubocze wraz ze swą sztuką, od której zdala toczą się główne prądy interesów społecznych, walczący z obojętnością tłumów, skrępowany kapitalistycznym duchem epoki, wymienia swój talent na miedziaki, które po odrobinie wydaje.

W takich razach świadomość sił własnych i środków zanika powoli.

Talent, zaskoczony nieoczekiwanem zapotrzebowaniem dzieła prawdziwie artystycznego, nie jest pewny na razie rzutu sił własnych, płacze się w chaosie śpiących mu pod czaszką pomysłów, i w końcu zdobywa się na rzecz mdłą i błahą.

Zaledwie udział wybitnej indywidualności i intelligencji pomaga w takim razie wydobyć się szczęśliwie z krępujących powijkaków i „z lampą, oleju pełną, nie przespać chwili przybycia oblubieńca“.

\*

\*

\*

Z dwóch najlepszych projektów, o których wyżej wspomniałem, na pierwszym miejscu postawić należy projekta, pod godłem „Mistrz“, ujawnionego już obecnie autora p. Zygmunta Ottona ze Lwowa.

Są to dwie grupy na cokułach w stylu Odrodzenia, przez które się wiążą ściśle z gmachem, trzymanym w tym samym stylu.

Pierwsza grupa, która, wedle tematu, określonego warunkiem konkursu, powinna wyrażać malarstwo, przedstawia Jana Matejkę z paletą i pędzlami w ręku, wspartego w zamyszeniu na ramie z płótnem, ustawionej na sztaludze.

U stóp mistrza siedzi na skraju podstawy postać niewieścia z księgą w jednej, i berłem w drugiej dłoni — uosobienie historii.

Druga grupa, to Wit Stwosz, snycerz polski, na tle słynnego swego tryptyku z ołtarza Panny Maryi w Krakowie, postać w ruchu i wyrazie pełna twórczego zapału, z młotkiem i dłótem w ręku, obok rozmodlonej dziewicy - wiary, z lilią i krzyżykiem na piersiach.

Stwosz i Matejko, jako myśl, jako rozumowe wyjście z zadania, są w tym wypadku motywem bardzo szczęśliwym, a przytem tak wyjątkowo odpowiadającym pojęciu polskiego malarstwa i rzeźby, jak równie wyrażał-by polską poezję Mickiewicz, lub polską muzykę Moniuszko.

Ta myśl bez formy, przeszedłszy w stan artystycznego, rzeźbiarskiego pomysłu, pogłębia się i ożywia. Mistrz malarstwa zjawia się, jako żywa, indywidualna postać. Głębokie, wieszczę zamyslenie człowieka, który myślą i wyobraźnią wzył się w zamierzchłe wieki, i przejął się niemi tak silnie, że czas w biegu zawrócił, maluje się na tej twarzy zmęczonej, i siłą wyrazu potężnej, jak u postaci proroków biblijnych na fresku Michała-Anioła w kaplicy Sykstyńskiej.

Postać, okryta fałdzistą bluzą malarską, co bardzo szczęśliwie pozwoliło autorowi uniknąć konwencyjonalnego kroju surduta, wiąże się doskonale perspektywicznie i w liniach ze sztalugą w głębi, i postacią historyi na przodzie.

Nie mniej silną w wyrazie jest postać z drugiej grupy, Wita Stwosza. To jedna z tych niezłamanych, tytanicznych natur Odrodzenia, których całe życie było jakby jednym wybuchem nieokiełzanego temperamentu, które tworzyć, modlić się, kochać i nienawidzić umiały tylko z passją, dziś dla nas prawie że niezrozumiałą.

Jako kontrast do skupionego w sobie Matejki, Stwosz, rozkrzyżowawszy potężne barki, chyli się naprzód, by całą siłą zwalić się na belkę, i ten nadmiar życia, którym sam kipi, po stali dłóta przelać w nowe dzieło.

Wyraz nie skupia się u niego w samej twarzy. Przepętnia on cały tułów, każdy mięsień, rzec-by można, wszystkie fibry jego ciała.

Za nim w doskonałym uplanowaniu ołtarz z kościoła Panny Maryi, do którego przytula się postać „Wiary“.

Te obie postacie symboliczne, „Historya“ i „Wiara“, w pojęciu typów, w ruchach, wreszcie w związaniu ich z głównymi postaciami dwóch grup, świadczą o ogromnych zdolnościach kompozytor-



skich autora, który zapewne musi być młodym, sądząc z nazwiska, do tej chwili zupełnie w sztuce polskiej nieznanego.

Silne wrażenie estetyczne, które się wobec tych dwóch grup odbiera, podnosi jeszcze wykwiutna modelacya szczegółów. Naprzykład, bluza Matejki jest w zagięciach fałd do złudzenia prawdziwa. Nie mniej artystycznym jest naśladowanie drzewa w ornamentach snycerskich tryptyku Stwosza. Zarzucić można tylko samej figurze Stwosza, że, będąc tak doskonałą w ruchu i wyrazie, ma pojedyncze części ciała niezupełnie proporcjonalne w stosunku do całości, i małe uchybienia anatomiczne.

Ogólnie biorąc, dwie te grupy są dziełem sztuki niepospolitej wartości, i doskonałym wyrazem idei, którą artysta się przejął.

Należy się serdeczne powinszowanie autorowi. Dokonał on dwóch poważnych zadań za jednym zamachem: przyozdobił przyszły gmach sztuki niepospolitej wartości rzeźbami, i postawił zarazem pomniki dwóm znakomitym Polakom: Stwoszowi i Matejce.

\*

\*

\*

Innemi szlakami snuły się myśli, pod których wpływem powstał projekt z godłem „Lilie“, p. Leopolda Wasilkowskiego.

Autor, by upostaciować rzeźbę, sięgnął myślą aż do epoki jej przypuszczalnego początku, w grupie swej przedstawił prymitywnego artystę, człowieka na pół dzikiego z epoki kamiennej, który wykuwa kształt boga swego.

U stóp kobieta, wsparta ręką na urnie, z głębokiem przejęciem wpatruje się w niezdarne rysy, uzmysławiające najwyższe uczucia tych dwojga.

Grupa jest więc właściwie „poczęciem“, „narodzinami“ rzeźby, a nie uogólnieniem pojęcia o rzeźbie samej. Artystę pociągał tu zapewne bogaty motyw ciała nagiego, motyw, najbardziej kuszący rzeźbiarzy wszystkich epok.

W drugiej grupie występuje on również, jako zasada kompozycji, jakkolwiek przedmiot się zmienia.

Naga, młoda kobieta — *malarstwo*, z pędzlem w ręku, wpatruje się w zachwycie w wielką tarczę słoneczną, którą przed nią *dzień* w postaci młodego, rzeźkiego chłopca, odkrywa, wskazując na nią ręką, jako na źródło wszelkiej barwy i światła, bezwzględny warunek istnienia malarstwa.

Jest to grupa, lepsza od poprzedniej, tak pod względem tłomaczenia się idei, pomysłu, jak i zestawienia brył i linii w sylwecie kompozycyjnej.

Jako cecha ujemna, jako zarzut przeciw indywidualności artysty, występuje w tych dwóch grupach widoczny wpływ zachodu, wpływ sztuki francuskiej przedewszystkiem. Niema tu mowy o artystycznym plagiacie, w ścisłym tego słowa znaczeniu, niemniej tak „Malarstwo“, jak i „Rzeźba“ p. Leopolda Wasilkowskiego, wyprzeć-by się nie mogły blizkiego pokrewieństwa z gromadą grup i pomników, istniejących w sztuce francuskiej.

Przyczyny należało-by może szukać w długich studyach autora, odbywanych w stolicy Francji, wśród wiru żywiołów artystycznych, którego wpływom nie jest w stanie, przynajmniej na czas pewien, oprzeć się najpotężniejsza indywidualność; a może i w naturze talentu, który, w charakterze galijskiego ducha twórczego znalazł tyle cech pokrewnych sobie, iż poszedł dalej tą szeroką i utartą drogą, dającą więcej pola do rozwinięcia osobistej twórczości, niż kopanie w samym sobie zatajonych pokładów pierwiastku piękna, właściwego rodzimej rasie.

— Sztuka nie ma rasy, — może powie mi na to nie jeden, — twórczość nie zna szerokości geograficznej, ani chronologii, — lecz dowodzenie takie będzie błędem. Sztuka może i powinna nawet wyprzedzać zdecydowany wyraz uczuciowych odruchów ogółu, i w ten sposób społeczeństwa i rasy mogą się stykać, a nawet zlewać zupełnie w wyrazie swoich najsubtelniejszych uczuć i instynktów, które przyszłość w życie wcielić może. Lecz niemniej, jest rzeczą pewną, że tylko taka sztuka jest czynnikiem ewolucyjnym i równoważonego społeczeństwa, która z pnia jego, z istotnych potrzeb jego wyrasta, i która najszerszej i najpełniej wyraża zbiorowego jego ducha.

Sztuka aklimatyzowana ma tylko pośrednie znaczenie, jak aklimatyzowane zwierzęta i rośliny — i może istnieć jedynie w muzeach, ale do ogółu nie przesiąknie, i nie będzie mu nigdy „wodą życia“.

W czem leży swojskość i nieswojskość sztuki? Czy może w temacie, w kostjumach, w tytule?

Nie, ona tkwi w charakterze, który występuje w każdej składowej cząsteczce dzieła, tkwi w kącie widzenia, pod którym obserwowane wszystko, co nas otacza, nabiera osobliwego kolorytu i znaczenia.

Porównajmy pod tym względem obiedwie grupy p. Wasilkowskiego z grupami p. Ottona.

Jak w jednych tak i w drugich, składową częścią kompozycji jest kobieta, tu jako *Malarstwo* i *Rzeźba*, tam jako *Wiara* i *Historja*.

Na pół kokota, na pół dziecko, o drobnej główce, na cienkiej, nerwowej osadzonej szyi: o włosach, które z falistych zwojów wysuwają się w drobniutkich loczkach na czoło, twarz i szyję; o zgrabnym, figlarnym profilu, z noskiem, zadartym do góry, całą swoją pozą, przebiegiem wiotkiego tułowiu, przechyleniem głowy, z jakim wpatruje się w słońce, ruchem ręki, w której trzyma pędzel—objawia swój typ, swoje pochodzenie najwyraźniej — to Paryżanka. Ma w sobie elegancję „bibelote'u“, i ten drażniący wdzięk kobiety *rozebranej*, tak różny od wdzięku *nagich* Wener i Dyan.

Typ, który może z równym „szykiem“ wyobrazić dla Francuza „poezyę“, „muzykę“, „patryotyzm“ i t. p., który, wedle słów Maupassanta, obnoszony w miejsce sztandaru przed armią francuską, zapewnił-by jej zwycięstwo na wszystkich polach bitew. Typ przez nich wypielęgowany i czczony.

Postacie, siedzące u stóp Stwosza i Matejki, mają wyraz rzewnego zamyslenia, oczy, jakby w głąb duszy wpatrzone, i słodycz cichego smutku w wygięciach ust.

Postacie, które w twarzy, w ruchu, w typie budowy ciała mają coś pokrewnego z *Lillą Wenedą*, z *Eloe*, z *Zosią*, kiedy prosi Jankiela o muzykę.

Jest jeszcze jedna strona, która, w zestawieniu konkursowem tych dwóch prac, daje pierwszeństwo grupom p. Ottona, a tą jest budowa kompozycji w ten sposób, iż każda z nich, całkowicie, od cokułu do wierzchołka, łączy się z budowlą tak niepodzielnie, iż stanowi jedną z nią całość. Sylweta stalugi u Matejki i wieżyczki gotyckiej u Stwosza są doskonałym pomysłem, jako węzeł między architekturą i rzeźbą.

Zalety tej zupełnie brakuje grupom p. Wasilkowskiego.

Zdają się one być, jakby umyślnie, komponowane w tym celu: by je z każdej strony obejść i oglądać było można.

Tak więc, palma pierwszeństwa pod każdym względem należy się grupom z godłem „Mistrz“, i mamy nadzieję, że za rok, można je będzie oglądać, do odpowiednich rozmiarów powiększone, przy portyku skończonego już gmachu Towarzystwa.

Rzućmy teraz okiem na prace, zebrane na drugim konkursie, który ogłoszony został przez Towarzystwo Sztuk Pięknych, dzięki życzeniu i ofercie 500 rubli, autora pomnika dla Mickiewicza, p. Cypryana Godebskiego.

Podobnie, jak w poprzednim konkursie, współubiegały się tu również młode wyłącznie talenta, z małemi wyjątkami prawie nieznanymi w sztuce, tu i owdzie noszące jeszcze ślady skrupowania powijakami szkolno-akademickimi.

Te ślady szkolnego wpływu i rutyny, wyrażają się nawet w samych założeniach, które autorowie sobie do artystycznego wyrażenia obrali, mianowicie w motywie nagiego ciała, stanowiącego stały przedmiot studyów w szkole.

Jako najbardziej pełny i zdecydowany rezultat tych różnorodnych, a zrównoważonych wysiłków odczuwania, wyrażania i umiejętności panowania nad materiałem, można postawić rzeźbę p. Mazura, p. t.: „Ze snu“.

Młody, silny chłopak, ziewa, przeciąga zeszywniałe członki, i na moment poddaje całe swoje ciało, od głowy do stóp, odruchowi spazmu, stężenia wszystkich mięśni, dla otrząśnienia się z chwilowego bezwładu, który mocny sen zostawia po sobie w organizmie.

Ów odruch, tak dobrze znany wszystkim, mający swój szczególny wyraz, który się prawie wyczuwa w sobie na widok przeciągającego się człowieka, stan mięśni, który się udziela, „zaraża“, jak mówią, innych, jest wyrażony w rzeźbie p. Mazura zadziwiająco prawdziwie. Istotnie, patrząc dłużej na tego chłopca, widz doznaje chęci przeciągnięcia się i ziewnięcia; tak *żywo*, łudząco scharakteryzowany jest ów szczególny prąd nerwowy, przebiegający równocześnie cały skomplikowany aparat ścięgno-mięśniowy ludzkiego ciała.

Głowa, mająca sama w sobie prawdziwy wyraz skrzywienia przy ziewnięciu, doskonale nadto wyraża w dalszym ciągu ruch całego tułowiu i wszystkich kończyn po szczególe, aż do palców nóg, na których, w kurczowym ściągnięciu mięśni, wspina się cała figura.

Jako wyraz, życie, subtelna prawda ruchu, ta figura jest pierwszorzędnym dziełem sztuki, i świadczy o ogromnym talencie obserwacyjnym autora.

Mniej silnie wyrażona, i mniej skomplikowana w kompozycyi, jest głowa „śpiącej“, panny Maryi Gerson.

Nie pierwsza to jej praca i nie najlepsza.

Panna Gerson w swoim zawodzie artystycznym zdobyła się na kilka prac, które jej w rzeźbiarstwie polkiem i oważne wyrobiły stanowisko.

Jest to artystka rozmiłowana w swoim zawodzie, i skromnie, cicho, a rozważnie przeprowadzająca swój talent przez szereg prób cierpliwych, a w rezultatach niezawodnych.

„Głowa śpiącej“ śpi naprawdę, zda się, oddycha i żyje w mar-twocie snu, z rozlaunym na całej twarzy wyrazem delikatnego senty-mentu, jaki zwykle, podczas snu, miewają twarze dzieci i młodych kobiet.

Trzecia rzeźba, młody chłopak, siedzący na ziemi, p. Szlifierza, ma pewne zalety pracy początkującego talentu, który nie umie jeszcze powiedzieć wiele, ale już jest sam sobie świadectwem istnienia, noszącego we własnej organizacyi zarodki bytu i rozwoju.

Jeszcze mniej tego uświadomienia siebie widać w postaci, klęczącej kobiety p. Gecewicza i statuetce, „Ewa z wężem“ p. Flauma.

Od tej grupy utworów, wyrażających więcej lub mniej artysty-cznie i silnie pewien fragment, cząstkę tego, co jest życiem, co jest faktem w niezmierzonej akcji przyrody, przejdźmy do dzieła, które jest plastycznym wyrazem pewnych uczuć ludzkich, w stosunku do fa-ktu konkretnego, a zarazem ilustracją, *opowiedzeniem* historii tego faktu.

Na fragmencie architektonicznym, wyobrażającym część budynku i wielkie, żelazem kute odrzwia klasztorne, od których wiodą schody, dostrzegamy na płaszczyźnie stopni kupkę powijków, w których porusza się niemowlę. Niewielka, przygarbiona postać księdza w sutannie, i narzuconym na nią kaftaniku, w czapce na głowie, wyszedłszy z poza furty, i wspierając się ręką na jej okuciu, kroczy ku tej kupce powijków, schylając ku niej głowę badawczo.

Niżej, wyłączona z aktualności tej grupy przez architektoniczną kombinację jakiegos wnątku, czy niszy pod schodami, leży naga kobieta w ruchu rozpaczy, żalu, niemocy, z twarzą przywartą do gołej ziemi, z pezaciskanemi rozpaczliwie palcami rozpiętych szeroko rąk, i z włosami, rozrzuconemi w nieładzie.

Podpis na grupie: „Ksiądz Baudouin“.

Niewiadomo, czy jest to projekt na pomnik, nagrobek, lub udekorowanie jakiej fundacyi księdza-filantropa, i w tej chwili o to nie chodzi. Interes wzbudza sama kompozycya, jej jasność i prostota stylu epickiego, podobna jasności i prostocie ludowej legendy, lub bajki.

Mała figurka księdza, w traktowaniu szczegółów twarzy, rąk, ubrania ma w sobie coś z naiwności przedrenesansowej, i zarazem wiele z tego życia i wyrazu, które z pod naiwności przedrenesansowej na zewnątrz się przebija. Każdy mniej więcej wie coś o ks. Baudouinie, lecz gdyby nawet nic nie wiedział, pojął-by odrazu, czego chce ten przygarbiony, niezgrabny ksiądz, z takim przejęciem i miłosierdziem schylający się nad porzuconem dzieckiem.

Druga część kompozycyi, rozpaczająca matka, pomimo małego rozmiaru postaci, doskonale dopowiada całą psychologiczną treść dramatu, który się w duszy jej rozgrywa. Powiem nawet, że pod względem artystycznej ekspresyi jest ona najlepszą częścią kompozycyi.

Całość jest dziełem sztuki, które zastanawia i porusza te same uczucie ludzkiej duszy, pod których wpływem pozostawał sam autor podczas tworzenia swej grupy. A to już rezultat nie byle jaki. Autorem tej grupy jest pan Bylewski.

Jest jeszcze na wystawie kilka bardzo dobrych biustów portretowych i medalionów p. Nałbórczyka.

Biust Henryka Sienkiewicza, jakkolwiek brakuje mu decydujących dotknięć, które stanowią o skończeniu, a więc o możliwie pełnem osiągnięciu podobienstwa, wyrazu i życia, jest jednak w tem uogólnieniu dzieła, niedostatecznie opracowanego, bardzo dobrym, żywym i podobnym portretem, najlepszym zresztą ze wszystkich biustów Sienkie-

wicza, jakie dotychczas, nie wyłączając chybionego popiersia dłota Welońskiego, zrobiono.

Tych względnych braków uniknął p. Nalborczyk w główce panny Sienkiewiczówny; jest to praca, dociągnięta do wysokiej miary artystycznej, tak, że trzeba ją wyróżnić nie tylko z reszty prac, wystawionych przez p. Nalborczyka, ale nawet między innymi wybitnymi dziełami tego rodzaju dać jej zaszczytne miejsce,

Wystawione obok medaliony tegoż autora, nie dorównują biustom pod względem artystycznym.

Jako uwagę konkluzyjną dodam, że obydwa konkursy rzeźbiarskie, jakkolwiek może nie dały sztuce rodzimej dzieła epokowego, to jednakże stały się aktem wstąpienia w świat artystyczny paru nowych a wybitnych talentów, co jest wypadkiem zgoła nie podrzędnego dla naszego rzeźbiarstwa znaczenia.

STEFAN POPOWSKI.

---

# PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

„Prace filologiczne“, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom V, zeszyt II.

Warszawa, 1898, str. 308—680 i 5 nl.

Wydawnictwo zeszytowe powinno-by właściwie podlegać ocenie dopiero wtedy, kiedy zeszytów kilka utworzy całość z tomu, lub z jakiej większej części, aby tym sposobem gruntowniejszy sąd wydać było można. Wobec „Prac filologicznych“ od tej zasady odstąpić wolno, raz dla tego, że każdy zeszyt, złożony jest z kilku, lub kilkunastu artykułów, tworzących dla siebie całość, powtóre, że trudne warunki tego wydawnictwa nie pozwalają mu na peryodyczne pojawianie się w niedługich odstępach czasu, ale często (jak np. tym razem) między zeszytem jednym a drugim upływa nawet lat — 3! Wybaczą tedy Czytelnicy „Biblioteki“, że ich z jednym tylko zeszytem postaramy się zaznajomić, nie wiedząc, kiedy może wyjść zeszyt III, zwykle tom zamykający.

Zeszyt niniejszy ( drugi tomu V-go, a nie jak mylnie wydrukowano na okładce: IV-go), zawiera pięć rozpraw większych, drobiazgi językowe, rozbiory i sprawozdania. Na czele pomieszczono wspomnienie pośmiertne profesorów: Józefa Przyborowskiego i Lucyana Malinow-



skiego, „dwu mężów, których imiona związane są ściśle z rozwojem naszej nauki“, i stojących do siebie w stosunku nauczyciela do ucznia. Jakkolwiek krótkie, dają te wspomnienia związałą i trafną charakterystykę pracy obu językoznawców, i uwydatniają ich zasługi na polu filologii polskiej: Przyborowskiego w dziedzinie starej polszczyzny i bibliografii, Malinowskiego w dziedzinie dyalektologii.

Otwiera zeszyt „Żywoł św. Błażeja“, zabytek języka z początku wieku XV, wydany wprawdzie po raz pierwszy w roku 1864 przez Bielowskiego, jak się pokazuje niezbyt dokładnie, a obecnie opracowany przez prof. Malinowskiego pod względem bibliograficznym, paleograficznym i językowym, z dodaniem skrupulatnej transkrypcji zabytku i szczegółowego słownika, opartego na cytatach tekstu. Z osobliwszych form i wyrazów tego zabytku notujemy *mołwić* = dzisiejszemu mówić. i złożone częstokroć *na-mátwać* (namówić), *ostać* (czego) w znaczeniu: zaprzestać; *panostwo, panosza; powolić* (= pozwoić); *przezwarzstwo* — niedowiarstwo, pogaństwo; *zjtura* = jutro.

W dalszym ciągu zdobyczy „Z rękopisów petersburskich“, prof. A. Brückner z Berlina ogłasza w obecnym zeszycie studjum o najdawniejszych polskich powieściach, konstatując, że tego rodzaju utworów u nas w wieku XIV i XV było nadzwyczaj mało. „Gdy Czesi już w końcu wieku XIV i początku XV mieli niemal wszystkie ulubione powieści (łacińskie), przełożone na język rodzimy, polskich nie było; pierwsze przekłady zjawiają się dopiero z końcem stulecia, opierają się o najdawniejsze druki, nie o rękopisy, i zdradzają nieraz jedną manierę, jakby wyszły z pod jednego pióra“. I tak, „Historji o Aleksandrze“, czyli Aleksandreidy, zna autor tylko dwa polskie odpisy, jeden w Krakowie (bibl. Jagiellońska), drugi w Petersburgu (ces. bibl. publ.), oba z końca wieku XV, „Historji Trzech Króli“, rozpowszechnionej bardzo w Niemczech, ma tylko odpis petersburski i lwowska uniwersytecka biblioteka, i jedno rękopiśmienne tłumaczenie polskie w bibliotece petersburskiej z połowy wieku XIV; drugie trzy, białoruskie, tłumaczone w początkach wieku XVI z języka polskiego; „Historji Męki Pańskiej“ również jeden przekład polski i tłumaczenie białoruskie. Autor rozpatruje stosunek tych przekładów do pierwowzorów, i wykazuje ich małą literacką wartość, chodziło mu jednak o pokazanie, że „już na końcu wieku XV i początku XVI, odczuto nagłą potrzebę przyswajania najciekawszych, najpoczytniejszych dzieł literatury łacińskiej rodzimemu językowi; że zanim pierwsze druki polskie nastąpiły, przed Janem z Koszyczek, Andrzejem Glaberen i innymi pracownikami na polu piśmiennictwa ojczystego, podejmowano się mało wdzięcznej pracy tłumaczenia, pracy dla niewielu, pracy, pozostającej w ukryciu, póki nie znaleźli się drukarze, jak dla Opecja, którzy pracę dla ogółu

wyzyskiwali“. W dodatku do tego studium pomieścił autor najdawniejszą mowę polską, wygłoszoną przez biskupa krakowskiego, Jana Konarskiego, przy przyjęciu królowej Barbary Zapolskiej, a zapisaną w rękop. bibl. ces. w Petersburgu (XIII fol. № 59).

Znaczną część zeszytu zajmują trzy prace p. Hieronima Łopacińskiego niepospolitej doniosłości.

Pierwsza o „Najdawniejszych słownikach polskich drukowanych“ z „Uzupełnieniem“, obejmuje charakterystykę znanych bibliografom, a opis nieznanych słowników, poczynawszy od Dykcyonarza „variarum rerum“ Murmeliusa z roku 1526, aż do Wokabularza rozmaitych i potrzebnych sentencji“ z roku 1539 i Słownika botanicznego Schnebergera z r. 1557. Dobardzo ciekawych z nieznanych, a szczęśliwie przez autora wydobytych z ukrycia, należy Wokabularz nowy czterech języków“ z roku 1532, niestety, zdefektowany. Zasób wyrazów polskich, zebranych w tych słownikach, autor porównał z Lindem, i, o ile jaki wyraz odstępuje formą lub znaczeniem, albo też wcale go niema u Lindego, został umieszczony w jednym przez autora skrupulatnym słowniczku, dopełniającym skarbiec staropolszczyzny przeszło tysiącem trzystu wyrazami. Nabytek to dla słownika staropolszczyzny cenny i bardzo naturalnie pożądaný.

Znalazłszy w dwu innych starych drukach rękopiśmienne zapiski polskie słownikowe, zestawił je autor podobnie jak w powyższej pracy, i umieścił pod tytułem: „Przyczynek do słownictwa z wieku XVI“.

Trzeba przyznać, że p. Łopaciński szczęśliwą ma rękę; nietylko wydobywa stare wokabularze, ale, jakby pozazdrościwszy sławy prof. Brücknerowi, dociera do niedostępnych dotąd źródeł i skarbów, i znane tylko z pogłoski lub tytułu utwory, okazuje w całej postaci zdumionemu uczonemu i literackiemu światu. Do takich utworów należy bezsprzecznie jeden z najstarszych utworów polskich dramatycznych, starszy od dyalogów Rejowskich—„Sąd Parysa“. „Prawdziwy ten kruk biały“ dochował się w książce, zawierającej we wspólnej okładce sześć druków bardzo rzadkich, z piątego dziesiątka wieku XVI, i jest przeróbką znanego w wieku XVI utworu łacińskiego Jakóba Sochera. Przeróbka to wprawdzie niezgrabna, zwłaszcza co do formy wiersza i rymu, jak również co do stylu poetyckiego, ale, jako „utwór z pierwszej połowy wieku XVI, tak ubogiej jeszcze w dzieła literackie“, jest „ciekawym przyczynkiem i świadectwem do dziejów teatru ówczesnego w Polsce, a mianowicie dramatu szkolnego i zabytkiem języka z owej epoki“. Autor podaje „najwierniejszy możliwie przedruk unikat“ z podobizną tytułu i ostatniej stronicy. Utwór ma aktów 4, a wierszy 919. Po przedruku następują „właściwości grafiki, pisowni, morfologii

i składni“, a nakoniec słowniczek wyrazów, między którymi 37 nieznanym Lindemu.

Szereg rozpraw zamyka w tym zeszycie obszerna i wyczerpująca praca „O pisowni i języku kazań Paterka“ (z wieku XVI), napisana przez jednego z najmłodszych i najzdolniejszych uczniów ś. p. profesora Malinowskiego, p. Kazimierza Nitscha. Jest to wprawdzie praca seminaryjna z materiału, zebranego przez ś. p. profesora, i pod jego kierunkiem zrobiona, ale chlubnie świadczy o pracowitości i przyswojeniu sobie przez młodego autora metody naukowego opracowania zabytków. Wyczerpujący ten rozbiór, szczegółowa prawie grammatyka we wszystkich częściach aż do składni, daje wyobrażenie o wartości tego pomnika językowego; szkoda tylko, że w podobny sposób nieopracowano raczej ważniejszego jakiego zabytku, a przecież ich tyle na opracowanie dotąd czeka daremnie.

W „Drobiazgach językowych“—rubryce dotąd prawie wyłącznie przez ś. p. profesora Malinowskiego wypełnianej, i to drobiazgami dla języka wcale nie małej wartości, znajdujemy i w tym zeszycie objaśnienia, jak powstały wyrazy takie, jak *uzdrojowisko* (z u(zdrowisko)—zdrowisko), *ćwiero* (czworo), *kmoter*, *stoligwa* (stołgać się = czołgać się), *nice* (z nil-ja od nić), *bilard*, *baraby* (Bahuraben), *pianka morska* (z le Cummer zrobiono: l'écume de mer), *dubiel* (dobeł=gruby) i wiele innych. W Dodatku zamieszczono zabytek języka polskiego na Ślązku z wieku XVII, całkiem czystą polszczyzną w okolicach Pszczyny napisany.

P. Łopaciński podaje jeszcze „Urywek z przekładu komedyi Gnepheusa „Acolastus“, znaleziony w rękopisach biblioteki wileńskiej, a pochodzący z wieku XVII; p. Karłowicz zestawia wyraz „zbrodnia“ z „brodem“ na rzece, szukając w tem znaczeniu pochodzenia tego wyrazu nie bez prawdopodobieństwa; p. Korbut podaje w przedruku (mało znanego wydania) opracowanie leksykograficzne wyrazu „Cnota“ przez Adama Mickiewicza.

W „Rozbiorach i Sprawozdaniach“ omawia prof. Brückner szeroko dzieło p. Romana Plenkiewicza o Kochanowskim, wytykając błędy w szczegółach, brak jednorodności i popuszczanie wodzy fantazyi, ale uznaje, że rzecz się „czyta z zajęciem i popularyzuje, co u nas nauka o tych nadzwyczaj ciekawych czasach i ludziach zdobyła i zestawiła“. „Mimo zastrzeżeń... uważamy dzieło to... za zdrową i posiłną strawę duchową“.

Kilka kart ostatnich poświęcono naukowej polemice między d-rem Ołtuszewskim a profesorem Bandouin'em de Courtenay, wywołanej recenzją, napisaną przez tegoż o „Szkicu fizjologii mowy“ d-ra O. Jak w każdej polemice, tak i tu, nie brak cierpkich słów i przymówek,

a walka co do naukowego stanowiska rzeczy bardzo nierównna, musiała wypaść zwycięsko dla profesora Baudouina.

Zeszyt ten, w większej mierze, niż poprzednie, spełnia żądanie „Prac filologicznych“ w sposób znakomity, a wobec tego życzyć-by sobie należało, aby społeczeństwo umożliwiło temu wydawnictwu, prowadzonemu wytrawną i umiejętną ręką, pomyślny i skuteczny rozwój przez wszechstronne poparcie i uznanie.

---

Andrzej Stopka: „Rycerze śpiący w 'Tatrach“. Fantazyja na tle podań ludowych. Kraków 1898 16-o str. 179.

Po „Sabale“—„Śpiący rycerze“... Jest to nietylko dowodem, że się spełnia życzenie p. Witkiewicza <sup>1)</sup>, aby mogła u nas powstać literatura gwarowa, zwłaszcza gwarą podhalską pisana, ale zarazem świadectwem wielkiego rozmiłowania się autora, p. Stopki, w tych rodzimych dźwiękach, tak, jak się Sabała lubował w dźwiękach swoich gęśliczek. Ta tylko zachodzi różnica między dawniejszą książeczką o Sabale, a obecnie wydanymi „Śpiącymi rycerzami“, że tam poznaliśmy p. Stopkę, jako zręcznego reproduktora, tu zaś pojawia on się częściowo w roli samodzielnego twórcy, nie zawsze dosyć szczęśliwą obdarzonego ręką...

Podanie ludu podhalskiego, o zaklętych rycerzach, śpiących w głębokiej jaskini, i czekających na znak umówiony, aby znowu pociągnąć na boje—oddawna jest znane szerokiemu ogółowi, w tych najprostszych rysach. Tak jak wiele u nas podań, zanotowane po raz pierwszy nie pomnę już przez kogo w formie literackiej; dla samej tylko treści, nie zwracało szczególniejszej na siebie uwagi. tem bardziej, że analogiczne nieraz bardzo podobne podania znajdowano i w innych okolicach kraju; nie było więc osobliwością — a nasi miłośnicy rzeczy

---

<sup>1)</sup> Zob „Bibl. Warsz.“ rok 1898 t. I, str. 479.

ludowych za osobliwościami tylko uganiać się lubią. P. Stopka przedstawił je po raz pierwszy we właściwej miejscowej szacie i to nietylko z wszystkimi właściwościami fantazyi lotnej podhalskiego górala, ale nawet z właściwościami jego gwary.

Hufiec poległych rycerzy z „mnikem“ Markiem na czele przybywa do chaty ojca Gerlaka („gaździł“ on z żoną Świnicą i miał córkę Domnicę, a synów Hawrania, Murania i najmłodszego Gewonta) i żąda wskazania miejsca, gdzie by mogli spocząć we śnie głębokim. „Hybajcie za mnom—mówi Gerlak—a ja wam pokazem wieldzażnom równie a na ty piasni, co w lesie jes, polégacie se sička i bedziecie se ta odpociwać. Kosówki sie tak ściele bez liku, tozto na tem kosodrzewie, że jes gibki i rosły, bedzie wam sie odpociwać nie zgorzój“... „Gewonta Gerlak też dał służbę do tyk wojaków. Świnica za nim strasnie długo plakała i banowała, ale co miała robić, trza go béło dać do usługowania onym rycerzom, to go dała.“ Kiedy „Pániezus posłał janióła ze szybelnémi piórami w skrzydłak do starego Gerlaka, co by mu pedział, że już czas, zeby rycerze wysli“ i „janiól jon trąbić na srybelnej trąbie i pobudziéł te cićkie wojáki spiące“—trzeba było przewodnika, aby ich z ukrycia wyprowadził. Wybrano młodego Gewontka; ale ten „se zabácył, co mu ociec i janióła napowiadali“ i w jednej izbie, przez którą wiódł rycerzy, stanął, nie chcąc przejechać ładnej dziewczki, co sie prasła przed konika“. Szukali teraz takiego parobka „zeby béł o cnote strasnie dbały“, ale go nie znaleźli i musieli się do podziemie wrócić. Gewontowi dano pokutę, po której miał jeszcze raz próbować wywieść rycerzy. Nadeszła znowu wojna, Gerlak na nią posłał Hawrania i Murania, a ci sprzymierzywszy się z nieprzyjaciółmi chcieli podstępem dostać się do śpiących rycerzy. Gerlak nie podejrzewał synów, aż oto „Krziwań, co dobrym sinem ból przileciał, kłęknon przed ojce i zacon go na sićkie śwętości pytać (prosić), co by tego nie robiéł“. Stary Gerlak usłuchał, a na chcących przemocą wtargnąć uderzył ze swoimi, ale tamci silniejsi, zwyciężyli. „Casu juz ni-jakiego nie béło, co by budzić tyk spięcik wojaków i pedzieć im, co by uciekali. Ani nie béło sposobu, jako ik pobudzić i obronić. Toz to nie wiele myślący prasnon Gerlak cuhe a pote zdar zápaske ze Świnice i też jom cisnom. Pote zaś wzion wieldzażnom i sérocażnom huste i niem i tom cuhom i zápaskom przikrył cały obóz. Okrył tyk wojaków. Płakta pozawiesáła sie na wiérhak smrekow, toz to nie béło im dusno“. Podczas bitki zobaczyli nieprzyjaciele dziurę w chustce i zaczęli się nią do środka przedzierać. Wtedy Gewont stanął w zbroi w otworze i „pobił moc luda“, ale sam zginął a dziurę padając „zatkał sobom“. „Kie Gerlak widzi te niepeć, pilno podniesie głowe i ręce do góry i zacnie

wolać pomsty na swoich złyk sinow. Pytał pięknie — pytał głośno Pániezusa, coby téz bész tego godny, coby téz Pániezus bész tak dobry i te płakte, cuhe, i zápaske, co ik prasnon i przikrył tyk wojaków, zamienił sićko naokoło w granit... I strasná i niebywałá stała sie rzec, bo Gerlak zacon od dołu kamienieć. Zaś Lodowy wiérk, co bész nástarsim bacom u Gerlaka w lód sie obrócił i zacon krzipać strasnie. Lamentował nad tem nieszczęściem i hycieła go wej krzipota i tak jon zimno oddychać, jaze sickich nieprzyjácieli pomroził. Kie to uwidzieli Hawrań i Murań wzieni sie w uciekaca na wychód słonka, bo stamstela sło bész ciepło od słonka, co wyhodziło prawie juści Kcieli sie przigrzać, coby nie umarli ze zimna. Ale Gerlak dożrał, co sie nie robi, bał sie, jaze ci jego sinowie káranie nie bedom, to nie wiela myśleci, wyciągnon ręce do góry i zacon ik tak przeklinać, tyk sinów a przeklinał ik takimi strasnymi słowami, ze sićko naokół ze strachu pokamieniało do resty i uziębło. Przekleństwo ojca leciało wartko za sinami, jaze ik hycieło w drodze, onyk wyrodnik, i obróciło ik w skały. I do dziś dnia stojom na wychód słonka sami z daleka. Taká ik strasná spotkała kára“.

Uratowani rycerze schowali się napowrót w dawne ukrycie, ale im było duszno i ciemno. Wprawdzie były małe okienka (co były barz małe dziórki płackie, ale te Lodowy śniegiem pozatykał i zakazał mu topnieć. Mnich Marek prosił tedy Pana Jezusa, o jakie większe okno, i dostawszy pozwolenie począł wykuwać otwór; bojąc się zaś aby tem oknem nieprzyjaciele nie zaglądali — „toz do siela pilnuje Morskiego Oka i nieprzyjaciela od niego odganiać, u przijon se Młynarza za pomocnika. A jést ono, to oko, barz wázne, bo pod niem jest ten granitowy stół, co na nim wodzowie plany mądre pisajom, i widy-ku im do tego trza dobrego.“

Dotąd część pierwsza w sobie zamknięta i tworząca pewną jednolitą całość. Gdyby mieć pewność, że wszystko, jak jest pochodzi z twórczości ludowej, że te zaklęte w skały i turnie Gerlaki, Muranie, Giewonty. Mnichy on wytworzył, tłómacząc sobie w ten sposób niepospolite zjawiska w przyrodzie, na które codziennie spogląda—mielibyśmy oryginalną przepyszną góralską mitologię nie gorszą od mazurskich Wyrwidębów, Waligór, Zawalidróg, a zbliżającą się do mitycznych Cyklopów i Centaurów. Ta epopeja nadludzka, a jednak w historycznych osnuta ramach, byłaby niepospolitem wzbogaceniem literatury tradycyjnej; ta wyobraźnia; widząca w każdej skale, w każdym potoku, w każdym niemal drzewie ślady wielkich kataklizmów, jako nieszczęścia ogólnonarodowego, byłaby świadectwem dla Podhalanie rów-

nie chlubniejszem, niż sztucznie i niezgrabnie ludowi podsuwane wspomnienia historyczne, jak to czynią niektórzy fabrykanci materiałów ludoznawczych...

Rozdziały następne V—VIII, luźnie tylko łączą się z poprzednimi. I tak w rozdz. V, opowiedziany jest romans Gewonta z Bystrą, jako do siebie śpiewali, potem się pokochali. Bystra „wbięła patyk długi pod Cérwony Wierhe i zrobięła tam tym patyke głębokom dziure jaze do samyk Kościelisk, coby on miał wtórendej ku niej chodzieć i coby go ludzie nie widzieli...” „Jaze go raz dożrała Sowa, co na turni siedziała w Kościeliskak; Gerlak namocył na sina powróz. Nauczył on go pote rozumu; deł on mu siustu.” Bystra zarznęła dziecię, z tego stonsunku narodzone, i zakopała je przy drodze. Na grobie wyrósł jawór, a gdy juhasi zrobiłi z niego „gęślicki“ grał zawsze na jedną nutę, skarżąc się na matkę, która go zarzezała i na ojca, co na to pozwolił. Odkopano ziemię, znalezione kostki w trumienkę ułożone pogrzebano, a na tem miejscu wybudowano małą kapliczkę, „co je do siela w Kościeliskach.“ Bystre „z hańby“ (ze wstydu) zmieniła się w kamień.

Rozdział VI, jest opowiadaniem o Matusku, który rozmilowany w bogatej „gazdowskiej“ córce pogniewał na siebie matkę, potem i ojca swej kochanej i poszedł za juhese służyć. Tam poczęstował przechodniego dziadka i ten mu dał sekret, jak zostać bogatym i moźnym. Skoro nastały złe czasy, chciano, aby Matuszek wyprowadził owych śpiących rycerzy; byłby to uczynił, gdyby nie zaniedbanie przestrog dziadka. „Matuszek chodzi po górak do dziś dnia, ino sie strasnie ludzi boi, toz to ucieka, bo go wstyd... Kie zaś wto zawoła, to on ncieka, bo sie wstydzi, ale se słowa powtarza, coby się ćwicył coby se sićko dobrze bacył. Ludzie to nazywają ehem. Ale to nie żadue eho ino biedny Matuszek pokutuje...”

W rozdziale VII, zwraca się opowiadanie znowu do śpiących rycerzy, do ich zbrojenia się, zwożenie prochu przez głupiego Jędrusia, który nie chcąc wydać prochu nieprzyjaciołom skamieniał. Konie też mają ci rycerze, ale im trzeba od czasu do czasu strzydz i podkuwać. Niejaki Fakła chodzi to czynić, ale że był chciwy na grosz, a do tego użył na podkowy złota ze zbójnickich skarbów więc go Pan Bóg pokarał i długo jako kalek leżał.

Nakoniec rozdział VIII opowiada o przyszłości. Nastaną złe czasy, prawie koniec świata. „Muik“ Marek będzie prosił Pana Jezusa, aby pozwolił tym rycerzom śpiącym wyjść i zrobić porządek. Pan Je-

zus pozwala, jeśli Marek znajdzie na świecie 10 ludzi sprawiedliwyk. Było tylko 5 i na to zgodzi się Pan Jezus. Wojsko śpiące wyprowadzi pewien juhas, a po zaprowadzeniu ogólnej zgody i pokoju zostanie królem juhasów. Smutno mu jednak będzie, bo nie znajdzie ukochanej.

Ramami tych opowieści są: wstęp i zakończenie, w których autor wkłada to wszystko w usta starego Skwarka zwanego Nędzą. Niepotrzebna ta fikcja osłabia wrażenie, tem więcej że słuchaczami przygodnymi mają być przechodzący pątnicy. Jest to jednak nie największa wada tych „fantazyi na tle podań ludowych“ — ale to właśnie poczytujemy za stanowczo niekorzystne, że to nie są podania ludu podhalskiego wiernie powtarzane, tylko „fantazyje“ na tle tych podań. Już powyżej zaznaczyliśmy wielką szkodę, jaka z tego wynika dla samego ludu podhalskiego, którego wyobraźni poetyckiej ocenić z tych podań nie możemy; z drugiej strony ponosi szkodę i autor, bo nie wiemy, co jest w opowiadaniu jego własnością, a gdybyśmy go chcieli oceniać ze wstępu i zakończenia dwu ustępów napisanych językiem literackim, sąd wypadłby niezbyt pochlebnie.

Na dwie jeszcze rzeczy musimy zwrócić uwagę. Autor urodzony w Kościeliskach włada gwarą podhalską, jak każdy rodowity góral, ale chcąc pisać stylem prostym ludowym nie może się uchronić od zwrotów i wyrażeń, które mu się z języka literackiego przypominają i tak natrętnie wsuwają pod pióro, że je tylko ubiera w szatę podhalską i bez zastrzeżeń wplata w rodzimą gwarę. Że to razi nieprzyjemnie — każdy łatwo pojmie. Do takich zwrotów i wyrażeń liczymy zwroty: „za wasom sprawę poległ“ (str. 15); „bedom obmyślać sposoby nad ogólnem zbawieniem nasim“ (34), „tabun (!) dzikik koni,“ (35) „mądre plauy“ „dodany za oboźnego (!)“ (37) „gärstka béta zagrzána duchem jedności i miéłości...“ (40) „od tobie zależy działanie i zbawienie ludu twójego“ (45) jej miano (133). W oznaczaniu fonetycznych właściwości gwary zachował autor większą skrupulatność niż w „Sabale“ właściwe tej gwarze *i* twarde oznacza, wprawdzie niefortunnie przez *l*, ale lepiej to niż gdyby je oznaczył przez *y* lub *i* zwykłe; tylko *á* (a ścieśnione) jeszcze w wielu miejscach zaniedbane. — Słowniczek przedstawia pewne luki [np. nieobjaśniony wyraz: „płazówka“ (str. 12), „tełezego“ (26 i 119); „dzinge“ (84), „potak“ (106 i 112), „oskradział“ (155), „jafer“ (155), recioski, „turoski“ (156)].

Do książeczki dodany wiersz, słaby w mierze ludowego krakowianka p. t. „Poziomka“, jak Kasia płacząc za Jasiem, który poszedł „na zbój“ na Węgry i nie wrócił, „z złości sie kwaśnom Koziombeckom



stała“ — i opowiadanie prozą p. t. „Szarotki“ tłumaczące powstanie tych kwiatków alpejskich z kości Jędrusia i Marysi, którzy z Nosala w przepaść się rzucili.

Jeżeli p. Stopka zechce w przyszłości jakie podanie w podobnej formie podać publiczności, dobrze uczyni, odróżniając jakimkolwiek sposobem ustępy własnej kompozycji (np. gwiazdką) od wiernie powtarzanych za ludem części. Nie uczyni tem żadnego czytelnikowi uszczerbku, a może dać cenny materiał etnograficzny, przez co będzie i wilk syty i owca cała...

### ROMAN ZAWILIŃSKI.

---

„Jesień“, powieść Alfreda Konara.

„Powinno się dożyć takiego dnia, jak ja wczoraj, i umrzeć“. Tak woła w pamiętniku swoim bohaterka powieści ostatniej Konara, znakomita śpiewaczka, która partycją Julii zdobyła sobie publiczność miasta stołecznego, i długotrwały, a bardzo korzystny, kontrakt u dyrekcji. Jest ona u zenitu powodzenia: piękna jeszcze (ma lat 24), bardzo pożądana kobieta i wielka artystka. Nazywa się Klara d'Albani,—jest to jednak jej *nom de guerre*; właściwe nazwisko: Mańka Wilczak. Czytelnik zawiera z nią znajomość, kiedy już jest bardzo Klarą d'Albani, bo właśnie nazajutrz po tem wielkiem zwycięstwie; jej pamiętnik zaczyna się od słów: „Ufl.. Jest nareszcie—sława!“ Ta dola niezwykajna nasuwa Klarze wielką ilość zestawień, porównań, przypomnień, które nam dopowiadają to, co wiedzieć potrzebujemy, abyśmy mogli dostatecznie zrozumieć kobietę i artystkę. Oddać trzeba Konarowi sprawiedliwość, że charakterystykę bohaterki z czasów, kiedy była mało czemś lepszem, niż ulicznicą, jak i z czasów, kiedy, wstąpiwszy na scenę, była czemś dużo gorszem, niż aktorką, przedstawił, przy pomocy szczegółów, bardzo umiejętnie wplecionych w opowiadanie, doskonale zaobserwowanych i wyzyskiwanych ze smakiem artystycznym; występują one wszędzie, jak cienie, od których postać śpiewaczki, stojącej u szczytu powodzenia i wychodzącej za mąż za hrabiego (pra-

wdziwego, choć niewylegitymowanego), doskonale się odrzyna i plastyki nabiera. Te zwroty do przeszłości, zawsze umotywowane, idą przez całą książkę Konara, tłumacząc, rozjaśniając, często pogłębiając postać bohaterki, i zarazem zapoznając nas już to z dawną Mańką Wilczak, już to z późniejszą Izą Gerard.

Dobra to była dziewczyna, i krótko a wybornie przedstawił nam ją autor w scenie, gdy wymyśla pewnemu prawnikowi, któremu strzeliła do głowy myśl udawania Garricka, po otrzymaniu stopnia doktorskiego:

— Mężczyzna powinien na żonę i dzieci pracować, a nie być pacjentem.

Falszywy Garrick mówi:

— Nikt jeszcze ze mną się tak nie obchodził, jak pani.

— To szkoda, na złe to panu wyszło.

— Pani mnie nienawidzi?

— Ja? pana? Przeżegnaj się pan!

Kiedy zaś oświadcza się jej: „...upadł mi do kolan, całował skraj mojej sukni i beczał jak dziecko...“, i chce się zenić,

Mańka woła:

— Żoną? Ja? Ale też masz pan rzeczywiście pomysły. A wiesz ty kto ja jestem?.. Ładnie-bys się pan ubrał..

I swata go z koleżanką swoją, Teošką, fałszywą Rachel, „panną z dobrego domu“, której „po stracie ojca wpadło do głowy w ten sposób na chleb zarabiać“.

Jedna to z piękniejszych scen, jaka wyszła z pod pióra Konara.

Klara d'Albani jest o lat dziesięć, a może i więcej, starszą od Izy Gerard, czy też Mańki Wilczak, i nie posiada już tak szerokich porywów temperamentu, do końca przecież pozostaje kobietą, która ma jakiś kawałek szlachetniejszej natury w sobie. Po koleżeńsku dzieli się rolami ze starą Bodurkiewiczową, którą chcą usunąć ze sceny, i wstawia się, i ocala od dymissy starą Adamską, której już oddawna wybiła godzina przejścia w stan spoczynku.

Wyborną jest, powiedzmy nawiasem, ta Adamska, która nie może zrozumieć, iż jest już stara, i „nie wie, za co ją prześladowają“. Klara pociesza ją, wspominając coś o plotkach.

— Plotki?! — woła Adamska. — Jak mnie pani żywą widzi, nic na nikogo nie mówiłam.

Świat teatralny zna Konar widocznie dobrze, i maluje go, jak widział; że wychodzi on z tej operacyi czarny—wina to i świata, i malarza, który kolorystą nie jest, promyk słońca na swoje dzieła puszcza rzadko, z upodobaniem zaś operuje odcieniami ciemnymi i szaremi.

Tym razem jednak, trudno autorowi robić zarzut pesymizmu; ktokolwiek teatru się dotknął „z tamtej strony“, ten wie, że to są stajnie Augiasza, napróżno wyczekujące od lat tyłu Herkulesa. Konar też ledwie że korzysta z praw mu przysługujących.

— Musi pani być w niełaskach u reżysera, — mówi Klara starej Bodurkiewiczowej

— Cóż mam robić?—odpowiada. — Posłałam mu na imieniny serwis szklany. Nie przyjął go. Na srebrny, niestety, nie stać mnie.

„Jesień“ jest najlepszą powieścią Konara, który, od chwili, kiedy porzucił nieodpowiadającą jego talentowi nowellę, rozwija się stale i poważnie. Nauczył się już komponować swoje powieści, i w „Jesieni“ wszystko jest na właściwym miejscu, ani jednego szczegółu zbytecznego, akcja wiąże się mocno i rozwija konsekwentnie. Tem też łatwiej ocenić zdolność do dawania figurom rysunku charakterystycznego, jaką Konar w tak dużym stopniu posiada. Niema prawie postaci w „Jesieni“, której-by autor nie wyposażył w jaki rys, dający jej fizyognomię ciekawą, nigdy o karykaturę nie potrącając, poczynawszy od tych starych aktorek i szambelana, trzęsącego teatrem, do Adzia, „pana z klubu“, który jest doskonale narysowany i wycieniowany, a zwłaszcza do bohatera powieści, Dudusia, który jest człowiekiem bardzo złożonym i dziwacznym dla świata, a który w interpretacji autora wychodzi prostym i grubym samolubem.

Owładnął Konar techniką powieści, pogłębił swoją obserwację, pozostał jednak dawnym Konarem - pesymistą, patrzącym na świat przez zadymione okulary, i widzącym wszystko w życiu kończące się źle. Jak w „Bankrutach“, jak w „Siostrach Malinowskich“, tak i w „Jesieni“, widzimy studium powolnego, ale nieubłaganego upadku ludzkiej istoty; na początku „Bankrutów“ poznajemy rodzinę bogatą i szczęśliwą, na końcu—ludzi, walczących o życie ciężką pracą, jednych bez złudzeń, innych—zhańbionych. Na początku „Siostr Malinowskich“ widzimy trzy panny, dorastające jedna po drugiej, miłe i wdzięczne, na końcu jedna po drugiej zmienia się w ordynarną klempe. Na początku „Jesieni“ poznajemy śpiewaczkę u szczytu sławy, na końcu istotę okrutnie steraną i sponiewieraną przez życie, zdecydowaną zostać nawet szansonistką, byle trochę pieniędzy zdobyć na ochronę lat starych. Od początku świetnego, do końca smutnego, Konar prowadzi bohaterów swoich po stopniach na dół, odzierając ich powoli ze szlachetnych marzeń i złudzeń i odkrywając przed nimi twarz rzeczywistości, coraz to ohydniejszą. Robi on to dobrze, zajmująco, zdradza się jednak z jednostronnością swoich artystycznych środków. Konar jest pisarzem młodym, i spodziewamy się od niego całego jeszcze szeregu powieści,—nie sposób przecie, aby wszystkie napisał według jednego schematu. Powi-

nien zrobić wysiłek, aby się od niego uwolnić, tembardziej, że dostatecznie już zmęźniał i że mu przybyło sił i środków dużo.

W tej notatce sprawozdawczej nie sposób położyć nacisku na wszystkie dobre sceny, ustępy i figury, bo jest ich istotnie na to za wiele. Stosunek Klary, którą pod wieczór życia kobiety opłatała prawdziwa i głęboka namiętność do Dudusia, rozwija się w drugiej części powieści bardzo zajmująco, osiągając w końcu prawdziwie dramatyczne napięcie. Bardzo interesujące i ciekawe są dwie wycieczki Klary do rodzinnego „pocziwego, głupiego“ miasta Q; nie mniej ciekawy i zabawny występ Klary w dziesięciorzędnej trupie włoskiej w Weronie. Wszystkie te zalety i szczegóły czynią z dzieła Konara jedną z lepszych powieści, jakie przyniósł nam plon literacki zeszłorocznego żniwa.

#### WINCENTY KOSIAKIEWICZ.

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

W numerze grudniowym zdawaliśmy sprawę ze studyum p Kowalskiego „O stanie zdrowia studentów uniwersytetu warszawskiego“. — Zaznaczaliśmy wówczas, że nie chodzi nam o przytoczenie „ciekawego“ faktu, lecz o zwrócenie uwagi ogółu na zjawisko, że wszecmiar zasługujące na jego czynną interwencyę. — Jak się interwencya owa objawi, nie przesądzamy na razie. W danych wszakże kierunkach powinna się stanowczo rozwinąć. Po pierwsze: ogół obowiązanym jest więcej dbać o materyalne położenie młodzieży swojej. To znaczy, że nie powinno się „grać na niżkę“ cen korrepetycyi; nie powinno się zbyt suto zarabiać na studenckich lokalach; powinno się natomiast częściej i chętniej przesyłać grosz na niezamożnych studentów i uczniów. Ci zaś, od których zależy fundowanie stypendyów i zapomóg stałych, czy to na własną rękę, czy przez wpływ na instytucye i korporacye, powinni pamiętać o tem, że każde takie stypendyum to może jakaś młoda egzystencya ocalona od charłactwa, przedwczesnej starości, zagłodzenia się.

Młodzież zaś sama ma obowiązek czuwać nad sobą wedle możności, ażeby nie poddawać się biernej apatyi, towarzyszącej, niestety, zbyt często niedostatecznemu odżywianiu się. Oczywiście, że pierwszą

w tej sprawie rzeczą jest nie morał, ale befszytk. Jednak niech młodzież nie zaniedbuje ćwiczeń gimnastycznych, przechadzek, higienicznego utrzymywania ciała i t. d. *Caeteris paribus*, to nawet przy nie pełnym żołądku wzmacnia energię i odporność organizmu.

Powróciliśmy i powracać będziemy do tych spraw przy każdej sposobności. Rozwój fizyczny musi dotrzymywać kroku rozwojowi duchowemu. Zwietrzałą jest mądrość przysłowia „w zdrowym ciele zdrowa dusza“, jeśli myślimy o jednostkach; ale gdy mowa o całym ogóle, przysłowie to jest wprost prawdą historyczną, o której zapominać nie wolno.

Rozumiemy też wszyscy znaczenie sporu, który przed kilku laty toczyła cała prasa warszawska w kwestyi zwyrodnienia. Dziś, dzięki sumiennej pracy p. Adama Zakrzewskiego, p. t. „Ludność miasta Warszawy — Przyczynek do charakterystyki fizycznej“, pada nieco światła na owo ponure zagadnienie. W roku 1886 centralny komitet statystyczny ogłosił był dane, dotyczące wzrostu młodzieży popisowej w Królestwie. Dane te były jednym z poważnych argumentów pesymistycznych poglądów na rzekome zwyrodnienie Polaków. Oto wzrost średni młodzieży popisowej warszawskiej, obliczony na podstawie cyfr komitetu statystycznego, okazał się równym 161.9 cm. — W roku 1883 według tegoż komitetu przeciętna wynosiła tylko 160.7 cm! To też komitet, układając porównawczą tablicę wzrostu różnych ludów europejskich. Polaków umieścił na przedostatnim, 36-em miejscu, 37 zaś zajęli... Lapończycy. Nietylko nasza, ale i europejska prasa pochwyciła ten „fakt“ i starała się zeń wyprowadzić najniepomysłniejsze dla nas horoskopy.

Obecnie pan Adam Zakrzewski w bardzo sumiennie i szczegółowo przeprowadzonej pracy wykazał źródło błędów komitetu i sprostował owe beznadziejne cyfry na naszą korzyść. Badania pana Z. są bardzo ciekawe. Tu możemy tylko podać ich wyniki, pomijając metodę, szczegóły, tablice graficzne i mapy, które w broszurze p. Z. pozwalają czytelnikowi samemu niejako zdać sobie sprawę ze słuszności wywodów autora i skontrolować go na każdym punkcie.

P. Zakrzewski zbadał młodzież popisową Warszawy z 1888 t. j. młodzież urodzoną w 1867. Osób podlegających ścisłemu badaniu było

Polaków . . . . .	739
Żydów . . . . .	693
Rossyan . . . . .	14
Ewangielików . . . . .	36
Razem	<u>1,482</u>

Jest to już cyfra poważna, słusznie może być uważana za miarodajną.

Badanie doprowadziło p. Z. do zupełnego zaprzeczenia wyżej wzmiankowanego „faktu“ naszego sąsiedowania z Lapończykami: natomiast zaś wyświetliło poważne różnice, zachodzące pomiędzy wzrostem Polaków i żydów, zamożnych i niezamożnych mieszkańców miasta.

Oto są wnioski autora:

I. Wzrost średni *Polaków* w Warszawie w 21 r. życia wynosi 165.5 cm.;

Wzrost średni ludności dorosłej—168.8 cm.

II. Wzrost średni *żydów* w Warszawie w 21 r.—162.3 cm.

III. Wzrost średni całej młodzieży popisowej warszawskiej bez różnicy narodowości—164 cm.

IV. Wśród *Polaków* przeważa *ponad-średni* (291 na tysiąc) i *wysoki* (256 na tysiąc); w cyfrach okrągłych wypada: jedna czwarta wysokich, jedna trzecia ponad-średniego wzrostu, jedna czwarta pod-średnich i *jedna szóstą niskich*.

V. Wśród żydów jest *jedna trzecia* niskich, jedna trzecia pod-średnich i jedna dziesiąta wysokiego wzrostu. Przeważnie więc wzrost podśredni i niski (335% i 336%).

VI. Porównanie obu kategorii wykazuje, że wśród Polaków jest dwa razy mniej osób niskiego wzrostu (181 Polacy — 335 żydzi), przeszło zaś dwa razy więcej wysokiego (255 Polacy—105 żydzi). Z dwóch kategorii środkowych u Polaków liczniejszą jest *wyższa*, u żydów zaś o wiele liczniejsza *niższa*. —Wskutek tego przy obrachunku dla ogółu popisowych przeciętna wzrasta, *obniża się* przez wprowadzenie do tegoż rachunku niskich cyfr wzrostu żydowskiego.

VII. Wzrost młodzieży popisowej polskiej w różnych częściach Warszawy pozostaje w pewnym związku z zamożnością i warunkami zdrowotnymi tych części: wzrost najwyższy wykazuje cyrkul nowo-świecki, najniższy zaś—powązkowski.

VIII. Z powodu niedostatecznego wzrostu zwolniono od służby wojskowej Polaków 1.2%, żydów zaś 3.4%.

IX. Niezdatnych bezwzględnie do służby wojskowej z powodu chorób lub wad organicznych było Polaków 4.4% żydów—7%.

Tak brzmią główne wnioski pracy p. Z. Przejrzyste ich sformułowanie i wymowa cyfr nie potrzebuje wcale zbyt obszernych komentarzy. Ciekawą jest natomiast tablica owych 37-iu pomiarów porównawczych wzrostu Europejczyków z poprawkami pana Zakrzewskiego <sup>1)</sup>.

P. Zakrzewski przytacza w broszurze swojej ciekawe pomiary d-ra Olechnowicza dla gubernii Lubelskiej, zgodzające się z wywodami autora. Przytacza również pomiary d-ra Jaszczyńskiego, dotyczące uczniów gimnazyów warszawskich.

Dla porównania wzięte zostały gimnazyum IV (zamożniejsze) i progimnazyum I (uboższe). Otóż wzrost uczniów gimnazyum IV należy do wysokich i w długim szeregu pomiarów różnych narodowości zajmuje miejsce naczelne, a mianowicie drugie, ustępując tylko młodzieży szkolnej angielskiej. Pod względem ciężaru ciała uczniowie IV

1) 1.—1710 mm. Szkoci.	21.—1635 „ Hiszpanie.
2.—1708 „ Anglicy.	22.—1642 „ Polacy w Galicyi.
3.—1704 „ Litwini i Łotysze.	23.—1642 „ Estowie.
4.—1701 „ Szwedzi.	24.—1642 „ przeciętna ogólna młodzieży popisowej rossyjskiej.
5.—1697 „ Irlandczycy.	
6.—1688 „ Polacy w Warszawie (ludność dorosła).	25.—1640 „ przeciętna ogólna młodzieży popisowej warszawskiej.
7.—1686 „ Belgowie	26.—1640 „ Rusini w Galicyi.
8.—1685 „ Duńczycy.	27.—1634 „ Włosi (Pagliani).
9.—1684 „ Niemcy w Badenii i w Wurtembergu.	28.—1630 „ Francuzi potuduiowi.
10.—1680 „ Niemcy północni.	29.—1625 „ Chińczycy.
11.—1676 „ Polacy gubernii Lubelskiej.	30.—1623 „ Żydzi w Warszawie.
12.—1670 „ Niemcy austriaccy.	31.—1623 „ Żydzi w Galicyi.
13.—1670 „ Kurladczycy (młodzież popisowa w Rosyi).	32.—1620 „ Włosi.
14.—1661 „ Flamandczycy.	33.—1619 „ Węgrzy.
15.—1660 „ Czesi.	34.—1619? „ młodzież popisowa warszawska według danych komitetu statystycznego.
16.—1655 „ Polacy (młodzież 21 r.).	35.—1617 „ Finnowie.
17.—1654 „ Rusini gubernii Kijowskiej.	36.—1607 „ młodzież popisowa warszawska z r. 1883 według danych komitetu statystycznego.
18.—1650 „ Francuzi.	
19.—1647 „ Rosyjanie gubernii Pskowskiej (najwyższa młodzież popisowa rossyjska).	37.—1536 „ Lapończycy.
20.—1646 „ Słowacy.	



zajmują również drugie miejsce, ustępując w tym Amerykanom. Uczniowie progimnazjum I-go, na ogół ubożsi, zajmują już siódme miejsce. We wspomnianym szeregu po Anglikach, Polakach, na miejscu 6, 8, 13, 14-em znajdują się wychowawcy czterech szkół wojskowych rosyjskich; uczniowie radomscy zajmują miejsce 9 (według d-ra Suligowskiego), zaś ostatnie 22) zajmują robotnicy fabryczni rosyjscy, 23) Włosi, 24) wychowawcy zakładów śpiewackich w Petersburgu.

Zachodzi więc pytanie: na jakiej zasadzie komitet, a za nim nasza prasa przyszła do tak odmiennych, a niekorzystnych dla nas, wniosków, parę lat temu?— Broszura p. Zakrzewskiego tłumaczy to nam w zupełności. Oto rachmistrze komitetu, dla okrągłości zapewne, pominęli *ułamki calów*, opuszczając je przy wyprowadzaniu przeciętnej tylko *całemi wielkościami*. Ułamki te w wielu wypadkach przenosiły cyfrę 4-cm., t. j. np. całą różnicę wzrostu średniego Anglików i Belgów, lub Niemców i Chińczyków! Rzecz prosta, że w pomiarach tak subtelnych, jak pomiary wzrostu ludzkiego, *ułamki* takie odgrywają rolę po prostu decydującą. Tak np. różnica pomiędzy *najwyższym a najniższym* ludem europejskim wynosi tylko 8.1 cm. (Szkoci 170.0 — Włosi 161.9). „Dziwić się należy, pisze p. Zakrzewski, że uczeni, którzy obliczenia swoje na tych danych opierali (prof. Anuczyn z Moskwy), żadnej nie zwrócili uwagi na fakt, który tu zaznaczamy.“ Dziwimy się wraz z p. Zakrzewskim.

Koniec końcem przyczynek p. Zakrzewskiego, nie rozstrzygając bezwątpienia tej żywotnej dla nas kwestyi fizycznego stanu naszej ludności, oczyszcza ją przynajmniej z błędów, utrudniając i tak trudne orientowanie się w sprawie. Widzimy, że tymczasem trzymamy się nieźle. Trzeba tylko pamiętać o tem, żeby bodaj owi uczniowie IV-go gimnazjum i I progimnazjum nie spotykali w dalszem życiu zbyt niekorzystnych dla dalszego rozwoju warunków. O tem stanowczo możemy pamiętać *czynnie*.

W ciągu ostatnich paru tygodni prasa warszawska zajmowała się dość żywo osobą i dziełem malarza, Maksymiliana Cerchy. W przysłowie niemal weszło spóźnienie się opinii publicznej z uzna-

waniem zasług ludzkich. Tym razem jednak uznanie nie spóźniło się, choć przyszło dopiero po czterdziestu przeszło latach benedyktyńskiej pracy, dla jednego ukochanego celu. Całe jedno długie i pełne miłości istnienie ludzkie splotło się nierozzerwalnymi splotami z dziełem doniosłości powszechnej. I prawdziwie, prasa w tym razie słusznie zrobiła, nie spiesząc się z wyrazem swego hołdu, gdyż owoc pracy dojrzał i stał się dla społeczeństwa nabytkiem wielkiej wartości, właśnie dzięki owej półwiekowej pracy.

Maksymilian Cercha, niepospolicie zdolny, jako rysownik, uczeń krakowskiej szkoły sztuk pięknych z czasów Stattlera, przez czterdzieści przeszło lat zmuszony był uczyć rysunków w szkołach krakowskich, nie mając środków na wyjazd na własne studia za granicę. Dla wielu ludzi taka karyera była-by grobem wszelkich ambicji i sposobnością do jałowej, rozgoryczonej egzystencji. Cerchę uchroniło od tego gorące umiłowanie sztuki. Więc naprzód z oddaniem się udzielał lekcyi, często bezpłatnych, zdolniejszym uczniom. Uczniami jego byli: Kozakiewicz, Krudowski, Kochanowski, Mehoffer i inni. Nadewszystko jednak umiłował zabytki artystyczne starego Krakowa. Zwiedzał wszystkie kościoły krakowskie i galicyjskie, zamki i stare ratusze i kopiował rzeczy, które uważał za godne przechowania dla przyszłości. W ten sposób w tekach Cerchy nagromadzały się rysunki epitafów, grabsztynów, odrzwi, tryptyków, drewnianych, marmurowych, kamiennych i brązowych ornamentów ze wszystkich epok.

Mijały lata—pożary lub ręka ludzka niszczyły nieraz najcenniejsze zabytki przeszłości i często w 30 lat po dokonaniu przez Cerchę rysunku, pokazywała się cała jego wartość, gdy rzecz sama uległa bezpowrotnemu zniszczeniu.

Tymczasem olbrzymie teki Cerchy zapełniały się powoli cennym materiałem dokumentów do historii sztuki w Polsce.

Dzieje tej półwiekowej pracy są o tyleż bogate w pouczające szczegóły, o ile owoc jej ważny dla historyka. Nieraz Cercha musiał dla skompletowania całości jakiegoś pomnika odbywać całe wędrówki i zarządzać zmudne poszukiwania. Czasem np. stare grobowce znajdował wmurowane, jako stopnie schodów kościelnych. W Mogile pod Krakowem w kościele OO. Cystersów znalazł np. trupiarnię, zbudowaną z porąbanych płyt pomnikowych! I z kawałków dopiero z wielkim mozołem odtworzył ciekawy grabsztyn z w. XVII. Gdzieindziej znajdował płyty z grobowców, wprawione jako mensy na ołtarzach.

Pomniki z w. XVI, XVII. Zająca, Borkowej, Kobyleńskiego, drewniany pomnik Leszka Ozanego i wiele innych, na szczęście po skopiowaniu już przez artystę, uległy zniszczeniu, lub poprostu zostały

wyrzucane z kościołów. Kiedy w r. 1850 pożar zniszczył kościół dominikanów, Cercha, nie czekając, aż zgłiszczą przestaną się dymić, poszedł tam w nadziei, że uratuje jakiś motyw dla sztuki, gdyż z pod spalonych ławek i ołtarzy mógł się odsłonić jakiś ciekawy grobowiec w ścianach lub posadzce. Właśnie zajęty był kopiowaniem jednego z takich motywów, kiedy resztki sklepienia runęły, na szczęście, obrzucając go tylko kurzem i węglem.

Niepodobna tu w przybliżeniu nawet dać czytelnikowi poznać bogactw, nagromadzonych takim półwiekowym wysiłkiem. Zbiory Cerchy są bardzo obfite i różnostronne. Znajdujemy w tych tekach przyczynki do etnografii, jak stroje i typy górali tatrzańskich z przed lat 40; dalej—przyczynki do budownictwa krajowego, jak podobizny starych drewnianych kościołów i ratuszów; rysunki zamków, kaplic i t. p. Najkompletniejszym jednak, wprost pomnikowym, jest zbiór pomników i grobowców, zawierający około 500 rysunków z Krakowa i okolic. Materiały zaś i fragmenty do tego zbioru zajmują około 2,000 tablic! Znajdujemy tu ciekawe zabytki wszystkich stylów od XIV do XVIII wieku—gotyk, renesans, barok, rokoko—wszystko, co było godne pamięci potomnych, zgromadził artysta w tych szkicach. Grobowce Kmity, Konarskiego, Wapowskiego, Borka, Gorczyckiego, Gamrata, Zebrzydowskiego, Tomickiego, Kalimacha, Ocieskiego, Zimorowicza, ks. Zbaraskich, Spytków i setki innych mają wartość bądź dzieła sztuki, bądź dokumentu historycznego, często łącząc obie wartości. Jeden z tych zabytków, jak np. Odrzwia kaplicy Wazów, są dziełem znakomitego artysty (Michała Weinholdta), grobowiec Stefana Batorego jest dziełem dłota Gucegc; grobowiec Gamrata—dziełem Jana Padwana; o grobowcu Kalimacha istnieje domniemanie, że wykonany został według wzorów Wita Stwosza i t. p. Dziełem Wita Stwosza artysta poświęcił rzeczywiście najwięcej stosunkowo pracy, odtwarzając w wielu tablicach precudowne szczegóły rzeźby, których dla różnych warunków (brak światła i miejsca) nie sposób nawet w oryginale dokładnie ocenić. Niektóre z tych dzieł są już wprost przyczynkiem do obyczajów zamierzchłej przeszłości. Do takich np. należą naiwne teksty na płytach, które artysta wiernie skopiował; owe tablice „grzeszników” bezimiennych, powtarzane w wielu naraz kościołach z jedno-brzmiącym wezwaniem do modłów za duszę zmarłego; taki wreszcie grabsztyn z figurą kobiety w ubiorze mniszki, w którym w XVI wieku nieraz kazano się grzebać—ów grabsztyn, który lokowano w posadzce, ażeby stopy przechodniów deptały niejako po pamięci zmarłego i po śmierci pokutującego w ten sposób za grzechy żywota. Przytaczamy te wszystkie szczegóły nie dla czczej ciekawości czytelnika, lecz dlatego, że bodaj słaba ich znajomość konieczną jest dla zrozumienia całej

„kulturalnej“ doniosłości dzieła, umiłowanego przez artystę. Te szczegóły nam profanom otwierają niejako oczy na głębokie perspektywy, w które te tablice i napisy ustawiają się dla umiających patrzeć!

I jeszcze jeden szczegół—bardzo wymowny. Kiedy w Krakowie sprzedano na licytacji kościołsw. Michała, płyty grobowe zakupiono na schody do kościoła na Piasku.

Wielki miłośnik zabytków, senator Horszowski, który opowiadał ten szczegół, nadszedł właśnie w chwili, gdy robotnicy poczynali już ciosać napisy z płyt. Na jednej z nich, powstrzymując robotnika, Horszowski wyczytał te słowa:

„Uczcie dzieci szanować pamięć ojców waszych. .”

Otóż Cercha powstrzymał tak rękę czasu i pracą całego życia uczcił tę pamięć ojców, przekazując ją następnym pokoleniom. W zabytkach, zgromadzonych przez artystę, znajdujemy wielowiekowy wzór „przyswajania motywów sztuki europejskiej, przeszczepiania jej na grunt rodzinny. Nieoszacowane to źródło dla rodzimej ornamentyki, dla historii sztuki w Polsce, dla historii kultury.

Sama zaś praca artysty i obecnie urzeczywistniająca się myśl wydania jej—jest znów przyczynkiem do władzy, jaką ta stara kultura ma dziś i mieć będzie nad nami. Czujemy, rozumiemy, że nie wolno nam podeptać tych dokumentów przeszłości. Dla badacza, artysty, budowniczego, historyka, archeologa mają one wartość całkiem realną. Dla ogółu zaś mają krzepiące znaczenie dokumentu prastarej kultury, którego nie zmarnuje, lecz owszem, w dalszym ciągu przekaże wiekom kultura doby dzisiejszej.

Na czele ludzi, zajmujących się wydaniem pracy Cerchy, stanął Henryk Sienkiewicz. Stronę techniczną wydawnictwa szczegółowo obmyśla syn artysty, również artysta malarz, p. Stanisław Cercha.—Akademia pragnie przyjąć wydawnictwo pod swą opiekę, ogół dostarczy mu poparcia materialnego. Wydawnictwo rozciągnie się na lat trzy i obejmie trzy tomy światłodruków zwykłych i kolorowych, akwafort, cynkotypii i litografii. Tekst opracują profesowie Feliks Kopera i Maryan Sokołowski.

Jak widzimy, dzieło dziś jest na dobrej drodze: Oto olbrzymia, rozumna i pełna miłości praca całego życia artysty, oto ludzie i instytucje, którzy nie zawiodą, stając na czele ostatniego aktu tej pracy—wydania jej. Teraz więc wszystko zależy tylko od dobrej woli ogółu, od zrozumienia jego, że powołanym jest i powinien przyjąć i przyszłości przekazać spuściznę wieków—dokument własnej kultury.

Wstąpiliśmy najwidoczniej w okres konkursów. Konkursy sypią się dokoła tak obficie, jak owe gwiazdy spadające w noc październikowe, kiedy ziemia przerywa ich sferę niebieską. Mieliśmy konkurs dramatyczny „Kuryera“; mamy obecnie konkurs dramatyczny Paderewskiego. Odbył się konkurs na Kościół w Łodzi, na rzeźby do Gmachu Towarzystwa zachęty, konkurs im. Godebskiego, konkurs na wzory do perkalików. Rozstrzygnięto konkurs na winetę dla „Tygodnika“ i wreszcie mamy dwa konkursy literackie, które przed kilku dniami przyniósł nowy rok.

Jesteśmy prawie zaskoczeni tą niebywałą obfitością konkursów, i na ucztach uroczystych, na zebraniach towarzyskich, w łamach pism prowadzimy spory o istotę, wartość i warunki konkursów wogóle i gwiazd konkursowych w szczególności.

Konkurs ma racyę bytu — konkurs nie ma racyi bytu; konkurs wyprowadza nowe talenta, stwarza wśród ogółu pewną ilość produkcyjnej pracy — konkurs zniechęca talenty, konkurs jest rachubą gospodarską; konkurs marnuje ogromną ilość energii społecznej, która-by mogła być skierowaną użytecznie i t. d.

Czy jest koniec końcem jakiś sposób zorientowania się wśród tych sprzeczności „konkursowych“? Czy ogół ma żywić złudną nadzieję, że sędziowie sędziów konkursowych pozwolą mu wreszcie wyrobić sobie jasny i nieuprzedzony sąd o zjawisku?

Nam się zdaje, że sąd taki wyrobić można — należy tylko wprowadzić nieco ładu w dyskusyę.

Przedewszystkiem rzadko kto się nie zgadza z tem, że w pewnych warunkach konkurs jest koniecznością. Kiedy np. przedsiębiorstwo lub instytucya poszukuje planu na budynek, wzoru na ornament i t. p., w określonym czasie — konkurs jest jedyną możliwą drogą. Konkurs jest wówczas poprostu jedną z form umowy pomiędzy poszukującymi, a zaofiarowującymi produkt. Niema tu mowy o „wyprowadzaniu

młodych sił,“ tylko po prostu chodzi o rzecz potrzebną dla danej instytucji. Do wytworców zaś należy określić, czy im czas i siły pozwalają stanąć do współzawodnictwa i zaryzykować pewną ilość energii. Nie można winić „konkursu“ za to, że ktoś nie dobrze zdaje sobie sprawę z własnych sił, lub nie umie się liczyć z warunkami z góry zakreślonymi. Czasu zaś poświęconego pracy nie można uważać za stracony, choćby dlatego, że w większości wypadków „odrzućni“ później umieją jakoś ulokować swoją pracę, o ile ma pewną wartość.

Nie trzeba tylko z góry wytwarzać sobie fałszywego pojęcia o konkursie, jako o jakimś cudownym środku na „młode talenty“, lecz trzeba go brać jako jedną ze sposobności do pracy dla tych, którzy jej się w zasadzie podjąć mogą. Jest to po prostu praca lepiej wynagradzana i zaszczytniejsza w opinii ogółu, niż praca na zamówienie—i nic więcej. Ma zaś ogromną „dodatkową“ zaletę, że otwiera rzeczywistość szranki tym, którzy, nie mając stosunków, a nawet czasem rutyny, przez konkurs jedynie mogą dać się poznać pracodawcom lub ogółowi.

Ale istnieje inna jeszcze kategoria konkursów—są to konkursy, stwarzane już świadomie pod hasłem popierania sztuki lub literatury, jako takiej. Jakiś miłośnik literatury ofiaruje dajmy na to pewną sumę jakiejś redakcyi na nagrodę „najlepszego“ utworu literackiego, muzycznego, malarskiego i t. d.—Oczywiście, że takie konkursy interesują z zasady już szersze koła wytworców i interesują poniekąd ogół cały. Ogół ma prawo wymagać, ażeby konkurs, stworzony gwoli poparciu sztuki lub literatury, w istocie wpływał na nie dodatnio, lub przynajmniej nie wpływał ujemnie.

Tu mimochodem zaznaczymy, że najlepszą może formą zachęty sztuk i literatury przez „premiowanie“ jest forma, na szeroką skalę praktykowana za granicą. Oto np. Akademia francuska rozporządza kilkudziesięciu stałymi nagrodami i uposażeniami, które co rok, co dwa lub pięć lat, stosownie do warunków zapisu, wyznacza za „najlepsze“ według siebie utwory. Można nie uznawać akademii samej, lecz dla szerokiego ogółu, który ją uznaje, taka forma „premiowania“ stanowczo daje najwięcej rękojmi słuszności i kompetencyi sądu. Instytucya stała, złożona z wyborowych w zasadzie sił fachowych, stworzona nie ad hoc, lecz dla szerszych celów—udziela zasiłków i zachęty najlepszym pracom społeczeństwa, regulując w ten sposób choć w części wyzysk rynku wydawniczego i jednostronność smaku publiczności. Jest to słuszne i mądre—chodzi znów tylko o to, żeby Akademię składali ludzie istotnie powołani. Przyznajmy, że jednak taka instytucya

w zasadzie daje więcej gwarancyi, niż sąd, sformowany ad hoc przez wydawcę. Gdyby wreszcie (co się przytrafia) Akademia sama wpadła w jednostronność, wówczas „jury“ niezależne stworzyć już łatwiej, i ma ono znówu określone zadanie: korygowanie akademii, zazwyczaj promowanie właśnie nowych sił i prądów w sztuce, nie zaś owo ogólne „popieranie“ sztuki i literatury. W takim właśnie celu Goncourt zakładał swoją kontr-akademię, rekrutowaną z nowatorów literackich. — Gdybyśmy więc seryo chcieli obmyślić sposób „popierania“ sztuk i literatury, stworzenie jakiegś przeciwwagi samowoli wydawców, jakiegoś dodatku do nędznych honor ryów artystów, to-byśmy mieli nawet gotowy wzór do naśladowania. — Koniec końcem mamy Akademię, Kasę Mianowskiego, stowarzyszenia literackie, koła i towarzystwa artystyczne — można-by chyba z tego coś zrobić? Trzeba tylko pamiętać, że długa lista nagród, wywieszana co rok w pałacu Mazarin'a, powstała w ciągu wielu lat z nieustannej ofiarności ogółu francuskiego, z testamentów, zapisów, składek ludzi dobrej woli, umiejących pamiętać i troskać się rozumnie o losy tych, którzy dostarczają ogółowi nauki, rozrywki i rozkoszy najwyższych, choć sami często brną w nędzy z petlą na szyi.

Możebyśmy skierowali swoją energię krytyczną także w tę stronę — mniej-by wówczas było sądenia sądów konkursowych. Te zaś, które-by powstały wówczas, miały-by bardziej określony charakter — charakter kontr-akademickiej roboty nowych prądów w życiu i sztuce. Nam się zdaje, że obfitość konkursów o charakterze ogólnie popierającym jest oznaką potrzeby takiej właśnie organizacyi stałej, odczuwanej coraz wyraźniej, i przez ogół, i przez samych pracowników sztuki.

Tymczasem jednak wróćmy do konkursów. Oczywiście pierwszym warunkiem jest w konkursie skład sądu, drugim zaś — temat i warunki konkursu. W kwestyi składu sądów konkursowych nie mamy zbyt dużo do powiedzenia. Jedno tylko: że nienależy nigdy od ludzi wymagać rzeczy nadludzkich. Otóż nadludzka i nieziszczalną mrzonką jest idealna „bezsronność“ sądu. Sąd nie może być i nie będzie nigdy wyrazem „sztuki wogóle“, lecz będzie zawsze tylko wyrazem „swej sztuki“, swoich poglądów na sztukę. Sąd zawsze musi reprezentować pewien kierunek w sztuce i w życiu, i im świadomiej go reprezentuje, tem lepiej. Arcydzieła Szekspira lub Mickiewicza powstają rzadko i wszelki najjednostronniejszy sąd potrafi jednak odróżnić arcydzieło od miernot, choćby to arcydzieło przynosiło pierwiastki sprzeczne z jego poglądami. Sąd ma w zasadzie sądzić rzeczy średnie, rzeczy powszednie, że tak powiem. I niech je sądzi

„uczciwie i szczerze“, według „swoich“ upodobań i poglądów, a zadanie jego będzie spełnione. Inaczej, sadząc się na jakąś szczególną wszechstronność, sąd konkursowy wyda wyrok poroniony, na którym zyskają coś tylko mniej lub więcej bezbarwne miernoty. Dla tego za najważniejsze, za jedynie nawet właściwe uważamy te sądy konkursowe, których skład jest jednolity i członkowie mogą się porozumieć bez wzajemnych ustępstw zasadniczych, bez faryzeuszowskiego „uznawania w zasadzie“ podczas rozpraw pełnych kurtuazji, rzeczy, które w życiu wzajemnie w sobie wyśmiewają, lub których nawet w sobie nienawidzą. Tyle co do jury. Pozwolimy sobie nie rozwodzić się nad uczciwością, kształceniem i t. p. sądów konkursowych.

Co do tematu i warunków konkursu — sztuka polega na tem, żeby, wedle możności, nie ograniczały swobodnej twórczości współubiegających się. Są wszakże tacy, którzy zarzucają konkursom nawet ich... terminowość.—A jeżeli ja nie mogę zrobić na ten termin? — woła z oburzeniem taki oponent z zasady. I nie podejrzewa nawet, że jest na to zupełnie prosta odpowiedź:—To pan nie rób. Są to już jednak pretensje po prostu śmieszne. Ostatecznie wszyscy prawie pracujemy na jakiś termin, prócz rzadkich szczęśliwców, którzy pracują dla rozrywki. Z tych jednak podobno nie składa się ogół artystów i literatów. W większości wypadków, warunki konkursowe nie przedstawiają zbyt wielkiego skrępowania. Najczęściej ulegają ograniczeniu wiek autorów i objętość utworów. Wprowadzenie ograniczenia wieku uważamy za rzecz zupełnie obojętną, granice w takich razach są zawsze jeszcze dość obszerne. Chodzi tu najczęściej o to, czy mają brać udział w konkursie wszyscy, czy młodsi tylko? Nie widzimy powodu, dlaczego-by takie szranki w odpowiednich warunkach nie miały być zakreślane! Odpowiadają one *na ogół* dwóm, wiecznie ścierającym się i uzupełniającym, prądom życia i sztuki. Ograniczenie objętości utworu jest również koniecznością, którą łatwo zrozumieć. Myślę, że na ogół konkurs zawsze mniej krępuje twórczość, niż powszechna i musowa praktyka pisywania z numeru na numer, na dany temat, w danym piśmie i w danej rubryce, lub wreszcie dla danego wydawcy...

Prawda, że czasem konkursy bywają układane na wzór szarady, czy zadania konikowego do nagrody. Do takich np. należy konkurs „Wędrowca“ świeżo ogłoszony na historję Polski... w tysiącu wyrazów. Nagrodę weźmie zapewne metrampaż, bo „historja polska w tysiącu wyrazów“ należy raczej do zakresu sztuk „lamanych“, nie zaś do literatury. „Prawda“ twierdzi, że „Wędrowiec“ chce przygotować w ten sposób... telegram do mieszkańców Marsa.



Fizyognomia konkursu w takim tylko razie przestaje być banalną, jeśli w nim zasada jednolitości *jury*, temat, warunki, nagroda układają się w całość możliwie harmonijną.

Wtedy konkurs, jak wszystkie planowe prace społeczeństwa, jest czynnikiem i twórczym, i dodatnim, nie zaś wynikiem mody. I każda planowa praca, a więc i konkurs, jest chybioną, gdy plan jej pogmatwany i niepogłębiony myślą korzyści publicznej.

\*

\*

\*

Najgłośniejszym faktem w życiu artystycznym Warszawy, był przyjazd do naszego miasta Ignacego Paderewskiego i trzy jego w sali ratuszowej koncerty.

O tryumfach znakomitego pianisty za granicą dochodziły do Warszawy przez kilkanaście lat wieści, które podniecały z roku na rok ciekawość i zainteresowanie się ogółu świetnym rozwojem rodzimego talentu.

Talent ten zakiełkował najprzód na swojskim gruncie w kierunku kompozytorskim, i objawił się niepospolitą, twórczą oryginalnością; nie mógł jednak stanowić podstawy materialnej artystycznego zawodu pianisty. Poszedł więc Paderewski za radą Żeleńskiego, i zabrał się z żelazną wytrwałością do wykształcenia w sobie wykonawcy. Leszetycki był jego na tej drodze przewodnikiem; reszty dokonała praca, o której nikt dziś nie może mieć pojęcia, tak dalece znikły wszelkie jej ślady w duchowej stronie talentu artysty.

Najznakomitsi wykonawcy zaczynają zwykle od wirtuozostwa, a kończą na kompozycji. Z Paderewskim stało się odwrotnie, i może temu zawdzięcza artysta idealny charakter swojej interpretacji. Zgłębiwszy we własnej myśli, we własnym czuciu tajemnice twórczości, artysta doszukiwał się ich, jako wykonawca, w dziełach mistrzów, których natchnienie tłómaczył, dzięki czemu, przeniknąwszy przez powierzchowną szatę stylową każdego z nich, aż do duszy samej, nadaje tłómaczeniu swemu wszelkie cechy kreacji, oddziałującej na słuchaczy wielką, z samej istoty muzyki wydobytą, poezją.

Na kompozytora wpłynął znowu wykonawca, wnosząc do twórczości czyste pierwiastki, zdobyte w obcowaniu z genialnymi duchami; wpłynął też i człowiek, któremu w sercu póty grały echa rodzinnej

ziemi, aż się w symfonicznym zestroiły obrazie, a potem wyśpiewały w duszy artysty cały dramat liryczny. „Fantazyja polska“ i niedawno wykończona opera,—to w muzyce ślady serdecznej spójni artysty z ojczystym krajem; człowiek zaznaczył ją po obywatelsku, ofiarowawszy dochód ze wszystkich koncertów na cele publiczne. Jeden i drugi doznali w Warszawie gorącego i pełnego zapału przyjęcia, które skłoni zapewne Paderewskiego do częstszych odwiedzin.

## Wiadomości bibliograficzne.

— W poniedziałek, dnia 5 grudnia 1898 roku odbyło się posiedzenie Wydziału matematyczno - przyrodniczego Krakowskiej Akademii Umiejętności, na którym prof. J. Browicz zdał sprawę z pracy d-ra A. Rosnera, pod tytułem: „W sprawie etyologii złośliwego nowotworu nabłonków kosmkowych“, a prof. K. Kostanecki przedstawił rozprawę p. J. Nusbauma: „Badania porównawcze nad podjęzykiem, przegrodą językową i lyssą zwierząt ssących“.

Na posiedzeniu Wydziału filologicznego z dnia 12 grudnia 1898 roku mówił prof. Baudouin de Courtenay o „Stronie językowej oryginału polskiego listu Dymitra Samozwańca do papieża Klemensa VIII z dnia 24 kwietnia 1604 roku“. Tekst tego listu, wydane niedawno z podobizną przez O. Pierlinga, obudził żywe zainteresowanie w ko-

łach naukowych polskich i rossyjskich ze względu zwłaszcza na zaznaczoną w nim dobitnie gorliwość katolicką autora. Prelegent dowodzi, że pisarz listu Dymitra był pochodzenia wielkoruskiego, że przede wszystkim musiał się uczyć pisać po cerkiewno-rusku, a dopiero później poznał język i pisownię polską, przyczem nie była mu obcą piśmienność łacińska. Na temże posiedzeniu przedstawił prof. J. Tretiak treść swojej pracy: „O nieznanym rękopiśmiennym zabytku poezji polskiej z końca XVI lub początku XVII wieku, pod tytułem „Duma ukraińska“. Utwór ten znalazł autor w jednym z rękopisów Biblioteki książąt Czartoryskich w Krakowie. Jest to pieśń o życiu żołnierskiem, która swoją wartością poetycką przyjemnie się wyróżnia z pomiędzy mnóstwa wierszy, zalegających dawne *Silvae rerum*. Jakkolwiek w niektórych strofach swoich zbliża się ona tonem i wdziękiem swej prostoty do pieśni ludowych, to w całości jednak nie może być zaliczoną do poezji ludowej, bo nosi na sobie wyraźne ślady wpływu poezji kunsztownej.

— W czwartek, dnia 15 grudnia 1898 roku, odbyło się posiedzenie Wydziału historyczno-filozoficznego, na którym d-r Stanisław Estreicher odczytał część drugą swojej pracy o „Początkach prawa umownego, z szczególnem uwzględnieniem rozwoju prawa w Niemczech“.

— Dnia 24 listopada 1898 roku odbyło się posiedzenie Kommissyi historii sztuki pod przewodnictwem prof. d-ra Maryana Sokołowskiego. Przewodniczący przedstawił wiadomość, nadesłaną mu przez p. Kochlera z Poznania, o srebrnym „kurku“ strzeleckim miasta Kościana, nabytym przez niego i odfotografowanym. Jest to, jak się zdaje, najstarszy „kur“ ze znanych dotąd w Polsce, powstał przed rokiem 1456, a korona na jego głowie i inne szczegóły ornamentacyjne wskazywały-by na epokę Władysława Jagiełły, jako czas jego powstania.

Z kolei, prof. Władysław Łuszczkiewicz, w zakończeniu swej pracy o kościołach murowanych wiejskich w Polsce z epoki średniowiecznej, podał opis kilku jeszcze zabytków tego rodzaju architektury. Kościół św. Marcina w Starym Korczynie jest budową jednolitą z kamienia ciosowego i cegły, a wieży nie posiada; części ciosowe należą do XIV wieku, ceglane odpowiadają budowom Długosza; nie posiada on ścian szczytowych, ani sklepień, ale budowa cała przeprowadzona jest nadzwyczaj starannie. Kościół św. Wawrzyńca w Kościelnej Wsi pod Kaliszem, datą erekcyi roku 1205, i przynależnością do Benedyktynów, zapowiadał ważny zabytek romańskiej architektury; nie znalazło się tam jednak nic, coby mówiło o średniowieczu, cała budowa bowiem jest przerobioną i powiększoną w XVII wieku; za ledwie u facyaty jest

parę warstw granitowych kostek, świadczących o XIII wieku. Kościół św. Katarzyny w Odrowężu jest budową w ścianach romańską, ale tak przerobioną w w. XVI zewnątrz i wewnątrz, iż z pierwotnego stylu nic nie pozostało. Kościół w Dziekanowicach ma dawne maleńkie prezbiterium, dziś zapomniane, z okienkiem i narożnemi wspornikami z XIII wieku; nawa jego ciosowa służy obecnie za prezbiterium nowej nawy, dobudowanej w wieku XVII. Kościół św. Andrzeja w Jezowie, niegdyś należący do prepozytury lubińskich Benedyktynów, przedstawia ciekawy typ budowy, sklepionej w końcu wieku XV, ale dziełem sztuki wytwornej nie jest, raczej utworem murarza, niż architekta. — W końcu, przypomniał referent kościół w Starym Wiśniczu, który już dawniej objaśniał.

Prof. d-r Jerzy hr. Mycielski przedstawił szereg nowych szczegółów o Gryzeldzie z Batorych, hetmanowej Zamoyskiej, i o jej siedmiogrodzkim skarbcu. Zaczerpnął je z oryginalnych akt w Bibliotece Zamoyskich w Warszawie, a oświetlają one przedewszystkiem bladą i całkiem dotąd nieznaną postać trzeciej żony Zamoyskiego, a córki brata króla Stefana. Są to naprzód cztery jej własnoręczne listy, po łacinie do męża pisane, jeden z Knyszyna z roku 1584, trzy następne z Krzeszowa, z września roku 1589. Wszystkie są treści obojętnej, dziecinnie nieledwie stylizowane, mówią tylko o zdrowiu i czule męża o jego zdrowie pytają, a świadczą o wcale niskim poziomie umysłowym siedmiogrodzkiej księżniczki. Ciekawy jest w nich szczegół o malarzu nadwornym w Zamościu, który kopiował tam portret ojca Gryzeldy dla jej brata, ks. Siedmiogrodzkiego, Zygmunta. Dwa własnoręczne jej kwity na zboże z roku 1587, pisane poprawnie w języku polskim, świadczą, że się po polsku nauczyła. Wreszcie zajmującym jest również spis any po polsku registr rzeczy, jakie ze skarbcu w Zamościu hetmanowa brała w drogę do Lublina w roku 1588; są tam wyliczone klejnoty i bogate szaty, które uzupełniają spis skarbcu Gryzeldy, jaki po jej śmierci w roku 1590 Zamoyski do Siedmiogrodu odesłał.

W końcu p. Zygmunt Hendel przedstawił referat o planach i dokumentach, odnoszących się do historii architektury w Polsce za czasów saskich (1697 — 1764), a znajdujących się w państwowem tajnem archiwum w Dreźnie. Ogólny przegląd zachowanych tam kilkuset rysunków daje obraz ogromnie rozwiniętej działalności artystycznej na polu architektury w głównych centrach ówczesnego życia politycznego w Polsce. Głównie tu działającym architektem, szczególnie w Warszawie, jest generał-major von Pöppelmann, twórca drezdeńskiego „Zwingeru“. Najwięcej planów i rysunków dotyczy naturalnie stolicy kraju. Są to artystycznie wykonane widoki Warszawy i Pragi, plany

zamku królewskiego. gdzie od zdjęć, z dawnego zamku zrobionych, śledzić można wszelkie projekta i urzeczywistnione zmiany przez ciąg panowania Augusta II i Augusta III, szczegóły dekoracyi sal, festyny dworskie, illuminacye i fajerwerki w królewskim ogrodzie; dalej plany, dotyczące różnych pałaców i ich przebudowy, jak pałacu Kazimierzowskiego, a potem Błękitnego (dziś Zamoyskich), pałaców Potockich, Sanguszków, plany kościołów, arsenału, różnych koszar i prochowni. Grodno zajmuje drugie miejsce po Warszawie, a odnoszą się do niego plany nowego zamku królewskiego, sali senatorów, kaplicy, oraz fortyfikacyi. Na trzecim miejscu stoi Kraków, z planami dekoracyi katedry podczas koronacyi królewskiej, planami grobów królewskich, szczegółami kaplicy Zygmuntońskiej, oraz planami zamku, z oznaczeniem, gdzie kto mieszkał podczas koronacyi Augusta III. Dział osobny obejmują plany pałaców i pałacyków królewskich w Czerniakowie, Dombrowie, Willanowie, Piasecznie i t. d. Ciekawe są dalej plany budowli królewskich i państwowych z Boguszyc, Bolimowa, Gdańska, wreszcie, Samkowy i Słupny, a nadto cały plan drogi pocztowej z Drezna do Warszawy z planami wszystkich stacyi. Liczne korespondencye ministra Brühla z Pöppelmanem, baronem von Goltz i marszałkiem Bibersteinem, dotyczące architektury, uzupełniają te wszystkie plany, które dyrektor archiwum, radca Hassel, przyrzekł częściowo Akademii wypożyczać, w celu monograficznego ich opracowania. Wreszcie p. Z. Hendel przedstawił szkice widoku zamku krakowskiego z czasów Władysława IV, będącego tłem współczesnego portretu króla, który znajduje się w zbiorach hr. Branickich w Suchej.

— Firma Gebethnera i Wolffa wydała interesujące dzieje życia „Generała Tomasza hr. Łubińskiego“, skreślone przez Rogera hr. Łubińskiego.

— „Dziejów politycznych Europy współczesnej“ w przekładzie oryginału francuskiego K. Seignobosa wyszedł pierwszy zeszyt, wydany przez redakcyę „Głosu“.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

*Michał książę Radziwiłł.*



# Przymierze polsko-pruskie.<sup>1)</sup>

---

III.

## ROZKŁAD.

---

Przesilenie, przed dwoma laty zrodzone na dalekich kresach wschodnich, a odtąd coraz bliżej i coraz wyraźniej ciężące nad środkiem, nad powszechnością Europy, zdawało się nareszcie, po śmierci cesarza Józefa, po zawarcin pruskich z Portą i Polską traktatów, z nadejściem sposobnych do kampanii miesięcy wiosennych i letnich 1790 roku, dosięgać tego szczytu wybuchowego napięcia, gdzie musiało wyładować się wielką burzą wojenną. Najpomyślniejsza chwila ostatecznego z Austryą rozrachunku, oddawna, nie od dwóch lat dopiero, lecz od pięćdziesięciu, niecierpliwie wyczekiwana przez Prusy, nareszcie, zdawało się, nadeszła, albo raczej, po pięćdziesięcioletniem wyczekiwaniu, odrodziła się, powróciła. I nie ta chwila zuchwałego, obosiecznego hazardu, jaką przed trzydziestu kilku laty, w 1756 roku, obrał

---

<sup>1)</sup> Ob. „Biblioteka Warszawska“, styczeń, 1899.

sobie śmiały gracz, wytrawny zapasnik, dojrzały już Fryderyk, rzucając się w odmęt wojny siedmioletniej przeciw całej niemal sprzymierzonej z Austryą Europie, skąd też ledwo uniósł życie,—ale tamta, wcześniejsza chwila łatwej wygranej i niechybnego zysku, z której przed pół wiekiem był skorzystał młody, rozpoczynający dopiero Fryderyk, kiedy w 1740 roku był uderzył na obojętną, odosobnioną Austryę, aby wynieść pewną i obfitą zdobycz szląską. A nawet obecnie, w 1790 roku, po śmierci Józefa II, Austrya w gorszym jeszcze bodaj jest położeniu, niż była wtedy, w 1740 roku, po śmierci Karola VI; Prusy teraz, za małego synowca, napewno są w lepszym, niż były podówczas, za wielkiego stryja. Już nietylko sprawność maszyny centralnej, rządzącej obszernem dziedzictwem Habsburgów, lecz sam wewnętrzny związek organiczny krajów austriackich, nadwierzany na przemian przez porywczą samowładność i przez beznadziejną uległość Józefa, a nadto podkopywany zewsząd przez podziemne knowania pruskie, kruszy się i rozpada u podstaw za ostatnich dni umierającego cesarza. W styczniu 1790 roku, rokosz w Brabancyi, podsycany potajemnie z Berlina drogą na Hagę, wieńczy dotychczasowe wysiłki przez ogłoszenie w Brukselli rzeczypospolitej zjednoczonych stanów belgijskich. Jednocześnie groźne wichrzenia, za ledwo uciszone kosztem upokarzających ustępstw, wszczynają się ponownie na Węgrzech. Tutaj, od samego już początku wojny tureckiej, w myśl starej zresztą metody, ongi stosowanej jeszcze przez nieboszczyka Fryderyka Wielkiego, prowadzi rząd berliński krecią, burzycielską robotę; król pruski, hojnie szafując obietnicami i złotem, nie przestaje jątrzyć ludności węgierskiej przeciw prawemu panu i zachęcać do łączenia się z Turkiem, do zrzucenia niemieckiego jarzma. Jeszcze w kwietniu 1789 roku, sprowadzony do Berlina niejaki major Hompesch, jako przedstawiciel malkontentów węgierskich, i odtąd, za jego pośrednictwem, systematycznie posyłane prowokacyjne wskazówki z Berlina do Pesztu. Uczenie tłumaczy Węgom uczony Hertzberg, iż Fryderyk-Wilhelm, już z natury swojej, ze szlachetnych skłonności, urodzony opiekun ciemionych ludów, w dodatku, jako książę Szląska i spadkobierca stanów szląskich, posiada prawny tytuł do gwarancji nietykalnych ustaw i swobód węgierskich, przyznanej stanom szląskim, przed blisko dwustu laty, przez króla Macieja; a nawet w tych swoich wywodach retrospektywnych minister-akademik berliński dochodzi do tego nadzwyczajnego odkrycia, iż król pruski, przez starożytnie powinowactwo z rodem andegaweńskim, posiada właściwie tytuł prawny do samej korony węgierskiej. Wprawdzie edykt cesarski z końca stycznia 1790 roku, odwołujący nienawistne dla Węgier zarządzenia centralistyczne, uroczyste odesłanie z powrotem korony św. Szczepana z Wiednia do Budy, przedśmiertne, wymuszone ustępstwa Józefa, za-



zegnały na razie wybuch otwartego rokoszu, lecz natychmiast po zgonie cesarza zaczęto na nowo z Berlina rozdmuchywać tlejące w Peszcie zamysły buntownicze, i wprost, bez żadnych już zastrzeżeń, przez urzędowego posła pruskiego w Wiedniu, Jacobiego, zapowiadano Węgrom na wiosnę niechybną wojnę prusko-austriacką i zalecano przygotować się i zbroić dla wzięcia w niej niezwłocznie czynnego udziału przez powszechne powstanie. Zaś, jeśli tym sposobem spadek polityczny po Józefie II przedstawiał się najopłakaniej w dziedzinie stosunków wewnętrznych, to niewiele lepiej przedstawiał się w dziedzinie stosunków zagranicznych Austrii. Dawniejszy związek sprzymierzeńczy domu Habsburgów z domem Burbońskim, urzeczywistniony z niezmiernym trudem w 1756 roku, a który następnie na wieczne czasy miał być utrwalony przez wprowadzenie arcyksiężniczki austriackiej na tron francuski, oddawna już został podważony i rozluźniony, w znacznej części z winy samego Józefa; nadto obecnie, w miarę wzmagającej się zawieruchy rewolucyjnej w Paryżu, godzącej przedewszystkiem w królowę Austriacką, w Maryę-Antoninę, zapowiadał się blizki, nieunikniony powrót do przedstuletnich tradycji walki śmiertelnej między państwem Karola V, a państwem Franciszka I. Groźna chmura paryska, z której niebawem na wszystką Europę miały wypaść gromy wojen rewolucyjnych 1792 roku, najwcześniej, od pierwszej zaraz chwili, od 1789, a zwłaszcza od 1790 roku, zawisa przedewszystkiem i w szczególności nad jedną Austrią. A i tutaj, jak w Brukselli, jak w Peszcie, zawczasu, od pierwszej niemal chwili, czynną jest przeciw Austrii skryta, prowokacyjna ręka pruska. Pozostawał Austrii jeden tylko nowy, z przed lat dziesięciu, związek sprzymierzeńczy z Rosyją. Do Rosyi też, do cesarzowej Katarzyny, zasyła dogorywający Józef ostatnie przedśmiertne błaganie o ratunek. Ale nie ludził się, nie mógł ludzi się nadzieją, aby ten związek, nie obronny bynajmniej, lecz często zaborczy, zawarty nie dla wzajemnego ratunku, lecz dla wspólnych zdobyczy, miał mu dać bezinteresowną osłonę w chwili, kiedy stawał się zgola bezużytecznym dla Rosyi, samej zresztą dosyć narażonej i zaplątanej w dwie naraz wojny: na północy i południu. Tembardziej ludzi się nie mógł, iż nie były mu tajne rozległe zamysły Potemkina, ani jego stamtąd pochodzący chłód dla austriackiego sojuszu, ani jego odnawiane z Prusami próby zbliżenia i związku. A tymczasem przeciągająca się wciąż dalej z odmiennem szczęściem wojna turecka, z ostatnich sił wysysała wyczerpaną Austrię. Wprawdzie nareszcie z końcem 1789 roku Koburgowi udało się dotrzeć do Bukaresztu, na wiosnę 1790 roku zająć Orsowę; ale to wszystko nie rozstrzygało jeszcze krwawej i kosztownej wojny, której końca wciąż jeszcze nie było widać. Brnęła w nią coraz dalej i coraz głębiej Austriya, zmuszona ściągać ze-

wsząd coraz nowe armie nad Dunaj, gdzie topniały, jak śnieg na słońcu, zmuszona skutkiem tego, co najgorsza, zupełnie z wojsk ogałając północne kresy państwa, Galicyę, Morawy, Czechy, narażone w każdej chwili na najazd najniebezpieczniejszego nieprzyjaciela. Ten nieprzyjaciel, Prusy, tymczasem z dniem każdym umacniał coraz lepiej swoje przemożne stanowisko zaczepne. Mocne absolutną karnością wewnętrzną swojej organizacyi, mocne potężnem i bitnem wojskiem, mocne wreszcie zwartym łańcuchem związków sprzymierzeńczych z Anglią i Hollandyą, ze Szwecyą, Portą, a w końcu z Polską, Prusy, zdawało się, na wiosnę 1790 roku powinny były tylko wyciągnąć szpadę, aby dokonać ostatecznego pogromu, ostatniej zguby Austrii.

Na szczęście dla Austrii, ciężka, zawiła, ze wszech stron skompromitowana spuścizna po Józefie, dostała się w ręce successora, który najlepiej był uzdolniony do uratowania państwa od politycznego bankructwa. Brat i następca Józefa, Leopold II, był W. Księciem tokańskim, zanim został królem węgierskim i cesarzem rzymskim. Ta osobistość zagadkowa, która, jak meteor zjawiła się i znikła na zaciemnionym widnokregu europejskim doby rewolucyjnej, i krótką swą obecnością wywarła wpływ pierwszorzędną na współczesne i następne losy świata wogóle, na losy Polski w szczególności, wymaga koniecznie, aby na tem miejscu, chociażby przelotem, zaznaczyć niektóre jej rysy. Niewielu tylko laty młodszy od zmarłego przedwcześnie Józefa, w chwili objęcia po nim następstwa liczył Leopold lat czterdzieści kilka i, choć podkopany już na zdrowiu po swych wczasach florenckich, na duchu przecież był w sile wieku, w pełnej dojrzałości umysłu i woli. Syn Maryi-Teresy, chowany i rządzący we Włoszech, łączył w sobie sąd trzeźwy, zdrowy, szeroki, Habsburgów, z giętką, nieuchwytną subtelnością rodaka Machiawela. Osobiście wysokiego ukształcenia, światły, bez przesądów, był odmiennym od Józefa, lecz na swój sposób równie lepszym przedstawicielem „oświeconego despotyzmu“ z końca zeszłego wieku. Przykładał się z zamiłowaniem do poprawy materialnej swoich krajów tokańskich, budował drogi, zakładał szkoły, reformował sądownictwo w myśl postępowych nauk Beccarii, znosił tortury, znosił inkwizycyę w sprawach duchowych, zostawiając ją dla świeckich, zachowując swoje ludy włoskie w uległości bezwarunkowej, pod najczujniejszym nadzorem, pod żelaznem jarzmem obcego panowania. Sledzony na każdym kroku przez podejrzliwego Józefa, wydoskonalił się w sztuce chowania swych myśli i zamiarów; nawet do sióstr rodzonych pisywał listy poufne kwasem cytrynowym, aby znikwały bez śladu; w swoim pałacu Pitti we Florencyi, żył otoczony od szpiegów, artystów, uczonych i zbirów, na sposób dawnych książąt włoskich, bawił się sztuką i literaturą, nietylko z wrodzonego zamiłowania, lecz oraz

dla odwrócenia niespokojnej uwagi brata i cesarza, i pod pogodną powłoką *il dottore*, jak żartobliwie, dla swych uczonych studyów, nazywany był w rodzinie, chował głęboką znajomość swego przyszłego państwa i Europy, chował sąd samodzielny o sztuce rządzenia i stosunkach międzynarodowych, chował pierwszorzędne talenty polityka i dyplomaty. Umysł z gruntu trzeźwy i praktyczny, zrównoważony i zimny, bez uprzedzeń żadnych, ale też zgoła bez złudzeń, potępiał zarówno ślepe i pokorne poddanie się Rossyi, jak i Kaunitza ślepą i wyniosłą dla Prus nienawiść. Utrzymanie nadal związku z Rosyją uważał za rzecz niezbędną, lecz w obecnej sytuacji rozpaczliwej nie wiele stąd sobie obiecywał korzyści; odbicie ciosu, grożącego od Prus, uznawał za rzecz nagłą, lecz rozumiał, że cięższą broń pruską nie bronią, lecz jedynie dyplomacją odparować było podobna. Odrazu też, natychmiast po objęciu rządów, w tym mianowicie kierunku, w drodze dyplomatycznej, pierwsze mistrzowskie uczynił posunięcie. Utrafił odrazu w samo sedno, w najczulszy punkt systematu pruskiego, w to jedyne a główne miejsce, gdzie można było przerwać tę ogromną i misterną sieć alliansową, w której dyplomacya berlińska zamknęła samotną Austryę: w stosunek sprzymierzeńczy Prus do Anglii. Ten stosunek zapewne zwracał się też pośrednio i przeciw Austrii, lecz dla polityki angielskiej bezpośrednio, głównym onego celem było zahamowanie przerażających postępów Rossyi, było zachowanie Turcyi, jako niezbędnej wobec Rossyi przeciwwagi i tamy. To też ostrze przymierza prusko-angielskiego z 1788 roku ze strony Anglii o tyle tylko zwracało się przeciw Austrii, o ile ta, w myśl dawniejszych „projektów greckich“ Katarzyny i Józefa, solidaryzowała się, w obecnej wojnie wschodniej, ze zdobywcą polityką Rossyi. Zrzekając się udziału w rosyjskich zyskach na Wschodzie, a przynajmniej przybierając pozory takiego zrzeczenia się, Austrya względem siebie neutralizowała od strony angielskiej moc zaczepną przymierza berlińskiego 1788 roku, a zatem utrudniała obrócenie tego przymierza w broń zaczepną od strony pruskiej. W rzeczy samej, tedy, w najpierwszej zaraz chwili, skierował się Leopold. Zaledwo odebrawszy wiadomość o śmierci Józefa, jeszcze przed wyjazdem do Wiednia, jeszcze we Florencyi, w lutym 1790 roku, zwrócił się do bawiącego tam posła angielskiego z prośbą o medyację Anglii w sprawie wschodniej. Niebawem, w marcu, tylko co stanąwszy w Wiedniu, konsekwentnie idąc w tym samym kierunku, wystosował ostantacyjne pismo odręczne do Fryderyka - Wilhelma II, gdzie oświadcza gotowość wycofania się z wojny tureckiej, zadowolenia się granicami *passarowickimi*, zawarcia pokoju z Polską. Zawiązała się między obu monarchami w przedmiocie pacyfikacji tureckiej, ożywiona korespondencya osobista, w gruncie rzeczy ani z jednej, ani z drugiej strony nie brana na

seryo, przeznaczona dla Europy, w szczególności dla Anglii, i tak bez przerwy a bezowocnie trwająca aż do czerwca. Była to okazowa korespondencya „dylatoryjna“, dla postawienia się nawzajem w zwłocę, dla zyskania drogiego czasu. Obiedwie strony chcą zyskać na czasie, —choć naprawdę zyskiwał cesarz; a każda chce przez drugą być uprzedzona w zerwaniu. Austria korzysta, jak może, z udzielonej zwłoki, stawia się w pozycji obronnej, ściąga wojska do ogołoconych Czech i Moraw, szuka bliższego porozumienia się z Rosyją, mnoży skwapliwie oświadczenia pokojowe wobec Anglii. Prusy zgromadzają całą swoją potęgę militarną na granicy szląskiej, gotują się do uderzenia, lecz trwożne o sukkurs angielski, krępowane przez niemiłą, niepożądaną układność Leopolda w sprawie wschodniej, a w pobożnej nadziei, iż nieznośnym naciskiem, zaostrzoną prowokacją, wytrącą przecież w końcu cesarza z tej jego niedostępnej, wyczekującej postawy, tymczasem wyczekują jeszcze same, jeszcze się wzdragają rozpocząć jawną akcyę zaczepną.

Do tej wielkiej akcyi, wprawdzie jakoś nadspodzianie z dnia na dzień zwlekanej, lecz ciągle, jak się słusznie zdawać mogło, zgoła nieuniknionej, przygotowywano się w Warszawie od chwili podpisania traktatu marcowego. Wedle pierwotnego planu, wybuch wspólnej wojny miał nastąpić około 1 maja; na pierwsze hasło z tej strony miał wtargnąć do Galicyi kilkunastotysięczny korpus pruski generała Dallwiga pod Zatorem, poczem deputacya galicyjska miała stawić się przed sejmem warszawskim z uroczystem żądaniem reinkorporacyi zaboru austriackiego do ziem Rzpltej. Jednocześnie w kwietniu, w mieszkaniu prywatnem marszałka sejmowego, odbyły się poufne narady w przedmiocie utworzenia, na wypadek wojny, centralnego organu wykonawczego, pod nazwą Administracyi Nadzwyczajnej—projekt nader ciekawy, ważny, a śmiały, inspirowany z ambasady pruskiej, który wszakże, spotkawszy się ze znacznym oporem, na razie został zaniechany. Czynny, bezpośredni udział zbrojny Rzpltej, w blizkiej kampanii wiosennej z Austryją, w owej fazie najpierwszej, wnet po podpisaniu traktatu przymierza, z obu stron w dobrej wierze był brany w rachubę. Wojowniczy Lucchesini, zapatrując się zbyt optymistycznie na siły militarne polskie, w relacyi z kwietnia obliczał je swemu monarsze na dwadzieścia kilka tysięcy kawaleryi, przeszło szesnaście tysięcy piechoty <sup>1)</sup>, sto kilkadziesiąt dział; było więc tego dużo więcej

---

<sup>1)</sup> Lucchesini podaje 16,369 piechoty, a Kalinka przez pomyłkę 12 tysięcy,

niż wymagał traktat. Jednakowoż, w miarę jak mijały miesiące wiosenne bez odgłosu wystrzałów od Śląska i Czech, ta nieprzewidziana zwłoka, to ciągle wstrzymywanie się Prus z rozpoczęciem kroków wojennych, zaczęło budzić niepokój w Warszawie. Przewodnicy ówczesni rządu i sejmu warszawskiego, dalecy od przypisywanej im zazwyczaj ślepej i porywczej ufności, liczyli się owszem najbaczniej z każdą najlżejszą odmianą ogólnej sytuacji politycznej i zabiegliwie stosowali do tych odmian każdy krok własny. Póki nieodwołalnie nie zdeklarowały się Prusy, póki ich armie nie przekroczyły granicy, musiała oczywiście miarkować się Rzeczpospolita, chociażby już ze względu na groźną, zawsze możliwą, interwencyę Rossyi. Pojmowano to doskonale w Warszawie. Trzymano się w pogotowiu, lecz miano się na baczności. Kiedy w początkach czerwca Lucchesini złożył Depntacyi interesów zagranicznych notę urzędową, dopraszając się zgody na przemarsz korpusu pruskiego na Śląsk, przez kraje Rzpltej, Depntacya udzieliła wprawdzie żądanego przyzwolenia, lecz w formie najostrożniejszej, nie kompromitującej jeszcze w niczem, a otwierającej furtkę na wypadek rzeczywistej wojny, z wyraźnem zastrzeżeniem „stanu *obecnego* neutralności, w jakim znajduje się Rzplta“. Tymczasem, w pierwszych dniach czerwca, ze specjalną misyą wojskową zjechał do Warszawy generał pruski, Kalkreuth, z dwoma adjutantami, Vossem i Wedelstedtem. Lepszy od posła rzeczoznawcy, wytrawni sztabowcy berlińscy, rozejrzawszy się na miejscu w rozporządzalnej sile zbrojnej, odrazu uznali, że wojska polskie, w zbyt wczesnym dopiero okresie reorganizacyi, nie są jeszcze bynajmniej w stanie istotnego pogotowia wojennego. Uznali zarazem, że wobec rzeczywistej ogromnej przewagi Prus w pierwszej przynajmniej kampanii austryackiej, niema żadnej naglącej potrzeby ściągać sobie na pomoc tych niegotowych jeszcze posiłków polskich. Tym sposobem, gdy przedłużona odwłoka Prus, a także nieusunięte od Rossyi obawy, nakazywały wstrzeźliwość rządowi warszawskiemu—zarazem patryotyczne względy militarne, a równie też chęć oddalenia interwencyi rosyjskiej, doprowadziły rząd berliński do analogicznego wniosku, iż narazie Rzpltej nie wypada wciągać przedwcześnie do pierwszych wypadków wojennych, lecz należy trzymać ją w odwodzie, dla zabezpieczenia sobie tyłów, w stanie przychylniej, sprzymierzeńczej neutralności. Tak z tej strony przedstawiał się bezpośredni stosunek polsko-pruski z początkiem lata 1790 r., w przededniu nieodwołalnego nareszcie, a tym razem na pozór stanowczego, rozwiązania na Zachodzie <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Krones, Ungarn unter Maria-Ther. u. Joseph: Marczali, Preuss.—

Rozwiązanie spoczęło na ostrzu miecza. Oręż pruski, wymierzony w serce Austrii, gotował się rozciąć węzeł dwuletniego przesilenia. Cała siła zbrojna Prus, przeszło 200 tysięcy ludzi, była mobilizowana. Plan operacyjny był w głównych zarysach prawie dosłownie ten sam, którego gotowe wzory był dał Fryderyk Wielki w 1740 i 1756 roku, w pierwszej wojnie szląskiej i siedmioletniej. Dwa pomniejsze korpusy obserwacyjne, z kilku tysięcy ludzi, pod dowództwem Henckla-Donnersmarcka i Usedom, ustawiono od ściany wschodniej, dla osłony Królewca i linii Wisły, na wypadek dywersyi rossyjskiej. Wszystką pozostałą potęgę zgromadzono na Szląsku. Tutaj, na samej granicy austriackiej, obozowała od czerwca, w pełnym rynsztunku bojowym, świetna, bo 150 tysięczna, armia pruska, pod dowództwem naczelnem księcia bruuswickiego. Czekano tylko na króla. Król nigdy nie był więcej łaknącym czynu, łaknącym i pewnym tryumfów. Odkąd, przed rokiem, był otrząsnął się poraż ostatni z więzów kurateli Hertzbergowskiej, podatniejszym, niż kiedykolwiek, powracał do śmielszych swych doradców i coraz chętniej dawał ucho ich wojowniczym natchnieniom.

---

ungar. Verhältn. 1789—90; Reumont, Toscana; Beccatini, Vita privata di Leopoldo; Wolf, Briefwechs.; Leeds do Keitha, 16 marca; Leopold de Fryderyka-Wilhelma, 25 marca, sq.; Caché do Colloreda, 20. do Kaunitza, 21, 24 kwietnia 1790, skąd widać, jak szybkie i szczegółowe miewał informacje: „das positive formirte Project eines Decemvirats unter dem Praesidio des Königs, oder einer oligarchischen Regierung unter dem Namen einer Ausserordentlichen Administration zur vorgeblichen Sicherheit des Landes,... welches eigentlich von dem Marquis herrühren soll ist zwei Tage hindurch in Privatzusammenkünften, welche bei dem Herrn Reichstagsmarschall Malachowski behalten wurden, in vorläufigen Betrieb gesetzt,... Weil aber grössere Schwierigkeiten, als vermuthet, vorgefunden, und eine feierliche Protestation von wenigstens 16 Senatoren und Landboten zu besorgen war, so hat man sich zur Stunde noch nicht getraut, die Errichtung dieser Régence oligarchique bei dem Reichstag öffentlich auf das Tapet zu bringen... (Dieselbe) sollte, wenigstens implicite und per inductionem, befugt sein; 1-o bei der ersten preussischen Reclamation die wichtige Frage des casus foederis, ohne Theilnehmung der Reichsstände zu entscheiden, 2-o sowohl die Kriegs- als die Schatz-Commission und selbst die Deputation der äusseren Geschäfte sollten den Beschlüssen dieses Decemvirats untergeordnet sein, 3-o wäre diese Administration, oder vielmehr diese höchste Landesobrigkeit berechtigt, Assignationen von dem Schatz der Republik bis auf den Werth von 10 Millionen anstatt baaren Geldes in öffentlichen Credit zu setzen“. Stałym informatorem Cachégo był Moszyński Fryderyk, z przygodnych głównie Jacek Malachowski Kanclerz w. k.; odpowiedź Deputacyi Lucchesiniemu, 7-go czerwca: „sans déroger à l'état *actuel* de neutralité, où se trouve la République“.

Z każdym dniem coraz więcej czuł się synowcem bohaterskiego stryja, zdobywcy Szląska, pogromcy Austrii. Był podniecony, jak nigdy. Po śmierci Iugenheimowej już zdążył się pocieszyć. Zapalił się nowym afektem do innej z kolei damy dworu, dumnej i ambitnej Zofii Denhoffówny. Świeżo właśnie, na wiosnę, w kwietniu 1790, za nową approbatą wyrozumiałego konsyktorza berlińskiego, z namaszczonych rąk tego samego nieoszacowanego Zöllnera, i z nią z kolei wziął ślub morganatyczny. Ona chciała w swoim królu ujrzeć bohatera. Jemu śpieszu było takim się pokazać. Przed frontem wojsk, na rewii, żegnał panią swego serca, swoją trzecią małżonkę, rycerskim pochyleniem szpady, wyjeżdżając z Berlina na Szląsk, do obozu, do bitew, do zwycięstw. Wyjeżdżał po laury. Na Szląsku zastał armię, równie, jak on, laurów spragnioną. Byli tu starzy generałowie z czasów Fryderyka II, co wydeptali już wszystkie trakty najezdnicze, wiodące do Austrii, była młódź sztabowa i oficerska, rwąca się do odnowienia, do prześcignięcia legendowych Fryderykowskich tradycji. Z ziem dawnego *Fürstentum*, owego związku ambicyi drobnych książątek niemieckich, wystawionego przez Fryderyka naprzeciw cesarza Józefa, ze wszystkich Niemiec „małoniemieckich“ (*kleindeutsch*), szukających u Hohenzollerna oparcia przeciw „wielkoniemieckim“ uroszczeniom Habsburgów, zbiegli się amatorowie taniej a pewnej sławy wojennej. Jest wśród nich oczywiście książę Karol August Wejmarski, sławny protektor piśmiennictwa i sztuki, który stawił się zarazem w charakterze niemieckiego patrioty, oraz szefa regimentu i generał-majora pruskiego; jest i przyjaciel jego i śpiewak nadworny, największy niemiecki poeta, Goethe, wyrwany na gwałt z rozkosznych sielanek weneckich, ściągnięty na Szląsk, do fortpocztów pruskich, do dziejowego eposu, aby naocznie świadectwem uwiecznić oczekiwane tryumfy. Wszakże, aby dojść do tryumfów, trzeba było wprzód dojść do formalnego zerwania. W tym - to wyłącznie celu, nie w żadnym innym, Fryderyk Wilhelm z Berlina zabrał z sobą na Szląsk starego Hertzberga. Nie po to zabrał, aby się go radzić, lecz jedynie, aby wbrew własnym jego intencyom, użyć go do ostatecznej, przedwojennej, prowokacyjnej roboty. Tak długo jeszcze, ani na chwilę dłużej, oręż królewski miał ustąpić ministeryalnej todze. Hertzberg tego nie rozumiał, a raczej nie chciał rozumieć. Chciał ze swojej strony przechytzyć króla, chciał w ostatniej godzinie groźbą podniesionej królewskiej szpady wymusić na Austrii i zgarnąć pod pokojową tę negocyatera swoje umiłowane zamienne nabytki. Król stanął kwaterą w zamku szląskim, Schönwalde, nad granicą austriacką. W sąsiednim miasteczku, Reichenbachu, minister rozpoczął rokowania z pełnomocnikami Leopolda, ks. Reusses i Spielmanem. Hertzberg po swojemu poprowadził

negocjacyę. Oparł ją w całości na dawnym targu zamiennym. Pełnomocnikom cesarza ofiaruje dla Turcyi granice passarowickie wraz z Bośnią; wzamian za to, nasamprzód odbiera dla Rzpltej od Austryi cztery cyrkuły galicyjskie i żupy solne, zaś w ostatniej konkluzyi, zagarnia dla Prus od Rzpltej Gdańsk i Toruń z pasem pogranicznym. Żądania swoje stawia właściwym sobie tonem nie znoszącym żadnej opozycji. Nie tyle prowadzi układy, ile dyktuje warunki. Groźnie, kategorycznie, z góry odzywa się do Austryaków. Niechaj rozważą, że za nim stoją armaty z zapalonym lontem, stoi król z gotową armią. Niechaj wybierają między pokojem a wojną. Sam gorąco pragnął a nie wątpił, że wybiorą pokój. Widział się nareszcie u szczytu swoich długoletnich kombinacji. W rzeczy samej dotarł do szczytu śmiejszości. Zamiast dyktatora był tylko dyplomatycznym figurantem. Król do czasu zostawił mu wolną rękę, pozwalał mu swobodnie rokować i puszyć się w Reichenbachu, w tem mianowicie przeświadczeniu, iż jego imperatywne warunki zamienne nie mogą żadną miarą być przyjęte od Austryi, że one właśnie popchną ją do zerwania. Król gorąco pragnął, a nie wątpił, iż Austryacy wybiorą wojnę. Istotnie Reuss i Spielman, doprowadzeni do ostateczności niebywałemi uroszczeniami Hertzberga, posyłają do Wiednia gwałtowne i beznadziejne doniesienia z „tego reichenbachskiego piekła“. W samym Wiedniu stary, ośmdziesięcioletni kanclerz, Kaunitz, pełen zawsze mściwego młodzieńczego uniesienia, kiedy chodzi o nienawistne Prusy, świadek niezłomnego hartu Maryi-Teresy, nieprześlągany osobisty antagonistą Hertzberga, na jego upokarzające propozycye reichenbachskie, dzisiaj tak samo, jak przed czterdziestu laty, jedną tylko zna godną odpowiedź, orężną. Inaczej przecież ocenia położenie zimnym, praktycznym zmysłem Leopold. Osobliwszy zaiste kontrast: tam, od strony pruskiej, minister na własną rękę steruje do zyskownego pokojowego rozwiązania, król wyrzuca się do wojny; tutaj, od strony austryackiej, kanclerz stoi za wojną, monarcha stale i rozważnie prowadzi do pokoju. Stanowcze jedno-brzmiające instrukcye, pochodzące z osobistego natchnienia Leopolda, nakazują pełnomocnikom austryackim w Reichenbachu niezachwianą cierpliwość i najdalej sięgające ustępstwa. Była to dotkliwa niespodzianka dla Fryderyka-Wilhelma i rady wojennej, otaczającej go w Schönwalde. Tutaj liczone, że dość pozwolić Hertzbergowi gospodarować po swojemu w Reichenbachu, aby Austryaków doprowadzić do zerwania. Tymczasem Austryacy, zamiast zbuntować się, zamiast zerwać, zaczynają objawiać zgola nieprzewidzianą uległość, zaczynają na seryo roztrząsać Hertzbergowskie warunki, wyrachowywać się z dusz galicyjskich a bośniackich, z tureckich a polskich stóp kwadratowych i przybierają wszelkie pozory, iż gotowi są dobić narzuconego



targu. Owóż, co do istotnej dla Prus wartości tego targu, istotnej jego wykonalności, nikt już wtedy w Prusach, oprócz jednego Hertzberga, żadnych nie żywił złudzeń. Stary minister, ze swoim starym planem zamiennym, był już wówczas zupełnie zdyskredytowany, nie tylko w oczach króla i jego najbliższych w Schönwalde doradców, lecz oraz u swoich własnych dyplomatycznych wykonawców i podwładnych, u wszystkich, prawie bez wyjątku, posłów pruskich, którzy wszyscy: Jakobi z Wiednia, Diez ze Stambułu, Goltz z Petersburga, Lucchesini wreszcie z Warszawy, potępiali jego zaciętrzewioną politykę zamienną i, jak tylko mogli, wzbudzali jej przeszkody. Rozumieli wszyscy, iż taką polityką, nasampród narażając się najmocniej Rosyji, przez wywrócenie pierwszego polskiego podziału, narażono się jednocześnie Anglii, przez wywrócenie zasady konserwacyi Wschodu. Rozumieli nadto, że pozorna zgoda Austrii jeszcze sprawy ani na cal nie posunie, iż chodzi tutaj nie o zgodę na papierze, lecz o wykonanie; a jakże wykonać te rzeczy niewykonalne: sprzymierzoną Rzpltą skłonić do zamiany siekierki na kijek: Gdańska i Torunia, z częścią Wielkopolski, na skrawek galicyjski; od sprzymierzonej Porty, której wczoraj obiecano zwrot Krymskich awulsów, zeskamotować dzisiaj naddunajskie nabytki, przyręczone Austrii? Tymczasem zaś kompromitowano się najhaniebniej wobec obu, Rzpltej i Porty zarówno. W rzeczy samej, okazało się niebawem, iż Kaunitz, jak było do przewidzenia, pośpieszył natychmiast zakomunikować poufnie Porcie propozycje reichenbachskie, tyjące się ofiarowanej Austrii od Prus indemnizacyi w ziemiach tureckich. Nietrudno było domyślić się, jak fatalne wrażenie musiała wywołać podobna wiadomość w Stambule. tembardziej wobec ciągle jeszcze wstrzymywanej ratyfikacyi pruskiej traktatu styczniowego. Jednocześnie propozycje reichenbachskie, tyjące się odszkodowań obliczanych samym sobie przez Prusy w ziemiach polskich, wyjawione zostały w Warszawie. Wydostano tutaj dosłowną kopię punktów preliminaryjnych, złożonych Spielmanowi przez Hertzberga, gdzie minister pruski, za plecami Rzpltej, rozrządził się cessażą Gdańska, Torunia i całych województw wielkopolskich. Wrażenie było silne i przygnębiające. Deputacya interesów zagranicznych niezwłocznie zleciła ks. Jabłonowskiemu pośpieszyć z Berlina do Schönwalde dla wyrażenia królowi osobiście najmocniejszych w tej mierze przedstawięń. Stanisław August wystosował pismo do Fryderyka-Wilhelma, z oświadczeniem „ufności do charakteru W. K. M., iż niewątpliwie nie dopuścisz, ani zechcesz postanowić niczego ze szkodą Rzpltej, swojej przyjaciołki i alliantki“. Tak więc pierwszym skutkiem negocyacyi Hertzbergowskiej było spłoszenie dwóch, bezpośrednio za-

grożonych sojuszników Pruskich. Drugim skutkiem był protest głównego sojusznika: Anglii. Poseł angielski, Ewart, przytomny w Reichenbachu, a razem z nim pełnomocnik hollenderski, w kilku memoriałach oświadczyli się stanowczo przeciw wszelkim umowom, naruszającym całość posiadłości tureckich. Tymczasem skutek najważniejszy, jedynie pożądanym—doprowadzenie Austrii do zerwania — zupełnie został chybiony. Austriacy układali się w najlepsze, targowali, składali kontrprojekty, trwając ciągle w niezmaconym duchu pokojowym i ciągle zyskując na czasie. A tu czas mijał, mijała okazy, rozlatywało się wszystko w zebranej dokoła Prus koalicji. W Schönwalde postanowiono nareszcie z tem skończyć. Podpisaną przez króla uroczystą ratyfikację traktatu styczniowego z Turcyą z oględnem tylko zastrzeżeniem, co do Krymu, posłano do Stambułu, dla uspokojenia Porty. Z Warszawy wezwany na Szląsk Lucchesini. Po jego przybyciu, na zamku schönwaldzkim odbyła się w ścisłym kole narada przy udziale króla, ks. brunświckiego, generała Möllendorfa i Lucchesiniego. Stanęło na tem, aby wszelkie układy z pełnomocnikami austriackimi zerwać, nagle i bez żadnych wyjaśnień, a natomiast postawić Austrii w jaknajostrzejszej formie, bezwarunkowe ultimatum: niezwłoczne zawieszenie kroków wojennych przeciw Porcie, poddanie się medyacji pruskiej, zrzeczenie się wszystkich, zyskanych przez Austryę w obecnej wojnie, zdobyczy tureckich, przywrócenie względem Turcyi *status quo ante bellum strict*, t. j. ścisłego i zupełnego stanu przedwojennego w najdosłowniejszem znaczeniu. Treść i forma tych żądań były równie niebywałe. Brutalne zerwanie prowadzonych dotychczas spokojnie układów nie było usprawiedliwione żadną winą ze strony austriackiej i samo przez się stanowiło trudną do zniesienia zniewagę. Zaś trudniej jeszcze było przypuścić, aby Austria mogła przystać na wymuszone w ten sposób zupełne zrzeczenie się wszelkich zgola korzyści wojennych, tak drogo przez nią okupionych. Aleć o to właśnie chodziło, aby nie przystała.

Cały ten pomysł, którego ojcem duchowym był, zdaje się, Lucchesini, nie był niczem innym, jak nową, mocniejszą prowokacją. Należało tuszyć, iż tym razem środek tak dobitny już zawieść nie może, i wybuch sprowadzi. Sam autor, Lucchesini, posłany został do Reichenbachu, do Hertzberga, z doniesieniem o woli królewskiej i rozkazem zakommunikowania jej na najbliższej konferencji posłom austriackim. Hertzberg osłupiał. Jednym zamachem zepchnięto go niemiłosiernie z wysokości jego dyktatorskich złudzeń. Nareszcie przejrzał. Zrozumiał, jaką rolę odgrywał dotychczas. Zrozumiał też, że ultimatum równało się wypowiedzeniu wojny. Przez parę dni próbował się bronić. Po prostu odmawiał zrobić, co mu kazano. Król był zmuszony w suro-

wych biletach odręcznych kategorycznie ponowić mu rozkazy i ostro zagrozić w razie dłuższego nieposłuszeństwa. Rozkazał nadto przydać, iż odpowiedzi oczekiwać będzie z Wiednia odwrotnym kuryerem, w ciągu dni ośmiu do dziesięciu, i brak odpowiedzi w tym terminie uważać będzie za odmowę. Złamany Hertzberg z ciężkiem sercem wezwał na konferencyę Reussa i Spielmanna, aby im oświadczyć ultimatum królewskie. Z kolei osłupieli Austriacy. Oni również rozumieli, że taki krok równał się wojnie. Nikt już o wojnie nie wątpił w Reichenbachu. Nikt nie wątpił ani na chwilę, że Austria nie może nie podnieść rzuconej tak brutalnie rękawicy. Król polecił wygotować manifest wojenny. Dla wojsk leżał gotowy rozkaz wymarszu do Czech na 25 lipca. Codzień z obozu wyjeżdżano na wzgórza pograniczne patrzeć, rychło-li od strony austriackiej ukążą się wojska nieprzyjacielskie. Ale tam wszystko było cicho. „Nie widać wroga“ — skarżył się żałośnym wierszem znudzony Goethe. *„Kriegerisch reiten wir aus, besteigen Schlesiens Höhen, Schauen mit muthigem Blick vorwärts nach Böhmen hinein, Aber es zeigt sich kein Feind“*. Zamiast nieprzyjaciół, ukazał się kuryer, wiozący odpowiedź z Wiednia. Odpowiedź była okropna. Leopold się zgadzał. Zgadzał się na rozejm, na kongres, na medyacyę prusko-angielską, zgadzał się na *status quo* Lucchesiniego, jak przedtem był przystawał na oferty zamienne Hertzberga, zgadzał się na *status quo strict*, na *status quo matériel*, na *status quo plenier*, zgadzał się żywnie na wszystko. Dla króla był to cios równie okrutny i nieprzewidziany, jak ten, który przed niewielu dniami z jego ręki spadł na Hertzberga. Cóż było robić? Nie było wojny, bo nie było pretekstu do wojny. Cofnąć się nie było sposobu. Cofnąć się zresztą nie pozwałała Anglia, doczekawszy się nareszcie pożądanego dla niej najwięcej zabezpieczenia Turcyi. Poseł angielski gonił do spisania układu, któremu wobec zupełnej zgody Austrii nic nie stawało na przeszkodzie. Upokorzeni przez własną pychę, wyprowadzeni w pole przez własną przebiegłość, Prusacy musieli podpisać podyktowane przez siebie samych warunki. Tak doszła sławna konwencya reichenbachska. Warowany w niej rozejm między Austryą a Portą; zapowiedziany kongres pacyfikacyjny, dla umówienia między niemi zupełnego pokoju, pod medyacyą króla pruskiego i jego alliantów, to jest Anglii i Hollandyi; podstawę pacyfikacyi stanowić będzie przywrócenie stanu przedwojennego, w ścisłem i dosłownem znaczeniu; co się tycze Rossyi, to na wypadek niedojścia współczesnego z jej strony pokoju, Austria wyrzeka się wspierania jej nadal, bezpośrednio ani też pośrednio, w dalszej jej wojnie z Portą. Tyle konwencya. Tyle tylko dały Prusom najrozleglejsze przygotowania i najwyższe wysiłki. Taki wynik, na pozór, mógł schlebiać pruskiej miłości własnej. Na pozór, to groźne *veto*, rzucone postępom Austrii

na dalekim Wschodzie przez króla pruskiego, mogło wydawać się imponującym. Dzisiaj jeszcze szowinistyczni historyografowie pruscy, bądź stając w obronie sławy Hertzberga, bądź królewskiej, usiłują ratować mniemaną świetność tego dziejowego momentu. Lecz trzeźwiejsza od nich i mocniejsza głowa, człowiek, co swoje myśli o Reichenbachu zaczyna od słów: „gdybym ja był ministrem Fryderyka-Wilhelma II<sup>a</sup>, najpowołanszy znawca, ks. Bismarck we własnej osobie, inaczej, pogardliwiej a trafniej ocenił istotę i rezultat komedii reichenbachskiej. W rzeczy samej, pod względem politycznym dla Prus ten rezultat równał się zeru, -- gorzej, równał się porażce. Prusy, które przyszły na Śląsk w najrealniejszych, najobszerniejszych, zaczepnych widokach politycznych, w myśli przekształcenia karty Europy, wychodziły z Reichenbachu z gładem bezpieczeństwa dla Turcyi, która je obchodziła najmniej, nie mając zresztą żadnej pewności, o ile w tym nawet kierunku istotnie wypełnione będą zobowiązania, tak uległy przyjęte na papierze przez Austryę. Wychodziły z pustym a kosztownym tytułem bezinteresownego pośrednika, superarbitra i pacyfikatora. Wychodziły z pustym skarbem, bo mobilizacja kosztowała miliony, z zawiedzioną i szemrającą na swoich dowódców armią, ze stropioną dyplomacją, z umniejszonym w Europie autorytetem. W duszy króla, wśród jego otoczenia, w wojsku, w opinii publicznej, było pod tym względem jedno tylko zdanie. Król zasiedział się na Śląsku do jesieni, jeździł do Wrocławia, krępował się wracać do pani Denhofowej, do satyrycznych Berlińczyków. Lucchesiniemu nie było śpieszno wracać do Warszawy. W najbliższem otoczeniu królewskiem i w najszerszych kołach publiczności berlińskiej wyznawano sobie głośno, iż za nieboszczyka króla nie było-by doszło do podobnej dekonfitury. Zrozumiano po niewczasie, że Fryderyk Wielki, który wiedział, czego chciał, a co chciał, wykonywał, był-by nie tracił czasu na rokowania zamienne, ani na ultimata, ale był-by pomaszzerował do Czech i Galicyi. Wprawdzie Fryderyk-Wilhelm mógł-by przytoczyć na swoją obronę, iż Marya-Teresa nie była-by zapewne traktowała z Hertzbergiem, a niezawodnie nie była-by się ukorzyła przed *quos ego* Lucchesiniego. Ale żadne tłumaczenia nie zmieniały istoty rzeczy. Tak, czy owak, chwila była straconą. *Fiasco* było oczywiste i zupełne <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Pani Voss, Neunundsechz. Jahre, 137 sq.; Hausser, Herrmann, Vivenot, Sybel, Duncker, pass.; Stanisław-August do Fryderyka-Wilhelma, 3 lipca 1790: Monsieur mon Frère, persuadé que mr de Lucchesini et dernièrement encore mr de Kalkreuth ont fait connaître parfaitement à V. M. mes sentiments à son égard, je m'y supporte, sans m'étendre davantage là - dessus ici.

Rokowania reichenbachskie z gorączkową uwagą śledzone były w Warszawie. Lucchesini, wyjeżdżając stąd na Szląsk, w początku lipca, żywił sam przekonanie, że jedzie na wojnę niechybną, i w takim

Je me flatte, comme je le désire beaucoup, que vous en serez content, car je parle de coeur. Si je me donne aujourd'hui l'honneur d'écrire à V. M., c'est à l'occasion des conférences de Reichenbach. J'en ignore les résultats, mais je mets ma confiance dans le caractère personnel de V. M., que Vous ne permettez et ne voudrez certainement pas, qu'il y soit rien statué au désavantage de la Pologne, votre amie et votre alliée. Il est de mon devoir de vous en prier de la manière la plus pressante et je le fais, avec d'autant plus d'assurance, que je crois avoir, ainsi que ma Nation, des droits à votre affection et à l'intérêt le plus efficace que je désire que Vous preniez toujours à nous. Je me flatte que ma lettre ne sera pas désagréable à V. M. Je la fais courte, car je ne veux pas abuser de Votre temps qui est trop précieux dans les circonstances actuelles. Me référant d'ailleurs aux instructions données au pce Jabłonowski, je finis en Vous assurant, Sire, que Vous avez en moi véritablement un bon frère et ami. P. S. Permettez, Sire, que j'ajoute ici un mot pour dire à V. M. que j'ai été particulièrement satisfait de la manière aussi franche et loyale qu'intelligente, avec laquelle Mr de Kalkreuth m'a parlé, il a vraiment gagné mon estime et mon bienveillance"; utyskiwania Fryderyka-Wilhelma z powodu tych objawów nieufności Polaków, „Menschen ohne politischen Sinn und Charakter“, Ranke, D. Mächte, 431; przed Jabłonowskim, 23 czerw., bawił w Reichenbachu, przejazdem do Hagi, Ogiński, widział Hertzberga, lecz miał sobie od Deputacyi zakazane widzieć się z królem, na co się użala w Mém., I, 70 sq., a co się tłumaczy, iż on nie był wtajemniczony w stosunek króla do ministra. Ratyfikacyę traktatu tureckiego odnosimy do lipca, gdyż wprawdzie jest datowana 20 czerwca, ale z depezy Ewarta, Reichenbach 8 lipca, „a ratification had been dispatched from Berlin to Constantinople two days ago (więc 6) and copies without the Kings signature had been sent a fortnight ago by the way of Vienna“, zdaje się wynikać, że była antydatowana; wyrazy ratyfikacyi „autant qu'il sera en notre pouvoir et que les circonstances le permettront, sur tout pour faire restituer à la S. P. O. les provinces qu'elle a perdues dans la présente guerre“, negatywnie wyłączały Krym. Wezwanie Lucchesiniego na Szląsk przyszło do Warszawy 6 lipca; L. stanął w Schönwalde 8, Fryderyk - Wilhelm do Hertzberga 12. 13; ultimatum wniesione na konferencyi 14 z rana; Reuss i Spielmann, 16 lipca: „das Unerwartete, Unanständige dieses gählichen Absprungs“; Hertzberg, Précis: „tout changea entre le 12 et 13 juillet après l'arrivée du marquis Lucchesini,.. (les) plénipotentiaires autrichiens en furent pétrifiés“; Goethe, Feldl. in Schlesien; Goethe do Herdera 11, 17 wrześ., por. Schr. d. Goethe-Gesell., III<sup>2</sup> Tageb., IV<sup>3</sup> pass. Zgoda Leopolda przyszła 23 lipca; konferencya reichenbachska, 27 lipca, składa się właściwie z dwóch jednoczesnych deklaracyi obustronnych; ważny ustęp końcowy deklaracyi austriackiej: „si-contre toute attente et contre les voeux de S. M. la paix entre la Russie et entre la Porte n'était pas rétablie dans le même temps que la nôtre... S. M. Apostol., suivant ce dont Elle est convenue avec son allié, ne conservera ni n'aura pour le susdit cas d'autre obligation à remplir, que celle de rester dans la possession de la forteresse de Chotym, prise par leurs armes réunies, comme d'un

też przekonaniu był zostawił Deputację interesów zagranicznych. Rząd warszawski, ciągle jeszcze unikając przedwczesnego odsłonięcia przyłbicy, przedwczesnego zrzucenia pozorów ścisłej neutralności, nie zanieczywał wszakże niczego, aby nie był zaskoczony zniemacka przez przewidywany wybuch wojenny. Zabezpieczono sobie możność dalszych przedsięwzięć reformatorskich przez uchwałę prorogacyjną, przedłużającą sejm nadal i utrzymującą nietknięty węzeł konfederacyjny. Ostrożnie, lecz statecznie, posuwano naprzód rozpoczęte już dawniej układy sprzymierzeńcze z Portą, — zdane wprawdzie, niestety, w najniewłaściwsze, najniezdatniejsze ręce polskiego posła w Stambule, starosty szczyrzeckiego, Piotra Potockiego, — układy ważne, trudne, ze względu na Rossyę nader drażliwe, a mające na celu sojusz polsko-turecki, równoległy do istniejącego już prusko-tureckiego aliansu. Zarazem utrzymywano potajemnie ciągly związek z Galicyą. Prowadzono dalej zbrojenia, w myśl uchwały o armii stutysięcznej. Zaś nadewszystko, czujnem uchem nasłuchywano wieści od szląskiej granicy. Tymczasem, z końcem lipca, nadeszła do Warszawy wiadomość niezmiernie pomyślna, nie z Zachodu przecieź, lecz z północy, z dalekich pobrzeży, gdzie bez przerwy, a ze zmiennem dotychczas szczęściem, toczyła się wojna szwedzko-rossyjska. Tam, na wodach Bałtyku, pod Svenskasundem, admirał rossyjski — a był nim nikt inny, jeno ów osławiony kondotyer niemiecki, a polski indygena, „bitnych Polaków brat znamienity“, jak wysławia go dworackie pióro Trembeckiego, „awanturnik, syn z lewego boku“, jak później nazywa go Węgierski, ks. Nassau-Siegen, *vulgo* Denasów, niepotrzebnie uratowany w opowieści pana Wojskiego — od kilku tygodni był osaczył króla

---

dépôt neutre“, uzupełniony został przez ustęp drugi kontradeklaracyi pruskiej: dans le sens que S. M. le Roi de Hongrie... ne se mêlera plus de cette guerre, qu'Elle ne prêtera plus aucun secours d'aucune manière directe à la cour de Russie contre la Porte Ottomane“; ratyfikowana konwencya przez Leopolda już 2 sierp., pruska—5 sierp. Por. Sybla i jeszcze Philipppsona obronę Hertzberga; Ranke, 404: „Hertzberg gereicht es zum unvergänglicheu Andanken in der preussischen Geschichte, dass er diesen Moment herbeitührte; Duncker. Hist. Ztschr., XXXVII: „Oesterreich hat zu Reichenbach eine harte Niederlage erlitten, eine härtere, als Preussen sechzig Jahre später zu Olmütz“; a natomiast nielitościwe zdanie ks. Bismarcka, Erinuerungen (1898), I, 271 sq.: „noch heut. in geschichtlichen Urtheilen chauvinistischer Landsleute... gilt die Reichenbacher Convention als ein Höhepunkt auf dem Niveau Fridericianischer Politik... Ich kann mich des Eindrucks nicht erwehren, dass dies Veto ein Act... war, in welchem die von Friedrich dem Grossen geerbte Autorität zwecklos verpufft wurde“. Por uwagi nasze, wyrażone w tej mierze z powodu Sybla, „Bibl. Warsz.“, styczeń, 1896.

szwedzkiego z całą jego flotą, zamknął go, jak w polapce, wezwał do poddania się i, najpewniejszy zwycięstwa, w dniu 9 lipca, chcąc uświetnić niezawodnym tryumfem sławną datę objęcia rządów przez swoją panią, wydał mu walną bitwę. Skutek był taki, iż Gustaw III zniszczył całą flotę nieprzyjacielską. Nassau utracił wszystkie niemal okręty i przeszło dwanaście tysięcy ludzi. Od czasów Narwy nie widziano podobnej porażki. Wiadomość o bitwie pod Svenskasundem znacznie podniosła ducha w Warszawie. Pora była najwłaściwsza, aby armatom okrętowym szwedzkim z nad Bałtyku zawtórowały działa połowe pruskie na Szląsku. Z godziny na godzinę wyczekiwano depešy o rozpoczęciu kroków zaczepnych przez Fryderyka-Wilhelma, o wtargnięciu wojsk pruskich do Czech i Galicyi. Nagle z Reichenbachu — gdzie jeszcze wtedy nie wiedziano o bałtyckiej wygranej — przysłała do Warszawy depešza Jabłonowskiego o zawartej oplakanej konwencji prusko-austryackiej. Wrażenie było piorunujące. Rząd warszawski, stronnictwo patryotyczne, ogromna większość opinii publicznej, były wprost oszołomione. Było to, jakby nagłe uderzenie maczugą <sup>1)</sup>. Było to uderzenie, podważające samą istotę przymierza Rzpltej z Prusami. To przymierze, z całej swojej istoty zaczepne, (zbudowane na dwóch kapitalnych podwalinach: antagonizmie Prus względem Austrii i Rossyi, na niezbędnem założeniu podwójnem: czynnej akcyi Prus przeciw austro-rossyjskiemu związkowi,—teraz, z chwilą usunięcia zatargu Prus z Austryą, odrazu traciło jedną z tamtych podwalin zasadniczych, traciło połowę tamtego głównego założenia, a tem samem, zobojętnione do połowy, wstępowało w niebezpieczne stadyum całkowitego rozkładu. Zrozumiano to natychmiast w Warszawie. Zrozumiano jednocześnie, iż jedyny ratunek dla rozkładającego się przymierza odtąd na tem tylko może polegać, aby je obrócić w jedynym

---

<sup>1)</sup> Caché, 31 lipca: „je weniger man sich hierorts auf eine derleigutliche Ausgleichung gewärtiget hatte, desto stärker ist die Sensation welche die Nachricht hievon im ersten Augenblick auf die Herren Polen wirket“; por. o tem wrażeniu depešę Stackelberga z Warszawy, czytaną na posiedzeniu petersburskiej Rady Państwa, 13 sierpnia.—Wiadomość o Svenskasundzie przysłała do Warszawy 28, o Reichenbachu — 30 lipca.—Skoro wypadło nam wspomnieć Nassaua, nie możemy nie uczynić uwagi, iż obszerna jego apologia, ogłoszona niedawno w Przeglądzie Polskim, polega oczywiście na grubym nieporozumieniu co do rzeczywistej postaci tego człowieka. Do ogłoszonej ostatniemi czasy korespondencyi Piotra Potockiego dostarcza ważnych uzupełnień oryginalny, niestety, ułamkowy, dyaryusz poseselski, przechowywany w jednej z bibliotek prywatnych warszawskich.

otwartym jeszcze kierunku, zużytkować je z drugiego końca, od strony rossyjskiej, i tedy mianowicie co rychlej skupić, pociągnąć i w ruch puścić zaczepną potęgę i inicjatywę pruską. Tędy też, bez straty czasu, rząd warszawski skierował dalsze swoje usiłowania. Natychmiast, nie czekając nawet powrotu posła pruskiego, zwrócono się do niego z Warszawy, a właściwie, za jego pośrednictwem, wprost do Fryderyka-Wilhelma, z wyczerpującą ekspozycją istotnego położenia rzeczy. Ten ważny dokument, podpisany przez samego marszałka sejmowego, a pochodzący z Deputacyi interesów zagranicznych, najlepiej i najdobrobitniej wyjaśni zarówno ducha dotychczasowych czynności, jako też dalszych widoków rządu warszawskiego.

„La Pologne — tak brzmiał memoriał marszałka sejmowego <sup>1)</sup> — délivrée du joug de la dépendance, a remplacé ces entraves honteuses par le noble engagement d'une reconnaissance durable envers le vertueux Frédéric - Guillaume. Elle sait également apprécier votre zèle, mr le marquis, pour l'avancement de la prospérité commune des deux États, en répondant par une confiance ouverte à la franchise et à la loyauté de votre caractère. C'est cette confiance qui me met aujourd'hui la plume à la main. Comme Polonais, comme me trouvant actuellement à portée de connaître les sentimens de la partie majeure de mes concitoyens, comme ayant à coeur d'assurer à nos travaux une durée solide, qui perpétuera en même temps la gloire de l'auguste Guillaume qui les seconde, permettez que je vous ouvre mes pensées.

Dès le moment de votre arrivée en Pologne, vous avez pu remarquer, mr, qu'un juste ressentiment contre la Russie et une reconnaissance également motivée envers le monarque prussien, affectaient puissamment tous les coeurs. La publicité de la lettre, où la cession de Danzig est envisagée comme un prix léger de l'avantage résultant de la diminution des droits qui grèvent le commerce, avait ranimé pour un moment les espérances abattues du reste des partisans de la Russie. Ils réussirent aisément à abuser quelques citoyens plus vertueux que clairvoyants, en leur faisant apercevoir dans le projet de échange la suite des vues, dont la nation avait déjà senti les effets sous le règne précédent <sup>2)</sup> et qui semblent même avouées dans les écrits d'un ministre dont la considération personnelle ne peut qu'accréditer les

<sup>1)</sup> Stanisław Małachowski do Lucchesiniego, 5 sierpnia 1690 roku.

<sup>2)</sup> To jest Fryderyka II.



opinions, consignées dans un ouvrage publié sous son nom <sup>1)</sup>. Mais la voix de quelques individus ne constitue pas le vœu national. Ce vœu ne peut s'annoncer que par les démarches publiques, et celles-ci n'étaient pas équivoques. L'activité des mesures dans la création d'une armée presque aussitôt formée que sanctionnée, la concentration subite d'une grande partie de cette armée sur les frontières de la Galicie, les frais, les difficultés ruineuses pour faire subsister une nombreuse cavalerie dans une contrée épuisée de fourrages, la bonne volonté de cette armée nouvellement créée, quittant sans regrets des quartiers commodes, supportant sans murmurer les fatigues, les marches longues et rapides et les inconvénients, résultant de la difficulté des subsistances, sont autant de preuves manifestes et de l'intention du gouvernement, et des dispositions nationales à concourir efficacement au système de leur allié.

Pour contrebalancer ces indices évidents de la volonté générale, on s'attache à se prévaloir d'un passage de la note émanée des États, où il était fait mention de la neutralité <sup>2)</sup>. On écartait avec soin l'idée qu'emportait le mot *actuel*, qui en restreignait l'effet au moment présent, tandis que des mesures vigoureuses, continuées dans la même époque, décelaient suffisamment le vœu réel de la nation. Cet état des choses, qui n'échappait pas à la vigilance du chargé d'affaires de Vienne <sup>3)</sup>, et le silence éloquent de la Pologne aux ouvertures du pce de Kaunitz ont sans doute influé beaucoup sur les déterminations pacifiques de Léopold. La Pologne aurait pu également contribuer au résultat des opérations militaires; réintégrée dans une partie de ses dépouilles, elle serait devenue une barrière durable pour la Silésie; la voix reconnaissante des Galiciens aurait appris à leurs confrères opprimés ce qu'il pouvaient attendre de la main généreuse, armée pour la liberté des peuples.

Mais enfin, cette perspective se trouve évanouie, les préliminaires sont signés, le Galicien est déchu de ses espérances: il faut tirer le rideau sur le passé et je me borne à m'arrêter un moment au tableau, que présente l'état actuel des affaires politiques, considéré relativement à la Russie.

---

<sup>1)</sup> Recueil des déductions Hertzberga; *mowa o pierwszych dwóch tomach*, wydanych 1789 i 1790 roku.

<sup>2)</sup> Nota Deputacyi, 7 czerwca, ob. wyżej.

<sup>3)</sup> Cachégo.

Le valeureux Gustave, grand jusque dans ses revers, opère une diversion puissante; le Turc, vaincu mais non découragé, ne déposera point les armes, sans l'aveu d'un monarque qui vient de prendre si généreusement fait et cause pour lui; le souvenir des injures à venger animerait le courage des Polonais; Léopold a renoncé à une alliance, dont les effets sont marqués par l'abaissement de la morgue autrichienne. Fut-il jamais une époque plus favorable pour réprimer les vues ambitieuses d'un empire, visant constamment à la prédomination, de prouver au monarque suédois des avantages dignes de la confiance qu'il a toujours mise dans l'assistance d'un beau-frère, de garantir à jamais la Pologne et la Turquie d'un voisin inquiet? Le monarque auguste qui tient actuellement la balance des intérêts de l'Europe, pourrait d'un trait de plume cimenter la prospérité de trois empires à la fois.

C'est cet aspect de choses qui a déterminé les Etats à enjoindre au cte Potocki de hâter la convention offerte par la Porte Ottomane, en prenant pour modèle celle, qui vient d'être ratifiée par S. M. Prussienne, dont le système politique, regardé en Pologne comme le garant de sa prospérité durable, sera le point de réunion des démarches de la République. En signant cet acte, le Polonais croira de déposer un hommage aux mânes de ses ancêtres<sup>1)</sup>, digne de leurs vertus patriotiques. un gage certain de l'intérêt qu'il prend au sort de ses confrères opprimés; et ce résultat d'une résolution généreuse et unanime d'une nation libre pourrait-il n'être pas favorablement accueilli par un monarque dont toutes les idées sont marquées au coin de la grandeur? Pussions nous être assez heureux d'ajouter aux lauriers qui l'attendent dans le champ de la gloire, et d'aider sa main triomphante à planter cette olive qui doit annoncer une paix durable à l'Europe.

Nous vous attendons, mr le marquis, avec la dernière impatience, désirant vous voir au plutôt le témoin des dispositions nationales et leur interprète. Destiné à la besogne importante par le choix honorable du souverain auquel vous êtes attaché, cette carrière vous mettra à portée d'ajouter infiniment à la reconnaissance d'une nation dont la bienveillance et l'estime vous sont déjà vouées.

Jeśli wszakże tym sposobem tak wcześnie pojęto w Warszawie, iż przyszłość przymierza z Prusami, a zatem i przyszłość całego dzieła reformatorskiego, podjętego w cieniu tego przymierza, spoczywa odtąd

<sup>1)</sup> Konfederatów Barskich.

w jedynej już tylko pozostałej szansie stanowczego zatargu prusko-rossyjskiego, to pojęto przecie zarazem, iż tej szansy nie wolno wy-czekiwać z założonemi rękoma, iż należy ją na swój sposób wydobyć na jaw, sprowadzić, przyśpieszyć. Na swój sposób, — znaczyło to nie-tylko przez poparcie układów alliansowych stambulskich, lecz znaczyło przedewszystkiem, przez podjęcie tych nareszcie najważniejszych spraw reformy wewnętrznej, które, ujawniając całą nieprzejednaną sprzecznosc interesów rossyjskich a sprzymierzonych, zsolidaryzowa-nych, polsko-pruskich, winny były, raz otwarcie podniesione, doprowa-dzić do niezbędnego wyjaśnienia stosunków wzajemnych, a tem samem, jeśli to tylko wogóle było możliwe, przynaglic Prusy do zdeklarowa-nia się w pożądanym kierunku. Taką mianowicie, przedewszystkiem była sprawa successyi tronu. Tego samego dnia, kiedy marszałek sejmowy, w memoryale powyższym, tak dobitnie sprowadził całą istotę nowego położenia rzeczy do stanowczej rozprawy między Prusa-mi, między Europą a Rossyą, wniesiony został do sejmu projekt praw kardynalnych, równie dobitnie znoszący wolną elekcję i stanowiący dziedziczość korony. Jednocześnie, najbezpośredniejszym sposobem, przedsięwzięto dla tego projektu zainteresować Fryderyka-Wilhelma. W połowie sierpnia, wnet po powrocie Lucchesiniego do Warszawy, wyprawiony stąd do Berlina jeden z najtęższych zakulisowych działa-czy, książę Piatoli. Powierzona mu tajna missya ofiarowania korony polskiej domowi pruskiemu. Pomysł, pochodzący, jak się zdaje, głównie od Ignacego Potockiego, był śmiały, a wśród warunków owoczesnych niesłychanie trudny do urzeczywistnienia. Nieufność kraju względem Prus, wzbudzona przez zamienną politykę Hertzbergowską, przez pierwotne układy celne i pożądlive na Gdańsk i Toruń rachuby, uci-szona chwilowo na wiosnę, dzięki rozłączeniu materyi cła i przymie-rza, teraz, skutkiem przebiegu i wyniku rokowań reichenbachskich, na-nowo się podniosła i wzmoęła. Nie usunęło jej przyjacielskie pismo Fryderyka-Wilhelma do Stanisława-Augusta, gdzie wprawdzie zapo-wiadał król pruski dalsze swoje w przyszłości usługi sprzymierzeńce dla Rzpltej, upewniał o „niewinnych i zacnych swoich widokach“, lecz bynajmniej nie tail zawodu i żalu z powodu trudności, napotykaných w drażliwej sprawie materialnego odszkodowania za żądane od niego ustępstwa handlowe. Rosnącą stąd nieufność, zwłaszcza ze strony naj-więcej zagrożonych posłów wielkopolskich, zręcznie pochwyciło w sej-mie stronnictwo rossyjskie. W początku września, przy powtórnem roz-ważeniu praw kardynalnych, potrafiło ono wcisnąć i przeprowadzić uchwałę o nietykalności terytoryum Rzpltej: „nie będzie się godziło na żadnym sejmie, ani komużkolwiek bądź, żadnej części zamieniać, tembardziej od ciała Rzpltej oddzielać, ustępować, lub oddzielenie albo

zamianę przedsiębrać“. Ta ustawa, jak trafnie spostrzegali jej przeciwnicy, „przy niepodległości, rządzie i mocy narodu niepotrzebna, dla niekonstytucyjnego i bezsilnego narodu więcej, jak nieskuteczna“, na próżno zwalczana przez Ignacego Potockiego, a nawet przez Stanisława-Augusta, nie miała w istocie innego celu, jak zrazić i odstręczyć króla pruskiego, utrudnić i wstrzymać dalsze, ściślejsze z nim zbliżenie. Wszakże, mimo ten przykry incydens, przez sierpień i wrzesień bez przerwy w dalszym ciągu prowadzone były poufne rokowania z Berlinem względem obsadzenia tronu polskiego. Zyskany dla tej sprawy przynętą grubej pożyczki pruskiej, a raczej darowizny, czynnie, choć ostrożnie, pomagał Stanisław-August. Kilka naraz kandydatur ofiarowano do wyboru w Berlinie: księcia brunświckiego, księcia heskiego, księcia Yorku, młodszego królewicza angielskiego, wtenczas oficera w służbie pruskiej, a niebawem zięcia Fryderyka-Wilhelma; osmnastoletniego księcia Ludwika-Ferdynanda pruskiego, synowca królewskiego, a brata Luizy Radziwiłłowej; nieletniego księcia Ludwika, drugiego syna królewskiego, jako przypuszczalnego małżonka dziewięcioletniej infantki saskiej; nareszcie trzymano w zanadrzu kandydaturę najśmielszą: samego Fryderyka-Wilhelma II, jako króla pruskiego i polskiego <sup>1)</sup>.

Mysł była ryzykowna, ale wagi niezmiernej. Nie była nową. Nie po raz pierwszy, ani też ostatni, była podjęta. Przed stu trzydziestu

<sup>1)</sup> Fryderyk-Wilhelm do Stanisława-Augusta, 11 sierp.: „je ne devais pas m'attendre que ma susdite proposition (gdańska) serait reçue par la diète d'une manière si contraire à mes vues innocentes et honnêtes et au véritable intérêt des deux états... mais dès que j'ai appris qu'elle... n'était pas agréable à V. M. et à la diète, j'ai ordonné à mon ministre d'en faire abstraction... Je tiens à honneur d'être le principal allié d'une nation aussi brave: je ne doute pas qu'elle saura également apprécier mon alliance et qu'elle reconnaitra ce que j'ai fait et ce que j'aurai encore à faire pour la rendre utile et convenable aux deux parties“: Lucchesini wrócił 12 sierp.: eo się tycze „pożyczki“ miliona talarów, to Stanisław-August chciał „splacnąć“ ją w ratach rocznych w przeciągu lat 25.—a nie 16. jak podaje Kalinka, § 144. Kandydatury pruskie, traktowane w tym czasie z obu stron bardzo seryo, u Kalinki przedstawione, niby wyszane z palca przez Lucchesiniego, który jakoby przez tego rodzaju bezcelowe machinacye usiłował wprowadzić w błąd własnego króla. „rzucić mu przynętę“ (?). Por. z tem jeszcze depezę następcy Lucchesiniego w Warszawie, Goltza, 19 marca 1791: „je crois ne rien hazarder, en assurant V. M. que c'est le vœu bien sincère des deux tiers de la nation de voir un prince de votre maison, Sire, monter un jour le trône de la Pologne“.

laty, po koronę polską był sięgnął Wielki Elektor. Za Augusta III, stronnictwo opozycyjne otwierało na nią widoki Fryderykowi Wielkiemu. Republikanci za ostatniego bezkrólewia, później, w przede dniu pierwszego podziału, Barzanie, ofiarowali ją księciu Henrykowi. Po trzecim podziale, twórca legionów i Dyrektoryat paryski przeznaczają ją księciu Ludwikowi-Ferdynandowi pruskiemu. Po Austerlitzu, najzapaleńsi patryoci pruscy upomną się gwałtownie, aby ją włożył Fryderyk-Wilhelm III. I niejednokrotnie, później jeszcze, ta sama myśl zasadnicza pokutować będzie wśród najodmienniejszych warunków, i przebłytkiwać wśród najrozmaitszych rachub polityki pruskiej <sup>1)</sup>.

Na razie, jesienią 1790 roku, ta myśl, poruszona w drodze najpoufniejszych rokowań między Warszawą a Berlinem, i tutaj, i tam znalazła zaciętych przeciwników. W Berlinie, przy roztrząsaniu tej sprawy w gabinecie królewskim, z gwałtowną protestacją wystąpił Hertzberg, dowodząc, iż naprzód, na kandydaturę pruską w Polsce nigdy nie udzieli zgody Petersburg, ani Wiedeń, iż następnie, co najważniejsza, księżę pruski, obrany królem polskim, będzie w przyszłości, z krzywdą dla swojej pierwszej ojczyzny, poświęcał interesa pruskie dla polskich. Wnioskował stąd Hertzberg, iż najbezpieczniej trzymać się nadal wypróbowanej zasady forytowania Piasta do korony polskiej. To samo zdanie objawił na radzie gabinetowej stary minister Finckenstein, również wychowany w pojęciach Fryderykowych <sup>2)</sup>. Z drugiej strony, w Warszawie, sekret kandydatów pruskich, w głuchych wieściach przechodzący z ust do ust, odbił się bezpośrednio na wyniku współczesnych rozpraw sejmowych w przedmiocie sukcesyi. Wobec wzmożonego oporu opozycji, wypadło zrzec się przeprowadzenia czystej zasady sukcesyjnej i pozostać w granicach elekcyi *vivente rege*. W tym tylko

<sup>1)</sup> Instr. Elektora dla Hoverbecka, 1661. Hist. Ztschr. LXXII; o pomysłach 1745 r., Pol. Corr. IV; o propozycjach Mokronowskiego w Berlinie. 1764 r., mówiliśmy na imię miejscu; o propozycji 1770 r., (Bouillé) Vie priv., polit. et mil. du pce Henri (1809), 160, 165 sq. itd.; o planach 1796 r., Baillet. Sorel itd., pass., por. nowe przyczynki w D. Rundschau. XLV, 37 sq., zastanawiające ze względu na udział Parandiera; niezwykła konferencya Massenbacha z ks. brunświckim, grudz. 1805. Histor. Denkwürd. I (1809), 85 sq.: „wir erklären uns zum König von Polen; diese Krone haben wir in unseren Händen; alle Polen strömen uns zu; diese einzige Handlung kostet Russland Millionen... Diese Idee gibt der Welt eine andere Gestalt, sie befestigt die Dauer des Staates. Diese Idee muss jeden in Anspruch nehmen, der es gut mit Preussen, gut mit der Welt, gut mit sich selbst meint“.

<sup>2)</sup> Memoryał Hertzberga dla króla, 6 września 1790, skierowany w szczególności przeciw kandydaturze ks. Ludwika-Ferdynanda.

ścieśnionym duchu, a z największym jeszcze trudem, udało się poprzeć uchwałę wrześniową, stanowiącą uniwersał do narodu, z zapytaniem o zgodę na wybór przyszłego następcy tronu za życia króla. Niezaspokojona tem opozycya naprzód usiłuje narzucić wyłączenie trzech mocarstw ościennych, potem, nagłym zwrotem, w dniu ostatnim września, przeprowadza zalecenie następcy tronu w osobie elektora saskiego, uprzedzając tym sposobem przewidywane kandydatury pruskie, w pewnym przynajmniej stopniu. Była to ostatnia wybitniejsza czynność dawnego sejmu. Uchwalona w październiku nowa prorogacya i wzmocnienie sejmu do podwójnej liczby posłów wstrzymywało wszelkie ważniejsze materye aż do uskuteczenia wyborów i zgromadzenia w pełni nowego kompletu sejmujących, to jest aż do końca 1790 roku. W Warszawie ucichło. W tym samym czasie, z końcem września, wyjechał stąd Lucchesini. Udawał się na Wschód, jako mediator pruski, dla pokierowania sprawą pacyfikacyi, która, w myśl konwencji reichenbachskiej, po zawartym nareszcie, w połowie września, rozejmie austro-tureckim, miała zostać ostatecznie załatwioną na kongresie mocarstw pośredniczących, zwołanym do Szystowy. Zawiedziony już raz w swoich planach wojowniczych, Lucchesini rachował ciągle, że z nowego swego stanowiska potrafi je na nowej drodze wskrzesić i doprowadzić do końca. Twórca przymierza polsko-pruskiego, reprezentant śmiałych haseł zaczepnego czynu w ówczesnej polityce pruskiej, wyjeżdżał z Warszawy jako mediator pokoju, lecz nie tracąc bynajmniej nadziei, iż wielka akcyja zaczepna, która tej wiosny tak haniebnie zawiodła naprzeciw Austrii, na przyszłą wiosnę odrodzi się z lepszym skutkiem, a w szerszych jeszcze granicach, wymierzona w większego od Austrii przeciwnika — w Rossyę.

Rossya z baczną uwagą, a z rosnącym niepokojem, śledziła zacieśniające się stosunki polsko-pruskie. Cesarzowa Katarzyna nie spuszczała oka z Warszawy i Berlina. W skolataney Austrii nie mając pewnego oparcia, sama całkiem zajęta przez dwie ciężkie wojny, turecką i szwedzką, wszystką swą sztukę polityczną streściła w roztropnem omińnięciu wszelkich nowych powikłań. W tem mądrym postanowieniu niezmiernie atoli krępował ją Potemkin. Wskazaliśmy poprzednio, jak na wiosnę 1789 roku, mimo osobiste jego nalegania w Petersburgu, oparła się stanowczo wykonaniu awanturniczych jego planów. Po wyjeździe księcia ze stolicy, w czerwcu tegoż roku, zaszedł wypadek, dosyć naówczas pospolity, a nie małej w swych następstwach doniosłości. Kreatura księcia Tauryckiego, ulubieniec monarchini, Mamonow, z własnej winy został oddalony; jego miejsce zajął młody Zubow. Tytułem odszkodowania, plan Potemkina, przedstawiony ponownie w lipcu, zyskał częściową approbatę: dozwolone „pomnożenie wojsk

kozackich, do których mogli-by się przyłączyć również i zagraniczni nasi współwyznawcy". Jednak projekt rozpoczęcia rzeczywistej akcji w Polsce, przysłany przez księcia w końcu listopada, zaraz po wzięciu Benderów, chociaż ogólnikowo obsypany pochwałami przez cesarzową, został przez nią znówu wstrzymany, aż do zawarcia pokoju z Portą i powrotnego przemarszu przez ziemie Rzpltej, byle tymczasem „nie nawarzyć gorszej jeszcze kaszy, niż jest obecnie". W grudniu, bliżej roztrząsając polsko-kozackie pomysły księcia, wobec wytrawnego swego sekretarza, Bezborodki, mocniej jeszcze i niechętniej odzywała się o nich Katarzyna. Z kolei przecież, w miarę zaostrzenia się sytuacji od Prus, udobruchany Potemkin ukazem ze stycznia 1790 r., mianującym go hetmanem wszystkich wojsk kozackich, ekaterynosławskich i czarnomorskich, zapewniony został „w zasadzie", że „względem spraw polskich oddawna masz moją approbatę". W marcu tegoż roku, wobec dokonanego sojuszu prusko-tureckiego, dochodzącego prusko-polskiego, nieuniknionej, jak się zdawało, wielkiej wojny prusko-austriackiej na wiosnę, Potemkin zgłosił się z nowym, zupełnie gotowym, planem działań wojennych, gdzie, pod pozorem assistowania Austrii, urzeczywistniał nareszcie swoje własne, tak długo wstrzymywane, zamysły względem Rusi i Polski. Według tego planu, przeciw królowi pruskiemu przeznaczano na ogół armię rosyjską, w sile czterdziestu do pięćdziesięciu batalionów piechoty, stu szwadronów jazdy, oraz odpowiedniej liczby wojsk nieregularnych. Wszakże cała ta potęga nie miała bynajmniej śpieszyć na Zachód, do Prus Książęcych, na Śląsk albo Czechy, dla spowodowania niebezpiecznej dywersji od tyłów, albo też dla połączenia się wprost z armią austriacką. Rzeczywiste działania wskazane były na dołączonej do książęcego projektu szczegółowej mapie Polski, gdzie wykreślona była linia od gubernii Mohylewskiej, aż do Zaslawia albo Brodów. Wzdłuż tej linii, wojska rosyjskie, pozostające pod rozkazami Potemkina, miały za danem hasłem wkroczyć do Rzpltej od Dniestru, Bugu i Dniepru, i zająć trzy województwa: Podolskie, Kijowskie i Braclawskie; jednocześnie „na polskiej Ukrainie zawiązaną zostanie kofederacja współwyznawców naszych, za przykładem tej, która była podniesiona przez hetmana Chmielickiego". Ten plan w zasadzie, przynajmniej co do części czysto wojskowej, zatwierdzony został przez petersburską Radę Państwa. Nie bez wzdrania się i poważnych obaw przykladała się do niego Katarzyna; pokilkakroć, w maju i czerwcu, wyrzuca Potemkinowi, iż zanadto wciąga ją i zabawia na południu, a natomiast zupełnie odsłania od północy, iż mianowicie od ogołoconej granicy pruskiej zostawia wojskom Fryderyka-Wilhelma swobodną drogę na Rzpltą. Tak doczekano się Reichen-

bachu. Konwencya prusko-austryacka, oddalając na razie zatarg, zdjęła ciężki kamień z serca imperatorowej. Uprzedzając przewidywane przyszłe komplikacye, pośpieszyła Katarzyna zabezpieczyć się od północy. Zamiast szukać odwetu za porażkę pod Svenskasundem, pośpieszyła pozbyć się wojny szwedzkiej. Już w miesiąc po tej porażce zawarła pokój z Gustawem III. na łagodnych warunkach przywrócenia stanu przedwojennego. Ten krok ważny i roztropny był dziełem jej własnej, osobistej inicjatywy. „Prowadziłam tę wojnę bez generałów — mówiła z dumą — zawarłam ten pokój bez ministrów“. Traktat pokoju szwedzko-rossyjski, podpisany w Werelā, w połowie sierpnia, dotkliwym był ciosem dla Fryderyka-Wilhelma i Rzpltej, dla Katarzyny ogromną był ulgą. Teraz mogła nieco wolniej odetchnąć. Mogła śmiało zajrzeć przedewszystkiem do zaniedbanych z nusu spraw warszawskich. Zaczęła natychmiast od zmiany swego posła w Warszawie. Stackelberg, zużyty, zupełnie stropiony, a nadto osobisty Potemkina przeciwnik, został poświęcony; jego miejsce, w początku września, zajął układny, wytresowany w Stambule, sprawny i zręczny Bułhakow. Bułhakow odziedziczył po Stackelbergu szpiega w najbliższem otoczeniu Ignacego Potockiego. Tą drogą, już w parę tygodni po przybyciu do Warszawy, mógł posłać do Petersburga najszczegółowsze doniesienie o prowadzonych właśnie naówczas tajemnych rokowaniach z Berlinem w sprawie sukcesyi pruskiej w Rzpltej. Równocześnie, inną jeszcze drogą, przez poufną korespondencyę Stanisława-Augusta z Debolim, posłem polskim w Petersburgu, stale a najdokładniej perlustrowaną przez Bezborodkę, to samo odkrycie doszło do wiadomości cesarzowej. Niezwłocznie przedsięwzięte zostały rozległe środki zapobiegawcze. Bułhakowowi posłano dla rozpowszechnienia w Warszawie zjadliwe „Uwagi o kandydatach do sukcesyi tronu“, zredagowane przez samą cesarzową; zlecono mu podniecać umysły przeciw tej „chimerze“ pruskiej sukcesyi w Rzpltej, skupiać i ośmielać opozycyę, zachęcać ją powoli i ostrożnie do przygotowania przyszłej rekonfederacyi, wszakże bez porywczosci, bez przedwczesnego pośpiechu, gdyż jeszcze nie nadeszła sposobna po temu pora <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Ukaz tajny do Potemkina, 17 lipca, pisma cesarzowej do tegoż, z tejże daty i 22 lipca 1789; „Plan ks. Potemkina o werbunku wojsk narodowych w Polsce i utworzeniu konfederacyi“, z własnor. uwagami cesarzowej, ogł. w Russ. Arch., 1874<sup>2</sup>, bez daty=9/20 listop. 1789; Katarzyna do Potemkina 26 listop., 6, 13 grud. 1789; tutaj odnosi się jej kartka do Bezborodki, w Sborn.



Istotnie, pora jeszcze nie była sposobna. W tem miejscu, na granicy 1790 a następnego roku, nadchodziła dopiero pora nowego przesilenia. Po nieudanej rozprawie Prus z Austryą, nadchodziła godzina roz-

XLII, 99, mylnie wydrukowana wśród papierów 1790 roku: Bezborodko do Woroncowa, 31 grud. 1789; ukaz o hetmaństwie, 21 stycznia 1790: Katarzyna do Potemkina 17 lut., 12 marca 1790; Plan Potemkina, „środki przeciw Polsce“, 18/29 marca 1790, Russ. Arch., 1865; Protokół Rady Państwa 22 kwietnia 1790, Arch. Gosud. Sow., I, 775 sq.; Bezborodko do Woroncowa, 30 kwiet. 1790, z wyszczególnieniem planu Potemkina i prośbą o spalenie tego pisma po przeczytaniu, Arch. Woroncowa, XIII, 181 sq.; Katarzyna do Potemkina, 19 kwietnia, 25 maja, 12 lipca, 20 sierpnia, 9 września, 11, 19 października, Russ. Star. XVII, 411, 638 sq.; do Zubowa 25 sierpnia, Sborn. XLII, 94; do Grimma, 5 lipca, podczas negocjacji reichenbachskiej: „mr Gu(illaume) der dumme Tölpel ist grob und mit seinen drei angetrauten Weibern il a Pair d'un fils de parvenu auquel son père a laissé une maison opulente et qui,.. se croit tout permis, der dumme Teufel. Nu, nu, das wird auch wohl einmal ein Ende nehmen, Gott der Herr wird ihn strafen, das ganze Gebäude ruht ja nur auf der Sandbüchse und wird auch wieder zu Sand und Staub werden... die Hetzhunde haben sich schon einigermassen vergafft und mit der Nase an der Wand gestossen“. Katarzyna do Bułhakowa, listopad 1790 (to ważne pismo ogłoszone w Sborn., XLVII, 233 sq. z niedatowanego własnoręcznego brulionu cesarzowej, i mylnie odniesione przez wydawców do 1792 roku. Zwracamy uwagę przy tej sposobności, iż dokumenty najpierwszej wagi, ogłoszone w tem wydawnictwie, często szwankują pod względem ścisłości edytorskiej i wymagają ciągłej korekty od czytelnika): „wściekłość marszałka lit. (Ignacego Potockiego) względem Rossyi dosyć już była jawną od początku tego sejmku, lecz dotychczas nie można było przypuszczać, że jest on takim samym zbrodniarzem względem swojej ojczyzny, jak okazuje się z przysłanego przez Was jego nowego planu obrania króla pruskiego, lub któregokolwiek z tego domu na następcę tronu polskiego“; jest tu ciekawa wzmianka o rozmowie prymasa, bawiącego wówczas w Genui, z tajemcznym agentem rosyjskim. Lizakiewiczem, o zamiarze Stanisława-Augusta złożenia korony i wyjazdu do Włoch po załatwieniu sukcesyji pruskiej: por. Katarzyna do Potemkina, 12 listopada. — Co się tycze szpiega w otoczeniu Ignacego Potockiego, sądzi Kalinka, Ost. lata, iż odkrył go w osobie Pasandiera; mamy pod tym względem poważne wątpliwości, a nawet żywy uzasadnione podejrzenia co do innej zgoła osoby, której nazwiska jednak nie podajemy jeszcze, póki tej suspicyi nie zamienimy w pewność. — O stałej perlustracji korespondencyi Debolego, ob. szczegóły w piśmie Bezborodki do Potemkina, 27 września 1791 roku. Sborn. XXVI.—Remarques sur les candidats proposés pour la succession au trône de Pologne (to piśmo znaleźliśmy w kopii wśród papierów Bułhakowa: że jest pióra Katarzyny, wniosujemy ze słów jej listu do Bułhakowa, listopad, 1790: „poslano Wam moje uwagi o kandydatach do tronu polskiego“): „l. *L'Electeur de Saxe*. C'est un pce bon, mais faible et indécit qui aimera toujours infiniment plus la Saxe que la Pologne, et qui au fond de son coeur souhaitera toujours de rendre la couronne de

prawy Prus z Rosyją. Nowa przewaga oręża rosyjskiego na Wschodzie—upadek Izmaila w grudniu 1790 r., — znowu przyśpieszyła rozwiązanie. W styczniu 1791 roku poseł pruski w Petersburgu, w towarzystwie posła angielskiego, złożył rządowi cesarzowej zwięzłą notę, żądającą przywrócenia przez Rosyję *status quo* na Wschodzie. Było to dosłownem powtórzeniem Reichenbachu. Ale jasnym było, iż Petersburg nie jest Reichenbachem, że Katarzyna nie zechce, ani nawet nie będzie mogła, zdobyć się na uległość Leopolda. Tym razem chyba winno było dojść do zbrojnego starcia. Z ożywioną nadzieją w dalekiej Szystowie, nasluchiwał Lucchesini groźnych pobrzękiwań szabli pruskiej na granicy rosyjskiej <sup>1)</sup>. Już wdychał bohaterskie „powietrze z Sanssouci“, już widział sławne dni Frankfurtu, Zorndorfu, powtórzone dla „nędzynych Scytów, zepsutych przez fortunę“. Chwila była stanowcza. Więcej — była jedyna.

Rozprawa orężna z Rosyją, zapowiadająca się na wiosnę 1791 r., to była jedyna już, ostatnia szansa wielkiej, europejskiej polityki Prus, w wielkiem, europejskiem przesileniu kończącego się stulecia. Była to zarazem jedyna już, ostatnia szansa polsko-pruskiego przymierza. To przymierze, w chwili zawarcia, skoro tamta wielka polityka pruska gotowała się do skoku, do czynu, było dla niej niezbędnem. Od chwili

Pologne successive dans sa maison. 2. *Le duc de Brunswic*. Est un pce artificieux et faux, il l'est vis-à-vis de la femme de ses enfans, il l'a été vis-à-vis de son oncle, de son père, de sa mère; c'est un capitaine d'ailleurs illustre, accoutumé à mettre à la raison les républiques, témoin son expédition en Hollande, où il n'a pas assurément soutenu les intérêts de la liberté... 3. *Le second fils du roi de Prusse*. Est un pce malinge. Tout fils ou cousin de cette maison restera parfaitement sous la tutèle du Roi de Prusse; outre cela ils sont nés et élevés protestants et dans les règles de gouvernement d'un état despotique militaire. 4. *Le landgrave de Hesse-Cassel*. Est protestant, fort riche en argent, d'un esprit borné et farouche, haï de ses sujets à cause de ses qualités personnelles qui ne sont ni douces ni aimables. 5. *Le second fils du roi d'Angleterre, le duc de Iork*. Il est tout aussi crapuleux pour la conduite que son frère aîné (regent), presque toujours malade ou exerçant des troupes, et serait sous la double tutèle de la Prusse et d'Angleterre. Est peut-être de tous les autres candidats le plus mauvais. Un beau matin il s'enfuirait de Varsovie par caprice tout comme Henri III<sup>e</sup>.

<sup>1)</sup> Lucchesini do Götza (agenta wojskowego w Stambule), 24 styczn., 14, 20 marca 1791: „Dieu veuille que nous conservions ce ton belliqueux qui nous convient. Il faut absolument se venger des mensonges de ces vilains Scythes qui, gâtés par la fortune, ont oublié les journées de Francfort et de Zorndorf... J'ai trop longtemps respiré l'air de Sanssouci, j'ai trop à l'esprit ce que l'armée et le cabinet prussien ont fait pendant cinquante ans“.

reichenbachskiego zawodu, skoro pierwszy czyn nie dopisał, straciło dla Prus połowę wartości, i wstąpiło w okres tajnego jeszcze rozkładu. Skoro teraz czyn zawiedzie po raz drugi i ostatni, stanie się ono dla Prus w całości zbytecznym, skoro zbytecznym—uciążliwym; skoro zaś takie — dojrzeje do zerwania.

SZYMON ASKENAZY.

---

# MIR A Ż E.<sup>1)</sup>

POWIEŚĆ.

## IV.

Droga, wiodąca z miasteczka do cukrowni, zatłoczona jest furami, pełnemi buraków. Jest to pora jesienna, w której w fabryce wre „kampania“, to jest, właściwy przerób surowego produktu na cukier. Woźnice kłócą się i krzyczą, każdy chce pierwszy wjechać na wagę, i po sprawdzeniu ciężaru, złożyć ładunek w buraczarni, aby jak najprędzej wrócić do domu. A tak, czekając swej kolei, nie jeden pół dnia zmitręży. Przychodzi też między nimi do starć i krwawych bójek. Umyślnie postawiony stróż przyprowadza kłótliwych do porządku:

— Hej, ty, z Jakóbowic, nie pchaj się, stój spokojnie. Pilnuj się kolei...

— Antek, durniu, gdzie liziesz?! przepuść Jakóbowickiego... koleją, koleją!...

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt styczniowy.

Im bliżej fabryki, tem się hałas zwiększa. Przez otwarte okna płynie turkot, szczepek, krzyk i głuche, rytmiczne uderzenia maszyn. Ochrypli głos robotnika przy dyffuzorze powtarza co czas pewien: „Pierwszy na dół!“

Po podwórzu, lotem strzały, migają postacie w lichym stroju, zasłaniając rękoma niedobory. Napelnione wytłoczynami buraczauemi wózki przesuwają się po szynach, ociekając wilgocią.

Tunia przeciska się szosą. Dozorca zna ją i, zdejmując czapkę, toruje drogę. Wymijając dziedziniec fabryczny, dziewczyna kieruje się ku wzgórzom, na których stoją w ogródkach drewniane domki dla urzędników.

Odkąd ojciec Jadwini dostał posadę w cukrowni, Tunia często przebywa tę drogę, choć babka niezbyt chętnie ją puszcza, i za każdym razem, niewiadomo dlaczego, powtarza: „Niech lepiej Jadwinia do ciebie przychodzi“. Ale ta nie może wydaleć się, zostawiać domu na opiece służących.

Tunia wchodzi do skromnie urządzonego pokoju. Pod oknem stoi Jadwinia z książką. Całują się na przywitanie i siadają razem na kanapie.

— Cóż? — pyta Tunia.

Jadwinia wzrusza ramionami:

— A nic.

Potem, jakby ze złością, mówi:

— Pracowałam, jak wół, od rana, teraz dopiero mam trochę czasu i kończę na gwałt książkę, aby ją doczytać przed zmierzchem. Wydawałam bieliznę do prania... zmęczyło mnie to, znudziło, fe!... Już ja tam dobrą gospodynią nie będę!.. Ah, głupiol..

Dodaje po chwili:

— A ty?

Tunia odpowiada niechętnie:

— To samo. Do południa miałam lekcję... Zirrytowały mnie te bębny, nic nie pojmują,.. jeden w drugiego głąby, że aż rozpacz... Potem wzięłam „Psychologię“ Höffdinga... przeczytałam 40 stronic... Potem grałam — wiesz, to cudne rondo Chopina. Potem, na podwieczorek, przyszła do babci sędzina i regentowa. Pokazywały jakieś robótki, a potem zaczęły nade mną wydziwiać: „A panna Tunia tak ładnie rośnie... a po co to panuie Tuni ślęceć nad książkami? Przecież nauczy-

cielką nie będzie, radca dobrodziej da posazek w swoim czasie“... Znu-  
dziły mnie baby, uciekłam do ciebie...

Zapada cisza. Przerywa ją jednostajny ruch zegara i oddalony,  
przytłumiony gwar fabryczny.

Jadwinia szepece zwolna:

— I codzień to samo! to samo! to samo!

— I nic!..

Z rozpaczliwą rezygnacją wyrzuca Tunia te słowa. Zrywa się  
i zaczyna biegać po pokoju. Świat w takich cudnych barwach rysuje się  
zdaleka. Taki szeroki... tyle można na nim dobrego zrobić dla innych  
i siebie! Staje przy oknie. Duże pole: niegdyś były tu kartofle, obecnie  
długim pasem bieżą kopce, w których przechowują buraki. Między  
kopcami przesuwają się sylwetki, ale w półmroku trudno odgadnąć,  
kto to...

— Jak tu ciasno! — szepece Tunia. — Jak tu szaro! szaro! szaro!

Jadwinia nie odpowiada, ale nerwowo, wściekle gryzie zębami  
chusteczkę.

— Szczęśliwa ta Zosia! — mówi dalej Tunia. — Ona nie czuje nic  
z tego. Byłam u niej wczoraj. Zawsze w dobrym humorze. Czyta, po-  
maga matce w gospodarstwie, kokietuje chemika, aptekarza, albo i te-  
legrafistę...

— Niewybredna! — mruczy przez zęby Jadwinia.

— Byle co jej wystarcza. Nie to, co my... Miałam list od Kazia  
pisze, że na wakacje przyjedzie ze Stachem... Ładna pociecha!.. a tym-  
czasem cały rok choć się wścieknij!..

Na słowo „Stach“, śniadą twarzą Jadwini oblewa łuna.

— Co pisze jeszcze Kazio o sobie... i o Stachu?..

— Dużo! Dobrze im — pracują, działają... żyją!

— A my, Boże mój, a my...

Tulą się do siebie, dławiąc łzy. Dusze ich, aż do bólu, rwą się da-  
leko, daleko... Mrok zapada coraz gęstszy... Dokoła w oknach zapala-  
ją się światła... odzywa się gwizdanka w fabryce, przypomnienie dla noc-  
nej partii robotników, aby się szykowali „na zmianę“. Tu i owdzie  
migają latarki śpieszących w różne strony ludzi. A w pokoju cicho, ci  
chutko.

— Chciała-bym, — bełkocze Jadwinia jak przez sen, — chciała-bym  
być kochaną...

Przymyka oczy i pieści w wyobraźni widno jakiegoś wielkiego, bezgranicznego uczucia.

Tunia wydyma pogardliwie usta.

— Phi, także! Są inne, lepsze rzeczy...

Co tam miłość! To słabość!.. Nad uchem jej unoszą się poszarpane wątki jakichś melodi, prowadząc widma czegoś wpółrozwiejnego, przeczuwanego, wyśnionego może...

— Nie,—przeży Jadwinia.—Tylko być kochaną. Ty nie wiesz, jak to dobrze... nie umiesz ocenić, bo masz od dzieciństwa. Ale ja, com się wychowała bez matki...

I porwana nagłą potrzebą zwierzeń, zaczyna opowiadać smutne dzieje swego dzieciństwa. Wiecznie na opiece sług obojętnych, niekiedy znęcających się nad nią... wiecznie raniona ich brutalnym śmiechem i grubijańskim postępowaniem. Ojciec, nieobecny albo milczący... puste, smutne pokoje, odarte z miękkości i ciepła — oto jej wspomnienia najdawniejsze...

— Sama! sama! Czy mnie kto kiedy pogłodził po głowie? Czy mnie kto kiedy spytał: dlaczego jesteś mizerna? dlaczego smutna? czy cię co boli? Nigdy! Widziałam, jak inne matki pieścżą dzieci... ileż razy babka ciebie całowała... tyś się otrząsała niecierpliwie... pamiętasz? Buntowałam cię: „Nie daj się! nie bądź babą!“ A tymczasem sama lzy polykałam. Wieczorami tuliłam lalkę i mówiłam do niej tak, jak babka do ciebie... a potem płakałam, że do mnie rikt tak nie mówi.

W duszy Tuni, niby olbrzymie, kiedyś mające odezwać się echo, ryją się słowa:

— Sama! sama!..

Przyciska usta do ust przyjaciółki i tuli ją do siebie.

— Czekaj, pokażę ci portret mojej mamy.

Z głębi skrytek panięskich wydostaje Jadwinia spłowiełą już fotografię. Zapala świecę i przybliża do niej wizerunek pięknej, zmysłowej twarzy kobiecej.

— Jaka ona cudna, prawda?

— Śliczna! — szepcze Tunia.

— Moja matka, mameczka... ona mnie kocha, dowiadywała się o mnie, ale ojciec nie chce pozwolić, żebym do niej jechała, a ona biedna nie śmie się upomnieć. O moja droga, biedna mamó, gdybyś ty wiedziała, jak ja cię kocham!

Przyciska namiętnie usta do papieru.

— Cóż twój ojciec? — pyta Tunia.

— Nic...

Walczy z sobą przez chwilę, potem stłumionym głosem dodaje:

— Widziałam ouegdaj, jak całował naszą kucharkę.

Dziewczyna zrywa się wstrząśnięta, jak gdyby wymierzono komuś policzek.

— Co mówisz?!

— Oni mnie nie widzieli... cofnęłam się cichutko... i nie wiedzą...

Milczy przez chwilę.

— Ojciec potem chodzi jak nie swój. Unika moich spojrzeń, i całymi dniami przesiaduje w kantorze. Ale cóż! Wiem, że to nieuniknione, czytałyśmy przecież... ale tak przykro... nie mogę go już szanować bezwzględnie.

Wybuchła nagle:

— O Boże, wyrwać się stąd, za jakąkolwiek cenę, gdzieś daleko, w świat! gdzie-by było jasno, ciepło, gdzie-by mnie kochali i gdzie-bym ja kochała!

Przytulone do siebie, patrzą gdzieś w mroki. Noc jesienna zagląda złotem gwiazd. Księżyc blade oświeca drogę, pola, wstające mgły pod lasem. W dali fabryka krwawo płonie pięciu rzędami okien, piszczy, sapie, huczy...

Gwizdawka odzywa się powtórnie. Jadwinia zrywa się, zapala lampę, nakrywa do stołu. Ojciec za chwilę przyjdzie na herbatę.

Przychodzi milczący, ze spuszczoną głową, niespokojnie lypiąc oczyma, gdy go Tunia o coś zagadnie. Zaraz po herbacie, zmęczony pracą całodzienną, udaje się na spoczynek. Dziewczęta zostają w jałdani, czytają wspólnie jedną z przysłanych im przez Kazia książek robią notatki, streszczają.

Nareszcie zjawia się służąca Gwoździckich. Wtedy Tunia żegna przyjaciółkę i wraca do domu.

Pewnego wieczora strzela jej do głowy wybryk. Gdy Wyszyński spać się położył, zarzucają chusteczki i wymykają się do fabryki. Na progu ogłusza je hałas, oślepia światło, miesza widok kilkuset ludzi, biegnących tak pilnie, jak gdyby od ich pośpiechu zależało, co najmniej, zbawienie świata. Lampy elektryczne zlewają strugi jasności na potężne kształty maszyn. Obracające się koła, tryby, elewatory



wznoszą unisono olbrzymią, łoskotną pieśń pracy. Pieśń to, co podnieca — nie niezdrowem zdenerwowaniem miłośnych śpiewek, lecz jakimś zelaznem podnieceniem — pieśń to, co hartuje i nasuwa obrazy gromowych, wiekopomnych czynów.

Zaledwie dziewczęta wchodzą na salę, już je spostrzeżono. Dyrektor zbiega ze schodów i uprzejmie zaprasza dalej. Zjawia się kilku młodych urzędników, zwabionych nadzieją miłego towarzystwa. Oprawdają ostentacyjnie panienki po salach, tłumaczą przeznaczenie maszyn, kotłów, aparatów, pasów. Ze wszystkich stron biegną ku nim ciekawe spojrzenia robotników.

Kończą wreszcie wędrówkę w ustronnym gabinecie na pierwszym piętrze, gdzie jest trochę chłodniej i ciszej. Jest to właściwie sala rysunkowa. Od stołu powstaje młody człowiek. Przedstawiają go, jako inżyniera, który przybył w celach technicznych na dwa tygodnie.

Ogólne wrażenie, które wywarł na Tuni, streszcza się w trzech poszczególnych: że ma na imię Antoni, że ma śliczne szare oczy, które umie spoglądać na przemian czule i zuchwale, i że od pierwszego zdania, z nią zamienionego, w którym uskarżał się na okropne nudy tutejsze — nie odstąpił jej ani na krok.

Jadwinia zostaje w otoczeniu panów. Ona odchodzi w głąb fabryki z inżynierem. Rozmawiają o głupstwach, ale, ponieważ hałas okropny, muszą się nachylać do samego ucha, co nadaje inny koloryt rozmowie. Po godzinie są ze sobą jak starzy znajomi. Niema jednak między nimi wzajemnego zaufania, lecz przeciwnie, ciągła uwaga i odporność, jak we wszystkich stosunkach, w których obie strony zanadto pamiętają, że są — mężczyzną i kobietą.

Dziewczyna opiera się o galeryjkę w dość ponętny sposób (nie wiadomo kiedy i skąd rodzi się w niej chęć do pozowania, kokieterya...), udaje, że chce zeskoczyć na dół sali, i stawia nóżkę na sztachetach. Pan Antoni przytrzymuje ją za rękę, zapewnia, że nie pozwoli na to, przyczem dość mocno ścisną rączkę. Tunia usuwa się i chce zawrócić.

— Dokąd?

— Jadwinia czeka.

— Jadwinia nie zatęskni bez pani. Nie puszcze, słowo daję, nie puszcze pani...

Zagradza jej drogę i topi w jej oczach śmiejące się a błyszczące spojrzenie. Jakkolwiek mocno jej to pochlebia, Tunia udaje obrażoną.

— Cóż to takiego? proszę bardzo! panie Antoni!

Przechodzi dumnie, on postępuje za nią pokornie, ale widać, że nic a nic nie wierzy jej urojonym gniewom.

— Będę miał zaszczyt odprowadzić panie, — mówi, gdy dziewczęta wychodzą. — Zdaje mi się, że sąsiadujemy z panną Jadwigą.

Ale gdy stoją przed domem Wyszyńskich, oznajmia, że będzie towarzyszył Tuni. Dziewczyna, wciąż udając obrażoną, odrzuca tę propozycję, on jednak wcale na to nie zważa. Idzie obok niej; służąca, zaspana, wlecze się o kilkanaście kroków z tyłu. Cóż ma robić biedna Tunia? Rozchmurza się z konieczności, a w rozmowie, która przybiera obrót bardzo majorowy, dźwięczy może wszystko, oprócz — gniewu...

Księżyc przyświeca jasno, i nie wiadomo jakim, psychicznym chyba, pobudkom przypisać należy, że pan Antoni idzie tuż obok Tuni... tak blisko, że nieraz ją potrąca, co za każdym razem wywołuje z ust jego okrzyk: „ach, pardon!..“

— Kiedyż pan nas opuści?..

— Rad-bym jak najpóźniej...

— Dopiero co uskarżał się pan na okropne nudy?

— Do dnia dzisiejszego...

— Czyż-by dziś zaszła taka zmiana?

— Radykalna zmiana! — odpowiada inżynier, i tak się zapatruje na Tunię, że wpada na nią zupełnie.

Zbyt mało jeszcze otrzaskana z podobnemi rozmowami, Tunia milczeniem odpowiada na zbyt przezroczyście alluzyje. Przytem, ten inżynier ma dziwny sposób mówienia: albo czułości wygłasza tonem, jakim się mówi o przeszłorocznym obiedzie, albo drwi sobie, a oczy wołają co innego...

Stają przed domem. Antoni ściska jej rękę tak gorliwie, jak gdyby nie miał w życiu innego powołania, nad łamanie kości ludzkich...

— *Au plaisir de vous revoir...* Kiedyż panią zobaczę?

— Pan wyjeżdża...

— Zostanę...

— A Warszawa? Nie żal jej panu zamieniać na tutejsze towarzystwo?

— Jeśli towarzystwo będzie przy dobrych chęciach,—odpowiada, kłania się i szybko znika.

Dziewczyna kładzie się do łóżka z bijącym sercem, a głową w ogniu. Więcej, niż słowa, podniecają ją niedopowiedziane półsłówka,

i te spojrzenia marzące a żartobliwe... Rzuca się pod kołdrę, spać nie może. Chciała-by tańczyć, śpiewać, a nadewszystko biedz, biedz bez końca... nieruchomość jej cięży. A tu babka, słysząc skrzypienie łóżka, woła ze swej sypialni:

— Tuniu, co ci to, moje dziecko? Czyś chora?

Udaje śpiącą i, siląc się na spokój, z drżeniem czeka jakiegoś dalszego ciągu... I dalszy ciąg przychodzi. Antoni czatuje z okien fabryki i, ilekroć zobaczy ją na szosie, wybiega i odprowadza do Jadwini. Nie wielką oni tam muszą mieć robotę... dość jej ukazać się na łące, aby się zjawił ze zwykłemi żartami na ustach, a rozmarzeniem w oczach. Łażą po wzgórzach, zasłanych świeżą zielenią jesiennej trawy, upstrzonych tu i tam wysokimi sosnami. Tunia patrzy w niebo, śmieje się: Antek, błaznując, wyciąga wstążki z jej warkocza, wrywa kwiaty z ręki... Czasem powie coś, co kolnie do żywego. Oznajmia na przykład niedbale, że ma cały sklep wstążek i różnych pamiątek panińskich, że różami od swych wielbic elek kazał siennik wypchać... To zraża... A potem bierze jej chustkę, gładzi nią sobie twarz i całuje ukradkiem... Ma tyle wdzięku w każdym poruszeniu... Nazywa ją pieśczośliwie panną Tunieczką, albo drogiem dzieckiem. Śpiewa piosnki, których umie moc i, zaglądnając jej w oczy, wdycha:

A teraz mnie zapytujesz,  
Czy twa buzia słodka?  
Oj, filutko, ty wiesz o tem...  
Oto trzecia zwrotka...

Tunia zżyma się, dąsa niby, ale to ujmuje... On bierze ją za obydwie rączki i patrzy w oczy, w te duże, czarne oczy.

— Panie Antoni, cóż to takiego? Proszę puścić! — Wysuwa się gniewna, odwraca...

Sprawił sobie okarynę i po całych dniach wygrywa:

Moje ty drogie dziewczę figlarne,  
Czemu twe oczy są takie czarne?

albo:

Dziewczę, z buzią jak malina,  
Twoje oczy gwiazdy dwie...

A Tunia, po całych dniach rozmarzona, błądzi palcami po klawiszach i powtarza cicho za melodyą:

Z tobą gwarzyć, z tobą marzyć,  
W cichym kątku z tobą śnić...

Gdy parę dni jej nie widzi, p. Antoni zaczyna się kręcić po ulicach miasteczka. Kiedyś, ciepłym wieczorem, grała przy otwartych oknach. Gdy skończyła, dał jej delikatne brawo... Odskoczyła zaczerwieniona... nie przypuszczała, że ktoś słuchał, a do tego jeszcze on... Podszedłszy pod sam dworek, szepnął, że późno już, można się zająć... Tunia zatrzasnęła okiennice... A kroki ciągle rozlegały się po bruku.

— Spać! spać! — wołał do promienia światła, który wybiegał przez szczelinę...

— Co za zuchwalstwo! — szepcze dziewczyna, usiłując sobie wmówić, że jest oburzoną.

A krew uderza do głowy, a coś wiruje w duszy...

Dzień ma dla niej dwie połowy. Jedną senną, nudną, cichą — do godziny 5-ej lub 6-ej, gdy idzie do Jadwini... i drugą — jasną, pełną, żywą, która jest treścią całego dnia, — kiedy spotyka jego, rozmawia, dokazuje...

— Jaki nasz stosunek jest płytki! Nie oparty na żadnej głębszej myśli. Nie rozmawialiśmy nigdy poważnie! On może i nie umie! — napomina sama siebie, zajrzawszy do zbiornika typów wzorowego postępowania panien z młodymi ludźmi. Postanawia być sztywną, zmrozić go spojrzeniem... Ale gdy go widzi, wszystkie, z góry powzięte postanowienia, pierzchają. Łobuzują znów, jak przedtem...

Prawdziwie rozkoszne dni następują, gdy stary Wyszyński wyjeżdża za interesem fabrycznym i Jadwinia zostaje sama.

Babka pozwala Tuni nocować u przyjaciółki. Zostają we dwie na gospodarstwie i używają swobody do syta.

Jesień, jak na szczęście Tuni, jest wyjątkowo ciepła i pogodna. Przy końcu października chodzą w kretonowych sukienkach.

Antek co wieczór podchodzi pod ich okno i słumione rozmowy przeciągają się do północy. Namawia je do spaceru. Tak ładnie... księżyc świeci... Boją się, obudzą służącą... Młody człowiek wyciąga ręce i jedną po drugiej zsadza z okna. Przy tej okazji usta jego błądzą gdzieś w okolicach warkoczy Tuni...

— Co my robimy! co my robimy! — jęczy Jadwinia, w gruncie ogromnie zadowolona z tej nocnej eskapady.

Tunia milczy. Nadmiar wrażeń ściska jej wyrazy. Antek idzie tuż obok i plecie głupstwa. Mogła-by pomyśleć, że Bóg wie, jaki zakochany. Ale nie! ona wie, że to wszystko udawanie, zabawa... Bałamut! chce jej zawrócić w głowie. Ale mu się nie uda... Zabrał jej rękawiczki. Co to ma za sens! I te ciągle nachylania się nad nią!. Po co on ustawicznie łapie ją za ręce? Posłał jej raz zdaleka półgłębny pocałunek ustami. Myślał, że nie widziała... ale ona wszystko widzi... Jak on śmie!..

Obraża się ciągle i ciągle się godzą, i stosunek płynie coraz dalej, coraz dalej, snując się tysiącem drobnych, nic nieznaczących szczegółów, które wszakże jeden po drugim zapisują się w sercu Tuni i utrzymują w stanie ciągłego rozmarzenia.

Pod jego wpływem zaczyna rozkwitać. Oczy nabierają niezwykłego blasku...

Konająca jesień tworzy przepyszne tło tego poematu. Żłoto i czerwień kapie z drzew naokoło, rozpala bogactwo lśniących, świetnych barw. Codzień przebywając tę samą drogę do Jadwini, Tunia rozważa, ile liści ogołociło gałęzie, ile zieleni ubyło w trawie, ile srebrzystych nitek buja około pni... Z każdym niknącym listkiem ucieka jeden dzień ich miłości, a ma dziwny przesąd, że skończy się ona z końcem tego sztucznego ciepła... Rozważa, dopóki nie wyrasta przed nią nagle Antek. Wtedy wszelkie rozumowania, wesole i niewesołe, topią się w jednym wykrzykniku: *on!*

— Kopę lat nie widziałem,—mówi, i odrazu bierze jeden z prześlicznych, biało-liliowych astrów, które Tunia trzyma w dłoni.

— Cóż to znowu za rozbój na publicznej drodze?

— Przecież to dla mnie.

— Także zarozumiałość! Jak pan chce mieć kwiaty, to proszę samemu narwać.

— Mnie zawsze panny przynoszą...

Tunia odwraca się i odchodzi.

— Jeden,—mówi przyciszonym głosem, idąc za nią—jeden tylko kwiat jest tu, który chciał-bym zerwać i mieć na wieki...

Dziewczyzna spuszcza oczy, czuje, jak wzrok Antka ślizga się po jej oczach, ustach, obiega całą postać i wraca znów do oczu. Drżenie nią wstrząsa.

Prawie nieprzytomna, wpada do Jadwini. Nawpół ze wzruszeniem, nawpół ze śmiechem, tuli głowę w jej ramionach, i zaczerwienioną buzią ukazuje Antka, który zwolna oddala się do fabryki.

- Tylko, Jadwiniu, jeśli ty komu kiedykolwiek powiesz!..
- Nigdy, nikomu!
- Przysięgnij!
- Jak matkę rodzoną kocham.
- Pamiętaj... ani Zosi... och, szczególnież Zosi...
- Nikomu! przecież przysięgam.

Wtedy, palona potrzebą zwierzeń, zaczyna szeptać przyjaciółce, gdzie się spotkali, co on mówił, co ona mówiła... Przeplata wykrzykami: „Ach, jaki on śliczny! Tylko nie myśl, że ja się w nim kocham! cóż znowu!“

Jadwinia słucha z pobłażliwym uśmiechem. Trochę ją nudzi ta bierna rola, ale, koniec końcem, Antek jej się podoba, a zniewala prawie do służenia im za anioła opiekuńczego. Kobieta wiele odmówi przyjaciółce, ale nigdy — mężczyźnie, który ma jej łaski...

Babka trochę zrzędzi:

— Co ty tak ciągle latasz do tej Jadwini? Niech-by ona przyszła do ciebie!

Tunia staje niepewna... Czy jej nie puszczą? i dzień dzisiejszy będzie stracony?

— Jadwinia nie może wydaleć się z domu, — powiada cicho, po chwili dorzuca: — To mogę iść?

— No idź już, idź!..

Babka zrzędzi, ale w gruncie pragnie, aby droga wnuczka się zabawiła. A Tunia pędzi, jak strzała. Prędej, prędej! nie stracić ani minuty, ani sekundy!..

I znów nadchodzi wieczór. Kończą się roboty, ludzie rozchodzą się po domach, jedzą kolacye. Gdy cała osada tonie we śnie, otwierają okno. Natychmiast zjawia się Antek... ten nie spaźnia się nigdy Wyciąga już ręce, aby je zsadzić z okna. Dziewczęta wzdragają się, udają, że nie wypadają. Wtedy on, spacerując na ścieżce, wyprawia komiczne miny: udaje, że się chce wieszać, że podrzyna sobie gardło... Aż w końcu młodość i chęć figlów zwycięża. Wychodzą, zaczynają się znów żarty, gonitwy po ogrodzie... ciągle pst! pst!..

— Cicho, cicho!.. Jeszcze kto usłyszy.

— Nikt nie usłyszy! — zapewnia Antek i, prawdopodobnie dla nadania większej wiarogodności swoim słowom, podsuwa twarz pod twarz Tuni.

— No, panie Antoni, co to takiego!..

— Chciałem zobaczyć, czy pani ma nosek podrapany... Jak Boga Kocham!

— Obejdzie się bez troskliwości!..

— Panna Tunia się gniewa... Uuu!.. będę płaka!.. O,—przerywa sobie nagle, — nowe wstążeczki we włosach... Trzeba je obejrzeć!

— Tylko niech pan znów nie wyciąga, bo babcia będzie krzyczeć!

— Jedną...

— Nie, doprawdy, to nie ma sensu!.. Pan chyba chce tandeciarzem zostać. Wczoraj spadł mi gałganek, którym miałam obwinięty palec... i to wziął!

— Bo na tym gałganku była krew pani...

— Niech pan lepiej nie wyprawia głupstw.

— Już nie nie powiem!

Drzewa rzucają długie smugi cienia po osrebrzonym piasku. Cicho dokoła. Tylko fabryka błyszczy rzędem świateł, huczy i wzdycha...

Coś w rodzaju pierwszej miłości...

Aż wreszcie przyjeżdża Wyszyński. Kończą się piękne, niepowrotne noce księżycowe, które w duszy Tuni pozostają na zawsze wspomnieniem swawolnem i rzewnem zarazem... coś, niby obraz rzyśk, niby bukiet liliowych astrów, niby wilgotna woń jesiennych zmierzchów...

Nadchodzą pierwsze szrony. Co rano, gdy wybiega przed dom, mróz ją szczypie w policzki. Ostatnie bratki i lewkonie opadły powarzone na ziemię. I naraz dowiaduje się, że Antek odjeżdża...

Wezwano go niespodziewanie do Warszawy. Z nowiną tą przybiega Jadwinia. Zdyszana, czerwona, szepcze jej na ucho z ostrożnościami:

— Musisz przyjść do mnie koniecznie...

A Tunia, która właśnie odbywa lekcye z dziećmi, staje, jak skamieniała. W głowie zaczyna jej huczeć myśl:

— Odjeżdża!

Zaledwie jest w stanie zakończyć zajęcia. Przy obiedzie babka zwraca uwagę na jej gorączkowe zachowanie i zaczyna się niepokoić. Tunia nic nie je... pewnie się zaziębiła... Ciągle biega po dworze, a tu mróz już nie na żarty!...

Dziewczyna z wysiłkiem przetyka kawałek pieczeni. Śledzi wskazówki zegara... ach, jak ten czas się wleczel! Dusza jej rwie się tam...

W mękach doczekuje się chwili, kiedy zwykle odwiedza Jadwinę. Babka pozwala, ale patrzy na nią podejrzliwie. A niech tam! przecież to już po raz ostatni... Biegnie bez pamięci.

— Odjeżdża... — powtarza po raz setny. Jutro nikt jej śledzić nie będzie z okna fabryki... nikt nie wyjdzie na jej spotkanie... nikt nie powita jednym z tych nic nieznaczących słów, które przecież tak ich związały z sobą... Ani jutro, ani nigdy!..

Zima. Wiatr ostry, przejmujący, niebo szare... dziwnie nastraja dzień ten do pożegnania...

Antek nadchodzi, jak zwykle. Witając się wesoło, zaczynają żartobliwą pogawędkę. Punkt honoru — nie zdradzić żadnego wzruszenia.

— Tak więc, o szóstej bryczka zajeżdża, pan Antoni siada i adiu Fruziu! — mówi on, patrząc z boku, co ona na to.

Ona ze śmiechem:

— Pożegnał już pan tutejsze panny? Dowiem się, na której wizycie łzy panu popłynęły! To zdradzi nareszcie tajemnicę serca pańskiego!

— Ja i miłość? O nieba! ja się w to nie bawię!

Zwykła brawura zakochanych, ale Tunia jest tak młoda jeszcze, że bierze te słowa za szczerą prawdę.

To znowu zraża...

Nadejście Wyszyńskiego przerywa rozmowę. Przy trzeciej osobie zegnają się obojętnem „do widzenia“ i „szczęśliwej podróży“. Poczem Tunia wpada do Jadwini.

— Chodź,—mówi pomysłowa przyjaciółka, — zobaczymy, jak odjeżdża.

Przed mieszkaniem Antka stoi już bryczka. Służący wychodzi obdarowany starami rzeczami i, między innymi, wynosi czapkę płócienną.

I Tuni, tak mężnej dotąd, na widok czapki tryskają łzy z oczu.

Ta czapka—ileż to wspomnień! Nosił ją, ilekroć wracał do roboty. Ścierał nią kurz z ławki, gdy chciały usiąść. Nieraz stroiła ją kwiatami, nieraz bawiła się, jak piłką...

A tak mu ślicznie w niej było!..

Mimo zimna, kręcą się do wieczora po ogrodzie. Wreszcie gwiżdżą na siódmą, Wyszyński przychodzi na herbatę. Jadwinia wybiega do kuchni, w tem słyszy delikatne pukanie w szybę.



— Panno Jadwigo,—mówi Antek gorączkowo—muszę się jeszcze raz pożegnać z panną Tunią.

— Teraz nie można! później! — odpowiada stłumionym głosem i odskakuje, bo drzwi otwarte... ojciec może zobaczyć.

Siedzą przy herbacie w gorączce. Minuty wloką się w grobowem milczeniu... I jedna, i druga nadśluchoje niespokojnie. A nuż bryczka zaturkocze? Cicho... zegar kołacze i brzęczy łyżeczka, którą stary mięsza cukier.

Wreszcie kończą się ich męczarnie. Ojciec wstaje, kłania się Tuni i idzie do sypialni. Jednym skokiem gaszą lampę i stają przy oknie. Teraz może przyjść. Widzą bryczkę. Kręci się koło niej dwóch mężczyzn, którzy układają rzeczy. Ukazuje się trzeci mężczyzna.. to Antek... ale cóż to? Koło niego biała postać?.. To Maryśka, najładniejsza dziewczyna w fabryce...

— No, bądź zdrowa!.. Obejmuje ją w pól, chce pocałować. Dziewczyna wrywa się i ucieka, niby ze wstydem, a przeprowadza ją śmiech dwóch ludzi. Na pociechę trzeba dodać, że zatrzymuje się o trzy kroki. Antek siada, stangret trzaska z bata, i przelatują, ginąc na zakręcie do miasteczka.

— Więc to tak? — pyta półgłosem Tunia.

Nic nie myśli, nic nie czuje, tylko z dziwną wyrazistością widzi ten obraz po raz dziesiąty, setny...

Odstępuje od okna, jakby zbudzona z ciężkiego snu, i spogląda na Jadwinę, mówiąc:

— Więc to tak?..

---

Zima jest ostra i śnieżna w tym roku.

Dni następują jedno po drugim, jak nizane na sznur perełki: białe, skrzypiące mrozem, pełne przenikliwego głosu dzwonek. Miasteczko drzemie, niby białe, zamarzone gniazdko, w czerni otaczających je lasów. A drobne to gniazdko ma swoje życie — ba, kilka równolegle płynących prądów życia!..

Arystokrację stanowią, jak zawsze, Broniczowie, Gwoźdźcicy i dyrektor. Dzięki przyjaźnym stosunkom z panienkami, i Jadwinia

wstępuje na wyżyny. Urzędnicy fabryczni tworzą drugą grupę stan średni. Mieszkańcy miasteczka łączą się w kółko, które ustawicznie rywalizuje o pierwszeństwo z fabrycznemi. Gdy ci urządzają w karnawale bal składkowy, tamci występują z wieczorkiem. I tego samego dnia, w małym lecz dobranem towarzystwie, odbywa się wint u doktora.

— Jakie to wszystko głupie! — mruczy Tunia, siedząca na kanapie z przyjaciółkami.

— A jakie cnotliwo-nudne! — dodaje Zosia, ziewając. — Wolała-bym sto razy rzec się honorów i iść na bal do cukrowni. Młodzieży huk!..

— Co to za młodzież, — mówi ze wzgardą Jadwinia, która ze wszystkich trzech najbardziej jest arystokratycznie nastrojona.

— Lepszy rydz, niżli nic!.. prawda, Tuniu?

Z namysłem i rozważą padają przy zielonym stoliku symboliczne słowa: cztery kier, dwa bez atu, pas!.. Bagatela! grają przeciw tacy dygnitarze, jak doktor Bronicz, Gwoździcki, dyrektor — i sam Zahorowski!.. Przerwywają grę tylko na uprzejme zaproszenie gospodyni „na herbatkę“, i tam, przy elegancko nakrytym stole, toczy się dystygowana rozmowa o polityce, sprawach sąsiedzkich, o głośnem polowaniu u pana N., o karnawale w Warszawie...

Dyrektor, jedyny kawaler w tem gronie, siedzi przy gospodyni i coś jej mówi z wielkiem ożywieniem. Ona, z pobłażliwym uśmiechem ładnej kobiety, słucha przyciszonych słów gościa i śledzi okiem ruchy lokaja. A panienki, tak haniebnie zaniedbywane, podnoszą rokosz między sobą!

— To okropne! — mówi Zosia. — Traktują nas, jak dzieci, a my przecież mamy po siedmnaście lat!..

To też odtąd ustawicznie znajduje interesa to na pocztę, to do apteki, i wraca zazwyczaj z eskortą, mocno zadowolona.

Tunia nie skarży się, ale pomalą ogarnia ją przygnębienie. Dni idą po sobie tak leniwo, tak sennie, tak ociężale... Jadwinia waryuje... Strzela jej do głowy chęć zażycia opium — ot tak, przez ciekawość, ale nie można żądać w aptece, bo zaraz zrobi się hałas... Boi się ojca zresztą. Planują po całych dniach, lubują się w układaniu najbardziej szalonych projektów... A życie idzie ciągle zwykłym trybem... Szkółka pochłania Tuni pół dnia czasu, a przez resztę uczą się, czytają, wychodzą na spacer... Ale to kropla tylko w morzu nudy, która ją zalewa. Od rana do wieczora to samo, to samo...

Nie mówią nigdy o Antku. Ten przedmiot pogrzebano jakoby na wieki... Ale Tunia myśli jeszcze... Zrazu z nienawiścią, z takim wstydem, że chciała-by wyszarpać z pamięci cały ten epizod... Nie może jednak zaprzeczyć, że ilekroć wspomni śliczną postać chłopca, czuje się znów pod jego urokiem. Nie mogła-by się gniewać na niego, gdyby tu był, gdyby spojrział jej w oczy temi ślicznymi, szaremi oczyma. I to ją złości najwięcej...

Ona chce być panią swojej woli! To przecież postanowienie: pannaować nad duszami, swojej nigdy nie oddawać!..

Antek, ten Antek, szalał niby za nią, a jednocześnie z Marysią... ach, nie... myśl ta pokrywa taką purpurą jej policzki, że cofa się gwałtownie i, chcąc zgłuszyć ohydne wspomnienie, powtarza bez końca: „Nienawidzę go, nienawidzę, nienawidzę!“

Szarpie się nstawicznie między dwoma sprzecznymi prądami: między wolą i tem czemś wyższem nad wolę.. I poczucie własnej bezsilności wobec tego czegoś napawa ją goryczą, buntem, gniewem.

Nie, odtąd już nie zakocha się nigdy! Chyba, że sama tego zechce...

Być sobą — i niczem, tylko sobą. Uczucie — to niewolnictwo!

W miarę, jak czas upływa, ścierają się ostre kanty wspomnień. Z oddalenia wszystko jakieś inne kształty przybiera...

Bez końca wloką się zimowe wieczory. Niebo szare od wschodu do zachodu... ani jednego promyka... W powietrzu, zda się, zawisła ciężka bezwładność, szara martwota, która przygniatającem milczeniem dusi porywy, bicie serca, drżenie tęsknoty ku czemuś innemu...

— Wróć, wróć!..

Miasteczko takie ciche, takie jednostajne... Dusze rwą się, jak z łańcucha... Gdzieś, coś, aby nie to, nie to!.. Jadwinia przypomina sobie dawne czasy, owe wakacye, gdy był Stach. Idealizuje postać chłopca. Zaczyna wierzyć, że tęskni za nim, że go kochała. A Tuni natrętnie brzęczy nad uchem każde słowo Antka... słyszy głos jego tak wyraźnie...

I marzenia znów obracają się koło przeszłości, ale na tej kanwie haftują teraz fantastyczne desenie... Pierwsza miłość z tysięcznymi waryacyami... Pomału Tunia, dusząc się prawie w martwej atmosferze miasteczka, zasmakowuje w tym haszyszu moralnym... Lubi te godziny samotnych dumań... Biega dokoła stołu, do zmęczenia, do wyczerpania, i tworzy obrazy jedne piękniejsze od drugich... Twarz pokrywa rumieniec... Gdy babcia zagadnie ją w taką chwilę, podnosi nieprzytomne oczy, a potem zrywa się, jak obudzona, i ucieka...

## V.

Nadchodzą wakacje.

Słońce świeci, kwitnie jaśmin, akacya... Ptaki, kwiaty, gwar, ruch, życie!.. Książki, kajety, czarne myśli idą w ką! Dziewczęta zapominają o wszystkich marnościach tego świata! Młode główki goreją, oczy błyszczą, usta drgają śmiechem...

Przyjeżdża Kazio, z nim Stach i jeszcze jeden kolega, Piszczel. Ten z góry zapowiada, że będzie reformował „zaśniedziałą prowincję“, i reformę zaczyna od umizgów do wszystkich czerwonorekich Kasiek i Maryś.

Wraz ze studenckimi czapkami wtargnęła wesołość. W każdym zakątku, od przedmieścia do fabryki, czuje się wakacje. Młodzi mają tysiące wspólnych wspomnień. „Pamiętasz?..“ „U Grelów...“ „A wtedy, na wieczorku u Wacka?..“ Czasem jedno słowo, trącenie — i trzech studenci wybuchają śmiechem. A pauny czują się podrażnione.

— Udzielcie i nam trochę tego swojego życia!..—mówi Zosia, robiąc najładniejszą ze swych zadąsanych minek.

Występuje na przyjęcie Piszczela z całym arsenałem spojrzeń i uśmiechów.

Piszczel ocenia ją należycie, ale zdaje się być już bardzo otrząskanym z takimi atakami. Oznajmia, że chce urządzić teatr amatorski, i musi urządzić, „żeby tam nie wiem co“. Zbyteczna dodawać, że nie spotyka opozycji.

Starzy Gwoźdźcicy wyjechali, jak zwykle, do Karlsbadu. Tunia więc mieszka u Broniczów. Od rana do wieczora są razem, od rana do wieczora też brzmiały w ogrodzie śmiechy, krzyki, gonitwy...

Jadwinia niespodziewanie dowiaduje się o przybyciu Stacha. Nie wiedząc o niczem, wchodzi, jak zwykle, z książką, do Broniczów. W tem, na werendzie, obok przyjaciółek, dostrzega mundury studenckie. Cofa się zmieszana, zaczerwieniona. Zosia biegnie na jej spotkanie, chwytą za ręce i mówi przez drogę:

— Wyobraź sobie, co wczoraj śmiechu było! Ten Kazio, nic dobrego, umyślił nam zrobić niespodziankę. Siedzimy w najlepsze z Tu-

nią w ogrodzie, w strojach bardzo negliżowych, i gadamy... rodzice już spali... W tem słyszymy turkot i głos wołający na stróża: „otwierać bramę!“ Wjeżdża naraz bryczka pocztowa, a w niej trzech studentów! My w nogi! Tunia w jeden ką, ja w drugi... psy za nami ze szczekaniem. Złapałyśmy na prędcę jakieś bluzki, chusteczki, a ci tymczasem już zagospodarowali się w jadalni: dobrali klucze do kredensu i powyciągali, co było do jedzenia... Kazio przywiózł koniak... i myśmy też piły! Dokazywaliśmy do 3-ej w nocy!

Jadwinia nie śmieje się: ogarnia ją zazdrość.

— Czemużecie mnie nie zawołały?

— Zmiłuj się! o jedenastej?..

— Któż przyjechał?

— Kazio, kolega jego Piszczel, taki brzydki, wysoki, — i Stach

— Stach!..

Krew jej uderza do głowy.

— Zaraz przyjdę, nie jestem ubrana, nie mogę tak się pokazać...

Biegnie do domu, a przez drogę tańczą w niej formalnie tysiące myśli. Ręce jej się trzęsą... Przerzuca skromną garderobę i nie może zdecydować się na wybór... Gdybyż to była Zosią lub Tunią, które mają na zawołanie eleganckie sukienki!.. Ubiera się wreszcie, wraca śpiesznie i, nieprzytomna prawie, wita Kazia, oddaje ukłon Piszczelowi. Ze spuszczoneym wzrokiem wyciąga dłoń do Stacha. Serce jej mało nie wyskoczy... dziwne, nieokreślone oczekiwanie, czy obawa obzwładnia całą jej istotę. Ale Stach zdaje się nic nie wiedzieć, nic nie pamiętać. Ścisza jej lekko rękę i kończy rozmowę z panią Broniczową.

Piszczel ocenia ją jednym rzutem oka: „fest...“ i zaczyna pompatycznie wymyślać zaśnieźdialej prowincyi.

— Wystaw sobie pani, jedziemy od kolei godzinę, dwie, trzy... użem się zdrzemnął i obudził... a tego waszego miasteczka jeszcze nie widać. O bogi łaskawej jak można żyć w takim kącie!.. Ja-bym nie wytrzymał!

— Jednak żyjemy, uczymy się, pracujemy...

— Takie życie! taka nauka! taka praca!..

Wychodzą do ogrodu. Piszczel jest brzydki, ale wysoki, tęgi, dobrze zbudowany.

— Powiedzcież nam, co się dzieje u was! Dajcie nam trochę waszych prądów, waszych idei, waszego życia!..

— Co wam się tak, u licha, naszego życia zachciewa?.. kłopoty, nędza, latanie za lekcyami — i ot, trochę jeszcze...

— Właśnie „trochę jeszcze...”

Piszczel nie wie dobrze, czego chcą od niego. Zaczyna coś mówić... I jego odurza towarzystwo tej wysmukłej dziewczyny o dziwnych, migotliwych oczach. Staje się mniej szorstkim, i od czasu do czasu myśli:

— Ej, do dyabła, żeby ją tak wziąć za rękę i pogłaskać... nie wypada... dobrze wychowana panna... narobi krzyku... muszę ją zreformować!..

Zosia, robiąc po swojemu „dzióbek“, bierze z uśmiechem pod rękę Szalskiego. Idą drugą aleją.

Jak już daleko ten czas, kiedy Stach na różowych ustach Jadwini składał pierwszy pocałunek! Dziś umie panować nad sobą. Postępując obok Zosi, ze znanstwem medyka, zachwyca się ukradkiem budową jej ramion, przebijających przez jasną, batystową suknię. Flirtują, według wszelkich reguł flirtu, które prawdopodobnie od bieguna północnego do południowego są jedne i te same...

Południe...

Nieruchomo stoją oblepione kwieciami lipy. Ptaki kołyszą się na gałęziach bzu i leszczyny. Duże, białe motyle, osłabione upałem, pokładają się na rozkwitłych świeżo różach.

Powietrze ociężałe od gorąca. Błękit aż przybladł, taki bezchmurny, taki bez kresu...

Zosia ze Stachem zapamiętała grają w krokiet. Różowa sukienka i biały mundur studencki migają, jak dwie plamy, na tle liści, z których płывa słońce.

W altanie, ukryta w zieleni dzikiego wina, siedzi Jadwinia. Zrywa róże jedną po drugiej i obrywa im listki. Ma oczy spuszczone i żywe kolory. Jest podniecona. Zosia spogląda zdaleka i uśmiecha się złośliwie.

— Mogła-by też Jadwinia dać spokój tym biednym różom. Co one jej zawiniły? Czy nie można kokietować bez akcesoryów?

Piszczel, pochylony ku niej, z całą żarliwością studenta wykazuje, że człowiek jest niewolnikiem form, że w stosunkach ludzi ze sobą, miast szczerych słów i naturalnych postępów, panuje chińszczyzna,

że trzeba być wyższym nad przesady i t. d. i t. d. Jadwinia opiera się niekiedy, innym razem przytakuje. Manewruje różami tak długo, aż Piszczel wyjmuje je z ręki.

— Niech pani pozwoli żyć biednym kwiatom. Jakiem prawem zabierasz im jedyne dobro?

— Pan Bóg stworzył je na to, aby służyły ludziom.

— Pan Bóg!.. oto jeszcze jeden mądry wyraz! Zostawcie Pana Boga w spokoju! Alboż go pani kiedy widziała? słyszała?..

— Pan bluźnił!—woła panna, trochę z prawdziwym, więcej z udanym strachem.

— Bluźnił?..

Piszczel aż skacze z radości, że nadarza mu się taka pyszna sposobność do rozprawy.

Zaczynają się gorące sprzeczki.

— Ależ zostawcie mi wiarę! jedyne moje dobro, moje szczęście!

— Żadne szczęście okłamywać siebie i być okłamywaną!

— Ale jeśli to dla mnie jest prawdą? Przecież niema prawd bezwzględnych? Mnie tak dobrze, gdy wierzę, że jest ktoś, komu mogę zaufać, oddać się na ślepo, kto mnie doprowadzi do portu...

— A mnie dobrze, gdy wierzę, że niema nic, oprócz mojej myśli, która mnie doprowadzi tam, gdzie chcę... gdy mocą analizy i refleksyi wznoszę się na punkt filozoficzny, skąd... i t. d., i t. d.

— Ale wtedy czuć się będę chwiejną trzcina, przez los łamaną.

— Wtedy czuć się będę dumnym, że jestem człowiekiem, a nie igraszką dziecięcych złudzeń i omamień.

— A ja nie chcę być dumną, tylko szczęśliwą!

— Tra la, la! kobiece rozumowanie!

Kędyś, głęboko w lesie, postępują zwolna drogą dwa konie: Tunia i Kazio pojechali we dwoje na spacer. Nad nimi splatają się dwie ściany sosen i grabów... od góry do dołu przechodzą nimi dreszcze szumu. Wiatr spływa po liściach, budząc grę światłocieni...

— Dobrze tu! -- szepcze Tunia.

— Dobrze! — powtarza Kazio.

Jadą w milczeniu. Mijają krzak dzikiej róży, student zeskakuje i zaczyna zrywać kwiaty dla towarzyszki.

— Ostrożnie, pokłujesz się!

— „Niema róży bez cierni...“ A po drugie, miło przecież cierpieć za dobrą sprawę.

— Dla ideału! — śmieje się dziewczyna.

— Dla ideału!..

Topi w jej oczach szafirowe źrenice. Ona odwraca głowę.

— Pamiętasz, jak kiedyś, przed laty, bawiąc się, zrobiłeś mi guza?

— Ba, jeszcze-by też! Dostałem za to w skórę...

— Kto-by to pomyślał! Taki szykowny student!..

— Płonę też wstydem za moją przeszłość.

Przyznać trzeba, że jest bardzo ładnym chłopcem. Wysoki, smukły, ma w szafirowych oczach nieuchwytny jakiś czar marzeń.

— I coż u ciebie słychać, Kazik? Odpowiedz-że! Nie widzieliśmy się już tak dawno!

— Wiesz przecie, pisałem ci nieraz! Pracuje się, robi to i owo. Trochę człowiek bywa... ciągną, trudno się wymówić... Przeklęty karnawał!

Tunia przypomina sobie długą, smutną zimę i ogarnia ją żalność... Ona tu szamotała się jak ptak w klatce, a on żył wtedy, żył całą pełnią.

— Szczęśliwi wy jesteście!..

— Cóż tobie przeszkadza być tak samo szczęśliwą?

— Tutaj?!

Wtedy Kazio zaczyna ją namawiać do wyjazdu.

— Ty tu zmarnujesz się... tu niema pola dla ciebie... masz talent, niepospolity talent, powinnaś go kształcić!..

— Seryo to mówisz?

— Z najszczerzego przekonania... nie ja jeden... Piszczel to samo myśli o tobie. Jestem pewny, że będziesz kiedyś sławną!

Tunia podnosi głowę. Tak, będzie sławną! Uderzają w nią olbrzymie skrzydła zawichrzonych pożądań... Zaczyna konia, pędzi... wiatr języczy nad uszami... dalej, dalej... łyka powietrze z upojeniem, potwarzając:

— Kiedyś...



Kazio dopędza ją i zeskakuje z konia. Zatrzymują się w osadzie bliższej, zwanej Rudą. Kilka domków, rozrzuconych na polance, a dookoła moc drzew, paproci i ciszy...

Siadają na trawie. Szukają poziomek i częstują się nimi wzajemnie. Po sośnie przebiega z szelestem wiewiórka. Tam, w głębi, dzieciół kuje zawzięcie. Gdzieś w lesie stuka siekiera.

— Chciał-bym tu mieszkać kiedy,—mówi Kazio. — Taki spokój, taka sielanka...

Tunia potrząsa głową:

— Za dużo spokoju i za dużo sielanki. To nie życie, to wegetacja!

— Nie, — przeczy Kazio, — wegetacja, to życie w mieście. Wędzisz się w dymie, dusisz na ulicach, nudzisz w salonach, męczysz na balach... niema chwili czasu na zebranie myśli, na zajrzenie do siebie...

— Masz duże stosunki towarzyskie?

— Niestety!..

— Niewdzięcznik!

Drażni ją trochę jego spokój. Zapytuje niby od niechcienia...

— Nie zakochałeś się przypadkiem?

— Ja?

— No ty...

— Wiesz przecież, Tuniu, że ciebie kocham...

— Oo!..

Usiłuje się zaśmiać, lecz nie może. Ładny głos Kazia dziwnie idzie do duszy:

— Od kiedyż-to?

— Zawsze.

Przykłęka, i rękę jej, na trawie leżącą, poczyną gładzić lecintko. Czyni to tak, jak gdyby dotykał delikatnej, w pół rozkwitłej róży.

— Ach, jak głupio! — wymyśla Tunia sama sobie. — Boże mój, Boże!

Pochyla głowę bardzo nisko. Łzy cisną się jej do oczu, sama nie wie, dlaczego. Ten chłopiec wywiera na nią urok nieopisany. Ale żeby już odszedł... Boże drogi, całuje w rękę — dosyć tego...

Zrywa się nagle, wsiada na konia i ucieka.

— „Lenistwo jest matką wszelkiego złego“, ale, dalibóg, w takim miłem towarzystwie nic robić niepodobna.

Te słowa wygłasza Piszczel, drugi z kolei miesiąc poświęcając prawdziwie wakacyjnemu próżniactwu.

— Ba, jeszcze cztery tygodnie tych rozkoszy, i znów wal do budy! — wzdycha Stach.

Dobrze im tutaj. Piękny ogród Broniczów dostarcza wszelkich przyjemności wiejskich. Miasteczko i fabryka stanowią dopełnienie.

Wesoło też czas spływa. Piszczel codziennie podaje nowe projekty. Włóczą się całą bandą, niosąc z sobą atmosferę śmiechu, zbytków i pu-stoty...

— Młodość! młodość!

Popelniają tysiączne wybryki. Panny z papierosami w ustach przechodzą przez rynek, gorsząc niepomrotnie świątobliwą regentową. Zaraz za miastem wszakże wyrzucają je i zaczynają pluć najokropniej.

— Fe, jakie to obrzydliwe. Jak wy to możecie znosić?

Piszczel z nieporównanym artyzmem „robi“ małą, śmierć i naiwną pannę. Produkcyę jego wywołują nieopisane wrażenie na rynku.

Widzowie zanoszą się od śmiechu. Jak miasteczko miasteczkiem, nie widzieli jeszcze tak wesołego człowieka.

— Pozwólcie panowie do mnie, jak Boga kocham, bardzo mi miło będzie!.. papa dobrodziej też czasem mnie nawiedzał!..—zapewnia gruby kupiec korzenny. — Panie Kazimierzu, bardzo proszę, przyjdź pan kiedy do mnie z kolegami.

Piszczel mruga znacząco:

— Psst, Kazik, uważasz, to ojciec tych ładnych córek!

— I właściciel piwnicy z winami.

— Sypimy do niego w niedzielę.

Pewnego dnia Piszczel prowadzi całą bandę do fabryki. Przed ogrodem spotykają dyrektora, który wita ich uprzejmie.

— Urządzamy najście na dyrektora,—śmieje się Zosia. — Jesteśmy trupą wedrowną. Czy nas pan wyrzuci?

— Tak miłych gości! broń Boże!

Wchodzą do środka i, za wodzą Piszczela, improwizują koncert w ogrodzie. Zewsząd zbiega się służba, aby posłuchać i popatrzeć. On najczystszą łaciną wymyśla im z tragicznym gestem: „Odi profanum vulgus!”

Nadchodzi stara ciotka dyrektora, prowadząca mu gospodarstwo, i ze staroświeckim dygiem zaprasza na podwieczorek, „czem chata bogata...”

Piszczel mierzy ją wzrokiem przez zmrużone powieki.

— Uuu, pyszny okaz!.. z czasów dyrektoryatu... co. Kazik? Bo ja tam niemocny w stylach i epokach...

Zosia idzie naprzód z gospodarzem. Ciotka zagarnia Kazia i opowiada mu, że za „jej czasów“ i ona występowała w *spektaklach*, a wyglądała, jak *landschaft*.

— Są niezawodne ślady, — mruczy Piszczel, usiłując na wszelkie sposoby również wziąć udział w rozmowie. Ale ciotka, której szczególniej spodobał się Kazio, ignoruje go zupełnie.

Miała wtedy 18 lat. Mój Boże, jak to czas leci! Pamięta, jakby to dziś było: nosiła białą suknię i szal turecki na gołych ramionach.

— Zaiste, musiało to być bardzo pięknie!..

Ze wspomnień osobistych przechodzi teraz do kwestyi społecznych, i z archiwów swej mózgownicy dobywa coraz większe klejnoty.

Piszczel aż *pieje* z radości.

— Rety, trzymajcie mnie, bo upadnę!

Panienki, posłyszawszy „socjaliści“, oblegają ciotkę. Tylko Zosia wciąż idzie naprzód. Znikła już na końcu alei, zatopiona w rozmowie z dyrektorem.

Podwieczorek schodzi bardzo wesoło. Potem gospodarz proponuje przejażdżkę po stawie. Biegną na wyścigi do łódek, przyczem Zosię wsadza jednocześnie Piszczel i Stach, i wszyscy troje o mało do wody nie wpadają.

Staw przytyka do parku Zahorowskiego. W głębi alei przechadza się z nauczycielką Julcia Zahorowska, sztywna, wyprostowana, typ dobrze ułożonej panienki. Zbyt jednak jest młodą, aby nie miało jej zaciekawiać towarzystwo rozbawionych rówieśnic. Rzuca więc z pod parasolki spojrzenia, i czempredzej je odwraca, gdy na nią patrzą.

— O jej, jakąż ta Zahorowska brzydka! — mruczy Zosia.

— Co to za życie takie! Czyste więzienie! Ja-bym się udusiła w tym parku, otoczonym kratami! — mówi Tunia.

A Jadwini przychodzi na myśl, jakby ona żyć umiała, będąc na miejscu tamtej.

— Więzienie? A panie lepiej niby żyjecie? — pyta Piszczel.

— To dobre sobie. My!

— A naturalnie! „Niewolni—gorzej: słudzy niewolników!..“ Słuchacie wszystkich babek i ciotek, które zapleśniały w przesądach!.. Gorset formulek towarzysko-obyczajowych ścisła was na każdym kroku, i jeszcze deklamujecie o wolności!.. Kretynizm, idyotyzm, szczyt najidealniejszego braku wszystkich pięciu klepek! — wylicza Piszczel.

— Ostrożnie, ostrożnie! — śmieje się Zosia.

— Więc cóż mamy robić? — dorzuca Jadwinia.

— Emancypujcie się!

— Ja wyjadę na uniwersytet, jak tylko dojdę do pełnoletności... umiem już łączyć z kursu czterech klas! — oznajmia Zosia.

— Słyszałem coś o tem. Czy pani seryo myśli? — pyta dyrektor.

— Najzupełniej.

Piszczel się miesza do rozmowy.

— Po co? Alboż pani skończysz? Nie dojdiesz do drugiego kursu, a już rozkochasz w sobie cały uniwersytet razem z profesorami i studentami, i w końcu za mąż wyjdiesz!

Zosia się śmieje bardzo zadowolona.

— Słyszysz pan, panie dyrektorze, jak ten człowiek mi dokucza?

— Jestem pewny,—przemawia uprzejmie dyrektor— że okazała-by pani więcej sumienuości i wytrwałości, niż przypuszcza pan Piszczel, ale tak, między nami, po co to pani?

— Powołanie...

— Czy można mieć powołanie do rzeczy, której się nie zna?

Jadwinia tymczasem oblega studenta:

— Panie Marcinie, a gdybym ja chciała wstąpić do uniwersytetu?

— Pani powiem na osobności.

Panna pochyła ku niemu małe uszko, ozdobione kolczykiem.

— No?

— Pani albo-byś się wdała w nihilistyczne knowania, albo—tylko nie obrażajcie się po parafiańsku—albo zaczęła-byś uprawiać wolną miłość... No, Kazik idzie nareszcie! Że też na tego zawsze trzeba czekać...

— Czeakać! Jechać chcecie, a o wiosłach ja muszę myśleć!... Jazda! Stach, do steru!

Spogląda za staw i przesyła ukłon w stronę parku. Julcia leciutko kiwa główką i znika w pałacu.

— Po coś się kłaniał tej lali?—strofuje go Żosia.—Ona pewno to uważa za przekroczenie taktu towarzyskiego.

Siadają. Wiosła z pluskiem uderzają o wodę, łódź mknie, jak na skrzydłach. Z wiatrem leci „Pieśń wieczorna“ po łąkach, pokosach, ugorach... Aż kędyś obija się o ciemną ścianę lasu. Słońce kładzie różową aureolę na twarzach. W całym powietrzu mżą różowo-złociste rozpylenia...

— Ach, jak dobrze, jak dobrze! — powtarza Tunia.

Jawa i świat marzeń zlewają się pomału w czarowną baśń senną. W oddali, w bezobłoczach kołysze się cudna, niedościgniona, nieuchwytna mara... I krew zastyga, twarz blednie, usta drgają tęsknotą... Za głosem tej mary pójdzie Tunia na koniec świata...

Łódź wpada w strumień i po chwili przenosi ich do drugiego stawu — w ich własnym ogrodzie.

— Otóż jesteście w domu, co niechybnie dowodzi, że ziemia jest okrągła! — konkluduje Piszczel, wyskakując.

---

I znowu przelatują godziny, dni, tygodnie, niewiadomo kiedy i jak...

— Dziwno doprawdy, jak ten czas teraz schodzi. Nigdy go dosyć niema, — uskarżają się panienki.

Piszczel nie wyczerpał jeszcze całego zapasu conceptów. Ma naturę błazeńską, i zaczyna udawać po kolei wszystkie postacie z miasteczka.

— Tak chodzi pani sędzina, tak przewraca oczyma panna regentówna, tak mówi pan regent... A tak, z przeproszeniem panny Zofii, prowizor...

— Ach, cóż znowu!.. zaczyna mi pan wymyślać od pigularzy?

— Wiadomo, wiadomo wszem wobec, że pewne niebieskie oczęta przenikły aż do przybytku mikstur i oleju rycynowego.

— Powtarzasz się, Piszczell.. — odzywa się Stach.

— Ty tam cicho. Ty o sprawach miłośnych mówisz z dykcyą baby pod kościołem, trzepiącej litanie... prawda, panno Jadwigo? Nic niema świętego ognia w tych duszach... No, państwo, koniec końcem, urządzamy teatr amatorski?

— Nudny jesteś z teatrem. Tysiąc razy ci mówiono, że niema miejsca, czasu, aktorów i spektatorów.

— Powtarzasz się, Szalskil! Więc cóż? Co robimy? Byle coś oryginalnego, bo jak nie, to oddajcie mi moje pieniądze i idę do domu! — wiadomem czyni Piszczel, siadając na ławce.

— Coś oryginalnego!

— Ach, ja tak lubię niezwykle rzeczy! — woła Tunia, klaszcząc w ręce. — Róbmy coś, tylko prędzej!

— Pędź, bo ta niewiasta nie ma czasu. A więc, Kazimierzu, opaszysz biodra swoje i pójdiesz wystarać się o wóz, oraz bydłęta pociągowe. Gdy noc całunem okryje ziemię, wsiądziemy i pojedziemy w świat!..

Ogólny entuzjazm.

— Ale jak to zrobić, żeby nas puścili? Jak zjemy kolację, każą nam zagrzać w domowym ognisku..

— Wykradniemy was!

Z niecierpliwością oczekują wieczora. A nuż będzie deszcz? Ale słońce zachodzi, że „palec oblizywać“, zapewnia Piszczel. O dziesiątej ciche gwizdnięcie daje znać dziewczętom, że wszystko gotowe. Z bijącym sercem przechodzą przez werendę, na której siedzi Bronicz z gazetą i żona jego z robotą.

— Dokąd to panienki?—pyta zwykłym swoim, pełnym uprzejmości ojcowskiej, tonem.

— Chcemy się przejść trochę z chłopcami! — niebardzo pewnym głosem odpowiada Tunia.

— Dobrze, byle niedługo... łatwo się przeziębic...

Tłumiąc okrzyki, wybiegają, jak trzy sarenki, i zdyszane, dopadają studentów na drodze. Kazio siada na froncie i powozi; reszta mieści się, jak kto może. Zosia siedzi prawie na kolanach Stacha.

— „Lećmy — i odtąd nigdy nie zniżajmy lotu!“ — deklamuje Piszczel, i wóz rusza pośród krzyków i pisków, podskakując na nierównościach szosy.

Noc cicha. Po obydwóch stronach ciemnieją topole. Wierzby wyciągają długie konary ku rowom przydrożnym. Fabryka, nieczynna w tej porze, bieleje zdaleka, jak olbrzymia, śpiąca kobieta.

Kazio pędzi „po kawalersku“. Każdy kamień odbija się dotkliwym echem na kościach jadących. Piszczel kręci się ciągle. Nerwowy z natury, jest dzisiaj zdenerwowany nad wszelką miarę. Śmieje się, urywa, deklamuje i co chwila przesuwa rękę po bujnej czuprynie, czochrając ją bez miłosierdzia.

— Eech, — powtarza — eech!..

Jadwinia napróżno usiłuje mu humor przywrócić. On zawsze taki: przez te wakacje plótł tyle głupstw, że mogła myśleć, iż jest, Bóg wie, jak zakochany. A naraz coś mu strzeli do głowy, i ani przystąpił do niego. Wszystko obija się, jak o ścianę...

— Może się w Zosi kocha?

— Panna Zofia, to boskie dzieciątko! — powiedział raz, ale w godzinę później zapewnił, że on, Piszczel, zawsze kłamie, i że nigdy nie trzeba mu wierzyć...

Wpadają w środek tajemniczego, szumiącego lasu. Droga rozcina go białą taśmą na dwie równe połowy. Turkot budzi echa w śpiących gąszczach i przepada, het, gdzieś daleko. Księżyc świeci akurat nad drogą, w tem miejscu, gdzie się rozstępują wierzchołki drzew, i oblewa jasnym światłem twarzyczkę i wielkie oczy wpatrzonej weń Tuni.

— Ach! — wzdycha przekomicznie Piszczel. — „Oko jej czarne! I któż się ośmieli wzrok ten malować? Te oczy gazeli!“

Tunia rzuca się gniewnie.

— Czego pan chce nareszcie ode mnie? — wybucha. — Ja się do pana nie wtrącam, i proszę mnie zostawić w spokoju!

— Aha, złośćimy się, to dobrze, tego właśnie chcę. Chciałem raz chociaż widzieć panią poruszoną, wykolejoną z tej równowagi, która mnie irytuje.

— Chciał-by pan grać na mojej duszy?

— A gdyby tak było?

— Zbyt wygórowane żądanie. Dusza moja jest moją wyłączną własnością, i nikt na niej grać nie będzie! — odpowiada zimno.

Student nic nie mówi, tylko naraz podrzuca czapkę i zaczyna śpiewać. Jest on bardzo niskiego pochodzenia. Ojciec jego trzymał kiedyś szynk na jednym z przedmieść Warszawy, a matka, po śmierci jego, oddała syna do gimnazjum, skąd przepchnął się o własnej sile.

Nie ukrywa tego bynajmniej, przeciwnie. Teraz oto opowiada wspomnienia dzieciństwa słowami znanych kupletów z „Podróży po Warszawie“:

Moje mame, w ciężkiej biedzie  
Gnąc kark,  
Sprzedawała sobie śledzie  
Na targ...

— Ha, ha, ha! Ha, ha, ha! — woła Zosia, zanosząc się od śmiechu.

Tunia wzrusza ramionami, przejęta niesmakiem. Ot, pospolity sobie błaznek... a jej się zdawało przez chwilę... Jadwini znów, która sama wstydzi się swych stosunków rodzinnych, imponuje odwaga Piszczela.

— Jak pan może tak mówić o rodzicach?

— Prawda przedewszystkiem! W ustach moich, o nadobna dziecko, nie masz ani cienia kłamstwa.

— Dosyć, panie Marcinie, niech pan nie błaznuje.

— Broń Boże! We mnie już od dzieciństwa był wyższy polot ku ideałom. To nawet dziedziczne, bo i moja mama

Tak mawiała za straganem

Od jaj:

Mój syn będzie wielkim panem...

Odwraca się od Jadwini i przechyla ku Tuni, aby śledzić wrażenie, jakie te słowa na nią zrobią.

— Estetka! — powiada półgłosem, już bez śladu żartu.

— Czy dla tego, że nie lubię, jak człowiek inteligentny dobrowolnie zniża się do poziomu...

— Dekonczę za panią — małpy!.. Nie, nie dla tego... każdy cał w pani jest przesiąknięty... — raptem wykrzywia twarz błazeńsko i dyszkantem kończy: — artystycznym polotem ku wyższym sferom ideałów i tym podobnych delikatesów...

Tunia odwraca się dotknięta. Zaczyna nienawidzić Piszczela. Jadwinią, która dąsa się, ilekroć nie jej całkowicie jest oddanym, robi cierpką uwagę:



— Stanowczo rozminął się pan z powołaniem. Trzeba było iść na komedyanta.

— Jakby pani była przy tem! W samej rzeczy, mam zamiar wstąpić do teatru.

Pomimo ustawicznego tonu błazeństw, nie może pokryć zdenerwowania. Rzuca się niespokojnie, aż Kazio robi delikatną uwagę:

— Ty tam, Marcin, siedź po ludzku, bo cię zdzielię batem.

— Brr, jak mi kwaśno, mdło czegoś. Bodaj to Warszawa! Poszedł-bym do knajpy i urznął się, jak bela. A tu wasza cnota parafiańska tak mnie w kleszcze ścisnęła, że się ruszyć nie mogę.

Przysiada się do Zosi, i w wesołej pogawędce z nią topi melancholię tego wieczora.

A Tuni strzela do głowy myśl rozruszania Stacha. Przez pół godziny próbuje wszystkich sposobów, któremi matka-natura obdarzyła płęć piękną, w celu zamącenia spokoju rodu męskiego. Stach śmieje się, gdy ona się śmieje, poważnieje, gdy mówi poważnie. czule patrzy, ilekroć ona mu zagląda w oczy, ale nic... "Z duszy jego nie strzela żaden płomyk. O uczuciach mówi, jak o befsztyku z kartoflami.

— Drewno! — ocenia go i daje za wygraną.

A Jadwinia traci zupełnie humor. Domaga się, aby ją zawieziono przed mieszkanie, i wysiada, bardzo chłodno żegnając towarzystwo. Gromadka wraca cichutko; niby wiuowajcy, wsuwają się ostrożnie do swoich pokojów.

— Jaka dziwna ta Jadwinia,—mówi Zosia, rozbierając się.—Jak tylko ktoś wyłącznie nie zajmuje się nią, zaczyna fochy stroić. Widziałś, jak się natrąbiła, kiedyś ty rozmawiała ze Stachem, a ja z Piszczel.

— Rzeczywiście, to głupio.

Z całą bezwzględnością młodości oburzają się na przyjaciółkę, która im zabawę psuje... Po chwili zasypiają twardym snem sprawiedliwego...

Ostatnie dni ubiegają wesoło.

Przyłącza się do nich bawiący w fabryce na wakacjach szóstklasista, Romek. Studenci traktują go z góry, panny dość wyniośle, Zosia tylko zajmuje się chłopcem, i wkrótce dochodzi do pomyslnych rezultatów swej troskliwości.

— Nowy adorator! — woła Piszczel. — Dalibóg, panno Zofio, jak taka lekka—w cielesnem, nie moralnem znaczeniu—osoba może unieść tyle ofiar na sumieniu!

— Widzi pan, że się nie uginam.

Wieczór, rosa, gwiazdy... Młodzi rozpraszają się po krętych drózkach ogrodu. Brzmią chichoty, dobiegają wykrzyki. Któż zgadnie, któż streści wszystko, co mówi rozbawiona młodzież na wakacyach?

Na małej ławeczce siedzi Kazio przy swej ukochanej. Chciałby korzystać, wyciągnąć wszystko z ostatnich chwil — i nie idzie mu jakoś...

— O czem myślisz, Tuniu?

— Żał mi lata... na chwilę zapomniało się o wszystkim... teraz jeszcze smutniej będzie... wy powrócicie do swoich zajęć, zapomnicie... ale my, ale my!..

— Przyjedź, Tuniu, do Warszawy, przyjedź koniecznie... ty tu zmarnujesz się...

— Ba, gdyby to można!..

— Musisz! Nie masz przecież prawa zaniedbywać talentu.

Naraz, jak z pod ziemi, wyrasta Piszczel. Oni, sami nie wiedząc czemu, urywają rozmowę.

— Czy przeszkadzam?.. Prawda, akcesorya w porządku: ciemność, gwiazdy, żaby i nietoperze... tło, jak w piątym akcie poetycznego dramatu.

— Ty się lepiej znasz na tem ode mnie!— odpowiada Kazio i odchodzi, nieusposobiony do drwin kolegi.

— Ładny z niego chłopiec, prawda?

— Tak, — odpowiada niechętnie Tunia.

Piszczel pochyla się ku niej zjadliwie:

— Radzę pani pomyśleć... papa Bronicz ma kasę ogniotrwałą, a w niej...

— Panie Piszczel...

Podnosi się oburzona ogromnie. On idzie za nią, parodując wiersz Asnyka:

O mój Aniele, ty rękę

Daj!..

Dziewczyna zatrzymuje się nagle:

— Panie Marcinie, — mówi z akcentem prośby, — przyrzekł mi pan przecież nie błaznować.

— Eh, co tam ja przyrzekam... pewnie byłem pijany... no, zostań pani z Bogiem, jesteś za sentymentalna dla mnie... idę flirtować z boską Zosiunią... o, słyszy pani, jak ona tam obrabia biednego Romka? Co za śmieszek!.. to korona dziewiczego stworzenia na tym świecie!..

Wykręca się na pięcie i odchodzi.

Tunia przeprowadza go wzrokiem i wzrusza ramionami:

— Bóg go wie, co on za jeden!.. Czasami, zdawało-by się, że jest jakaś iskra... a potem wszystko tonie w oceanie pospolitości!..

Koniec wakacyi.

Pożegnanie jest przykre. Zosia i Stach przepadają od rana w głębi ogrodu.

Zosia pyta z najładniejszą minką:

— Czy panu nic a nie nie żal?

Czy mu żal? Pewnie... Jak mu dobrze było w tym zamożnym domu, wśród szerokich pól i malowniczych widnokręgów, między trzema ładnymi paunami, z których jedną nieraz z przyjemnością-by cmoknął w różowy buziak — ale wnet przypomniał sobie, że „nie wypada“.

— Bardzo mi żal!..

— Jak zimno pan to mówi!

— Jakże mam inaczej mówić? — pyta zakłopotany.

— No, z przejęciem jakimś, z uczuciem!..

Nadchodzi Piszczel.

— O uczuciu rozprawiacie? Bardzo stosowny temat na drogę!.. Byłe go pani nie rozmarzyła zanadto, panno Zofio, bo nam będzie w wagonie uszy rozdierał.

I Piszczel jest nie swój. Snuje się z kąta w kąt, dokazuje z Zosią, filozofuje z Jadwinią na jej ulubiony temat: „co to jest miłość“, potem gdzieś znika. Tunia znajduje stojącego nad stawem w zamyśleniu.

— A pan co tu robi?

Student zrywa się, jak od ukąszenia osy.

— Nic, marzę o pani. Zakochałem się w pani i ronię łzy. „O, nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie!..“ — wzdycha, kładąc rękę na sercu.

— Znów błaznowanie.

— Jaka się pani banalna zrobiła! Ciągłe to samo słowo, ten sam zarzut... Nic oryginalnego w pani niema... szablon... i pani chce być artystką!..

Ugodzona w najdrażliwszą stronę, Tunia odwraca się w milczeniu.

— Tak... idę do Zosienki... może pozwoli buchnąć się w łapkę na pożegnanie. Piramidalna niewiasta! Ucz się pani od niej wdzięku!..

Zajeżdża wreszcie bryczka.

Studenci biorą szynelę, i z bardzo rzadkimi minami patrzą, jak wynoszą ich rzeczy. Jadwinia jest ogromnie wzruszona i zaciska usta, aby się nie rozplakać.

— Do widzenia, Tuniu,—mówi Kazio już z bryczki. — Do widzenia — w Warszawie.

I Piszczel, zapominając ostatnich słów, dorzuca:

— Niech pani przyjeżdża! Talent, to nie łachman, którym wolno poniewierać...

Ruszają. Aż do zakrętu widać uśmiech siedzącego na przodzie Stacha. Podnoszą czapki, panienki machają chusteczkami. Potem wszystko niknie.

— Doznaję wrażenia, że uleciało wszystko dobre! — szepcze Jadwinia.

MARION.

(Dalszy ciąg nastąpi)

---

# Dzisiejszy stan i zadania

## SOCYOLOGII ETNOGRAFICZNEJ.<sup>1)</sup>

---

### I.

Nasze dziejopisarstwo w końcu zeszłego i w początkach obecnego stulecia znajdowało się w stanie, pozostawiającym dużo do życzenia. Nie pojmowano, że wyczerpująca ocena dokumentów historycznych powinna poprzedzać korzystanie z materiału, mającego posłużyć do zbudowania wywodów dziejopisarskich.

Socjologia etnograficzna znajduje się dzisiaj w podobnym położeniu.

Dziela, które spopularyzowały jej imię i wogóle wyrobiły jej miejsce pomiędzy innymi gałęziami wiedzy, posługiwały się i nawet obecnie posługują się źródłami niekiedy bardzo podejrzanej wartości. Moglibyśmy wskazać teorie, np. sławne swego czasu wywody Mc Lenana, będące pomimo rozgłosu tylko fantazyą. Dowcip, w nie włożony, oraz praca, podjęta nad zestawieniem faktów, poszły na marne, bo materiał, z którego korzystano, był niekrytycznie dobrany. Pochodził on od dorywczych podróżników, którzy, na podstawie przelotnych

---

<sup>1)</sup> Wyjątek z większego dzieła.

wrażeń, opisywali stosunki, właściwe ludom pierwotnym. Nawet ci, którzy dłuższy czas przebyli w otoczeniu pierwotnem, nie zawsze dostarczali materiału wiarogodnego. Taki spostrzegacz, przyzwyczajony od dzieciństwa do pewnych urzędzeń społecznych, do pewnych widukręgów cywilizacyi, przenikniony jej wstrętami i sympatjami, nie tylko oceniał fakty według skali subiektywnej, lecz nadto fałszował je. Uwaga L. Morgana, że: „dzieje Ameryki hiszpańskiej zasługują na wiarę, o ile dotyczą działalności Hiszpanów, czynów i osobistej charakterystyki Indyan, ich broni, sprzętów, hodowli, pokarmu, odzieży, i temu podobnych rzeczy; ale co do społeczeństwa i rządu Indyan, ich stosunków społecznych i sposobu życia, są prawie bez wartości, gdyż niczego nie uczą i o niczem nie wiedzą“,—uwaga ta, niestety, może być zastosowana do 99 z pośród 100 dawniejszych prac, traktujących o bycie ludów dzikich i barbarzyńskich, i do wielu, może nawet do 50%, obecnych. Aż nazbyt często przypominam sobie postępowanie J. Weddella. Zawinąwszy do Ziemi Ognistej, pała on niecierpliwością dowiedzenia się, czy szczep, tam zamieszkały, posiada jakikolwiek przedmiot czci: zgromadza więc kilku tubylców i odczytuje im rozdział z Biblii—„nie dlatego, ażeby spodziewał się, iż rozumieją cokolwiek z tego, co im przeczytane będzie, ale ponieważ takie postępowanie było najwłaściwsze dla zapoznania ich z Biblią i uprzytomnienia jej treści za pomocą gestów, oznaczających śmierć, zmartwychwstanie i modły ku niebu“. Dzicy nie zrozumieli ani zdźbła z tego zaiste „niemieckiego“ kazania, choć jęli naśladować pantominy Weddella. Nad stronnicami, opisującemi takie badanie wierzeń pierwotnych, niefortunny podróżnik postawił nagłówek: „no sings of religion“, „najmniejszych śladów religii“! i wreszcie, jako wynik takich studyów, miał odwagę oświadczyć: „dla honoru przyrodzenia ludzkiego pragnąłbym pomieścić ten szczep na wyższym nieco poziomie oceny umysłowej, lecz muszę przyznać, że stan jego jest najniższy wśród ludzkości“<sup>1)</sup>).

Postępowanie takie zanadto bije w oczy, ażeby przyjęto wyprowadzone z niego wnioski. Ale wrażenie, wyniesione z książki, a potwierdzone z innych źródeł, np. u Darwina, nie omieszkalo wywrzeć wpływu. Nagie ciało, wystawione na działanie powietrza i wysmarowane tłuszczem, włosy w nieładzie, wogóle cały wygląd istoty ludzkiej i tryb jej życia usposobiły pierwszych podróżników nieprzychylnie dla przedstawicieli najniższych ogniw kultury.

<sup>1)</sup> J. Weddell: „Voyage towards the South-Pole“, str. 156, 166/7 179, 192.

Te biedne nędzne stworzenia — pisze o Fuegieńczykach Darwin <sup>1)</sup> — wyglądały jak okazy skarłowaciałe; wstrętne ich twarze były posmarowane białą farbą, skóra tłusta i brudnawa, włosy poplątane, głos niedźwiężny, a giesty gwałtowne. Gdy spoglądamy na takich ludzi, zaledwie wierzyć możemy, że są to podobne nam współtwory, oraz mieszkańcy tego samego świata. Często rozmyślamy nad tem, jakich przyjemności doznawać mogą w życiu swem niektóre niższe zwierzęta. O ile słuszniejszym byłoby postawienie takiego pytania ze względu na tych barbarzyńców“.

„Mówiąc o nich — pisze Breton <sup>2)</sup> o Australczykach — musimy przyznać, że uczuwamy dla tubylców N. Hollandyi zaledwie nieco więcej szacunku niż dla orangutanga. Jesteśmy niezdolni odszukać tam głębszej różnicy. Porównyując ich ze zwierzętami, o tyle przeprowadzamy to podobieństwo, o ile zastanawiamy się nad ich ogólnemi zwyczajami. Wybierając w tym celu *Simia Troglodytes*, nie sądzimy, ażebyśmy popełniali niesprawiedliwość“.

Z podobnemi uprzedzeniami spoglądano na urządzenia społeczne Fuegieńczyków i Australczyków. Ci, którzy pierwsi podali pewne szczegóły, dotyczące więzi społecznej tych ludów, posuwali się aż do zaprzeczenia, ażeby miały one jakąkolwiek spójnię, prócz posłuszeństwa dla władzy mężowskiej i ojcowskiej. Nawet odmówiono im zdolności współdziałania w najprostszycy okolicznościach. „Dzicy N. Hollandyi <sup>3)</sup>, nawet w najprostszycy czynnościach, nie korzystają z pomocy wzajemnej, stan więc ekonomiczny tych ludów nie wiele co lepszy jest a nawet niekiedy gorszy, od stanu zwierząt dzikich.“ A przecież zdawało-by się, że najpowierzchniejszy badacz bytu australskiego powinien był spostrzedz częsty i powszechny tam zwyczaj urządzania zbiorowych obław! Wrażenie, że dla tubylców N. Hollandyi można mieć tylko „nieco więcej szacunku niż dla orangutanga“, że trudno wystawić sobie, ażeby Fuegieńczycy byli „naszymi współbraćmi“, ujawnia się w większości opisów, dotyczących najniższych szczepów. Miano dla nich jedynie pogardę, i to uczucie zabarwiło odpowiednią cechą wiele dzieł socyologicznych, traktujących o człowieku pierwotnym. U Spencera, Karola Letourneau i innych można spostrzedz wymowne

<sup>1)</sup> K. Darwin: „Podróż naturalisty“. Przekład d-ra J. Nussbauma, str. 173.

<sup>2)</sup> Breton: „Excursions in N. S. Wales and Dieman's Land,“ Londyn 1833, str. 196.

<sup>3)</sup> Wakefield u J. S. Milla „Zasady ekonomii politycznej“, Petersburg, t. I, str. 105.

skutki takiego stanowiska. Patrzą oni na człowieka pierwotnego, jako na istotę, nie tylko stojącą na niższym szczeblu uzdolnień i rozwoju społecznego, co byłoby rzeczą zupełnie słuszną, ale jako na coś tak brudnego i niemal zwierzęcego, iż odmawiają mu wszelkich potrzeb, prócz głosu instynktów najbrutalniejszych. Uprzedzenia były tak silne, że gdy odkryto oznaki bardziej złożonej więzi społecznej, to znaleźli się tacy, którzy się starali w tem widzieć tylko szczątki, pozostałe po dawnej wyższej kulturze! U niektórych plemion N. Hollandyi znaleziono bumerang, oręż, mający kształt zgiętego sierpa, lecz tak, iż podłużne jego przecięcie nie leży na tej samej płaszczyźnie. Narzędzie to, rzucone w górę, opisuje linię zamkniętą i wraca do rzucającego. „Bumerang, używany w Australii wschodniej—ktoś pisze <sup>1)</sup>—świadczy może o dawnym związku z ludem bardziej cywilizowanym, albo o wyższym poziomie wiedzy pomiędzy tubylcami w dawniejszym okresie, zanim stoczyli się w stan obecny głęboko posuniętego barbarzyństwa“. Ktoś inny, wielceby Taplin, autor bardzo cennej monografii o plemieniu Narrinyjerów, wśród których w ciągu lat wielu działał, jako misjonarz, znalazłszy tam organizację plemienną, powiada: „Niema wątpliwości, że Narrinyjowie zeszli z wyższego stanu społecznego. Posiadają prawa, zwyczaje, sprzęty i oręż, których obecnie nie zdołali-by wynaleźć, oraz szczegółowo opracowane obyczaje, których znaczenia nie rozumieją, acz ściśle je przestrzegają <sup>2)</sup>“. Nie przeszło mu przez myśl, że właścianin europejski nie wytłómaczył-by pochodzenia wielu przesądów, których trzyma się, ani nie odkrył-by wielu pospolitych kunsztów, z których z dnia na dzień korzysta. I nie tylko ludzie bez wykształcenia naukowego, odznaczający się jednak umiejętnością robienia spostrzeżeń, ale także mężowie nauki, którzy przecież powinni byli ustrzedz się takich usterek, prawili podobne niedorzeczności. „Australczycy—pisze C. Lombroso <sup>3)</sup>—posiadają przeżytki cywilizacyjne (zakaz małżeństw pomiędzy krewniakami, zwyczaj obrzezania i wrywania zębów itd.), istniejące u odległych szczepów. Ta okoliczność nasuwa przypuszczenie, że te odmienne plemiona tworzyły ongi jedno wielkie mocarstwo“. Nadto odkrytą więź społeczną przeinaczono doniepoznaną, a twierdzenia, acz kłóciły się nawzajem, mimo to

1) Ph. Chauncy: „Notes and Anecdotes of the Aborigines of Australia“ u Brough Smyth'a tom II, str. 251.

2) Taplin u Curra, tom II, str. 252.

3) C. Lombroso: „Nouvelles Recherches de Psychiatrie et d'Anthropologie criminelle“, Paryż, 1892, str. 131.



istniały zlepione w zdania i służyły za materiał dla etnografów europejskich. Tubylcy N. Hollandyi posiadali bardzo osobliwą organizację społeczną, której głównem zadaniem było regulowanie stosunków małżeńskich. Na czem polegała istota tej więzi, nie obchodzi to nas na razie, tylko sposób, w jaki ją przekręcano.

„Chociaż w każdym plemienu istnieją trzy odrębne „klasy“<sup>1)</sup>. może „rangi“, lub coś podobnego do podziału na „kasty“, właściwego innym krajom, przecie niema tam nic pokrewnego godności wodza. W każdym plemienu spotykamy starców. Bardzo niewiele z pośród tych naczelników pochodzi z wyższej klasy „manjerojella“. Średnia nosi nazwę „manjerawula“, najniższa—„manbuljil“. Nie zdołałem odkryć, jakie przywileje, jeśli one wogóle istnieją, klasa wyższa posiada. Członkowie wszystkich trzech klas stoją na stopie zupełnej równości“.

Klasy, rangi i kasty, a jednocześnie zupełna równość i powątpiewanie, ażeby istniały przywileje, wszystko to są pojęcia tak sprzeczne nawzajem, iż krytyczniejszy spostrzegacz od razu powinien był wpaść na myśl, że poza tą opowieścią ukrywa się w głębi niezajomość przedmiotu! Owemi „klasami“ były niewątpliwie grupy zewnętrznożeńne, stanowiące podstawę ustroju nowo-hollenderskiego według nowszych badań.

Albo weźmy opis pewnej uroczystości u Collinsa<sup>2)</sup>:

„Tubylcy w pobliżu zatok: Botany Bay, Port-Jackson i Broken żyją w stanie natury, który musiał być wspólną właściwością wszystkich ludów przed połączeniem ich w społeczeństwa... Do plemienia Cam-me-ray należy wyłączny i niecodzienny zwyczaj wybijania zębów tubylcom z pośród innych plemion, zamieszkujących pomorze. Posiadanie takiego przywileju stawia lud ów w osobliwym położeniu. Niewątpliwie posiada on stanowczą hegemonią. Inni odkładają wiele spraw honorowych aż do ich przybycia, a kiedy nadejdą, niepodobna nie spostrzedz wyższości i wpływów, jakie ich liczba i powierzchność fizyczna im daje. Taką przewagą cieszą się oddawna. Przywilej pobierania zębów młodzieży, pochodzących z innych rodzin, musi być starej daty i współrzędny z okazywanem im posłuszeństwem. Dlatego te wpływy mają w sobie coś z ustalonej powagi, powaga

1) J. Mac Gillivray: „A Narrative of the Voyage of Rattlesnake“, Lond., 1852, tom I 150—151.

2) Collins; „An Account of the english Colony in New-South Wales“ Londyn, 1804, str. 354.

zaś oparta na sankcyi obyczajowej, jest rękojmią trwałości zwyczajaju.“

Studia Howitta wykazały rzeczywiście naturę owych przywilejów. Każde plemię australskie rozpada się na dwa działy, bractwa, jak wyraził się Morgan, kumostwa, jak może właściwiej byłoby powiedzieć, o ile rzecz dotyczy szczepu nowo-hollenderskiego. Zbierają się one podczas uroczystości wtajemniczania młodzieży, jedno z nich względem drugiego spełnia obowiązki kuma i między innymi wyrzyna zęby podrostkom.

Takie opisy, oparte na błędnem pojmowaniu urządzeń społeczeństwa pierwotnego, przedostają się do dzieł etnograficzno-socjologicznych i służą za podstawę do hipotez, co do rozwoju więzi społecznej. Poddziały plemienia australskiego, według T. Waitza, „są to niewątpliwie trzy rangi“; to znowu zapewnia on nas, „że mamy tam napewno do czynienia ze szczątkami lepszych ubiegłych czasów“; nawet nie brak twierdzenia, że „są to wodzowie i szlachta, swobodni i rzemieślnicy, wreszcie gmin, chociaż niepodobna tego udowodnić<sup>1)</sup>“. Inny etnograf<sup>2)</sup>, z powodu podziału plemienia australskiego Kamilarojów na grupy zewnętrznożenne, pisze: „zdaje się, iż plemiona australskie dzielą się na dwie grupy: patrycyuszów (ludzi wolnych?) i plebejuszów (poddanych?). Czy z patrycyatem są złączone jakieś przywileje, nie jest rzeczą pewną“.

Któs<sup>3)</sup> idzie jeszcze dalej: „Rysy, właściwe czarnym tubylcom Indyi Przedgangesowych, i ogólny charakter języków drawidyjskich i australskich zniewalają do postawienia obu szczepów obok siebie. Istnienie bumeranga w obu krajach i szczątki kast w Australii służą jako dalsze potwierdzenie tego“.

Słowem, kasty hinduskie, klasy patrycyuszów i plebejuszów, rangi, oto modły w jakie subiektywizm europejski usiłował wtłoczyć niezrozumiałe dla siebie stosunki! Rzecz to naturalna. Więź społeczna australaska odznacza się tak osobliwą strukturą, iż odkryto jej zasady

<sup>1)</sup> Th. Waitz „Anthropologie der Naturvoelker“, tom VI, Lipsk, 1872, str. 789/90.

<sup>2)</sup> Fr. Mueller: „Allgemeine Ethnographie“, str. 183. Zdanie to odnajdujemy i w innych podręcznikach etnografii—jeden autor przepisywał bez ceremonij innych. Patrz Peschel: „Nauki o ludach“ przekład Wisłockiego; Girard de Riaille „Les peuples de l'Asie et de l'Europe“, str. 22.

<sup>3)</sup> P. Topinard „Anthropologie“, Paryż, wyd. czwarte, str. 519.

dopiero po wieloletnim a sumiennem badaniu. Howitt<sup>1)</sup>, po latach kilkunastu studyów, które stanowią jeden z najcenniejszych przyczynków do poznania bytu społecznego ludów pierwotnych, czuł się w obowiązku zrobić zastrzeżenie, że prawdopodobnie nawet i obecnie, ani dla jednego plemienia australskiego, nie zgromadzono w zupełności i nie wyjaśniono wszystkich praw, które rządzą klasami, podklasami i totemami i regulują zawieranie związków małżeńskich. Prace Howitta, w ostatnich zaś latach R. H. Matthews'a wykazały, że mieszkańcy łądu kopalnego, tak nisko stojący, że ten i ów pisarz nie widział różnicy pomiędzy nimi a orangutangiem, wytworzyli dość osobliwą więź społeczną, której zbadanie wymaga bardzo sumiennych i wieloletnich poszukiwań i jest niemożliwe bez wżycia się w byt tubylców i pozyskania ich najzupełniejszego zaufania.

Wzięliśmy Australczyków, ażeby na tym przykładzie dowieść podejrzanej wartości źródeł, dostarczających materiału do budowy gmachu socjologii etnograficznej. I nie sądźmy, że w taki sposób postępowano tylko z ludami, znajdującymi się na najniższym szczeblu kultury, a zatem z takimi, względem których ich byt koczowniczo-myśliwski działa uprzedzająco i może zrodzić w dorywczym spostrzegaczu wytłómaczone uczucie lekceważenia i pogardy. Nie lepiej zachowywano się i w stosunku do szczepów, wyżej posuniętych. Więź społeczna, im właściwa, uległa pofalszowaniu, z tą tylko różnicą, iż niepodobna było takim ludom odmówić posiadania organizacji politycznej, która zanadto wyraźnie uderzała w oczy, ażeby można było jej nie dojrzeć. Przeznaczono ją w innym duchu, ale przeznaczono. Opisy urządzeń społecznych, spotykanych u ludów Mikronezyi, dostarczą nam wymownego, a nowego dowodu, z jaką ostrożnością trzeba zachowywać się względem szczegółów, w nich zawartych. Obdarzamy zaś wyśpiarzy wspomnianej dzielnicy swoją uwagę tylko dla tego, iż sumienne, a pierwszorzędnej naukowej doniosłości studia naszego rodaka, Jana Kubarego, rzuciły dostateczne światło na istotę tamtejszej organizacji politycznej i zarazem dały probierz do oceny innych źródeł.

Nie będziemy przytaczali opisów, które znajdujemy w pracach licznych autorów o stosunkach mikronezyjskich, lecz poprzestaniemy na ogólnej charakterystyce konstytucji tamtejszej, podanej na podstawie takich źródeł przez G. Gerlanda. „Zaludnienie — pisze ten etno-

---

1) „Transactions of R. S. of Victoria“ tom III, str. 113.

graf<sup>1)</sup> — rozpada się na dwa wielkie działy, z których jeden jest w związku z bogami i posiada na ziemi wszelką władzę nad drugim. Ten zaś nie ma nawet duszy, więc i nieśmiertelności i, dlatego nie może wchodzić w obcowanie z bogami, spocząc w mogile i t. d. Upośledzeni w ten sposób, byli wobec tych boskich stworzeń bez praw, znaczenia i własności; musieli wypełniać wszelkie ciężkie i nieprzyjemne roboty, zadawałać się jak najgorszym pokarmem i mieszkaniem, byli wystawieni na wpływy złej pogody i musieli nawet obywać się bez żony.“ Gerland użytkował z materiału, zaczerpniętego z opisów dorywczych podróżników, którzy nie mieli ani czasu, ani okazji poznać istotę opisywanych stosunków. Lecz, co dziwniejsza, takie przeznaczenie rzeczywistości nie ustało i obecnie, pomimo, iż istnieją prace Kubarego, człowieka, który poświęcił wiele lat życia na zbadanie urzędzeń mikronezyjskich i dostarczył klucza do ich zrozumienia i odcyfrowania. Jako przykład, moglibyśmy przytoczyć ustęp z bardzo świeżej pracy Parkinsona<sup>2)</sup>, opisującej wyspiarzy archipelagu Gilbert'a.

„Na gruntach wielkich właścicieli ziemskich mieszkają ludzie ich własnej klasy, „Te Torro“. Są oni lennikami „Te Tokkera“ (to jest owego właściciela) i posiadają jedynie prawo użytkowania z kawałka ziemi, na którym przebywają. Wzamian za to winni oni panu swemu podczas wojny dostarczać ludzi, składać żadaną liczbę orzechów kokosowych, wogóle zaopatrywać go we wszystko, czego potrzebuje w swoim gospodarstwie. Najniższy szczebel przedstawiają „Te Bei“. Nie posiadają bowiem żadnej własności, mieszkają przy wielkich właścicielach ziemskich i otrzymują pożywienie od nich, za co są obowiązani pracować na panów, to jest chodzić na połów ryb, przygotowywać jadło i t. d. Gdy podoba się panu, daje im kawałek ze swojej ziemi, przez co posuwają się o jeden szczebel wyżej—do klasy „Te Torre“; obie te rangi nie biorą w rządzie żadnego udziału, bez protestu idą za swoim panem, jego wola jest ich wolą; krzywdę, jakiej on doznał, uważają za własną i poszukują za nią zadośćuczynienia. Zwykle pobierają się osoby tej samej klasy; mężczyźnie z niższej klasy rzadko udaje się dostać kobietę, należącą do wyższej, i na odwrót. Jednak w życiu codziennem niema żadnej różnicy, pan i lennik: „Te Tokker“

<sup>1)</sup> Dr T. Waitz „Antropologie der Naturvoelker,“ tom V, dział drugi, str. 125.

<sup>2)</sup> R. Parkinson: „Beitraege zur Ethnologie der Gilbertinsulaner“ (w Internationales Archiv f. Ethn. etc. tom II, str. 99).

i „Te Bei“, śpią niekiedy na tej samej macie, pospołu uczestniczą w tańcach i zabawach; nawet i w odzieży niema najmniejszych odróżnień. Gdzie niema królów, tam wielcy właściciele ziemscy rządzą wyspą.“

Ażeby ocenić należyce charakter tych fałszów i przekręceń, przyjrzyjmy się więzi społecznej pobliskich wysp Pelauskich, tak wyczerpująco zbadanej przez naszego ziomka.

Podstawą ustroju tamtejszego jest ród, zwany „blayem“ i zawierający w sobie tylko potomstwo kobiet, bo dzieci mężczyzn należą do innych blayów, mianowicie do tych, z których żony pochodzą. Na czele każdego rodu stoi mężczyzna, „obokul“, i kobieta, „udil“,—najstarsi wiekiem. Inni członkowie rodu, mężczyźni i kobiety, są ponumerowani stosownie do wieku: 1, 2, 3, 4,... 10. Kiedy w rodzie umiera obokul, jego miejsce zajmuje mężczyzna Nr. 1, miejsce mężczyzny Nr. 1 mężczyzna N. 2, tak, iż wszyscy członkowie posuwają się w górę o jeden szczebel. Obokul, czyli, jak u nas mówiono o głowach rodu herbowego, senior, jest tylko rządcą majątku, należącego do wszystkich. Każdy blay bowiem posiada szmat ziemi i dom ogólny, w którym mieszka głowa rodu z żoną i dziećmi. Sadyba ta jest zarazem ogniskiem całego rodu. Tam wychowuje się młode pokolenie i przebywają kobiety zamężne grupy rodowej; tam spędzają dzień mężczyźni, udający się na spoczynek nocny do klubów—„bayów“. (Zwracamy uwagę na tożsamość tego terminu z jednym z terminów, przytoczonych przez R. Parkinsona). Obokul zarządza własnością nieruchomości; administracja mienia ruchomego spoczywa w ręku najstarszej matrony; lecz nadzór nad majątkiem należy do wszystkich, bo tylko za przyzwoleniem ogółu obokul lub udil mogą coś odprzedać lub odstąpić. Nawet przedmioty najcodzienniejszego użytku stanowią jedynie dożywotnią własność swego posiadacza, której nie może on oddać członkom cudzego rodu, nawet własnym dzieciom. Tylko obokulowie prowadzą w wioskach pelauskich własne gospodarstwo. W domostwie, które taki senior zamieszkuje, jak o tem wspominaliśmy, ześrodkowuje się całe życie rodu: dziatwa tam dorasta, przebywają dziewczęta, póki nie pojdą za mężem do obcego rodu (jeśli wogóle pojdą), do niego wracają wdowy z potomstwem swoim, tam wreszcie pracują i przebywają blayowcy, o ile nie bawią na obczyźnie, w rodach żon swoich. Mężczyźni prowadzą życie, w gruncie rzeczy pozadomowe. Wszyscy, prócz obokulów i malców, śpią i żyją w klubach, których w osadzie znajduje się kilka. Taki klub posiada własne domostwo. Dniem bywa ono puste, bo jego członkowie pracują naówczas w gospodarstwie domowym, dopiero w porze nocnej nastaje tam wrzawa.

„Badając żywot mężczyzn—pisze J. Kubary <sup>1)</sup>,—widzimy, iż spędzają oni młodość swoją bez wyrobku, że tak rzekniemy, na przyszłość. W domu obokula lub własnych rodziców, wyrostek jest tylko gościem codziennym, w nocy musi on przebywać w chacie klubu, nie dlatego, że jest jego członkiem, ale ponieważ zwyczaj każe trzymać młodź męską zdala od domu rodzicielskiego. Jako małżonek, nie ma prawa kosztować z żoną wczasów w domu teściów: w zmroku nocy winien z małżonką udać się do opuszczonego a odludnego budynku, aż póki na ojcowiznie rodowej nie założy własnego ogniska. Ale i wtedy klub pochłania większą część czasu i panuje nad życia sposobem i poglądami. Jak u Greków starożytnych, sprawy publiczne zagarniają jego uwagę. Wszystko jest tam rzeczą publiczną, tak, iż mąż zaledwie ma czas udać się na połów ryb dla siebie. Żyje, nadaremnie usiłując spleść w całość harmonijną nawzajem wykluczające się pierwiastki. Interesy społeczne zabierają jedną połowę życia, drugą zaś pożycie małżeńskie. Pomiędzy temi biegunami płyną dni jego pełne terażniejszości, lecz bez rezultatów na przyszłość“.

Niewątpliwie, owymi właścicielami ziemskimi, o których mówi Parkinson, i odłamiem, spokrewnionym z bogami u Gerlanda, będą obokulowie. Żonaci mężczyźni, którzy sprowadzili żonę na grunta rodu swego, odpowiadają lennikom Parkinsoņa; kawalerowie zaś, żyjący w klubie, i żonaci, lecz których żony przebywają w domostwie swego rodu i widują się z mężami półukradkiem w opuszczonych i odludnych chatkach, będą odłamiem „bez duszy“, i najniższym szczeblem organizacyi na wyspach archipelagu Gilbert. Przecież i Semper na wiele lat przed Kubarym podał nazwę charakterystyczną dla mężczyzn, przebywających w klubie i jeszcze bez własnego ogniska: „nadzy“.

Powyższe przykłady wystarczają, ażeby usprawiedliwić nasz wyrok, co do wartości materiału etnograficznego, z którego nauce socyologicznej aż nazbyt często wypada korzystać, oraz dostatecznie popierają nasze twierdzenia, iż pierwsze zadanie, oczekujące każdego badacza w tej dziedzinie, polega na sumiennej ocenie źródeł. I nasze zarzuty stosują się nietylko do prac źródłowych starej daty, ale i do wielu monografii, które pojawiły się w ostatnich czasach. Istnieją dzieła, które pozyskały sławę niewątpliwie wygórowaną i, pomimo swojej podej-

<sup>1)</sup> J. Kubary: „Ethnografische Beitræge zur Kenntniss der Karolinischen Inselgruppe und Nachbarschaft.“ Zeszyt pierwszy: „Die sozialen Einrichtungen der Pelauer“, Berlin, 1885.

rzanej wartości służą za arsenał, skąd są czerpane fakty i argumenty. Dość będzie wymienić tutaj tak wspaniałą pod względem zewnętrznym książkę braci Sarasinów <sup>1)</sup>. Udali się oni na Ceylon, dla studyów przyrodniczych; ale korzystając z okazji, dali obraz kultury weddaskiej, znajdującej się jeszcze w fazie dzikości. Bez znajomości języka, bez wżycia się w byt Weddów, mogli oni, co najwyżej, dowiedzieć się tylko tyle, ile jest możliwem przy pomocy tłumacza, przedewszystkiem zaś skompilowali dawnych autorów, przeplatając fakta swemi własnymi wnioskami, aż nazbyt często wypowiedzianemi nie jako hipoteza, ale jako istniejąca rzeczywistość. Lecz dzieło wyszło na przepięknym papierze, ozdobione wspaniałemi rysunkami, posiada wielkie rozmiary, słowem, swoją zewnętrznością imponuje. Sarasinowie stali się powagą. Albo weźmy czterotomowe dzieło E. Curra <sup>2)</sup>. Przy pomocy korrespondentów, zgromadził słowniczki paruset plemion australskich z niewielkimi opisami urzędzeń społecznych, właściwych pojedynczym plemionom—opisami bardzo odmiennej wartości. Dodał do tego wszystkiego wstęp, w którym usiłuje podważyć wywody Howitta i zaprzecza istnieniu faktów, podanych nawet przez jego własnych korrespondentów. Pomimo tego, stał się wyrocznią! Socyologia europejska zawierzyła bez żadnej krytyki tym źródłom i moglibyśmy wskazać parę prac, wydanych w ostatnich czasach, a opartych niemal wyłącznie na argumentach Curra. Zdaje się jednak, iż czasy takiego materiału podejrzaney wartości lub nawet popospolitej zdawkowości mijają. Studya etnografów, zgrupowanych przez Fundację Smithsońską w Waszyngtonie, a rozpoczęte tak wydajnie przez L. Morgana, poszukiwania na przestrzeni N. Holandyi, prowadzone przez Howitta, a teraz kontynuowane przez Matthewsą, prace Kubarego i poniekąd wielebnego Codringtona, bardzo cenne monografie, ukazujące się w rocznikach instytutu antropologicznego W. Brytanii i Irlandyi, zwiastują nowy okres—poszukiwań źródłowych, podjętych przez ludzi, obeznanych z wymaganiami wiedzy, a nadto gruntownie znających opisywany szczepek plemienny. Właśnie tego rodzaju badania służą nam za probierz przy wyrokowaniu o wartości tego lub innego pośród dawniejszych autorów. W takim oświetleniu i rezultaty wcześniejszych poszukiwań, a raczej spostrzeżeń, bo o poszukiwaniach

<sup>1)</sup> Paul i Franz Sarasin: „Die Weddas von Ceylon und die sie umgebenden Voelkerschaften. Ein Versuch die in der Phylogenie des Menschen liegenden Raetbsel naeher zu bringen“, Wiesbaden.

<sup>2)</sup> E. Curr; „The Australian Race, its origin, language, customs, etc.“, Melbourne, 1886.

nie było wtedy mowy, nabierają zgoła innej doniosłości. Niepodobna, ażeby wszystko, od pierwszej stronicy do ostatniej, było tam fałszem. Cała rzecz w tem, iż dostrzeżone nieraz, a istotne zwyczaje doczekały się, albo przeinaczenia, albo mylnego tłómaczenia, albo wreszcie powierzchnowego i błędnego opisu. Z chwilą, w której posiadziemy należyte kryterium, i ów materyał, tak podejrzany, nie będzie znów tak całkowicie bez żadnego znaczenia. Owszem może zdoła on naówczas oddać bardzo cenne usługi.

## II.

Nie dość jednak rozporządzać materyałem, zasługującym na zaufanie, i krytyczną oceną tego, który wzbudza w nas pewne wątpliwości. Trzeba jeszcze umieć skorzystać z niego. Zdawało-by się, iż taka umiejętność zależy jedynie od pewnych przymiotów umysłowych badacza. Błędne to mniemanie! Zdarza się często, iż nawet umysł bardzo subtelny nie może trafić na właściwą drogę z braku przygotowanych robót, które-by utorowały dalsze ścieżki. Istnieją zasady metodologiczne, występujące na jaw dopiero po wielu błakaniach; sformułowane należycie, odciągają przyszłych poszukiwaczy od manowców.

Biologia wprowadziła do nauki dwa udatne pojęcia: analogii i homologii. Organami analogicznymi zowią się organa, służące dwom odrębnym i nawzajem dalekim ogniwom świata organicznego do jednakich celów i na pozór jednakowo ukształtowane, ale mające w przeszłości zgoła odmienny rodowód, płetwy np. ryby i wieloryba. Homologicznymi będą takie organa, które, pomimo nawet swego pozorowego niepodobieństwa, posiadają ten sam początek i, chociaż spełniają odmienne zadanie, przecież muszą być postawione na tym samym poziomie rodowodowym: włosy np. i zęby.

To odróżnienie przydało-by się i socyologii etnograficznej. U ludów, znajdujących się na bardzo odmiennych szczeblach rozwoju społecznego, mogą istnieć zwyczaje i urządzenia społeczne, pod względem kształtów swoich niemal identyczne, a przecież, co do początków



swoich niewspółrzedne, a więc takie, których nie godzi się nawzajem zestawiać, jako równoległe i jednopochodne.

Jako przykład możemy wziąć umyczkę, t. j. porywanie przyszłej żony w sposób mniej lub więcej gwałtowny. Spotykamy tę instytucję u licznych szczepów: i u dzikich tubylców lądu N. Hollandyi, i u barbarzyńców pasterzy ze stepów Azji, i na zaraniu naszej własnej historii, kiedy Bolesław Chrobry umyka w taki sposób jedną z żon swoich, i w formie szczątkowej może w obrzędach ludu naszego. Niektórzy badacze, znajdując umyczkę u tyłu ludów, uważali ją za najpierwotniejszą formę zawierania małżeństw, i spoglądali na jej obecność u różnych plemion jako na mniej lub więcej nadwężoną pozostałość po prastarej a powszechnej formacyi zwyczajowej. Tymczasem, przynajmniej takiem jest nasze przekonanie, stanowi ona w życiu społecznem każdej epoki raczej zjawisko wyjątkowe, wpływające każdorazowo ze specjalnych warunków rozpatrywanej grupy społecznej, które mogą nawzajem różnić się nad wszelki wyraz. Jest ona, naszym zdaniem, odpadkiem normalnego rozwoju,—objawem analogicznym, nie zaś homologicznym.

Albo weźmy inny przykład:

W Paryżu istnieją tak zwane „ménages parisiens,” luźny związek mężczyzny z kobietą, którzy rozchodzą się tak samo, jak zeszli się—bez żadnych formalności. Co do swojej natury odtwarzają one „rodzinę parzystą”, którą L. Morgan odnalazł u wielu plemion czerwono-skórych Ameryki północnej. Atoli błędem było-by zbliżać do siebie obie te formacje—są one analogami w rozwoju życia społecznego, lecz nie homologami. Rodzina parzystą z czasów barbarzyństwa wywiązała się z pierwotnej luźności stosunków małżeńskich, stała paryskie stanowiąc wytwór rozprzężenia rodziny w wirze wielkomiejskim.

Socjologia porównywała niejednokrotnie takie wytwory odmiennych warunków jako zjawiska równoznaczne. Poliandrya, co do swego rodowodu, nierówna poliandryi; lewirat—lewiratowi itd. Formy te pozycia mogą pojawić się w różnych fazach rozwoju, lecz podobieństwo ich zewnętrzne nie jest jeszcze dowodem, ażeby jednakowe każdorazowo potrzeby byt im nadały.

„Czy mamy wszędzie—robi Starcke<sup>1)</sup> bardzo słuszną uwagę—szukać tych samych przyczyn powstania poliandryi? Poliandrya, łą-

<sup>1)</sup> C. N. Starcke; „La famille primitive, ses origines et son développement”, Paryż, 1891, str. 134.

cząca braci w jednym stadle, musi powstawać w plemienu, w którym rodziny nie znają działów, mniejsza pod działaniem jakiej pobudki.“

„Trudno—powiada ten sam autor w innem miejscu <sup>1)</sup>—rozwiązać problematy takie, jak wyprowadzanie rodowodu tylko od jednego z pośród rodziców, głównie z powodu stosowania niewłaściwej metody. Większość badaczy wyjaśnia spotykany przez siebie zwyczaj za pomocą faktów, zaczerpniętych z dalekiej przeszłości, nieistniejącej. Niewątpliwie, wiele zwyczajów trzyma się siłą nałogu, acz przyczyny, które je wytworzyły, przestały istnieć. Ale chyba jest zbyt czczeniem powtarzać, iż w żadnym przypadku, prócz ostateczności, nie wolno poprzestawać na takim sposobie wyjaśniania, t. j. tylko wtedy, gdy niepodobna wytłómaczyć zwyczaju za pośrednictwem faktów otoczenia bezpośredniego.. Jeśli np. w pewnem społeczeństwie istnieje matriarchat i ojcostwo nie jest pozbawione wątpliwości, a nadto otczające warunki zupełnie wyjaśniają jego (t. j. macierzyństwa) obecność, naówczas, póki nie nagromadzimy rozleglejszych danych, należy te warunki uważać za rzeczywistą przyczynę.“

Ażeby można było porównywać zwyczaje społeczne, istniejące u odmiennych ludów, i zestawiać je jako objawy homologiczne, trzeba o tem pamiętać, że zwyczaje te będą tem bliższe sobie, im bardziej będziemy poprzestawali na grupach plemiennych tego samego szczebla kulturalnego.

Nie tak dawno jeszcze wszystkie ludy niecywilizowane stawiano prawie na tym samym poziomie, choć w gruncie rzeczy nie zaprzeczano istnieniu różnic w napięciu kultury. Nie przywiązywano przecież zbyt wielkiej doniosłości do ich zrozumienia i sformułowania. Takie nieuwzględnianie formacyi rozwoju ujawnia się prawie na każdej stronicy wywodów H. Spencera, u którego fakty, właściwe ludom myśliwskim, mieszają się z faktami, charakteryzującemi kulturę rolników. Tego rodzaju postępowanie w początkowym okresie nauki o ewolucyi urządzeń społecznych posiadało pewną wartość, bo, bądź co bądź, uwydatniało względność instytucyi i zwyczajów i zachęcało do podjęcia dalszych studyów. Lecz w miarę postępu tej gałęzi wiedzy, nastąpiła potrzeba dokładniejszego odróżniania poszczególnych faz rozwoju i uszeregowania ludów w hierarchię według stopnia kultury. Powstało pojęcie formacyi kulturalno-społecznych, w ciągu zaś dalszym

<sup>1)</sup> Ibidem, str. 16.

uświadomiono sobie, iż tylko ludy, znajdujące się w tej samej fazie, można nawzajem zestawiać jako kategorie współrzędne.

L. Morgan pierwszy dokonał tego przewrotu w poglądach.

Wyszedł on z założenia, że „u wszystkich szczepów rodu ludzkiego doświadczenie postępowało prawie jednymi drogami“; że „potrzeby ludzkie w podobnych sobie warunkach były rdzennie te same“, i że „czynności duchowe były jednakowe wskutek specyficznej tożsamości mózgu u wszystkich ras ludzkich.“<sup>1)</sup> Jego zdaniem, oddzielne szczepy naszego gatunku, pomimo niezależności wzajemnej, przechodzą współrzędne fazy rozwoju, z których każda posiada mniej więcej tę samą fizyognomię duchową i społeczną, przyczem taka jednolitość wpływa z tożsamości warunków bytu materialnego. Klasyfikacya więc formacyi społecznych musi opierać się na uszeregowaniu źródeł zarobkowania i sposobów panowania nad przyrodą, według ich wzrastającej złożoności. „Następujące po sobie kolejno sposoby żywienia się są najlepszym dowodem ważnego objawu wznoszenia się ludności od najniższych szczebli uspołecznienia. Przewaga ludzi na ziemi zależała od nabytych w tym kierunku wiadomości... Nie rozszerzając odżywczych źródeł istnienia, ludzkość nie była-by mogła zająć innych przestrzeni, nieposiadających tych samych pokarmów, a w końcu całej powierzchni ziemi, i wreszcie, nie owiadnąwszy absolutnie ich różnaitością i mnogością, nie była-by mogła wytworzyć i wielkich narodów. Jest również prawdopodobnem, że wielkie epoki ludzkiego postępu odpowiadały mniej więcej bezpośrednio rozszerzeniu źródeł żywności.“<sup>2)</sup>

Badacz amerykański odróżnia trzy zasadnicze okresy: dzikości, barbarzyństwa i cywilizacyi, z których dwa pierwsze dzieli na stany: niższy, średni i wyższy. Epoki te, według niego, przedstawiają się, jak następuje:

#### I). Okres dzikości.

Stan niższy. Człowiek przebywa w lasach podzwrotnikowych i karmi się owocami i korzonkami. W tej fazie wynajduje on mowę członkowaną. Stan niższy kończy się odkryciem umiejętności użycia ognia i przyzwyczajaniem się do spożywania ryb. Dzięki tym zdoby-

<sup>1)</sup> Lewis H. Morgan: „Społeczeństwo pierwotne, czyli badania kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi.“ Warszawa, 1887, str. 6.

<sup>2)</sup> Ibidem, str. 18.

czom istota ludzka staje się niezależną od klimatu i okolicy i, idąc wzdłuż rzek, rozchodzi się po całym lądzie.

Stan średni. Na tę fazę dzikości przypada znaczne rozszerzenie użycia pokarmów mącznych i mięsnych. Człowiek doskonali pierwotny oręż swój, mianowicie dziurę i maczugę, co pozwala mu zostać myśliwym. Stan średni kończy się wynalezieniem łuku.

Stan wyższy Wynalazek łuku zamienia polowanie na jedno z najgłówniejszych źródeł utrzymania. Ludzie zaczynają wytwarzać stałe sadyby, używać naczyń z drzewa, tkac za pomocą palców tkaniny z łyka, szlifować oręż kamienny, pleść koszyki. Stan wyższy dzikości kończy się z odkryciem sztuki garncarskiej.

## II). Okres barbarzyństwa.

Podczas dzikości rozwój szedł w różnych okolicach globu ziemskiego jednakowo. Za barbarzyństwa, otoczenie, w jakim pewien szczerp przebywa, zaczyna oddziaływać i nawet wywierać wpływ przemózny. Człowiek w tym okresie oswoił zwierzęta i jał uprawiać rośliny. Rozmieszczenie zaś zwierząt i roślin jest niejednolite na powierzchni globu.

Stan niższy barbarzyństwa ciągnie się od wynalezienia garncarstwa do oswojenia zwierząt na półkuli wschodniej i do rozpoczęcia uprawy roślin na zachodniej. Średni kończy się z chwilą odkrycia sztuki metalurgicznej. Wreszcie wyższy, rozpoczynający się umiejętnością topienia rudy, jest widownią wrastającej uprawy pól. Grecy z epoki, do której cofają nas rapsody Homera, byli właśnie w tej fazie. Stan ten kończy się z wynalazkiem abecadła i pisma dźwiękowego, począwszy od cywilizacyjny.

Można by temu podziałowi niejedno zarzucić, nawet odszukać w nim słabe strony. Ale i sam Morgan nie uważał go za rzecz doskonałą i skończoną. „Prawdopodobnie—powiada on <sup>1)</sup>—powstające w długich odstępach czasu kolejne sposoby utrzymania się, z powodu wielkiego wpływu, jaki wywierać musiały na położenie ludzkości, dostarczają wreszcie najbardziej zadawalających podstaw do podziału. Ale badania w tym kierunku nie były posunięte dość dostatecznie, aby dostarczyły nam potrzebnych objaśnień. W obecnym stanie wiedzy możemy osiągnąć ważne rezultaty, wybierając te z pomiędzy innych odkryć i wynalazków, które dostarczają dość dowodów do scharakteryzowania porządku idących po sobie epok etnicznych. Epoki te, pojęte chociażby

<sup>1)</sup> l. c., str. 7

tylko tymczasowo, okazały się godnymi i użytecznymi. Każda z nich ogarnia odrębną kulturę i przedstawia właściwy sobie tryb życia.“ Lecz pomimo wszelkich wad w sposobie wykonania: sama zasada: oparcia podziału na podstawie postępu materialnego, jest niezaprzeczenie słuszną. I klasyfikacja kolejnych ogniw rozwoju kulturalnego, i oparcie jej na kształtowaniu się źródeł utrzymania, przedstawiają bardzo ważny nabytek dla nauki: wytyczne punkty podziału mogą ulec zmianie, lecz nie zasada, iż podstaw klasyfikacji należy szukać właśnie w rzeczowo-materialnych warunkach bytu gromadnego.

Zasada badacza amerykańskiego doznała zastosowania i zarazem dalszego rozwinięcia w paru najnowszych pracach, poświęconych rozbirowi kolejnych faz postępu społecznego. Nie chcemy wprawdzie twierdzić, ażeby np. R. Hildebrand lub E. Grosse postępowali tak pod bezpośrednim wpływem doktryny Morgana, choć i to nie jest wyłączeniem; przecież nie wątpimy, iż zasada, wprowadzona przez Amerykanina, mianowicie konieczność wyodrębniania formacji rozwoju kulturalnego na podstawie warunków bytu materialnego, oddziaływała w sposób pośredni.

Hildebrand w pracy swojej, zajmującej się analizą prawa i wogóle zwyczaju na kolejnych szczeblach postępu gospodarczego, rozpatruje rozwój rodziny i stosunków politycznych w związku z następującymi po sobie fazami systemu zarobkowania. Zaczyna od stosunków, właściwych ludom myśliwskim i rybackim, przechodzi do pasterskich, ażeby skończyć na rolnikach. Prawnik niemiecki z całą świadomością domaga się uwzględniania formacji przez naukę socyologiczną przy zestawieniu faktów etnograficznych.

„Kwestyę powszechnego rozwoju prawa i obyczajowości—pisze <sup>1)</sup> on w przedmowie—tylko wtedy zdołamy rozwiązać, gdy nie będziemy się ograniczali jedynie<sup>2)</sup> wzajemnem porównaniem pojedynczych objawów w tej sferze, spotykanych różnemi czasami u różnych ludów, lecz nadto uporządkujemy i ugrupujemy pozyskany w ten sposób materiał według szczebli kultury gospodarczej. Jest rzeczą jasną, że dla wyznaczenia rozwojowego, czyli rodowodowego, następstwa i współzależności stosunków prawnych i obyczajowych, zjawiających się u różnych ludów w różnych czasach, lub dla prostego twierdzenia, iż prawo to, lub obyczaj są wcześniejszego lub późniejszego pochodzenia, niż tamto, trzeba posiadać pewne kryterium, wybiegające poza chronologię i od niej

---

<sup>1)</sup> R. Hildebrand: „Recht und Sitte auf den verschiedenen wirthschaftlichen Kulturstufen.“ Część pierwsza. Jena, 1896, przedmowa.

niezależne. Tylko stosunki gospodarcze mogą go dostarczyć, ponieważ jedynie one odznaczają się pochodem rowojowym określonej natury, który w ogólnym zarysie zawsze i wszędzie jest ten sam, lub zawsze idzie w tym samym kierunku. Okoliczność ta znajduje dla siebie wytłumaczenie w tym fakcie, że zaludnianie wszędzie i zawsze, wolniej lub prędzej, wzrasta, oraz że interesy gospodarcze z pośród wszystkich innych, rządzących życiem, są, z natury swojej, najprzemowniejsze.“

Praca Ernesta Grossego poszukuje związku, istniejącego pomiędzy formami, przybieranymi przez rodzinę w jej kolejnym rozwoju, a systemami gospodarczemi.

„Rozmaite formy rodziny — powiada ten badacz <sup>1)</sup> — odpowiadają różnym sposobom zarobkowania i charakter każdej z nich w najistotniejszych rysach swoich da się wyprowadzić z charakteru współczesnych źródeł zarobkowania... Jeśli pragniemy pojąć któreś urządzenie społeczne co do jego istoty i znaczenia, musimy badać je w jego naturalnym związku z całym otoczeniem kulturalnym, w którym ono wyrosło, żyje i działa. Wyjęte z takiej zależności, staje się ono urywkiem niezrozumiałym. Tymczasem w studyach nad rodziną zaniedbywano prawie powszechnie tę pierwszą i najprostszą zasadę rozbioru socyologicznego. Każda formacja kulturalna stanowi w swoim rodzaju organizm, w którym wszelkie części i funkcyje znajdują się w żywej zależności wzajemnej. Niema ani jednej czynności, która-by nie wywierała pewnego wpływu na rodzinę, i te różne stosunki muszą być po szczególe wykazane dla każdej formy rodziny, jeśli chcemy ją pojąć i ocenić.“

Przedstawiliśmy dążenia krytyczne, domagające się zestawienia w nauce o pierwocinach społecznych tylko faktów, należących do tej samej formacji, przytem te ostatnie są klasyfikowane według źródeł utrzymania. To przeświadczenie nie tylko o potrzebie krytyki materiału, ale także właściwego dobierania faktów, zdobywa sobie coraz większe uznanie. Sposób, jakiemu Herbert Spencer hołduje w swoich „Zasadach Socyologii,“ polega na pospolitem gromadzeniu danych, wziętych w oderwaniu od rodzimego gruntu, i każdy zkądinąd, i ułożonych w pewnym porządku — nic nadto. Pragnąc ułożyć bukiet, zrywamy wszelkie kwiaty — takie, które uważamy za odpowiednie barwą zapachem; lecz botanik, chcący poznać florę pewnej okolicy i porów-

<sup>1)</sup> E. Grosse: „Die Formen der Ehe und die Formen der Wirthschaft“ Freiberg i Lipsk, 1887, str. 1, 7 i 8.

nać ją z roślinnością dzielnic ościennych, winien inaczej postępować, gromadzi więc okazy każdego gatunku, bada częstość jego w stosunku do innych w danej okolicy i ubywanie jego lub wzrost procentowy wśród flory terytoryów pobliskich. Fakty, oderwane od swego otoczenia społecznego, podobnie nie mogą posiadać donioślejszego znaczenia, stają się rodzajem *membra disjecta*, należących do niewiadomej całości. Trzeba je oceniać i badać w związku z rodzimem ich podłożem, z tym w swoim rodzaju organizmem. Podstawą tej całości organicznej są stosunki gospodarcze, t. j. natura źródeł zarobkowania, oraz używanych narzędzi pracy, jeśli te ostatnie dostatecznie się rozwinęły.

Lecz uwzględnienie, podczas zestawiania materiału etnograficzno-socjologicznego, tylko formacji rozwoju kulturalnego, uszeregowanych według wzrastającej złożoności źródeł i sposobów utrzymania, nie wystarcza. Jest ono warunkiem koniecznym, ale niedostatecznym jeszcze.

L. Morgan, przypuszczając, iż doświadczenie rodu ludzkiego postępowało u różnych szczepów niemal jednakowymi drogami, tłumaczy tę równoległość hipotezą, iż „potrzeby ludzkie w podobnych sobie warunkach były rdzennie te same“ i że „czynności duchowe były jednakowe wskutek specyficznej tożsamości mózgu.“ Przyznaje przecież, iż te przyczyny tylko częściowo wyjaśniają nam podobieństwo otrzymanych przez rozwój skutków. „Zarodki głównych instytucji i rodzajów pojęć — powiada on w pewnym ustępie cytowanego już dzieła <sup>1)</sup> — rozwinęły się wówczas, gdy człowiek był jeszcze dzikim. Bardzo zaś wielkie rozszerzenie sfery doświadczenia w następnych okresach powstało z dalszego rozwoju tych pojęć pierwotnych. Ponieważ zaś na rozmaitych lądach da się odnaleźć wspólny początek istniejących tam instytucji, przeto należy domyślać się również wspólnego pochodzenia samych ludzi.“ Badacz amerykański napomyka więc, że działały jeszcze inne wpływy, obce sferze stosunków zarobkowych, mianowicie wpływy tradycji. Myśl to niezaprzeczenie słuszna, acz przez Morgana bardzo nieudolnie sformułowana. Warunki bytu materialnego, mniej więcej wszędzie jednakowe co do swojej istoty, wszędzie stawiały przed człowiekiem to samo zadanie do rozwiązania. Ale sam sposób rozwiązania mógł i nawet musiał być w każdym miejscu odmienny. To, co moglibyśmy nazwać przypadkiem historycznym, t. j. niedającymi

<sup>1)</sup> I. c., str.

się przewidzieć i sformułować wpływami indywidualności ludzkiej i odrębności zewnętrzno-rzeczowej, działało i naturalnie wywoływało pewne odmiany miejscowe w sposobie rozwiązania wspomnianych zadań. Dalszy postęp, odbywający się na takim zróżniczkowanym gruncie, sprawiał, bo musiał sprawiać, jeszcze większą rozbieżność. Dotyczy to zwłaszcza drugorzędnych zwyczajów, które mogły kształtować się w pewien sposób, ale także mogły przybrać i inny wygląd, np. nadać stosunkowi towarzyskiemu i społecznemu obu płci charakter mniej lub więcej swobodny. Rozbiór materiału socyologicznego według formacyi może nam dostarczyć tylko klucza do zrozumienia ogólnego zarysu ewolucyi któregoś z zasadniczych urządzeń społecznych. Ale i tutaj działa tradycya i wywiera, wraz z przypadkiem historycznym, nagromadzonym i żywym, wpływy swoje. Weddowie Ceylonu, Buszmeni z pustyni Kalahari, dżicy tubylcy łądu N. Holandyi, wszystko to są grupy, znajdujące się na tym samym szczeblu kulturalnym, t. j. należące do tej samej formacyi, a przecież przedstawiające nawzajem charakter bardzo odmienny—poniekąd w zależności od odmiennych warunków swego otoczenia, poniekąd zaś w następstwie odmiennej tradycyi, t. j. spuścizny po przeszłych epokach swej historii. Poszukując rodowodu pewnej instytucyi społecznej i zestawiając posiadany materiał etniczny, trzeba mieć zawsze na uwadze tę okoliczność, i o ile jest rzeczą możliwą, trzymać się nie tylko faktów tej samej formacyi gospodarczej, lecz w niej wybierać nadto grupy, przedstawiające jednolitość tradycyi dziejowej. K. Letourneau usiłował wkroczyć na tę drogę, stwarzając klasyfikacyę materiału według rubryk pochodzenia rasowego i w nich dopiero wprowadzając poddziały na zasadzie poziomu kultury; ale wywiązał się z podjętego zadania nieszczególnie, jego próba raczej dostarcza wskazówki, jak nie należy postępować, niż jakie postępowanie jest stosowne. Może J. Kohler jedynie uczynił zadość temu metodologicznemu wymaganiu rozwijającej się nauki o przeszłości społecznej rodu ludzkiego. „Lud—zaznacza profesor berliński w ostatniem dziełku swoim o początkach rodziny<sup>1)</sup>,—który pozostał na pierwotnym szczeblu kultury materialnej i, wraz z tem, kultury umysłowej, może w niedługim przeciągu czasu przejść od nieokrzesanych stanów prawnych do wyższych; inne zaś z jak największą uporczywością trzymają się dawnych stanów, pomimo posuniętej kultury duchowej.“ J. Kohler podjął się badania instytucyi pra-

<sup>1)</sup> J. Kohler: „Zur Urgeschichte der Ehe. Totemismus, Gruppenche, Mutterrecht“, Stuttgart, 1897, str. 5/5.



wnych u szczepów, z których każdy stanowi, dzięki jednolitości warunków bytu i temu samemu poziomowi kultury i wspólności tradycji, zamkniętą w sobie formację gospodarczo-tradycyjną, jak np. dzicy mieszkańcy N. Hollandyi, lub stojący na wyższym stopniu nspołecznienia barbarzyńcy Ameryki północnej. W każdym z obu przypadków miał on przed sobą ludy tej samej formacji tradycyjnej i gospodarczej, a jeśli wśród jednego plemienia znalazł pewien zwyczaj w całej jego mocy, u ościennego zaś w postaci przeżytku lub symbolu, a nawet nie dostrzegł zupełnie jego obecności, to przecież może on wysnuwać z tego materiału śmiało wnioski o pochodzeniu danego urządzenia i o prawie jego rozwoju.

Wprowadzenie do wiedzy socyologiczno-etnologicznej takiej metody, uwzględniającej formację wspólną tradycji, a na ich podłożu pokłady rozwoju gospodarczo-materyjalnego, stanowi niewątpliwie krok bardzo doniosły w postępie obchodzącej nas nauki. Wyprowadza ją bowiem ze stanu anegdotycznego, w jakim znajdowała się dotychczas, na tory metodologii naukowej. Jeszcze bardziej dążenia te zostały wzmocnione przez wprowadzenie statystycznego zestawiania materiału — próby, do której rozpatrzenia obecnie zwrócić się zamierzamy.

### III.

A. Bastian pierwszy, o ile wiemy, podniósł pożytek zastosowania do studyów etnologiczno-socyologicznych metody statystycznego zestawiania faktów. Doniosłość jej zwłaszcza w tych razach występuje na jaw, kiedy potrzeba odszukać początki prastarych urządzeń i w ogóle zwyczajów, oraz znaleźć związek, istniejący pomiędzy zasadniczymi instytucjami a objawami, im towarzyszącymi.

Wyjaśnijmy szczegółowiej myśl swoją.

Jeśli badamy istniejącą formację więzi społecznej, t. j. taką, która drga jeszcze pełnią życia, to związek organiczny pomiędzy jej instytucjami, zwyczajami i wierzeniami, odznacza się zwykle przejrzystością. Zwyczajny, ale sumienny opis, podany przez człowieka, który poznał dokładnie byt społeczny danej grupy etnicznej, wystarcza najzupełniej do zrozumienia stosunku, zachodzącego pomiędzy różnymi

stronami pożycia gromadnego. Metody zaś statystycznej można użyć w tym razie jedynie dla charakterystyki pewnej instytucji: wyodrębnienia jej znamion, częściej spotykanych, oraz innych, rzadziej zdarzających się. Przypuśćmy, iż badamy zadrugę (wspólnotę rodzinną) w okresie pogańskim, t. j. wśród warunków, sprzyjających powstaniu rozwiniętego kultu przodków. Przy podobnem badaniu następuje się wiele zagadnień, np. jak często w parze z takim kultem idzie grzebanie zwłok zmarłych członków w obrębie domostwa lub pól rodzinnych. Naturalnie takie przypadki istnieją, ale także zdarza się, iż chowają ciało zmarłego na cmentarzu wioskowym. Dopóki do rozstrzygnięcia tej kwestyi nie zastosujemy metody statystycznej, dopóty nie zdołamy wyzwolić się z powijaków opowiadań anegdotycznych. Będziemy w stanie zaznaczyć, że ten i tamten zwyczaj istnieją, ale nie rozporządzając dokładniejszymi wskazówkami, ujętymi w cyfry, będziemy zawsze skłonni zmniejszać doniosłość jednego z nich, a nawet zupełnie go nie uwzględnić.

Jeszcze więcej pożytku dostarcza takie postępowanie statystyczne, gdy trzeba wykryć rodowód, oraz wzajemną zależność objawów, które pozostały w spuściźnie po bardzo dalekiej przeszłości i do których nadaremnie poszukiwalibyśmy żyjącego wyjaśnienia. Nawet najniżej stojące z pośród obecnych szczepów po praojcach odziedziczyły już dość obfity spadek. Niektóre części tego dziedzictwa są jak zaokrąglony kamyk na dnie strumienia: podobnie jak nurt rzeki stały ostre kanty i przytępił kształty, tak samo rozwój społeczny obszedł się z wielu zwyczajami. Ze zrozumiałego faktu stały się one przeżytkami, i plemieniec mógł nawet zupełnie utracić świadomość o ich znaczeniu, że nie mówimy już o pochodzeniu. Dziki Australczyk, zapytany o przyczyny postępowania obrzędowego, nie umie często dać wyjaśnienia, tylko powołuje się na to, iż dziadowie tak robili i tak postanowili. Ażeby zrozumieć pochodzenie pewnego zwyczaju, który trzyma się nie siłą swojej treści, ale mocą tradycyi, trzeba znaleźć jego związek z innymi. Dla dokonania tego właśnie metoda statystyczna jest najodpowiedniejszą. Jeśli okaże się, że pewne przeżytki częściej występują u różnych ludów w pewnem sprzężeniu, rzadziej zaś w innym, to przy pomocy takiej wskazówki zdołamy odtworzyć spoidła prastarej instytucji, której najczęściej sprzęgające się pierwiastki są prawdopodobnie szczątkami.

Takie postępowanie statystyczne po raz pierwszy zastosował E. B. Tylor w niewielkiej, ale bardzo cennej, monografii, poświęconej rozpatrzeniu najważniejszych metod badania rozwoju instytucji.

„Oddawna już—powiada on <sup>1)</sup>—uwidoczniała się w antropologii wielka potrzeba wzmocnienia i usystematyzowania jej metody... Z temi rem moim jest wskazać, że rozwój instytucji może być badanym na podstawie tablic i klasyfikacji“.

Przedstawivszy zaś sposoby, jak za pomocą metody statystycznej można będzie odcyfrowywać wzajemną zależność zwyczajów, oraz ich przeszłość, badacz angielski kończy rzecz swoją następującą uwagą <sup>2)</sup>:

„Przytoczone objaśnienia mogą być sprostowane, materiał tablic udoskonalony, co do ilości i jakości, a tkwiące w nim zasady przedstawione właściwiej; w każdym jednak razie pozostanie jasnym, że prawidłła postępowania ludzkiego nadają się do klasyfikacji skupionemi całościami, tak, iż wykazują, za pomocą ścisłej analizy liczbowej, swe wzajemne związki. O ile one są stosowane systematycznie, o tyle zasady rozwoju społecznego stają się widocznymi. Nawet rysunki mojej rozprawy dowodzą, że instytucje ludzkie są uwarstwione tak wyraźnie, jak ziemia, po której stąpamy. Następują w świecie jedne po drugich szeregami istotowo jednostajnymi, niezależnie od tego, co wydaje się względnie powierzchowną odrębnością krwi i języka.“ Nie dość tego, bo nadto „rozbiór zjawisk społecznych za pomocą klasyfikacji liczbowej oddziaływa na materiał statystyczny, do którego metoda jest stosowana. Klasyfikując świadectwa plemion i narodów, uświadamiamy sobie jasno ich niedokładności i brak ciągłości.“

Metodę statystyczną E. B. Tylora zastosował i poniekąd rozwinął S. R. Steinmetz w książce swojej o rozwoju kary.

Wspominaliśmy już w naszym artykule o pracy R. Hildebranda. Książka ta na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie, iż jest bardzo sumiennym przyczynkiem do historii prawa i obyczaju. Przytacza ona fakty w dosłownem brzmieniu, nieraz na przestrzeni wielu stronic, i kończy takie obszerne cytaty paru wiejszami własnych wniosków autora. Lecz chociaż materiał jest czerpany rzekomo z pierwszej ręki i podany bez żadnych zmian, przecież obraz, jaki otrzymujemy, jest nawskroś fałszywy. Pochodzi to ztąd, że Hildebrand systematycznie usuwał wszelkie fakty, przeczące jego, widocznie *à priori* powziętym, zapatrywaniom. Bynajmniej nie chcemy twierdzić, ażeby wszyscy tak postępowali. Ale badający, nawet przy największej chę-

<sup>1)</sup> E. B. Tylor: „O metodzie badań instytucji w zastosowaniu do praw małżeństwa i pochodzenia.“ Warszawa, przekład A. Bąkowskiej. 1897, str. 5.

<sup>2)</sup> „Ibidem“, str. 44/45

ci przedmiotowego traktowania rzeczy, nie zawsze może ustrzedz się wielu nieostrożności. Już sama ilość materiału, jakim socjologia etnologiczna rozporządza, jest tak olbrzymią, iż trzeba poprzestać tylko na niektórych faktach, co naturalnie otwiera na oścież wrota dowolności i uprzedzeniom lub sympatyom. Wszelkimi siłami starając się o bezstronność, nawet przytaczając materiał przeciwny, można przecież postawić go w takim stosunku do faktów natury dodatniej, iż otrzymane oświetlenie nie jest w ostatecznym rezultacie takie, jakie dostalibyśmy przy innym traktowaniu przedmiotu.

S. R. Steinmetz spodziewa się, iż skrupulatne stosowanie metody statystycznej usunie wszystkie te dolegliwości.

„Pierwszy a największy błąd, często popełniany — pisze ten uczony<sup>1)</sup> — polega na tem, że badacz nie stawia sobie zarzutów, że niewątpli dostatecznie o własnych przypuszczeniach i wyjaśnieniach, że nigdy nie poszukuje faktów przeczących, a nawet o nich nie wspomina, chociaż ma je pod ręką — nie mówimy już o tem, ażeby je starał się pogodzić z własną swoją hipotezą. Powtóre, winniśmy zaznaczyć, iż rezultat całego poszukiwania rzadko bywa wyrażany dokładnie za pomocą, o ile możliwe, cyfr. A przecież czytelnik powinien wiedzieć, jaką jest wartość faktów twierdzących i przeczących. Słowem, za mało starają się o ścisłość i wyczerpujące udowodnianie.“

„Nigdy nie dążyłem — powiada on w innym miejscu dzieła swego — do uszeregowania faktów w przyjemne a jednak prawdopodobne opowiadanie. Moc przekonywająca takiego postępowania, niestety, częstego w etnologii, jest, mojem zdaniem, bardzo niewielka. O ile się dało, gromadziłem wszystkie przypadki, które uważałem za równoznaczne, i rozklasyfikowaawszy je tymczasowo, starałem się wykryć ich znaczenie rzeczywiste. Ażeby unikać jednak niebezpieczeństw schematyzmu i dogmatyzmu, zawsze przytaczałem wszelkie fakta, które w zbiorze swoim posiadałem, nie zaś te tylko, które przemawiały na korzyść mojej hipotezy. Każdy zrozumie, że takie, nawet względne wyczerpanie materiału, jest czemś innem, niż przytoczeniem paru wybranych przykładów. Następnie usiłowałem wyniki wszelkiej mojej indukcji wyrazić w liczbach, przez co dopiero ujawniła się cała ich wartość, oraz występowała doniosłość faktów przeczących. Każdy zdoła dokładnie ocenić, o ile przy moim materiale udało mi się dopiąć rozstrzygnięcia pewnej kwestyi. Takie liczbowe streszczenie wszel-

1) „Ethnologische Studien zur ersten Entwicklung der Strafe nebst einer psychologischen Abhandlung u. Grausamkeit u. Rachtsucht“, Leyda i Lipsk, tom I, przedmowa.

kiej indukcji i nawet wszelkiego zasobu faktów uważamy za rzecz, posiadającą jak największe znaczenie dla argumentacji oraz dla sumiennego, dokładnego zbadania.“

Zastanowiwszy się nieco nad metodą, która zaczyna zdobywać sobie coraz większe uznanie w socjologii porównawczej, uważamy za stosowne uwydatnić jej postępowanie na jakimś przykładzie.

W tym celu weźmiemy niektóre zjawiska, towarzyszące rozwojowi rodziny.

Jakośmy wspominali, u wielu ludów istnieje zwyczaj umykania przyszłej żony. Również wiemy, że swego czasu ogłoszono teorię, iż w okresie najpierwotniejszym mężczyzna systematycznie w ten sposób pozyskiwał kobietę, teorię, która jeszcze i dzisiaj posiada zwolenników, nie mogących wyobrazić sobie inaczej odległego naszego przodka, tylko jako brutala, czyhającego w ukryciu na dziewczynę, ogłuszającego ją uderzeniem maczugi i wlokącego brankę za nogi przez zarośle. Zastosujmy metodę statystyczną. Postępowanie liczbowe polega nie na wyszukiwaniu faktów najjaskrawszych, lecz na notowaniu wszystkich jednakowo. Z pośród prac źródłowych gromadzimy wszelkie opisy umyczki i rozkładamy je, przypuścimy, według istniejących zwyczajów: po pierwsze, prawa dziedziczenia nazwiska rodowego; powtórę, miejsca zamieszkiwania małżonków po ślubie. Właśnie z takiego zestawienia, uskutecznionego przez E. B. Tylora, okazało się, iż umyczka jest nieznaną w tym okresie, kiedy dzieci należały do rodu matki i nosiły jej nazwisko (o ile rozpatrujemy symboliczne i pokojowe formy pogoni); że zdarza się, lecz względnie jeszcze nielicznie, podczas okresu przejściowego; wreszcie że występuje częściej, gdy dziedziczenie nazwy rodowej po ojcu, t. j. jak u nas mówiono, po mieczu, zapannje w społeczeństwie. Tylor ujął tę zależność wzajemną umyczki i dziedziczenia nazwiska w stosunki liczbowe. Znalazł on, iż przypada na:

*W okresie przejściowym.*

umyczki zbrojne . . .	19 notatek
„ pokojowe . . .	21 „

*W okresie prawa ojcowskiego.*

umyczki zbrojne . . .	15 „
„ pokojowe . . .	25 „
„ symboliczne . . .	23 „

Z drugiej strony nasze poszukiwania doprowadziły nas do wniosku, że pomiędzy pobytem męża, jako wstępnią, w domu rodziców żony, a prawem macierzystym; pomiędzy pobytem małżonków w domu rodziców męża, a prawem ojcowskim, istnieje jak najściślejsza zależność, również dająca się wyrazić w sposób bardzo dokładny w postaci stosunków ilościowych.

Mamy zatem szereg wzajemnie związanych i liczbowo uwydatnionych faktów. Z nich wnioskujemy, że istotne źródło takiego lub innego sposobu liczenia pokrewieństwa, a więc czy w linii ojca, czy matki, tkwi w zwyczaju zamieszkiwania u rodziców mężczyzny albo żony; że pobyt w chacie rodziców żony dał początek rodowodom w linii żeńskiej, że przebywanie w domu rodziny mężowskiej zrodziło prawo ojcowskie. Chodzi teraz o to, który tryb zamieszkania był wcześniej, który zaś ukazał się w okresie późniejszym. Umyczka daje klucz do rozstrzygnięcia tej kwestyi. Mianowicie, każdy zwyczaj, gdy przestał już obowiązywać, trwa jeszcze w formie szczątkowej, symbolicznej. Gdyby więc prawo macierzyste rozwinęło się z ojcowskiego, to we właściwych mu obrzędach weselnych odnaleźlibyśmy symbole pogoni. Niema ich tam, natomiast istnieją one licznie nawet u ludów pokojowych, lecz hołdujących zasadom liczenia pochodzenia w linii męskiej. Winniśmy przeto przypuścić, że zamieszkanie u żony i prawo macierzyste stanowią wcześniejszą fazę stosunków; że przenosiny do chaty rodziców męża nastąpiły później, przyczem umyczka odegrała w przełomie tym rolę doniosłą.

Przykład powyższy wykazuje nam całe znaczenie statystycznej metody postępowania w przeciwstawieniu do anegdotycznego traktowania przedmiotu, polegającego na wybieraniu jaskrawszych faktów lub uwzględnianiu tylko niektórych. Naturalnie i metoda statystyczna nie wyłącza posługiwania się takiego rodzaju opowieściami, nadającymi krew i życie rozbirowi. Ale przy jej stosowaniu, fakty charakterystyczne i mocno zabarwione będą służyły jedynie do uprzytomnienia dążeń, właściwych rozwojowi, będą niejako ciałem, otaczającym szkielet tablic liczebnych.

W pracy naszej podjęliśmy zadanie przedstawienia wymagań, jakie rozwój metodologii stwarza w zakresie porównawczej socjologii, czerpiącej materiał swój z etnografii. Wymagania te, jak widzieliśmy, dadzą się streścić w trzech postulatach, a mianowicie:

Źródła, z których socyolog korzysta podczas analizy, powinny uleść krytycznej ocenie. Z wyjątkiem bowiem niewielu prac, zasługujących na zupełne zaufanie, reszta zawiera albo wleklie niedokładności, albo nawet wiadomości, z gruntu fałszywe i poprzekęcane. Krytyka taka, umiejętnie przeprowadzona, może nawet nadać pewną wartość materiałom, z których, w chwili obecnej, niepodobna korzystać.

Należy rozpatrywać zebrane nie fakty oderwane od całości, której są one tylko częścią, organicznie związaną z resztą, ale uwzględniając, o ile jest możliwym, ową spójnię. Wolno zestawiać tylko objawy, co do pochodzenia swojego równoznaczne i współrzędne. Postulat ten prowadzi nas do żądania wydzielenia formacyi kulturalnych, łączących ludy tego samego szczebla rozwojowego, i tradycyjnych—tego samego pochodzenia.

Wreszcie, gdzie to jest możliwym, powinniśmy porzucić zestawienie materiału anegdotyczne i zastosować metodę statystyczną. Pozwoli ona ocenić nam znaczenie nie tylko faktów, podtrzymujących naszą tezę, ale i przeczących. Opowiadania anegdotyczne, taką doniosłą rolę odgrywające w stanie dzisiejszym obchodzącej nas nauki, naturalnie mogą pozostać, ale jako pierwiastek podrzędnego znaczenia, ilustrujący wywody, oparte na stosunkach liczbowych.

L. KRZYWICKI.

---

# KRONIKA PARYSKA.

---

Z końcem roku, po wypoczynku letnim, Instytut Francuski objawił nowe życie. Szereg uroczystości rozpoczęło zebranie wszystkich pięciu Akademii, w rocznicę założenia wielkiego ciała naukowego. Otworzył posiedzenie August Lognon, prezes Akademii starożytnych napisów. Ciekawa to osobistość tego uczonego historyka i archeologa. Syn prostego robotnika, od lat najmłodszych poświęcił się zawowi szewkiemu. Jak niegdyś słynny Norymberczyk, Hans Sachs, który, wbijając gwoździe do butów, w takt młotka tworzył pieśni, znane dotychczas w Niemczech, tak samo młody Lognon z pocięgiem w rękę powtarzał z pamięci daty historyczne, a w wolnych chwilach wczytywał się w stare kroniki. Zapal do badań w końcu tak go opanował, że porzucił rzemiosło, zasiadł na szkolnej ławie. Owocem tej pracy wytrwałej stało się po latach kilkunastu wysokie stanowisko, jakie dziś zdobył w świecie naukowym.

Prof. Lognon we wstępnej mowie uczcił nasamprzód księcia Aumale, fundatora Muzeum Kondesuzów w Chantilly, przekazanego na własność Instytutowi Francuskiemu. W ciągu półrocza sto tysięcy osób zwiedzało te drogie zbiory, z niemałym dla historii użyt-



kiem. Wyliczył następnie prezydent imiona dwunastu członków, zmarłych w ciągu zbiegłego roku: do tych należy znakomity orientalista, Scheffer, od lat 30 dyrektor szkoły wyższej języków wschodnich; Akademia sztuk pięknych utraciła też kilku członków, a między nimi Karola Garnier, architekta wielkiej Opery. Gustawa Moreau, słynnego malarza, i Eugeniusza Lenepreu, dyrektora szkoły Francuskiej w Rzymie.

Po prezydencie, p. Lusarche, w imię akademii nauk społecznych, odczytał ciekawy memoriał o uniwersytecie paryskim z końca XII wieku. Rodowód tej wielkiej korporacji, złączonej ścisłą solidarnością, zaginął w odnęcie średnich wieków, wiadomo tylko, że zaświeciła pełnym blaskiem w końcu XII i początku następnego wieku, za czasów Filipa-Augusta. Odtąd uniwersytet przetrwał lat sześćset, nieknięty pod względem służących mu praw; wielka rewolucja dopiero, skutkiem wprowadzonego centralizmu, odebrała mu samodzielność.

Autor memoriału przytacza świadectwa ówczesnych kronikarzy na dowód, czem była Wszechnica Paryska. „W żadnej epoce i w żadnym kraju—mówi jeden z nich—ani w Atenach, ani w Egipcie, nie widziano takiego napływu profesorów i uczniów.“—„Szczęśliwy grod, ów Paryż—mówi inny annalista—gdzie uczniowie, rzec można, przechodzą liczbę stałych mieszkańców“. Uczony Gwizyusz Bawille, rodem z Szampanii, w liście przechowanym dotąd z roku 1190, kreśli wspaniały obraz królewskiego miasta i uniwersytetu. „Mały most—opowiada on—należy wyłącznie do dyalektyków, którzy przechadzają się po nim bezustannie, tocząc naukowe rozprawy. Na wyspie (Cité) w bliskości królewskiego pałacu, górującego nad miastem, wznosi się pałac filozofii, gdzie nauka panuje wszechwładnie: to warownia światła i nieśmiertelności! wysoka to siedziba siedmiu sióstr, czyli sztuk wyzwolonych! Stamtąd brzmiący głos wymowy roznosi wyroki i prawda tam nakoniec kipi źródło nauki religijnej, z którego rozbiegają się trzy przezyste strumienie, orzeźwiający umysł“.

Te trzy strumienie, jak tłumaczy p. Lusarche, obejmowały teologię, prawo cywilne, kanoniczne i literaturę. Rojowisko uczniów występowało w pierwszym rzędzie na każdej uroczystości publicznej, za czasów Filipa-Augusta.

„Trudno opisać—dodaje autor rozprawy—jak burzliwą była i niesforną ta gawiedź międzynarodowa, zalewająca wyspę i okoliczne wzgórza. Kaznodzieje ostro sarkali przeciw takiemu rozprężeniu! Wieści o tych bitwach studentów z mieszczanami dochodziły do króla. „I czemuż to—mawiał Filip-August—rycerzom moim brak takiej

odwagi, jaką okazują ci zuchwalce! Francuzi, obleczeni w twardą zbroję, nie radzi występują do bitwy; te wartogłowy tymczasem, z głową postrzyżoną, bez pancerza, ani przyłbicy, z nożem w ręku rzucają się jedni na drugich".

Niekiedy te zapasy przybierały morderczy charakter. Razu jednego pacholek niemieckiego panicza wszedł do szynku ze dzbanem po wino. Wszczęła się kłótnia. Niemiec powalił szynkarza. Znęcone wrzawą, przybiegają tłumy uczniów i mieszczan. Walka toczy się zawzięta. Rozżarci mieszczanie napadają gospodę niemiecką: zamordowano kilku uczniów.

Mistrzowie uniwersytetu, z całym gronem żaków niemieckich, zanoszą skargę do króla; zawieszono kursa; cudzoziemcy grożą opuszczeniem stolicy. Niesłychany skandal! Wyrokiem króla wciącono do więzienia winowajców.—Duchowieństwo objęło zwierzchnią władzę nad wszechnicą paryską.

Podobne zatargi żaków z mieszczaństwem powtarzały się w różnych krajach. Historia uniwersytetu Jagiellońskiego stawia nam jeden podobny przykład, z różnicą tylko czasu. Zacięte walki u nas odnoszą się do zatargów między różnowiercami w ciągu XVI stulecia.

Po rozprawie historycznej pana Lusarche nastąpiły dwa poetyczne obrazy Alp i Pirenejów, skreślone z pełnem życiem przez akademika Theuriet. Urodzony wśród lesistej Lotaryngii, zdeptał on dwa główne łańcuchy gór, w latach młodzieńczych, kiedy odebrane wrażenia silnie pociągają umysł i wyobraźnię. Barwny język ożywia te obrazki, opromienione słońcem, błyszczące ranną rosą. Nie możemy jednak zatrzymywać się na nich, obowiązek sprawozdawcy woła nas na drugą uroczystość, odbytą wkrótce po pierwszej. Celem jej rozdzielnie wieńców akademickich pomiędzy laureatów, zaszczyconych w końcu roku konkursową nagrodą.

\*

\*

\*

Dożywotni sekretarz Akademii Francuskiej, profesor Boissier, w sposób nadzwyczaj zajmujący zdał sprawę z dzieł uwiecznionych, wybierając z nich tylko najcelniejsze. Skutkiem mnożących się co

rok fundacyi, liczba tych dzieł tak wielka, że na wymienienie wszystkich pół dnia wystarczyć-by nie mogło.

Uczony sprawozdawca rozpoczął od fundacyi Monthyona, do której od kilku lat przybyły cztery inne, ustanowione w tymże samym celu, to jest na nagrodzenie prac najpożyteczniejszych dla ogółu, szanujących zarówno język i obyczaje. Mówca przypomina, jak w r. 1881 nieznanymi ten podówczas, a słynny dziś filantrop, oznajmił akademii zamiar swój, dodając, że żaden przedmiot niema być wyłączonej: niektórzy mylnie zrozumieli te słowa. Wówczas - to agronom Daubantin nadesłał do konkursu książkę o hodowli baranów; Parmentier o uprawie kartofli. Akademia osądziła, że ani barany, ani kartofle, nie mają z nią żadnej łączności; odrzuciła zatem obie prace, oświadczając, że styl i kompozycya mają tu iść w parze z intencją moralną i ogólnym pożytkiem.

W ubiegłym roku, z dwustu dwudziestu siedmiu dzieł nagrodzono czterdzieści, dwa razy tyle, co przed kilku laty, dzięki powiększonym funduszom. Pierwszą między wszystkimi nagrodę otrzymał Piotr Segur, autor dzieła „Królestwo przy ulicy St. Honoré.“ Tem królestwem salon p. Geoffrin, w którym przez lat czterdzieści zbierało się grono najzasłużeńszych ludzi. Mówiliśmy w jednej z kronik o tej ciekawej pracy, powracamy jednakże do niej, aby dać poznać sąd uczonemu akademikowi. „Książka to—mowi p. Boissier—nie tylko miła, lecz bardzo pożyteczna. Z tych wspomnień przeszłości można wyciągnąć naukę na czas obecny—obraz starej Francyi może być na dzisiaj skazówką. Z początkiem dzieła pani Geoffrin opowiada, w jaki sposób ją wychowano. Pytanie to bardzo ważne w obecnym czasie, kiedy edukacya kobiet zajmuje tak żywo umysły.—Babka jej, pani Chemineau, nie była wcale uczoną, ale miała zdrowe pojęcie o rzeczach i umiała przyjemnie rozmawiać o wszystkim. Nie dała wnuczce żadnych nauczycieli, nie kazała nawet uczyć jej tańca, pod pozorem, że wdzięk wyrobiony ma na zawsze w sobie coś sztucznego; nie zmuszała jej do gry na klawikordzie, nie mając pretensyi do kształcenia jej na artystkę. Uczyla ją tylko czytać, kładąc jej w rękę wyborowe książki, prowadziła ją w świat, zalecając jak najpilniej słuchać i patrzeć. Takie to wychowanie otrzymała pani Geoffrin, jedna z najgłośniejszych kobiet swego czasu; posiadała ona dar niezwykły: sama nie chciała błyszczeć rozumem, ale umiała wydobyć blask z otaczających ją osob. Tym sposobem ta mieszczańeczka stała się potęgą swego czasu, przyjmowała u siebie nie tylko artystów i pierwszorzędnych pisarzy, ale książąt i królów; utrzymywała z nimi poufną korespondencyę “

Na konkurs Monthyona nadesłano w tym roku liczne opisy podróży po rozmaitych krajach. Ten dział literatury długo tu był zaniedbany i w ostatnich czasach dopiero, dzięki ułatwionym komunikacyom, Francuzi poruszyli się z miejsca i szukają po świecie nowych wrażeń. Nie mówiąc już o dalekich krajach, sama Francya ma zakątki, nieznanne dla ogółu, a przecież bardzo charakterystyczne i ciekawe. Do takich należała dotąd Bretania. W tych czasach dopiero etnografowie tutejsi, a głównie dwaj laureaci konkursowi, Le Braz i Gofic, zajęli się pilnie zbadaniem tej części kraju, gdzie mieszkańcy przechowali w pełni religijną wiarę i obyczaje pradziadów. Szczególną dzielnością odznacza się tu ludność marynarzy i rybaków, gotowych, bez względu na trudy i niebezpieczeństwo, zapuszczać się do Islandyi na połów wielorybów.

Inni podróżnicy zdobyli wieńce za opisy dalekich wypraw do Madagaskaru, Australii, Chili i Boliwii. Ostatni ten kraj opisał, p. Bellesort w sposób ciekawy i nauczający. Dwaj inni laureaci wzbogacili geografję odkryciem nieznanych części ziemi. Zobaczmy, co mówi o nich sprawozdawca.

Pod tytułem „Z Tonkinu do Indyi” opisał wyprawę swoją Henryk książę Orleanu; zwiedził on kraje, nietknięte dotąd stopą europejską. Pole nowych odkryć coraz się bardziej ścieśnia; trudno dziś zapęnić białą plamę na mapie. Żarliwie też młody eksplorator rzucił się na drogi nieznanne, wybierając zawsze najcięższe do przebycia. Wdzierał się na strome góry, brnął przez rzeki, niezrażony chłodem ni głodem, gotów był na wszystko, byle tylko służyć Francyi.

Na takie też pole nieznanne rzucił się komendant okrętu, Hurst, z garstką śmiałych jak, on, towarzyszków. Postanowił zbadać brzeg rzeki Niger, od miejsca dostępnego dla żeglugi, aż do ujścia. Niebezpieczna to była przeprawa, zwłaszcza, że tu szło o dopełnienie jej bez gwałtu, aby nie zrażać tubylców, zmuszonych żyć pod cieniem francuskiego sztandaru. Z opowieści Hursta widzimy, na jak ciężkie próby często był narazony. Nieraz brakło mu cierpliwości, o mało że nie przyszło do strzałów; lecz siłą woli powstrzymywał się w porę. Dzięki rozwadze i dyplomacyi, podróż odbyła się spokojnie. Francya odniosła z niej zwycięstwo.

Z pomiędzy literatek najznacniejszą nagrodę fundacyi „Née,” otrzymała pani Judyta Gautier. Córka głośnego poety i publicysty, Teofila Gautier, odziedziczyła po ojcu żywą wyobraźnię i wytrwałość w pracy. Ojciec jej, zamiłowany w jaskrawym kolorycie i oryginalnych obrazach, upodobał sobie szczególniejsze kraje Wschodu: Indye, Persyę, Japonię i Chiny. Nie opuszczał on nigdy Europy, ale na międzynarod-

dowych wystawach, w Paryżu i w Londynie, poił się blaskiem tych dalekich stron świata, tak odrębnem nacechowanych piętnem; zachwycał się widokiem ekscentrycznych pagód z dachem spiczastym, w których panował potworny Budda, i tych bambusowych domków chińskich, obwieszanych makatami, przedstawiającymi jakieś fantastyczne zwierzęta.

Napojona od dziecka miłością Wschodu, córka poszła wskazanym przez ojca śladem. Wtajmniczyła się w literaturę chińską i japońską, poznała do gruntu obyczaje tych ludów, odgadła ich geniusz. W siedemnaście roku życia, z księgi Judu przetłumaczyła zbiór poezji chińskich; później przedstawiła w jednym z pierwszorzędnych teatrów sztukę japońską p. t. „Marchande des sourires“, odegraną sto pięćdziesiąt razy, z ogólnem zadowoleniem. Odtąd wydaje coraz to nowe obrazy, wzięte z życia tych dalekich społeczeństw. „Co nam się w nich szczególniej podoba, mówi sprawozdawca z konkursu, oto, że podjaskrawym kolorytem miejscowym odgadujemy wszędzie charaktery i namiętności, właściwe wszystkim ludom. Jeśli osoby noszą odmienne szaty, serca ich biją temże samem tętnem. Odrębność obyczajów, błękitna barwa odzieży, oryginalna piękność krajobrazów, wszystko to pociąga zrazu czytelnika, lecz tylko oddany wiernie grunt natury ludzkiej zatrzymuje uwagę i zapewnia autorce długotrwałe powodzenie.“

Na szczególną uwagę zasługują słowa uczonego sprawozdawcy o dzisiejszym stanie sztuki dramatycznej, z powodu nagrody, przysądzonej na konkursie panu Curel. „Są to, mówi Boissier, sztuki osobliwego rodzaju: aby je ocenić, trzeba poznać całą grupę nowych autorów i wyróżnić z pomiędzy nich odrębną osobistość laureata. Co powiedzieć mogę, wszyscy dobrze to wiedzą. W ciągu lat ostatnich usiłowano, bądź co bądź, odrodzić sztukę dramatyczną. Chęć to najsluszniejsza. Nie zapomniałem jeszcze klasyków moich i wiem, że Horacy nakazuje szukać nowości komicznym autorom, ale ten obowiązek przedstawia też i niebezpieczeństwo. Kto goni za nowością, bardzo często mija się z prawdopodobieństwem. Aby stworzyć postać niepodobną do wszystkich, łatwo wpaść w drugą ostateczność i wymyślić istotę, niepodobną do nikogo; powiedzmy jeszcze, że grunt istot teatralnych nie ulega stanowczej przemianie. Taż sama komedia życiowa odgrywa się wiecznie, odkąd istnieją kobiety i mężczyźni, odkąd przebywają razem. Skoro jedno i to samo dzieje się tu i od początku świata, pozwólmyż autorom powtarzać jedne rzeczy. Nie wypada nam może przywiązywać zbyt wielkiej wagi, do dzisiejszego nowatorstwa; nie jeden młody pisarz, występując wbrew przyjętym u nas zwyczajom, chciał poprostu ściągnąć na siebie uwagę. P. Curel nie miał tej myśli; mówi on tak,

jak czuje. Obrął formę dramatyczną, gdyż ta zdaniem autora najsilniej działa na ogół. Wróg konwencyonalizmu, nie widzi, że teatr sam przez się musi być nieco sztucznym. Nie pytał, czy, pisząc dla tłumu, nie wypada unikać zbyt subtelnych badań psychologicznych; myśl jego wyżej sięga. W badaniu życia uderzyły go najważniejsze i najpobieżniejsze zagadnienia naszych czasów. Nie mogąc odpowiedzieć na nie, przedstawia je tylko: wyraża w nich z prostotą własną trwogę i umie rozbudzić ją w innych sercach. Nie znam—dodaje p. Boissier—nic głębiej poruszającego, jak niektóre sceny w „Nowem bożyszczu,” w „Uczcie lwa” i „Kopalnych” (Fossiles). Łatwo wytykać błędy w jego sztukach, jako przeznaczonych na teatr, ale czytając je, nie podobna uniknąć głębokiego wzruszenia.“

Z działu lingwistyki Akademii uwieńczyła dwa komentarze nad pracami Bossueta i Pascala, ważne dla filologów, lecz dla nas mniej przedstawiające zajęcia.

Kilka prac, poświęconych badaniom obcych społeczeństw, otrzymało nagrody. Wymieńmy tu dzieło p. Goyon, p. t. „L'Allemagne Religieuse.” Podjęty w niem stosunek protestantyzmu do innych doktryn chrześcijańskich; rzecz prowadzona w sposób umiarkowany. Inne znów dzieło p. Parisot, traktowane poważnie, nosi tytuł „Państwo i kościoły w Prusach pod Fryderykiem Wilhelmem I.”

Zwróciła tu uwagę akademii krytyczna praca pana Legros o poecie niemieckim, Henryku Heine, rzucająca światło na wielkiego poetę niezrozumiałego dla Francuzów. Otrzymał również nagrodę fundacji Langlois, za najlepszy przekład, p. Beljame, wytworny tłumacz Szekspirowskiego „Mackbetha“.

Mówiąc o literaturach zagranicznych, dodajmy tu, że publicysta, Wyzewa (Wyzewski), uwieńczony został za artykuły, rozsiewane po pismach i przeglądach, o literaturze każdego niemal z narodów europejskich. Zna on podobno języki: angielski i niemiecki, hiszpański i włoski, rosyjski, holenderski i szwedzki, oprócz francuskiego, w którym pobierał nauki, i polskiego, który, sądząc z nazwiska, musi być jego własnym.

Nie znamy artykułów pana W., zebranych w dwóch tomach, ale, jeśli mamy sądzić je według tego, co pisał o literaturze i sztuce polskiej, słabe daje nam to pojęcie o ich wartości.—Kiedy przed lat dziesiątkiem, młody wtedy publicysta odwiedzał Kraków, nie znalazł tam nic godnego uwagi. Z lekceważeniem wyraża się o Matejce i innych tegoczesnych artystach, co więcej, zabytki, przechowane w katedrze i muzeum akademickim, traktuje z zarozumiałością i pogardą.

Akademia, wieńcząc rozprawy literackie pana Wyzewy, miała zapewne na względzie pracę, podjętą w wyuczeniu się dziesięciu języków—pracę, do jakiej Francuzi mało okazują zdolności, a raczej wytrwania. Co do wartości tych rozpraw, ośmielamy się nie dzielić zdania sędziów konkursowych. Z dziesięciu europejskich literatur, o których wartości wyrokuje laureat, jedna tylko dokładnie nam znana, a sądząc z tego, co pisze o niej, mamy prawo podejrzewać inne jego wyroki. Gdy mówi o literaturze polskiej, mimochodem zbywa utwory Mickiewicza, zowie go autorem „dość dobrego poematu p. t. „Pan Tadeusz.“ W innych utworach mistrza naszego widzi poprostu adaptacje Byrona i Musseta! Z równem lekceważeniem mówi o poezjach Bohdana Zaleskiego i Wincentego Pola. Większą łaskę znalazł u niego Syrokomla, „którego rytm, jak mówi—„znośny dla ucha“ (supportable), przypomina obrazki Heinego i Szopenowskie podźwigi“. Jednym słowem, Polska, zdaniem Wyzewy, nie ma prawdziwego poety.

W powieści zaznacza on omyślny przełom. Po szkole romantycznej, przedstawionej,—jak mówi—przez Kraszewskiego, nastąpiło nowe pokolenie obserwatorów i realistów, którzy uznali za mistrzów wielkich romansopisarzów francuskich i uczonych empirystów angielskich, jak Stuart Mill, Darwin i Herbert Spencer. Tu naprzód wymieniony „pisarz wielkiego talentu, Zygmunt Miłkowski“ a za nim pani Eliza Orzeszkowa, panowie Głowacki, Rzęzewski i Bałucki. W dramacie, zdaniem Wyzewy, „góruje młody autor, Stanisław Rzewuski, pełen oryginalności, wyraz szkoły Polskiej, błyszczącej w Petersburgu“.

Najobszerniejszy ustęp poświęcony Sienkiewiczowi. Krytyczne bowiem uwagi, przytoczone powyżej, wyjęliśmy z rozprawy o „Bartku Zwycięzcy“, zamieszczonej na czele francuskiego przekładu.

Oprócz tych bardzo nielicznych wyjątków, p. Wyzewa pokazuje w Polakach nieudolność na polu artystycznym. Zdaniem jego, „głównym tu powodem zakorzenione uczucie chrześcijańskie, a stąd marzycielstwo, sprzeczne z realizmem i odwodzące od systematycznej pracy. Drugą przyczyną zastołości—admiracja dla dawnych mistrzów; Polacy cześć nad miarę Szekspira, Danta, Michała Anioła, Łacinników i Greków. Nie jest to, jak „u nas Francuzów,“ admiracja powierzchowna, oni nie cierpią, aby im ktoś pokazał nędzę psychologiczną sztuk szekspirowskich; wielbią religijnie Michała Anioła, który był tylko fabrykantem romantycznych Aniołów. Co zaś do Homera, Eschylosa i drugiego Homera, Mickiewicza, przechowują dla nich dziedziczny a złowrogi entuzjazm. Złowrogi, mówię, bo nie pozwala wnikać duszą do samego jądra sztuki, lecz tylko nakazuje badać ją przez pryzmat dawnych czasów i dawnych ludzi.“

Obszerną rozprawę, tak kończy Wyzewa: „Nie żądajmy od społeczeństwa, czego dać nam nie może, pozwólmy Polakom tonąć słodko w ich tradycyjnem marzeniu. Mamy dosyć ludów, nie mówiąc już o francuskim, aby nam *fabrykowały* arcydzieła!“

Przyczyliśmy ten długi ustęp, chcąc dać poznać głośnego dziś pana Wyzewę, który rzutnością pióra i znajomością dziejściu języków tak otumaniał sąd akademika, że zdobył niezасłużony wieniec.

Ale dosyć na tem, przejdźmy teraz do dwóch sumiennych pisarzy, dla których nagroda otrzymana stała się prawdziwą niespodzianką. Fundator jej, akademik Vitet, powierzył ją uczonemu gronu do rozporządzenia dowolnego na rzecz cichych pracowników, którzy, zagrzebani w badaniach, nie szukają rozgłosu.

Znaczne to premium, rozdzielone na dwie części, dostało się dwom zasłużonym weteranom pióra. Jeden z nich, Julian Levallois, zdolny publicysta, niegdyś współpracownik Sainte-Beuve'a w jego trzynomowem, pełnem erudycyi dziele „Port Royal“. Obecnie Levallois wydał znakomity zyciorys mistrza swego, ocenia w nim wielkiego krytyka, a zarazem podnosi osobiste jego zalety.

Drugą połowę premium otrzymał Emanuel Broglie. Sympatyczna to postać. Skutkiem nieuleczalnej choroby, skazany na życie samotne i zamknięte, szukał w pracy literackiej jedynej osłody w cierpieniach. Z wyroku lekarzy wolno mu było pracować nie więcej, nad dwie godziny dziennie. Składał więc pióro zrezygnowany, ale myśl nie znosi narzuconych sobie więzów. Powolna, lecz głęboko obmyślona praca, przyniosła plon bogaty. W ciągu lat kilku wykonał „Studia historyczne“, obejmujące wiek siedemnasty i początek ośmnastego. Całość objęta w ośmiu tomach. Długo zatrzymuje się autor nad Fenelonem w Cambray; bada, jakim sposobem ten wyższy umysł, przywykły do świata, spragniony władzy, znosił królewską niełaske. W studiach Brogliego, odżyły dwie wielkie postacie siedemnastego wieku, dwaj benedyktyni: Mabillon i Montfaucon. Wszystkie prace erudyta, pełne życia i głębokiego spokoju, świadczą, jak dalece krzepki duch zapanował nad chorem ciałem.

Nagrody fundacyi Archona Desperouses'a, za utwory poetyczne, rozdzielono pomiędzy dwóch współzawodników. Jednym z nich Gabryel Vicaire, autor poematu—p. t. „Clos des Fées“ (Zagroda wróżek); akademia oceniła w nim cechy czysto francuskie: wdzięk pełen naiwności, ożywiony niekiedy żartobliwą ironią, a czasami cień smutku, rozpraszany myślą pogodną; niezwykle to zalety w dzisiejszej poezyi,



zaprawnej pesymizmem, tak nie odpowiednym geniuszowi francuskiemu.

Drugą nagrodę otrzymał młody poeta, Albert Samain. Ten uległ nieco wpływowi szkoły Verlaine'a i innych nowatorów, pozwala sobie łamać przyjętą formę wiersza; trudno jednak odmówić mu wyższego talentu. „Nie szukajmy w nim, mówi sprawozdawca, myśli i uczuć ściśle określonych, są to raczej wrażenia i sny; melodyjnie wyśpiewane, w delikatnych oddane barwach. Smętne zwrotki, zaprawne niby wonią jesiennych kwiatów.“

Inny znów wieniec poetyczny otrzymał Belgijczyk, Andrzej Gille, za zbiór starożytnych pieśni, p. t. „Cytara.“ Akademia nagrodziła tu mistrza języka francuskiego, który z gronem przyjaciół pracuje wytrwale od lat piętnastu nad uchronieniem języka od obcych, to jest flamandzkich, wpływów. Z poszanowaniem patrzy akademia na te wysiłki Francuzów oderwanych od macierzystej ziemi, jak belgijskie Wallony, szwajcarskie Romandy i zamorscy Kanadyjczycy; wyciąga z miłością ramiona ku tym synom, którzy wierzą w przyszłość Francji, mimo nieszczęść, jakie ją dotknęły.

P. Boissier pozostawił na koniec dział najważniejszy, to jest historyczny. Z trzynastu nagrodzonych prac wybrał sześć pierwszorzędnych i obszerniejsze poświęcił im uwagi.

Do wielu innych przybyła w tym roku nagroda konkursowa fundacyi pana Courcel, za prace odnoszące się do starożytnych dziejów Francji, to jest do końca dziesiątego wieku. — Otrzymał ją Maurycy Prou, autor dzieła p. t. „Gallia za Merowingów“. Wyborna to książka. Autor przedstawia w niej w popularny sposób dzieje tej zapomnianej epoki.

Nagrodę fundacyi Thiersa rozdzielono między dwóch kandydatów: połowę otrzymał ksiądz Pirling, za dzieło, oparte na nowych dokumentach, o stosunkach Stolicy Apostolskiej z Rosją od koncylium florenckiego do końca XIII wieku. Druga połowa przypadła panu Segnobos, autorowi ważnej pracy, obejmującej główne fakta z historii państw europejskich, od r. 1815, aż do berlińskiego traktatu.—Książka to pożyteczna, a co więcej, pisana w żywy i zajmujący sposób.

Wielką część nagrody „Theroine“, otrzymał B. Zeller. Do dwóch dawniej ogłoszonych tomów dodał on treść, odnoszącą się do pierwszych lat panowania Ludwika XIII-go. Ciężka to w dziejach epoka, pełna tajemnych intryg, które podkopały w swoim czasie powagę Francji. Długo akademia wahała się z przyznaniem nagrody za dzieło, osnute na tak smutnych wypadkach; uznano wreszcie, że w historii wszystko

ma swoją wagę. Słusznie p. Boissier dodaje ze swej strony: „Gdybyśmy tylko umiłowali obrazy świetnych i szczęśliwych epok, doprowadzilibyśmy do rozpaczki tych, którym nie dano żyć podówczas. Przeciwnie, jakaż to pociecha dowiedzieć się, że inni przecierpieli próby, jakie ich obecnie dotykają; jakaż podnieta w myśli samej, że w krótko może wystąpi z cienia jakiś Richelieu, który wydobędzie ich z nędzy.“

Pozostała tu jeszcze wielka nagroda, Gobert'a; tę otrzymał Henryk Welschinger, głęboki erudyta, a zarazem pisarz sumienny, wzniosłego poglądu i niewyczerpanej werwy. Zaszczyc ten uzyskał historyk za swą ostatnią pracę, wydaną w zeszłym roku, pod tytułem „Król Rzymski“. To znakomite dzieło poprzedził już innemi, zarówno wielkiej doniosłości. Zagrzebany w epoce pierwszego cesarstwa, wykonał od lat piętnastu kilka dzieł wielkiej wagi. Szereg ich rozpoczyna ciekawą rozprawą „o cenzurze“ za czasów Napoleońskich. Potem następują ważne prace historyczne: „Księżę d'Enghien“, „Marszałek Ney“ i „Rozwód Napoleona“. Pogląd historyka zawsze spokojny, z równą bezstronnością sędzi potomka Burbonów, księcia d'Enghien, jak marszałka z epoki cesarstwa, Ney'a; surowo za to chłoszcze wielkich winowajców, jak Savary, Fouché i Talleyrand, sprzysiężonych na zgubę księcia d'Enghien, jak i nikczemnych sędziów Ney'a. Ofiara budzi współczucie w szlachetnem jego sercu, bez względu na obóz, do którego należy. W „Królu Rzymskim“ współczucie to objawia się najsilniej. Roku zeszłego mówiliśmy już o tej pracy, nie możemy jednak pominąć słów pana Boissier, dopełniających to, cośmy niedokładnie wyrazili.

„Nic rzewniejszego, mówi akademik, jak dzieje tego nieszczęśliwego młodzieńca. Ten wielki los tak nagle przerwany, te lata dziecięce, otoczone na obcym dworze najściślejszą strażą; zdala od ojca, zagnanego na krańce świata, od matki, niepomnej świętych obowiązków. A cóż dopiero powiedzieć o tym rozwijającym się umyśle, o rozbudzonych wspomnieniach, o namiętnej pogoni za chwałą ojcowską, którą ukryć przed nim usiłowano, o tym szalonym popędzie do pracy, do nauki, aby stać się godnym wielkiego ojca! Co powiedzieć o tych nagłych połykach dumy i promykach nadziei, o tym bystrym poglądzie na świat, aby wyszukać na nim miejsce, godne siebie, o tem gorączkowem pragnieniu działalności, o tej walce duszy płomienistej z ciałem wątłem, o tym gwałtownym oporze przeciw chorobie, coraz to groźniejszej, przeciw rozpaczliwej myśli, że niczego dokonać nie może ten, kto się urodził synem Napoleona! Byłże kiedykolwiek los tragiczniejszy wymarzony w ludzkiej wyobraźni? Ten niepospolity młodzian, na którym spoczywały losy Europy, mimo że ukryty był w cie-

niu, znalazł w Hekryku Welschingerze godnego siebie historyka. Mistrzowska jego opowieść tysiące serc poruszyła do głębi!

Pan Boissier przystąpił nakoniec do sprawozdania z dwuletniego konkursu, zwanego według tradycyi akademickiej *Prix d'éloquence*. Zadany przedmiotem była rozprawa o Michelecie, zrodzonym przed stu laty. Dwudziestu ośmiu współzawodników stanęło na wezwanie. Sąd konkursowy w niejednej z tych rozpraw ocenił świetne rzuty pióra, co więcej, nowe myśli, brakło im tylko ścisłego związku, to jest daru kompozycyi, w którym niegdyś celowali Francuzi. Sprawozdawca widzi w tem zbyt ni pospiech, składa winę na rozwinięte dziennikarstwo, wymajające ciąglej improwizacyi, niedopuszczające głębszego zastanowienia.

Jedna przecież praca odpowiedziała wymaganym przepisom: wykonał ją Jan Brunhes, dawny uczeń szkoły normalnej, obecnie profesor uniwersytetu we Frejburgu.—Zrozumiał autor, że na kilkunastu stronicach niepodobna wszystkiego wypowiedzieć. Opuścił zatem życiorys historyka, w dwóch słowach określił jego znane utwory, jak Owad, Ptak, Morze i Góra; zajmuje się głównie jednym, ale najważniejszym pytaniem: w jaki sposób Michelet rozumiał historję, jaką obrał metodę, jak grupuje fakta i przywraca im życie.

„Badania historyczne, mówi sprawozdawca, stały się niewątpliwie chwałą kończącego się wieku. W pośród zastępu historyków, którzy swój czas uświetnili, Michelet zajmował zawsze niepoślednie miejsce; lecz, o ile pamiętam, nie stawiano go za życia na tak podniosłym, jak dziś, szczeblu. Od kilku lat ogół stał się dla niego względniejszym, jak to widzimy z wyprawionych mu owacyi. Nie nazwę tego po prostu modą; nie wątpię, że młodzież w okazanej mu czci i wyższe miała pobudki. Tak zaprawdę, nowa generacya, znudzona systemem pesymistycznym, odbierającym człowiekowi wolę i działalność, spragniona wiary i czynu, oceniła ów stały optymizm w historyku, który, mimo tylu zawodów, głosił do końca, że w człowieku przemaga dobra strona, że sprawiedliwość odnosi zawsze tryumf. Pochwycił młode umysły ów idealizm, budzący wiarę, że istnieje jeszcze tu coś więcej nad zadowolenie materyalnych potrzeb, ów idealizm, poświadczony historją, że człowiek, pomimo wpływów plemiennych i miejscowych, nie jest ich niewolnikiem. Wreszcie, kiedy młode pokolenie z takim zapalem obsypywało okłaskami pamięć historyka, który, pełen miłości dla ofiar, podnosił zawsze pokonanych, który nawet w obrazach przyrody wydobywał z cienia istoty słabe i upośledzone, czyż owe okłaski młodzieży nie były żywą protestacyą przeciw tym, co wystawiają tylko powodzenie i wielbią tylko siłę? Jeśli hołd, oddany

szlachetnym uczuciom, zapowiada powrót do wznioślejszego i bardziej ludzkiego rozumienia życia i historii, cieszymy się nim. pomyślna to wróżba na przyszłość!

\*

\*

\*

Po rozprawie pana Boissier, w której uczony akademik ukazuje w literaturze dodatnią stronę społeczeństwa francuskiego, przechodzącym radzi nie radzi do smutniejszych w świecie objawów. Pobudkę do tego daje nam świeżo wydana praca Henryka Lichtenbergera, ogłoszona w „Bibliotec Filozofii współczesnej“, o głównych zasadach filozofa Nietschego. Te zasady rozbiierał już p. Wyzewa, w jednej z zeszłorocznych konferencji. Przytoczmy w krótkości główne konkluzje wpływowego w Niemczech filozofa.

„Co jest nadewszystko dobrem i zdrowem?—Siła. Jedyne prawem w świecie to prawo siły. Wojna naprzykład, o tyle święta, o ile zdrowa. Ona ukazuje nam, gdzie jest siła i słabość, gdzie zdrowie, gdzie choroba. To miara, jakąby mędrzec powinien ustanowić, gdyby go nie uprzedziły okoliczności, aby wypróbować wartość danego plemienia, danego człowieka, lub danej idei, a potem pchnąć życie drogą postępu. Pascal wyrzekł: nie mogąc ustalić sprawiedliwości, wprowadzono siłę. Była w tem słuszność, a raczej po co usprawiedliwiać siłę? ona jest sprawiedliwą. Dobra sprawa, jak mówią, uświęca wojnę, a ja mówię, że dobra wojna uświęca wszelką sprawę. Oto prawdziwa moralność!“

Dalej filozof odróżnia dwie moralności: fałszywą, wymyśloną przez niewolników, i prawdziwą, opartą na prawach przyrody. Pierwsza, czyli fałszywa, polega głównie na teorii, że potrzeba wspierać i pocieszać ludzkość: wspierać, czy to wymiarem sprawiedliwości, czy miłosierdziem; pocieszać, nadzieją lepszego świata i przyjemnością, jaką sprawia chwila ulgi w cierpieniu.

Moralność prawdziwa, według zasady filozofa, nakazuje być twardym, być silnym, być nieprześląganym, realizować moc!

Prawdziwy typ ludzkości, to feudalizm, odwaga, zuchwałość, twarde obejście z niższymi i z sobą samym, solidarność, nawet duch ofiary, względem silnych, by utrzymać władzę uad tłumem. Najsurowsze tu

prawa co do małżeństwa i wychowania dzieci, aby ustrzedz stan fizyczny od upadku. „Względem słabych najmniejszego miłosierdzia, ani sprawiedliwości, tem mniej solidarności i braterstwa.“ „Rząd twardy, to hasło zwierzchnika, hasło człowieka, który ma i czuje siłę własną, nie ulega czułości, nie da się zmiękczyć płaksom. Wyrabiać sobie niezależną wolę, to główna powinność człowieka“.

W końcu mówi Nietzsche o społeczeństwie ludzi całkowitych i absolutnych, którzy bez względu na nic zniecierliwili opieszały pesymizm i rezygnację, a bez litości dla siebie i dla drugich poświęcili się dla utrzymania życia w ludzkości.

Lichtenberger nie jest bynajmniej zwolennikiem doktryny Nietzschego. Jeśli poświęcił mu obszerną rozprawę, to dla zaznaczenia prądów szamoczących wiekiem w chwili przedśmiertnego przesilenia. W teoryjach filozofa tę jedynie widzi dodatnią stronę, że dąży do energicznego wykrzesania iskry w bezmyślnych samolubach, których wielki nasz poeta nazwał „ludami szkieletów, bez serc i bez ducha!“

\*

\*

\*

W końcu zeszłego roku umarł w Paryżu wielki mistrz pędzla, którego dzieła pozostaną wspaniałym pomnikiem sztuki francuskiej XIX wieku. Mówimy o Puvisie de Chavannes, dekoratorze Panteonu i Sorbony. Rozgłos jego imienia przeszedł na drugą sferę świata półkulę, Biblioteka Bostońska na murach nowo zbudowanego gmachu posiada szereg najpiękniejszych jego arcydzieł.

Rzecz dziwna, mistrz takiego znaczenia długo nie był prorokiem między swymi; samodzielny geniusz jego nie prędko został oceniony. Powodem tego nadzwyczajna prostota w utworach, wolna od sztucznych efektów — dziś tak popłacających. Długo zarzucano mu niezajomość rysunku i brak kolorytu. Artysta znosił cierpliwie te sądy, pełen przekonania, że obrazy jego dekoracyjne właściwie odpowiadają barwie muru, inaczej tworzyły-by z nim przykrą dla oka dysharmonię. W końcu jednak ogół pochylił głowę przed mistrzem. Innym powodem niepopularności Puvisa było i to, że nigdy nie szukał rozgłosu. Miłował on sztukę, pracował wyłącznie dla niej, dążył do swego ideału

bez względu na poklaski lub nagrody. Nie cierpiał wrzawy światowej. Nie widywano go na zebraniach żadnego rodzaju, przez lat czterdzieści sześć mieszkał w jednym domu, życie skupione w sobie całym mu wystarczało. „Nie jestem za grosz Paryżaninem“, powtarzał przyjaciółom; czasami tylko wyprowadzał żonę na teatr.

Puvīs de Chavannes urodził się w Lyonie w 1824 roku. Syn inżyniera, naczelnika w wydziale górniczym, o był nauki w rodzinnem mieście, nie okazując szczególnych zdolności. Szczupły i wysoki, zwał się sam chudym szparagiem. Wyższe nauki odbywał w Paryżu, starannie uprawiał rysunki, nigdy jednak nie otrzymał nagrody, ani pochwały za swą pracę.

Podróż do Włoch otworzyła mu oczy na cuda sztuki. Za powrotem, zapisał się do słynnego podówczas Ary Scheffera. Stęskniony do Włoch zwiedził je poraz drugi, z towarzyszem zamiłowanym w sztuce, który dał mu poznać najcelniejsze arcydzieła mistrzów. Ten przyjaciel w r. 1848, przedstawił go malarzowi Delacroix.

— Kieruj nim — rzekł — to najgorętszy twój zwolennik.

— Mało mi takich pozostało! — odparł wielki artysta.

Dwa tygodnie tylko pozostał Puvīs w pracowni mistrza, uczniowie bowiem opuszczali ją po jednemu. Delacroix zamknął szkołę wobec obojętności powszechnej; wtedy Puvīs przeniósł się do pracowni Courtois'a, gdzie, jak mówi, przespał trzy miesiące. Widząc, że się niczego nie nauczy, postanowił pracować sam; jakoż wziął się do pędzla z niesłychanym zapałem. W r. 1850 wystawił N. Pannę Bolesną, trzymającą w objęciu zdjętego z krzyża Chrystusa; u stóp jej Magdalena zanosi się od płaczu. Ta wystawa dała mu zbawienną naukę; spostrzegł, że na obrazie widać tylko dwie postacie: N. Panna znikła na tle fiołkowem; odtąd nie powtórzył już tego błędu.

W r. 1857 otworzył Puvīs pracownię na placu Pigalle; nie opuścił jej aż do ostatniej chwili. Pierwsze próby nadzwyczaj były ciężkie: w ciągu lat siedmiu sąd konkursowy odrzucał wszystkie jego obrazy, posyłane co rok na majową wystawę, jako do zbytku romantyczne. Nie zrażało go to bynajmniej: tenże sam los spotykał takich mistrzów, jak Millet, Duprė i Corrot.

Wówczas Puvīs de Chavannes nie myślał o malarstwie dekoracyjnem, któremu zawdzięcza całą sławę. Opowiada sam, jak mu to przyszło.

Brat jego wybudował dworek wiejski. Na widok pustych ścian jadalnej sali, artysta umyślił wymalować na nich cztery pory roku: „Powrót z łowów“ udał się szczególnie. Puvīs powtórzył obraz na płótnie, posłał go na wystawę, gdzie go przyjęto bez wahania. Arty-

sta trafił na odpowiednią mu drogę. Zachęcony medalem, począł z zapałem szukać w przyrodzie pobudek do artystycznych utworów. Pracował z niesłychaną energią. W r. 1861, obraz „Pokój i wojna“ zjednał mu drugi medal. Inny utwór, „Praca i wypoczynek“, rozgłosił jego imię. Większą jeszcze sławą okrył go wielki obraz: „Ludus pro patria,“ zdobiący dziś muzeum w Amiens; przyznano mu medal honorowy.

Odtąd co rok w salonie ukazywały się utwory Puvisa. Z tych pojętny nam szczególnie obraz „Bacznosc i Fantazyja“, pomieszczony w Muzeum miasta Lille, i „Ścięcie św. Jana Chrzciciela“. — Po klęskach Francyi błysnęły na wystawie dwa pyszne utwory: „Karol Martel“, pogromca Saracenów, i „Święta Radgunda w klasztorze,“ w pośród grona uczonych mistrzów swego czasu; oba przeznaczone do ratusza w Poitiers. Nakoniec w 1876—1878 zachwycała wsz ystkich tak znawców, jak i ogół, serya obrazów, przedstawiająca dziecinne lata św. Genowefy, zdobiąca mury Panteonu—arcydzieło prostoty i samoistnego natchnienia.

Kilka lat temu, podziwialiśmy w salonie pyszne obrazy, zamówione przez Amerykanów do Bostonu, na ozdobę nowej biblioteki. Kto widział wśród nich Homera i Wergilego, nigdy ich nie zapomni. W ostatnich czasach pracował mistrz nad ozdobieniem ścian odnowionej Sorbonny; nakoniec wykonał ostatnie arcydzieło: drugą seryę obrazów z żywota św. Genowefy—pomieszczoną dziś w Panteonie—Patronki Paryża, w późnym wieku. Odziana w żałobę, czuwa nocą nad swym uspionym grodem.—Na drugim obrazie rozdaje chleb zgłodniałym Paryżanom.

Pomimo tylu pomników sztuki, mistrz słynny w świecie miał jeszcze zawziętych nieprzyjaciół w kraju własnym. Zarzucano mu, że nie umie malować, gdyż nie malował tak, jak drudzy, lecz we właściwy sobie sposób. Zbyt długo odmawiano mu wstępu do Akademii sztuk pięknych; dopiero po niedawnym skonie malarza Lenepreu ofiarowano mu krzesło w Instytucie; niestety, zapóźno! śmierć zaskoczyła go, nim dostąpił zaszczytu, należącego mu od dawna.

Puvis de Chavannes zmarł w 74 roku życia, niepokieszony po stracie małżonki, która o miesiąc poprzedziła go do grobu. Bezinteresowny i hojny nad miarę, różnił się od dzisiejszych artystów życiem pełnem prostoty. Nie pozostawił on naśladowców. Aby iść jego torem, trzeba było czuć jak on, myśleć jak on, ukochać, jak on, sztukę, wszystko dla niej poświęcić.

Parę lat temu, na wystawie majowej mieliśmy sposobność podziwiać niesłychaną twórczość w nagromadzonych szkicach i pomysłach

artysty, do wykonanych lub obmyślonych obrazów; było ich przeszło tysiąc. Puvis nie rozporządził nimi w testamencie. Rodzina, przez obawę, aby skarby nie poszły w rozsypkę, przeznaczyła je do różnych galeryi francuskich. Miasto Paryż do municypalnego muzeum otrzymało wszystkie szkice, wykonane dla wspaniałej dekoracyi ratusza.

Miasta Amiens, Lyon, Poitiers i Marsylia zachowają w murach swoich rysunki i rzuty pędzla, odnoszące się do arcydzieł, jakie posiadają. W galeryi luksemburskiej znajdują miejsce liczne pomysły do dekoracyi Sorbony i Panteonu. Resztę dziedziczy Akademia w Macon, rodzinnem mieście Puvisa. Donataryusze położyli tylko warunek, aby municypalność każdego z miast obdarowanych wystawiała te skarby i czuwała pilnie nad ich zachowaniem.

\*

w

\*

Donajciekawszych publikacyi, jakie ukazały się w tym roku, należy dzieło uczonego filologa, J. Jusserand, pod tytułem „Szekspir we Francyi“. Jest to historia stosunków umysłowych między poblizkimi a tak odrębnymi od siebie ludami. Dziesięć godzin zaledwie oddziela dziś Francję od Anglii, mimo to istnieje pomiędzy nimi przepaść, odpowiedna wężkiej ale głębokiej otchłani oceanu. Mimo bezustannych stosunków, dwa te społeczeństwa żyć się z sobą nie mogły. Inne tu i tam obyczaje, inne tradycye, inne potrzeby, tak w sprawach politycznych, jak w zwyczajnem życiu, inne nakoniec prądy, powiewające w świecie artystycznym i literackim.

Wojna stuletnia i długoletnie panowanie Anglików nad częścią Francyi wyłobily tę przepaść, którą epoka pierwotnego cesarstwa tem głębiej podkopała.

Rojowisko Anglików, napełniające dziś Paryż, nie świadczy bynajmniej o pojednaniu dwóch tak odrębnych plemion. Francuzi szyszą wiecznie z Anglików, ci znów gardzą rzucanemi sobie w oczy sarkazmami. Przebywają w Paryżu, bo tu mgła zimowa mniej im dokucza, a życie przyjemniejsze i stosunkowo tańsze. Zbliżenie to, bardzo zresztą powierzchowne, niedawnych sięga czasów. Francuzi, jak utrzymują, wcześniej odkryli Amerykę, aniżeli Anglię. W szesnastym wie-



ku jeszcze Wielka Brytania, owiana tumanami mgły, była dla Francuzów nieznaną całkiem ziemią. Dla małej liczby podróżników, którzy ją zwiedzali w interesie handlowym, ułożono dwa przewodniki: łaćniński i francuski. Znajdujemy w nich geograficzny opis, gdzie leży Anglia, jaką drogą dostać się do niej.

Te przewodniki wychwalały urodę niewiast angielskich, co do mężczyzn wystawiały ich w najczarniejszych barwach. Byli to wszystko pijacy, niesforne gbury, zmiennicy, istne chorągiewki na dachu. Dziś upodobali sobie władcę, nazajutrz gotowi go ukrzyżować.—Wielcy lordowie nie lepiej uszanowani. Niema w Anglii wielkiego pana, którego by ojcu lub dziadowi nie spadła głowa pod mieczem. Wolałbym—mówi przewodnik—uczciwszy uszy—pasać świnie i zachować głowę na karku. Podczas egzekucyi, kat przypasuje tam, jak rzeźnik, biały fartuszek“.

Ulicznicy ścigali Francuzów po mieście, ciskali na nich kamieniami, krzycząc na całe gardło „French dog!“

Francuzi odpłacali się Anglikom, jeśli już nie tak grubijańsko, to przynajmniej z równą pogardą. W XVI i XVII wieku, świat uczony posługiwał się łaciną, w salonach mówiono po włosku i po hiszpańsku, mowa angielska jak gdyby nie istniała. O Anglii fantastyczne krążyły wieści. W mniemaniu Francuzów, był to jakiś kraj zaklęty, pełen dziwów. Przewodnik, wydany w tych czasach, zaleca Francuzom zwiedzić wybrzeża Boguhane: są tam jakieś cudowne drzewa, na których rosną żywe kaczki; gdy dojrzeją, wtedy same spadają w głąb morza. Całe gałęzie pokryte niemi, że jednych widać ledwie główki i dziobki, u drugich wyrabiają się skrzydła, inne nakoniec trzymają się tylko na nitce, gotowe do lotu i do wody. W XVII dopiero wieku, wieść o książkach, pojawiających się w Anglii, doszła do Ludwika XIV. Król zażądał bliższych w tym względzie wiadomości od posła swego w Londynie. Zagadniony odpowiedział, że całą literaturę angielską składają Bacon i Tomasz Morus, teraz ukazały się dzieła niejakiego Miltoniusa. Bezczelny ten pisarz niebezpieczniejszy od wszystkich katów i morderców królewskich. O Szekspirze niema w raporcie wzmianki.

Obyczaje wyśpiarzy dziwią Francuzów barbarzyństwem, to też surowo wyrażają się o nich: czynią wszystko, co im przyjdzie do myśli. Jak im się król nie podoba, ucinają mu głowę. Kiedy ich ogarnia niedola, zabijają się sami, patrzą radzi na walki zwierząt i na wstrętne zapasy ludzi. Wszystko to oburza Francuzów.

W końcu tego XVII wieku wiatr powiał z innej strony. Przewrót to gwałtowny, jak zwykle we Francyi.

Turyści francuscy cisną się do Londynu. Sypią się przewodniki, Opisy podróży, gramatyki i rozmowy angielskie. W r. 1817 założono w Paryżu przegląd, poświęcony wyłącznie literaturze angielskiej. Tłómaczenia zalewają prasę. Popęd do tej zmiany dał Wolter podczas pobytu swego w Anglii.

Przybył on do Londynu w czerwcu 1726 roku. Z rozkoszą opisał doznane wrażenia. „Słońce świeci, powietrze łagodne, zieloność cudowna. Na Tamizie płyną roje statków i drobnych łódek. Postać żeglarzy i przewoźników, odwaga ich sama świadczy, że żyją w swobodzie i dostatku.“

Nazajutrz Wolter poznał się ze splinem. Słyszy, że Molly poderznął sobie gardło, że Anglicy wieszają się w listopadzie i marcu, gdy powieje wiatr wschodni. Pocieszył się odkryciem Szekspira. Z uniesieniem pisze o nim w „Listach filozoficznych“.

Spostrzega wreszcie, że się posunął za daleko. Anglomania oparowała Francuzów. Weszła w modę jazda konna na sposób angielski, zbierano się na herbaty w Paryżu—prowadzono rozmowy, jak w Londynie, to jest rozprawiano o niczem. Piękne panie miały na stolikach Milтона i Szekspira! Przerażony tem Wolter, wyrzuca sobie gorzko nierozwagę, „zaprowadzenie obcego żywiołu ze szkodą pisarzy francuskich.“ Przyznaje się do obłądu, opsypuje Sekspira sarkazmem, zowie go szaleńcem, dziwadłem. „Lada błazen jarmarczny,—mówi on—wyrządza się przyzwoiciej, niż książę duński, Hamlet!“

Daremne zabiegi, słowo naprzód rzucone musiało zakiełkować. Ów ośmieszony szaleniec ze Straffordu zadał śmiertelny cios tragedyi Wolterowskiej.

Czy jednak Szekspir zapanował w sztuce dramatycznej we Francyi, zaprzecza temu p. Jusserand. Przyczynił on się wiele do wyrwania sztuki z krępujących ją form klasycyzmu, lecz nie przeniknął nawskroś ducha francuskiego, nie oddziałał nigdy na ogół. Dziś mało kto z Francuzów odważy się przyznać, że go nudzą sztuki Szekspira, a przecież całość jego utworów znana zaledwie erudytom. Szekspir imponuje Francuzom, ale ich nie pociąga. Ogół zrozumieć go nie może.

„Duch narodowy silnie zakorzeniony we Francyi, dodaje w końcu autor. Od przełomu romantycznego padło na scenie naszej więcej trupów, niż w jakimkolwiek innym kraju, a jednak smak powszechny nie może się z tem zgodzić.

Troistą jedność od dawna usunięto, wszakże utrzymuje się, ilekroć pozwalają na to warunki; wiersz aleksandryjski zachował szczerych zwolenników. Mimo oddziaływania nowatorów, bohaterski wiersz ten

w teatrze porusza serca i umysły. Tragedya wrosła niejako w krew Francuzom; „powiadają nam, że ogół upodobał sobie drobiazgowę i płaskie obrazy z życia rzeczywistego: nie wierzcie temu; rzuć mu tylko brzmiące aleksandryny, pełne siły harmonijnej, a będzie je chwiałe połykał. Tak się wyraził głośny dziś krytyk Sarcey.“

„Szekspir, dodaje w końcu autor, dopomógł nam do zrzucenia starych węzłów, które, przechodząc z pokolenia na pokolenie, ścieśniały się coraz to bardziej, a zastosowane do każdego przedmiotu, tamowały ruch poetyczny. Dopomógł on, jak mówi Wiktor Hugo, do rozemknięcia wrót niebieskich rozśpiewanym skowronkom; niech kto chce przeczy, odegrał on wielką rolę w dokonanym przewrocie, zdobył też prawo do wdzięczności naszej. Możemy oddać mu hołd należny, tem śmieiej, że nie rzekliśmy się naszych ideałów, ani zamknęli przybytku tym, których nazwiemy zawsze sprawiedliwymi!“

\*

\*

\*

Powiedzmy słówko o pożytecznej książce, świeżo wydanej pod tytułem: „Uczeni nowocześni i ich życie i praca, według dokumentów akademickich, zebranych w krótkości“ przez p. Rebière'a. Jest to poprostu wulgaryzacja, ale bardzo dokładna. Wiadomy powszechnie postęp w naukach ścisłych w ciągu dwóch ostatnich stuleci. Autor zebrał imiona najsłynniejszych koryfeuszów nauki, przeważnie francuskich, z dołączeniem cudzoziemców, których akademii nauk paryska wezwała do grona swego.

W krótkim wstępie autor sięga do epoki starożytnej i wspomina słynnych matematyków greckich: Talesa z Miletu, Pitagoresa i innych, oraz przyrodnika rzymskiego, Pliniusza; — po długiej stagnacji, przetrwanej tylko pracami Arabów, przechodzi do XV wieku. Tu stawia na czele Mikołaja Kopernika, wielkiego matematyka polskiego, który pociągnął za sobą Galileusza i Keplera.

Przechodzi wreszcie autor do głównego celu swych badań: do Akademii nauk ścisłych, założonej przez Colberta w r. 1666. Instytucja ta przyszła do najwyższego rozkwitu w końcu ostatniego stulecia. Okryły ją chwałą imiona wielkich koryfeuszów nauki, jak Lalande,

Monge, Laplace, Jussieu, Lavoisier i Amerykanin Franklin. Burza rewolucyjna nie pominęła słynnej Akademii. Zamknięto ją w r. 1793; członkowie poszli w rozsypkę, kilku z nich padło ofiarą terroryzmu. Lavoisier i Beully położyli głowy pod gilotyną. Condorcet zażył trucizny, ścigany przez morderców; książę La Rochefoucauld nie uszedł ich zasadzki.

Po upadku terroryzmu, dyrektoryat podniósł zburzone ciała naukowe. Utworzył z nich Instytut Francuski w roku 1795.

Autor przyjął jasną i prostą metodę: podzielił uczonych specjalistów na trzy osobne kategorie. Naprzód zamieszczeni matematycy, astronomowie, począwszy od Newtona do Leibniza, dalej występują słynni fizycy i chemicy, których szereg zamyka Pasteur, nakoniec wielcy przyrodnicy do Quatrefages'a i Claude-Bernarda. Dzieło obejmuje wyłącznie zmarłych, do każdego życiorysu dodany portret, starannie wykonany.

W każdym dziale koryfeusze nauki wymienieni w chronologicznym porządku; każdemu poświęcony osobny ustęp; na czele idzie krótki życiorys, zamieszczona narodowość, data urodzenia i śmierci. Dalej wyliczone dokładnie wszystkie prace i genialne pomysły. W ocenie ich nie wdaje się autor; przytacza za to sądy kompetentnych specjalistów: ustępy z ich rozpraw, pamiętników i akademickich przemówień, z najżywotniejszej strony cechujące wielką osobistość.

Zobaczmy oto wspomnienie chemika Chevreuila, zmarłego w setnym trzecim roku pracowitego życia. Urodzony w najburzliwszej epoce, widział w Auger głowy spadające pod gilotyną. Opowiadał on, jak razu jednego robotnik w bluzie pociągnął go za ramię, u stóp straszliwej maszyny: — „chłopcze, zawołał, nie odwracaj oczu od krwi, musisz się do niej przyzwyczaić“. I w tejże chwili ujrzał spadające z pluskiem głowy dwóch młodziutek panienek, obwinionych o ukrywanie ofiar.

U schyłku życia Chevreuil ciężkie przetrwał próby. Blisko czterdziestoletni starzec, bez względu na głód i niebezpieczeństwo, nie opuszczał oblężonego Paryża w 1870. Podczas kiedy kule działowe, wymierzone umyślnie przez Prusaków w galerię przyrodniczego muzeum, wstrząsały gmachem, starzec nie opuścił stanowiska; przy grzmocie bomb, napisał ostrą protestację, schłostał w niej gwałty, godne epoki barbarzyńskiej. Akt ten zachowany ze czcią w zbiorach akademii nauk.

Wymieniając tych wielkich astronomów i fizyologów, p. Rebière nie zatrzymuje się na ich wiekopomnych pomysłach i wynalazkach

ale nie zaniedbuje rysów, charakteryzujących ich życie. Pokazuje Franciszka Arago, który, jak bajeczny Prometeusz, wydarł—jeśli już nie promień słońca, to siłę elektryczną, ukrytą w przyrodzie, a dziś tak powszechnie zastosowaną; pokazuje tego olbrzyma wiedzy, jak w pełni lat działalności, dotknięty ślepotą, pracuje nad wykończeniem pamiętników, wskazując w nich nowe drogi światu naukowemu!

Kiedy przyszła kolej na słynnego fizyologa, J. B. Dumasa, p. Rebière przytacza tu słowa, jakimi St. René Taillandier powitał nowego kolegę w dniu uroczystego przyjęcia do akademii francuskiej. Przytoczmy ustęp z tej mowy, godnej pamięci:

„W statystyce istot organicznych wykazałeś, nasz uczone bracie, prawdę, że w przyrodzie nic się nie stwarza i nie ginie, lecz tylko przeistacza i odnawia. Skąd jednak pochodzą te pierwiastki, stanowiące życie rośliny i zwierzęcia? skądże one pochodzą? Jeśli tłómaczą życie, jakże je same wytłómaczyć? Tak w chemii, jak w fizyce i fizjologii, każde odkrycie nasuwa nam pytanie: i kędyż jest początek? Nauka, która chce wszystko zbadać, spotyka tu zaporę. Czyż jest się coś poza tem? Ci przeczą, tamci wątpią. Ty, bracie, z prostotą, właściwą wielkim umysłem, wyrzekłeś bez wahania: „ponad sferą fenomenów, jakie badamy, gdzie tyle jeszcze pozostało nam do odkrycia, istnieje sfera wyższa, której metody nasze nie osiągną. Zaczynamy rozumieć życie naszego ciała: życie duszy do innego należy porządku!“

Gdy mowa o Pasteurze, p. Rebière, zebrawszy świadectwa pierwszorzędných koryfeuszów nauki, wysławiających jego odkrycia, pokazuje nam wielkiego przyrodnika, jak u schyłku dni odwiedził swój domek rodzinny, jak na wspomnienie ojca i matki wybuchnął głośnym płaczem.

Wszystkie ustępy książki opromienione życiem. Mamy takich obrazków pięćdziesiąt kilka. Z grona uczonych mężów, znajdujemy tylko imiona tych, którzy rozszerzyli dziedzinę wiedzy ludzkiej i odkryli potomnym drogi, dotąd nieudeptane.

\*

\*

\*

Niepodobna mierzyć Francyi na skalę Paryża. Mimo ścisłego centralizmu, przeciw któremu protestują liczne głosy, każda część kraju zachowała właściwe sobie cechy, żyje samoistnem życiem. Nowy dowód dał nam jeden ze znanych publicystów odkryciem poety w mieście Troyes, w niedalekiej od Paryża Szampanii. Ten nieznany światu poeta, Karol Desguerrois, dziś ośmdziesięcioletni starzec, nie opuścił nigdy rodzinnego gniazda. Otoczony uznaniem, jakie zdobył wśród swoich, nie szukał nigdy rozgłosu w szerszym świecie. Wierny miłośnik ideału, pracując z dnia na dzień, wydał do dwudziestu tomów, tak oryginalnych, jak i tłómaczonych poezyi. Szczęście w domowym pożyciu z małżonką budziło w nim siłę i chęć do pracy. Do tej zgodnej pary, rozmiłowanej świecie idealnym, zastosować-by można słowa poety naszego:

Miły w tym domu porządek panuje,  
Gdzie mąż przygrywa, żona przyśpiewuje.

Z tą tylko różnicą, że żona, biegła w muzyce, przygrywała, a mąż przyśpiewywał harmonijnie.

Z pomiędzy starożytnych poetów Desguerrois upodobał sobie szczególnie Wergilego, rad przekładał jego eklogi. Nie zasklepił się jednak w klasykach, z równą miłością badał Szekspira i nowożytną poezję angielską. Z Szekspira przetłómaczył „Tymona z Aten“, z utworów Elżbiety Browning—jej pełne wdzięku sonety. Wśród oryginalnych jego prac najwyżej ceniony poemat na cześć katedry w rodzinnem mieście Troyes. Gmach ten należy do arcydzieł średniowiecznego budownictwa; znawcy stawiają go obok sławnej paryskiej Notre-Dame.

Błądą ciszę domowego ogniska przerwała najdotkliwsza boleść: nagła śmierć ukochanej małżonki osierociła starca. Niepocieszony po stracie, wyplakał żal swej duszy w zbiorze sonetów i rzewnych

pieśni, które porównać możemy z Trenami Jena z Czarnolasu nad ukochaną Orszulką. Każde słowo, wyrzucone z głębi zranionej duszy, pocieka krwią i łzami. Obok rzewnych wspomnień są tu i rozpaczliwe tony, i zwrot do pobożnej rezygnacyi, tak samo, jak i u Kochanowskiego. Tytuł zbioru *Odkąd*, wymowny sam przez się; poeta dopełnia go kilku rzutami pióra, które stanowią wstęp do żałobnej książki.

„*Odkąd* pomrok zapadł nade mną, a światło dni moich zagasło.

*Odkąd* ukochane widmo zastąpiło mi drogą jej obecność.

*Odkąd* dom, pełen uśmiechu, stał się domem żałoby.

*Odkąd* umilkła dźwięczna melodia życia mego.

*Odkąd* świat dla mnie zamknięty w czterech sążniach ziemi.

*Odkąd* sny i marzenia moje zagasły, jak gdyby wyobrażenia zatraciła moc dawną, przytłoczona ciemnością i milczeniem.

Żołobny ten wianek składa poeta na grobie ukochanej małżonki.

Z końcem roku ukazała się pożyteczna publikacya pod tytułem: „Repertuar biblioteczny głównych przeglądów z roku 1897.“ Opracował ją D. Jordell, wstęp nakreślił Henryk Stein. Dzieło to w formie praktycznej daje spis głównych artykułów i pamiętników, zamieszczonych w stu czterdziestu sześciu przeglądach, jakie w roku ubiegłym pojawiły się we Francyi. Nasamprzód w alfabetycznym porządku wymienione materyały, następnie w takimże porządku nazwiska autorów.

Obok materyału wymieniony autor, tytuł i numer peryodycznego pisma. Przy nazwisku autora dany znów tytuł artykułu i numer przeglądu, gdzie go szukać należy. Pomysł ten, wykonany jasno, ułatwia poszukiwania, tak trudne przy nawale pism peryodycznych.

\*

Hiszpani po utracie Kuby zażądali od Amerykanów zwrócenia zwłok Krzysztofa Kolumba, pogrzebanego w Hawanie. Zwycięzcy zgodzili się na to bez oporu, wyprawiono zwłoki do Europy.

Wielki podróżnik nie miał zaznać spoczynku po śmierci. Zmarły w Valladolid w r. 1507, pogrzebany został w tem mieście. Na żądanie wdowy przeniesiono zwłoki do Sewilli, przechowano je w klasztorze kartuzów, Las Cuevas. Nie długo tam pozostały. Wdowa, stosując się do woli zmarłego, wyrażonej w testamencie, wyprawiła je na wyspę San Domingo—pogrzebała w miejscowej katedrze.

W sto kilkadziesiąt lat potem, trzęsienie ziemi w r. 1673 obróciło w gruzy część katedry, gdzie znajdowało się grobowe sklepienie. Odnaleziono trumnę Kolumba, pomieszczono ją w innem miejscu. W sto lat potem, gdy część wyspy przeszła pod panowanie Francuzów, Hiszpanie przenieśli ją na wyspę Kubę.

Obecnie, kiedy wdzięczny naród Hiszpański sprowadza drogie prochy do kraju, południowa część mieszkańców, oburzona na Stany Zjednoczone za odebranie Kuby, składa na Kolumba winę za odkrycie Ameryki. Kobiety w Sewilli zarzuciły kamieniami pomnik, od dawna wniesiony na cześć żeglarza. Zwłoki mają podobno spocząć obok grobów królewskich w Eskuryalu.

\*

\*

\*

Głośna sztuka Cyrana de Bergerac stała się ważnym objawem w świecie dramatycznym, i "nie mniej ważną wskazówką dla autorów. Miejmy nadzieję, że wywoła pomyślny zwrot w teatrze. Pisarze dramatyczni, przekonawszy się powodzeniem Rostanda, czego dziś pragnie ogół, porzucą zapewne skandaliczne efekta, jakich tak nadużyto w ostatnich czasach.

W końcu grudnia odegrano pięćsetny raz Cyrana, w teatrze Porte St. Martin. Poza obrębem Paryża piękny dramat nie mniej poruszył umysły. Trzysta razy odegrano go po różnych miastach prowincjonalnych. Anglia i Ameryka z równym zapalem przyjęły piękną sztukę.—Impresaryo Mansfield, z upoważnienia autora, przedstawił ją przeszło sto razy w Ameryce. Oprócz tego dwadzieścia towarzystw, rozproszonych po miastach Stanów Zjednoczonych, zbiera oklaski, o czem autor dowiaduje się z gazet.



W księgarniach Paryskich rozeszło się 150,000 egzemplarzy *Cy-rana*, liczba to niepamiętna. Obecnie Rostand pracuje nad dramatem p. t. „Orlik“ (*l'Aiglon*). Sam przedmiot sympatyczny, z życia króla rzymskiego, zapowiada nowy tryumf.

Mówiąc o sztuce dramatycznej, dodajmy to, że młody autor, Henryk Lavedan, przy ostatnich wyborach otrzymał krzesło w Akademii Francuskiej, po zmarłym komedyopisarzu Meillac'u.

SEWERYNA DUCHIŃSKA.

# NA WAGACH BOŻYCH.

Powiewy Boże na dzień twej duszy zasiały

Uczciwej woli i czystych uczuć kwiat biały.

Młodych kiełkujących chęci

Strzegli w niej Anieli święci,

By w wiosnie winnic pańskich dojrzała ta chwila,

Która rodzi owoc z kwieciał!...

Czy chęci, co się z duszy ku światu wychyla,  
Nie zmrożą prądy stulecia?  
Czyjej niewdzięczność ludzka wiary nie wyziębła?  
Świat ma serce motyla, a szpony jastrzębia!

Idą na wagi Boże wysiłki i znoje,  
I chęć służenia Panu, i modlitwa szczerą,...  
Lecz gdy zło miarę przebiera,  
Omdlewa w płonnej walce duch i obumiera...

Pan przed mądrością świata ukrył czasy swoje.

.....

Więc kochajmy niepojęci,  
Przygarniajmy odepchnięci!  
Niech odwiecznej miłości nowe wstają zorze!..  
Jeśli miłość nie przemoże,  
Kwiat opadły dobrych chęci  
Niech na wagi idzie Boże...

Nie ludziom na pożytek, choć Panu na chwałę,  
 Jeden krótki poranek żyły lilie białe!..

Falsz przetrawił życia siły...

Chęci szczere, chęci chyże

Padły z wyżyn na mogiły, —

Padły lilie między krzyże...

Sądy Boże któż ogarnie?

Pan chciał inaczej, niżli ludzie chcieli!..

Ukrył życie w śmierci ziarnie.

Z wag Bożych zwiędłe kwiaty zbierają Anieli!

Może, w ogień kadzielnic rzucone ofiarnie,

Przed Najwyższym Majestatem

W białych i wonnych dymach znów zakwitną kwiatem.

A może w Getsemani, tam w oliwnym gaju

Gdzie zawisa nad Bogiem owa noc złowroga,

Gdy Pan, na widok zbrodni ludzkiego rodzaju,  
 Konał w męczarniach ducha, przeczuciem wybladły,  
 Może wtedy te kwiaty u stóp Jego padły,  
 By przynajmniej raz jeden człowiek cieszył Boga!

Słowo, ich życie i literatura

MICHAŁ RADZIWIŁŁ.

Ludność i jej siła

Wzrost ludności w Europie i w Ameryce. W Europie w ciągu ostatnich czterdziestu lat, ludność wzrosła o około 50%. W Ameryce, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, wzrost ten jest jeszcze bardziej znaczący. Wskazuje to na ogromną siłę rozrodczą człowieka i na potrzebę zastanowienia się nad skutkami tego zjawiska. Wzrost ludności prowadzi do zwiększenia zapotrzebowania na żywność, wodę i inne zasoby naturalne. Wskazuje to również na potrzebę inwestycji w edukację i zdrowie, aby zapewnić przyszłym pokoleniom lepsze warunki życia. Wskazuje to również na potrzebę współpracy międzynarodowej w celu rozwiązania tych problemów globalnych.

---

# Słowacy, ich życie i literatura.

---

## I

### Ludność i jej siedziby.

---

Królestwo węgierskie bez Chorwacy i Siedmiogrodu tworzy nieforemny czworobok, którego linia północna (granica szląska i galicyjska) jest wielokrotnie wykrojona i pozębiona. W tej-to części między Dunajem do Wacowa, linią odtąd przeciągniętą do Miszkowca (Miskolcz), rzeką Cisą i jej dopływem, Ungiem, mieszka przeważnie zwartą masą ludność słowacka w ogólnej liczbie przeszło dwa i pół miliona, posiadając w swoich rękach blisko 7 milionów morgów kwadratowych, to znaczy  $\frac{1}{8}$  część całego królestwa. Z komitatów czyli hrabstw (po słowacku „stolica“), na które Węgry są podzielone, niema prawie ani jednego, gdzie-by przynajmniej kilkudziesięciu Słowaków nie było; uważając ich jednak albo za czasowo osiadłych, albo wędrownych, zwrócimy uwagę tylko na te komitaty, gdzie liczba stałej ludności słowackiej wynosi od 5% i wyżej, w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców.

Otóż komitatami, w których ludność słowacka wynosi 5—25% są: Komorniański, Ostrzychowski, Budapeszteński, Biharski i Czanadzki; 26—50% w komitatach: Abaujskim, Bekeskim, Nowohradzkim, Zemplüńskim i Ungwarskim; 51 — 70% w Preszburzkim, Tekowskim (Bers), Honckim (Hout) i Gemerskim; 71—90% w Nitrzańskim, Spiskim i Szaryskim; 91—100% w Trenczyńskim, Turczańskim, Zwoleńskim, Orawskim i Liptowskim. Ostatnie pięć są tedy czysto słowackie, w 7 mają Słowacy znaczną przewagę liczebną, a w 10 są w mniejszości. Co do liczby tworzą tedy około  $\frac{1}{4}$  ludności całego królestwa węgierskiego <sup>1)</sup>.

Ale i poza granicami tego królestwa żyje znaczna liczba Słowaków. Najznaczniejszy ich poczet żyje na Morawach, w części południowo-wschodniej, w ogólnej liczbie (z roku 1869) 223,374, w Austrii Niższej 15,753, na Bukowinie 2,000, w Sławonii 5,292, w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej około 100,000 <sup>2)</sup>, a liczba ostatnia, przez rosnące wychodźstwo, z każdym rokiem się zwiększa. Jeżeli do tego dodamy, podług Szembery, 33,000 Słowaków w służbie wojskowej — czyli razem tę liczbę, 379,419, dodamy do najpewniejszej liczby Szembery: 2,125,399, otrzymamy wszystkich wogóle Słowaków 2,504,818, co daje tylko liczbę przybliżoną, i to na podstawie obliczeń z roku 1876. Wszakże Słowacy nie należą do rodu madziarskiego, którego liczba, pomimo gwałtownego madziaryzowania z roku na rok, nie wzrasta, ale się zmniejsza.

Zwykle na mapach etnograficznych uważa się, gdzie tylko można, granicę polityczną za granicę etnograficzną. Na podstawie badań Szembery i własnych, północny skrawek komitatu Trenczyńskiego, górna drawę i Spiż północny uważamy za polski, i dla tego oddzieliliśmy go granicą od Słowaków.

Pobieżny rzut oka na kraj, powyższemi granicami objęty, wystarczy zupełnie do jego charakterystyki: jest to kraj górzysty, spiętrzony szczytami do 2,000 metrów dochodzącemi, a wśród tych łańcuchów górskich ciągną się cztery doliny większe, jak dolina Wagu, Niry, Hronu (Gran) i Ilernadu, z mniejszemi nad Ipołą, Rymawą i Słoną.

<sup>1)</sup> Dokładnej statystyki niema; źródła węgierskie tendencyjne są tak niedokładne, że na przykład między publikacją statystycznego biura, a między zestawieniem Leipena, który z niej czerpał, są znaczne różnice. Rzecz to także zadziwiająca, że Szembery w roku 1876 podaje ich liczbę na 2,125,399, a urzędowa statystyka, w czternaście lat później, 1,986, 292!!

<sup>2)</sup> Tak podaje statystyka w dziele: „Narodopisna vystava czesko-slovanska v Praze“ w roku 1895.

„Piękna, przepiękna jest ta węgierska kraina, a szczęśliwy ten człowiek, co się jej synem nazywa. Tam dołem ciecze Dunaj, rzeka poważna, starodawna, omywająca brzegi ziemi swych dzieci, a szumi cicho, jakby głos nocnych duchów... tam zaś, w górze, wysuwają się szczyty wspaniałe, których kończyny sięgają nieba, a zielona ich barwa nadziei oko nęci, duszę pieści i napaja ją uczuciem gorącym, pełnem życia; ...z pomiędzy odłamów wirchów swoich spoglądają dzieci odwiecznych lasów na kraje dunajskie. I ozwą się głosy między górami, lasy zahuczą, zaszumią, ich szum się odbije echem od omszałych skał, od niebotycznych wirchów, szeroko, daleko; rzeki pochwytyją głos ten, łączą się z falistym Wagiem, który pysznie i z hukiem się przewala, wołając do brata Dunaju: nie bój się, nie bój, a nie szum tak smutno, przecież jeszcze żyją chłopcy na górach, którzy w oczy spojrzą poganimowi“<sup>1)</sup>

Ze względu na taką naturę kraju, nie można się dziwić, że znajdujemy w nim wszystko, cokolwiek miłośnik przyrody znaleźć może: od najfantastyczniejszych skał i jaskiń, od ruin starych zamków, od nieprzejrzanых borów świerkowych, do jednostajnych, wysoką pszenicą pokrytych nizin, z sinym pasem gór w dali i majestatycznie a spokojnie przepływającym przez nie strumieniem. Fantazja ludu, karmiona takimi czarami przyrody, rozrosła się niepospolicie, i niema może drugiego narodu, posiadającego takie bogactwo podań, baśni, legend i pieśni, jak Słowacy. Przywiązane do zamków, kościołów, wzgórz, lub samotnie rzuconych kamieni, przechodzą z pokolenia w pokolenie naiwne i barwne, zawierając w sobie skarby poezyi i ślady odległych wieków przeszłości.

Począwszy od najdalszej zachodniej granicy, wzdłuż Małych Karpat i doliny Wagu, napotyka się nie tylko coraz piękniejsze widoki, ale zarazem liczne, a często niesłychanie romantyczne, ruiny zamków. Zaraz przy ujściu Morawy do Dunaju, na wysokiej i fantastycznej skale, sterczą ruiny starożytnego Dzewina (po niem. Theben), siedziby książąt wielkomorawskich, wielokrotnie w utworach Hollego i innych epików wspomnianej. Po jej zdobyciu w roku 903, wpadła w posiadanie Madziarów część państwa morawskiego, leżąca między Wagiem a Morawą.

Na lewym brzegu Wagu, na wschód o Nowego Miasta, na kończynach Małych Tatr, w komitacie Nitrzańskim, widoczne są ruiny dwu zamków, Tematyna i Czachtyc, zwanego także „zamkiem Batorych“

<sup>1)</sup> J. Kalinczak: „Milkov hrob“, str. 7, 8.



Na oba te zamki spogląda okoliczny wieśniak ze zgrozą i strachem, i opowiada chętnie, częściowo na historycznych faktach oparte, podanie. W początku XVII wieku żyła tu Elżbieta Batorówna, słynna z piękności; chcąc piękność swoją utrzymać, radziła się cyganki, a ta jej dwa podała sposoby: za mąż nie iść i kąpać się w krwi niewinnych dziewic. Przez lat kilkanaście, z pomocą tej cyganki i sługi Ficki, przeszło 300—jak mówi podanie—zgubiła dziewic, aż kiedy kolej przyszła na jej wychowanicę, Joannę, i ta prawie cudem modlitwy ocalała, a brat jej, dla jej ocalenia poświęciwszy rygor wojskowy, miał być sądem wojennym na śmierć skazany; wtedy Joanna wyznała komendantowi okropną tajemnicę zamku, który otoczono i strasznych zbrodniarzy ujęto. Elżbieta miała umrzeć w więzieniu, w którym, przywiązana pasem żelaznym do słupa, skazana była na rozmyślanie o potwornych swych zbrodniach. Zamek poszedł w ruinę; piwnice jego, dziś jeszcze dostępne, pokazują zwiedzającym, jako miejsce, gdzie sobie okrutnica „krwawe łaźnie“ urządziła, a do głębokiej studni wrzucała zwłoki nieszczęśliwych ofiar.

Od Beckowa zaczyna się komitat Trenczyński i najwspanialsza dolina Wagu. Odtąd ku Żylinie, a nawet aż do komitatu Turczańskiego, rozrzucone są na skałach i na szczytach gór zamki poważskie w liczbie 14. Oprócz Beckowa i Trenczyna stoją na lewym brzegu: Ilawa, Koszeca, Hryczów, Ljetawa, Streczno, na prawym Sucza, Werszatec, Lednica, Podhradzie, Bytca, Budatyn i Stary brad. Z tego wyliczenia można sobie już utworzyć wyobrażenie o niezwykłej romantyczności tego kraju, spotęgowanej jeszcze osobliwą formacją skał, jak np. pod Sulowem, i szczególnie krętym biegiem bystrego Wagu

Najstarożytniejszy zamek trenczyński, ze sławną wieżą kwadratową, zwaną „rzymską“, ma również swoją historję. W zachodniej stronie, w prostopadłej prawie skale, znajduje się studnia, blisko 150 metrów głęboka, którą mieli wykuć tureccy górnicy. Kiedy zamek ten miał w posiadaniu Stefan Zapolya, myślał nad tem, jakby zamek zaopatrzyć w wodę, aby i długie oblężenie mógł wytrzymać. Myślał o wodociągu z Wagu, ale gdy to wielkie nastęrczało trudności, odstąpił od zamiaru, tembardziej, że go potrzeba kraju powołała na pole walki z Turkami. Oprócz licznych łupów z obozu sułtana Achmeta, zabrał Stefan wielu niewolników, a między nimi córkę jego, Fatymę, narzeczoną Selimara, syna potężnego chana Tatarów. Na wieść o klęsce, niepewnością dręczony, udaje się Selimar na Węgry, dowiadyuje się o losie Fatymy, aż ją w Trenczynie znajduje. Ale Zapolya okupu przyjąć nie chce — jeden tylko warunek spełniony może powrócić Fatymę narzeczonemu: niechaj każe wykopać studnię, która-by zamek w wodę

zaopatrywać mogła. Selimar wielkim kosztem sprowadził górników; przyobiecał im wielkie nagrody, i polecił kuć w skale dopóty, dopóki źródło obfite nie tryśnie. Trzy lata trwała praca. Selimar już tracił nadzieję wyswobodzenia ukochanej, która tymczasem na zdrowiu zapadać poczęła, gdy wreszcie pokazała się woda w studni, za którą Zapolya nie tylko Fatymę, ale wszystkich branców i łupy Turkom zwrócił. Studnię nazywają stąd „studnią miłości“. Dziś znikły obronne baszty i wspaniałe kopuły, ale nienaruszone stoją szańce, i cała studnia budzi podziw wytrwałej pracy.

Na tym zamku panował, jako udzielny książę słowacki, Matusz Czak w wieku XIV, zwany Matuszem Trenczyńskim; marzył on o samodzielnosci Słowaczyny, ale tego dokazać nie mógł.

Na lewym brzegu Wagu, na zachód od Żyliny, sterczące na skale ruiny zamku Hryczowa, pod miasteczkiem Bicz, mają osobliwą przed bramą skałę, którą lud „kamiennym mnichem“ zowie, łącząc z tą nazwą romantyczne opowiadanie o młodym Tunzonie, panu na Ljetawie, którego właścicielka Hryczewa, Laharowa, adoptowała, on zaś nie mogąc się doczekać jej śmierci, uwięził ją w podziemiach, podając, że ma pomieszanie zmysłów. Strzegąc jej ciągle dniem i nocą, zaniepokojony został raz natarczywością mnicha, który żądał noclegu w zamku. Odprawił go Turzo szorstko, a potem sługom odpędzić kazał. Wtedy mnich zagroził nielitościwemu panu, że wyda jego nieludzkie obchodzenie się ze swoją dobrodziejką. Turzo wysłał sługi, aby zuchwałego mnicha ukarali, ale przed bramą znaleziono kamień w postaci mnicha. Pomimo wielokrotnego rozbijania skały, zawsze na drugi dzień „mnich kamienny“ stał na swoim miejscu. Chciał wtedy Turzo uwolnić Laharową, ale ją w więzieniu znaleziono bez życia. Wtedy Turzo opuścił zamek, który opustoszał i wkrótce w gruzy się zamienił.

Od Żyliny ku wschodowi i południu niezwykły roztacza się widok; tam piętrzą się pozębioną ścianą Tatry, z pod których wypływa srebrna wstęga Wagu, wijąc się doliną ku Żylinie; tu błyszczą w słońcu potężne ruiny zamku Ljetawy, jednego z największych po trenczyńskim. Jakkolwiek od północy dolina Kisucy nie przedstawia nic ciekawego, leży u ujścia tej rzeki do Wagu pamiętny zamek Budatyn, ze starożytną okrągłą basztą, a miejsce budzi wspomnienie zwycięstwa ochotników słowackich w roku 1849.

Przy końcu tej doliny, niedaleko Streczna, naprzeciw miasteczka Warny, na prawym brzegu Wagu, leży niewysoki, okrągły pagórek, zwany Milkowym grobem. Według podania, ma pod nim leżeć Milko, syn słynnego Pankraca ze „Starego hradu“, i Marynka, córka burmi-

strza z Żyliny. Milek był stronnikiem króla Macieja Korwina, przeciw któremu ojciec jego wojował. Ze swą Marynką był już zaręczony, gdy się dowiedział, że affekty swe zwrócił ku niej pan Włodzimierz ze Streczna, stojący również w rzędzie wrogów króla Macieja. Aby go zyskać dla króla, postanowił Milko zrzec się ręki Marynki dla Włodzimierza, poświęcając ją i siebie na ołtarzu publicznej sprawy. Ale Marynka o Milku zapomnieć nie mogła, co tak rozdrażniło Włodzimierza, że postawił u przeprawy przez Wag zasadzkę, w której ręce wpadł w nocy Milko i zginął. Włodzimierz zniewolił Marynkę, żeby przybyła nocą do przeprawy u Wagu; kiedy nadjechała na koniu, przebrana za giermka, Włodzimierz, nie poznawszy jej, a bojąc się pościgu za sobą, uderzył w nią mieczem i rozplatał jej głowę. Poznał swój błąd, ale zapóźno — piorunem rażony padł zdrajca na tem samym miejscu.

Janko Kalinczak (o którym na swoim miejscu będzie mowa), wziął ten fakt za przedmiot powieści pod tytułem: „Milków grób“, i kończy podług podania ludowego w ten sposób:

„Gdy o północy człowiek czulej duszy i czystego serca kroczy obok tego grobu, ujrzy na nim młodzieńca płaczącego, rozglądającego się wkoło załzawionem okiem, z rękoma do góry wzniesionemi. Nad nim w górze unosi się w powietrzu blada, płacząca dziewczica, której czarne pierścienie włosów spadają na ramiona, wielkie, czarne oczy lzy wylewają, a ręce wyciągnięte są ku płaczącemu młodzieńcowi. Między nich oboje wstępuje starzec z płonącemi oczyma, z siwą głową; dziewczicę od młodzieńca prawą, młodzieńca od dziewczicy lewą odpycha ręką, wołając: „nie złączyliście się za życia, nie spotkacie się i po śmierci, boś ty wypila trzy krople krwi z jego krwią broczącego serca“.

Każdy prawie zamek ma swoje podanie, ale żaden nie obfituje w tak romantyczne legendy, jak Streczno i Stary Hrad (Ó-var), leżące w niedalekiem od siebie sąsiedztwie, na stromych skałach nad Wagiem, na granicy komitatu Trenczyńskiego i Turczańskiego. Położenie dwu strażnic ciasnego przejścia i niebezpiecznej na Wagu przeprawy musiało dawać wyobraźni ludu niepopolitą podniechę i obfity do powieści materiał. Szczególnie stroma skała, zwana „bieszową“, z gwałtowną pod nią głębią, a zaraz poniżej trzy skały, sterczące w środku rzeki tak, że tylko między dwiema jest niebezpieczny przejazd, tworzą oś podań, tysiącami wariantami upstrzonych.

Poeta Botto obrazowo maluje przeprawę niebezpieczną temi słowy:

Ej, pędzi pełń z biegiem Wagu, na pełci wesoło —  
 Jak wtedy, gdy na niej było to słowieńskie czoło.  
 Płynię, płynię jakby gąska, z Turca do Trenczyna:  
 Baczność, chłopcy! bo tu już jest streczniańska dolina!  
 Zmilkły pieśni. Sternik rzecze: Patrzcie! te trzy skały,  
 Jak w poprzek bystrego Wagu drogę zepsowały.  
 To Margita, a tam za nią „biesowa“ się bieli,  
 Oto jak Wag cały chłonie do swojej gardzieli.  
 Nie bójcie się! Jam już nieraz tu stąd wyszedł zdrowy  
 Z Bożą wolą — ale teraz, chłopcy, czapki z głowy!  
 I wszystko się krzyżem żegna, i modli w pokorze —  
 Przejdzie Słowak i przez piekło, przejdzie w imię Boże!

(Śpiewy Jana Botto).

Mieszkała niegdyś na zamku streczniańskim młoda wdowa z Margitą, pasierbicą, i zwróciła uwagę na przystojnego chłopaka ze wsi pobliskiej. Ale ten był nieczuły na wzdychania wdowy, bo serce oddał jej pasierbicy, Margicie. Kiedy to wdowa spostrzegła, postanowiła rywalkę zgubić. W sąsiednim zupaństwie, Turcu, żyli krewni sieroty; do nich wysłała ją macocha! Gdy nieszczęśliwa przechodziła drogą skalną nad Wagiem, przybiegła macocha z zasadzki i zepchnęła Margitę w bezdenną otchłań. Daremnie jednak i po tym wypadku starała się wdowa o pozyskanie względów młodzieńca. Tymczasem fale wyrzuciły na brzeg ciało utopionej, a pogłoska przypisała nieszczęście nie wypadkowi, ale zemście wdowy. Na tej podstawie miano ją już uwięzić, gdy ona sama, wołając rozpaczliwie imię Margity, w szalonym pędzie pobiegła pod skałę i rzuciła się w to samo miejsce w wodę.

Już w roku 1420 było Streczno dane podskarbiemu Dersffiemu w lenno przez króla Zygmunta; brało czynny udział w wojnach lat następnych, aż się dostało w XVII wieku w ręce Franciszka Weszelenyego, ożenionego z Zofią Bośniakówną. Opowiadają, że przywiązana gorąco do swego męża, tęskniła wielce, kiedy go powinność rycerska odrywała od jej boku. Z wieży zamku spoglądała na okolicę, śledząc ruchy na drodze, czy oczekiwany nie wraca, albo modląc się do Matki Bożej, do której szczególne miała nabożeństwo. Na złamku skały nad Wagiem stała mała kapliczka z obrazem Maryi; tam-to chodziła Zofia i szukała ulgi w modlitwie. Wiele już miesięcy upłynęło od czasu

powrotu męża, ale Zofię iuna przygniatała troska: dziwne usposobienie, zły humor, zgryźliwość, a nawet niechęć męża ku niej, smutkiem przejmowały jej duszę. Darmo starała się odgadnąć przyczynę tej zmiany, szukając winy w sobie, a nie czując się winną. Wnet mąż znowu wyjechał. Tymczasem raz w nocy przybył posłaniec od jej siostry i przyniósł jej pismo, w którym była straszna wieść o niewierności męża, odwróceniu się jego serca ku innej, a nawet o zamiarze powrotu do dawnej wiary, aby zerwać z Zofią. Nieszczęśliwa zemdlała, przeczytawszy te wyrazy. Kiedy się ocknęła, oddała się tylko uczynkom miłosiernym i modlitwie. Podczas jednej nocy miała sen, że Matka Boża się jej objawiła; otworzywszy oczy, prawie dostrzegła ginącą jasność. Zerwawszy się z łoża w ciemną noc, boso pośpieszyła do ulubionej kapliczki i tam na modlitwie zastał ją budzący się świt. Za ledwo powróciła do zamku, usłyszała na moście zwodzonym tentem koni; małżonek powrócił – dawny, kochający i wierny. Corocznie odtąd w dzień powrotu męża szła Zofia boso do kapliczki Matki Bożej, i gorącą modlitwą dziękowała jej za wrócone szczęście. Zmarła w roku 1644; w lat kilkadziesiąt potem znaleziono jej ciało nie zepsute, ale zeschnięte, i złożono je w kaplicy kościoła parafialnego w Ciepliczce przy Żylinie. Na żądanie otwiera kościelny trumnę, w której spoczywają zwłoki w czarnej sukni, co kilka lat odnawianej. Lud czci Zofię jak świętą.

Przez Wrutki (Ruttka) dostaje się wędrowiec w dolinę turczańską, podwójnie interesującą, nazwaną przez Kollára „ogródkiem Słowaczyny“. Dolina ta, otoczona z trzech stron wysokimi, skalnymi górami, z których zwłaszcza Fatry na północy majestatycznie przedstawiają widok, kiedy wczesną wiosną, lub późną jesienią pokrywa je lśniąco biały śnieg u szczytów, dołem ciągną się zbocza i rudawo-sine upłazy, a między tem przebiegają pasma ciemno-zielonych świerków i kosodrzewiny. Nierównie większy interes przedstawia ta dolina z tego względu, że w niej o milę od Wrutek ku południu leży miasto. Turczański św. Marcin (po madziarsku: „Turócz St. Márton“ zwane), stolica komitatu i duchowa stolica całej Słowaczyny.

Podług podania, cała dolina Turczańska (nad rzeką Turce, wpadającą do Wagu pod Wrutkami), była niegdyś jeziorem.

Poeta Botto śpiewa:

Vraj, ked' bol <sup>1)</sup> Turiec jazerom <sup>2)</sup>  
za czasov kniaz - Turana,

<sup>1)</sup> Był.

<sup>2)</sup> Jeziorem.

v jazere pekuom, okruhlom  
bywała Biela panna.

Kniaź Turan postanowił tę pannę w sieć uchwycić, aby nie „ma-  
miła młodych dzieci“ niepospolitą pięknnością. Zasadził się wieczorem,  
i wpadłszy w jezioro, schwycił sam siebie. Zgniewany, zaprzął do  
pracy stu olbrzymów, którzy brzegi jeziora ku Wagowi przekopali  
(stąd dziś wieś Przekopy), i jezioro spłynęło. Biela panna zemściła się  
na Turanie, śmierć na niego zesławszy, a ona zawsze woła: „Turan!  
Turan!“ Poeta tym głosem wodnej syreny tłumaczy sobie, dlaczego co-  
rocznie tyle ludzi do Turca się garnie:

Tak od neczasu, hladteže,  
hybu sa zas národy,  
vsetko to tiahne do Turca,  
jako na dake hody.  
A na co, po co ta Slovacz  
tů pút' sem co rok koná?  
už či veríte, lebo nie:  
tu raz musí byt' — Ona! <sup>1)</sup>.

Wschodnia ściana doliny, przystrojona jest przepysznyemi łąkami,  
z pomiędzy których wyglądają ruiny dwu zamków: Sklabiny i Błatni-  
cy. W południowej części leży miasteczko Moszowce, miejsce urodze-  
nia Jana Kollara, dalej zaś miejsce kąpielowe, Sztubnia, posiadające  
źródła, podobne do Cieplic trenczyńskich. Na zachód od Sztuburna,  
granicy komitatu Nitrzańskiego, leżą ruiny Zuiowa, wspaniałego zam-  
ku, a u stóp jego miasteczko, zwane „Klasztorem pod Zuiowem“. Miejsce to ma wspomnienie smutne w pamięci Słowaków: tu posiadali  
katolickie narodowe gimnazyum, które im rząd madziarski bez przy-  
czyny zamknął. Sama stolica komitatu — to miasteczko niewielkie, ale  
schłodne i przemysłowe, ludność jego wynosi niespełna 3,000 mieszkań-

---

<sup>1)</sup> Tak od niepamiętnych czasów — patrzajcież — garną się zaś narody,  
wszystko ciągnie do Turca, jakby na jakie gody. A na co, po co ta Słowaczy-  
zna tę podróż co rok wykonywa? Już czy wierzyć, czy nie, tu z pewnością  
musi być — Ona!

ców, przeważnie rękodzielników. Ma dwa kościoły: katolicki stary, i nowszy ewangelicki. Na cmentarzu św.-marcińskim spoczywają między innymi zwłoki zasłużonych pisarzy słowackich: Jana Kalinczaka, Wilhelma Pauliny Totha, Ferjenczyka, Kadawego i in.

Obok wspomnianych powyżej Przekopów, niedaleko Wrutek, leży mała osada Kosutowo, gniazdo rodzinne Kossuthów, wslawionych patriotów madziarskich.

Kiedy się widzi od Wrutek przed sobą krzywizną drogi żelaznej, a tuż prawie obok płynący Wag od północnego wschodu z pod gór wysokich i skalistych, niepodobna sobie wyobrazić, gdzie tam może być taka dolina, aby się w niej pomieścić mogło i koryto tej rzeki, i tor kolejowy, i główna szossa. A jednak mieści się to, i ze zdumieniem, przejechawszy mały tunel za Sutowem, widzi się wązką, krętą dolinę, wśród spiętrzonych gór napół nagich. Ten charakter doliny jest jej właściwy na całej odtąd przestrzeni, aż do Rużombarku. szczególnie się zaś uwidatnia pod wsią Kralową, gdzie rzeka Orawa uchodzi do Wagu. Pod stromą skałą, nad szumiącą rzeką, wije się szossa, prowadząca w głąb komitatu Orawskiego, dobrze utrzymana, przeważnie podmurowana, bo w wielu miejscach fale rzeki uderzają o bok drogi. Dziko-romantyczna okolica ciągnie się nad Orawą 70 klm., aż do wsi Parnicy; w dalszej części doliny leży pod wspaniałym Choczem (1613 m.), stolica komitatu Orawskiego, Dolny Kubin, a 10 klm. dalej, w górnej dolinie orawskiej, słynny zamek orawski (Arva-Var). Jest to nie tylko jeden z najstarszych w tej krainie zamków, ale zarazem tak wspaniała położeniem budowa, jakiej drugiej trudno znaleźć. Zwłaszcza przybywającemu od północnego-wschodu z górnej Orawy przedstawia się zamek jakby cud natury: widzi przed sobą prostopadłe z rzeki wznoszącą się skałę, wysokości 111 m., z jednej strony częściowo zielenią pokrytą, z drugiej zupełnie nagą, a tak wązką, że tylko mała baszta z dachem drewnianym na jej szczycie dała się pomieścić. Z boku i poza tą skałą widać wprawdzie wieże i dachy, ale się nie ma pojęcia, w jakim one z tą skalną maczugą mogą pozostawać związku. Dopiero gdy się szosą, od strony zachodniej okrążającą zamek, dostanie w stronę przeciwną, to jest południowo-zachodnią, widzi się całą tę trzechpiętrową budowę z niezwykłą zręcznością i wyzyskaniem terrenu wzniesioną. Przez trzy bramy i trzy podwórze przeszedłszy, dochodzi się do właściwego podwórze zamkowego, mającego nad kazamatami wspaniały taras, z niezwykłym na okolicę widokiem. Na tem podwórze znajduje się również studnia, 91 m. głęboko, w skale wykuta; podług podania, sięga ona powierzchni rzeki Orawy, i podczas oblężenia służyła za jedyną komunikację, przez którą z zamku, za pomocą

kaczek, wydostawały się korespondencye po-za jego obręb. W tej części zamku znajduje się archiwum, biblioteka i muzeum, zawierające wszelką faunę, florę i płody hrabstwa orawskiego. Kaplica zamkowa, a raczej mały kościół, z wysmukłą, lecz niewysoką wieżyczką, zawiera groby i nagrobki starych tego zamku panów Thurzonów; ich portrety i portrety późniejszych i dzisiejszych posiadaczy, hr. Zichych, znajdują się w dobrze utrzymanych komnatach, z których jednak nie wszystkie jeszcze odnowiono. Do najwyższej części zamku, składającej się z dwu baszt okrągłych, połączonych równoległymi ścianami, prowadzą niezbyt wygodne, kryte schody drewniane; trud wydostania się okupi niezawodnie przepyszny widok, jaki się zarówno w stronę północną, jak i z balkonu w stronę południową rozpościera. Budynki, położone u stóp zamku, należą do administracyi hrabstwa, i tworzą razem tak zwany „Podzamek“ (Váralja).

Od Kralowy posuwając się ku wschodowi, mijamy uroczą Lubochnę, jedną z najpiękniejszych miejscowości w tej okolicy, stosowną na pobyt letni, i śpieszymy doliną zawsze wązką ku Rużombarkowi, obecnie drugiemu ognisku literackiego życia Słowaków.

Wiele miast, zaiste, pozazdrościć-by mogło romantycznego położenia Rużombarkowi. W niewielkiej, bo zaledwo parokilometrowej odległości, wznoszą się z trzech stron góry lesiste, szczytem przeszło 1,100 m. sięgające, od wschodu tylko rozciąga się dolina liptowska ze srebrzystym Wagiem, podpływającym majestatycznie pod samo miasto, i rozdzielającym zachodnie gór pasmo. Samo miasto, chociaż prawdopodobnie przez niemieckich osadników założone (Rosenberg), jest nawskroś słowackie; ma oprócz kościoła farnego klasztor Pijarów, gimnazjum (naturalnie madziarskie), drukarnię i księgarnię narodową K. Salvy i t. p.

Na północ od Rużombarku, w odległości 3 klm., leżą ruiny starożytnego grodu Likawy, na południe zaś, w bardzo uroczej górzystej i lesistej okolicy, dwa miejsca kąpielowe: Żelezno i Korytnica.

Od Rużombarku widok się zmienia; góry się oddalają, a chociaż na północnym wschodzie coraz wyraźniej poczynają się rysować śnieżyste Tatr turnie, blizkie widoki nie przedstawiają nic malowniczego, chociaż piosnka ludowa mówi:

W tym naszym Liptowie, w tej pięknej dolinie,  
Kwitną krasne kwiatki w słowackiej rodzinie,



Sama stolica Liptowskiego komitatu, „Św. Mikulasz“, jest miastem fabrycznym i przemysłowym. Za to okolica dalsza mieści cuda przyrody, które tylko tu spotkać można; że wymienimy tylko jaskinie demanowskie, stalaktytowe i lodowe, następnie okolicę „Św. Jana“ ze źródłami szczawowymi i siarkowymi, ze starym, na wapiennym pagórku wzniesionym kościołem, w którego lochach podziemnych ciała zmarłych przodków rodziny Szt. Ivanych, zachowane od zepsucia, spoczywają.

Już około Św. Jana, Potorni i Hradku, zwężona znacznie dolina staje się wkrótce bardzo wązka; wkrótce Wag rozdziela się na Czarny i Biały, góry maleją, lasami świerkowymi wjeżdża się na znaczną wyżynę (bo do 900 m. wyniosłą), która jest zarazem działem wód Wagu z Popradu. Wyżyna bezleśna odsłania wspaniały widok na blizkie pasmo Tatr, a widok ten potężnieje, w miarę zbliżania się do miasteczka Popradu.

Wspaniałemu widokowi daje poeta wyraz:

Zgarbiony olbrzym, dziad nad dziady,  
 Patrzy z wysoka Krywań stary  
 Na pełne śliw, orzechów sady,  
 Na pełne buków góry, jary,  
 Na Starhrad, Strecno i Orawę,  
 Na Trenczyn, Podhrad i Lietawę...

Patrzy na druhów ponad Wagą,  
 Co sterczą w szczybach długim sznurem...  
 Co skroń z granitu łąsą, nagą,  
 Opięli w szyszak zamków murem;  
 Patrzy na ród ten mu pokrewny,  
 Co strzeże wstęgi swej królewny.

(Stefan z Opatówka).

Jeśli my widzimy w Tatrach tylko cuda przyrody, Słowak widzi w nich swą przeszłość i przyszłość. W „Dumie na Tatrach“ woła Piotr Kellner, piszący pod pseudonimem Zaboja Hostińskiego:

Czim ste v praviokach boly Tatry nasze?

Koliskou narodom.

Czim budu svetu svatie hradby <sup>1)</sup> vasze?

Myšlienok <sup>2)</sup> vychodom.

Kdo vaszich duchvó tajemstvó vyveszti?

Zrodeny syn Tatier.

A kdo zrozumie slová tych poveszti?

Vybrany bohatier.

Co vasze vichry, blesky <sup>3)</sup>, vody, szумы?

Chóry, pesni ludu.

Czi vasze tužby <sup>4)</sup> ostanu len <sup>5)</sup> dumy? <sup>6)</sup>

Hlasom <sup>7)</sup> žítia budú!

Częściowo od południa, a przeważnie od wschodu, przypiera do Tatr Spiż, czyli komitat Spiski.

Interesujący to dla nas zabytek, ze względu i na historyczne wspomnienia, i na etnograficzną różnorodność, bo w nim schodzą się granice trzech szczepów słowiańskich: polskiego, ruskiego i słowackiego, miasta zaś po większej części zamieszkują osadnicy niemieccy. Malowniczość krajobrazów, począwszy od alpejskiej przyrody w Szmeksie, do równin około Popradu i Wielkiej (Felka), jest różnaita. Od Kežmarku i Białej Spiskiej, z biegiem Popradu, malowniczość ta niknie odnawiając się dopiero około Lubowli, nad granicami Galicyi.

W kierunku południowym od Popradu, w tak zwanych Niższych Tatrach, powyżej Dobrzyny, znajduje się słynna jaskinia lodowa, cewycieczek gości z Popradu i Szmeksu, a często i dalszych krajów europejskich.

Spiż, ze względu na alpejski klimat i wysokie położenie, jest jakby krajem klimatycznym i kąpielowym; co krok bowiem znajdujemy

<sup>1)</sup> Twierdze, fortece.

<sup>2)</sup> Myśli.

<sup>3)</sup> Błyskawice.

<sup>4)</sup> Skargi.

<sup>5)</sup> Tylko.

<sup>6)</sup> Wzajemnie.

<sup>7)</sup> Głosem.

tu rozliczne mineralne źródła, przynoszące chorym nie tylko ukojenie, ale i uzdrowienie. Kąpiele siarczane w Lubicy (Leibnitz) pod Kežmarkiem i w Śmierdionce (Kronenberg), szczawy sławkowskie (Schlagendorf), družbarskie (Ruschbach) i słotwińskie (Szlatvine) — kąpiele żelazne w Lubowli — to tylko najważniejsze i głośniejsze, obok wielu miejsc klimatycznych, lub ulubionych, jako mieszkanie letnie dla szukających wypoczynku mieszkańców miast.

Zamek Lubowlański jest w posiadaniu hr. Zamoyskich. Ten sam mniej więcej charakter gór średniej wysokości, pokrytych gęstymi lasami, ma dolina Hernadu, Toryski (Torna) i dalszych dopływów Cisy.

Jadącemu w górę doliną Wagu i Popradu, zwykle do tego stopnia Tatry imponują, że zupełnie zapomina spojrzeć na łańcuch gór niższych, ciągnących się urozmaiconym pasmem równoległe do Tatr, na tak zwane Małe Tatry; co więcej, zdaje mu się, że tam już świata nie ma, a przedewszystkiem niema nic godnego widzenia. Tymczasem przewodnicy, nawet w rodzaju Baedekerów, pouczają wyraźnie, że z Poprad - Felki przepiękną można odbyć wycieczkę gościńcem bitym w stronę południową, choćby tylko do sławnej lodowej jaskini w Doboszynie. Którąkolwiek zresztą drogą przedostać się przez ten łańcuch gór, zawsze odsłoni się świat nowy, urozmaicony olbrzymiemi plamami ciemnej zieleni borów i wystających z nich wspaniałych wirchów. Jest to teren węgierskich gór kruszcowych od Koszyc, aż po Krzemnicę i Szczawnicę bańską, licznymi pokryty szychkami, z których wydobywają tu najrozliczniejszo metale, od ołowiu i żelaza do srebra, a nawet i złota. Ponieważ po madziarsku kopalnia = banya, stąd to co druga, trzecia miejscowość ma w drugiej części swego imienia ten wyraz, lub po słowacku przymiotnik „bański“, jako świadectwo przeznaczenia, dla którego ta osada powstała.

Rzędem, jakby straż północna, stoją tu wspaniałe szczyty Kralowa Hoha, Wielka Wapienica, Czertowica, a za nimi wspaniałe Djumbir (2,045 m.), poniżej ku południu: Stolica, Rewneka Hoha, Murań wielogrzbietny, Wieprz i Polana, opiewane przez Sładkowicza w „Dętwanie“ taką zwrotką:

Kto ste videli, slovenski bratia,  
Tej zbojuńskej Polany sztit'  
Skaliska, czo sa v oblakoch tratia,  
Jakby nebo chcely schytit'.

Okolo bralisk bujne trawniczky,  
 A hadie prte, oviec chodniczky,  
 A vyhlad carovnej hory:  
 Pod nou sto dolin, sto dedin leži,  
 Jakby kralovna z vysokej vāzi  
 Prezerala svoje dvory <sup>2)</sup>).

Szczególnie piękna jest dolina rzeki Hronu (Pohronie), począwszy od Telgartu; romantyczność okolicy stopniuje się około Brzezowej i rośnie ku Bańskiej Bystrzycy i Zwoleniu. I tu nie brak ruin starych zamczysk, jak na Muraniu, opiewanym przez Samuela Chałupkę, pod Lupczą słowacką, pod Zwoleniem, zwany „Pustym hradem“, Sasów (Sachsenstein) i inne. Przy końcu doliny, nad rzeką Slatiną, wpadającą do Hronu pod Zwoleniem, rozłożyła się u stóp Wielkiej Polany olbrzymia i jedyna w swoim rodzaju wieś, Detwa, licząca przeszło 10,000 mieszkańców, tworzących nader ciekawy typ etnograficzny strojem i obyczajami.

Z pomiędzy innych właściwości podnieść należy niezwykłą w Zwoleniskiem obfitość źródeł mineralnych, zwłaszcza kwaśnych, tak, że szczyawy alkaliczne służą tam za napój codzienny, bo ich domowa studnia dostarcza. Najgłośniejsze kąpiele są w Sliaczu, leżącym 3 klm. na północ od Zwolenia.

Chłubić się też mogą komitaty Gemerski i Zwoleniski, że wydały wielu mężów zasłużonych około sprawy narodowej, lub literatury. Z Gemeru pochodzi Stefan Marek Daxner, J. Francisci, Jan Botto, Paweł Dobrzyński, Gustaw Renos, Kellner-Hostiński, Ludwik Kubani, a przedewszystkiem słynny pisarz czeski, Paweł Szafarzyk; ze Zwolenia Samuel Chałupka, Daniel Lichard, Andrzej Śladkowiec, Ludwik Żello, Aug. Kreczmery i wielu innych.

---

<sup>1)</sup> Kto z was, słowiańscy bracia, widział szczyt tej zbójnickiej Polany? Te skaliska, co w obłokach giną, jakoby niebo chciały pochwyścić. Około skał bujne trawniczki, a tu i owdzie ścieżki, chodniki owcze, i widok wspaniałej góry; pod nią sto dolin, sto wsi leży, jakby królowa z wysokiej wieży dwór swój przeglądała.

Przechodzimy do komitatu Tekawskiego. Najbogatsze kopalnie znajdują się na zachód od Zwolenia: w Krzemnicy złote, na południe w Szczawnicy głównie srebrne. Okolica Krzemnicy zostaje długo we wspomnieniu podróżnika przez nadzwyczajne krzywizny i wzniesienia, po jakich droga żelazna tu wiedzie; okolica Szczawnicy sławna siedmiu górami, które to miasto otaczają, a między nimi najwyższa — Sitno.

Stiavnica! Sitna pekného dcéra  
 K Sitnu svojmu sa prirovnaj!  
 Obraz jeho maj aj tvoja viera  
 Mohutnosť jeho aj ty maj!  
 Nazvratnosť sily vidisz v tych bralách,  
 Vysost' slávy v tej vyszine,  
 Prisnosť v oblacznych jeho povalách:  
 Sitnom tvojej bud' rodine! <sup>2)</sup>.

W górze Sytnie mają spać zakłęci rycerze, podług innych miał tam żyć smok ogromny, ale go już działem zabito. Z góry tej roztacza się prześliczny na całą okolicę widok, na dalekie ku północy Małe Tatry i drobne, ku południu falisto spadające, wzgórza. Pod Sytnem od południa leży wieś Prenczów, w której mieszka niezmiernie zasłużony patriota i uczone przyrodnik, ks. Andrzej Kmet', prezes obecnie istniejącego Towarzystwa Muzealnego w Turcz. św. Marcynie.

Przebiegliśmy, jakby pośpiesznym pociągiem, najciekawsze okolice Słowaczyny, o których mówi poeta, Stefan z Opatówka:

Tak kraj Słowaków dziwi cudnie!  
 Kraj głośnych gór a cichych ludzi!

---

<sup>1)</sup> Szczawnico, córo pięknego Sytna, upodobnij się do swego Sytna. Niech obrazem jego będzie twoja wiara, a ty miej jego potęgę. W tych skałach widzisz niezłomność siły, wysokość sławy w tej wyżynie, powagę w jego niebotycznych wyniosłościach — Sytnem bądź swojej rodzinie!

Kto z Tatr się spuści na południe,  
Taka go swojska woń obudzi,  
Tak nic mu cudze, ni on komu,  
Jak w ukochanej siostry domu.

Przypatrzmyż się teraz ludziom.

ROMAN ZAWILIŃSKI.

---

# Pogadanka artystyczna.

---

*JULIUSZ KOSSAK.*

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE).

---

Pewnego razu krakowscy malarze urządzili sobie zabawę. Przetrasnęli wszystkie kąty malarskich pracowni, wydobyli z kurzu stare misiurki, pancerze i kopie hussarskie, tatarskie handziary, stare rusznice, ogromne koncerze i krzywe damascenki. Łatano, szyto, sztukowano, jak kto mógł i umiał, to żółte buty rajtarskie o rozłożystych cholewach, to kołpaki futrzane, to czapraki. Szukania i bieżanie było co niemiara. A uporawszy się z tem wszystkim, wystarawszy się, gdzie kto mógł, o konie wierzchowe, w dniu oznaczonym huczno i buńczuczno, przedzierzgnięci w Tatarów, Zaporozców, Lisowczyków itd. itd., wyruszyli na zamiejską wycieczkę. Nie była to zwykła konwencyonalna maskarada, jaką zdarza się widzieć co rok po wielkich miastach podczas karnawału, gdzie tłum nudzących się ludzi obnosi po zamkniętej sali stopy różnorodnych kostiumów, obmyślonych przez krawców i modniarki.

Ta zabawa malarzy nie miała nic wspólnego z wielkomięską maskaradą.

„...Aby cenić litewskie pieśni i potrawy,  
Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy“,

mówi Mickiewicz jak najsluszniej, zaś aby pojąć urok takiej zabawy trzeba artystą być przynajmniej z duszy, trzeba w to włożyć całą swą żądzę pełni życia, cały ów cygański instykt swobody, ów niepodrobiony temperament i werwę, aby się przejąć, być aktorem i widzem zarazem, a w końcu, trzeba się wczuć i wżyć w te czasy, do których nas kostium przenosi.

Bawiono się „kannibalsko“.

Więc zajeżdżali jedni drugich tatarską modą w półksiężyc, a niejeden tam guza oberwał i nie jeden z konia się zwałił; więc zapadali w zarośla i tropili po śladach, jak to w owe czasy bywało. To znów wypuszczali konie w cwał i tak z szumem a fantazyą wielką szli jedni na drugich do ataku, a i na harc, w pojedynkę, którzy śmielsi a wprawniejsi, przeciw sobie godzili.

A kiedy się już znużyli i nabawili do syta, rozłożyli się obozem. Rozpalono ogniska, zaczęły znosić poczęto, a wtem strażę znać dały, że pan hetman przybywa. Jakoż istotnie, w kłębach kurzu nadjeżdżała pozłocista kolasa, zaprzężona w taranty, po bokach cwałowali pocztowi, a z tyłu stali dwaj hajducy, zawieszeni rękoma u targańców.

Rozległy się krzyki powitalne i wrzawa, palono z pistoletów, — „Vivat, Jaśnie Wielmożny hetman!“ — wołano.

A z kolasy wysiadł wspaniały i piękny starzec, prawdziwy hetman z miny i czupryny, w bogatej delii, w rysim kołpaku z czapłą kitą, z kosztowną karabelą u boku i buławą w rękę.

Hetmanem tym był Juliusz Kossak.



Nic lepiej, jak ta chwila, wyrwana z pamiętnika życia koleżeń-  
skiego, nie wyraża stanowiska, jakie zajmował Kossak w sto-  
sunku do młodszego pokolenia artystów, których nietylko za-  
wsze i wszędzie darzył przyjacielską radą i pomocą, lecz,  
w których, co większa, obudzał przez ciąg całej swej działalności  
zapal i miłość do sztuki, którym przed oczyma nowe otworzył hory-  
zonty.

Wszyscy pamiętamy z lat dziecińczych te żywe wzruszenia, za-  
pał i jakieś nowe a silne uczucia, które w nas budziły niezliczone illu-  
stracye Kossaka, umieszczane w „Kłosach“ lub „Tygodniku“.

Obok klasycznych, na zimno komponowanych obrazów z'historyi,  
Pillotiego, obok filozoficznych kartonów Kaulbacha, wobec których po-  
zostawało się chłodnym, rwały się żywe, ogniste konie Kossaka, fur-  
kały chorągiewki, uśmiechały się tęgie, wesołe, znajome nam twarze,  
na tle znajomego krajobrazu.

Przez Kossaka nauczyliśmy się pojmować otaczającą nas naturę  
i kochać ją. On nas wychowywał pod względem artystycznym, nie-  
tylko nas, malarzy, lecz całe jedno pokolenie.

Był to talent o jakiejś bajecznej, homerycznej sile twórczej, któ-  
ry tworzył tak łatwo i tak szczerze, jak naprzykład śpiewa słowik le-  
śny, i miał to szczęście, że jak słowik leśny, wszystkich porwać umiał.

Był też jednym z tych niewielu, którzy od początku swojej ka-  
ryery, aż do końca dni swoich otoczeni są największą czcią i sympatją.

W jego twarzy męskiej i pięknej, w jego rycerskiej i szlache-  
tnej postawie streszczały się wszystkie dodatnie cechy rasy, która już  
przeszła, którą on, jako typ, jeszcze reprezentował, a jako artysta, do  
dna odczuł, i w całej pełni do sztuki wprowadził.

Kossak, jako plastyczny epik tej zakończonej już epoki, jest zja-  
wiskiem, po prostu, wyjątkowem w naszej sztuce.

Niema on wcale poprzedników, którzy-by mu drogę torowali. Szedł, torując ją sobie sam, a najlepsi z jego następców nie dorastają doń prawie nigdy.

Pomyśleć tylko: cały tłum, mało mówię, cały naród postaci, jako typy artystyczne, skończonych zupełnie, od których roilo się dawniej w naszej historii, a po Kossaku w naszym malarstwie, ten człowiek stworzył, *wynalazł*, i w artystycznej ich doskonałości przed oczyma nam postawił, jak żywych.

Kogo tam niema. Królowie i hetmani, magnaci, szlachta, rycerze oczajdusze, hussarze, lisowczyki, zaporozcy, ordynicy, rajtarzy, trabanci, janczarowie, spahowie, sokolnicy, hajducy.

To znów biskupi i zakownicy, wielkie damy i strojne mieszczeni, wykwintne panny szlacheckie i zdrowe, a tęgie dziewoje wiejskie. Chłopi, żydzi, tabuńczyki, dziady-lirnicy, obławnicy, ułani, dojeżdźczace krakusy itd., itd. Któż-by to wyliczył, któżby wyliczył wszystkie obrazy, rysunki i szkice, które Kossak w świat wypuścił.

Malował wszystko.

Nie było prawie motywu, stworzenia, przedmiotu, który-by się choc na jednym z jego obrazów nie znalazł.

Na cokolwiek padł jego wzrok, wnet, jakby na kliszy aparatu fotograficznego, wyciskały się wszystkie szczegóły i cały charakter przedmiotu w jego zdumiewającej pamięci, z której czerpał potem, jak z natury.

Mozolne studia, modele, ukostiumowane manekiny były dla niego zbyt ciężkim balastem. Bez szarpania się, trudu i wysiłku, swobodnie jak gdyby rozmawiał, przelewał na papier gotowe pomysły, które, w ciągu roboty, rozwijały się same przez się w malarską kompozycję niezwyklej prostoty i jasności.

Nie w jego obrazach niema *robionego*, sztucznego, nie z płytkich efektów kuglarza pędzla, który kokietuje tłumy.

Idea artystyczna każdego jego obrazu tłómaczy się z mistrzowską prostotą.

Juliusz Kossak urodził się w Wiśniczu, w Galicyi, w roku 1824-to jest w epoce, kiedy rzeczywiste malarstwo polskie jeszcze nie istniało. Zwalczywszy zwykłą rodzicielską niechęć do zawodu artystycznego, z młodzieńczym zapałem począł rzucać na papier niezliczoną ilość szkiców akwarellowych, które zwróciły na niego uwagę.

Między innymi hrabia Juliusz Dzieduszycki, wielki miłośnik koni arabskich, zachwycony jego talentem, zwłaszcza w rysowaniu koni, zaprosił młodego malarza do siebie, gdzie Kossak miał sposobność doskonałego poznania koni, a w bogatej bibliotece i zbiorach znalazł materyał, który w nim zapał dla przeszłości obudził.

Podróż na Wschód, odbyta następnie z hr. Dzieduszyckim, rozwinęła bardziej jeszcze w Kossaku ów zapał.

Odtąd rycersko-historyczne zdarzenia są ulubionym jego tematem do obrazów, a koń, ulubionym jego motywem.

Ruchliwa natura i żądza wrażeń nie daje mu usiedzieć na jednym miejscu. Młody artysta podróżuje bardzo dużo. W roku 1850 przyjeżdża do Warszawy, zwiedza Królestwo, Cesarstwo, następnie wyjeżdża do Wiednia i zwiedza Węgry (rok 1852).

W 53 roku przybywa do Paryża, wchodzi w wir tamtejszego życia artystycznego. Bawi tam aż do roku 1859, malując bardzo dużo i ogniskując w domu swoim całą kolonię polską. Bardzo ceniony przez kolegów francuskich, wchodzi w bliskie stosunki przyjacielskie z Horacym Vernetem.

Pod wpływem jego rad, talent Kossaka nabiera świadomości swoich sił, mężnieje, bez szkody dla swej indywidualności, gdyż szybko otrząsa się z Vernetowskiej maniery, którą z początku sobie przyswoił.

W roku 1862 Kossak opuszcza Paryż i na stałe zamieszkuje w Warszawie, mając powierzone sobie kierownictwo artystyczne „Tygodnika Ilustrowanego“. W owym-to czasie pracuje poważnie na polu ilustratorskim, na którym stwarza szereg prac pierwszorzędnej wartości.

W 1869 roku wyjeżdża do Monachium, gdzie przebywa rok cały w towarzystwie Brandta i Franciszka Adama, a w roku 1870 powraca do Krakowa, gdzie osiedla się na stałe.

Oto krótki wykaz dat z długiego a płodnego życia artysty. O nim samym, o tem, co i jak czuł i myślał, mówią jego obrazy.

Bo twórczość artystyczna w znaczeniu ogólnem, jest to realizowanie stanów psychicznych twórcy, w formie, najwymowniej te stany wyrażającej.

Prawdziwy artysta tworzy, bo musi, bo pcha go do tego instynkt twórczy, którego nie podobna stłumić — można tylko opanować.

Kossak, jako artysta, przeżył uczuciowo to wszystko, co namalował, a że przeżył tak dużo, że jego bogatą duszę stać było na takie szerokie, w znaczeniu psychicznem, życie, jest to zjawiskiem psychologicznem, niezmiernej dla sztuki doniosłości.

Indywidualność artystyczna polega na pewnej właściwości organizacyi psychicznej danego człowieka, która sprawia, że wszystkie, choćby najprostsze nawet zjawiska, wywołują w nim, jako wrażenia, odrębne uczucia i myśli, będące cechą wyłączną owego indywidualium.

Rzecz prosta, że w następstwie indywidualność ta wyciska swoją pieczęć na samem dziele sztuki.

Tą właśnie odrębnością uczuć i wrażeń, tą indywidualnością sztuka istnieje.

Każda taka indywidualność jest sama w sobie światem odrębnym, dążącym do ujawnienia się, jak najpełniejszego. Indywidualność mała, albo nijaka, znajduje gotowe środki do wyrażenia się w samem otoczeniu. Wystarcza tu pewna zręczność przyswajania, pewne zdolności naśladownicze. Lecz dla wielkiej gotowe środki nie istnieją, stwarzać je ona musi sama dla siebie; przytem musi deptać te, które już istnieją, musi je zagłuszać, by nie być zagłuszoną sama. Tem się tłumaczy w sztuce ta ciągła walka nie tylko o ideje, lecz nawet o kierunki, o formę.

Szkoły i akademie malarskie są właśnie jakby ssąco-tłoczącemi pompami, które z indywidualizmu genialnych jednostek urabiają teorye, zaszczipiane następnemu pokoleniu, jako zasady i podstawy sztuki.

Szczere talenta zmuszone są już w samym zaraniu toczyć bezwiedną, instynktową walkę o istnienie z konwencją, którą im szkoła narzuca.

To też Kossak nic od nikogo nie przejął, wszystko w jego obrazach jest wyłączną jego własnością. Malował do tego stopnia po *swojemu*, że kto choć raz widział jego obraz, ten już następne pozna wśród tysięcy innych.

Kossak nigdy nie kopiował natury, ani uwzględniał w swoich kompozycjach jakiegoś nowego *odkrycia*, spostrzeżenia, zdobytego przez innego malarza.

Co powstało w jego niezwykle wrażliwej i jasnej wyobraźni, i to, co tkwiło, jako realne wrażenie w pamięci, a więc charakter i wyraz, a więc ruch i życie, przechodziło wprost na obraz, czasem w całości bogactwa plastyki i koloru, czasem znów jako prosty zarys konturowy, lekko podkolorowany lokalną barwą.

Kossak malował prawie wyłącznie farbami wodnymi.

Akwarelle jego nie mają świetności i bogactwa barw Tortuniego, ani siły tonów, na jakie zdobywa się Fałat; cała masa skomplikowanych zjawisk świetlnych, jaką w Paryżu wywołały nowe hasła „Plain-air'u“, u Kossaka redukują się do zasadniczych obserwacji światłocienia, zanotowanych w pamięci. A jednak obrazy jego robią wrażenie prawdy, jakkolwiek jednostronnej tylko, lecz jednostronność ta ma siłę przekonującą rzeczywistości i natury.

Meissonier, aby poznać konia i jego ruchy, przeprowadzał najsurowsze studia, badał anatomię, modelował go z wosku, nakładając każdy miesiąc z osobna, pod wpływem bezpośrednich obserwacji konia, kłusującego w maneżu, a w końcu, po tylu próbach i wysiłkach, świetnymi uwiecznionych rezultatami, doszedł do wniosku, że konia w ruchu malować nie można, bo nam nie pozuje.

Kossak notuje tylko w obrazie wrażenie, bez względu, czy jest ono w zgodzie, lub nie, z rzeczywistością, lecz wrażenie to akcentuje kilku kreskami, które ową nagłość i nieuchwytność ruchu dopowiadają, i wrażenie jest zupełne.

W podobny sposób traktuje on krajobraz. „Stimmung“, nastrój, oparty na subtelnem zharmonizowaniu wartości pojedynczych tonów, schodzi w jego obrazach do kilkunastu uogólnionych plam lokalnej bar-

wy, gdzie niebo jest błękitnawem, drzewa zielone, ziemia szara i dal zawsze sinawa, a pomimo tego ubóstwa artystycznego materiału, budzi w widzu wrażenie czegoś istotnego, rzeczywistego.

Kto nie zna obrazu: „Chrzestna matka“? Na tle falistego krajobrazu, ciągną się chaty wsi podolskiej. Wytworna dama, zatrzymała swój elegancki „koszyk“ w parę srokatek kuców zaprzęzonych, przed ubogą zagrodą, z której młoda chłopka wynosi niemowlę-chrześniaka na rękę, by je sprezentować jasnej pani. Przy płocie para wiejskich wyrostków przygląda się ciekawie, w dali widać dwóch mężczyznu na koniach, nadjeżdżających klusem.

I kucyki, i czarny szpic, i bocian, kołyszący się nad gniazdem, i każda z figur z osobna, sprawiają wrażenie rzeczywistego życia w wyrazie i ruchu. Widać, jak ciężki kucyk z prawej strony, zmęczony szybką jazdą pod górę, rozparł szeroko nogi i ciężko rozwartemi chrzypkami oddycha. Widać, jak błyszczy się jego spocona tłusta szyja, czuje się z purpurowych nozdrzy i nabiegłych krwią oczu, jak przyspieszonym tętnem gra w nim serce.

A drugi, pochyliwszy głowę, wyszarpnął luźniej cugle i żuje niecierpliwie wędzidło.

Inny w wyrazie, lecz nie mniej żywy jest czarny szpic, z wywieszonym językiem, i młoda chłopka z dzieckiem, i pani, siedząca w powoziku, i reszta postaci w obrazie.

Lecz zawsze, tak w tym, jak i w innych obrazach Kossaka najlepiej wyrażonym i najbardziej prawdziwym będzie koń.

Bez względu na tytuł i temat obrazów, koń jest główną postacią każdej jego kompozycji.

Czy to będzie Sobieski pod Wiedniem, czy Czarniecki, prowadzący wojsko przez Belt, czy rycerska postać księcia Józefa, autor przez konia dopowiada charakter jeźdźcy, i cały artystyczny interes obrazu skupia przedewszystkiem na koniu.

To też większość jego kompozycji obraca się w granicach rycerskich zdarzeń i opowieści, w których znaczenie konia i w rzeczywistości było pierwszorzędnem.

Dość przypomnieć sobie Cykl akwarel do historii rodziny Fredrów, „Stado hetmańskie“, „Bitwa pod Wiedniem“, „Ułani pod Samosierra“, „Spotkanie Chmielnickiego z Tuhaj-Bejem“, „Polowanie na czaple“ i bardzo wiele innych.

Kossak był znakomitym ilustratorem.

Zdolność chwytania zewnętrznych przejawów życia, ogromna pamięć i czysto malarska wyobraźnia, która każdemu pojęciu nadaje za-

raz plastyczną formę, sprawiały, że Kossak, jako ilustrator historyczny i obyczajowy nie miał sobie równego.

Do pomnikowych należą jego rysunki do „Mohorta“, „Roku Myśliwca“, „Ogniem i mieczem“ i kilku powieści szlacheckich, które wyszły za jego kierownictwa w „Tygodniku Ilustrowanym“.

Żaden może z polskich malarzy nie miał w całym społeczeństwie naszym tak stałej sympatii i popularności, jak Kossak.

Każdy nowy jego obraz był wypadkiem w sztuce polskiej. Każdy był reprodukowany we wszystkich ilustracjach krajowych, a większość ukazywała się potem w wykwintnych reprodukcjach kolorowanych.

A ci wszyscy, którzy mieli z Kossakiem styczność, wszyscy malarze z kilku pokoleń, cenili go ogromnie, nie tylko za wyjątkowy talent, za wpływ potężny, który na sztukę polską przez całe życie wywierał, lecz także jako szlachetnego człowieka, który dla każdego miał zawsze dobrą radę, pomoc i życzliwe serce.

STEFAN POPOWSKI.

---

# Plony młodego pióra.<sup>1)</sup>

---

## II.

### *Kazimierz Przerwa Tetmajer* jako liryk.

---

Czytelnikom „Biblioteki“ nie obcem jest nazwisko młodego poety, o którym mówić zamierzam, a który, mimo, że jest dopiero w początkach swego zawodu, zdobył już dla siebie dość liczny zastęp słuchaczy. Otóż w szkicu niniejszym chciał-bym zatrzymać uwagę czytelników na tych pierwiastkach talentu Tetmajera, które mu zapewniły wybitne miejsce wśród pieśniarzy naszych z ostatniego dziesięciolecia.

Wśród tych pierwiastków jeden zwłaszcza można uznać za górujący, za ziarno, z którego rozwijają się wszystkie inne, lub prawie wszystkie. Jest to bujny, namiętny temperament poety... Ach, wiem, wiem, —przerwie mi zniechęcony czytelnik.—Tyle razy to już mówiono, a nawet niezbyt dawno czytaliśmy tu, na tem samem miejscu...—A mówiono, pewno mówiono, bo pomienionemu faktowi przeczyć, było-by trudno. Usiłując wszakże jednym rzutem oka objąć dotychczasową twórczość autora, niepodobna znowu ominąć tego czynnika, który jest najoryginalniejszym znamieniem poety, i nietylko wyodrębnia go z grona

---

<sup>1)</sup> Patrz tom IV „Biblioteki“ z 1897 roku.



współczesnych, jako znak zewnętrzny, lecz jest zarazem ukrytem ogniskiem żaru, co wszelkie mu właściwości i pierwiastki stapia w szczególną, swoistą, jednolitą całość. Z płonącego ogniska wydobywają się gorące blaski i padają na wszystko, co się ukaże z pod rylca i pędzla artysty, czy to będzie opis ciałakobiecego, czy krajobraz, rzeczywisty, lub fantastyczny. Bo gdy mówię: temperament namiętny—nie mam na myśli jedynie mocno, wyjątkowo zaznaczonej zmysłowości w kierunku erotycznym, lecz silną i często głęboką wrażliwość na zjawiska świata zewnętrznego, lecz zdolność głębokiego uczuwania bólu i radości, pełni życiowej, wrażliwej, hałaśliwej, kiedy od nadmiaru soków i gorąca energia roztopi się w niemocodmlenia,

Z posępnej ciszy, z grobowej martwoty  
Coś mnie na słońce, na zieleń łąk woła,  
Głos jakiejś wielkiej, głębokiej tęsknoty.

W jakim-że kierunku objawiać się będzie u poety namiętna jego uczuciowość i wrażliwość?

Pomimo mistycznych tęsknot, w których nurzać się lubi, pomimo aż nazbyt częstych jęków pesymistycznych i smętno-filozoficznych refleksyi, nie wahamy się twierdzić, że najgłębsze i najsilniejsze odruchy wywołują w duszy poety przeważnie zewnętrzne strony zjawisk. W świecie otaczającym—to kształty, linie, barwy i dźwięki. W życiu duchowem—to poruszenia duszy, które niejako dotknięciem wyczuwać się dają.

Jednym z najbardziej uderzających objawów takiego usposobienia poety jest jego erotyka. Namiętny temperament wyraża się tu w rozbującej zmysłowości, ogołoconej z wyższych pierwiastków uczucia, lecz porywającej olbrzymią siłą rozpędową. Staje tu przed czytelnikiem, jak w poemacie Konopińskiej, „duch straszny w płomieni koronie... i dźwignął swoje ciało gorejące Stłumionym ogniem, jak zgaszone słońce, Zappełnił sobą czas i przestrzeń całą, I nic, prócz niego, nie było na świecie...“ Od gorącego tchu namiętności — zwijają się i więdną rośliny, mięśnie mdleją, kruszce roztopiają się na płynną lawę.

„Czy znacie Ledę Michała Anioła, W skrzydłach labędzia z rozkoszy mdlejącą?... Świat cały piersią oddycha gorącą. Cicho — i tylko dalekiego morza Słychać gdzieś falę o falę dzwoniącą. . A każdy człowiek, zda się, w oczach mięknie Od palącego rozkoszy nadmiaru I w każdym ruchu rzeźbi się przepięknie. Nagości owej promiennego czaru W żadnem się słowie wypowiedzieć nie da, Myśli się mroczą od zmysłów pożaru, i od rozkoszy, jaką czuje Leda“. I tak jest zawsze. Kształt ciała kobiecego rozpała wyobraźnię poety, która się pieści ka-

żdą linią, każdym zgięciem. Jest to niby namiętność mistrza Odrodzenia, namiętność Celliniego, dla którego ta lub owa wypukłość, fałda, jest „piękną“ lub „wspaniałą“, i którą rysować jest „przyjemnie“. Nie trzeba się przecież dziwić, że poezya, w której występuje nie kobieta, lecz kobiece ciało, nie wszystkim jednakowo przypadnie do smaku. Nie chodzi tu wcale o pruderyę, czy obłudę. Niepodobna wszakże nie przyznać, że zmysłowość w tej formie jest w praktyce życia rzeczywistego zwykłą rozwiązłością z jednej strony, z drugiej—zniża kobietę do stanowiska narzędzia rozkoszy. Ograne to wszystko, co mówię, ograne bardzo, czyż przeto prawdziwym być przestaje? I czyż podobna przekształcić podstawowe czucia w czytelniku?

Jeżeli wszelako „naga dusza“ — pozwolę sobie użyć w obieg puszczzonego wyrażenia—jeżeli naga dusza może sprawiać niekiedy potężne wrażenie w lirycznych wybuchach, które są wypływem temperamentu, więc przyczyny stałej, lecz opadającej i wznoszącej się, jak fala; inaczej ta rzecz się przedstawi w eposie kobiecych łon i kibici. Mówię tu o dwutomowej powieści Tetmajera pod tytułem: „Anioł śmierci“, której braków nie wynagradza kilka stronic przesłicznych opisów przyrody. Warto tu także zaznaczyć inną okoliczność. Zmysłowość wyobraźni poety czyni ją bardzo podatną na wpływy erotomanów Zachodu... Niekiedy, we wcześniejszym okresie twórczości, wzorowanie się na obcych przybiera formę przejmowania się poszczególnymi pomysłami. W I-szym tomie naprzykład znajdziemy tu i owdzie (Salomon i Sulamita) Baudelairovskie połączenie zgryźliwego pesymizmu z lubieżnymi obrazami. Jeszcze wyraźniej to widać w wierszu: „Czemu dziś mój kochanek“, — w którym widzi się rozkładającego trupa, jak u autora „Kwiatów zła“. Przykre to robi wrażenie, ale jeszcze przykrzejszego doznajemy, kiedy poeta, nie mogąc się usamowolnić od obcych wzorów, łączy ekstazę mistyczną z uwielbieniem „ciała ukochanej“: „kiedy na oczy srebrno-szafirowe Spuści powieki i na wznak upadnie... Wówczas ma w sobie taki urok boski, I takie dziwne piękności i czary, Ze zda się, jakiś malował ją stary, Anioły w duszy noszący, mistrz włoski“. To naprawdę niesmak wzbudza. Jeszcze „stary“ Krasieński nawiał, że złąkł-by się „Bogarodzicy, Widnej w widzeń błyskawicy, A mówiącej sprośne słowa“.

Nie bądźmy wszakże niesprawiedliwi. Obok takich rzeczy są i inne, a nigdy nie znać na twarzy poety wstrętnego, lubieżnego uśmiechu mieszczaucha, przyglądającego się przez binokle skokom baletniczki. U Tetmajera spotykamy raczej uczucie pierwotne, nieokresane, barbarzyńskie, ale zdrowe swoją bezpośredniością, porywające, powtórzymy to raz jeszcze, siłą i namiętnością.

A nie tylko siłą, lecz i plastyką rzeźbionych kształtów... Czy zdolność do namiętności głębokiej jest połączona łańcuchem pokrewieństwa z wyobraźnią, wrażliwą na wypukłość oglądanych przedmiotów, na ich zarysy, barwy, odcienie? Chyba tak jest w tym wypadku, gdy wzruszenie, płynące z jakiegobądź źródła, obejmuje poząrem całą istotę czującą, gdy się wyraża, jak ładnie ktoś mówi, hallucynacją wszystkich zmysłów. A jest to pewnikiem psychologii, iż siła wzruszenia pogłębia uwagę, zdolność percepcyjną, że wrażenia ryją wtedy w umyśle długo niezatarte ślady. I oto wyobraźnia poety staje się ciemnią optyczną, utrwalającą linie, szczegóły, mroki i połyski.

Plastyka, jeśli pod wyrazem tym, dla skrócenia, rozumieć zechcemy mocno zarysowane i wyrzeźbione kształty, wyraziste szczegóły, nasycone barwy i głębokie cienie, uwydatnia się, oczywiście, nie tylko w takich wypadkach, kiedy źródłem natchnienia są namiętności zmysłowe, zarówno, jak nie tylko owe namiętności są jedynym uczuciowości poety objawem. Płomień, gorejący nieustannie w głębi jego duszy, ukazuje nam twory jego „dłóta z ognia“ w jaskrawem oświetleniu; to dłóto wykreśla, w miarę posuwania się, ognistą linię, a od rozjaśnionej tym promykiem powierzchni mocno odcinają się otaczające zierzchy, przekształcając się w otchłań przerażającą, w czarną noc, która wylania z siebie nowe mroki, zgęszczone w posępne, widzialne i dotykalne kształty. Widzimy to naprzykład w „Śnie rzeczywistym“ (w II-gim tomie), kiedy w wyobraźni poety zarysował się niby sąd ostateczny. „Niebo jak całun czarne, miasto duże, Plac, domy, kościół i wieża wysoka. Obok kościoła, tuż przy bramie, z ziemi wybuchał płomień, i w blasków purpurze Jaśniała wieża, a ciemna pomroka Sferłsnila łuną...“ Znać wszystko, co jest siłą, rozmachem, choćby siłą grozy, przemawia do wyobraźni poety, która tu znajduje się w swoim żywiole. Okaże się to i w ulubionym rodzaju twórczości Tetmajera. Są to „widziadła“, obrazy i krajobrazy fantastyczne, często ponure, częściej technące skwarem równikowym. Z pewnością ulega nasz poeta w tym względzie prądom współczesnej twórczości, które się rzucają w kierunku symbolu, za narzędzie obierają środki impressyonistyczne, poddawanie uczucia i myśli. Ale ostatecznie, roślina musi brać skądciś te pierwiastki, które przerobić ma na swe ciało: czy to z gleby, na której wzrasta, czy z powietrza rodzinnego, czy z aromatów, które przywiał wiatr z dalekich stron. Byle tylko te pierwiastki obce upodobniła sobie, byle tylko wchłonięte zostały przez jej soki... A należy przyznać, iż dla talentu Tetmajera wielce są odpowiednie wszystkie te „widziadła“. I z każdego niemal dolata do nas szum potężnych skrzydeł górskiego orła, przemawia do nas potęga rozkoszy i wielkość uniesienia. Pierś się nasza rozszerza, by wchłonąć więcej wonnego powie-

trza, rozszerzają się źrenice, by nie stracić ani jednej barwy, ani jednego blasku. Lub przeciwnie, owionie nas pęd mroźnego wichru, o uszy obijają się ostre dźwięki, na pierś nam spadnie ciężka, wilgotna mgła. „W ciemności nieba bezgwiazdzistej, *gdzie wzrok, jak dźwięk bez echa tonie*, W otęczy łożwianej, mglistej, Posępny krąg miesiąca płonie... Przez pola puste, szare, głuche, Płynię gdzieś wielka, cicha rzeka, Ponad nią leżą pnie wierzb suche, Księżyc białością je powleka“. Tu znowu mamy coś w rodzaju „Snu rzeczywiście“. Znajdziemy takich więcej („Widziadła“, „Wizya“. „Na morzu polarnem“, „Martwa puszcza“ i t. p.). Lecz zajęcie się wyobraźni podobnymi przedmiotami jest do pewnego stopnia rzeczą wyjątkową. Słoneczność, bujny rozkwit życia i radość jego, jest przyrodzoną dziedziną poety. Tu mu dobrze. Gdy cofa się myślą wstecz, do młodzieńczej doby dziejów naszej ziemi, widzi tam nadmiar wzbierających soków: „Huragan życia, wulkan wzrostu i rozwoju, Kaskady złotych liści, fontanny powoju, Huk kwiatów, pękających od słońca pożarów... Gąszcz traw i paproci, zawichrzzone liany, Wywroty drzew olbrzymie, bagnisk oceany“.

Z różnych powodów, o których powie się niżej, p. Tetmajer wielce pożąda nirwany. Otóż tak samo, jak, stwarzając sceneryę dla swego „Złotego ptaka“, poeta woła do wichru: „Rwij pęta! wicherze halny! W chmur kurzu i dymie Rozpostrzyj na sklep nieba swe skrzydła olbrzymie.. Rwij pęta, wicherze halny! Łam twarde granity, Gruchocz w pył śmigłe lasy, piętrzą siklawy w górę, Wzdymaj się...“ — tak samo, powiadam, pieśniarz każe duszy poety, pogrążonej w nirwanę, oddychać tchnieniem burzy żywiołowej. „W przestworzu, od gwiazd skrzających i komet ognistem, Lecieć będzie z błyskawic trzaskiem i przewisem... Ile wysp złotych w słońcu, pieczar skrytych w bluszcze, kwiatów, co wybuchają lawą z ziemi Wschodu, Gdzie jakich skał granity i gdzie jakie puszcze, Wszystkie zorze na liniach spiętrzonych od lodu, Wszystkich wulkanów ognie: wszystko, wszystko dla niej! Wszystko! Niema granicy, kresu i przystani... Ha! z jakim upojeniem, iz jaką rozkoszą, Uchwyciwszy się wicherów płomiennych za włosy, jak sokół w chmurze, Opada w dół i znów się porywa do góry“ i t. d. No, do *takiej* nirwany bierze pokusa i czytelnika, w chwili przynajmniej, gdy przebiega wzrokiem jedną po drugiej karty zbiorku.

Gdyby zresztą nas przeraziły te „wichry płomieniste“, gdyby ruch był zanadto gwałtowny, znajdziemy wytchnienie wraz z „Albatrosem“ w jakimś „słonecznem zamysleniu“, „błękitnem zadumaniu“, w jakiejś „wizyi *lipcowej*“ i t. p.— „Zdaje mi się, że gdzieś dawno, Przed tysiącem wieków może, Mieszkał w kraju jasnym, ciepłym, Otoczonym w krąg przez morze. Lekkim wiatrem wolno, sennie, Kołysane długie liście, Z drzew zwisały tam wysokich, W słońcu mieniać się srebrzy-

ście.. Tyle woni, że obłoki, Odurzone od niej, płyną!po-nad ziemią wolno, sennie, Jasnych, ciepłych sfer głębiną“ i t. d., i t. d. I nie zdziwimy się znowu, jeżeli nirwana, nieskończoność, nicosć wieków (zmiana słownictwa zależy nie od różnicy rzeczy, lecz od nastroju) — że wszystko to u naszego poety przekształca się w pożądanie napawania się blaskiem, wonią, niezmiernym widokiem przestrzeni otwartych. „Lubię tonąć w otchłaniach bezgranicznej głuszy, W *abstrakcyjnym* pojęciu żywego *bezbytu*, Gdzie wszystko się jednoczy i jest w jednej duszy, *Gdzie w duszy ma się wieczność, ziemię, sklep błękitu*“. Nie złudzi nas to „abstrakcyjne“ pojęcie „bezbytu“.

W naszej poezji dużo jest wizyi, zadumań i rozmyślań, podobnych do pewnego stopnia Tetmajerowskim, a które są kontemplacyjnym zjednoczeniem się z przyrodą. U Tetmajera nie są one łzawe i melancholijne, jak to się najczęściej zdarza, bo objawia się w nich nie rezygnacya marzyciela, lecz samodzielne poszukiwanie rozkoszy; nie są też równie melodyjne, jak u innych poetów, bo rozmarzenia jego wywołane są nietyle pierwiastkami słuchowemi, ile wzrokowemi. Wolne, sennie kyłysanie morza, lub fal powietrznych, wyczuwane jest raczej miarowym ruchem całego ciała, rytmicznym skurczem mięśni, nie uchem. Z tego względu, i ze względu na blask i słońce, fantastyczna przyroda Tetmajera najbliżej spokrewniona jest z Asnykowską („Marzenie poranne“, „Czary“ i t. p.), z tą wszakże różnicą, że u Elego rozmarzenie jest jakieś łagodniejsze, i że dla „Złotego Ptaka“, dla „Albatrosa“, potrzebne są koniecznie otwarte, nieskończone przestwory...

Jak widzimy tedy, obrazem przyrody wzburzonej, lub znajdującej się w okresie „wulkanicznego wzrostu i rozwoju“, przeciwstawić można ciszę powietrza, rozlśnionego od żaru i blasków, ale znieruchomiałego. Tak samo nachmurzonym, ponurym widziadłom nocy można przeciwstawić łagodny, spokojny urok jej milczenia. Widać z tego, że wyobraźnia poety, jakkolwiek upodobała sobie przeważnie blask i siłę, nie jest tak sztywną, by nie potrafiła wchłonąć w siebie wrażeń, wprost odmiennych. Tak samo też w zakresie uczucia, pomimo całej swej zmysłowości i wybuchowości, umiał poeta wczuć się w rzewną tęsknotę biednej dziewczyny w ślicznym „Liście Hanusi“, którego ani trochę mi nie psują niezwykle formy językowe gwary podhalańskiej; cicha, smętna nuta brzmi w cyklu miłosnych liryk „Do...“, jakby nie przez Tetmajera pisanych... Ale wróćmy do krajobrazów uciszonej nocnej przyrody. Przypominają się mi tu przesłiczne „Wieczry w górach“, i „ma“ Miriama. Dla marzycielskiego i refleksyjnego usposobienia tego poety przyroda jest jakby tłem... W łagodnym, opylonym lekką kurzawą oparów wodnych, zmierzchu wieczornym, w nocy, płaszczem

mgły osłoniętej, znikają zarysy wyraźne przedmiotów, zlewają się z sobą cienie i kształty, unosząc się i kołysząc z lekka w powietrzu. Noc zaczyna przemawiać tysiącznemi swemi odgłosami, które również skupiają się w jednostajne, nieprzerwane tło. U Tetmajera w najero-tyczniejszych jego malowidłach, jak w znanej powszechnie ze swych piękności „Melodyi mgieł nocnych”, — mrok nie jest nigdy prawie czarną, nieprzebitą okiem zasłoną, przemawiającą jeno dźwiękami. Otchłań nocy ma w sobie niby kryształową przejrzystość, przez nią i w niej widzimy mocno odcinające się od tła zarysy... „nie widzę, słucham cię oczami...” A promień księżycy zaznacza wyraźną granicę między światłem a cieniem... Taką już jest „wyraźną” wyobraźnia artysty.

Dotychczas miałem na myśli raczej fantastyczną sceneryę, niż właściwe krajobrazy. Wiedząc wszakże, jakie widziadła tworzy fantazyja poety, wiemy również, czego on będzie szukał w przyrodzie, czem się on będzie w niej rozkoszował. O Tatrach tedy Tetmajerowskich nie powiem nic.

Namiętne uczucie i gorąca wyobraźnia, jakkolwiek im „po kwietnej latać błoni”, jakkolwiek „iść w barw i kształtów cudny świat” „największą przyjemność czyni” poecie, — uczucie to i wyobraźnia znajdują oczywiście silną podnieętą nietylko w jasnych, lecz i ciemnych stronach życia, zwłaszcza gdy to życie bezpośrednio urazi struny sercowe poety, zdolne do wielkiego rozbujania... Niekiedy objawi się to po prostu jako... drażliwość... I wtedy na zoiłów spadną gromy, rzucane w zapamiętałości, więc niekoniecznie druzgoczące. Mam tu na myśli „fragment z dłuższej całości”, który jest wymyślaniem panu K. B. Z-towi. Niewytworna forma tego wymyślania chyba dość sprawia przykrości samemu poecie, gdy przeminęła pierwsza chwila rozdrażnienia; słuszną mu to jest karą, ale nie będziemy już o tem mówili.

Powtarzam tedy, że sama wybachowość natury poety musi wywoływać jednaką gwałtowność odruchu zarówno na rozkosz, szczęście, radość, jak na smutek, gorycz, krzywdę... Pod tym względem znamienym jest właśnie III-ci tom. Wszystko tu wypływa niby z jednego uczucia bólu, co nadaje ostatniemu zbiorowi pewną jednolitość, obcą dwu poprzednim. Ból to osobisty, wywołać wszelako zdolen oddźwięk w czytelniku. Tu nawias niewielki. Mówiąc o osobistym bólu, o wielkim zawodzie jakimś, nie pragnę robić wiwisekcji; nieznane mi są koleje życia poety. Lecz... utkwiał mi w pamięci pewien szczegół w niedawno oglądanym obrazie. Nad stołem zwiesza się z sufitu lampa, Płomienia nie widać, a jednak na stół, na skromny pokój, zlewają się źródła światła. Jasność wydobywa się z poza mlecznego klosza, nie z jakiegokolwiek oznaczonego miejsca, lecz z całej jego powierzchni, jasność ta, zda się, drga, a każda cząsteczka mlecznej, przejrzystej gliny roz-

światłona z wewnętrznego, własnego, odrębnego od innych, punktu środkowego. Oczywiście, na obrazie nietylko *nie widać* płomienia, ale nawet niema go wcale, ponieważ artysta nie malował go; a przecież oko nasze wycęza się, by przebić zaporę; przedłużając mimowolnie rozstrzelone promienie aż do matematycznego punktu ich przecięcia, usiłuje dotrzeć do ukrytego ogniska. I oto mam przed sobą III tomik Tetmajera. Chodzi mi jeno o efekt pięknościowy, nie o co innego. I widząc wszędzie rozlewne, bolesne uczucie, nagłym rzutem umysłu syntezującego wyobrażam jakieś idealne ognisko, idealny zbiornik światła, z którego dą te posępne odbłaski na karty książki. Poeta zawsze pozostaje sobą, zawsze jest ptakiem, tonącym w blaskach i błękicie, z największą rozkoszą wchłaniającym w swe płuca ostre i rzeźwiące powietrze górskie. Poświst wichru jest dla jego uszu najpiękniejszą melodyą, ulewa błyskawic staje się przecedną symfonią wzrokową. Ale, wzniósłszy się „na orlą wyżynę“, czuje w piersi głęboką ranę; a gdy wpatruje się w „wodę, rozlaną błękitnie, Czy z niej rusałka jaka nie wykwitnie“, -- naraz „z głębin wodnych się dobywa Głowa topielca ruda i straszliwa, I oczy nań zwraca, bielmem szklane, I z warg obrzękłych toczy śliską pianę“. Więc nie udaje się ptakowi wyzbyć się pamięci chwil minionych, by do pięknej chwili obecnej zawołać: *verweile doch!* I to szamotanie się ducha poety, z wielką siłą wyrażone, budzi wielkie współczucie. Tylko.. w przedmowie autor skarży się, iż wiedząc, że są w jego zbiorze złe wiersze, nie wie--które. Owóż, było-by może lepiej z wielu względów, by poeta w ostatnim swym tomie popuszczał niejedno widziadło „topielca z głową rudą i straszliwą“, niejedną balladę i różne tam „ody przestraszne“...

Ból poety wynika nie zawsze z powodów jedynie osobistych. Posępna nuta brzmi rozgłośnie, zwłaszcza we wcześniejszych tomikach, głuszac nieledwie sobą inne. Pessimizm ten ma tkwić w ogólniejszych przyczynach, przedewszystkiem w tej okoliczności, że „jesteśmy dziećmi krytyki, wiedzy i rozwagi“, że „pierwsze nasze myśli są zwątpieniem, nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem“. Biedna ta „krytyka i wiedza“.

W usposobieniu Tetmajera, które znamionuje głęboka wrażliwość na zewnętrzne przedewszystkiem strony zjawisk, nie mogą dopatrzeć się pierwiastków, które uzdalniały-by umysł poety do przerabiania samorzutnie wrażeń bezpośrednich na idee wyższego rzędu... Gdyby wrażenia w takiej już swej myślowej i skryształonej postaci wstrząsały w dalszym ciągu strunami uczuciowemi. wówczas tylko połączenie myśli i bolesnego lub radosnego poruszenia duszy stworzyć by mogły refleksy, jedynie mające prawo bytu w poezyi. Lecz wówczas jakieś określone, czy umiejscowione zjawiska zwrotne, pojedyncze, odosobnio-

ne, niemal zawsze były-by kielkiem rozmyślania, a ta okoliczność, w połączeniu z inną, to jest z oryginalnym, swoistym ustrojem umysłowości i czuciowości poety,—więc ta okoliczność, powiadam, z tysiączną waryacją z dawien dawna powtarzanej myśli, wprowadziła-by jakiś odcień indywidualny, jakiś szczegół, który-by się zahaczył o naszą uwagę. Ale, by taki skutek wywołać, trzeba czuć w sobie—powtarzam—samorzutną zdolność do wgłębiania się w istotę zjawisk, do skuwania ich łańcuchem przyczynowym. Inaczej, pozostawać będziemy w atmosferze ogólników, stylowo tylko różniących się między sobą. Inaczej—wskutek zerwania łączności pomiędzy myślą a uczuciem—zabraknie miary artystycznej, która-by uchroniła od przesady w wyrazie nastroju, przesady, sprawiającej wrażenie pozy i nieszczeroci. „Gdyby krytyka i rozwaga“ była samoistnem znamieniem poety, gdyby to ona właśnie doprowadziła go do jakichś smutnych wniosków, znalazł-by on dla nich odpowiednią natężeniu uczucia formę, i nie pisał-by wtedy, że „jest nam tak źle, że na to brak wyrazu“, i że „serce pęka w nas i we krwi pływa“. To pękanie serca i broczenie krwią pozostawia nas chłodnymi. Z tych względów sędzę, że cały pesymizm p. Tetmajera jest pozą i wielkiem nieporozumieniem. Nadewszystko nieporozumieniem. Bo, mówiąc o braku szczeroci, nie mam na myśli świadomej siebie obłudy. Myśl taka jest daleką ode mnie. Sędzę jeno, że, słuchając częstych zawodzeń i jęków, poeta sposepniał i uwierzył, że mu smutno nie dla towarzystwa, ale dla siebie samego, że wyklinana nieustannie krytyka i rozwaga istotnie sprawiła wielkie spustoszenie zarówno w jego własnej duszy, jak i w duszach współczesnych. Ten rodzaj z Francyi do nas przyszedł—sparafrazuję tu wyrażenie Krasieńskiego, nie z „Asnykowskiego gniazda“, jak chce pewien krytyk. Zaznaczyć nam tu wypadnie pewną okoliczność, którą-by się chętnie ominąć chciało. Jeżeli po wynurzeniach uciech zmysłowych widzę tuż obok umieszczony jakiś hymn do nirwany, jakieś pęknięcie serca, trudno mi się obronić przypomnieniem, że *Weltschmerz* jest nazbyt często wyrazem tego usposobienia, co się zowie — *Katzenjammer*. Na smutek „siedmiobolesnego“ wiersza pada jakiś przykry odblask od poprzedzającego. Osobiście okoliczności tej nie przypisuję większego znaczenia. Wzmiankę moją wszelako usprawiedliwiają wrażenia czytelników, przychylnie nawet dla talentu poety usposobionych, wrażenia, które znalazły swój wyraz w krytyce, zdobywającej się przeciw skądinąd na słowa entuzjastycznego niemal uznania dla poezyi p. Tetmajera. Gdzieś się poeta skarży, że w otchłań zwątpienia wtrącają go „przesyt pragnień i niesytość czynu“. O przesyce pragnień mówiliśmy; ważniejszym atoli czynnikiem, być może, jest druga przyczyna—niesytość czynu. Wybująły indywidualizm, namiętne usposobienie, poszukujące nadewszystko uzewnętrznienia się,



zamknięte w ciasnych szrankach, narzuconych mu przez niezależne od jego woli okoliczności, pręży się, kurczy, wydaje zgrzyty nieharmonijne. W najwcześniejszej dobie swego młodzieńczego życia, poeta zrywał się do czynu, do lotu. Początkowe wiersze jego pierwszej seryi tchną porywającym zapachem, budzonym przez myśl społeczną. Szczere przekonania demokratyczne wyrażały się w skrajnej nawet formie. Że młodziutki poeta nie okazuje tu późniejszego mistrzostwa, próbując dopiero niewprawnej ręki na strunach swej lutni, i powtarzając słyszane nuty, jest rzeczą zupełnie naturalną. Demokratyzm poety nie wynikał zgoła z wrażeń bezpośrednich, z doświadczenia, oświeczonego myślą twórczą. Idee same przez się nigdy nie mogły zdobyć trwałej przewagi nad umysłem poety. I oto przekonania jego nie skryształowały się w jakiś system stały, który—by się tak zrosł z nerwami duszy, jak zrastają się tkankami swemi dwa ustroje roślinne, skute obręczą stalową, jak wpijają się cząstki ziemi rodzajnej w delikatne włókienka korzenne. Przy zetknięciu się z rzeczywistością, w warunkach, jakie mu okoliczności poddyktowały, — wyobraźmy sobie naprzykład poetę w sytuacji bohatera poemaciku: „*Pour passer le temps*“ (po co ta pstrocizna językowa?)—przy zetknięciu się pomienionem, okazało się, że warunki owe nie dały dość pola do wylewu energii; znana nam już wrażliwość poety powodowała głębokie i zniechęcające odczucie doznanych zawodów... I oto nowa przyczyna wierszowania „*łez tłumionych mętem*“. Jak widzimy tedy, usposobienie namiętne, niełatwo znajdujące zadesyćczynienie i nieuzdalniające do nabycia wewnętrznej jakiejś ostoji z jednej strony, z drugiej—toż usposobienie, łatwo krzywiące drogi, któremi poeta postępuje, jakkolwiek nie mogło stać się źródłem szczerzej poezji refleksyjnej, bo nie mogło wydobyć z duszy pieśniarza pierwiastków, tam nieisniejących, uczyniło go wszakże mało opornym na wpływy postronne. Bo, jak słusznie zaznaczono, Tetmajer posiada zbyt wybitną indywidualność poetycką, by można było go pomawiać o zupełnie bierne naśladownictwo, nie mówiąc już o tem, że niewłaściwą było-by rzeczą chcieć upatrywać u niego niewolnicze powtarzanie cudzych pomysłów, obrazów, zwrotów mowy, co dręczy i śmieszy u niejednego z poetów *minorum gentium*. Bądź co bądź, jednak, pesymizm i filozofia Tetmajera nie wydają mi się jego własnością. A przecież, jest w III-cim zbiorku wiersz. z nagłówkiem: „*Refleksya*“, tej treści, iż „*wstąpiwszy w wiecznej Tajemnicy bramy*“, „*tam jeśli spotkam pomiędzy smętnemi Marami ludzi, których tu, na ziemi, Nienawidziłem niegdyś, lub kochałem, Czyli ich sobie umarły przypomnę? Uczucia owe będąż mi przytomne, Które wstrząsały mem żyjącem ciałem? Tam chyba spokój jest wieczny... Z tą myślą wszystko przebaczyć tu mogę, A razem żądać w innych niepamięci*“ i t. d. Gdy

już nie słyszę dawnych ogólników. taka indywidualna refleksja zaczyna mi przemawiać do przekonania. A wtedy sędzę, że ślicznie powiedział niedawno pewien krytyk, iż poeta jest złotym ptakiem, na którego skrzydła padły zwoje ciężkiej, wilgotnej mgły. Złoty ptak wydobywa się na otwarty przestwór błękitu, blasków, słońca, tęczy, melodyj, obrazów, a po drodze ze skrzydeł opada mu skroplona mgła, i unosi się nad temi obrazami, jak cieniuchny, powłoczysty, gazowy opar.

Jestem właściwie u kresu swych uwag, i tu-być powinien postawić punkt, gdybym nie chciał rozszerzyć się nieco o stosunku poezji Tetmajera do pewnych kierunków poezji współczesnej. Pod niektórymi względami twórczość Tetmajera jest mniej „modernistyczną“, niżby się tego spodziewać można było. Znaną ogólnie jest np. dbałość dzisiejszych poetów o wykwiutną formę, o niezwykle kształty poetyckie, o wytworną zwrotkę, umiejętny układ myśli, obrazów. Tetmajer wszakże nie jest tak wielkim mistrzem formy, jak to o nim niekiedy mówią, a jeżeli jest, to raczej dzięki swej bogato uposażonej wyobraźni, niż umyślnemu o to ubieganiu się. Pod względem składu wiersza na przykład, zwłaszcza dawniej, usterki zdarzały się często, zbyt często nawet. Można-by to uważać nawet za objaw chęci wyłamania się z jednostajności średniówek, jeśli na przykład w „Hymnie do miłości“ spotykamy wiersz biały, różnej długości z podziałem asymetrycznym i dowolnym. Lecz ze względu, iż w III tomie tok wiersza pojedynczego jest gładszy, zatrzymać się możemy na przypuszczeniu, iż najprzód poczucie rytmiczne poety ukształciło się, po drugie, że ta techniczna strona wierszowania nigdy nie była przedmiotem szczególnej jego uwagi, i tylko jakby na dowód umiejętności swej ugniecenia formy, gdyby była chęć po temu, rzucił kilka, lub kilkanaście niezwyčajnych, lub mało używanych rytmów. Zupelnie to samo możemy powiedzieć o układaniu zadźwięków końcowych w zwrotkowe kombinacje. Jeżeli chęć, mogę — przemawia do nas poeta — ale nie dbam o to...

Wykwintność formy u poetów współczesnych nie polega wyłącznie na zewnętrznych oznakach pokonania trudności rytmicznych i rymowych. U Miriama na przykład, pod pozornem zaniedbaniem, umyślną pospolitością wiersza, ubogimi rymami, da się nieraz wykryć wielką wytworność, polegająca na świadomem swego celu ustąpiowaniu wrażeń, ustosunkowaniu do refleksyi i t. p. Tego wewnętrznego, uczonego rzeźbiarstwa, umiejętnie podmalowanego tła, nie wymagacie również od Tetmajera. Ma on natomiast ładną dykcję, słownik bogaty i te środki, których używanie zaleca mu wyobraźnia jego. Mniejsza o *rozwinęte, oteczę, bezednie, bezkresy* i t. p., które swą niezwykłością zwracają uwagę, i przez częste i mało urozmaicone ich powtarzanie, zwłaszcza w II tomie, sprawiają wrażenie ubóstwa raczej, niż zasobno-

ści językowej. Lecz po wykreśleniu tych *bezedni*, język poetycki Tetmajera był-by jeszcze pięknym, a to przeważnie w skutek dążności poety do umysławiania ruchu i ciszy. A i w tym względzie nie jest on rozrzutnym i retorycznym, o ile nie unosi go swada słowa, bujność jego temperamentu. W III-cim tomie tu i owdzie znajdują się takie wyrażenia, nad którymi się czytelnik zatrzyma i lubować niemi będzie, jak jakimiś zwrotami Słowackiego, wtedy naprzykład, kiedy poeta mówi o zmroku, że „się rozpościera dałą, I coraz szerzej idzie, szerzej, I coraz cięższy, gęstszy leży, *Zatopił lasy, zalał góry, Pochłonał ziemię do rubieży, Na niebie oparł się ponury*“. Ale ponieważ wyobraźnia poety dąży tylko do umysłowania pojęć i wrażeń, więc zatrzymuje się z chwilą, gdy cel został osiągnięty, więc nie upęda się za porównaniami, przenośniami nawet szafuje oszczędnie. Lubi ona często tylko opis bez ozdób dekoracyjnych, a dla wyrażenia gry barw posługuje się niemal jedynym środkiem stylowym—określnikami, epitetami... „Wielkie słońce, *zielony* bluszcz i winograpy Plotą po *ciemnych* skałach pachnące namioty, I powoje *liliowe* pną się koło groty, Skąd *leją szafirowe* i *srebrne* kaskady“ i t. d. („W Armadyi“). Tuż obok „wizya lipcowa“; „*Błękitnych* jezior oddalone fale, Na falach słońce *łagodne* i *senne, zielone* gaje, brzozy *srebrnopienne, bladych róż* wieńce i maków *korale*?“... Opis, nic więcej, ale do którego użyto odpowiednych celowi szczegółów plastycznych i kolorystycznych.

Użycie tych, względnie prostych, środków, (o ile, powtarzam znowu, nie unosi poety brawura słowa, wpływ jego temperamentu) i osiągnięcie przez nie wielkiej plastyki i wyrazistości ułatwia ta okoliczność, że poeta lubi symbole, obrazy w wielkim stylu. Po co mu tedy egzaltowanie drobnych rysów? Gdy poeta wprowadzi nas do „martwej puszczy“, roztoczy przed nami „krajobraz polarny“, da nam posłyszeć dźwięk rogu skandynawskiego rycerza, dobywający się z grubej opony północnej, oceanowej mgły... ukazane nam przedmioty, dalekie widnokreśli i rozległe przestrzenie, same przez się w swem oświetleniu fantastycznym ogarną naszą wyobraźnię, wprawiają nas w odpowiedny nastrój... W ten sposób Tetmajer działa na czytelnika przeważnie nie świetnością właściwą stylu, lecz środkami, na wyższą skalę zakrojonymi... Przeczytajcie naprzykład wspomnianą już „Martwą puszczy“. Nie znajdziecie tam pono ani jednego porównania, ani jednej może przenośni, a mimo to, *opis* pozostawia w umyśle czytelnika wrażenie jakiejś przygnębiającej ciszy świata umarłych.

Widzimy tedy, że bezpośrednio uczucia, dość rzadka w dzisiejszej poezji, objawia się nawet w formie, którą poeta ugniata z gliny językowej. Ale co jest siłą Tetmajera, jest zarazem jego oschłością. Jeżeli niechętnie się odwracamy od jego refleksyi, to nietylko dla te-

go, że nie są one samoistnym wytworem jego ducha. Pewna tężyzna myśli, jej kousek wencya, jest niezbędną, jako dźwignia konstrukcyjna, bez której nigdy nie będzie doskonałej całości. Jedyna dotychczas próba stworzenia większej rzeczy — w prozie — nie wypadła pomyślnie. A naprawdę stęsknieni już jesteśmy do *działa*; dość już nam pyłków, skier, tęcz, kamei, drobnostek i t. d., bo pod tym względem Tetmajer jest iście współczesnym poetą. Budzi się też w nas żal z innego powodu. Wielkie dzieło może być stworzone tylko przez myśl wielką... Inaczej będziemy mieli jeno szereg ślicznych niekiedy rzeczy, ale złączonych formalną tylko jednością temperamentu poety. „Niech wiersz twój będzie szczęśliwą przygodą, którą ci wiatru porannego pęd Przywiał z woniami tymianków i mięć“ — powiada Verlaine. Czy Tetmajer wierzy w tę filozofię? Nie wiem, ale jest to filozofia niemocy. Nie chodzi tu o „skwitowanie ze wszelkich idei“, o co autor mocno się obraża. Dla własnego użytku zapewne p. Tetmajer ma jakieś przekonania, być może, bardzo dzielne i sympatyczne. Lecz gdy chodzi o idee, które-by się stały osią życia duchowego, które-by stale zapładniały wyobraźnię i popychały ją do tworzenia, o idee, które-by, fermentując, dążyły do uzewnętrznienia się, do zdobycia ciała — tych dopatrzeć nie mogę w dotychczasowej twórczej działalności poety. A mówiąc o ideach, które-by pożarem powinny objąć duszę pieśniarza, by nasze własne serca u tego ogniska zajęły się jasnym płomieniem, — mówiąc to, nie poczuwam chęci narzucania poecie jakichś określonych, zbitych w formułę teoretyczną, haseł. Niech on je znajdzie we własnym duchu i wypisze na sztandarze, nie chwytając jeno podanego, jak ci poeci, co oddają pieśń w „służbę“ i domagają się natychmiastowej wypłaty brzęczącą monetą ze skarbcza rozczulenia publicznego, i gdyby Tetmajer posiadał mniejszy talent, gdyby nie dostarczał nam tyle przyjemności, ile jej dostarcza, gdyby nie tak oddalone, mroczne, lub jasne perspektywy, w które wpatrujemy się z takim napięciem, zapewne nie nawiedzałyby nas jakieś niewczesne żale, jakieś dziwne wymagania. Zadowolilibyśmy się w zupełności chwilą obecną, smakowaniem dania. Lecz ponieważ jest inaczej, nie możemy nie powtórzyć z goryczą za Rdzawiczem podobno, bohaterem „Anioła śmierci“: lepiej może potrafiemy wszystko zrobić, niż Francuzi, ale gdy oni nam drogę wskażą... Utożsamiając zaś na chwilę Rdzawicza z poetą, niepodobna znowu nie westchnąć: więcej sp dziewaliśmy się po nim, niż istotnie dał...

W ostatnim zbiorze czuć niby lekkie objawy pogłębienia uczucia, jakieś porwy myśli do lotu. Być może, że poeta przeżywa okres fermentacji. W chwili rozpaczki jakiejś, woła „*Vogue la galère!* Do dyabła wiosła! Na bagna z wiosłem fala niosła, więc precz... *Vogue la galère!* Niech płynie łódź! Niech grzęźnie po szczyt rei — Tonący błotem będzie

pluć!“. Wierzmy jednak, że to tylko chwila... Wierzmy i zachęcajmy poetę, by posłuchał głosów, które mu każą „Za ideami lecieć słonecznemi, I zgłuszyć serca krzyk w wielkiej ofierze, I zapomniawszy swojej doli własnej, Niedolom cudzym być, jak Anioł jasny“. I wtedy Psyche „takie światła nowe mu ujawni, Jakich śnić nawet nie zdołałby dawniej, Światy, gdzie wchodzić tylko ci są zdolni, Co poświęcili swoje zmysły Myśli, których duch z ciała się więzów uwolni, Choć odeń jeszcze są śmiercią zawisli“. A wówczas nikt nie powie, iż Tetmajer już cały się wypowiedział, choćby w dalszych seryach dawał nam jeszcze piękniejsze, niż dotychczas, rzeczy. Nie powie, gdyż najpiękniejsze motywy będą jeno zabawką, klejnocikami, na których wprawiała się ręka mistrza. Tem życzeniem i tą nadzieją zakończę, i tu już naprawdę położę punkt.

A. DROGOSZEWSKI.

---

# Ukołysana.

---

Powiew poranka po nocy marzenia  
Coraz to tęskniej i pieści, i chłodzi...  
Coraz to cudniej zdrój szczęścia się spienia —  
Coraz to słodziej, i słodziej, i słodziej...

Coraz to rzewniej czar do snu ją kłoni,  
Coraz to mglściej jej oko się mruży...  
Coraz to tklwiei drży uścisk jej dłoni —  
Coraz to dłużej, i dłużej, i dłużej...

Coraz to bliżej — jej główka zmęczona,  
Coraz to śmielej — na pierś mą się tuli...  
Coraz to ufniej — garnie się w ramiona —  
Coraz to czulej, i czulej, i czulej...

Coraz to rzewniej, i tęskniej, i senniej,  
Coraz to wolniej serduszko jej dyszy...  
Coraz pogodniej, spokojniej, promienniej —  
Coraz to ciszej, i ciszej i ciszej...

B. ADAMOWICZ.

---

# PIŚMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Georg Knoll. Der Feldzug gegen den polnischen Aufstand im Jahre 1794.

Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen. 1898.

1-es und zweites Heft.

Rozprawa powyższa, będąca owocem studyów wyższego oficera piechoty, hr. Kirchbacha, zasługuje na uwagę naszego społeczeństwa choćby z tego względu, że za podstawę naukową służyły jej nie tylko materiały drukowane, ale i dokumenta z archiwum państwowego w Poznaniu, i z archiwum wielkiego sztabu generalnego w Berlinie. Udział zatem wojsk pruskich w kampanii 1794 roku mógł być przez autora przedstawionym dalekoszczegółowiej i dokładniej, aniżeli to miało miejsce w dawniejszych dziełach wojenno-historycznych; dla nas więc tem samem praca Knolla posiada poważną wartość, albowiem prof. Korzon w tomie szóstym swych „Dziejów wewnętrznych za panowania Stanisława Augusta“, opisując kampanię roku 1794, nie był w możności korzystania z archiwów, które autorowi powyższej rozprawy stały otworem.

Z początkiem roku 1794, zdaniem autora, wojskami pruskimi, w ziemiach, zajętych przez Prusy po 1792 roku, dowodził hr. Schwerin, a rezydencja jego znajdowała się w Piotrkowie. Rozmieszczenie wojsk pruskich, szczegółowo przedstawione, wskazuje, że miano na uwadze



oprowadzenie militarne najważniejszych dróg komunikacyjnych i zabezpieczenie spokojnego posiadania zajętego kraju. Jedynie tylko siły wojenne, przeznaczone do obsadzenia świeżo zajętego kraju, były stosunkowo zanadto słabymi, jak o tem mogły przekonać drobne nieporządki, wynikłe w Poznaniu i w Kaliszu w lutym 1794 roku, które też spowodowały wysłanie pięciu szwadronów kirasyerów do Prus południowych. Wojska rosyjskie, pod dowództwem generała Igelströma, liczyły 15,000 głów i znajdowały się przeważnie w Warszawie, lub w pobliskich okolicach tegoż miasta.

Następnie opisuje autor dokładnie teatr wojny 1794 roku, z którego przekonać się można, że z wojskową ścisłością uwzględnione zostały właściwości terenu bojowego. Za bezpośrednią zaś i najważniejszą przyczynę wywołania ruchu zbrojnego uważa autor redukcję wojska polskiego, które z 30,000 żołnierzy miało być zmniejszonym do cyfry 12,000. Oficerowie niżsi w wojsku polskim, należący przeważnie do drobnej szlachty, kupowali zazwyczaj patenta, i redukcya doprowadzała ich do nędzy, wyżsi zaś przywódcy, którzy znaczne summy wydali na formację armii, zagrożeni byli znowu utratą majątku. Wobec tak smutnych ostateczności, postanowił dowódzca brygady kawalerii narodowej, Madaliński, uniknąć redukcji armii i z oddziałem, liczącym 1,200 koni, wkroczył w świeżo zajęte dzierżawy pruskie. Generał-lejtnant Wolki mógł przeciwstawić Madalińskiemu zaledwie 500 koni, rozproszonych na linii, 140 kilometrów liczącej, a skoncentrowaniu szybkiemu i tej skromnej cyfry kawalerzystów pruskich stawały poważne względy na przeszkodzie. Przedewszystkiem generał Wolki nie był w stanie dowiedzieć się od polskiej ludności o ruchach oddziału Madalińskiego, a na domiar złego, rozpuszczoną została fałszywa wieść, że Madaliński pragnie się połączyć z wojskami pruskimi, nie żywiąc względem nich zamiarów nieprzyjacielskich.

Powyższe przyczyny ułatwiły zadanie Madalińskiemu. Posuwał się on szybko od Szreńska do Sochaczewa, rozbijając po drodze drobniejsze oddziały nieprzyjacielskie i zagarniając, gdzie się dało, kasy królewskie. Generał Schwerin, dowiedziawszy się o pochodzie Madalińskiego, zamierzył przedewszystkiem zaskoczyć jego brygadę przy przeprowie przez Wisłę; następnie zaś, gdy się zamiar powyższy nie udał, ułożył plan dognienia polskiej konnicy przy brzegach Pilicy. Wszystkie jednak forsowne marsze wojsk pruskich pozostały bezowocnymi. Madaliński dostał się bez poniesienia poważniejszych strat do Opoczna, a stamtąd przez Końskie i Radoszyce posuwał się ku Krakowowi.

Jak tylko w Berlinie dowiedziano się o marszu Madalinskiego, uznano zaraz niełostatek sił wojennych w Prusach południowych, nakazując hr. Schwerinowi ściągnięcie oddziałów militarynych z pobliskich prowincyi. W końcu marca otrzymał już Schwerin od najwyższego wojennego kolegium w Berlinie rozkaz, aby, zgodnie z życzeniami Igelströma, wystąpił zaczepnie przeciw Krakowowi, i zdusił ruch zbrojny w samym początku. Generał Schwerin nie dał się jednakże do zaczepnego działania nakłonić, usprawiedliwiając swą odmowę tem, że wobec nieprzyjaznego usposobienia ludności Prus południowych, nie może się ze znacznemi siłami od tej prowincyi oddalać. Następnie mobilizacya szląskich i zachodnio-pruskich oddziałów nie następowała tak szybko, jak należało, i nie nadesłano mu ciężkiej artyleryi, bez której trudno mu się było obejść.

Zanim się więc Schwerin zdecydował przyjść w pomoc wojskom rossyjskim, maszerującym ku Krakowowi, stoczona została bitwa pod Racławicami, którą autor szczegółowo i dokładnie opisał. Rezultat materialny owego starcia był niewielki, natomiast moralne następstwa były nadspodziewane, i ludność, pokładając w Kościuszcze zaufanie, poczęła się tłumnie zbiegać do jego obozu. Jakkolwiek w posiadłościach pruskich usposobienie ogólne było dość spokojne, generał Schwerin jednakże, z uwagi, iż do huzarów jego strzelano w małym miasteczku Pilicy, nie dał się do zaczepnego działania nakłonić. Zwłaszcza po Racławickiej bitwie, obawiał się on wkroczenia 15,000 Polaków na pruskie terytoryum i uderzenia na Częstochowę, a podejrzania jego zyskały approbatę w Berlinie, gdzie także podzielano zdanie, że przed przybyciem posiłków wszelkie działanie zaczepne było-by zbyt ryzykownem.

Opisawszy treściwie i dokładnie walkę na ulicach Warszawy, autor powiadamia nas o tem, że jeszcze przed rozstrzygnięciem się ulicznych zapasów, generał pruski, Wolki, posunął się aż do Powązek, i tam zetknął się z polską konnaicą, która za jego zbliżeniem się schroniła się poza osłonę trzech bateryi armat, z którymi zawiązała się wymiana wystrzałów. Położenie wojsk pruskich, zdaniem autora, było bardzo ciężkiem i niedogodnem. Znajdowały się one wobec przeważnej artyleryi nieprzyjacielskiej, a o położeniu wojsk rossyjskich w mieście nie miały żadnej dokładnej i pewnej wiadomości. W takiej sytuacji generał Wolki nie mógł myśleć o posuwaniu się naprzód, i nocował ze swym oddziałem pod Bielawą i Młocinami. Następnie (dnia 18 kwietnia) otrzymał Wolki wiadomość przez rossyjskiego oficera o trudnem położeniu generała Igelströma, i o tem, że w pobliżu Woli znajduje się batalion wojsk rossyjskich wraz z baterią armat. To go skłoniło do

przedsięwzięcia marszu w tym kierunku, ale, zaledwie go rozpoczął, usłyszał silny ogień działowy w stronie Powązek i, zwróciwszy się w tę stronę, spotkał Igelströma, który z 400 żołnierzami zdołał się przerznąć przez wszelkie zapory, poczem obaj cofnęli się ze swemi wojskami aż do Zakroczyimia.

Mobilizacya wojsk pruskich, jak nas autor zapewnia, szła nadzwyczaj powoli, przyczem ani piechoty, ani kawaleryi nie zaopatrzone w odpowiednią amunicyę. Dnia 8 maja rozporządził nowy dowódca pruski, Favrat, 34 batalionami i 28-iu szwadronami, ale batalion liczył zaledwie 650 żołnierzy, a szwadron 130 koni. Do jednolitego działania wojsk sprzymierzonych nie mogło jednak przyjść zupełnie, a to z tego powodu, że brakło zobopólnego zaufania i wiary w to, aby którakolwiek ze stron sprzymierzonych zdołała w imię wielkich celów wspólnych wyrzec się swych własnych i wyłącznych pożytków oraz korzyści. Igelström nie mógł wybaczyć Schwerinowi, że ten nie chciał działać zaciepnie przeciw Kościuszce. Favrat znowu miał pretensye do Denisowa, że ten nie chciał się z nim połączyć, ażeby zdobyć Kraków, główną podstawę działań wojennych Kościuszki. Skutkiem zwlekań Denisowa, Favrat ruszył sam ze znacznym korpusem ku Krakowowi, ale, pomimo łatwego zajęcia Skąły, bronionej przez nieregularne polskie oddziały, Favrat cofnął się znowu do Pilicy, i autor uważa całą ową wycieczkę pruskiego wodza za chybiającą pod względem strategicznym.

Jeszcze większe nieporozumienia między komendami wojsk sprzymierzonych wyniknęły wówczas, gdy Igelström, wezwany przez księcia Repnina, chciał się ze swym oddziałem udać na Litwę, w celu stłumienia roznieconego w tej prowincyi powstania. Przyszło nawet do tego, że Favrat zabronił przemarszu przez terytoryum pruskie wojskom Igelströma, czem naturalnie opóźnił pochód generała rossyjskiego w zamierzonym kierunku. Wkrótce jednak, czego nie dokonało nieporozumienie i niezgoda, to zdziałała niespodzianie twarda konieczność. Gdy bowiem Grochowski, przeprawiwszy się przez Wisłę, złączył swe wojska z siłami Kościuszki, ujrzał się Denisow wobec przeważających sił nieprzyjacielskich, i począł sam szukać wojsk Favrata, który ze swej strony podążał z pomocą zagrożonemu sprzymierzeńcowi. W końcu maja skupiły się nareszcie wojska pruskie i rossyjskie na przestrzeni 20 kilometrów, co dało im możność wzajemnego wsparcia i pomocy na wypadek, gdyby które z nich zostały napadnięte przez Kościuszkę. Dnia 31 maja, wojska polskie, w pościgu za Denisowem, zbliżyły się do Szczekocin, i dowódzca rossyjski wzywał Favrata, ażeby bezzwłocznie atakował Kościuszkę. Autor utrzymuje, że wymaganie Denisowa było zupełnie słuszne i usprawiedliwione położeniem rzeczy, ale Favratem

kierowały względy polityczne, i dla tego odmówił natychmiastowego działania, które obiecywało korzystny rezultat. Favrat mianowicie oczekiwał na przybycie Fryderyka-Wilhelma II i pragnął, aby pod jego dowództwem zostało odniesione zwycięstwo.

Dla osiągnięcia tego teatralnego efektu narażano powodzenie wyprawy. Kościuszko bowiem mógł łatwo pozostawić przed frontem rosyjsko-pruskich wojsk niewielki oddział, a z głównymi siłami ruszyć do Konięcpola i zabrać magazyny wojenne, słabo bronione. Następstwa podobnego wypadku mogły być znowu niefortunne, albowiem, z powodu braku prowiantu, wojska sprzymierzone musiały-by się rozdzielić, coby dało Kościuszcze możność napadania na nie oddzielnie. Kościuszko jednakże, jak autor nadmienia, nie posiadał genialności Fryderyka II, który, zwłaszcza w ostatnich latach siedmioletniej wojny, paraliżował zaczepność nieprzyjaciela zabieraniem mu magazynów. Polski wódz pozostał do dnia 3 czerwca bezczynnym, i nie wyzyskał zwłoki, która mogła dla sprzymierzonych sprowadzić zgubne następstwa.

W dalszym ciągu spotykamy w powyższej rozprawie obliczenie sił wojennych, jakimi Kościuszko pod Szczekociunami mógł dysponować. Cyfry wszakże nie wydają się być dosyć ścisłymi, zwłaszcza te, które wyrażają liczbę włościan uzbrojonych. Za to ma dla nas wartość przyznanie autora, stwierdzające, że wojska polskie składały się przeważnie z nowych zaciągów, niewyćwiczonych i niedoświadczonych w boju, a prócz tego, że brak broni palnej dozwalał uzbroić należycie tylko pierwsze szeregi, drugim można było zaledwie dać kosę w rękę, a trzecim piki. Obliczenie wojsk rosyjskich uzupełnia wykaz sił, które miały się lada chwila zmierzyć na polach szczekocińskich.

Król Fryderyk Wilhelm II, przybywszy wraz z synem Ludwikiem do wojsk, nie mógł się zdecydować na wystąpienie zaczepne przeciwko Kościuszcze. Oczekiwał on jeszcze na przybycie konnych baterji, i nosił się z planem osłabienia sił Kościuszki w ten sposób, że oddział wojsk pruskich, wysłany do zajęcia Warszawy, miał skłonić polskiego wodza do rozdziału swych wojsk, a to w celu zasłonięcia zagrożonej stolicy. Podług obliczeń króla pruskiego, 9 ty czerwca był wskazany jako termin wystąpienia zaczepnego wojsk sprzymierzonych, tymczasem niespodziewana okoliczność przyspieszyła walkę. Dnia 5 czerwca Denisow zawiadomił główną kwaterę pruską, że polskie wojska wystąpiły przeciwko niemu zaczepnie i odparły jego przednie strażę, zmuszając go do połączenia się z oddziałem Chruszczowa. Wiść powyższa skłoniła króla pruskiego do tego, że rozkazał wojskom swym

po południu wyruszyć do Szczekocin i przygotować się do wydania bitwy w dniu następnym.

Dnia 6 czerwca o godz. 6 rano nadeszła do głównej kwatery pruskiej wiadomość, że wojska polskie usadowiły się mocno na zachód od Rawki. Armia sprzymierzona, a przedewszystkiem wojska rossyjskie rozwijać się musiały wobec nieprzyjaciela w bardzo trudnych warunkach, przeprować się bowiem musiały przez most na Pilicy i przez błotniste łąki, co kosztowało przedewszystkiem dużo czasu. Gdyby też Kościuszko niespodzianie zaskoczył wojska rossyjskie, mógł je wepchnąć w błota i pobić wcześniej, zanim-by prusacy zdołali przyjąć udział w bitwie. Wódz polski nie uczynił tego jednak, a autor tłómaży jego zaniedbanie tą słuszną uwagą, że przejście do zaczepności z raz obranych i zajętych stanowisk jest możliwem jedynie dla doświadczonych i zupełnie wyćwiczonych wojsk, jakimi Kosciuszkiowskie szereg nie były, a przytem Kościuszko nie miał wystarczających sił do wykonania ruchu zaczepnego z powodzeniem.

Szczegółowy opis bitwy Szczekocińskiej zasługuje na uwagę ze względu na swą dokładność. Autor krytykuje jasno i logicznie obie strony wojujące, a komendzie sprzymierzonych ma do zarzucenia, że nie zdołała zapobiedz temu, iż Kościuszko cofnął się do tych części kraju, w których ruch rewolucyjny był już zorganizowany. Jedynie można autorowi zarzucić, że w ocenie waleczności wojsk walczących nie był zupełnie bezstronnym. Nie zapominając bowiem o odznaczeniu się księcia Ludwika pruskiego na czele pułku jazdy, autor nie wspominał nic o tem, jak bataliony pruskie pierzchnęły przed kosynierami, i jak się następnie jazda pruska męczyć musiała, zanim się jej udało zmusić ich do odwrotu. Tymczasem fakta powyższe przytoczone zostały przez urzędowego historyka, Sybela, któremu również wszystkie tajne archiwa pruskie stały otworem.

Następny opis drobnych walk, które zmusiły Kościuszkę do zamknięcia się w Warszawie, jest bardzo szczegółowy i dokładny. Dowiadujemy się od autora, że opasanie Warszawy przez wojska sprzymierzone szło bardzo powoli i z trudnością. Dnia 6 lipca generał pruski, Elsner, zaczął, wbrew woli króla pruskiego, korpus księcia Józefa Poniatowskiego, i został przez niego pobity pod Błoniem; zwycięstwa swego Poniatowski należycie wyzyskać nie zdołał, albowiem musiał połączyć się z innymi oddziałami, cofającemi się do Warszawy. Ludność Warszawy dochodziła wówczas do 75,000, a siły rozporządzałne do obrony miasta wynosiły 45,000 piechoty i 2,000 jazdy, ale wojsk liniowych było zaledwie około 15,000, a reszta składała się ze zbieralniny, która, pod względem bojowym niewielką przedstawiała wartość

Armat miało wojsko polskie posiadać aż 400, i to po większej części ciężkiego kalibru. Wojska sprzymierzone liczyły 20,000 żołnierzy pruskich, 13,000 rossyjskich. Przewaga sił wojennych była zatem niewątpliwie po stronie sprzymierzonych, tylko, jak autor zapewnia, nie tak się rzeczy miały z artylerją, która była po stronie polskiej liczniejszą, i ten wzgląd uniemożliwiał sprzymierzonym przejście szybkie do kroków zaczepnych.

Autor zapewnia nas jednak, że król pruski myślał poważnie o zaskoczeniu miasta nagłym i niespodzianym napadem. Książę Nassau tylko, działający w interesie Rossyi, odwiódł go w ostatecznej chwili od tego zamiaru. W każdym razie generał Elsner próbował z swym oddziałem powodzenia pod Młocinami, ale zastał Kościuszkę przygotowanego na jego przyjęcie, i z rozkazu króla przerwał bój, który bynajmniej nie był dla niego pomyślnym. Zresztą wojska sprzymierzone straciły nadaremnie czas, w którym można było zaskoczyć Warszawę. Do tego przyczyniło się po części złudzenie króla pruskiego, że Kościuszkę opuści miasto, a mieszczaństwo, pozostawione samo sobie, podda się sprzymierzonym bez żadnego krwi rozlewu.

Trzeba więc było przystąpić do mozolnego i uciążliwego oblężenia Warszawy. Nieustające mniejsze potyczki i starcia, które od czasu do czasu przeistaczały się w zwykłe potyczki, opisane zostały przez autora z dokładnością godną zaznaczenia. Z opisu powyższego przekonywamy się, że nie tylko piechota liniowa, ale i jazda polska spełniała swój obowiązek należycie, i że niejednokrotnie z wytrwałością, godną starych i doświadczonych wojsk, występowała zaczepnie przeciwko przemagającemu nieprzyjacielowi. Zanim też wojska sprzymierzonych zdołały się uporać z Warszawą, wybuchło powstanie Wielkopolsce. Wieść o niem skłoniła króla pruskiego do szturmowania Warszawy, między 26 a 28 sierpnia. Plan szurmu był jasnym i obiecywał jak najlepszy skutek, ale w ostatecznej chwili generał Schwerin przedstawił królowi niedostatek zapasów amunicyi, zwracając uwagę na coraz to więcej wzrastające powstanie w południowych Prusach. Skutkiem tego król pruski zdecydował się porzucić zupełnie oblężenie Warszawy i głównymi siłami zgnieść powstanie w południowych Prusach.

Cofające się wojska sprzymierzonych musiał Kościuszkę pozostawić w spokoju. Siły jego zbrojne stopniały do 18,000, a Prusacy, zdaniem autora, ponieśli podczas oblężenia straty, zaledwie półtora tysiąca ludzi wynoszące. Niepowodzenie pod Warszawą przypisuje autor rozlicznym powodom. Rossyjski oddział niechętnym był wprawdzie szturmowi, a i błędy wodzów pruskich oraz nieumiejętność ich

w wybieraniu należytych punktów ataku nie małą odegrały rolę. Generałowi Dąbrowskiego przyznaje autor zasługę umiejętnego bronięcia lewego skrzydła przed atakami wojsk rosyjskich.—Wyprawę Dąbrowskiego do Wielkopolski opisał autor szczegółowo i dokładnie, przyznając temu generałowi zdolność organizacyjną i talent strategiczny. Walki Dąbrowskiego z Szekulinem i wzięcie szturmem Bydgoszczy opowiedziane zostały w sposób interesujący. Szkoda tylko, że autor nie podaje ostatecznej straty wojsk pruskich. Wzmianka bowiem, że Prusacy zdołali uratować dwa działa w Bydgoszczy, nie objaśnia nas o tem, ile ich pozostało w ręku wojsk polskich. Tak samo oświadczenie, że z batalionu Pirch pozostało tylko 2 oficerów i 4 żołnierzy, nie objaśnia nas o wysokości ostatecznej straty w ludziach. W każdym razie i z tego, co autor przytoczył, przekonać się łatwo, że w szturmie Bydgoszczy wojska pruskie straciły znacznie więcej ludzi, aniżeli w bitwie pod Szczekocinami; co się zaś tyczy armat, to prawdopodobnie pozostawili na placu tyle przynajmniej, ile ich zdobyli pod Szczekocinami.

Po klęskach, jakie poniosły wojska polskie w starciach z wojskami Fersena i Suworowa, nie pozostawało Dąbrowskiemu nic innego do zrobienia, jak opuścić Bydgoszcz i zbliżyć się do Warszawy. Król pruski polecił specjalnie generałowi Schwerinowi zniszczenie oddziału Dąbrowskiego, zanim zdoła przemknąć się ku Warszawie. Tymczasem Dąbrowski zdołał zniweczyć wszelkie plany nieprzyjaciela i bez poważniejszych strat z całym oddziałem uszedł pruskiej pogoni.

Opisując starcia się wojsk rosyjskich z polskimi, autor był treściwszym, i znać było z opowieści, że archiwa państwowe rosyjskie pozostały mu obcemi. Co się jednak tyczy działalności wojsk pruskich w 1794 r., to przyznać trzeba, że ją przedstawił z dokładnością wzorową, której za podstawę służyły sumienne studia fachowe. Stosunkowo też niewiele znajdujemy przekręconych nazw polskich miejscowości lub nazwisk polskich wyższych oficerów. Z dokumentów wprawdzie nie archiwalnych, lecz w każdym razie poważnych, nie spotkałem w powyższej pracy uwzględnionego memoriału Favrata, który odawna został wydrukowanym. Ze względu zaś na stanowisko, jakie wówczas Favrat zajmował, lekceważyć, czy też pomijać jego memoriału, jako dokumentu historycznego, nie należało.

Z krytyki działań obu stron walczących przekonać się łatwo, że autor z nauką wojskowości zapoznał się należycie, i że zarzutu powierzchowności w sądzie uczynić mu nie można. Tendencyjności w poglądach również nie spostrzegam i jedynie ten objaw zaznaczyć winienem, że autor, olśniony sławą fryderykowskiej armii, okazał się

zbyt wrażliwym na mniej świetne czyny wojska pruskiego w 1794. Kiedy też zazwyczaj wojska polskie uciekają w nieładzie, wojska pruskie przerywają walkę z rozkazu króla i koncentrują się naturalnie na własnych tyłach. Niepowodzenie oblężenia Warszawy przypisane jest przewadze polskiej artylerii, kiedy tymczasem przewaga owa była zmyśloną, gdyż, jak to Korzon dowodzi w tomie 6 swych dziejów wewnętrznych, cała artyleria polska liczyła niespełna 200 armat, a więc fortyfikacje Warszawy nie mogły być przez 400 armat broniemi.

A. REMBOWSKI.

---

Stanisław Estreicher: „Ustawy przeciw zbytkowi w dawnym Krakowie“.  
Kraków, 1998.

Rozprawa p. Estreichera daje nam obraz bardzo dokładny, a pełen interesujących szczegółów urządzeń zbytkowych w dawnej Polsce. Bo choć tu mowa tylko o Krakowie, to przecież dawny Kraków jest tylko tłem, na którym autor daje obraz i myśli, i poglądów na zbytek, i nakoniec walki ustawodawczej ze zbytkiem.

Zdaniem autora, zbytek jest przeżytkiem dawno minionej epoki gospodarstwa naturalnego. „Wówczas bowiem jednostka ekonomiczna (ród, gmina), produkująca ponad własną potrzebę, nie miała albo żadnej, albo przynajmniej bardzo rzadką sposobność pozbycia nadwyżki swojej produkcji. Zbytek więc w tej epoce nie spotyka się z potępieniem u współczesnych. Dopiero gdy następuje zmiana systemu gospodarczego, gdy gospodarstwo pieniężne otwiera sposobność do puszczania w ruch nagromadzonego kapitału i zużycia nadmiaru produkcji z korzyścią dla całego społeczeństwa, postulaty etyki, potępiającej zbytek w zaspakajaniu potrzeb ponad miarę przeciętną, znajdują od-tąd chętny oddźwięk w ustawodawstwie, które walkę zbytkowi wy-powiada.

Zapatrywanie to, o ile stara się wytłómaczyć zasadniczą ewolu-lucję, zaszłą w poglądach społeczeństwa na zbytek, jest niewątpliwie zupełnie racjonalne. Kwestyi zbytku nie rozjaśnia jednakże dostate-



cznie. Wszak ten „przeżytek kulturalny“ istnieje i obecnie w całej pełni, istniał też i dawniej, i to w najrozmaitszych środowiskach społecznych. Zbytek jest raczej głównie momentem przeciwdziałającym w ciągłej demokratyzacji potrzeb, która znów jest wynikiem dążeń imitacyjnych, istniejących zawsze i wszędzie, choć niedziałających wszędzie z jednakową siłą, i nieobjawiających się zawsze w jednej i tej samej formie.

Walka przeciw zbytkowi sięga już odległej starożytności. Pliniusz, Seneka, św. Augustyn, Tertulian, św. Ambroży i św. Chryzostom, ci wszyscy podejmują walkę ze zbytkiem, nie licującym bynajmniej z postulatami etyki. Z czasem Kościół, a potem i państwo. występują jako reprezentanci podniosłej zasady ekonomicznej przeczności i indywidualnego umiarkowania. W szerszych rozmiarach rozpoczyna się ta walka w XII w., w prawie miejskim najpierw we Włoszech, później we Francji i w Niemczech, a z czasem przedostaje się ona i do nas. Autor, który przedstawia głównie prawo krakowskie opiera się na kilku dokumentach, zamieszczonych w kodeksie dyplomatycznym m. Krakowa (wyd. prof. Piekosińskiego), i na wilkierzu z roku 1378, zamieszczonym w Ambrożego Grabowskiego „Starożytnych wiadomościach o Krakowie“ z roku 1852.

W trzech kierunkach prowadził walkę przeciw zbytkowi średniowieczny Kraków: przeciw grom, przeciw strojom zbytkownym, jak i nakoniec przeciw zbytkowi — przy sposobności zaręczyn, wesel, chrzcin i wywodzin.

Zakazy zbytkowe poparte są surową sankcją karną. Rada i cechy ogłaszają swoje zakazy zazwyczaj pod grozą wyznaczonej z góry kary pieniężnej, lub zaboru zabronionego przedmiotu, wyjątkowo tylko zostawiając wysokość kary do uznania rajców. Za winnym przekroczenia takiego zakazu zbytkowego nie wolno się wstawiać, wstawiający się bowiem ulegnie tej samej karze, co winny.

Zakazy te zbytku, jako takiego, nie wykorzeniły; nie mniej przeto zdaje się być faktem, że usunęły one przynajmniej najbardziej rażące jego objawy. Niepodobna zaprzeczyć, że są one zwiastunami i krzewicielami pewnych cnót gospodarczych, które od tego czasu zapuszczają w społeczeństwie coraz to głębsze korzenie, choć i dziś nawet nie zdołały się przyjąć z dostateczną siłą.

Z nową rolą występuje ta walka przeciw zbytkowi w wieku XVI. Kierunki reformacyjne zwłaszcza uderzają bardzo ostro na to, „jak po błazeńsku tracimy to, co nasze“ (Luther Trochreden). A za protestan-

cką idzie w szybkim tempie literatura moralna katolicka. Te prądy odbijają się i u nas.

Więc Modrzewski i Rej z jednej strony, Kochanowski, Zbylitowski, Powodowski, Sokołowski i Skarga z drugiej,—dla nich wszystkich zbytek jest „grzechem, utratą, próżnością“.

Ale i inna jeszcze okoliczność wpływa na spotęgowanie się, a po części na modyfikację tych dążeń. Gdy szlachta przemienia się w kupców i ratali, sprzedających woły na Szląsk, lub zboże do Gdańska, a nabywających w zamian za to potrzebne im wytwory w wielkich ogniskach handlowych, ustaje i u niej dawna prostota wraz z możliwością zaspakajania potrzeb ekonomicznych w obrębie własnego gospodarstwa. Z jednej więc strony jest brak własnego przemysłu, a z drugiej napływ ogromnej ilości kruszców z krajów nowo-odkrytych, sprawdzający w całej Europie rewolucję cen targowych, powoduje w Polsce niebywałą drożyznę, szczególnie towarów cudzoziemskich. Literatura ekonomiczna polska przypisuje ten fakt fortelom i zdzierstwom kupieckim. Ustawodawstwo sejmowe XVI i XVII wieku oddaje sprawę uregulowania cen targowych w ręce wojewodów i kommissyi szacunkowych, chcąc ją w ten sposób usunąć z pod wpływu sfer kupieckich. Ale i zawiść klasowa czyni tu swoje. Więc zakazy zbytkowe ogólne usuwają się na drugi plan, głównie zaś chodzi teraz o zbytek „plebejuszy“. Przytem, wydanie zakazu używania ubrań zbytkowych przez nieszlachtę usuwało konkurencyę w konsumcyi, i powinno było wpłynąć, według ówczesnych wyrachowań, na potaniecie przedmiotów, dla użytku szlachty zastrzeżonych. Skutku, zamierzonego przez to postanowienie, oczywiście nie osiągnięto. Towary nie potaniały, bo inne zupełnie okoliczności były przyczyną wzrastającej coraz bardziej drożyzny. Gdy z czasem coraz jaśniej i silniej występuje i u nas merkantylizm, społeczeństwo coraz bardziej „przychodzi do przekonania, że zbytek, polegający przede wszystkim na używaniu towarów cudzoziemskich, ze względu na ogólny rozwój gospodarstwa krajowego, godnym jest potępienia. Ustawodawstwo zbytkowe objawia się teraz w formie zakazów przewożenia artykułów zbytku i ceł na niektóre towary zbytkowe. Niestety, nie przeprowadzono u nas tego postulatu w sposób tak stanowczy, jak to miało miejsce za granicą. I gdy tam w formy i instytucje już dawniej istniejące tchnięto nowego ducha, a prawa zbytkowe motywowano obecnie chęcią niedopuszczenia wywozu pieniędzy z państwa; to u nas społeczeństwo szlacheckie przez cały wiek XVII nie zdaje sobie sprawy z istotnej doniosłości, jaką-by mogły one posiadać, jako narzędzie zgodnej z duchem czasu polityki ekonomicznej. Dopiero głos Staszycza: „Prawo oszczędnicze z zakazem używa-

nia materyi jedwabnych, sukien cudzoziemskich, nietylko ustanowione ale i surowo wykonane, utrzyma fabryki krajowe“, był zaczątkiem nowej epoki. Ustawy z lat 1776 i 1780 przeciw zbytkowym towarom zagranicznym idą w myśl życzeń Staszycza. Niestety, już było zapóźno.

Otóż treść rozprawy p. Estreichera. Piękny język, wyzyskanie wszelkich możliwych źródeł, przedstawienie rzeczy na szerokiem tle stosunków europejskich—wszystkie te okoliczności składają się na całość ze wszech miar udatną.

---

Adam Krzyżanowski: „Zakładka na sprzężaj w Pabianicach. Przyczynek do dziejów kredytu włościańskiego w XVIII wieku“. Kraków, 1897.

Dzieje gospodarstwa społecznego w Polsce, dotychczas prawie nieopracowane, zostały obecnie wzbogacone nader cennym i uwagi godnym szczegółem. Autor omawia mianowicie instytucję Kasy Pożyczkowej, ufundowanej przez Kapitułę krakowską w jej obszernych dobrach, w Pabianicach, na wniosek kanonika Jordana, w roku 1715. Kasa ta udzielała pożyczek na zakupno była roboczego, więc na cele wytwórcze. Pożyczek tych udzielano jedynie za poręką, albo poszczególnych członków gromady, albo gromady, jako takiej. Miały one w razie otwarcia konkursu nad majątkiem dłużnika pierwszeństwo przed innymi pożyczkami. Od egzekucyi wyjęto sprzęty, do roboty należące. Odsetków od pożyczek nie pobierano. Ogólny kapitał obrotowy wynosił przez czas, o którym zachowały się źródła, 19,389 złp. Wysokość pożyczek wynosiła przeciętnie 30 złp. Pożyczki spłacano zazwyczaj w trzech równych ratach. Zarząd sprawowali miejscowi niżsi urzędnicy administracyjni, pod nadzorem Kapituły. Nadzór ten jednak nie był dość ścisłym, z czego z czasem wynikły znaczne nieporządki.

Motywym założenia tej Kasy były zresztą nie tyle względy socyalno-polityczne, ile raczej okoliczność, że, w razie upadku swego gospodarstwa, włościanin przedstawiał o wiele mniejszą ratę podatkową.

Instytucya, opisana przez pana K., zasługuje na uwagę nie tylko dla tego, że posiada wiele cech ściśle nowożytnych, ale i z tego względu, że nie spotykamy się z tego rodzaju urządzeniem podówczas nawet za granicą.

I tam wprawdzie istniały Kasy pożyczkowe, ale udzielały one pożyczek jedynie tylko na cele spożywcze, a pomijały zupełnie wzgląd na podniesienie gospodarstwa zarobkowego dłużników.

---

Dr Witold Skarżyński: „Mikołaj Machiavel a Andrzej Frycz Modrzewski“  
(Roczniki Towarzystwa przyjaciół nauk Poznańskiego, tom XXIV,  
Poznań. 1898, str. 487 — 523).

Już kilkakrotnie wzniosła postać polskiego statysty była przedmiotem roztrząsań w naszej literaturze naukowej. Ossoliński, Matecki w roku 1886, Tarnowski—oto nazwiska historyków literatury, którzy zajmowali się tym przedmiotem. Obecnie przybywa do ich szeregu prawnik, p. Skarżyński. Temat jego pracy jest ściślej określony, zajmuje się bowiem stosunkiem Modrzewskiego do Machiavela, więc istotą poglądów jednego i drugiego, ich znaczeniem teoretycznym i ich wpływem praktycznym. Dążąc do zjednoczenia Włoch i do oswobodzenia ich od obcych najezdców, szukał Machiavel sposobu, który-by był w tym względzie najskuteczniejszy, i doszedł do przekonania, że tylko bezwzględne, żadnymi środkami nie gardzące postępowanie, może doprowadzić do pożądanego celu. Wzorem dla niego i jego ideałem był niekczemny Cezar Borgia, a gdy ten upadł, tym, dla którego napisał swego „Księcia“—młody Medyceusz. Ideału swych marzeń nie widział spełnionego, zjednoczenie Włoch nastąpiło dopiero w XIX wieku, i doszło do skutku w sposób cokolwiek inny od sposobu, doradzonego przez Machiavela. To, co politycy czynili i przed nim, to odsłonięcie ich niskich instynktów i niemoralnych praktyk, nie tylko nie posłużyło do oczyszczenia atmosfery w polityce międzynarodowej i państwowej od lat 350, lecz wprost przeciwny wywarło skutek. Prawie wszyscy późniejsi dyplomaci i mężowie stanu, czy koronowani, czy niekoronowani, są w tym kunszcie politycznym poniekąd uczniami Machiavela. Ni-

gdy nie był on jednakże i nie mógł być przewodnikiem ludzkości do wyższych celów i do uczciwszych sposobów działania w polityce. Duchem takim, mniej trzeźwym, przenikliwym i praktycznym, lecz o całe niebo moralnie wyższym, był Frycz Modrzewski. Śródownisko społeczne i polityczne, w którym się obracał Frycz Modrzewski, było zupełnie inne, niż to, w którym się znajdował Machiavel. Tutaj była konieczną przedewszystkiem reforma społeczna. Cała potęga polityczna bowiem zogniskowała się w jednym stanie: stan szlachecki wyrósł innym stanom i władzy królewskiej ponad głowy. To też Modrzewski domaga się stanowczo i energicznie zniesienia przywilejów, zrównania stanów wobec prawa, jest to więc program, zrealizowany znacznie później, bo dopiero przez rewolucję francuską. U Modrzewskiego znajdujemy też zupełnie nowożytnie pojęcie *organizmu* państwowego. „Albowiem Rzeczpospolita jest jakby *jedno zupełnie zwierzęcia któregośkolwiek ciała*, którego żaden członek sam sobie nie służy, ale i oko, i ręce, i nogi, i wszystkie inne członki, jakoby wspólnie o sobie radzą, a urzędu swego tak używają, aby się wszystko ciało dobrze miało“. Z tego pojęcia wychodząc, musiał też Modrzewski dojść, że w obecnej swej formie Rzeczpospolita polska nie była wszystkich obywateli społecznością, skoro pełnymi obywatelami tej społeczności była tylko szlachta i duchowieństwo. Niemoc najliczniejszych zaś i najprodukcyjniejszych stanów w narodzie prowadziła—zdaniami Modrzewskiego—w ostatecznym wyniku do politycznego ubezwładnienia całej Rzeczypospolitej. Myśli to więc bardzo postępowe, mogące stanowić chlubę naszego piśmiennictwa. W jednym jednakże względzie pomylił się Modrzewski, w tem mianowicie, że uchylenie nieuzasadnionych przywilejów nigdy nie występuje z łona tych-że warstw uprzywilejowanych samych na drodze reformy, lecz tylko w drodze zamachu stanu, lub rewolucyi. Przyczyny tej nie uważa jednak autor za stanowczą, dodaje bowiem, że głównie górowanie kwestyi religijnych nad wszystkimi innymi, rozdział, który nastąpił między dysydentem, Modrzewskim, a narodem, spowodowały, że postulaty Modrzewskiego dopiero po dwóch wiekach, choć już zapóźno, zostały urzeczywistnione.

Skoro jednakże ta przyczyna była rzeczywiście słuszną, jakżeż wobec tego przyznawać wpływ stanowczy i okoliczności poprzednio wymienionej? Wszak niesłuszności tego zapatrywania zasadniczego dowodzą właśnie dzieje samej-że Polski XVIII wieku. Zapewne, że interes klasowy jest czynnikiem, utrudniającym przeprowadzenie reformy społecznej, ale nie nie umożliwia jej znów w zupełności.

Przechodząc do porównania Machiavela z Modrzewskim, autor dochodzi do cokolwiek odmiennych rezultatów, niż prof. Tarnowski,

sądzi bowiem, że Modrzewski, w przeciwstawieniu do Machiavela, nie był tylko teoretykiem, jak twierdzi Tarnowski, że, owszem, projekty jego zasadniczo mogły-by były być wykonane, a tylko z powodów, powyżej wymienionych, nie stały się rzeczywistością; że, nakoniec, polityka państwowa i międzynarodowa przejęta jest wprawdzie duchem Machiavela, nie jest rzeczą niemożliwą jednak, by nie mogła być przejęta duchem szlachetniejszym.

Z. GARGAS.

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Spółceństwo nasze na polu walki ekonomicznej przypomina nieco z dawnych czasów przesławne wyprawy ruszenia pospolitego. Pełno u nas wrzawy i krzyku, i hasła, i buńczuczności, i przeciwnej jej żółciowej krytyki robót i dróg, jakimi się społeczeństwo najpilniej ma zająć. Właśnie tak hałasowali „panowie bracia“ na owych wyprawach. Ogromnie dużo robi się „na ochotnika“. Nieraz, ni stąd ni zowąd artysta, lub literat stają na czele przedsięwzięć, które są stworzone dla wrodzonych przemysłowców lub aferzystów. Robią to oczywiście przez poczucie obowiązku, dla rozgrzania i zachęcenia ospałego ogółu.

Od czasu do czasu—znowuż na ochotnika—wybiera się jakiś podjazd teoretyczno praktyczny, który chciał-by zbadać tę lub ową dziedzinę, wytknąć jakąś nową drogę. I znowu zapisują się tu artyści, literaci, urzędnicy—kto żyw śpieszy z dobrą wolą, i często, niestety, jeszcze śpieszniej wraca z rozczarowaniem. Dużo wreszcie wychodzi „na harcownika“ ot tak, żeby tylko „podnieść“ tę czy inną kwestyę, lub „zaznaczyć“ ten lub ów fakt. Już to podnoszenia i zaznaczania mają

u nas powodzenie i, kto wie, czy nie są zmodernizowaną formą, t. zw. dobrych chęci.

Taki stan rzeczy nie jest zresztą czemś beznadziejnie smutnem. Jest to stan przejściowy społeczności, która w zakresie inicjatywy i pracy przemysłowej lub handlowej jest, bądź co bądź, młoda. Jednakże życzyć trzeba, ażeby ten stan przemijający jak najprędzej przeminął. Pospolite ruszenie na żadnym polu nie dotrzyma kroku armii regularnej, nie dotrzyma go więc i na polu walki ekonomicznej. Wiemy, jakie zorganizowane, wyćwiczone kadry posiada taka armia przemysłowo-handlowa niemiecka, angielska, francuska.

Na razie jedną z najpilniejszych u nas potrzeb jest wprowadzenie pewnej „planowości“ w naszym życiu ekonomicznem. Dla przykładu weźmy parę spraw z chwili bieżącej. Niema dnia prawie, który-by nie przynosił nowej wiadomości o przedsiębiorstwach i instytucjach w kraju, które były do zrobienia, do podjęcia, ale... właśnie zajął się tem syndykat belgijski, przemysłowiec berliński i t. p. Raz chodzi o jakąś linię kolei przemysłowej, to znów o belgijską fabrykę obuwia warszawskiego, to znów o jakąś zyskowną dostawę i t. d.

Zapewne, że przyczyn, powodujących takie dystansowanie sił miejscowych przez siły obce, jest bardzo wiele. Raz wpływa tu stopa procentowa: stopa ta jest naprzykład bardzo zyskowna w porównaniu z niskim procentem zagranicy — dla tego przyciąga obce kapitały, podczas gdy miejscowe wołają szukać lokat zyskowniejszych. Drugi raz wpływa oplakany brak fachowców miejscowych, lub znowu jakieś specjalne stosunki i fawory u sfer decydujących. Powtarzamy: przyczyn jest dużo i nawet z góry wiemy, że wszystkich zwalczyć nie potrafimy. Są jednak punkty, gdzie inicjatywa zbiorowa i samopomoc ogromnie dużo zdziałać może.

Po pierwsze: od nas w znacznej mierze zależy przełamać nieufność i ociężałość kapitałów krajowych, które wołają gnuśnieć w postaci oszczędności, niż się ryzykować w obiegu ekonomicznym.

Po wtóre — od nas zależy zdobycie i rozszerzenie w kraju lepszych niż posiadamy na ogół informacji o potrzebach kraju, o przedsiębiorstwach do stworzenia, drogach handlowych do wyzyskania i t. p.

Po trzecie wreszcie — od nas w znacznej przynajmniej mierze zależy wytworzenie sił specjalnych, które-by już nie „na ochotnika“, lecz stale i fachowo wykonywały rekonesansy nowych dziedzin, wytykały nowe drogi, prowadziły słowem kampanię ekonomiczną.



Co do pierwszego punktu, to wiąże się on jak najściślej z dwoma drugimi. Kapitały chętniej będą przystępowały do przedsięwzięć, jeżeli wiadomości o nich będą się szerzyły nie po niewczasie, jeżeli wiadomości te będą miały charakter wskazówek solidnych i praktycznych. Z drugiej strony — im więcej będzie w kraju sił fachowych, tem ufniej kapitały oszczędnościowe będą względem nich się zachowywać.

Punkt drugi stał się obecnie, o ile nam wiadomo, programem nowo utworzonej delegacyi handlowej przy Warsz. Tow. pop. przem. i handl. Delegacya ma na celu zbadanie naszych potrzeb, a następnie szerzenie informacji o nich i inicjatywy, jak w danym wypadku, przeważnie handlowej. Tu zwrócimy uwagę, że prasa może odegrać wielką rolę w tej sprawie. Jeżeli pisma amerykańskie, niemieckie, angielskie mogą przeprowadzać olbrzymie ankiety ekonomiczne lub naukowe na własną rękę i z doskonałym rezultatem, to nie widzimy powodu, dla czego-by prasa nasza nie miała w szcuplejszym, sobie dostępnym, zakresie, pójść za tym przykładem. Wysłanie własnym kosztem fachowca do zbadania jakiegoś rynku dalekiego a nam dostępnego, jakiejś przypiśnianej kolonii polskiej w Brazylii, nie przekracza, jak sądzimy, środków niektórych naszych organów. Sądzimy, że ankieta choćby w sprawie obuwia, na dobre obecnie będąca, więcej da społeczeństwu i nie więcej kosztować będzie pismo, jak np. jakaś ankieta, karnawałowa. Dalej prasa powinna mieć więcej czucia z instytucjami, w rodzaju delegacyi handlowo-geograficznej, i nie ograniczać się stereotypowem sprawozdaniem „z posiedzenia“, lecz w dalszym ciągu rozrabiać i rozwijać roboty instytucyi przez dobre informacje, przez ankiety, przez korespondencye z prowincyi, przez artykuły fachowe, teoretyczne i praktyczne i t. d.

Sądzimy, że przy połączonych usiłowaniach takich towarzystw i prasy, społeczeństwo nasze będzie wreszcie informowane o swych sprawach przynajmniej równie szybko, jak np. przedsiębiorcy belgijscy, i że informacje te będą źródłowe i sumienne.

Punkt trzeci wymaga pewnych zastrzeżeń. Wyrobienie sił fachowych dla pracy ekonomicznej jest właściwie sprawą, która postępuje współzależnie z rozwojem samych stosunków ekonomicznych. Ależ tu stworzenie zakładu fachowego np. może ogromnie przyspieszyć wyniki owego ślepego procesu. Rozumiemy dobrze, jaką doniosłość może mieć dla kraju taka politechnika — politechnika jednak nie wyczerpuje kwestyi.

Jesteśmy bardzo źle uposażeni pod względem kształcenia handlowego, a politechnika tego wydziału właśnie nie posiada. Istniejąca szkoła handlowa nie stoi na poziomie wymagań — akademii zaś handlowej nie stworzymy tak prędko. Tymczasem potrzeb pilnych, którym tylko fachowo ukształceni pracownicy zaradzić mogą, mamy coraz więcej w dziedzinie samego handlu. Co więc ma robić społeczeństwo w takim stanie rzeczy?

Powinno ono, zdaniem naszym, świadomie i planowo, propagować ruch w kierunku dla siebie pożądanym. Lecz nie dość tu zachęcać młodzież do studyów handlowych, nie dość wskazywać kwestye ważne, czekające na opracowanie.

Trzeba jeszcze materyalnie poprzeć taką propagandę ideową. Jeżeli uważamy, że wyższe kształcenie handlowe jest nam potrzebne, że należy zbadać rynek wschodni, kolonie brazylijskie, kwestyę stosunków handlowych z Galicyą i t. p., to powinniśmy do każdej z tych robót znaleźć zdolną siłę i dać jej oparcie materyalne do przeprowadzenia pracy.

Innemi słowy: jedną z najpilniejszych potrzeb jest stworzenie kilkunastu stypendyów i zapomóg, na specjalne lub ogólne kształcenie handlowe przeznaczonych.

Jest to konieczne i wszelkie kazania o naszych potrzebach handlowych, nie poparte takim czynem, pozostaną wołaniem bez echa. Przedsiębiorstwa handlowe, już istniejące, mają przedewszystkiem swój własny interes na względzie. Interes ten często nawet może iść w kierunku wręcz przeciwnym, niż interes społeczeństwa. Dla tego też społeczeństwo powinno korzystać z sił młodych, niezangażowanych jeszcze we własne przedsiębiorstwo; powinno dawać im i moralną, i materyalną podstawę do pracy na nowych drogach.

Kwestyę tę polecamy uwadze nowo powstałej delegacyi handlowo-geograficznej, prasie, oraz ludziom dobrej woli, którzy chcieli-by czynnie poprzeć taką inicjatywę.

\*

\*

\*

Kronikę naszego życia wzbogacił w miesiącu ubiegłym karnawał. Możemy być dumni z jego rezultatów, nowa bowiem gałąź wiedzy, którą stworzyliśmy genialnie między jedną a drugą maskaradą, mianowicie statystyka karnawałowa, uczy nas, że w samej Warszawie odbyło się około 50 bałów publicznych przez krótki stosunkowo przeciąg 6 — 7 tygodni! Nie koniec na tem: dowiadujemy się, że na tych zabawach przesunęło się krokiem mazurowym nie mniej, jak 10 — 12 tysięcy par.

Są to prawdziwie imponujące cyfry i nie mielibyśmy powodu smuć się, gdyby były w istocie ścisłym wykładnikiem wesela i ożywienia towarzyskiego. Człowiek, który się nigdy nie śmieje, jest napewno chory. Miasto, które się nie bawi, bodaj przez czas karnawału, objawia również jakieś niedomaganie chroniczne. Otóż statystyka owa stanowiła-by pośredni dowód, że jest dobrze, że jesteśmy zdrowi, choćby dla tego, że się bawimy.

Niestety! — po każdej niemal z tych 50 zabaw publicznych słyszeć się dawały utyskiwania, że się właściwie nie bawiono, że karnawał przemija bez ożywienia. W pismach nawet stwierdzono, że na tych licznych maskaradach, tombolach, powitaniach i pożegnaniach karnawałowych panował „żart mdły, namiętność sztuczna.“ Czegóż za dużo było lub zamało na tych zabawach, karnawał musiał mieć jakąś organiczną wadę w sobie, skoro mimo istotnego „wodzirejstwa“ najpoczytniejszych organów prasy, zabawy się nie udawały. Nam się zdaje: że przedewszystkiem za dużo było tych zabaw: trudno wymagać, żeby nawet tak „sympatycznie“ dla tańca usposobiona społeczność, jak nasza, zdobyła się na codzienne niemal „hopki“ na tych 50-ciu balach. To stanowczo za dużo. Za dużo również łączono naraz celów. Każdy prawie bal miał jakiś cel filantropijny, każdy więc dawał pole do nadprogramowych wydatków i nie brak było osób, które wołały opłacić bilet z czystej filantropii, niż dla zabawy. Tacy później na sali balowej świecili nieobecnością. Za dużo wreszcie było różnorodności to-

warzyskiej, zbyt „kostiumowo“ wyglądały nasze maskarady, zbyt trudno było się porozumieć między sobą zgromadzonym.

Natomiast zamało karnawał ma dzisiaj cech, właściwych sobie, że tak powiem, z przyrodzenia.

Dwie cechy musi mieć każda zabawa, która ma naprawdę odpowiedzieć celowi: Po pierwsze: powinna być nieprzymuszoną, ochoczą, słowem właśnie zabawną; powtóre: powinna odpowiadać temperamentowi zbiorowiska, w którym się odbywa. Dlatego karnawał wenecki, nicejski lub paryski, lub dawne polskie zapusty, mają swe rysy charakterystyczne, które stanowią cały właśnie powab zabawy, a których zaniechanie powoduje anemiczność jej.

Jak trudno było-by poprzerabiać nasze sanki na gondole, lub w naszym klimacie kazać zakwitnąć kwiatom w lutym czy w marcu, tak również trudno chcieć, żeby tłum nasz zdobył się na swobodną grę dowcipu w stylu Pierrotów i Colombin, na arlekinady pełne żartobliwej werwy, na te kaskady słów i śmiechu, które gęściej, niż *confetti*, padają podczas np. karnawału włoskiego. Tymczasem maski i kostiumy bez tych warunków naturalnej swobody i zgrania się temperamentów są tak podatne do maskarad i zabaw kostiumowych, jak statyści prowincjonalnej sceny do rycerzy i wassalów, których mają reprezentować— a werwy być nie może na salach reductowych w ich obecnym składzie.

PolSKI karnawał—to nasze dawne zapusty. Kilka dni nieprzymuszonej zabawy bez celów filantropijnych i bez fałszywego apetytu na styl włoski czy paryski; kilka zaimprovizowanych, jak krakowskie wesela, sąsiedzkich zajazdów; kilka kuligów w swoim towarzystwie— taki jest dawny wzór zapustny, a im bardziej będziemy go wypaczali wprowadzaniem motywów obcych, tem solennie nudzić się będziemy na zabawach. Zabawa taneczna wogóle nie należy do najcenniejszych zabytków barbarzyństwa, ale można ją lubić, kiedy jest szczerą i daje sposobność do wyładowania się towarzyskiej ochoty, wesela, kiedy jest, jak zdrowy śmiech, kąpielą rzeźwiącą dla nerwów. Gdy jednak staje się konwencyonalną, sztywną i naciaganą, wówczas przestaje mieć nawet ów powab naturalnego odruchu wesołości i staje się czemś po prostu niedorzecznem.

Psychologia naszego karnawału była-by niezupełną, gdybyśmy nie powiedzieli słów kilku o jego „filantropii.“ To tak, jak gdyby ktoś, charakteryzujący *Tartuffe'a*, pominął jego pobożne westchnienia, towarzyszące oblesnym i pożądlivym spojrzeniom — karnawał jest u nas źródłem dochodu najrozmaitszych instytucji publicznych. Z 50 „zabaw,“ zanotowanych przez statystykę karnawałową, co najmniej połowa miała cel dobroczynny.

O tym rodzaju filantropii pisano już u nas nieraz, mówiono o niebezpieczeństwie dodawania bodźca naszym i tak zbyt swawolnym instyngtom.—Filantropia dla wielu istotnie jest tylko pozorem do „białego mazura”.—Mówiono o kosztowności tego *sui generis* systemu podatkowego: tu każdy rubel, wpływający na cel pożyteczny, okupionym bywa kilkunastu rublami wydatku nieprodukcyjnego — są to argumenty bardzo poważne.

Jest jednak jeszcze jedna strona w tej kwestyi, która, zdaniem naszym, najujemniej świadczy o wartości filantopii balowej. Oto rozmaite instytucje, korzystając z tego względnie najłatwiejszego sposobu karoty społecznej, zaniedbują zupełnienie gospodarkę swoją w ciągu roku, licząc, że zawsze ów bal stereotypowy w karnawale da owo *minimum* środków na „opędzenie“ wydatków instytucji. Jest to rachuba fałszywa z gruntu i szkodliwa dla społeczeństwa. Instytucje nasze dla tego właśnie są nie dość ruchliwe, żywotne, nie dość mocno stoją, nie dość szybko się rozwijają, że tym sofizmatem balowym rozgrzeszają siebie niejako z obowiązku stałych nieustannych usiłowań. Każda instytucja powinna się rozwijać tylko drogą propagandy swego celu, drogą rozwijania w społeczności instyngtów, pod których wezwaniem powstała. Prasa, propaganda towarzyska, zgromadzenia, wystawy, odczyty, werbowanie członków, rządność wewnątrz, manifestowanie swych zdobyczy i korzyści na zewnątrz—oto są właściwe drogi do stworzenia sobie podstaw bytu dla każdej instytucji użyteczności publicznej. — My zaś często słyszymy o naszych instytucjach raz na rok, właśnie w dobie filantropii karnawałowej. To jest podwójna szkoda: raz traci na tem sama instytucja, bo dochód z balu nie zastąpi tych trwałych podstaw istnienia; drugi raz traci społeczeństwo, zbyt mało na ogół związane u nas interesem organicznym ze swemi instytucjami.

W summie zaś otrzymujemy ową atmosferę nędznej wegetacji, senności jakiejś, którą, niestety, zbyt słusznie zarzucano u nas niejednokrotnie najżywotniejszym instytucjom.

Sądźmy, że ten jeden wzgląd wystarcza, abyśmy się na przyszłość wystrzegali karnawałowego sofizmu filantropii, bo pożenienie tych dwóch pierwiastków u nas nieuchronnie potęguje anemię społeczną.

Nadchodzi właśnie inny sezon—sezon odczytów, które przypadają jakoś razem z okresem umartwień i postu. Sezon ten w roku bieżącym zapowiada się nawet lepiej niż lat zeszłych. Na porządku dziennym, prócz odczytów mniej lub więcej pouczających, mamy jeszcze szereg posiedzeń kilku nowo założonych towarzystw. Jest nadzieja, że nie skoń-

czy się na samych tylko posiedzeniach, lecz, że dla ludzi dobrej woli nie zabraknie pola do pracy. W ostatnich latach postąpiliśmy niewątpliwie w kierunku zorganizowania sił społecznych i zarazem racjonalnego podziału pracy publicznej. Można powiedzieć, że w chwili obecnej posiadamy bodaj minimum organów, przy pomocy których energia jednostek może się zamienić na czyn społeczny. Mamy instytucje w zakresie przemysłu, rolnictwa, handlu, higieny, kształcenia fachowego, dobroczynności, pedagogii, wszystkich rodzajów sportu i sztuki; mamy nawet surrogat samoistnego teatru w postaci oddanego sztuce scenicznej koła amatorów, któremu nie brak materyjalnego oparcia; mamy siły wykwalifikowane we wszystkich kierunkach pracy społecznej i umysłowej, grupowane, jeśli nie całkiem racjonalnie, to przynajmniej znośnie.

Trzeba więc tylko, ażebyśmy się wszyscy poczuli do obowiązku *czynnego podatku energii i dobrej woli*.—Ten tylko bowiem podatek zapewnia rozwój i trwałość rozwoju wszystkim instytucjom.

\*

\*

\*

Jedną z najpopularniejszych w kraju instytucji stanie się niewątpliwie Towarzystwo higieniczne.—Podawaliśmy w swoim czasie wiadomość o ogólnym planie robót Towarzystwa, który się wyraził przede wszystkim w podziale na sekcye. Obecnie mamy do zanotowania coś więcej, niż plan, bo pomyślny i prawidłowy rozwój pierwszych prac Towarzystwa.

Towarzystwo higieniczne z natury rzeczy ma zakres bardzo szeroki i wielostronnie stykający się z życiem. Sekcja higieny miast i mieszkań prywatnych, higieny wychowawczej, zdrojowisk i miejsc klimatycznych na każdym kroku w działalności swej potracają o pierwszorzędną zagadnienia kultury, obyczajów miejscowych, porządków istniejących, horoskopów przyszłości i, rozwijając się, naturalnym znów biegiem rzeczy, w koło swych zabiegów wciągają najrozmaitsze warstwy społeczne i najdalsze zakątki kraju. — Jakiś powiew świeższej kultury wieje od tego zgromadzenia ludzi wysokiej nauki i dobrej woli, którzy, oderwawszy się od mikroskopów i studyów klinicznych, stanęli w pierwszych szeregach żmudnej codziennej pracy społecznej.

Nie koniec na tem: oni nietylko wzięli się do pracy oczyszczenia naszych stajen rodzinnych, ale jeszcze samem wytaczaniem różnych kwestyi, umiejętnie prowadzonymi debatami i sumiennie opracowanymi referatami, po prostu kształcą społeczeństwo.

Wszystkie wydziały Towarzystwa zorganizowały się już i przystąpiły do pracy.

Wydział biologiczny wyświetlił w sposób praktyczny kwestyę dezynfekcyi mieszkań oraz rozpoczął kroki w celu stworzenia w kraju odpowiednich urządzeń.

Wydział higieny wycbowawczej postawił na porządku dziennym sprawę budowy, urządzenia i utrzymania budynków szkolnych. Wynikiem wyświetlenia tej kwestyi będzie popularna instrukcja higieniczna, z której przedewszystkiem skorzystać będzie mogła prowincya.

Wydział szpitali i przytułków poruszył sprawę pierwszorzędną doniosłości—sprawę sanatorium dla suchotników. Jak bardzo sprawa ta zainteresowała ogół, świadczy fakt, że w kilka dni po odczycie d-ra Dunina, dwaj nieznaní ofiarodawcy złożyli na ten cel przeszło 3000 rubli. Sanatorium dla niezamożnych suchotników uratuje nam setki ludzi co rok, jak świadczą o tem wykazy statystyczne wszystkich społeczeństw, posiadających tę instytucyę.

Tysiącom zaś innych czynią egzystencyę znośniejszą, bodaj na schyłku, bodaj w przededniu śmierci.

Jakież to głęboki i rozumny czyn filantropijny, bo dziś możemy już sprawę sanatorium uważać za czyn dokonany! I proszę uważyć jak bez „karoty,“ samo przez się wytryska ze społeczeństwa źródło ofiarności wtedy, gdy rzecz prowadzoną jest rozumnie i ogół potrzebę jej odczuwa.

Wydział higieny miast zajął się znów kwestyą braków i mnożstwem drobnych na pozór dolegliwości życia miejskiego, które wszakże stanowią niejako podścielisko dla rozwoju chorób i niedomagań powszechnych.

Wydział higieny ludowej przeprowadził ankietę, czy też zgromadził dostępne dziś materiały w kwestyi szczepienia ospy. Posiedzenia wydziału, na których dr. Chełchowski i cały szereg po nim przemawiających specjalistów wyświetlił kwestyę śmiertelności na ospę w kraju naszym, należą do najciekawszych. Dla ogromnej większości nawet całkiem inteligentnych warstw społeczeństwa nowością zapewne były niektóre z „pewników,“ ogłoszonych tu przez fachowców. Dowiedzieliśmy się, że w jednej Warszawie, względnie zaś w każdym, z nie-

licznymi wyjątkami, powiecie Królestwa, umiera na ospę osób więcej, niż w całym Cesarstwie niemieckim. Że, licząc lekko, straciliśmy w ciągu stulecia co najmniej „ćwierć miliona“ ludności z powodu ospy. Że zaledwie drobna cząstka samej nawet intelligencji poddaje się tak zwanej rewakcytacji, to jest powtórnemu szczepieniu, które jest jedynym i koniecznym środkiem zapobiegawczym przeciw straszniejszej niż-by się zdawało, dla społeczeństwa chorobie, że wreszcie lud nawet pierwszego szczepienia, nie mówiąc o powtórnem dotąd jeszcze nie praktykuje.

Wydział higieny ludowej rozpoczął prawdziwą krucyatę przeciw przesądom ludu i niedbałości intelligencji.

Przygotowaną została do druku popularna broszura o ospie i walce z nią; zainteresowanemi zostały pośrednio lub bezpośrednio różne sfery społeczeństwa, od których współdziałania zależy skuteczność całej akcji; z inicjatywy wreszcie wydziału, Towarzystwo wygotuje memoriał i poczyni kroki o zaprowadzenie przymusowego szczepienia w całym kraju.

Podaliśmy tu zaledwie kilka przykładów pracy Towarzystwa, ażeby wyświetlić nieco jego rolę i zakres działania.

Pochwał tu mnożyć nie będziemy. Co żywotne, musi się rozwinąć i Towarzystwo higieniczne będzie niezadługo jednym z dzielniejszych organów naszego życia zbiorowego.

Tu raczej chcielibyśmy zwrócić uwagę ogółu na to, kto powinien należeć do towarzystwa. Otóż, jak widzimy, każda sekcya otwiera szranki dla coraz to nowych fachów. Technicy, inżynierowie, architekci i t. p., powinni należeć do sekcji higieny miast, mieszkań; pedagodowie, przełożeni i przełożone — do sekcji higieny pedagogicznej i t. p.

Sądźmy wszakże, że wogóle, żeby mieć kwalifikacyę na członka Towarzystwa, dość być ojcem lub matką rodziny.

Wszystkich zaś nas oświecić i zająć mogą wyniki fachowych prac przewodników towarzystwa i wszyscy im czynnie możemy przyjść z pomocą w pracy oczyszczenia domu.





## Wiadomości bibliograficzne.

---

— Dnia 2 stycznia 1899 roku odbyło się posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego Krakowskiej Akademii Umiejętności, na którym prof. Rostański odczytał rrecz pod tytułem: „O maku i jego hodowli w Polsce“. W pierwszej części tej pracy, botanicznej, jest mowa o makach, hodowanych na ziemiach polskich, i o użytkach z nich; w drugiej zestawiał autor wszystko, co wiadomo o użytkach maku z dawniejszych polskich pisarzy.

— Na posiedzeniu Wydziału filologicznego z dnia 9 stycznia 1899 roku przedstawił prof. dr Leon Sternbach treść swojej pracy pod tytułem: „*Studia critica in Georgium Pisidam. Pars I: De Pisidae apud Theophanem aliosque historicos reliquis*“. Zwróciwszy uwagę na fakt, że historycy bizantyńscy w partyi, odnoszącej się do rządów Herakliosa I, przynoszą często wiadomości, 'wyjęte z historycznych poematów Pisidesa, starał się autor doszukać resztek tych utworów w dziełach

historyków bizantyńskich; na podstawie szczegółowych badań udało mu się stwierdzić, że jedynie Theophanes Confessor, który kronikę swą ułożył między rokiem 810 a 84, zużytkował bezpośrednio utwory Pisidesa, inni zaś korzystali tylko z zapisków Theophanesa.

— Na posiedzeniu Wydziału historyczno-filozoficznego, które się odbyło dnia 16 stycznia 1899 roku, mówił prof. dr Piekosiński: „O źródłach heraldyki ruskiej“; wystąpił mianowicie w obronie swego, dawniej wyrażonego, zapatrywania, iż najzasobniejszym źródłem do heraldyki polskiej średniowiecznej jest heraldyka ruska, jako ściśle spokrewniona z polską, a raczej wprost od niej pochodząca. Przeciw pogładowi temu wystąpili ks. kan. Petruszewicz i p. A. Jabłonowski, już to wskazując na zupełną odrębność herbów ruskich i dowodząc ich warego-ruskiego, normańskiego początku, już też dopatrując się w nich podobieństwa do t. zw. tamh kaukaskich. Prof. Piekosiński, który poprzednio opierał swoje twierdzenie głównie na dokumentach, zwrócił się z kolei do badania najstarszych dochowanych pieczęci ruskich, pochodzących jeszcze z XIV wieku. Udało mu się zgromadzić 14 takich pieczęci, a bliższe ich rozpoznanie doprowadziło go do następujących wniosków: Oto przedewszystkiem żadna z tych pieczęci nie nosi na sobie żadnego takiego wizerunku, który-by, choć zdaleka, przypominał tamby Kabardów i Abadzechów kaukaskich, i pozwolił odnieść początek herbów szlachty ruskiej jeszcze do owych czasów, kiedy Rusini z tymiż kaukaskimi narodami wspólną rodzinę stanowili; powtóre, żadna z tych pieczęci nie przedstawia typu runicznego, który-by na runie z młodszego futorku był oparty, i dozwalał na przypuszczenie pochodzenia tych herbów od Warego-Russów; po trzecie wreszcie, aż pięć pieczęci wyobraża herby polskie, z czego widać, jak szybko bojarowie ruscy, zaraz po zaborze Rusi Czerwonej przez Kazimierza Wielkiego i zetknięciu się ze szlachtą polską, zaczęli sobie przyswajać herby polskie.

— Komissya Antropologiczna Krakowskiej Akademii Umiejętności wydała tom III-ci swych „Materyałów antropologiczno-archeologicznych i etnograficznych“. Znajdujemy tam w dziale antropologiczno-archeologicznym: Olechnowicza Wł.: „Crania polonica“; Ciechanowskiego S. i R. Urbanika: „Materyały do geografii wola i matolectwa w Galicyi“; Breusteina M. Z.: „Wykopalisko na folwarku „Rajnie“ w powiecie Telszewskim na Żmujdzi“; Magierowskiego L.: „Trwanie życia w okolicy Jaźmierza na podstawie metryk z lat pięćdziesięciu (1845 — 1895)“; Wawrzenieckiego M.: „Poszukiwania archeologiczne w Lelowicach i Muroszowie w gubernii kieleckiej“; Talko-Hryncewici

cza J.: „Materiały do paleontologii mogił Azji Wschodniej“; Demetrykiewicza Wł.: „Neolityczne groby szkieletów t. zw. siedzących (Hockergräber) w Przemyskim i Krakowskim“ i „Wykopaliska w jadownikach mokrych i Gorzowie, oraz inne ślady epoki la Tène w Galicyi Zachodniej“. Dział etnograficzny zawiera: Anonima: „Obszar języka litewskiego w gub. Wileńskiej“; Stopki A.: „Materiały do etnografii Podhala (Zakopane, Kościłisko, Poronin, Czarny Dunajec)“ i Tetmajera Wł.: „Gody i godnie święta, czyli okres Świąt Bożego Narodzenia w Krakowskim“.

— Nakładem księgarni M. Orgelbranda wyszło ks. I. Charszewskiego: „Odrodzenie religijne w nauce, w literaturze i w życiu“.

— Niestrudzony badacz, komentator Goethego, Ludwik Jenike, przełożył fragment alegoryczny wielkiego poety p. t.: „Pandora“. Tłumaczenie to ukazało się w taniem wydaniu w złoczowskiej „Bibliotece powszechnej“.

— Firma Gebethnera i Wolffa wydała nową edycję dwutomowej powieści Walerego Łozińskiego: „Zaklęty Dwór“.

— Nakładem J. Fiszera wyszła powieść Artura Gruszeckiego: „Szachraje“ (dwa tomy).

— W Petersburgu, nakładem K. Grendyszyńskiego, wyszła „Teoria poezyi polskiej z przykładami w zarysie popularnym analityczno-dziejowym“, przez Antoniego Gustawa Bema. Tymczasową wzmianką o ukazaniu się tej książki poprzedzamy obszerniejsze o niej sprawozdanie“.

— Firma Gubrynowicza we Lwowie wydała „Dymitra Samozwańca“ z ilustracyami, pióra Aleksandra Hirschberga. O pracy tej podamy wkrótce szczegółowe sprawozdanie.

— Pan Witold Łaszczyński wydał u J. Fiszera pierwszy tomik swoich „Poezyi“, których wartość ocenioną będzie w „Bibliotece“.

— Zeszyt I roku II-go „Przeglądu Filozoficznego“ wyszedł z druku i zawiera między innymi: Piotra Chmielowskiego: „Filozoficzne poglądy Mickiewicza“; d-ra Władysława Heinricha: „O stosunku pojęć i zasad fizycznych do filozofii“; Autoreferaty Jana Witorta, d-ra A. Groszlika i d-ra W. Lutosławskiego, oraz Kronikę, Krytykę i Sprawozdania.

— D-r Zygmunt Kramsztyk wydał zajmujące i przystępnie napisane: „Szkice krytyczne z zakresu medycyny“.

— Z funduszu d-ra J. Chweńkowskiego wydano „Sześć wykładów o świetle“ Tyndalla, w przekładzie Wiktora Biernackiego.

— Ukazał się trzeci zeszyt miesięcznika „Światło“, obficie ilustrowany w tekście i osobnemi rycinami.

— Jako zakończenie prac swoich: „Fizjologia mowy“, „Rozwój mowy i intelligencji u dziecka“ i „Szósty przyczynek do nauki o zbożeniach mowy“; napisał d-r Oltuszewski „Psychologię oraz filozofię mowy“, która świeżo opuściła prasę.

— Stanisława Witkiewicza „Sztuka i krytyka u nas“, wyszła w trzecim, powiększonym wydaniu, doprowadzonym do 1898 r.

— Jako odbitka z książki zbiorowej, poświęconej pamięci J. Korzeniowskiego, wyszła rozprawa d-ra Bronisława Czarnika: „Korzeniowski i *Karpaccy Górale*“.

— Literaturę poetycką pomnożył w ostatnich czasach wydany przez firmę Gebethnera i Wolffa „Wybór poezji Adama Asnyka“ (edycja miniaturowa), oraz zbiorki: „Ekstaza“ Zdzisława Dębickiego i „Ciche pieśni“ Władysława Zalewskiego.

— Do szeregu ozdobnych wydawnictw przybyła zmniejszona pod względem formatu edycja „Starej baśni“ Kraszewskiego, która i w tym kształcie wytwornie się przedstawia, i której mniej kosztowne nabycie ułatwione w ten sposób zostało przez firmę Gebethnera i Wolffa.

— „Przegląd Tygodniowy“ zaczął wydawać pięknie wyglądającą edycję „Pana Tadeusza“ z ilustracyami Kazimierza Alchimowicza.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

*Michał książę Radziwiłł.*